

ŚLADY



ZBRODNI



JO

Harry Hole
w **demonicznej grze**
perwersyjnego mordercy

NESBØ

PRAGNIENIE



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

JO NESBØ

POWIEŚCI Z HARRYM HOLE

CZŁOWIEK NIETOPERZ

KARALUCHY

CZERWONE GARDŁO

TRZECI KLUCZ

PENTAGRAM

WYBAWICIEL

PIERWSZY ŚNIEG

PANCERNE SERCE

UPIORY

POLICJA

PRAGNIENIE

INNE POWIEŚCI

ŁOWCY GŁÓW

SYN

KREW NA ŚNIEGU

WIĘCEJ KRWI

JO NESBØ

PRAGNIENIE

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka



WROCŁAW 2017

PROLOG

Wpatrywał się w białą nicość.

Tak jak od blisko trzech lat.

Nikt go nie widział, a on nie widział nikogo. Wyjątkiem były chwile, kiedy drzwi się otwierały, wypuszczając dość pary, by przez mgnienie oka dało się dostrzec nagiego mężczyznę, ale za moment na powrót wszystko spowijała mgła.

Łażnię już wkrótce zamykano. Był sam.

Mocniej owinął się w pasie białym szlafrokiem frotté, wstał z drewnianej ławy i mijając pusty basen, przeszedł do szatni.

Żadnych pluskających pryszniców, żadnych konwersacji po turecku, żadnego człapania bosych stóp po wyłożonej kafelkami podłodze. Przejrzał się w lustrze. Przeciągnął palcem wzdłuż blizny, wciąż widocznej po ostatniej operacji. Potrzebował czasu na przyzwyczajenie się do nowej twarzy. Palec przesunął się po szyi przez pierś, zatrzymał się tam, gdzie zaczynał się tatuaż.

Otworzył kłódkę przy szafce, wciągnął spodnie, a na wciąż wilgotny szlafrok włożył płaszcz. Zawiązał sznurowadła. Jeszcze raz upewnił się, że jest sam, i podszedł do szafki z kłódką szyfrową, na której widoczna była plamka niebieskiej farby. Ustawił cyfry szyfru – 0999. Zdjął kłódkę i otworzył szafkę. Przez chwilę przyglądał się leżącemu w środku dużemu pięknemu rewolwerowi, w końcu chwycił za czerwoną rękojeść i schował broń do kieszeni płaszcza. Potem wyjął i otworzył kopertę. Klucz. Adres i więcej szczegółowych informacji.

W szafce leżało coś jeszcze.

Pokryte czarną farbą, zrobione z żelaza.

Jedną ręką uniósł to do światła, z zafascynowaniem przyglądając się kowalskiej robocie. Wiedział, że przedmiot wymaga umycia, starannego wyszorowania, ale już na samą myśl o tym, że będzie go używał, poczuł podniecenie.

Trzy lata. Trzy lata w białej nicości, na pustyni pozbawionych treści dni.

Już najwyższy czas. Pora, by wreszcie napić się życia.

Pora wrócić.

Harry obudził się, gwałtownie drgając. Zapatrzył się w półmrok sypialni. To znowu tamten, wrócił, był tutaj.

– Koszmar, kochany? – Szept, który rozległ się tuż obok, brzmiał spokojnie i ciepło.

Harry odwrócił się do niej. Piwne spojrzenie zająrzało mu w oczy, a upiór zbladł i zniknął.

– Jestem tutaj – powiedziała Rakeł.

– I ja jestem tutaj – odparł.

– Kto to był tym razem?

– Nikt – skłamał, dotykając dłonią jej policzka. – Śpij już.

Opuścił powieki. Odczekał, aż zyskał pewność, że Rakeł naprawdę zamknęła oczy, i dopiero wtedy otworzył swoje. Spojrzał na jej twarz.

Tym razem widział go w lesie, na bagnach spowitych w białą mgłę. Tamten podniósł rękę, wycełował czymś w Harry'ego, który dostrzegł wytatuowaną na nagiej piersi twarz demona. Potem mgła zgęstniała, a tamten zniknął. Znowu zniknął.

– Jestem tutaj – szepnął Harry Hole.

CZEŚĆ I

1 ŚRODA, WIECZÓR

Bar Jealousy świecił pustkami, a mimo to nie było czym oddychać.

Mehmet Kalak obserwował mężczyznę i kobietę przy kontuarze, nalewając im wino do kieliszków. Czworo gości. Trzecim był siedzący samotnie przy stoliku facet, który popijał swoje piwo małymi łydkami, a do czwartego należała para kowbojskich butów, wystających z jednego z boksów, którego ciemność od czasu do czasu rozpraszało światło ekranu telefonu. Czworo gości o wpół do dwunastej we wrześniowy wieczór w najlepszej barowej okolicy na Grünerløkka. Było niedobrze, to nie mogło tak trwać. Mehmet czasami zadawał sobie pytanie, dlaczego zrezygnował z posady szefa baru w najmodniejszym hotelu w mieście po to, by w pojedynkę przejąć ten zniszczony lokal z zapijaczoną klientelą. Może sądził, że podnosząc ceny, wymieni starych gości na tych, na których zależało wszystkim – tych z płynnością finansową, niestwarzających problemów, młodych, ale już dojrzałych ludzi z sąsiedztwa. Może dlatego, że po zerwaniu z dziewczyną potrzebował miejsca, w którym mógłby się zaharować na śmierć. Może dlatego, że oferta lichwiarza Daniela Banksa wydała mu się bardzo korzystna, kiedy bank odrzucił jego wniosek o kredyt. A może po prostu dlatego, że w barze Jealousy to on decydował o doborze muzyki, a nie jakiś pieprzony dyrektor hotelu, który znał tylko jedną melodię: brzęk wydobywający się z kasy. Przepędzenie starej klienteli poszło łatwo, dawni bywalcy już od dłuższego czasu zagrzewali miejsce w tanim barze trzy kwartały dalej. Trudniejsze okazało się przypędzenie nowej. Może powinien zrewidować koncept. Może jeden telewizor pokazujący turecką piłkę nożną nie wystarczy, żeby nazwać lokal barem sportowym. A w kwestii muzyki może powinien postawić raczej na klasyczne pewniaki – U2 i Springsteen dla chłopaków, a Coldplay dla pań.

– Co prawda zaliczyłem niewiele randek z Tindera – Geir odstawił kieliszek

białego wina z powrotem na bar – ale i tak zauważyłem, że można się zetknąć z mnóstwem dziwactw.

– Naprawdę? – Kobieta stłumiła ziewnięcie.

Miała jasne, krótko ostrzyżone włosy. Szczupła. Mehmet ocenił ją na trzydzieści pięć lat. Szybkie, trochę nerwowe ruchy. Zmęczone oczy. Pracuje za dużo i ćwiczy, bo ma nadzieję, że to jej da energię, której stale jej brakuje. Mehmet patrzył, jak Geir unosi kieliszek, trzymając go trzema palcami za nóżkę, w taki sam sposób jak jego towarzyska. Na niezliczonych tinderowych randkach konsekwentnie pił to samo co kobiety, z którymi się umawiał, wszystko jedno, czy chodziło o whisky, czy o zieloną herbatę. Chyba chciał zasygnalizować, że i w tej kwestii do siebie pasują.

Geir chrząknął. Od wejścia kobiety do baru minęło sześć minut i Mehmet wiedział, że Geir właśnie teraz postanowił ruszyć do ataku.

– Jesteś ładniejsza niż na profilowym zdjęciu, Elise – powiedział Geir.

– Już to mówiłeś, ale jeszcze raz dziękuję.

Mehmet polerował szklanę, udając, że nie słucha.

– No to powiedz mi, Elise, czego pragniesz w życiu?

Uśmiechnęła się lekko, zrezygnowana.

– Mężczyzny, który nie kieruje się wyłącznie wyglądem.

– Oczywiście nie mogę się z tobą nie zgodzić, Elise. Liczy się to, co w środku.

– To był żart. Na zdjęciu jestem ładniejsza i prawdę mówiąc, ty też, Geir.

– Ho, ho. – Geir dezorientowany zajrzał do swojego kieliszka. – Chyba większość ludzi wybiera swoje najlepsze zdjęcia. Więc pragniesz mężczyzny. Jakiego mężczyzny?

– Takiego, który zamiast pracować, zajmie się w domu trójką dzieci. – Elise spojrzała na zegarek.

– Ho, ho. – Geirowi pot wystąpił nie tylko na czoło, ale na całą dużą, ogoloną na łyso głowę. A wkrótce wielkie plamy potu miały się ukazać pod pachami czarnej koszuli typu *slim fit*, będącej zresztą dziwnym wyborem, ponieważ Geir nie był ani *slim*, ani *fit*. Obrócił kieliszek w palcach. – To dokładnie moje poczucie humoru. Chociaż na razie za rodzinę wystarczy mi pies. Lubisz zwierzęta?

Tanrim, dlaczego on nie powie pas?, zdumiał się Mehmet.

– Jeśli spotkam tego właściwego, jeśli poczuję, że do siebie pasujemy, zarówno tu...

– Jak i tu... – Geir uśmiechnął się, zniżył głos i wskazał na krocze. – No, ale najpierw trzeba się przekonać, jak to jest z tym dopasowaniem. Co ty na to, Elise?

Mehmetowi ciarki przebiegły po plecach. Geir zagrał *all in*, a na jego poczuciu własnej wartości zapewne wkrótce pojawi się kolejne wgniecenie.

Kobieta odsunęła swój kieliszek na bok i nachyliła się do Geira, więc Mehmet musiał nastawić uszu, żeby ją usłyszeć.

– Możesz mi obiecać jedno, Geir?

– Oczywiście. – W jego spojrzeniu i głosie pojawił się wręcz psi zapach.

– Kiedy stąd wyjdę, nigdy więcej nie będziesz próbował się ze mną kontaktować.

Mehmet z trudem ukrył podziw dla Geira za to, że gość zdobył się na uśmiech.

– Oczywiście.

Kobieta się wyprostowała.

– Nie wyglądasz mi na stalkera, ale mam już za sobą parę złych doświadczeń. Jeden facet zaczął za mną łązić. Groził też osobom, z którymi się spotykałam. Mam nadzieję, że rozumiesz, skąd moja ostrożność.

– Rozumiem. – Geir sięgnął po kieliszek i opróżnił go do dna. – Sam ci mówiłem, że jest mnóstwo dziwaków. Ale nie bój się, jesteś całkiem bezpieczna. Statystycznie mężczyzna ma cztery razy większe szanse na to, żeby zostać zamordowanym, niż kobieta.

– Dziękuję za wino, Geir.

– Gdyby ktoś z nas trojga...

Mehmet czym prędzej odwrócił wzrok, kiedy Geir wskazał na niego.

– ...miał dziś wieczorem stać się ofiarą zabójstwa, szansa na to, że padłoby na ciebie, jest jak jeden do ośmiu. Chociaż... chwileczkę, trzeba to podzielić przez...

Elise wstała.

– Mam nadzieję, że uda ci się to policzyć. Wszystkiego dobrego.

Po jej wyjściu Geir jeszcze przez chwilę wpatrywał się w swój kieliszek, kiwając głową do rytmu *Fix You*, jakby chciał przekonać Mehmeta i ewentualnych innych świadków, że już się otrząsnął z porażki, że Elise była jak trwająca trzy minuty popowa piosenka, która równie szybko poszła w zapomnienie. Potem także wstał bez słowa i wyszedł. Mehmet rozejrzał się po lokalu. Kowbojek i faceta, który dręczył piwo, też już nie było. Został sam. I tlen wrócił.

Mehmet zmienił w komórce listę utworów. Na swoją listę. Bad Company. Z muzykami z Free, Mott The Hoople i King Crimson raczej nie powinno być źle. A z Paulem Rodgersem na wokalu nie mogło być źle. Podkreślił głośność tak, że szklanki za ladą zaczęły o siebie podzwaniać.

Elise szła przez Thorvald Meyers gate wśród trzypiętrowych kamienic, niegdyś zamieszkałych przez klasę robotniczą żyjącą w biednej części biednego miasta, w którym jednak teraz metr kwadratowy kosztował tyle co w Londynie i Sztokholmie. Wrzesień w Oslo. Nareszcie powróciła ciemność, mieli już za sobą te

długie, irytująco jasne letnie noce, wypełnione charakterystyczną dla lata historyczną wesołością, idiotyczną radością życia. We wrześniu Oslo odzyskiwało swoje prawdziwe ja: melancholijne, pełne rezerwy, efektywne. Solidna fasada, ale skrywająca mroczne zaułki i tajemnice. Podobno i ona była właśnie taka. Przyspieszyła, bo w powietrzu czuło się deszcz, mżawkę – prysznic boskiego kichnięcia, jak się wyraził, siłąc się na poetyczność, jeden z facetów, z którymi się umówiła. Odstawi Tindera. Jutro. Dosyć już tego. Dosyć napalonych gości, pod których wzrokiem czuła się jak dziwka, gdy spotykała się z nimi w jakimś barze. Dosyć obłąkanych psychopatów i stalkerów, którzy wpijali się w nią jak kleszcze i wysysali z niej czas, energię i poczucie bezpieczeństwa. Dosyć żałosnych przegranych typów, przy których czuła się taka jak oni.

Mówiło się, że umawianie się na randki przez Internet to nowy sposób poznawania ludzi, że nie ma się już czego wstydzić, że wszyscy tak robią. Ale to nie była prawda. Ludzie poznawali się w pracy, w czytelni, przez przyjaciół, w siłowni, w barku kawowym, w samolocie, w autobusie, w pociągu. Poznawali się tak, jak powinni się poznawać, bez napięcia, bez presji, mogąc zachować na przyszłość romantyczną iluzję niewinności, czystości i kaprysu losu. Ona pragnęła tej iluzji. Postanowiła skasować konto. Mówiła to sobie już wcześniej, ale tym razem to się naprawdę stanie, już dziś.

Przecięła Sofienberggata i wyjęła klucz, żeby otworzyć bramę koło warzywniaka. Pchnęła drzwi, zanurzyła się w mrok. I stanęła jak wryta.

Było ich dwóch.

Minęło kilka sekund, zanim oczy dostatecznie przywykły do ciemności i mogła zobaczyć, co trzymają w dłoniach. Obaj mężczyźni mieli rozpięte spodnie i organy płciowe na wierzchu.

Zrobiła krok w tył. Nie odwracała się, tylko w duchu zanosila modły, żeby kolejny nie pojawił się za nią.

– Kurwasorry.

Zlepione w jedno słowo przekleństwo i przeprosiny wypowiedział młody głos. Elise oceniła go na jakieś osiemnaście – dwadzieścia lat. Nietrzeźwy.

– Ty – odezwał się ten drugi, rozbawiony. – Nasikałeś mi na buty!

– Bo się przestraszyłem!

Elise mocniej owinęła się płaszczem i wyminęła chłopaków, którzy z powrotem odwrócili się do ściany.

– To nie jest szalet – rzuciła.

– *Sorry*, ale nas przypiliło. Więcej się nie powtórzy.

Geir pospiesznie szedł Schleppegrells gate. Liczył w pamięci. To nieprawda, że w układzie dwóch mężczyzn – jedna kobieta szansa na to, że to kobieta zginie, jest jak jeden do ośmiu; ten rachunek był bardziej skomplikowany. Wszystko było zawsze bardziej skomplikowane.

Minął Romsdalsgata, kiedy coś kazało mu się odwrócić. Pięćdziesiąt metrów za nim sunął facet. Geir nie miał pewności, ale czy to nie ten sam gość, który gapił się po drugiej stronie ulicy na wystawę, kiedy on sam wychodził z Jealousy? Geir przyspieszył, kierując się na wschód, w stronę Dælenenga i fabryki czekolady. Na ulicach nie było żywej duszy, tylko autobus, który najwyraźniej przyjechał za wcześnie i czekał na przystanku. Geir zerknął za siebie. Facet ciągle tam był, wciąż utrzymywał tę samą odległość. Geir właściwie od zawsze bał się ludzi o ciemnej skórze, ale tego typu nie widział wyraźnie. Opuszczali już białą zgentryfikowaną dzielnicę, kierując się ku okolicom, w których gęściej było od mieszkań socjalnych i imigrantów. Sto metrów przed sobą widział bramę do własnej kamienicy. Ale kiedy się obejrzał, zobaczył, że tamten puścił się biegiem, i natychmiast myśli, że po piętach depta go Somalijczyk po ciężkiej traumie przeżytej w Mogadiszu, kazała mu wziąć nogi za pas. Nie biegał już od lat, więc przy każdym uderzeniu obcasami o asfalt kora mózgowa i pole widzenia doznawały wstrząsów. Dotarł do bramy. Udało mu się wsadzić klucz w zamek już przy pierwszej próbie, wpadł do środka i zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi. Oparł się o wilgotne drewno, czując, jak oddech piecze w płucach, a kwas mlekowy pali uda. Odwrócił się i wyjrzał przez szybkę w górnej części drzwi. Na ulicy nikogo nie dostrzegł. Może to jednak nie był Somalijczyk. Roześmiał się. Cholera, wystarczy chwila rozmowy o zabójstwach, a już człowiek robi się taki lękliwy. Co Elise powiedziała o tym stalkerze?

Drzwi do mieszkania otwierał wciąż zasapany. Wyjął piwo z lodówki, zobaczył, że wychodzące na ulicę kuchenne okno jest otwarte, więc je zamknął. Poszedł do swojego gabinetu i zapalił lampę.

Wcisnął klawisz komputera i dwudziestocalowy monitor ożył.

W pole wyszukiwarki wstukał *Pornhub* i *french*. Przeszukiwał zdjęcia, aż znalazł kobietę, która miała przynajmniej taki sam kolor włosów i fryzurę jak Elise. W mieszkaniu były cienkie ściany, więc podłączył słuchawki i dopiero wtedy dwa razy kliknął w zdjęcie. Rozpiął spodnie i spuścił je do połowy ud. Kobieta na tyle mało przypominała Elise, że wolał zamknąć oczy, koncentrując się na jej stękanii, a jednocześnie próbował wyobrazić sobie małe, lekko ściągnięte usta Elise, jej drwiący wzrok, przywoitą, ale przez to tym bardziej seksowną bluzkę. Nigdy by jej nie zdobył. Nigdy. W żaden inny sposób niż ten.

Nagle znieruchomiał. Otworzył oczy. Wypuścił członek z ręki, czując, jak włoski na karku podnoszą się w chłodnym powiewie ciągnącym od tyłu. Od drzwi, które przecież tak starannie zamknął. Podniósł rękę, żeby zdjąć słuchawki, ale miał świadomość, że jest już za późno.

Elise zamknęła drzwi na łańcuch, w przedpokoju zrzuciła buty i jak zwykle pogładziła dłonią przymocowane do ramy lustra swoje zdjęcie z siostrzenicą Ingvild. Był to rytuał, którego znaczenie nie do końca rozumiała. Wiedziała jedynie, że najwyraźniej zaspokajał jakąś głęboko ludzką potrzebę, podobnie jak opowieści o tym, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Przeszła do salonu malutkiego, ale przytulnego i całkiem własnego dwupokojowego mieszkania i położyła się na kanapie. Sprawdziła telefon. Jeden SMS z pracy, jutrzejsze poranne spotkanie odłożone. Nie powiedziała poznanemu wieczorem facetowi, że pracuje jako adwokat zgwałconych kobiet. I nie wyprowadziła go z błędu, że ta jego statystyka, z której wynikało, iż mężczyźni częściej padają ofiarami zabójstw, mówiła jedynie pół prawdy. Przy zabójstwach o podłożu seksualnym prawdopodobieństwo, że ofiarą będzie kobieta, wzrastało czterokrotnie. Między innymi dlatego pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po kupieniu mieszkania, była wymiana zamków i zamontowanie łańcucha, tego absolutnie nienorweskiego urządzenia, z którego zakładaniem i zdejmowaniem wciąż radziła sobie niezbyt dobrze.

Otworzyła Tindera. Miała *match* z trzema mężczyznami, których wcześniej tego wieczoru przesunęła na prawo. Właśnie to było w Tinderze takie cudowne. Nie same randki, tylko świadomość, że ci mężczyźni istnieją i że jej pragną. Czy mogła sobie pozwolić na ostatni flirt w fazie tekstowej, na ostatnią wirtualną orgietkę z ostatnimi nieznajomymi, zanim skasuje konto i na dobre usunie aplikację z telefonu?

Nie. Skasuje wszystko już teraz.

Otworzyła menu, wypełniła puste pola i wreszcie pojawiło się pytanie, czy naprawdę chce usunąć konto.

Spojrzała na swój palec wskazujący. Drżał. Na miłość boską, czyżby się uzależniła? Od potwierdzenia, że istnieje ktoś, kto co prawda nie ma pojęcia, kim ani jaka jest, lecz w każdym razie chce ją właśnie taką? To znaczy taką, jak przedstawiało ją zdjęcie na profilu. Uzależniła się kompletnie czy tylko trochę? Tego zapewne się dowie, jeśli zaraz usunie konto i obieca sobie miesiąc bez Tindera. Jeden miesiąc. A jeśli nie wytrzyma, będzie to oznaczało, że naprawdę coś z nią jest nie tak. Drżący palec zbliżył się do likwidującego wszystko przycisku.

A jeśli rzeczywiście mowa o uzależnieniu, to na ile jest ono groźne? Przecież

każdy potrzebuje poczucia, że kogoś ma i że ktoś ma jego. Czytała, że niemowlęta, którym nie zapewni się minimum kontaktu dotykowego, mogą nawet umrzeć. Wątpiła, by to była prawda, no ale z drugiej strony jaki jest sens żyć wyłącznie dla siebie? Dla pracy, która ją zżera, i dla przyjaciółek, z którymi, prawdę mówiąc, spotykała się głównie z obowiązku, a także dlatego, że strach przed samotnością dokuczał jej bardziej niż ich nudne skargi na dzieci i mężów czy też na brak jednego albo drugiego. A może mężczyzna dla niej właśnie w tej chwili też jest na Tinderze? Więc okej, ostatnia runda. Pierwsze zdjęcie, które się pojawiło, przesunęła na lewo. Do kosza. Do „Nie chcę cię”. Tak samo drugie. I trzecie.

Jej myśli błądziły. Była kiedyś na wykładzie psychologa, który pozostawał w bliskich kontaktach z kilkoma najokrutniejszymi zbrodniarzami w kraju. Powiedział wtedy, że mężczyźni zabijają dla seksu, pieniędzy i władzy, a kobiety z zazdrości i ze strachu.

Wstrzymała przesuwanie na lewo. W wąskiej twarzy na zdjęciu, wprawdzie kryjącej się w mroku i trochę nieostrej, dostrzegła coś mgliście znajomego. Zdarzało się jej to już wcześniej, przecież Tinder dopasowywał ludzi znajdujących się niedaleko od siebie. A według aplikacji ten mężczyzna przebywał teraz w odległości mniejszej niż kilometr, ba, mógł być nawet w tym samym kwartale. Niewyraźne zdjęcie oznaczało w każdym razie, że nie przestudiował w Internecie odpowiedzi na temat właściwej taktyki na Tinderze, a już samo to uznała za plus. Tekst pod zdjęciem był bardzo prosty, zwyczajne „cześć”. Żadnej próby wyróżnienia się na siłę. Może bez zbytnej fantazji, ale raczej pewny siebie. Owszem, zdecydowanie podobałoby się jej, gdyby na jakiejś imprezie podszedł do niej mężczyzna i powiedział po prostu „cześć”, jednocześnie spokojnym, mocnym spojrzeniem pytając: „Pójdiesz dalej?”

Przesunęła zdjęcie na prawo. Do „Ciebie jestem ciekawa”

I zaraz usłyszała wesołe piknięcie iPhone’a, które sygnalizowało, że ma kolejny *match*.

Geir ciężko dyszał przez nos. Podciągnął spodnie i wolno obrócił się razem z krzesłem. Monitor komputera był jedynym źródłem światła w pokoju i oświetlał tylko górną połowę ciała i ręce osoby, która wcześniej stała za nim. Nie widział jej twarzy, a jedynie białe dłonie, które coś mu podsuwały. Czarny skórzany pasek. Z pętlą na końcu.

Osoba zrobiła krok do przodu, a Geir odruchowo się cofnął.

– Wiesz, jaka jest jedyna rzecz bardziej obrzydliwa niż ty? – szepnął głos w ciemności, a dłonie naprężyły pasek.

Geir przełknął ślinę.

– Ten kundel – ciągnął głos. – Ten zasrany kundel, przy którym obiecywałeś robić wszystko, co będzie trzeba. Który sra na podłogę w kuchni, bo nikt nie ma siły z nim wychodzić.

Geir chrząknął.

– Ależ Kari...

– Wyjdźcie stąd, ty i on. I nie waż się mnie dotknąć, kiedy będziesz się kładł.

Geir wziął od niej smycz z obrozą. Kiedy trzasnęła drzwiami, dalej siedział po ciemku i mrugał.

Dziewięć, pomyślał. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta, jedno zabójstwo. Szansa na to, że kobieta będzie ofiarą, jest jak jeden do dziewięciu, nie do ośmiu.

* * *

Mehmet powoli prowadził stare bmw przez ulice centrum, kierując się w stronę Kjelsås, ku willom, widokowi na fiord i świeższemu powietrzu. Skręcił we własną cichą, uspioną ulicę. Odkrył stojące obok domu przed garażem czarne audi R8. Zwolnił. Przez moment rozważał, czy nie dodać gazu i nie jechać dalej. Wiedział jednak, że to oznaczałoby tylko odroczenie. Z drugiej strony właśnie tego potrzebował. Odroczenia. Ale Banks i tak go znajdzie, więc może to mimo wszystko właściwy moment. Ciemno i cicho, żadnych świadków. Mehmet zaparkował przy krawężniku. Otworzył schowek na rękawiczki. Spojrzał na to, co umieścił tam już kilka dni temu, właśnie z myślą, że dojdzie do takiej sytuacji. Wsunął to coś do kieszeni kurtki i wziął głębszy oddech. Potem wysiadł z samochodu i ruszył w stronę domu.

Drzwiczki audi się otworzyły i Daniał Banks stanął przed autem. Kiedy Mehmet poznał go w restauracji Pearl of India, domyślił się, że pakistańskie imię i angielskie nazwisko są prawdopodobnie równie fałszywe jak jego podpis na tak zwanym dokumencie, na którym obaj złożyli autografy. Ale gotówka w aktówce podsuniętej mu na stole była prawdziwa.

Żwir przed garażem zachrząknął pod butami Mehmeta.

– Ładny dom – odezwał się Daniał Banks, opierając się o R8. Ręce skrzyżował na piersi. – Twój bank nie chciał go jako gwarancji?

– Tylko wynajmuję – burknął Mehmet. – Sutereneń.

– Tym gorzej dla mnie – powiedział Banks. Był znacznie drobniejszy niż Mehmet, chociaż wcale na to nie wyglądało, kiedy stał, ściskając biceps opięty rękawem marynarki. – Bo to oznacza, że nie warto go podpalać, żebyś mógł dostać pieniądze

z ubezpieczenia na spłatę długu, prawda?

– Rzeczywiście, raczej nie warto.

– Niedobrze i dla ciebie. Bo to z kolei oznacza, że muszę się uciec do bardziej przykrych metod. Chcesz wiedzieć, jakie to metody?

– A nie chcesz się najpierw dowiedzieć, czy zapłacę?

Banks pokręcił głową i wyciągnął coś z kieszeni.

– Termin raty minął trzy dni temu, a mówiłem ci, że punktualność jest najważniejsza. Nie tylko ty, ale wszyscy moi pożyczkobiorcy muszą wiedzieć, że takie zachowanie nie będzie tolerowane. Dlatego muszę reagować bez wyjątku. – Podniósł rękę tak, by przedmiot znalazł się w świetle lampy.

Mehmetowi zaparło dech.

– Wiem, że to nie jest szczególnie oryginalne. – Banks, lekko przechylając głowę, spojrzął na trzymane w dłoni obcęgi. – Ale działa.

– No ale...

– Możesz sam wybrać palec. Większość decyduje się na mały u lewej ręki.

Mehmet poczuł, że wzbiera w nim gniew. I że pierś uniosła mu się, kiedy napełnił płuca powietrzem.

– Mam lepsze rozwiązanie, Banks.

– Tak?

– Wiem, że nie jest szczególnie oryginalne. – Mehmet włożył prawą rękę do kieszeni kurtki, wyjął i podsunął Banksowi. – Ale działa.

Banks patrzył na niego zaskoczony. W końcu powoli skinął głową.

– Masz rację – przyznał, chwycił podsunięty mu przez Mehmeta plik banknotów, ściągnął gumkę.

– Rata z odsetkami, co do korony – wyjaśnił Mehmet. – Ale bardzo proszę, przelicz sobie.

Piknięcie.

Match na Tinderze.

Triumfalny dźwięk wydobywający się z twojego telefonu, kiedy ktoś, kogo już przesunęłaś na prawo, również przerzuca na prawo twoje zdjęcie.

Elise zawirowało w głowie. Jej serce puściło się galopem.

Wiedziała, że to znany skutek sygnału skojarzenia pary na Tinderze: zwiększona w wyniku podniecenia częstotliwość rytmu serca. Uwalniające się do krwi całe mnóstwo substancji szczęścia, od których można się uzależnić. Ale jej serce weszło w galop wcale nie z tego powodu.

Przyspieszyło, ponieważ to piknięcie nie dobiegło z jej telefonu.

Ale rozległo się w tym samym momencie, w którym przesunęła zdjęcie na prawo. Zdjęcie osoby znajdującej się według Tindera w odległości mniejszej niż kilometr.

Spojrzała na zamknięte drzwi do sypialni. Przełknęła ślinę.

Odgłos musiał dobiec z któregoś z sąsiednich mieszkań. W budynku mieszkało wielu singli, potencjalnych użytkowników Tindera. A panowała teraz całkowita cisza, nawet piętro niżej, u dziewczyn, u których wcześniej, kiedy Elise wychodziła z domu, trwała impreza.

Istnieje tylko jeden znany sposób na pozbycie się wyimaginowanych potworów. Sprawdzenie, czy naprawdę są.

Elise wstała z kanapy i zrobiła cztery kroki w stronę drzwi do sypialni.

Zawahała się. Przypomniało jej się kilka spraw gwałtów, z którymi miała do czynienia w pracy.

Wreszcie zebrała się na odwagę i otworzyła.

Zatrzymała się w progu, nie mogąc złapać powietrza. Bo w sypialni go nie było. W każdym razie nie było powietrza, którym mogłaby oddychać.

Świeciła się lampka nad łóżkiem, a pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Elise, były podeszwy kowbojskich butów wystających za łóżko. Dżinsy i dwie długie nogi, skrzyżowane w kostkach. Mężczyzna, który tam leżał, wyglądał tak jak na zdjęciu, częściowo spowity mrokiem, częściowo niewyraźny. Rozpiął jednak koszulę, odsłaniając pierś. A na piersi miał wytatuowaną twarz. Właśnie ona przyciągnęła spojrzenie Elise. Usta otwarte w niemym krzyku. Jakby ta twarz usiłowała wyrwać się na wolność. Elise też nie była w stanie krzyknąć.

W chwili, gdy człowiek leżący na łóżku uniósł głowę, światło komórki padło na jego twarz.

– A więc znów się spotykamy, Elise – szepnął.

Brzmienie tego głosu wyjaśniło, dlaczego zdjęcie na profilu wydało jej się znajome. Kolor włosów się zmienił. A twarz musiała zostać zoperowana, bo Elise widziała blizny po szwach.

Elise patrzyła na niego, powoli się cofając. Potem się odwróciła i napełniła płuca powietrzem ze świadomością, że to powietrze musi poświęcić na ucieczkę, nie na krzyk. Od drzwi wejściowych dzieliło ją zaledwie pięć, góra sześć kroków. Usłyszała trzeszczenie łóżka, ale on miał dłuższą drogę do przebycia. Gdyby udało jej się wydostać na klatkę schodową, wtedy mogłaby krzyknąć, ktoś by jej pomógł. Już była w przedpokoju przy drzwiach, nacisnęła klamkę i pchnęła, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Łańcuch. Przyciągnęła drzwi do siebie, chwyciła łańcuch, wszystko jednak działo się zbyt wolno, jak w złym śnie. Wiedziała, że jest za późno.

Coś opadło na jej usta i pociągnęło ją do tyłu. W desperacji wystawiła rękę przez szparę nad łańcuchem, chwyciła futrynę od zewnątrz, próbowała krzyknąć, ale wielka dłoń za mocno przyciskała się do jej ust. Jedno szarpnięcie i drzwi się przed nią zamknęły. Głos szepnął jej do ucha:

– Nie spodobałem ci się? Ty też nie wyglądasz tak dobrze jak na tym zdjęciu na profilu, *baby*. Musimy się lepiej poznać, wtedy nie zdąży-żyliśmy.

Ten głos. I to ostatnie wstrętne zająknięcie się. Już je kiedyś słyszała. Próbowwała się wyrwać, kopać, ale jakby ją uwięziono w imadle. Mężczyzna zaciągnął ją przed lustro. Położył głowę na jej ramieniu.

– To nie twoja wina, że mnie skazano, Elise. Dowody mówiły same za siebie. Nie dlatego tu jestem. Uwierzysz, jeśli powiem, że to przypadek?

Mężczyzna odwrócił głowę i wsunął sobie coś do ust. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. Elise nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. Sztuczna szczęka wyglądała na zrobioną z żelaza. Czarna, zardzewiała, z ostrymi zębami na górze i na dole, przypominała potrzask na lisy.

Rozległ się lekki zgrzyt, kiedy mężczyzna szerzej otworzył usta. Szczęka musiała działać na sprężynę.

Przypomniała sobie teraz szczegóły tamtej sprawy. Fotografie z miejsca zdarzenia. I rozumiała, że niedługo umrze.

Ugryzł.

Elise Hermansen na widok krwi tryskającej z jej własnej szyi usiłowała krzyknąć w jego dłoń.

Mężczyzna znów uniósł głowę. Spojrzał w lustro. Krew Elise spływała mu z brwi, z włosów i ściekała po brodzie.

– Dla mnie to jest właśnie *match, baby* – wybełkotał. I ugryzł jeszcze raz.

Elise osłabła. Teraz napastnik nie trzymał jej tak mocno, nie było takiej potrzeby, bo ogarniało ją już paralizujące zimno, przenikał jakiś obcy mrok. Uwolniła rękę z jego uścisku i wyciągnęła ją do zdjęcia przymocowanego z boku lustra. Usiłowała go dotknąć, ale koniuszki palców nie dosięgły fotografii.

2 CZWARTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Ostre przedpołudniowe słońce wpadało przez okna do salonu i dalej do przedpokoju.

Kierująca śledztwem komisarz Katrine Bratt w milczeniu stała przed lustrem

i przyglądała się zdjęciu wsuniętemu za ramię. Przedstawiało kobietę i małą dziewczynkę, siedzące na gładkiej skale nad morzem, objęte i owinięte dużym ręcznikiem. Obie miały mokre włosy, jakby przed chwilą się kąpały, chociaż norweskie lato było na to trochę zbyt chłodne, i tuląc się do siebie, usiłowały się rozgrzać. Ale teraz coś je od siebie oddzieliło. Smużka krwi spłynęła po lustrze na zdjęcie, wdzierając się między dwie uśmiechnięte twarze. Katrine Bratt nie miała dzieci. Możliwe, że w którymś momencie pragnęła je mieć, ale teraz nie. Teraz była świeżo upieczoną singielką zajęta robieniem kariery i bardzo jej się to podobało. Prawda?

Usłyszała ciche chrząknięcie i podniosła głowę. Napotkała spojrzenie oczu tkwiących w poznaczonej bliznami twarzy o wysuniętym, dziwnie wysokim czole. Truls Berntsen.

– O co chodzi, sierżancie? – spytała. Zauważyła, jak spochmurniał na jej wyrażnie umyślne podkreślenie, że mimo piętnastu lat w policji ciągle miał stopień sierżanta i z tego powodu, podobnie jak z wielu innych, nigdy nie mógłby zostać śledczym w Wydziale Zabójstw. Gdyby nie umieścił go tu przyjaciel z dzieciństwa, Mikael Bellman, obecnie komendant okręgowy policji.

Berntsen wzruszył ramionami.

– O nic. Zdaje się, że to ty kierujesz śledztwem. – Obrzucił ją zimnym psim spojrzeniem, jednocześnie poddańczym i pełnym wrogości wobec ludzi.

– Idź porozmawiać z sąsiadami – poleciła Katrine. – Zacznij od tych piętro niżej. Interesuje nas szczególnie to, co słyszeli i widzieli wczoraj i dziś w nocy. A ponieważ Elise Hermansen mieszkała sama, chcemy też wiedzieć, z jakimi mężczyznami utrzymywała kontakty.

– Już uważasz, że to facet i że się wcześniej znali?

Dopiero teraz Katrine dostrzegła młodego mężczyznę, a właściwie jeszcze chłopaka, który stał obok Berntsena. Szczera twarz. Jasne włosy. Ładny.

– Anders Wyller. Dzisiaj zacząłem pracę w wydziale. – Miał wysoki głos i uśmiech w oczach. Katrine przypuszczała, że chłopak ma pełną świadomość swoich zdolności do czarowania otoczenia. Referencje jego szefa z posterunku policji w Tromsø wyglądały jak czyste wyznanie miłości. No, ale miał też CV, które nie przeczyło referencjom. Znakomite oceny z Wyższej Szkoły Policyjnej ukończonej dwa lata wcześniej i dobre wyniki jako „funkcjonariusz oddelegowany do pewnych zadań śledczych” w Tromsø.

– Idź pierwszy, Berntsen – powiedziała Katrine.

Usłyszała szuranie jego butów, będące jakby protestem przeciwko poleceniom wydawanym przez młodszą szefową, w dodatku kobietę.

– Witam. – Katrine wyciągnęła rękę do chłopaka. – Przepraszam, że pierwszego dnia pracy w wydziale nie mogliśmy cię powitać na miejscu z otwartymi ramionami.

– Martwym należy się priorytet przed żywymi – odparł Wyller.

Katrine rozpoznała cytat z Harry'ego Hole i zobaczyła, że Wyller przygląda się jej dłoni – dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wciąż ma na rękach lateksowe rękawiczki.

– Nie dotykałam niczego obrzydliwego.

Uśmiechnął się. Pokazał białe zęby. Dziesięć punktów na plus.

– Mam alergię na lateks – wyjaśnił.

Dwadzieścia punktów na minus.

– Okej, Wyller. – Katrine Bratt ciągle stała z wyciągniętą ręką. – Te rękawiczki są bezpudrowe, mają niski poziom alergenów i endotoksyn, a jeśli zamierzasz pracować w Wydziale Zabójstw, będziesz musiał nosić je dość często. No ale oczywiście możemy cię przenieść do gospodarczego albo...

– Nie, nie, dziękuję. – Roześmiał się i ucisnął jej dłoń. Nawet przez lateks Katrine poczuła ciepło jego ręki.

– Jestem Katrine Bratt i dowodzę tym śledztwem.

– Wiem. Pracowałaś w grupie Harry'ego Hole.

– W grupie Harry'ego Hole?

– W Kotłowni.

Katrine pokiwała głową. Nigdy nie nazywała tak w myślach tamtej utworzonej ad hoc malutkiej, bo trzyosobowej grupki śledczych, która miała prowadzić niezależne śledztwo w sprawie zabójstw policjantów... Chociaż nazwa była oczywiście adekwatna. Od tamtego czasu Harry wrócił do Wyższej Szkoły Policyjnej jako wykładowca, Bjørn na Bryn jako technik kryminalistyczny, a ona sama do Wydziału Zabójstw, gdzie teraz powierzono jej kierowanie śledztwem.

Wyllerowi rozjaśniły się oczy, ciągle uśmiechnięte.

– Szkoda, że Harry Hole...

– Szkoda, że nie ma czasu na pogawędki, Wyller. Jest zabójstwo, którym trzeba się zająć. Idź z Berntsenem, słuchaj i ucz się.

Anders Wyller uśmiechnął się krzywo.

– Uważasz, że sierżant Berntsen może mnie tyle nauczyć?

Katrine uniosła brew. Młody, pewny siebie, odważny. I dobrze. Ale, na miłość boską, miała nadzieję, że nie okaże się kolejnym młodym człowiekiem aspirującym do roli Harry'ego.

Truls Berntsen nacisnął kciukiem dzwonek, usłyszał jego odgłos w głębi mieszkania za drzwiami, zobaczył, że powinien przestać ogryzać paznokcie, i zwolnił przycisk. Kiedy przyszedł do Mikaela i poprosił go o przeniesienie do Wydziału Zabójstw, Mikael spytał dlaczego. A Truls powiedział wprost: że chce się znaleźć nieco wyżej w łańcuchu pokarmowym, ale nie ma ochoty się zaharowywać. Każdy inny komendant policji naturalnie wyrzuciłby Trulsa za drzwi, ale Mikael nie mógł tego zrobić. Ci dwaj mieli za dużo haków na siebie nawzajem. W młodości łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni, a później obopólne korzyści – takie, jakie łączą rybę podnawkę i rekina. W końcu nierozzerwalnie związały ich wspólne grzechy i obietnica milczenia. Dlatego Truls Berntsen, przedstawiając swoje życzenie, nie musiał nawet niczego udawać.

Teraz zaczął jednak wątpić, czy wysunął właściwe żądania. W Wydziale Zabójstw były dwa rodzaje stanowisk: śledczy albo analityk. A kiedy naczelnik wydziału Gunnar Hagen powiedział, że Truls sam może wybrać, co chce robić, dla Berntsena stało się jasne, że nikt raczej nie powierzy mu żadnego odpowiedzialnego zadania. Co poza wszystkim nawet mu odpowiadało. Musiał jednak przyznać, że nieźle go zapiekło, kiedy szefowa, Katrine Bratt, oprowadzając go po pomieszczeniach wydziału, konsekwentnie zwracała się do niego „sierżancie” i wyjątkowo dużo czasu poświęciła na wytłumaczeniu mu, jak działa ekspres do kawy.

Drzwi się otworzyły. Ukazały się w nich trzy przerażone dziewczyny, najwyraźniej dotarło już do nich, co się stało.

– Policja. – Truls pokazał identyfikator. – Mam kilka pytań. Słyszaliście coś między...

– ...pytań, na które, mamy nadzieję, pomożecie nam znaleźć odpowiedzi – rozległ się głos zza jego pleców. To ten nowy. Wyller. Truls zobaczył, że z twarzy dziewczyn przerażenie częściowo znika. Prawie się rozjaśniły.

– Oczywiście – zapewniła ta, która otworzyła. – Wiecie, kto... kto to... zrobił?

– O tym nie możemy rozmawiać – oświadczył Truls.

– Za to możemy was zapewnić – znów odezwał się Wyller – że nie macie żadnego powodu do strachu. Pozwólcie, że zgadnę: jesteście studentkami i razem wynajmujecie mieszkanie?

– Tak – odpowiedziały chórem, jakby każda chciała być pierwsza.

– Będziemy mogli wejść?

Truls stwierdził, że Wyller ma uśmiech równie biały jak Mikael Bellman.

Dziewczyny ruszyły przodem do pokoju. Dwie zaczęły pospiesznie sprzątać ze stołu puste butelki po piwie i szklanki. Wyniosły je do kuchni.

– Urządziłyśmy wczoraj imprezę – zaczęła się tłumaczyć ta, która ich wpuściła. –

To straszne.

Truls nie był pewien, czy dziewczyna ma na myśli zabójstwo sąsiadki w ogóle, czy też to, że kobieta umierała w czasie, gdy one się bawiły.

– Słyszaliście coś wczoraj wieczorem między dziesiątą a północą? – spytał.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Gdyby Else...

– Elise – skorygował ją Wyller, który wyjął już notes i długopis.

Truls doszedł do wniosku, że pewnie on też powinien mieć coś takiego. Chrząknął.

– Czy wasza sąsiadka miała jakiegoś faceta, który tu przychodził?

– Nie wiem – odparła dziewczyna.

– Dziękuję, to już wszystko. – Truls odwrócił się, zmierzając ku drzwiom, kiedy pojawiły się dwie pozostałe.

– Może posłuchamy, co wy macie do powiedzenia – zaproponował Wyller. – Wasza koleżanka mówi, że wczoraj nic nie słyszała i nie wie o nikim, z kim Elise Hermansen spotykałaby się regularnie czy choćby ostatnio. Macie coś do dodania?

Spojrzały na siebie, po czym znów odwróciły głowy i synchronicznie nimi pokręciły. Truls widział, że cała ich uwaga skupia się na młodym śledczym. Nie przeszkadzało mu to, miał dobry trening w byciu niedostrzeganym. Przywykł do tego lekkiego ukłucia w piersi, które pojawiało się, gdy w czasach szkoły średniej Ulla z Manglerud wreszcie się do niego odzywała, jak się okazywało, wyłącznie po to, żeby spytać, gdzie jest Mikael. A później – ponieważ było to jeszcze przed nastaniem epoki komórek – czy mógłby przekazać Mikaelowi taką czy inną wiadomość. Kiedyś Truls odpowiedział, że to będzie trudne, ponieważ Mikael wybrał się z przyjaciółką pod namiot. Nie było to prawdą, po prostu chciał chociaż raz ujrzeć w oczach Ulli ten sam ból, swój ból.

– Kiedy ostatnio widzieliście Elise? – spytał Wyller.

Trzy dziewczyny znów wymieniły spojrzenia.

– My jej nie widzieliśmy, tylko...

Jedna parsknęła śmiechem, ale przerażona zaraz zasłoniła usta, uświadamiając sobie, jak bardzo to niestosowne. Dziewczyna, która otworzyła drzwi, chrząknęła.

– Enrique zadzwonił rano, mówił, że on i Alf po drodze do domu sikali w bramie.

– Oni są okropni – wtrąciła najwyższa.

– Po prostu trochę się upili – wyjaśniła trzecia i znów zachichotała.

Ta, która otworzyła drzwi, skarciła koleżanki wzrokiem.

– W każdym razie kiedy stali w bramie, pojawiła się jakaś kobieta. Zadzwonili dzisiaj z przeprosinami, jeśli ich zachowanie mogło rzucić na nas złe światło.

– Przynajmniej wykazali troskę – stwierdził Wyller. – I wydaje im się, że tą kobietą była...

– Oni są tego pewni. Przeczytali w Internecie o „zabójstwie trzydziestokilkuletniej kobiety”, zobaczyli fotografie kamienicy i w którejś z gazet internetowych wygooglowali jej zdjęcie.

Truls zachrumkał. Nienawidził dziennikarzy. Przekłęci padlinożercy, wszyscy jak jeden mąż. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Już tam stali. Za policyjną taśmą odgradzającą dostęp, z przykręconymi do aparatów długimi obiektywami, które Trulsowi skojarzyły się z dziobami sępów, gdy przyłożyli je do twarzy z nadzieją, że uchwycą chociaż przebłysk, chociaż kawałeczek wynoszonego ciała. Obok czekającej już karetki stał facet w zielono-żółto-czerwonej rastafariańskiej czapce i rozmawiał z ubranymi na biało specjalistami od badania miejsca zbrodni. Bjørn Holm, najlepszy z techników kryminalistycznych. Skinął głową swoim ludziom i znów zniknął w budynku. Holm był dziwnie przygarbiony, skulony, jakby go bolał brzuch. Truls zadał sobie pytanie, czy nie ma to aby związku z tym, że pyzaty rybiooki chłopak z Toten został niedawno, jak głosiły firmowe plotki, porzucony przez Katrine Bratt. No i dobrze. Czyli ktoś inny też poczuł, jak to jest mieć serce rozerwane na strzępy.

W tle dźwięczał wysoki głos Wyllera.

– Więc oni się nazywają Enrique i...

– Nie, nie! – zaśmiały się dziewczyny. – Henrik. I Alf.

Truls uchwycił spojrzenie Wyllera i skinął głową w kierunku drzwi.

– Bardzo wam dziękuję, to już wszystko – zakończył Wyller. – Mogę jeszcze tylko prosić o numery telefonów?

Dziewczyny popatrzyły na niego z przestraczem pomieszonym z radością.

– Do Henrika i do Alfa – dodał Wyller z lekkim uśmiechem.

Katrine stała w sypialni za lekarką sądową, która kucąca przy łóżku. Elise Hermansen leżała na plecach na kołdrze, ale krew poplamiła jej białą bluzkę w sposób świadczący o tym, że gdy trysnęła, kobieta stała wyprostowana. Z całą pewnością doszło do tego przy lustrze w przedpokoju, bo chodnik w tym miejscu był tak nasiąknięty krwią, że przylepił się do parkietu. Ślady krwi między przedpokojem a sypialnią oraz jej niewielka ilość w łóżku wskazywały na to, że serce prawdopodobnie przestało bić już w przedpokoju. Biorąc pod uwagę temperaturę ciała i *rigor mortis*, pani doktor oceniła, że zgon nastąpił między godziną dwudziestą trzecią a pierwszą w nocy, jego przyczyną zaś była prawdopodobnie utrata krwi po przebicciu tętnicy szyjnej w jednym lub kilku

miejscach tuż nad lewym barkiem.

Ofiara miała spodnie i majtki opuszczone do kostek.

– Oskrobałam i obciąłam paznokcie, ale gołym okiem nie dostrzegłam żadnych fragmentów naskórka – poinformowała lekarka.

– Od kiedy to zaczęliście wykonywać robotę techników? – spytała Katrine.

– Od kiedy Bjørn nas poprosił. On tak ładnie prosi.

– Aha. Jakież inne obrażenia?

– Zadrapanie na lewym przedramieniu i drzazga po wewnętrznej stronie środkowego palca lewej ręki.

– Ślady gwałtu?

– Żadnych widocznych śladów przemocy na podbrzuszu, ale to... – Lekarka przyłożyła szkło powiększające do brzucha ofiary.

Katrine spojrzała przez nie i zobaczyła wąską lśniącą smugę.

– ...może być ślina ofiary albo czyjaś inna. Ale bardziej wygląda mi to na preejakulat albo spermę.

– Miejmy nadzieję – stwierdziła Katrine.

– Nadzieję na gwałt? – spytał Bjørn Holm, który stanął za nią.

– Jeżeli doszło do gwałtu, wszystko wskazuje na to, że odbyło się to *post mortem* – odparła Katrine, nie odwracając się. – Więc ofiara i tak nie była tego świadoma. A mnie przydałoby się trochę nasienia.

– Żartowałem – powiedział cicho Bjørn swoim miękkim dialektem z Toten.

Katrine zamknęła oczy. Bjørn oczywiście wiedział, że sperma w takiej sprawie to jak klucz do skarbcza. I oczywiście usiłował żartować. Próbował złagodzić to dziwne, bolesne napięcie panujące między nimi od trzech miesięcy, czyli od wyprowadzki Katrine. Ona też podejmowała takie próby, tyle że nic z tego nie wychodziło.

Lekarka podniosła głowę.

– Ja już skończyłam – oznajmiła, poprawiając hidżab.

– Karetka czeka, moi ludzie zniosą ciało – powiedział Bjørn. – Dzięki za pomoc, Zahra.

Lekarka skinęła im głową i pospiesznie wyszła, jakby i ona wyczuła ten brak porozumienia między nimi.

– No i co? – Katrine zmusiła się, żeby popatrzeć na Bjørna. Zmusiła się też do zignorowania pochmurności w jego spojrzeniu, w którym było więcej smutku niż błagania.

– Niewiele jest do powiedzenia. – Bjørn podrapał się w duży czerwony bak wystający spod rastafariańskiej czapki.

Katrine czekała z nadzieją, że wciąż rozmawiają o zabójstwie.

– Raczej nie miała fioła na punkcie sprzątanania, bo znaleźliśmy włosy kilku osób, głównie mężczyzn, a wszyscy oni zapewne nie odwiedzili jej wczoraj wieczorem.

– Była adwokatką ofiar gwałtów – zauważyła Katrine. – Dla samotnej kobiety, która ma tak wyczerpującą pracę, sprzątananie nie musi być aż takim priorytetem jak dla ciebie.

Uśmiechnął się przelotnie, nie ripostując, a Katrine znów poczuła wyrzuty sumienia, które zawsze potrafił u niej wywołać. Rzeczywiście nigdy nie kłócili się o prace domowe, Bjørn zbyt szybko rozprawiał się ze zmywaniem, myciem schodów, praniem, sprzątananiem łazienki i wietrzeniem pościeli, bez najmniejszych wyrzutów czy uwag. Jak ze wszystkim innym. W ciągu roku wspólnego mieszkania nie doszło do ani jednej cholernej kłótni, on zawsze umiał się od tego wykręcić. A kiedy ona zawodziła albo nie miała siły, był przy niej, troskliwy, ofiarny, niestrudzony, jak jakaś pieprzona irytująca maszyna, która kazała jej się czuć idiotyczną królową tym mocniej, im wyższy piedestał dla niej budował.

– Skąd wiesz, że to włosy mężczyzn? – westchnęła.

– Dla samotnej kobiety, która ma tak wyczerpującą pracę... – zaczął Bjørn, nie patrząc na nią.

Katrine założyła ręce na piersiach.

– Co próbujesz teraz powiedzieć, Bjørn?

– Co? – Jego blada twarz lekko poczerwieniała, a oczy wytrzeszczyły się odrobinę bardziej niż zwykle.

– Pijesz do mnie? Okej, jeśli chcesz wiedzieć, to...

– Nie. – Bjørn uniósł ręce, jakby się bronił. – Nie o to mi chodziło. To był po prostu kiepski żart.

Katrine wiedziała, że powinna odczuwać współczucie. Trochę nawet je czuła. Ale nie ten rodzaj, który każe kogoś objąć. To współczucie przypominało raczej pogardę, wzbudzającą w niej ochotę, żeby go uderzyć, upokorzyć. I właśnie dlatego, że nie chciała widzieć Bjørna Holma, tego wspaniałego człowieka, upokorzonego, właśnie z tego powodu go opuściła.

Odetchnęła głęboko.

– Czyli mężczyźni?

– Większość tych włosów była krótka – wyjaśnił Bjørn. – Zobaczymy, czy analizy to potwierdzą. W każdym razie mamy dość DNA, żeby zapewnić Instytutowi Medycyny Sądowej robotę na kilka ładnych dni.

– Okej. – Katrine znów odwróciła się do ciała. – Masz jakiś pomysł na to, czym mógł ją ukłuć? Czy raczej podziurawić, bo tych nakłuć jest sporo i są dość gęste.

Bjørn z widoczną ulgą przyjął powrót do rozmowy o pracy. Cholera, ależ ja

jestem pokręcona, pomyślała Katrine.

– Niełatwo to dostrzec, ale układają się w pewien wzór – powiedział Bjørn. – A raczej w dwa wzory.

– Słucham?

Bjørn podszedł do ofiary i wskazał na szyję widoczną pod krótkimi jasnymi włosami.

– Zobacz, te nakłucia tworzą lekko zaokrąglone czworokąty, które na siebie zachodzą. Jeden tu, a drugi tu.

Katrine przechyliła głowę.

– Kiedy tak mówisz...

– Jak dwa ugryzienia.

– Jasna cholera – wyrwało się Katrine. – Zwierzę?

– No właśnie. Wyobraź sobie, jak ściśnięta skóra układa się w fałd, kiedy szczęki się zaciskają. Wtedy zostaje taki ślad jak na tym... – Bjørn wyjął z kieszeni kawałek półprzezroczystego papieru, który Katrine natychmiast rozpoznała. Używał go do pakowania drugiego śniadania – szykował je sobie codziennie przed wyjściem do pracy. Na papierze widać było zagłębienia układające się w kształt takiego samego czworokąta z lekko zaokrąglonym górnym i dolnym brzegiem. Bjørn przytrzymał papier tuż nad śladami na szyi ofiary. – W każdym razie pasuje do śladów zębów kogoś z Toten.

– Ludzkie zęby nie mogły zostawić takich śladów na szyi.

– Zgadzam się. Ale odcisk kształtem przypomina odcisk ludzkiej szczęki.

Katrine zwilżyła językiem wargi.

– Są ludzie, którzy specjalnie piłują zęby, żeby je zaostrzyć.

– Jeśli to były zęby, to może znajdziemy ślinę w okolicach rany. Wszystko jedno, jeżeli stali na tym chodniku w przedpokoju, kiedy ją ugryzł, to ślad świadczy o tym, że zabójca stał za nią i że jest od niej wyższy.

– Lekarka sądowa nie znalazła nic pod paznokciami, więc podejrzewam, że przytrzymał i unieruchomił ofiarę – stwierdziła Katrine. – Silny mężczyzna o wzroście średnim albo więcej niż średnim, z zębami drapieźnika.

W milczeniu przyglądali się zwłokom. Jak na wystawie sztuki para zakochanych, która przygotowuje sobie refleksje po to, by zaimponować tej drugiej osobie, przemknęło przez głowę Katrine. Z tą tylko różnicą, że Bjørn nie myślał o imponowaniu ludziom. To ona o tym myślała.

Usłyszała kroki w przedpokoju.

– Niech nikt więcej tu teraz nie wchodzi! – zawołała.

– Chciałem zameldować, że zastaliśmy sąsiadów tylko w dwóch mieszkaniach

i nikt niczego nie widział ani nie słyszał – dobiegł ją jasny głos Wyllera. – Ale właśnie rozmawiałem z dwoma chłopakami, którzy widzieli Elise Hermansen, jak wracała do domu. Twierdzą, że była sama.

– A ci chłopcy to...

– Nie byli wcześniej karani i mieli rachunek z taksówki potwierdzający, że wyszli stąd nieco po dwudziestej trzeciej trzydzieści. Mówią, że denatka przyłapała ich na oddawaniu moczu w bramie. Mam ich ściągnąć na przesłuchanie?

– To nie oni, ale ich ściągnij.

– Dobrze.

Kroki Wyllera się oddaliły.

– Wróciła sama i nie ma żadnych śladów włamania – powiedział Bjørn. – Myślisz, że wpuściła go dobrowolnie?

– Pod warunkiem że go dobrze znała.

– Tak?

– Elise pracowała jako adwokatka pokrzywdzonych. Znała ryzyko, jakie się z tym łączy. A łańcuch na drzwiach wygląda na całkiem nowy. Wydaje mi się, że była ostrożną kobietą.

Katrine kucnęła przy zwłokach. Przyjrzała się drzazdze, ledwie wystającej ze środkowego palca dłoni Elise. I zadrapaniu na przedramieniu.

– Adwokatka pokrzywdzonych – mruknął Bjørn. – Gdzie?

– Chyba w kancelarii Hollumsen i Skiri. To oni zaalarmowali policję, ponieważ nie stawiała się w sądzie i nie odbierała telefonu. Groźby wobec adwokatów ofiar nie są niczym niezwykłym.

– Myślisz, że ktoś...

– Nie, tak jak mówiłam, nie sądzę, żeby kogoś wpuściła. Ale... – Katrine zmarszczyła czoło. – Zgodzisz się ze mną, że ta drzazga jest białoróżowa?

Bjørn nachylił się nad nią.

– W każdym razie biała.

– Białoróżowa – powtórzyła Katrine, podnosząc się. – Chodź.

Wyszli do przedpokoju. Katrine otworzyła drzwi i pokazała podrapaną futrynę na zewnątrz.

– Białoróżowa.

– Skoro tak mówisz – powiedział Bjørn.

– Naprawdę tego nie widzisz? – spytała z niedowierzaniem.

– Badania wykazują, że kobiety generalnie widzą więcej odcieni niż mężczyźni.

– Ale to widzisz. – Katrine podniosła łańcuch wiszący przy drzwiach.

Bjørn się pochylił. Katrine, czując jego zapach, aż drgnęła. Może to tylko

nieprzyjemne wrażenie z powodu nagłej intymności?

– Zdrapana skóra – stwierdził.

– To zadrapanie na przedramieniu. Rozumiesz?

Z namysłem kiwnął głową.

– Podrapała się o łańcuch, czyli był zapięty. To nie sprawca musiał się do niej wdzierać, to ona walczyła, żeby stąd uciec.

– W Norwegii nie używamy łańcuchów przy drzwiach. Zamykamy drzwi na klucz, to i tak wystarcza aż nadto. A jeśliby go wpuściła, jeśli ten silny mężczyzna byłby na przykład kimś, kogo znała...

– ...nie zwracałaby sobie głowy zamykaniem drzwi na łańcuch po tym, jak je otworzyła, żeby go wpuścić. Czułaby się wtedy bezpieczna. *Ergo...*

– *Ergo* – podjęła Katrine – kiedy wróciła do domu, on był już w mieszkaniu.

– A ona o tym nie wiedziała.

– Dlatego zamknęła drzwi na łańcuch. Sądziła, że niebezpieczniej jest na zewnątrz. – Katrine aż się wzdrygnęła. Właśnie na nazwanie takiego odczucia ukuto określenie „radość przemieszana ze strachem”. Na odczucie śledczego, który nagle widzi i rozumie.

– Harry byłby z ciebie teraz zadowolony – stwierdził Bjørn i się roześmiał.

– O co chodzi? – spytała.

– Czerwienisz się.

Aż taka jestem pokręcona, pomyślała Katrine.

3 CZWARTEK, POPOŁUDNIE

Katrine miała problemy ze skoncentrowaniem się podczas konferencji prasowej, na której policja w krótkich słowach przedstawiła tożsamość ofiary, jej wiek, miejsce i czas znalezienia zwłok i właściwie nic poza tym. Podczas tych pierwszych konferencji tuż po zabójstwie niemal zawsze chodziło głównie o to, żeby powiedzieć mediom jak najmniej, a po prostu być obecnym, w imię nowoczesnej, otwartej demokracji.

Obok Katrine siedział naczelnik Wydziału Zabójstw Gunnar Hagen. Błyski fleszy odbijały się w jego błyszczącej czaszce, okolonej wianuszką ciemnych włosów, podczas gdy odczytywał tych kilka krótkich zdań, które napisali wspólnie. Katrine cieszyła się, że to Hagen zabiera głos. Wcale nie unikała blasku reflektorów, ale wolała odgrywać główną rolę dopiero z czasem. Na razie była na tyle świeża jako

kierująca śledztwem, że czuła, iż najbezpieczniej będzie oddać głos Hagenowi, dzięki czemu ona sama może się czegoś nauczyć. Poobserwuje, jak doświadczony szef bardziej mową ciała i tonem niż treścią przekonuje świat zewnętrzny o tym, że policja ma pełną kontrolę nad sytuacją.

Jej wzrok powędrował ponad głowami około trzydziestu dziennikarzy, którzy zebrali się w dużej sali konferencyjnej na czwartym piętrze, i zatrzymał się na wielkim obrazie pokrywającym całą tylną ścianę. Malowidło przedstawiało nagich kąpiących się ludzi, w większości młodych delikatnych chłopców. Piękna niewinna scena z czasów, kiedy jeszcze nie doszukiwano się wszędzie drugiego dna i nie interpretowano go w najgorszy sposób. Katrine nie była inna. Podejrzewała artystę o pedofilię. Hagen nieustająco wygłaszał swoją mantrę: „Na to pytanie nie możemy odpowiedzieć”, wprowadzając pewne wariacje, by powtarzane słowa nie zabrzmiały arogancko lub wręcz komicznie. „W obecnej chwili nie możemy tego komentować.” Albo bardziej życzliwie: „Do tego zapewne jeszcze wrócimy”

Słuchała skrobiących długopisów i klikających klawiatur zapisujących pytania, rzecz jasna, o wiele bardziej obrazowe niż odpowiedzi: „Czy ciało było bardzo zmalretowane?”, „Czy były ślady wykorzystania seksualnego?”, „Czy policja wytypowała już podejrzanego, a jeśli tak, to czy jest to ktoś z bliskiego kręgu ofiary?”

Spekulacyjne pytania, które mogły przydać odpowiedzi „bez komentarza” pewnego drażniącego podtekstu, lecz nic więcej.

W drzwiach na końcu sali dostrzegła znajomą postać, która właśnie się pojawiła. Mężczyzna miał jedno oko zasłonięte czarną klapką i nosił mundur komendanta policji – strój, który, jak wiedziała, zawsze wisi odprasowany w szafie w jego gabinecie. Mikael Bellman. Nie wszedł do sali, stał tylko w drzwiach jak obserwator. Zorientowała się, że Hagen również zauważył młodego komendanta, bo lekko wyprostował się na krześle.

– Na tym kończymy – oznajmił rzecznik prasowy.

Bellman dał Katrine znak, że chce z nią porozmawiać.

– Kiedy następna konferencja prasowa? – zawołała Mona Daa, reporterka kryminalna z „VG”

– Do tego jeszcze wró...

– Kiedy pojawi się coś nowego – wszedł Hagenowi w słowo rzecznik prasowy.

„Kiedy”, zwróciła uwagę Katrine. Nie „jeśli”. Takie drobne, ale ważne, starannie dobrane słowa sygnalizowały, że ci, którzy pozostają w służbie państwa prawa, pracują niestrudzenie, że młyn sprawiedliwości cały czas miele, a złapanie winnego jest jedynie kwestią czasu.

– Coś nowego? – spytał Bellman, kiedy szli przez atrium w Budynku Policji. Wcześniej jego niemal dziewczęca uroda, podkreślona długimi rzęsami, zadbanymi, chociaż nieco zbyt długimi włosami i opaloną skórą z charakterystycznymi białymi plamkami, mogła kojarzyć się z lalusiowatością, a zatem z pewną słabością. Ale klapka na oku, która oczywiście mogłaby wyglądać teatralnie, działała przeciwnie. Dawała wrażenie siły: oto mężczyzna, który nie pozwoli się zatrzymać tylko dlatego, że stracił oko.

– Technicy coś znaleźli w tych ugryzieniach – poinformowała Katrine, przechodząc za Bellmanem przez służbę przy recepcji.

– Ślinę?

– Rdzę.

– Rdzę?

– Tak.

– Czyli... – Bellman wcisnął guzik przywołujący windę.

– Nie wiemy. – Katrine stanęła obok niego.

– I ciągle nie wiecie, w jaki sposób sprawca dostał się do mieszkania?

– Nie. Tego zamka nie da się otworzyć wytrychem, a ani drzwi, ani okien nie wyłamano. Ciągle istnieje możliwość, że sama go wpuściła, ale w to nie wierzymy.

– Może miał klucz?

– W tej wspólnotcie są takie zamki, że klucze pasują jednocześnie i do bramy, i do mieszkań. A według prowadzonego przez wspólnotę rejestru do mieszkania Elise Hermansen wyrobiono tylko jeden klucz. I miała go ona. Berntsen i Wyller rozmawiali z dwoma chłopakami, którzy stali w bramie, kiedy wracała do domu, i obaj twierdzą, że sama sobie otworzyła, to znaczy nie zadzwoniła domofonem, żeby ktoś, kto już był w mieszkaniu, otworzył jej bramę ze środka.

– Rozumiem. Ale czy sprawca nie mógł po prostu dorobić sobie tego klucza?

– W takim razie musiałby zdobyć oryginalny klucz i znaleźć ślusarza, który miałby ślepe klucze systemowe, w dodatku pozbawionego skrupułów jeśli chodzi o dorabianie dodatkowych egzemplarzy bez pisemnego zezwolenia wspólnoty. To dość mało prawdopodobne.

– Okej, i tak nie o tym chciałem z tobą rozmawiać...

Drzwi do windy rozsunęły się i śmiech dwóch wysiadających z niej funkcjonariuszy automatycznie się urwał na widok komendanta.

– Chodzi o Trulsa – wyjaśnił Bellman, kiedy już elegancko przepuścił Katrine przed sobą do pustej windy. – To znaczy o Berntsena.

– Tak? – Katrine poczuła lekki zapach jego wody po goleniu. Właściwie miała

wrażenie, że mężczyźni już zaprzestali częstego golenia się i następującego po nim marynowania twarzy w spirytusie. Bjørn używał maszynki bez żadnego dodatku smakowego, a ci, którzy byli po nim... No cóż, w paru przypadkach wołałaby chyba ciężkie perfumy od ich naturalnego zapachu.

– Jak on się przystosowuje?

– Berntsen? Dobrze.

Stali obok siebie, zwrócenii w stronę drzwi, ale w ciszy, która nastąpiła, Katrine kątem oka dostrzegła krzywy uśmiech Bellmana.

– Dobrze? – powtórzył w końcu.

– Berntsen wykonuje powierzone mu zadania.

– Które nie są zbyt odpowiedzialne, jak przypuszczam?

Katrine wzruszyła ramionami.

– On nie ma doświadczenia jako śledczy. A został umieszczony w największej w kraju obok KRIPOS jednostce zajmującej się zabójstwami. Nie można go posadzić za kierownicą, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Bellman pokiwał głową i potarł brodę.

– Właściwie chciałem tylko potwierdzić, że dobrze się sprawuje. Że nie... że trzyma się reguł gry.

– O ile wiem, to tak. – Winda zahamowała. – A o jakich regułach gry właściwie mówimy?

– Chcę, żebyś miała na niego oko, Bratt. Trulsowi Berntsenowi nie było łatwo.

– Chodzi o obrażenia, których doznał w wyniku tamtego wybuchu?

– Mam na myśli jego życie, Bratt. On jest trochę... jakiego słowa szukam?

– Pokręcony?

Bellman zaśmiał się krótko i ruchem głowy wskazał na otwarte drzwi windy.

– Twoje piętro, Bratt.

Bellman obserwował umięśniony tyłek Katrine Bratt, kiedy szła korytarzem w stronę drzwi do Wydziału Zabójstw, i przez tych kilka sekund, dopóki drzwi windy się nie zamknęły, puszczał wodze fantazji. Później jego myśli powróciły do Problemu. Który tak naprawdę nie był problemem, tylko możliwością. Ale stanowił dylemat. Mikael Bellman otrzymał ostrożne i w najwyższym stopniu nieoficjalne pytanie z Kancelarii Premiera. Było zapisane w kartach, że w rządzie dojdzie do rozsad, a zagrożenie zawisło między innymi nad stanowiskiem ministra sprawiedliwości. W związku z tym pytanie brzmiało, jak Bellman – oczywiście całkiem hipotetycznie – odniósłby się do propozycji objęcia jego teki.

W pierwszej chwili poczuł zaskoczenie. Ale po głębszym namyśle zrozumiał,

że ich wybór jest absolutnie logiczny. Jako komendant policji nie tylko doprowadził do rozpracowania Rzeźnika, zabójcy policjantów, o którym głośno było również poza granicami Norwegii, lecz także w ogniu walki poświęcił oko, w pewnym sensie stając się narodową i międzynarodową gwiazdą. Z wykształceniem prawniczym, dobrze się wysławiający, czterdziestoletni komendant, który już z sukcesem zdołał ochronić stolicę przed zabójstwami, narkotykami i przestępczością. Czy nie pora na przydzielenie mu poważniejszego zadania? I czy to przeszkadza, że jest przystojny? Czy to przyciągnie mniej kobiet do partii? Odpowiedział więc, że – oczywiście całkiem hipotetycznie – przyjąłby taką propozycję.

Wysiadł na siódmym, najwyższym piętrze i ruszył wzdłuż rzędu zdjęć wcześniejszych komendantów policji.

Dopóki jednak nie podejmą decyzji, musi zadbać o to, żeby na lakierowanej powierzchni nie pojawiła się żadna rysa. Na przykład żeby Truls nie wymyślił czegoś głupiego, co mogłoby zaszkodzić. Bellman aż drżał na myśl o gazetowym tytule: *Komendant policji chronił skorumpowanego funkcjonariusza, swojego przyjaciela.*

Ale Truls po przyjściu do jego gabinetu rozsiadł się z nogami na stole i powiedział wprost, że jeśli wywalą go z policji, to przynajmniej będzie mógł się pocieszać myślą, że przy upadku pociągnie za sobą równie zbrukanego komendanta. Dlatego decyzję o spełnieniu życzenia Trulsa, który chciał pracować w Wydziale Zabójstw, Mikael podjął bez trudu. Zwłaszcza że tam Truls – co przed chwilą potwierdziła Bratt – nie może liczyć na pozycję pozwalającą mu znowu nabruździć.

– Czeka na ciebie twoja piękna żona – oznajmiła Lena, kiedy Mikael Bellman wszedł do sekretariatu. Lena miała dobrze ponad sześćdziesiątkę, a kiedy Bellman cztery lata temu obejmował komendę, na samym wstępie oświadczyła mu, że nie życzy sobie, aby nazywano ją asystentką, jak ujęto w unowocześnionym opisie jej stanowiska. Zawsze była i zamierzała pozostać sekretarką.

Ulla siedziała na kanapie ustawionej wraz z fotelami przy oknie. Lena mówiła prawdę. Miał piękną żonę. Kruchą i delikatną, nie zmieniły tego trzy porody. Ale co ważniejsze, stała za nim murem. Rozumiała, że jego kariera potrzebuje pielęgnacji, wsparcia i swobody. I że jeden czy drugi błąd w życiu prywatnym to ludzka rzecz, kiedy się żyje pod wielką presją, jaka towarzyszy pracy na tak eksponowanym stanowisku.

No i jeszcze miała w sobie ten brak zepsucia, niemal naiwność, pozwalającą wyczytać z jej twarzy prawie wszystko. A teraz wyczytywał z niej rozpacz. W pierwszej chwili pomyślał, że coś niedobrego dzieje się z dziećmi, i już chciał

o nie spytać, gdy nagle dostrzegł również przebłysk rozgoryczenia. Wtedy pojął, że Ulla coś odkryła. Znów. Cholera.

– Wyglądasz tak poważnie, moja droga – zaczął spokojnie, podchodząc do szafy i po drodze rozpinając kurtkę od munduru. – Coś z dziećmi?

Pokręciła głową. Mikael odetchnął z udawaną ulgą.

– Oczywiście cieszę się, że cię widzę, ale zawsze odczuwam pewien lęk, kiedy przychodzisz niezapowiedziana. – Odwiesił kurtkę do szafy i usiadł w fotelu naprzeciwko żony. – Co się stało?

– Znów się z nią spotkałeś – odezwała się Ulla.

Zorientował się, że zaplanowała, w jaki sposób to powie. Zaplanowała, że nie będzie płakać. A teraz do jej niebieskich oczu już napłynęły łzy.

Pokręcił głową.

– Nie zaprzeczaj – wydusiła niskim od łez głosem. – Sprawdziłam twój telefon. Tylko w tym tygodniu dzwoniłeś do niej trzy razy, Mikael. Obiecałeś...

– Ulla. – Nachylił się i nad stołem ujął jej rękę, ale szybko przyciągnęła ją do siebie. – Rozmawiałem z nią, ponieważ potrzebuję rady. Isabelle Skøyen pracuje teraz jako doradca do spraw komunikacji w firmie specjalizującej się w lobbingu i polityce. Zna kręte korytarze władzy. Sama się nimi poruszała. No i zna mnie.

– Zna? – Twarz Ulli ściągnęła się w grymasie.

– Jeśli mam – mamy – to zrobić, to muszę wykorzystać wszystko, co może mi zapewnić przewagę. Powinienem o łeb wyprzedzić wszystkich tych, którzy pragną dostać to stanowisko. Wejście do rządu, Ulla. Nic nie może się z tym równać.

– Nawet rodzina? – Pociągnęła nosem.

– Dobrze wiesz, że nigdy nie zawiodę naszej rodziny...

– Nigdy nie zawiedziesz? – zawołała ze szlochem. – Przecież już...

– ...i mam nadzieję, że ty też nie masz takiego zamiaru, Ulla. Zwłaszcza z powodu bezsensownej zazdrości o kobietę, z którą rozmawiam teraz przez telefon wyłącznie ze względu na moją karierę.

– To babsko było tylko przez pewien czas politykiem w gminie, Mikael! Co ona może mieć do powiedzenia tobie?

– Między innymi czego nie należy robić, jeśli chce się przeżyć w polityce. Właśnie takie doświadczenie kupiła jej firma, kiedy ją zatrudniała. Nie można na przykład zdradzać swoich ideałów. Swoich najbliższych. Swoich obowiązków i swojej odpowiedzialności. A jeśli popełni się błąd, trzeba prosić o wybaczenie i starać się następnym razem postąpić właściwie. Można się pomylić. Ale nie można zdradzić. I ja tego nie chcę, Ulla. – Znów ujął ją za rękę, tym razem nie zdążyła jej cofnąć. – Wiem, że nie mam prawa prosić o zbyt wiele po tym, co się

wydarzyło, ale jeśli myślimy o osiągnięciu sukcesu, to będzie mi potrzebne twoje zaufanie i wsparcie. Musisz mi ufać.

– Jak mogłabym...

– Chodź. – Nie puszczając jej dłoni, wstał i podprowadził Ullę do okna. Ustawił ją twarzą w stronę miasta. Sam stanął za nią i położył jej ręce na ramionach. Ponieważ Budynek Policji wzniesiono na szczycie wzgórza, w dole widzieli połowę Oslo skąpanego w blasku słońca. – Pragniesz razem ze mną zmieniać rzeczywistość? Zechcesz mi pomóc w tworzeniu bezpieczniejszej przyszłości dla naszych dzieci? Dla dzieci naszych sąsiadów? Dla tego miasta? Dla naszego kraju?

Wyczuwał po niej, że te słowa podziałały. Mój Boże, działały nawet na niego, dosłownie się wzruszył, chociaż zostały w większym lub mniejszym stopniu zapożyczone z notatek, które zrobił sobie z myślą o mediach. Kiedy spytają go, czy podejmie się sprawowania funkcji ministra sprawiedliwości, a on się zgodzi, już po paru godzinach rozzwoni się telefon i wszyscy będą domagać się komentarza: telewizja, radio, gazety.

Kiedy Truls Berntsen razem z Wyllerem wyszli po konferencji prasowej do atrium, zatrzymała ich niska kobieta.

– Mona Daa, „VG” Ciebie już kiedyś widziałam... – rzuciła Trulsowi i odwróciła się do Wyllera. – Ale ty chyba jesteś w Wydziale Zabójstw nowy?

– Zgadza się – odparł z uśmiechem Wyller.

Truls przyglądał się Monie Daa z boku. Miała całkiem ładną twarz, okrągłą, może trochę lapońską. Ale nigdy nie mógł zrozumieć jej ciała. Nosiła barwne luźne szaty, przez co bardziej przypominała recenzentkę operową z dawnej szkoły aniżeli zaciekłą reporterkę kryminalną. Chociaż nie mogła mieć dużo więcej niż trzydzieści lat, Trulsowi wydawało się, że dziennikarka pracuje od co najmniej dwudziestu pięciu, silna, uparta i mocno stąpająca po ziemi – wiele było trzeba, żeby wiatr przewrócił Monę Daa. A poza tym pachniała po męsku. Plotki głosiły, że perfumuje się wodą po goleniu Old Spice.

– Niewiele od was dostaliśmy w trakcie konferencji. – Mona Daa uśmiechnęła się tak, jak uśmiechają się dziennikarze, kiedy czegoś chcą. Tyle że w tym wypadku nie wyglądało na to, by chodziło jej wyłącznie o informacje. Nie mogła oderwać oczu od Wyllera.

– To znaczy, że nic więcej nie mieliśmy – odpowiedział pogodnie Wyller.

– Zacytuję cię – rzuciła Mona Daa beztrąsko, notując. – Jak nazwisko?

– Co zacytujesz?

– Że policja w rzeczywistości nie ma żadnych innych informacji oprócz tych, które

Hagen i Bratt przedstawili na konferencji prasowej.

Truls dostrzegł nagłą panikę w oczach Wyllera.

– Nie, nie. Wcale nie to miałem na myśli... Eee... Nie pisz nic takiego, proszę.

Mona Daa, nie przestając notować, odpowiedziała:

– Przedstawiłam się wam jako dziennikarka, więc powinno być jasne, że jestem tutaj w pracy.

Wyller wzrokiem szukał pomocy u Trulsa, ale ten się nie odzywał. Chłopak nie był już tak pewny siebie jak wtedy, gdy czarował te studentki.

Wyller chrząknął, próbując nadać swojemu wysokiemu głosowi niższy ton.

– Nie pozwalałam wykorzystać tego cytatu.

– Rozumiem – powiedziała Mona Daa. – To również zacytuję. Z komentarzem, że policja usiłuje cenzurować prasę.

– Ja... Nie... to... – Na policzki Wyllera wystąpił teraz rumieniec, a Truls z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Daj spokój, przecież tylko sobie z siebie żartuję. – Mona Daa w końcu się uśmiechnęła.

Anders Wyller wpatrywał się w nią, ale po chwili wypuścił wreszcie powietrze z płuc.

– Witaj w grze – dodała Mona. – Gramy ostro, ale fair. I jeśli możemy, pomagamy sobie nawzajem. Prawda, Berntsen?

Truls zachrumkał coś w odpowiedzi, którą mogli sobie tłumaczyć, jak chcieli. Mona Daa przerzuciła kartkę w notesie.

– Nie będę powtarzać pytania, czy macie jakiegoś podejrzanego, na to niech odpowiadają wasi szefowie. Ale spytam ogólnie o śledztwo.

– No to pytaj. – Wyller się uśmiechnął, najwyraźniej znów złapał wiatr w żagle.

– Czy nie jest tak, że gdy w grę wchodzi zabójstwo, zawsze kieruje się reflektory na byłych partnerów albo kochanków?

Anders Wyller już miał odpowiedzieć, ale uprzedził go Truls, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Już widzę twój artykuł, Daa: „Kierujący śledztwem nie chcą ujawnić podejrzanych, ale źródło w policji powiedziało »VG«, że śledztwo skupia się na byłych partnerach i kochankach”

– O rany. – Mona Daa cały czas notowała. – Nie wiedziałam, że jesteś taki bystry, Berntsen.

– A ja nie wiedziałem, że znasz moje nazwisko.

– O, każdy policjant z czegoś słynie. A Wydział Zabójstw nie jest na tyle duży, żebym nie mogła zdobyć aktualnych informacji. Ale jeśli chodzi o ciebie, nowy, to

mam same czyste kartki.

Anders Wyller uśmiechnął się błado.

– Widzę, że masz zamiar milczeć, ale powiedz przynajmniej, jak się nazywasz.

– Anders Wyller.

– Znajdziesz mnie tutaj, Wyller. – Podała mu wizytówkę. Po ledwie zauważalnej chwili wahania drugą wręczyła Trulsowi. – Tak jak mówiłam, wzajemna pomoc należy do tradycji. A jeśli cynk, który nam dacie, okaże się dobry, to dodatkowo jeszcze nieźle płacimy.

– Chyba nie płacicie policjantom? – Wyller schował wizytówkę do kieszeni dżinsów.

– A dlaczego nie? – Mona Daa musnęła wzrokiem Trulsa. – Cynk to cynk. Więc jeśli na coś wpadniecie, po prostu dzwońcie. Albo zajrzyjcie do klubu fitness Gain. Jestem tam prawie codziennie od dziewiątej przez całą wieczór. Popocimy się trochę razem. – Uśmiechnęła się do Wyllera.

– Wolę się pocić na dworze – odparł.

Mona Daa pokiwała głową.

– Biegając z psem. Wyglądasz mi na psiarza. Podoba mi się to.

– Dlaczego?

– Bo mam alergię na koty. No dobrze, chłopaki. W duchu współpracy obiecuję, że zadzwonię, jeśli znajdę coś, co moim zdaniem wam się przyda.

– Dzięki – powiedział Truls.

– Ale wobec tego będę potrzebowała numeru telefonu, pod który mogę zadzwonić. – Mona Daa patrzyła na Wyllera.

– Jasne.

– Mów, to zapiszę.

Wyller podawał jej kolejne cyfry, aż w końcu Mona Daa podniosła głowę.

– To przecież numer na centralę tutaj, w Budynku Policji.

– Bo ja tu pracuję – stwierdził Anders Wyller. – A poza tym mam kota.

Mona Daa zamknęła notatnik.

– No to na razie.

Truls patrzył, jak dziennikarka idzie w stronę wyjścia, tych dziwnych ciężkich metalowych drzwi z bulajem. Kołysała się jak pingwin.

– Odprawa za trzy minuty – przypomniał Wyller.

Truls spojrzął na zegarek. Popołudniowe zebranie zespołu śledczego. Wydział Zabójstw byłby super, gdyby nie zabójstwa. Zabójstwa to niezły szajs. Zabójstwa oznaczały nadgodziny, pisanie raportów, niekończące się odprawy i zestresowanych ludzi. Ale przynajmniej w nadgodzinach dostawali w kantynie bezpłatne posiłki.

Truls westchnął, odwrócił się, żeby ruszyć w stronę słuz, i zdrętwiał.

To była ona.

Ulla.

Już wychodziła. Wzrokiem lekko zawadziła o niego, ale udała, że go nie widzi. Czasami tak jej się zdarzało. Może dlatego, że rozmowa nie za bardzo im się kleiła, gdy z rzadka znaleźli się sam na sam bez Mikaela. Takich sytuacji unikali oboje już w młodości. On dlatego, że zaczynał się pocić, serce mu waliło, a później zadręczał się głupotami, które powiedział, i mądrymi celnymi uwagami, których nie powiedział. Ona, ponieważ... Cóż, przypuszczalnie dlatego, że on się pocił, serce mu waliło i albo się nie odzywał, albo gadał głupoty.

O mały włos nie zawołał jej po imieniu.

Ale ona już była przy metalowych drzwiach. Wkrótce znajdzie się na zewnątrz i blask słońca pocałuje jej delikatne jasne włosy.

Zamiast krzyknąć, wypowiedział jej imię szeptem, w duchu.

Ulla.

4 CZWARTEK, POPOŁUDNIE

Katrine Bratt rozejrzała się po sali konferencyjnej, którą nazywali Centrum Dowodzenia.

Ośmiu śledczych, czterech analityków, jeden technik kryminalistyczny. Wszyscy byli do jej dyspozycji. I śledzili każdy jej ruch argusowym wzrokiem. Zupełnie świeża szefowa, w dodatku kobieta. Katrine wiedziała, że z największą nieufnością spośród osób zebranych w tym pomieszczeniu odnoszą się do niej koleżanki. Często zadawała sobie pytanie, czy tak fundamentalnie różni się od innych kobiet. One miały testosteron w granicach pięciu – dziesięciu procent tego, co ich koledzy mężczyźni, a u niej wartość ta zbliżała się do dwudziestu pięciu. Dotychczas nie zrobiło to z niej owłosionego kłębu mięśni z łechtaczką o wymiarach penisa, ale w każdym razie, odkąd pamiętała, była bardziej napalona na seks, niż kiedykolwiek dawały temu wyraz koleżanki. „Wściekle napalona”, jak określał to Bjørn, kiedy sytuacja stawała się nie do wytrzymania i Katrine potrafiła przyjechać na Bryn w środku dnia pracy wyłącznie po to, żeby się z nim pieprzyć w pustym pomieszczeniu magazynowym na tyłach laboratorium, aż brzęk szedł od kartonów z kolbami i próbkami.

Katrine odchrząknęła, włączyła nagrywanie w telefonie i zaczęła:

– Jest godzina szesnasta, czwartek, dwudziesty drugi września, znajdujemy się w sali konferencyjnej numer jeden w Wydziale Zabójstw i jest to pierwsze spotkanie grupy śledczej wstępnie zorganizowanej w związku z zabójstwem Elise Hermansen.

Zobaczyła, że Truls Berntsen przemyka po cichu jako ostatni i siada z samego tyłu.

Dalej przedstawiała to, co większość obecnych już wiedziała: że ciało zabitej Elise Hermansen znaleziono dziś rano, że śmierć nastąpiła prawdopodobnie na skutek wykrwawienia z nakłuc na szyi, że na razie nie zgłosił się żaden świadek. Nie mieli jeszcze ani podejrzanego, ani też potwierdzonych śladów; cały znaleziony w mieszkaniu materiał organiczny mogący pochodzić od ludzi przekazano do analizy DNA, której wyników oczekiwano w ciągu tygodnia. Pozostałe potencjalne ślady wciąż badali technicy kryminalistyczni i patolodzy sądowi. Innymi słowy, nie mieli nic.

Zobaczyła, że dwie osoby zakładają ręce na piersiach i ciężko wzdychają,

na granicy ziewnięcia. Katrine wiedziała, co myślą: że to są przecież oczywistości, powtarzanie tego samego, że nie ma w tym mięsa. Dlaczego zatem mieli zostawić wszystkie inne sprawy, nad którymi pracowali? Powtórzyła, jak drogą dedukcji doszła do tego, że zabójca już znajdował się w mieszkaniu, kiedy Elise wróciła, ale sama słyszała, że zabrzmiało to teraz jak przechwałka. Jak prośba nowej szefowej o szacunek. Poczuła napływ desperacji i pomyślała o tym, co odpowiedział jej Harry, kiedy do niego zadzwoniła z prośbą o radę.

„Złap zabójcę”, odparł.

„Harry, nie o to cię pytałam! Chciałam się dowiedzieć, jak się kieruje zespołem śledczych, którzy nie mają do ciebie zaufania!”

„A ja ci odpowiedziałem”

„Złapanie jednego czy drugiego zabójcy nie rozwiązuje...”

„Rozwiązuje wszystko”

„Wszystko? A co tobie rozwiązało, Harry? Tak zupełnie osobiście”

„Nic. Ale pytałaś o dowodzenie”

Katrine powiodła wzrokiem po sali, dokończyła jeszcze jedno zbędne zdanie, odetchnęła głębiej i zarejestrowała czyjaś dłoń lekko bębniącą o podłokietnik.

– Jeśli Elise Hermansen wpuściła tę osobę wcześniej i pozwoliła jej tam zostać, a sama wyszła, to oznacza, że szukamy kogoś, kogo znała. Dlatego sprawdziliśmy jej telefon i komputer. Tord?

Tord Gren wstał. Przezywano go Żurawiem, niewątpliwie dlatego, że ze względu na niezwykle długą szyję, wąski, przypominający dziób nos i rozpiętość ramion przekraczającą długość ciała kojarzył się z ptakiem brodzącym. Archaiczne okrągłe okulary i długie, kręcone włosy zwisające po obu stronach wąskiej twarzy przywodziły na myśl lata siedemdziesiąte.

– Udało nam się dostać do jej iPhone’a i przejrzeć listę połączeń przychodzących i wychodzących w ciągu ostatnich trzech dni – zaczął Tord, nie odrywając wzroku od swojego tabletu, ponieważ zazwyczaj unikał kontaktu wzrokowego. – Są tu jedynie połączenia związane z pracą. Koledzy z pracy i klienci.

– Żadnych przyjaciół? – zdziwił się Magnus Skarre, śledczy taktyczny. – Rodziców?

– Wydaje mi się, że to właśnie powiedziałem – odparł Tord. Wcale nie wrogo, po prostu doprecyzował. – To samo dotyczy korespondencji mailowej. Wyłącznie związana z pracą.

– Kancelaria adwokacka potwierdza, że Elise bardzo dużo pracowała – uzupełniła Katrine.

– Z samotnymi kobietami tak jest – stwierdził Skarre.

Katrine z rezygnacją popatrzyła na niedużego krępego śledczego, chociaż

wiedziała, że ten komentarz nie był wcale przeznaczony dla niej. Skarremu brakowało na to i perfidii, i bystrości.

– Jej komputer nie był chroniony hasłem, ale też niewiele w nim znalazłem – ciągnął Tord. – Historia wskazuje, że głównie czytała wiadomości i sprawdzała w Google fakty. Oglądała trochę stron pornograficznych, ale całkiem zwyczajne rzeczy i nie ma śladu, żeby nawiązała z kimś kontakt za ich pośrednictwem. Najbardziej wątpliwą moralnie rzeczą, jaką zrobiła w ciągu ostatnich dwóch lat, było ściągnięcie filmu *Pamiętnik* przez aplikację Popcorn Time.

Ponieważ Katrine nie znała eksperta od komputerów zbyt dobrze, nie wiedziała, czy określenie „wątpliwa moralnie” odnosiło się do korzystania z pirackiego serwera, czy raczej do wyboru filmu. Sama głosowałaby za tym ostatnim. Brakowało jej Popcorn Time.

– Wypróbowałem kilka oczywistych haseł na jej koncie na Facebooku – kontynuował Tord. – Nie zadziałały, więc wysłałem do KRIPOS wniosek o zamrażarkę.

– O zamrażarkę? – zdziwił się Anders Wyller, który usiadł w pierwszym rzędzie.

– O pomoc prawną – wyjaśniła Katrine. – Wniosek o dostęp do Facebooka musi przejść przez KRIPOS i przez sąd, a nawet jeśli jedni i drudzy przychylą się do niego, musi go rozpatrzyć jeszcze sąd w Stanach, dopiero wtedy ewentualnie trafi do Facebooka. W najlepszym razie zajmie to tygodnie, ale prawdopodobnie miną miesiące.

– To już wszystko – zakończył Tord Gren.

– Jeszcze tylko jedno pytanie od kogoś, kto jest zupełnie zielony – zgłosił się Wyller. – W jaki sposób dostałeś się do telefonu? Odciski palców trupa?

Tord rzucił mu szybkie spojrzenie, ale zaraz odwrócił wzrok i pokręcił głową.

– No to jak? Kody w starszych iPhone'ach są czterocyfrowe, to daje dziesiątki tysięcy różnych...

– Mikroskop – przerwał mu Tord i wystukał coś na tablecie.

Katrine znała metodę Torda, ale się powstrzymała. Tord Gren nie miał wykształcenia policyjnego i w zasadzie również żadnego innego. Kilka lat studiów na technologii informacji w Danii, ale niewieńczonych dyplomem. Mimo to został ściągnięty przez Wydział Informatyczny komendy i przydzielono mu stanowisko analityka badającego wszystko, co miało związek ze śladami elektronicznymi. Po prostu dlatego, że nie miał sobie równych.

– Nawet w najtwardszym szkle pojawiają się mikrozagłębienia w miejscach, w które czubki palców uderzają najczęściej – wyjaśnił Tord. – Po prostu stwierdzam, w którym miejscu zagłębienia są największe, i już mam kod. To znaczy cztery cyfry,

które dają dwadzieścia cztery możliwe kombinacje.

– No ale po trzech nieudanych próbach telefon się blokuje – zauważył Anders. –
Więc to trzeba zrobić...

– Udało mi się za drugim razem. – Tord się uśmiechnął, ale Katrine nie wiedziała,
czy był to uśmiech dumy, czy raczej wywołało go coś, co widział na tablecie.

– O rany! – zawołał Skarre. – To dopiero fart!

– Przeciwnie, miałem niefart, że nie trafiłem za pierwszym razem. Kiedy liczba
zawiera cyfry jeden i dziewięć, a tak było w tym wypadku, to z reguły oznacza rok,
a wtedy pozostają tylko dwie możliwości.

– Dość już o tym – przerwała Katrine. – Rozmawialiśmy z siostrą ofiary. Twierdzi,
że Elise od lat nie miała stałego partnera. I że prawdopodobnie nie chciała go mieć.

– Tinder – podsunął Wyller.

– Słucham?

– Miała w telefonie aplikację Tindera?

– Owszem – potwierdził Tord.

– Te chłopaki, które widziały Elise w bramie, powiedziały, że wyglądała na dość
wystrojoną. To znaczy, że nie wracała z treningu, z pracy ani tym bardziej
od przyjaciółki. Jeśli nie chciała mieć stałego partnera...

– Bardzo dobrze – powiedziała Katrine. – Tord?

– Sprawdziliśmy aplikację. Było, łagodnie mówiąc, dużo *match*. Ale Tinder jest
powiązany z Facebookiem, więc do jej ewentualnej dalszej komunikacji z tymi
facetami nie będziemy mieli dostępu jeszcze przez długi czas.

– Tinderowcy umawiają się w barach – rozległ się jakiś głos.

Katrine zdziwiona podniosła głowę. To był Truls Berntsen.

– Jeśli miała przy sobie telefon, wystarczy tylko sprawdzić stacje bazowe
i zorientować się, jakie są bary w okolicach, w których się poruszała.

– Dzięki, Truls – powiedziała Katrine. – Stacje bazowe już sprawdziliśmy. Stine?

Kobieta z grupy analityków wyprostowała się na krześle i odchrząknęła.

– Według wydruku z centrali Telenoru między wpół do siódmej a siódmą Elise
Hermansen zaczęła się poruszać z Youngstorget, gdzie znajduje się jej miejsce pracy.
Przemieściła się w okolice wokół Bentsebrua. Następnie...

– Siostra powiedziała nam, że Elise chodziła do klubu fitness w dawnych
zakładach Myrens verksted – przerwała jej Katrine. – A tam potwierdzili, że Elise
odbiła kartę przy wejściu o dziewiętnastej trzydzieści dwie, a wyszła o dwudziestej
pierwszej czternaście. Przepraszam, Stine.

Stine uśmiechnęła się przelotnie, ale trochę sztywno.

– Następnie Elise przedostała się w okolice domu i tam przebywała,

a przynajmniej przebywał tam jej telefon, aż do czasu, gdy ją znaleziono. To znaczy telefon logował się w kilku zachodzących na siebie stacjach bazowych, co potwierdza, że wychodziła z domu, ale nie oddalała się od swojego mieszkania na Grünerløkka bardziej niż o kilkaset metrów.

– Świetnie. Czyli czeka nas runda po barach – stwierdziła Katrine.

Wynagrodziły ją dwa mające oznaczać śmiech prychnięcia Trulsa i biały uśmiech Andersa Wyllera, a poza tym kompletna cisza.

Pomyślała, że i tak mogło być gorzej.

Nagle leżący przed nią telefon zaczął poruszać się po stole.

Zobaczyła, że dzwoni Bjørn.

Mógł telefonować w sprawie jakichś śladów technicznych, a jeśli tak, to dobrze by było, gdyby od razu przekazała wiadomość pozostałym. Ale z drugiej strony w takiej sytuacji powinien zadzwonić do swojego kolegi z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, który siedział tutaj, w sali konferencyjnej, a nie do Katrine. Mógł więc telefonować prywatnie.

Już miała wcisnąć Odrzuć, kiedy uświadomiła sobie, że Bjørn doskonale wie o trwającym zebraniu. Zawsze przecież był taki uporządkowany.

Przyłożyła aparat do ucha.

– Mamy zebranie grupy śledczej, Bjørn.

Pożałowała swoich słów, czując na sobie wzrok kolegów.

– Jestem w Instytucie Medycyny Sądowej – poinformował Bjørn. – Właśnie dostaliśmy wyniki błyskawicznego testu tego błyszczącego czegoś na brzuchu denatki. Nie ma w tym ludzkiego DNA.

– Cholera – wyrwało się Katrine. Cały czas miała z tyłu głowy, że jeśli ta smuga to ślad spermy, sprawa mogłaby zostać rozwiązana przed upływem magicznej granicy pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Doświadczenie mówiło, że później będzie już znacznie trudniej.

– Ale to może wskazywać, że on i tak odbył z nią stosunek – dodał Bjørn.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ta smuga to środek nawilżający. Prawdopodobnie z prezerwatywy.

Katrine znów zakłęta. A po spojrzeniach pozostałych zorientowała się, że ciągle jeszcze nie powiedziała nic, co wskazywałoby, że to jednak nie jest rozmowa prywatna.

– Więc uważasz, że sprawca użył prezerwatywy? – powiedziała głośno i wyraźnie.

– On albo ktoś inny, z kim spotkała się wieczorem.

– Okej, dziękuję.

Nie chciała tego przeciągać i już miała się rozłączyć, gdy usłyszała, że Bjørn

jeszcze ją woła.

– Tak?

– Nie dlatego dzwonię.

Przełknęła ślinę.

– Bjørn, siedzimy tutaj..

– Narzędzie zbrodni – przerwał jej. – Wydaje mi się, że już wiem, co to było. Możesz przytrzymać grupę jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut?

* * *

Leżał w łóżku w mieszkaniu i czytał w telefonie. Przejrzał już gazety. Lektura go rozczarowała, bo pominięto ważne szczegóły, nie odnotowano wszystkich elementów o wartości artystycznej. Albo ta dowodząca śledztwem, Katrine Bratt, nie chciała niczego ujawniać, albo nie posiadała zdolności dostrzeżenia w tym piękna. Ale on, ten policjant o oczach mordercy, on by to zauważył. Może tak jak Bratt zatrzymałby to dla siebie, ale przynajmniej umiałby docenić.

Przyglądał się gazetowemu zdjęciu Katrine Bratt.

Była piękna.

Czy nie mieli nakazu wkładania mundurów policyjnych na konferencje prasowe? A może to było jedynie zalecenie, nie nakaz. W każdym razie nie posłuchała. Olała. Polubił ją. Wyobraził ją sobie w mundurze.

Bardzo piękna.

Niestety, nie miał jej na liście.

Zamknął gazetę. Pogładził tatuaż. Czasami odnosił wrażenie, że demon jest prawdziwy, że przeciska się od środka, a skóra na piersi napręża się i niemal pęka.

On też by to olał.

Napiął mięśnie brzucha i podniósł się z łóżka bez pomocy rąk. Przejrzał się w lustrzanych przesuwanych drzwiach szafy. W więzieniu ćwiczył. Nie na siłowni – leżenie na ławkach i materacach przesiąkniętych cudzym potem nie wchodziło w grę. Ćwiczył w celi. Nie dla mięśni, tylko dla nabrania prawdziwej siły. Wytrzymałości. Sprężystości. Równowagi. Odporności na ból.

Jego matka była gruba. Miała wielki tyłek. Pod koniec kompletnie się zaniedbała. Była słaba. On musiał mieć ciało i przemianę materii po ojcu. I siłę.

Rozsunął drzwi szafy.

W środku wisiał mundur. Przesunął po nim dłonią. Wkrótce zostanie użyty.

Pomyślał o Katrine Bratt. W mundurze.

Wieczorem pójdzie do baru. Do popularnego, zatłoczonego baru, nie takiego jak

Jealousy. Poruszanie się wśród ludzi w innym celu niż jedzenie, łaźnia i to, co na liście, oznaczało złamanie zasad, ale zamierzał wtopić się w tłum, podniecony anonimowością i samotnością. Ponieważ tego potrzebował. Potrzebował, żeby nie oszaleć. Zaśmiał się cicho. Szaleniec. Psycholodzy mówili, że powinien zgłosić się do psychiatry. Wiedział, co chcieli przez to powiedzieć: potrzebował kogoś, kto przepisze mu leki. Z półki z butami zdjął wyczyszczone kowbojki i przez chwilę patrzył na kobietę w głębi szafy. Utrzymywała się w pozycji stojącej dzięki hakowi w ścianie, sztywno wpatrzona w garnitury. Pachniała lekko perfumami lawendowymi, którymi nasmarował jej piersi. Zasunął drzwi.

Szaleniec? Tępe durnie, wszyscy co do jednego. Przeczytał w jakimś leksykonie definicję zaburzeń osobowości, w której napisano między innymi, że to choroba psychiczna skutkująca „dyskomfortem i trudnościami dla osoby, którą dotyka, lub dla jej otoczenia.” No i dobrze. W jego przypadku dotyczyło to wyłącznie otoczenia. On miał dokładnie taką osobowość, jakiej pragnął. Bo skoro istnieje napój, czy jest coś przyjemniejszego, bardziej racjonalnego i normalnego niż odczuwanie pragnienia?

Spojrzał na zegarek. Za pół godziny będzie już dostatecznie ciemno.

– To znaleźliśmy wokół ran na jej szyi. – Bjørn Holm wskazał na zdjęcie wyświetlone na ekranie. – Te trzy fragmenty z lewej strony to zardzewiałe żelazo, ten z prawej to czarna farba.

Katrine usiadła razem z innymi. Bjørn przyszedł zdyszany, a blade policzki wciąż lśniły mu od potu.

Stuknął w klawisz na swoim komputerze i na ekranie ukazało się zbliżenie zmaltretowanej szyi.

– Jak widzicie, punkty, w których skóra została przebita, układają się w taki wzór, jakby ugryzł ją człowiek. Ale zęby musiały być ostre jak szydła.

– Jakiś satanista – podsunął Skarre.

– Katrine wymyśliła, że ktoś oszlifował sobie zęby, ale sprawdziliśmy to i tam, gdzie te zęby niemal przeszły na drugą stronę fałdu skóry, w który się wgryzły, widać, że nie natrafiły na żaden opór, tylko idealnie wpasowały się między inne. Czyli to nie było zwykłe ugryzienie ludzkiej szczęki, bo u człowieka zęby w górnej szczęce i żuchwie są umieszczone tak, że na ogół ząb mniej więcej trafia na ząb. Dlatego te drobinki rdzy naprowadziły mnie na myśl, że to może sztuczna szczęka z żelaza.

Znow postukał w komputer.

Katrine uchwyciła bezgłośny jęk, który przeszedł przez salę.

Na ekranie ukazał się przedmiot, który na pierwszy rzut oka skojarzył się Katrine ze starą zardzewiałą pułapką, jaką widziała kiedyś u dziadka w Bergen. Dziadek mówił, że to paści na niedźwiedzia. Szpiczaste zęby układały się w zygzak, a górna i dolna szczęka były połączone czymś, co wyglądało na sprężynę.

– Ta rzecz na zdjęciu należy do pewnego prywatnego kolekcjonera w Caracas i podobno pochodzi z czasów niewolnictwa, kiedy organizowano walki niewolników i je obstawiano. Dwaj niewolnicy dostawali takie sztuczne szczęki, a potem związywano im ręce na plecach i ustawiano w ringu. Ten, który przeżył, przechodził do rundy numer dwa, jak sądzę. No, ale do rzeczy...

– Dziękuję – rzuciła Katrine.

– Próbowałem się zorientować, gdzie można kupić taką sztuczną szczękę. No i nie jest to coś, co da się zamówić w katalogu sprzedaży wysyłkowej. Więc jeśli znajdziemy osobę, która sprzedaje takie rzeczy w Oslo czy w ogóle w Norwegii, to myślę, że bardzo zawężymy krąg podejrzanych.

Katrine stwierdziła, że Bjørn znacznie wykroczył poza zakres obowiązków technika, ale nie zamierzała tego komentować.

– I jeszcze jedno – powiedział Bjørn. – Brakuje krwi.

– Krwi? Brakuje?

– U dorosłego człowieka krew stanowi przeciętnie siedem procent wagi ciała. Istnieją indywidualne różnice, ale nawet gdyby denatka znajdowała się na dolnej krawędzi skali, to jeśli dodamy to, co zostało w zwłokach, co znajdowało się na chodniku w przedpokoju i na parkiecie, a także tę niewielką ilość w łóżku, okazuje się, że brakuje blisko pół litra. Więc jeśli zabójca nie zabrał tego, czego brakuje, w wiaderku...

– ...to wypił – dokończyła Katrine.

Przez trzy sekundy w sali panowała kompletna cisza.

W końcu Wyller chrząknął.

– A co z tą czarną farbą?

– Po wewnętrznej stronie płátka farby też była rdza, więc musi pochodzić z tego samego miejsca. – Bjørn odłączył komputer od projektora. – Ale ta farba nie jest stara. Postaram się ją zbadać dziś w nocy.

Po twarzach zgromadzonych Katrine widziała, że nie dotarło do nich to, co Bjørn mówił o farbie, że ciągle myślą o krwi.

– Dziękuję, Bjørn. – Wstała i spojrzała na zegarek. – Pozostaje nam runda po barach. Akurat mamy porę kładzenia dzieci spać, więc proponuję, żeby tych, którzy mają dzieci, odesłać do domu, a my, bezpłodni, podzielimy się na grupy.

Żadnej odpowiedzi, żadnego parsknięcia śmiechem, nie pojawił się nawet

uśmiech.

– Wobec tego właśnie tak zrobimy. – Katrine poczuła, że jest zmęczona. Odepchnęła od siebie tę świadomość. Powoli narastało w niej przekonanie, że to dopiero początek. Żelazna sztuczna szczęka i brak jakiegokolwiek DNA. Brakujące pół litra krwi.

Zaszurały nogi krzesel.

Zebrała swoje papiery, podniosła głowę i zobaczyła plecy Bjørna znikające w drzwiach. Znów poczuła dziwną mieszanekę ulgi, wyrzutów sumienia i pogardy dla siebie. I pomyślała, że nie powinna tak czuć.

5 CZWARTEK, WIECZÓR I NOC

Mehmet Kalak spoglądał na stojące przed nim dwie osoby. Kobieta była ładna, miała intensywnie patrzące oczy, obcisłe hipsterskie ubranie i na tyle zgrabne ciało, że absolutnie nie wykluczał, iż zdołała poderwać atrakcyjnego mężczyznę, który musiał być od niej o dziesięć lat młodszy. To była właśnie taka klientela, jakiej sobie życzył. Dlatego kiedy pojawili się w drzwiach baru Jealousy, powitał ich wyjątkowo szerokim uśmiechem.

– Jak myślisz? – spytała kobieta. Mówiła dialektem z Bergen. Na policyjnym identyfikatorze zauważył tylko jej nazwisko. Bratt.

Mehmet znów spuścił wzrok i spojrzął na fotografię, którą położyli przed nim na kontuarze.

– Tak – powiedział.

– Tak?

– Tak, była tutaj. Wczoraj wieczorem.

– Jesteś pewien?

– Siedziała tu, gdzie teraz stoicie.

– Tutaj? Sama?

Mehmet widział, że kobieta stara się ukryć podniecenie. Dlaczego ludzie tak się zachowują? Co jest groźnego w pokazywaniu swoich uczuć? Nie chciał denuncjować jedynego stałego gościa, no ale pokazali identyfikatory.

– Była razem z facetem, który dość często tu zagląda. A co się stało?

– Nie czytasz gazet? – spytał jasnowłosy policjant o wysokim głosie.

– Nie. Wolę coś, w czym znajdę wiadomości – odparł Mehmet.

Bratt się uśmiechnęła.

– Dziś rano znaleziono ją zamordowaną. Opowiedz nam o tym mężczyźnie. Co tu robili?

Mehmet poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego wiadro lodowatej wody. Zamordowaną? Ta kobieta, która mniej niż dobę temu stała przed nim, teraz była trupem? Pozbierał się. I zawstydził, gdy automatycznie pojawiła się kolejna myśl: jeśli o barze napiszą w gazetach, będzie to dobre czy złe dla interesu? W zasadzie gorzej już być nie mogło.

– Randka z Tindera – powiedział. – On zwykle tutaj się umawia. Mówi o sobie Geir.

– Mówi o sobie?

– Przypuszczam, że tak ma na imię.

– Nie płaci kartą?

– Płaci.

Bratt ruchem głowy wskazała na kasę.

– Myślisz, że znajdziesz jego płatność z wczoraj?

– Myślę, że to możliwe, owszem. – Mehmet uśmiechnął się ponuro.

– Wyszli stąd razem?

– Zdecydowanie nie.

– To znaczy?

– Geir jak zwykle za wysoko ustawił poprzeczkę. Tak naprawdę dostał kosza, jeszcze zanim zdążyłem im nalać. À propos, chcecie coś do...

– Nie, dziękujemy – odmówiła Bratt. – Jesteśmy na służbie. To znaczy, że wyszła stąd sama?

– Tak.

– I nie zauważyłeś, żeby ktoś za nią poszedł?

Mehmet pokręcił głową, wystawił dwie szklanki i sięgnął po butelkę z cydrem.

– Na koszt firmy. Świeżo wyciśnięty, miejscowy. A któregoś wieczoru tu wrócicie i dostaniecie na koszt firmy piwo. Pierwsze jest gratis. To samo dotyczy kolegów z policji, których zechcecie przyprowadzić. Podoba wam się muzyka?

– Tak – odparł blondyn. – U2 to...

– Nie – weszła mu w słowo Bratt. – Słyszałeś, żeby ta kobieta powiedziała albo może zrobiła coś, co mogłoby nas zainteresować?

– Nie. Chociaż kiedy o tym mówisz... Wspomniała coś o jakimś stalkerze, który ją prześladował. – Mehmet podniósł głowę znad szklanek. – Muzyka grała cicho, a ona mówiła głośno.

– Jasne. Był tu w barze ktoś jeszcze, kto okazywał jej zainteresowanie?

Mehmet zaprzeczył.

– To był spokojny wieczór.

– Taki jak dzisiaj?

Mehmet wzruszył ramionami.

– Dwaj pozostali goście, którzy tu wczoraj byli, zdążyli wyjść, zanim Geir się stąd zabrał.

– To znaczy, że nietrudno będzie odnaleźć numery ich kart?

– Jeden płacił gotówką, to pamiętam. Ten drugi niczego nie zamówił.

– Okej. A gdzie ty sam byłeś między dwudziestą drugą a pierwszą w nocy?

– Ja? Tutaj. Albo w domu.

– Ktoś to może potwierdzić? Chcielibyśmy od razu cię wyeliminować.

– Tak. To znaczy nie.

– Tak to znaczy nie?

Mehmet się zastanowił. Wmieszanie w sprawę karanego już wcześniej lichwiarza mogło oznaczać więcej kłopotów. Postanowił zatrzymać tę kartę na chwilę, kiedy ewentualnie będzie jej bardziej potrzebował.

– Nie. Mieszkam sam.

– Dziękuję. – Bratt uniosła szklanę. Mehmet w pierwszej chwili pomyślał, że do toastu, ale ona wskazała nią na kasę.

– Napijemy się miejscowych jabłek, a ty w tym czasie poszukasz, dobrze?

Truls załatwił przydzielone mu bary i restauracje sprawnie i szybko. Pokazywał zdjęcia barmanom i kelnerom, wychodził, gdy tylko usłyszał odpowiedź, której się spodziewał: „Nie” albo „Nie wiem.” Jak się nie wie, to się nie wie, a ten dzień i tak ciągnął się już długo. Poza tym miał jeszcze jedną rzecz na liście.

Puknął ostatni raz w kropkę i spojrzął na krótki, ale w jego opinii treściwy raport. *Zob. załączoną listę barów i restauracji sprawdzonych przez niżej podpisanego z podaniem godziny. Nikt z personelu obecnego w pracy nie potwierdził, że widział Elise Hermansen w wieczór zabójstwa.* Wcisnął Wyślij i wstał.

Usłyszał cichy terkot i zobaczył błyskającą lampkę telefonu stacjonarnego. Po numerze widocznym na wyświetlaczu poznał, że dzwoni dyżurny. Centrala przyjmowała zgłoszenia od ludzi i przekazywała te, które dyżurni uznali za w miarę istotne. Cholera, nie miał czasu na rozmowę z kolejnymi gadułami. Mógł udać, że nie zauważył tego telefonu. No ale z drugiej strony jeśli to coś ciekawego, to może będzie miał jeszcze więcej do przekazania tam, dokąd się teraz wybierał.

Podniósł słuchawkę.

– Słucham, Berntsen.

- Nareszcie! Nikt nie odbiera, gdzie są wszyscy?
- W barach.
- Czy wy nie macie zabójstwa, którym...
- O co chodzi?
- Mam tu faceta, który twierdzi, że spotkał się wczoraj z Elise Hermansen.
- Przełącz go.

Rozległo się kliknięcie i zaraz potem Truls usłyszał oddech tak ciężki i szybki, że mógł oznaczać tylko jedno, a mianowicie strach.

- Sierżant Berntsen, Wydział Zabójstw, o co chodzi?

- Nazywam się Geir Sørle. Na stronie internetowej „VG” zobaczyłem zdjęcie Elise Hermansen. Zgłaszam się, ponieważ wczoraj wieczorem byłem na bardzo krótkiej randce z podobną do niej kobietą. Przedstawiła się jako Elise.

Pięć minut zajęło Geirowi Sørle zrelacjonowanie spotkania w barze Jealousy i opowieść o tym, jak następnie poszedł do domu, do którego dotarł przed północą. Trulsowi majaczyło się, że chłopcy sikający w bramie widzieli Elise żywą po dwudziestej trzeciej trzydziści.

- Ktoś może potwierdzić, o której wrócił pan do domu?
- Historia na komputerze. I Kari.
- Kari?
- Żona.
- Ma pan rodzinę?
- Żonę i psa.

Truls usłyszał nerwowe przełykanie śliny.

- Dlaczego nie zadzwonił pan wcześniej?
- Dopiero teraz zobaczyłem to zdjęcie.

Truls zanotował i zaklął w duchu. To nie był zabójca, tylko jedna z osób, które należało wyeliminować ze sprawy, a i tak oznaczało to pisanie kolejnych raportów. Będzie dziesiąta, zanim wreszcie stąd wyjdzie.

* * *

Katrine szła przez Markveien. Andersa Wyllera odesłała do domu po pierwszym dniu pracy. Uśmiechnęła się na myśl, że chłopak z całą pewnością zapamięta go do końca życia. Tylko chwila w komendzie, potem prosto na miejsce, w którym dokonano zabójstwa, i to porządnego. Nie jakiejś smętnej likwidacji narkomana, o którym ludzie zapomną dzień później, tylko takiego, które Harry nazywał zabójstwami typu „to mogłem być ja”. Zbrodni dokonanej na tak zwanym

zwyčajnym człowieku w zwyčajnym otoczeniu – właśnie takie zabójstwa ściągały tłumy na konferencje prasowe i gwarantowały artykuły na pierwszych stronach gazet. To, co znajome, umożliwiało opinii publicznej większe zaangażowanie. I dlatego atakowi terrorystycznemu w Paryżu poświęcono o wiele więcej miejsca niż temu w Bejrucie. A prasa to prasa. Z tego samego powodu komendant Bellman tak świetnie orientował się w sprawie. Wiedział, że padną pytania. Co prawda nie od razu, ale jeśli zabójstwo młodej wykształconej kobiety, pracującej dla dobra społeczeństwa, nie zostanie wyjaśnione w ciągu najbliższych dni, będzie zmuszony się wypowiedzieć.

Dotarcie stąd do mieszkania na Frogner mogło zająć pół godziny, ale nawet jej to pasowało, potrzebowała trochę przewietrzyć głowę. I ciało. Z kieszeni kurtki wyjęła telefon i otworzyła aplikację Tindera. Szła, jednym okiem patrząc na chodnik, a drugim na wyświetlacz, jednocześnie przesuwając zdjęcia na lewo i na prawo.

A więc dobrze odgadli, Elise Hermansen wróciła do domu z randki, na którą umówiła się za pośrednictwem Tindera. Mężczyzna opisany przez barmana wydawał się niegroźny, ale z własnego doświadczenia wiedziała, że niektórzy faceci mają spalone wyobrażenie o tym, że jeden szybki numerek daje im prawo do czegoś więcej. Może archaiczne przekonanie, że akt seksualny oznacza ze strony kobiety poddanie się wykraczające poza czysty seks. Ale z tego, co wiedziała, także wiele kobiet nosiło się z równie archaicznym przekonaniem, że u mężczyzn chęć penetracji ich podbrzusza automatycznie wiąże się z moralnym zobowiązaniem. No cóż, niech tak sobie myślą. A ona ma właśnie *match*.

Napisała: *Za dziesięć minut mogę być w Nox na Solli plass.*

Okej, już tam będę, odpisał Ulrich, który sądząc po zdjęciu na profilu i tekście, powinien być dość nieskomplikowanym mężczyzną.

* * *

Truls Berntsen obserwował Monę Daa obserwującą samą siebie.

Nie przypominała mu już pingwina. To znaczy, owszem, przypominała, ale takiego ściśniętego pośrodku.

Kiedy poprosił dziewczynę stojącą za kontuarem w klubie fitness Gain o wpuszczenie do środka, żeby mógł rzucić okiem na urządzenia, wyczuł pewną niechęć. Możliwe, że nie kupiła jego oświadczenia, że chciałby zostać członkiem klubu, a może wśród członków nie chciano typów takich jak on. Albo też dlatego, że długie życie w roli osoby budzącej u bliźnich dezaprobatę – na ogół słuszną, to musiał przyznać – nauczyło Trulsa Berntsena wyczytywać niechęć na większości

spotykanych twarzy. Tak czy owak, po obejrzeniu aparatów napinających brzuchy i pośladki, sali do pilatesu, sali do spinningu i sali z historycznie zaangażowanymi instruktorkami aerobiku (miał przy tym mgliste przeczucie, że to się już nie nazywa aerobik) znalazł ją wreszcie w części przeznaczony raczej dla chłopaków. W siłowni. Ćwiczyła martwy ciąg. Krótkie, szeroko rozstawione nogi ciągle nasuwały skojarzenia z pingwinem. Ale kombinacja obszernego tyłka z szerokim pasem ściskającym ją w talii, przez co wylewało się spod niego i na górze, i na dole, sprawiała, że kobieta bardziej przypominała ósemkę.

Wydała z siebie ochrypy, niemal przerażający ryk, kiedy napięła mięśnie i zaczęła prostować plecy, wpatrzona we własną czerwoną twarz w lustrze. Ciężary zadzwoniły o siebie w momencie odrywania się od ziemi. Sztanga nie wygięła się, tak jak to widział w telewizji, ale że obciążenie jest duże, poznał po rozdziawionych gębach dwóch młodych Pakistańczyków, którzy ćwiczyli bicepsy, licząc, że mięśnie się powiększą i wtedy będą mogli zrobić sobie na nich żalosne tatuaże świadczące o przynależności do gangu. Do diabła, jak on ich nienawidził! Do diabła, jak oni nienawidzili jego!

Mona Daa opuściła sztangę. Ryknęła i znów ją podniosła. Opuściła. Podniosła. Cztery powtórzenia.

Potem stała i cała się trzęsła. Uśmiechała się jak tamta wariatka z Lier po orgazmie. Gdyby tylko nie była taka tłusta i nie mieszkała tak cholernie daleko, może i coś by z tego wyszło. Powiedziała, że go rzuca, ponieważ zaczyna coś do niego czuć. Że raz w tygodniu to za mało. Tam i wtedy poczuł ulgę, ciągle jednak trochę o niej myślał. Oczywiście nie tak jak o Ulli, ale tamta kobieta była zabawna, naprawdę.

Mona Daa dostrzegła go w lustrze. Wyciągnęła z uszu słuchawki.

– Berntsen? Myślałam, że macie siłownię w komendzie.

– Mamy – odparł, podchodząc bliżej. Posłał Pakistańcom spojrzenie mówiące: „Jestem gliną, więc spadajcie”, ale jakoś nie dotarło. Może się co do nich pomylił. Przecież niektórzy z tych młodych chodzili teraz nawet do szkoły policyjnej.

– Więc co cię tu sprowadza? – Mona rozpięła pas, a Truls nie mógł się powstrzymać od gapienia się, żeby sprawdzić, czy dziennikarka odzyska normalną figurę pingwina.

– Pomyślałem, że moglibyśmy sobie trochę pomóc nawzajem.

– W czym? – Kucnęła przy sztandze i odkręciła śruby przytrzymujące obciążniki.

Truls kucnął przy niej i zniżył głos.

– Mówiłaś, że dobrze płacicie.

– Bo tak jest. – Mona wcale nie starała się mówić ciszej. – A co masz?

Chrząknął.

– To kosztuje pięćdziesiąt tysięcy.

Mona Daa głośno się roześmiała.

– Płacimy dobrze, Berntsen, ale nie aż tak dobrze. Dziesięć tysięcy to maks. I to za naprawdę smaczne kąski.

Truls wolno skinął głową, jednocześnie zwilżając wargi.

– To nie jest smaczny kąsek.

– Co powiedziałaś?

Teraz lekko podniósł głos.

– Powiedziałem, że to nie jest smaczny kąsek.

– A co?

– To obiad z trzech dań.

– Nie wchodzi w grę! – Katrine przekrzywała kakofonię głosów i umoczyła usta w swoim koktajlu White Russian. – Mam partnera i on jest w domu. A ty gdzie mieszkasz?

– Na Gyldenløves gate. Ale tam nie ma nic do picia, za to jest cholerny bałagan i...

– Czysta pościel?

Ulrich wzruszył ramionami.

– Zmienisz pościel, a ja w tym czasie wezmę prysznic – zdecydowała Katrine. – Jestem prosto z pracy.

– Gdzie pracu...?

– Musisz wiedzieć tylko tyle, że ta praca wymaga ode mnie jutro wczesnego wstania, więc może... – Skinęła głową w kierunku wyjścia.

– Jasne. Ale nie moglibyśmy najpierw wypić tego, co mamy?

Spojrzała na swój drink. Zaczęła pić White Russian wyłącznie dlatego, że pił go Jeff Bridges jako Big Lebowski.

– To zależy.

– Zależy?

– Od tego, jak alkohol działa... na ciebie.

– Chcesz we mnie wzbudzić lęk, że nie dam rady, Katrine? – roześmiał się Ulrich.

Zadrżała lekko na dźwięk swojego imienia w ustach tego nieznajomego.

– A co, zaczynasz się bać, Ulrich?

– Nie. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale wiesz, ile kosztują te drinki?

Też się uśmiechnęła. Ulrich był okej, dostatecznie szczupły. Była to pierwsza i właściwie jedyna rzecz, jaką sprawdzała na profilu. Waga. I wzrost. Obliczała BMI równie szybko jak pokerzysta wylicza *pot odds*. Dwadzieścia sześć i pół ledwie

mieściło się w granicach. Zanim poznała Bjørna, nawet nie przypuszczała, że kiedykolwiek zaakceptuje kogoś ze wskaźnikiem powyżej dwudziestu pięciu.

– Muszę iść do toalety – powiedziała. – Tu jest mój numerek do szatni, czarna skórzana kurtka, czekaj przy drzwiach.

Wstała i ruszyła przez salę, spodziewając się – ponieważ była to jego pierwsza szansa na zobaczenie jej od tyłu – że Ulrich sprawdza to, co w rejonach, w których się wychowała, nazywano „dupskiem”. I wiedziała, że jest zadowolony.

W tylnej części lokalu ludzi było więcej, torowała sobie wśród nich drogę, ponieważ „przepraszam” nie działało, chociaż taki właśnie skutek miało w tych częściach świata, które uważała za bardziej cywilizowane. Na przykład w Bergen. W tłoku wśród spoconych ciał musiano jednak ścisnąć ją mocniej, bo nagle poczuła, że nie może oddychać. Wyrwała się i po paru krokach wrażenie braku tlenu minęło.

W korytarzu w głębi jak zwykle była kolejka przed damską toaletą, a przed męską pusto. Znów spojrzała na zegarek. Kierująca śledztwem. Chciała być jutro pierwsza w pracy. A zresztą, niech to cholera.

Zdecydowanie otworzyła drzwi do męskiej toalety, weszła do środka, minęła pisuary – stojący przy nich dwaj mężczyźni nie zwrócili na nią uwagi – i zamknęła się w kabynie. Nieliczne przyjaciółki, jakie w ogóle miała, zawsze powtarzały, że za skarby świata nie przestąpiłyby progę męskiego kibla, bo te zawsze są bardziej obsrane niż damskie. Doświadczenie Katrine mówiło inaczej.

Spuściła spodnie i usiadła na sedesie, gdy nagle usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Wydało jej się to dziwne, bo przecież z zewnątrz powinno być widać, że jest zajęte, a jeśli nawet ktoś uważałby inaczej, to po co by pukał? Spojrzała w dół. W szparze między drzwiami a podłogą dostrzegła czubki szpiczastych butów z wężowej skóry. Pomyślała, że ktoś musiał ją zauważyć, kiedy wchodziła do męskiej toalety, i poszedł za nią, licząc, że należy do gatunku lubiących eksperymenty.

– Odejdź stą... – zaczęła, ale „d” na końcu zniknęło z braku powietrza. Czyżby miała zachorować? Czy jeden dzień w pracy w roli szefowej nadzorującej śledztwo w sprawie, która, o ile wiedziała, mogła okazać się naprawdę wielka, zrobił z niej ledwie chwytający dech kłębek nerwów? O Boże...

Usłyszała odgłos otwierających się drzwi i do toalety weszło dwóch pół chłopców, pół mężczyzn.

– No i co, niezłe, co?

– No, niezłe!

Czubki butów zniknęły spod drzwi. Katrine nasłuchiwała, ale nie usłyszała

żadnych kroków. Podciągnęła spodnie, otworzyła drzwi, podeszła do umywalki. Rozmowa chłopaków przy pisuarach ucichła, kiedy odkręciła kran.

– Co ty tu robisz? – spytał w końcu jeden z nich.

– Sikam i myję ręce. Zwróćcie uwagę na kolejność.

Otrzeptała dłonie i wyszła.

Ulrich stał przy drzwiach. Trzymał w ręku jej kurtkę i przypominał merdającego ogonem psa, który przyniósł patyk. Postanowiła siłą odepchnąć to skojarzenie.

Truls jechał samochodem do domu. Podkręcił radio, kiedy usłyszał, że puszczają tę piosenkę Motörhead, o której zawsze sądził, że nazywa się *Ace of Space*, aż do czasu, kiedy Mikael na imprezie w liceum krzyknął głośno: „Beavis myśli, że Lemmy śpiewa *ace of... space!*” Ciągłe miał w uszach tamten ryk śmiechu, który zagłuszył muzykę. Widział błysk w pięknych, wilgotnych z rozbawienia oczach Ulli.

Niech tam, Truls i tak ciągle uważał, że *Ace of Space* to o wiele lepszy tytuł niż *Ace of Spades*. Pewnego dnia, kiedy zaryzykował i w kantynie usiadł przy stole, przy którym siedzieli już inni, Bjørn Holm akurat perorował tym swoim śmiesznym dialektem z Toten, że jego zdaniem o wiele bardziej poetyckie byłoby, gdyby Lemmy dożył siedemdziesięciu dwóch lat. Kiedy Truls spytał dlaczego, Bjørn odparł tylko: „Siedem i dwa, dwa i siedem, no nie? Morrison, Hendrix, Joplin, Cobain, Winehouse, cała ta gromada”

Truls tylko pokiwał głową, kiedy zobaczył, że inni też kiwają. Ciągłe nie wiedział, co to znaczy. Wiedział jedynie, że znajduje się poza nawiasem.

Ale poza nawiasem czy nie, tego wieczoru Truls był o trzydzieści kawałków bogatszy niż pieprzony Bjørn Holm i jego kiwający głowami kumple z kantyny.

Mona zapaliła się porządnie dopiero wtedy, kiedy Truls powiedział jej o tej nakładce na zęby – o żelaznej szczęce, jak nazwał ją Holm. Zadzwoniła do swojego naczelnego i przekonała go, że Truls rzeczywiście zaprasza na obiad z trzech dań. Na przystawkę zaserwował informację, że Elise Hermansen była na randce z Tindera. Jako danie główne, że zabójca prawdopodobnie już znajdował się w mieszkaniu, kiedy tam wróciła. A na deser, że zabił ją, przegryzając jej tętnicę żelazną szczęką. Dziesięć tysięcy za każde danie. W sumie trzydzieści. Trzy i zero, zero i trzy, no nie?

– *Ace of space, ace of space!* – zawyli razem Truls i Lemmy.

– To nie wchodzi w grę – oświadczyła Katrine, wciągając spodnie. – Jeśli nie masz gumy, możesz o tym zapomnieć.

– Ale ja się badałem dwa tygodnie temu. – Ulrich usiadł w łóżku. – Zaklinam się

na wszystkie świętości!

– Te świętości możesz sobie wsadzić w... – Katrine musiała wciągnąć brzuch i wstrzymać oddech, żeby zapiąć spodnie. – Nie pomogą mi w uniknięciu ciąży.

– Ty się nie zabezpieczasz, dziewczyno?

Dziewczyno? Owszem, polubiła Ulricha, nie o to chodzi, tylko... Cholera wie o co.

Poszła do przedpokoju, włożyła buty. Zapamiętała, gdzie powiesił jej kurtkę i to, że drzwi zamykają się na zwykły zamek. Jasne, była świetna w przygotowywaniu planów odwrotu. Wyszła z mieszkania i zbiegła po schodach. Na Gyldenløves gate świeże jesienne powietrze miało smak wolności, poczucia wydostania się z zamknięcia. Roześmiała się. Ruszyła ścieżką w alei drzew biegnącej środkiem tej szerokiej, pustej ulicy. Cholera, taka pokręcona. Ale jeśli rzeczywiście była świetna w zabezpieczaniu odwrotu, jeśli zapewniła sobie drogę ucieczki już wtedy, kiedy zamieszkała razem z Bjørnem, to dlaczego nie założyła sobie spirali albo nie zaczęła brać pigułek? Przeciwnie, pamiętała przecież tamtą rozmowę, podczas której tłumaczyła Bjørnowi, że jej i tak krucha psychika nie potrzebuje dodatkowej huśtawki nastrojów, wywołanej manipulowaniem hormonami. Tak było. Przestała brać pigułki, zaraz kiedy związała się z Bjørnem.

Ciąg myśli przerwał dzwonek jej telefonu. Początkowy riff z *O My Soul* Big Star zainstalowany – oczywiście – przez Bjørna, który z ogromnym zaangażowaniem przekonywał ją o wielkości tego założonego w latach siedemdziesiątych zapomnianego już zespołu z południa Stanów i skarżył się, że film dokumentalny dostępny na Netfliksie odebrał mu wieloletnią misję. „Niech ich szlag trafi, połowa radości związanej z nieznanymi zespołami tkwi właśnie w tym, że nikt ich nie zna.” Ktoś taki szybko nie dorośnie.

Odebrała połączenie.

– Cześć, Gunnar, słucham.

– „Zamordowana żelaznymi zębami”? – Zwykle tak spokojny naczelnik wydziału wydawał się bardzo zdenerwowany.

– Słucham?

– Tak brzmi w tej chwili główny tytuł na stronie internetowej „VG”. Napisali, że zabójca czekał na Elise Hermansen w jej mieszkaniu i że przegryzł jej tętnicę szyjną. Podobno mają te informacje z wiarygodnego źródła w policji.

– Co?

– Bellman już dzwonił. I jest... Jakiego słowa szukam? Wkurzony.

Katrine się zatrzymała. Próbowwała myśleć.

– Przede wszystkim nie wiemy na pewno, czy on tam już był, i nie wiemy, czy ją zagryzł. Nie wiemy nawet, czy to jakiś on!

– No to niewiarygodne źródło w policji. Gównu mnie to obchodzi! Trzeba wyjaśnić, kto jest tym informatorem!

– Nie wiem. Ale wiem, że „VG” z zasady będzie chronić swoje źródło informacji.

– Nie wierzę w żadne zasady. Oni chcą, żeby to źródło zostało całe i zdrowe, bo wiedzą, że będą mogli dalej z niego czerpać. Musimy zatkać ten przeciek, Bratt.

Katrine w końcu się pozbierała.

– Więc Bellman się martwi, że przeciek może zaszkodzić śledztwu?

– Martwi się, że to postawi w złym świetle całą komendę.

– Tak myślałam.

– Co myślałaś?

– Dobrze wiesz, bo myślisz tak samo.

– Musimy się tym zająć jutro od rana.

Katrine Bratt schowała telefon do kieszeni kurtki i popatrzyła w górę ścieżki. Jakiś cień się poruszył. Pewnie wiatr powiał mocniej wśród drzew.

Przez moment zastanawiała się, czy nie przejść na oświetlony chodnik, ale w końcu przyspieszyła i poszła dalej prosto.

Mikael Bellman stał przy oknie salonu. Z okien ich willi na Høyenhall miał widok na całe centrum Oslo ciągnące się na zachód w stronę niskich wzgórz poniżej Holmenkollen. A tego wieczoru miasto w świetle księżyca migotało jak diament. Jego diament.

Jego dzieci spały bezpiecznie. Jego miasto spało stosunkowo bezpiecznie.

– O co chodzi? – spytała Ulla, podnosząc głowę znad książki.

– O to zabójstwo. Trzeba znaleźć sprawcę.

– Chyba jak w wypadku każdego innego zabójstwa.

– Zrobiła się z tego wielka sprawa.

– To jedna kobieta.

– Nie o to chodzi.

– Dlatego że „VG” tak to rozdmuchała?

Słyszał lekką pogardę w jej głosie, ale w ogóle go to nie martwiło. Ulla się uspokoiła. Wróciła na swoje miejsce. Bo w głębi ducha znała swoje miejsce. Nie była osobą szukającą konfliktów – jego żona ponad wszystko ceniła zajmowanie się rodziną, pogawędki z dziećmi i czytanie tych swoich książek. Dlatego krytyka w tonie jej głosu w zasadzie nie wymagała odpowiedzi. Zresztą Ulla raczej i tak by jej nie zrozumiała. Że jeśli chcesz zostać zapamiętany jako dobry król, masz dwie możliwości. Albo być królem w dobrych czasach, mieć szczęście zasiadania na tronie przez lata obfitych zbiorów. Albo też być królem, który wyprowadzi kraj z kryzysu.

A jeśli kryzysu nie ma, możesz udawać, że jest. Możesz rozpocząć wojnę i pokazać, w jak głęboki kryzys wpadnie kraj, jeśli na wojnę nie ruszy. Może to być malutka wojna, ważne, aby została wygrana. Mikael Bellman właśnie tak postąpił, kiedy wobec mediów i Rady Miasta nadmuchał liczby przestępstw popełnianych z chęci zysku przez przybyszy z krajów bałtyckich i z Rumunii, a przy okazji zaprezentował ponure przepowiednie na przyszłość. Dzięki temu otrzymał dodatkowe środki na wygraną tej w rzeczywistości niedużej, ale w mediach wielkiej wojny. A po przedstawieniu statystyk dwanaście miesięcy później pośrednio obwołał się zwycięzcą.

Ale sprawa tego zabójstwa była wojną, którą reżyserował kto inny, a po wieczornym artykule w „VG” wiedział, że to już nie jest mała wojenka. Przecież oni wszyscy tańczą tak, jak im zagrają media. Pamiętał, jak kiedyś na Svalbardzie zeszła lawina śnieżna. Dwie ofiary śmiertelne, wiele osób bez dachu nad głową. Kilka miesięcy wcześniej podczas pożaru szeregowca w Nedre Eiker zginęły trzy osoby, dużo ludzi straciło mieszkania. Ta ostatnia sprawa doczekała się zwykłych skromnych artykułów, jak zazwyczaj, gdy dojdzie do pożaru czy wypadku samochodowego. Ale lawina na dalekiej wyspie na Północy była dla mediów o wiele ciekawsza – podobnie jak ta żelazna szczęka – więc ruszyły do ataku, jakby doszło do katastrofy narodowej. W efekcie premier – która podskakuje, kiedy media mówią: „skacz” – zwróciła się do narodu w telewizyjnym orędziu. Telewidzowie i mieszkańcy szeregowca w Nedre Eiker mogli sobie tylko zadawać pytanie, gdzie była, kiedy u nich się paliło. Mikael Bellman wiedział gdzie. Ona i jej doradcy jak zawsze leżeli z uszami przyłożonymi do ziemi i wsłuchiwali się w wibracje mediów. A takich wibracji wtedy nie było.

Teraz natomiast Mikael Bellman czuł, że ziemia się trzęsie.

Czuł też, że jako odnoszący sukcesy komendant stołecznej policji, stojący przed szansą na uzyskanie wstępu w korytarze władzy, nie może sobie pozwolić na przegranie tej wojny. Temu jednemu zabójstwu musiał przyznać taki priorytet, jakby chodziło o zwalczanie całej fali przestępczości, po prostu dlatego, że Elise Hermansen była wykształconą trzydziestoletnią etniczną Norweżką, a narzędziem zbrodni okazał się nie metalowy drąg, nóż czy pistolet, ale żelazne zęby.

Dlatego Bellman podjął decyzję, która ani trochę nie była mu w smak. Z wielu powodów. Ale nie widział innego wyjścia.

Musiał go wezwać.

6 PIĄTEK, RANO

Harry się obudził. Echo krzyku ze snu ucichło. Zapalił papierosa i sprawdził. Sprawdził, jakie to przebudzenie. W zasadzie istniało pięć rodzajów. Pierwszy to przebudzenie w pracy. Długo było najlepsze. Wnikał wtedy prosto w śledztwo, które prowadził. Czasami marzenia senne potrafiły zmienić perspektywę, wówczas, leżąc, przeglądał w myślach to, do czego doszli, badał kawałeczek po kawałeczku i oceniał z zupełnie nowego punktu widzenia. Jeśli miał szczęście, mógł dostrzec coś innego, skrawek odwrotnej strony księżyca. I nie dlatego, że księżyc zmienił położenie, tylko on sam.

Drugim rodzajem było przebudzenie w samotności. Charakteryzowała je świadomość, że jest sam w łóżku, sam w życiu, sam na świecie; niekiedy takie przebudzenie potrafiło wywołać w nim słodkie poczucie wolności, kiedy indziej melancholię, którą może dałoby się nazwać poczuciem osamotnienia, a będącą chyba przebłyskiem prawdy o ludzkim życiu, o tym, że jest ono podróżą od nierozłącznej wspólnoty pępowiny ku śmierci, ostatecznie oddzielającej nas od wszystkiego i wszystkich. Taki przebłysk pojawia się w sekundzie przebudzenia, zanim wszystkie nasze mury obronne i iluzje, którymi się pocieszamy, wrócą na swoje miejsce i znów możemy stawić czoło życiu w jego nieprawdziwym świetle.

Kolejne było przebudzenie w lęku. Następowало z reguły po picciu trwającym dłużej niż trzy dni z rzędu. Lęk miewał różne stopnie nasilenia, ale pojawiał się od razu. Trudno było wskazać jakieś zewnętrzne zagrożenie czy groźbę. Chodziło raczej o panikę na myśl o tym, że w ogóle się obudził, że żyje, że jest tutaj. Ale zdarzało mu się odczuwać również zagrożenie wewnętrzne. Lęk, że już nigdy nie będzie się bał. Że ostatecznie i nieodwołalnie oszaleje.

Czwarty rodzaj miał pewne cechy podobieństwa do przebudzenia w lęku. Przebudzenie „jest tu jeszcze ktoś”. Prowokowało mózg do działania w dwóch kierunkach. Do tyłu: „jak, u diabła, to się mogło stać?”. I do przodu: „jak się stąd wydostanę?”. Czasami taka reakcja *fight-or-flight* potrafiła się wytłumić, chociaż zazwyczaj odzywała się później i dlatego nie klasyfikowała się już jako „przebudzenie”.

No i był jeszcze piąty rodzaj. Zupełnie nowy dla Harry’ego Hole. Przebudzenie w zadowoleniu. Początkowo zdumiewał się tym, że można się obudzić szczęśliwym, i odruchowo sprawdzał wszystkie parametry. Próbował określić, na czym właściwie polega to idiotyczne „szczęście”, jeżeli nie jest tylko echem jakiegoś przyjemnego, ale głupiego snu. Ale tej nocy nie śniło mu się nic przyjemnego. Krzyk, którego echo słyszał, był krzykiem demona. Twarz, wciąż tkwiąca na siatkówce oka, należała do zabójcy, który uszedł wolno. Mimo to Harry obudził się szczęśliwy, prawda?

Owszem. W miarę jak takie przebudzenia się powtarzały, dzień w dzień, co rano, zaczął przywykać do myśli, że faktycznie jest bardzo zadowolonym mężczyzną, który dobiegając pięćdziesiątki, znalazł szczęście. Na razie wyglądało na to, że zdołał się zakorzenić w tej nowo podbitej krainie.

Główna przyczyna leżała bliżej niż na wyciągnięcie ręki, oddychała równo i spokojnie. Jej włosy rozsypały się na poduszce jak promienie kruczoczarnego słońca.

Czym jest szczęście? Harry czytał pewien artykuł o badaniach nad szczęściem, które wykazały, że jeśli za punkt odniesienia przyjmie się ilość szczęścia we krwi, czyli poziom serotoniny, to niewiele zewnętrznych zdarzeń jest w stanie zwiększyć albo zmniejszyć ten poziom na dłuższy czas. Można stracić nogę, można się dowiedzieć, że jest się bezpłodnym, albo dom może spłonąć. Bezpośrednio po takim zdarzeniu poziom serotoniny opada, ale sześć miesięcy później człowiek jest mniej więcej tak samo szczęśliwy albo tak samo nieszczęśliwy jak na początku. Podobnie działa kupno jeszcze większego domu albo jeszcze droższego samochodu.

Naukowcy doszli jednak do wniosku, że mimo wszystko istnieje kilka elementów ważnych dla poczucia szczęścia. Jednym z najistotniejszych jest szczęśliwe małżeństwo.

A on właśnie był szczęśliwy w małżeństwie. Brzmiało to tak banalnie, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu, kiedy od czasu do czasu powtarzał to sobie w duchu lub gdy – bardzo rzadko – mówił o tym głośno w obecności maleńkiej grupki ludzi, których nazywał przyjaciółmi, a mimo to prawie się z nimi nie kontaktował: „Mojej żonie i mnie jest dobrze razem”.

Tak, złapał szczęście za ogon. Gdyby mógł, z wielką chęcią posłużyłby się funkcją „wytnij i wklej” w odniesieniu do tych trzech lat, które minęły od ślubu, i przeżywał te same dni na okrągło. Ale w życiu taka funkcja nie działa i może właśnie to było przyczyną owego lekkiego zaniepokojenia, które mimo wszystko odczuwał? To, że czasu nie da się zatrzymać, że różne rzeczy się dzieją, że życie jest jak dym z jego papierosa, który nawet w najszczelniej opieczętowanym pokoju będzie się poruszał, zmieniał w najbardziej nieprzewidywalne sposoby. A ponieważ teraz jest idealnie, każda zmiana będzie oznaczała zmianę na gorsze. Właśnie tak czuł. Szczęście przypominało chodzenie po cienkim lodzie, a już lepiej wpaść do lodowatej wody, marznąć i podejmować wysiłki, aby wydostać się na brzeg, niż cały czas czekać, aż się w nią wpadnie. To dlatego zaczął się programować na wcześniejszą pobudkę, niż było to konieczne. Tak jak dzisiaj, kiedy wykład o prowadzeniu śledztwa w związku z zabójstwem zaczynał dopiero o jedenastej. Chciał się budzić wcześniej tylko po to, aby mieć więcej czasu na napawanie się

tym niezwykłym szczęściem, dopóki trwa. Odepchnął od siebie obraz człowieka, który zdołał ujść wolno. To nie była jego odpowiedzialność, nie jego rewir polowania. Zresztą człowiek o twarzy demona coraz rzadziej pojawiał się w jego snach.

Wysunął się z łóżka, najostrożniej jak potrafił, chociaż jej oddech nie był już tak równy, więc podejrzewał, że ona tylko udaje sen, bo nie chce mu psuć tej chwili.

Włożył spodnie, zszedł na parter, umieścił kapsułkę z jej ulubioną kawą w ekspresie, nalał wody, a dla siebie otworzył słoiczek z kawą rozpuszczalną. Kupował małe słoiczki, ponieważ świeża, nowo otwarta kawa rozpuszczalna ma o wiele lepszy smak. Włączył czajnik elektryczny, wsunął bose stopy w buty i wyszedł na schody.

Wciągnął w płuca rześkie jesienne powietrze. Tu, na wzgórzu, na Besserud, przy Holmenkollveien, noce zaczęły już robić się chłodniejsze. Spojrzał na miasto i na fiord, na którym ciągle dawało się dostrzec kilka żaglówek widocznych w postaci malutkich białych trójkątów na tle niebieskiej wody. Za dwa miesiące, a może już nawet za parę tygodni, tu, na górze, spadnie pierwszy śnieg. Ale to nie szkodzi. Wielki pomalowany na brązowo drewniany dom został zbudowany na zimę, a nie na lato.

Zapalił drugiego już tego dnia papierosa i ruszył po stromym, wysypanym żwirem podjeździe. Stopy podnosił wysoko, żeby nie nadepnąć na rozwiązane sznurówki. Mógł włożyć kurtkę, a przynajmniej koszulkę, ale lekkie zmarznięcie pozwalało jeszcze mocniej poczuć radość płynącą z posiadania ciepłego domu, do którego można wrócić. Zatrzymał się przy skrzynce na listy. Wyjął gazetę, „Aftenposten”

– Dzień dobry, sąsiedzie!

Harry nie usłyszał tesli wyjeżdżającej na wyasfaltowany podjazd przed domem obok. Szyba od strony kierowcy była opuszczona, więc zobaczył panią Syvertsen z włosami jak zawsze w kolorze blond. W opinii Harry'ego, chłopaka ze wschodnich rejonów miasta ze stosunkowo krótkim doświadczeniem stąd, z zachodu, sąsiadka była klasyczną paniusią z Holmenkollen. Niepracująca, z dwójką dzieci i dwiema pomocami domowymi, nieplanująca podjęcia pracy, mimo że państwo norweskie zafundowało jej pięcioletnie studia uniwersyteckie. To znaczy ona pracą nazywała to, co inni uważali za zajęcia w czasie wolnym: utrzymywanie się w dobrej formie (Harry widział tylko kurtkę od dresu, ale miał pewność, że pod nią sąsiadka jest ubrana w obcisły strój treningowy i że owszem, prezentuje się świetnie jak na osobę już dobrze po czterdziestce), logistykę (kiedy która pomoc domowa ma zająć się dziećmi, a także kiedy i gdzie rodzina spędzi wakacje – w domu pod Niceą,

w domku narciarskim w Hemsedal czy w domku letniskowym na południu Norwegii) oraz dbanie o odpowiednie kontakty branżowe (lunche z przyjaciółkami, obiady z krewnymi i osobami będącymi potencjalnie korzystnymi znajomościami). A za sobą miała już najważniejsze zadanie: zapewnienie sobie męża z odpowiednią ilością pieniędzy na sfinansowanie tej tak zwanej pracy.

Pod tym względem Rakeł kompletnie się nie sprawdziła. Chociaż wychowała się w tym wielkim drewnianym domu na Besserud, gdzie człowiek wcześniej się uczył rozmaitych sposobów manewrowania, chociaż była dostatecznie inteligentna i atrakcyjna, by dostać każdego, którego by zechciała, skończyła z byłym śledczym i pijakiem z niskim uposażeniem, obecnie niepijącym wykładowcą w Wyższej Szkole Policyjnej z uposażeniem jeszcze niższym.

– Powinieneś rzucić palenie – odezwała się pani Syvertsen, bacznie mu się przyglądając. – Poza tym nie mam ci nic do zarzucenia. Gdzie trenujesz?

– W piwnicy – odparł Harry.

– Urządziliście sobie pokój do ćwiczeń? Kto jest twoim osobistym trenerem?

– Ja sam. – Harry głęboko zaciągnął się dymem i spojrzał na swoje odbicie w szybie przy tylnym siedzeniu. Szczupły, ale nie taki chudy jak jeszcze kilka lat temu. Trzy kilo więcej mięśni. Dwa kilo spokojniejszych dni. I zdrowsze życie. Ale twarz, która patrzyła na niego z odbicia, świadczyła o tym, że nie zawsze tak było. Dłoty cieniutkich czerwonych naczyń krwionośnych w białkach oczu i tuż pod skórą opowiadały o przeszłości pełnej alkoholu, chaosu, bezsenności i złych nawyków. Blizna ciągnąca się od ucha do kącika ust – o rozpaczliwych sytuacjach i braku kontroli nad impulsami. A fakt, że papierosa trzymał między palcem wskazującym a obrączką na palcu serdecznym, bo u tej dłoni nie miał środkowego palca, był kolejną historią o ludzkiej podłości zapisaną ciałem i krwią.

Zerknął na „Aftenposten”. Tuż nad zgięciem zauważył słowo „zabójstwo” i na moment powróciło echo tamtego krzyku.

– Sama zamierzam urządzić siłownię w domu – powiedziała pani Syvertsen. – Nie zajrzałyś do mnie któregoś przedpołudnia w przyszłym tygodniu, żeby mi coś podpowiedzieć?

– Materac, ciężarki i drążek do podciągania się. To są moje podpowiedzi.

Pani Syvertsen uśmiechnęła się szeroko. Pokiwała głową, jakby wszystko wiedziała.

– Życzę ci miłego dnia, Harry.

Tesla odjechała z szumem, a on ruszył z powrotem w stronę domu.

Kiedy znalazł się w cieniu pod wielkimi świerkami, zatrzymał się i przyjrzał budynkowi. Dom był solidny. Określenie „niedostępny” byłoby przesadą, bo takich

domów nie ma, ale trochę trzeba by się namęczyć. Grube dębowe drzwi miały trzy zamki, a okna – kraty. Pan Syvertsen na nie narzekał, twierdził, że dom przypomina twierdzę i kojarzy się z Johannesburgiem, przez to ich spokojna okolica sprawia wrażenie niebezpiecznej, co z kolei prowadzi do spadku cen tutejszych nieruchomości. To jeszcze ojciec Rakeł zamontował kraty, kiedy praca Harry'ego w policji naraziła na niebezpieczeństwo Rakeł i Olega, jej syna. Od tamtego czasu Oleg dorósł. Wyprowadził się i zamieszkał z dziewczyną, zaczął studia w Wyższej Szkole Policijnej. Decyzja o zdjęciu krat należała do Rakeł. Nie były już potrzebne. Teraz Harry był tylko marnie wynagradzanym nauczycielem.

– Aha, sielanko – mruknęła z uśmiechem Rakeł, przesadnie głośno ziewnęła i usiadła na łóżku.

Harry postawił tacę przed nią na kołdrze.

„Sielanko”, skrzyżowanie śniadanka z sielanką, było ich własnym słowem na określenie tej godziny, którą mieli dla siebie w łóżku w każdy piątkowy rano, kiedy on szedł późno do pracy, a ona, prawniczka w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, miała wolne.

Wsunął się pod kołdrę i jak zwykle dał jej te części „Aftenposten”, które zawierały wiadomości z kraju i sport, sobie natomiast zostawił dział zagraniczny i kulturę. Założył okulary do czytania, które wreszcie zaakceptował, i rzucił się na recenzję ostatniej płyty Sufjana Stevensa, myśląc jednocześnie o tym, że Oleg zaprosił go na koncert zespołu Sleater-Kinney w przyszłym tygodniu. Drażniący, lekko neurotyczny rock, akurat taki, jaki Harry lubił. Oleg w zasadzie wolał ostrzejsze klimaty, przez co Harry jeszcze bardziej doceniał jego troskę.

– Coś nowego? – spytał, przerzucając stronicę.

Wiedział, że Rakeł czyta o zabójstwie, o którym informacje zauważył na pierwszej stronie, ale wiedział też, że mu o nim nie wspomni. Jedna z ich niepisanych umów.

– Ponad trzydzieści procent amerykańskich użytkowników Tindera to ludzie żyjący w małżeństwie – powiedziała. – Ale Tinder temu zaprzecza. A u ciebie?

– Father John Misty wydał nowy krążek i z tego, co piszą, nie trzyma poziomu. Albo rzeczywiście tak jest, albo recenzent się zestarzał i zgorzkniał. Podejrzewam to drugie. W „Mojo” i „Uncut” aż się zachłystywali z podziwu.

– Harry?

– Wolę młodych i zgorzkniałych. Takich, którzy stopniowo, ale nieustannie pogodnieją z wiekiem. Tak jak ja. Zgodzisz się ze mną?

– Byłbyś zazdrosny, gdybym i ja dołączyła do Tindera?

– Nie.

– Nie?

Wyczuł, że Rakeł podsuwa się w łóżku.

– Dlaczego nie?

– Chyba brakuje mi wyobraźni. Jestem głupi i wydaje mi się, że wystarczam ci z nawiązką. Nie tak głupio być głupim, rozumiesz?

Rakeł westchnęła.

– Czy ty nigdy nie bywasz zazdrosny?

– Bywam. Ale Stałe Aune niedawno przedstawił mi sporo argumentów, żeby spróbować to zminimalizować, moja kochana. Akurat dzisiaj ma wykład dla moich studentów na temat chorobliwej zazdrości.

– Harry? – Po jej żartobliwym tonie poznał, że Rakeł nie ma zamiaru się poddać.

– Nie zaczynaj od mojego imienia. Dobrze wiesz, że od razu się denerwuję.

– I masz powód. Bo zamierzam cię spytać, czy miewasz czasami ochotę na inne.

– Zamierzasz czy już pytasz?

– Już pytam.

– Okej. – Jego wzrok uchwycił zdjęcie komendanta okręgowego Mikaela Bellmana z żoną na premierze jakiegoś filmu. Bellmanowi do twarzy było z czarną klapką, którą zaczął nosić, a Harry wiedział, że Bellman ma tego świadomość. Młody komendant mówił, że media i filmy kryminalne takie jak ten kreują fałszywy obraz Oslo, ponieważ za czasów jego komendantury miasto stało się bezpieczniejsze niż kiedykolwiek, a statystyczna szansa na to, że ktoś się targnie na własne życie, jest o wiele większa niż to, że zabije go ktoś inny.

– No i co? – Rakeł przysunęła się bliżej. – Masz ochotę na inne?

– Tak. – Harry stłumił ziewnięcie.

– Cały czas?

Oderwał wzrok od gazety. Popatrzył przed siebie ze zmarszczonym czołem. Smakował to pytanie.

– Nie, nie cały.

Wrócił do lektury. Nowe Muzeum Muncha i Biblioteka Deichmana zaczynały już nabierać kształtów w pobliżu Opery. W kraju rybaków i chłopów, którzy przez dwieście lat wysyłali wszystkich odmieńców z ambicjami artystycznymi do Kopenhagi albo dalej do Europy, stolica zacznie wkrótce uchodzić za miasto kultury. Kto by w to uwierzył? A raczej: kto w to wierzył?

– Gdybyś mógł wybierać – zaszcebiotała Rakeł zaczepnie – i nie miałyby to żadnych następstw, wolałbyś spędzić następną noc ze mną czy z kobietą z twoich snów?

– Czy ty nie musisz się szykować na jakąś wizytę u lekarza?

– Tylko jedną noc, bez następstw.

– W tym momencie mam powiedzieć, że to ty jesteś kobietą z moich snów?

– Daj spokój. No mów!

– W takim razie musisz mi pomóc i podsunąć jakieś propozycje.

– Audrey Hepburn.

– Nekrofilia?

– Nie wykręcaj się, Harry.

– No dobrze. Podejrzewam, że proponujesz mi nieżyjącą kobietę, ponieważ zakładasz, że moim zdaniem wyda ci się mniej groźne, jeśli będzie chodziło o kobietę, z którą w rzeczywistości nie mógłbym spędzić nocy. Ale w porządku. Biorąc pod uwagę twoją manipulującą pomoc i *Śniadanie u Tiffany'ego*, odpowiem dźwięcznie i zdecydowanie: tak.

Rakel wydała z siebie zduszony okrzyk.

– No to na co czekasz? Dlaczego po prostu nie zrobisz skoku w bok?

– Po pierwsze, nie wiem, czy kobieta z moich snów by się zgodziła, a źle znoszę odrzucenie. Po drugie, założenie braku jakichkolwiek następstw jest nierealne.

– Tak?

Harry znów skupił się na gazecie.

– Mogłabyś ode mnie odejść. A w każdym razie twój stosunek do mnie zmieniłby się na gorsze.

– Mógłbyś to zachować w tajemnicy.

– Nie wytrzymałbym.

Była radna do spraw społecznych Isabelle Skøyen krytykowała obecną Radę Miasta za brak szczegółowego planu działania w związku z nadciągającym tak zwanym sztormem tropikalnym, który według ostrzeżeń miał w przyszłym tygodniu uderzyć w zachodnie wybrzeże Norwegii z taką siłą, jakiej kraj nigdy wcześniej nie doświadczył, a kilka godzin później dotrzeć do Oslo jedynie nieznacznie zredukowany, co było jeszcze dziwniejsze. Skøyen uznała, że odpowiedź przewodniczącego Rady Miasta („Nie znajdujemy się w tropikach, więc to oczywiste, że nie przeznaczaliśmy pieniędzy na sztormy tropikalne”) świadczy o arogancji i nieodpowiedzialności graniczącej z upośledzeniem umysłowym. „Przewodniczącemu najwyraźniej się wydaje, że zmiany klimatyczne to coś, co ludzie wymyślili sobie za granicą”, twierdziła Skøyen, pozując do zdjęcia, co powiedziało Harry'emu, że była radna planuje powrót do polityki.

– Kiedy mówisz, że nie wytrzymałbyś zachowania skoku w bok w tajemnicy, to masz na myśli, że nie mógłbyś tego znieść?

– Mam na myśli, że by mi się nie chciało. Tajemnice są męczące. No i pewnie

miałbym wyrzuty sumienia. – Przerzucił stronicę, już ostatnią. – Wyrzuty sumienia też są męczące.

– Dla ciebie owszem, a co ze mną? Nie pomyślałeś o tym, jak mnie by to zabolowało?

Harry przez chwilę patrzył na krzyżówkę, w końcu odłożył gazetę na kołdrę i odwrócił się do Rakel.

– Gdybyś nie wiedziała o tym skoku w bok, to chyba nic byś nie czuła, moja kochana?

Rakel ujęła go pod brodę i przytrzymała, palcami drugiej ręki przeczesując mu brew.

– No ale gdybym się dowiedziała? Albo gdybyś ty się dowiedział, że byłam z innym mężczyzną? Czy to nie byłoby dla ciebie przykre?

Poczuł piekący ból, kiedy wyrwała mu z brwi niewątpliwie dziko rosnący siwy włos.

– Z całą pewnością. Stąd te wyrzuty sumienia, gdyby to poszło w drugą stronę.

Puściła go.

– Do stu piorunów, Harry! Mówisz, jakbyś dedukował w sprawie o zabójstwo. Czy ty nic nie czujesz?

– Do stu piorunów? – Harry uśmiechnął się krzywo, patrząc na nią znad okularów. – Ludzie ciągle mówią „do stu piorunów”?

– Odpowiadaj, do... stu... niech cię piorun trzaśnie!

Harry się roześmiał.

– Staram się odpowiedzieć na twoje pytanie jak najuczciwiej. Ale żeby mówić uczciwie, muszę się najpierw zastanowić i myśleć realistycznie. Gdybym kierował się uczuciami i poszedł za swoim pierwszym odruchem, dałbym ci taką odpowiedź, jaką moim zdaniem chciałabyś usłyszeć. Ale potraktuj to jako ostrzeżenie. Nie jestem uczciwy, jestem oślizgły. Ta moja uczciwość jest jedynie dalekowzroczną inwestycją w moją wiarygodność. Może bowiem przyjść dzień, kiedy naprawdę będę musiał skłamać, a wtedy dobrze by było, gdybyś nie wątpiła w moją szczerość.

– Zdejmij z twarzy ten uśmieszek, Harry. Czy ty próbujesz powiedzieć, że w rzeczywistości byłbyś niewierną świnią, gdyby tylko ze zdradą nie wiązało się tyle kłopotów?

– Na to wygląda.

Rakel szturchnęła go, spuściła nogi z łóżka i prychając z pogardą, wyszła w kapciach z pokoju. Ze schodów dobiegło go kolejne prychnięcie.

– Wstawisz jeszcze wodę na kawę? – zawołał.

– Cary Grant! – odkrzyknęła. – I Kurt Cobain! Jednocześnie!

Słuchał, jak krząta się na dole. Wkrótce rozległo się bulgotanie elektrycznego czajnika. Rzucił gazetę na nocną szafkę i założył ręce za głowę. Uśmiechnął się. Szczęśliwy. Kiedy wstawał, zawadził spojrzeniem o pozostawioną na poduszce część gazety Rakeł. Zobaczył zdjęcie, miejsce zdarzenia ogrodzone policyjną taśmą. Przymknął powieki i podszedł do okna. Otworzył oczy, spojrzął na świerki. Czuł, że teraz dałby radę. Dałby radę zapomnieć imię tego, który uszedł wolno.

Obudził się. Znow śniła mu się matka. I mężczyzna, który twierdził, że jest jego ojcem. Sprawdził, jaki to rodzaj przebudzenia. Był wypoczęty. Spokojny. Zaspokojony. Główna przyczyna leżała bliżej niż na wyciągnięcie ręki. Odwrócił się do niej. Wczoraj przestawił się na tryb polowania. Nie miał takiego zamiaru, ale kiedy w barze zobaczył ją – tę policjantkę – poczuł się tak, jakby los na chwilę odebrał mu stery. Owszem, Oslo to małe miasto, ludzie na okrągło się na siebie natykają, ale mimo wszystko. Nie wpadł jednak w amok, nauczył się sztuki panowania nad sobą.

Przestudiował linie twarzy, włosy, rękę ułożoną pod trochę nienaturalnym kątem. Była zimna i nie oddychała. Zapach lawendy prawie zniknął, ale trudno, i tak zrobiła to, co do niej należało.

Zrzucił kołdrę i podszedł do szafy. Wyjął mundur, otrzepał go. Już czuł krew szybciej krążącą w żyłach. Zapowiadał się kolejny dobry dzień.

7 PIĄTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Harry Hole szedł korytarzem Wyższej Szkoły Policyjnej razem ze Stålem Aune. Przy swoich stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrach wzrostu Harry był o blisko dwadzieścia centymetrów wyższy niż jego o dwadzieścia lat starszy i znacznie okrągły przyjaciel.

– Zaskakuje mnie, że akurat ty nie potrafisz rozwikłać tak oczywistej sprawy – powiedział Aune, jednocześnie sprawdzając, czy jego muszka w kropki się nie przekrzywiła. – To nie jest żadna tajemnica. Zostałeś nauczycielem, ponieważ ten zawód wykonywali twoi rodzice, a konkretnie twój ojciec. Nawet *post mortem* szukasz jego uznania, na które nigdy nie mogłeś liczyć jako policjant, którego jako policjant nie chciałeś, ponieważ w twoim buncie przeciwko ojcu chodziło o to, żeby nie być taki jak on, bo postrzegałeś go jako żalospną figurę, która nie zdołała ocalić życia twojej matki. Swoją własną niemoc przerzuciłeś na niego. I zostałeś policjantem, aby zadośćuczynić temu, że również nie umiałeś uratować matki, dlatego postanowiłeś ratować nas wszystkich przed śmiercią, a konkretnie przed mordercami.

– Mhm. Ile dostajesz za godzinę takich wynurzeń podczas wizyty?

Aune się roześmiał.

– À propos wizyty, co tam z Rakel i jej bólem głowy?

– Ma dzisiaj wizytę u lekarza – odparł Harry. – Jej ojciec u schyłku życia zaczął cierpieć na migreny.

– Dziedziczność. To jak wróżba, której zamówienia żałujesz. My, ludzie, nigdy nie lubiliśmy tego, co nieodwracalne. Na przykład śmierci.

– Dziedziczenie nie jest nieodwracalne. Dziadek mówił, że stał się alkoholikiem tak jak jego ojciec, już kiedy napił się pierwszy raz. Tymczasem mój ojciec przez całe życie czerpał z alkoholu przyjemność – przyjemność! – i nigdy nie popadł w uzależnienie.

– To znaczy, że alkoholizm przeskoczył jedno pokolenie. Takie rzeczy się zdarzają.

– Albo też genetyka jest po prostu miłym usprawiedliwieniem mojego słabego charakteru.

– Jasne. Ale, do diabła, człowiek ma prawo i do takiego usprawiedliwienia.

Harry się uśmiechnął. Jakaś studentka nadchodząca z przeciwnej strony źle to zrozumiała i odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

– Katrine przesłała mi zdjęcia z miejsca zbrodni na Grünerløkka – odezwał się

Aune. – Co o tym myślisz?

– Nie czytam artykułów dotyczących spraw kryminalnych.

Drzwi do audytorium numer dwa były otwarte. Wykład przewidziano dla studentów ostatniego roku, ale Oleg zapowiadał, że razem z kilkoma innymi pierwszorzocznymi postara się wcisnąć na salę. I rzeczywiście, w audytorium było pełno. Studenci siedzieli na schodach i stali pod ścianami, wśród nich znalazło się nawet kilku wykładowców.

Harry podszedł do katedry, włączył mikrofon. Rozejrzał się po zgromadzonych. Odruchowo zaczął szukać twarzy Olega. Rozmowy wygasły, powoli zapadała cisza. Harry zwilżył wargi. Najbardziej dziwiło go wcale nie to, że został nauczycielem, tylko że polubił to zajęcie. Okazało się, że on, przez większość ludzi postrzegany jako małomówny i zamknięty w sobie, czuł się swobodniej, stojąc przed gromadą wymagających studentów, niż kiedy facet w kasie w 7-Eleven kładł przed nim paczkę cameli light, a Harry chciał powtórzyć, że chodziło mu o zwykłe camele, ale wyczuwając niezadowolenie kolejki, nie potrafił się przemóc. Naprawdę się zdarzało – w gorsze dni, kiedy miał zszarpane nerwy – że wychodził ze sklepu z camelami light, wypalał jednego, a resztę wyrzucał do kosza. Tu natomiast znajdował się w strefie komfortu. To była jego dziedzina. Zabójstwo.

Chrząknął. Nie znalazł zawsze poważnej twarzy Olega, znalazł natomiast inną, którą też dobrze znał. Z czarną klapką na jednym oku.

– Widzę, że niektórzy pomylili sale. To kurs numer trzy z prowadzenia śledztwa dla studentów ostatniego roku.

Śmiechy. Nikt się nie ruszył do wyjścia.

– Okej – powiedział Harry. – Tych z was, którzy przyszli na kolejny nudny wykład mojej skromnej osoby o prowadzeniu śledztwa, muszę niestety rozczarować. Dzisiejszym wykładowcą będzie wieloletni doradca Wydziału Zabójstw w stołecznej komendzie i najczęściej w Skandynawii publikowany psycholog z dziedziny przemocy i zabójstw. Ale zanim dopuszczę do głosu Stałego Aune, ponieważ wiem, że on mi go już dobrowolnie nie odda, przypominam, że w przyszłą środę mamy kolejne przesłuchanie krzyżowe. Sprawa „Pentagramu”. Opis śledztwa, protokoły z oględzin miejsc zdarzenia i wydruki z przesłuchań jak zawsze znajdziecie na stronie wsp slash sledztwo. A teraz już proszę, Stałe.

Wybuchły oklaski. Harry ruszył w stronę schodów, natomiast Aune z wypiętym brzuchem i uśmiechem zadowolenia poparadował do katedry.

– Zespół Otella! – zawołał i zniżył głos, kiedy dotarł do mikrofonu. – Zespół Otella to fachowe określenie chorobliwej zazdrości stanowiącej motyw większości zabójstw popełnianych w tym kraju. Taki właśnie motyw miała zbrodnia w sztuce

William Szekspira *Otello*. Rodrigo zakochuje się w niedawno poślubionej przez generała Otella Desdemonie, a przebiegły oficer Jago nienawidzi Otella, ponieważ uważa, że dowódca niesprawiedliwie go nie awansował. Jago dostrzega możliwość utorowania sobie drogi do kariery poprzez zniszczenie Otella, dlatego pomaga Rodrigowi w rozdzieleniu Otella i jego żony. Przebiegły Jago zapuszcza w mózg i serce Otella śmiertelnie niebezpiecznego, za to bardzo żywotnego wirusa, który objawia się w wielu postaciach. Zazdrość. Otello choruje coraz ciężiej, zazdrość wywołuje u niego atak epilepsji, leży i trzęsie się na scenie, wreszcie zabija swoją żonę, a na koniec samego siebie. – Aune podciągnął rękawy tweedowej marynarki. – Przedstawiam wam całe streszczenie. Na liście lektur Wyższej Szkoły Policyjnej nie ma Szekspira, ale wam również przyda się odrobina wykształcenia ogólnego. – Śmiechy. – Więc na czym, panie i panowie, którym wszelka zazdrość jest obca, polega zespół Otella?

– Czemu zawdzięczamy tę wizytę? – spytał szeptem Harry. Stał na samym końcu sali obok Mikaela Bellmana. – Interesuje cię zazdrość?

– Nie – odparł Bellman. – Chcę, żebyś poprowadził śledztwo w tej najnowszej sprawie.

– Obawiam się, że próżno się trudziłeś.

– Chcę, żebyś zrobił tak jak poprzednio. Pokierował niewielką grupą, która będzie prowadziła śledztwo równoległe i niezależnie od normalnego dużego zespołu.

– Dziękuję, panie komendancie, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

– Potrzebujemy cię, Harry.

– Owszem. Tutaj.

Bellman zaśmiał się krótko.

– Nie wątpię, że jesteś dobrym nauczycielem. Ale nie jesteś niezastąpiony. Jesteś natomiast niezastąpionym śledczym.

– Skończyłem z zabójstwami.

Mikael Bellman z uśmiechem pokręcił głową.

– Daj spokój, Harry. Jak długo można się tu ukrywać i udawać, że jest się kimś innym? Nie jesteś roślinożercą jak ten tam na katedrze, Harry. Jesteś drapieżnikiem. Tak samo jak ja.

– Moja odpowiedź brzmi: nie.

– A drapieżniki, jak wiadomo, mają ostre zęby. Właśnie dlatego znajdują się na samej górze łańcucha pokarmowego. Widzę, że Oleg siedzi z przodu. Kto by pomyślał, że pójdzie do szkoły policyjnej?

Harry poczuł, że jego włoski na karku ostrzegawczo się unoszą.

– Mam takie życie, jakiego pragnę, Bellman. Nie mogę wrócić. Moja odpowiedź

jest ostateczna.

– Zważywszy na niepodważalny wymóg czystej kartoteki przy przyjęciu.

Harry nie odpowiedział. Aune wywołał kolejny wybuch śmiechu i Bellman też się roześmiał. Położył Harry'emu rękę na ramieniu, nachylił się i jeszcze bardziej zniżył głos:

– Chociaż minęło już kilka lat, to ciągle znam ludzi, którzy zaświadczą, że widzieli, jak Oleg kupował wtedy heroinę. Za to grożą dwa lata. Raczej nie pójdzie siedzieć, ale policjantem nigdy nie zostanie.

– Nawet ciebie nie byłoby stać na coś takiego, Bellman.

Mikael zaśmiał się krótko.

– Nie? Komuś może się to wydać strzelaniem z armaty do wróbli, ale dla mnie rozwiązanie tej sprawy jest naprawdę ważne.

– Jeśli się nie zgodzę, nic nie zyskasz na niszczeniu mojej rodziny.

– Możliwe, ale nie zapominajmy, że... jak to powiedzieć... że cię nienawidzę.

Harry zapatrzył się w plecy, które miał przed sobą.

– Ty nie pozwalasz sobie na to, żeby kierowały tobą uczucia, Bellman. Na to masz ich zbyt mało. Co powiesz, kiedy wyjdzie na jaw, że już od dawna wiedziałeś o studencie Wyższej Szkoły Policyjnej Olegu Fauke i nic z tym nie zrobiłeś? Kiedy przeciwnik wie, jak słabe masz karty, nie ma sensu blefować, Bellman.

– Jeśli chcesz uzależnić przyszłość tego chłopca od mojego blefu, to bardzo proszę, Harry. Chodzi tylko o tę jedną sprawę. Rozwiąż ją dla mnie, a o tamtym zapomnijmy. Masz termin na odpowiedź do popołudnia.

– Spytam z czystej ciekawości, Bellman. Dlaczego akurat ta sprawa jest dla ciebie taka ważna?

Bellman wzruszył ramionami.

– Polityka. Drapieżnik potrzebuje mięsa. I pamiętaj, że ja jestem tygrysem, Harry, a ty tylko lwem. Tygrys waży więcej, a mimo to ma więcej mózgu na kilogram wagi ciała. Dlatego Rzymianie w Koloseum wiedzieli, że jeśli lew zostanie wysłany przeciwko tygrysowi, zginie.

Harry zauważył, że jakaś głowa z przodu się obraca. To Oleg uśmiechał się i pokazywał uniesiony kciuk. Chłopak miał już prawie dwadzieścia dwa lata. Po matce odziedziczył usta i oczy, ale włosy po ojcu Rosjaninie, którego już nie pamiętał. Harry też podniósł kciuk i spróbował się uśmiechnąć. Kiedy się odwrócił, żeby spojrzeć na Bellmana, tamtego już nie było.

– Zespół Otella dotyka głównie mężczyzn – grzmiał głos Stałego Aune. – Mężczyźni cierpiący na ten syndrom wykazują tendencję do zabijania gołymi rękami, kobiety natomiast wybierają raczej broń obuchową albo nóż.

Harry słuchał. Pęknięcia cieniutkiego lodu pokrywającego czarną wodę pod jego stopami.

– Poważnie wyglądasz – stwierdził Aune po powrocie z toalety do pokoju Harry’ego. Opróżnił filiżankę z kawą i włożył płaszcz. – Nie podobał ci się wykład?

– Podobał. Bellman tu był.

– Widziałem. Czego chciał?

– Usiłował groźbą zmusić mnie do zajęcia się tym nowym zabójstwem.

– I co powiedziałaś?

– Że nie.

Aune pokiwał głową.

– To dobrze. Taka ilość bliskich kontaktów ze złem w czystej postaci, jakie mieliśmy obaj, i ty, i ja, zżera duszę. Może inni tego nie widzą, ale w jakiejś części nas to zniszczyło. Najwyższa pora, żebyśmy poświęcili naszym najbliższym tę uwagę, którą do tej pory poświęcaliśmy socjopatom. Nasz dyżur już się skończył, Harry.

– Chcesz powiedzieć, że rzucasz ręcznik?

– Tak.

– Mhm. Rozumiem tę twoją generalną uwagę, ale czy kryje się za tym coś konkretnego?

Aune wzruszył ramionami.

– Tylko to, że pracuję za dużo i za mało przebywam w domu. A kiedy zajmuję się zabójstwami, to nawet jeśli jestem w domu, to i tak jakby mnie tam nie było. Przecież ty to wszystko wiesz, Harry. No i Aurora... – Aune nadał policzki i wypuścił powietrze. – Nauczyciele mówią, że jest trochę lepiej. Czasami dzieci w tym wieku zamykają się w sobie, testują różne rzeczy. Blizna na nadgarstku nie musi jeszcze oznaczać systematycznego samookaleczania się, może być efektem całkiem naturalnej ciekawości. Ale ojciec zawsze będzie się martwił tym, że nie potrafi dotrzeć do własnego dziecka. Może to jeszcze bardziej frustrujące, jeśli niby się jest wziętym psychologiem.

– Ona ma piętnaście lat, prawda?

– Tak, a zanim skończy szesnaście, to wszystko może już być za nami, odejść w zapomnienie. Kolejne fazy... w tym wieku ciągle się zmieniają. Ale jeśli człowiek ma się zająć najbliższymi, nie może odkładać tego w nieskończoność do zamknięcia kolejnej sprawy, do uporania się z następnym dniem pracy. Trzeba to robić już. Co o tym myślisz, Harry?

Harry chwycił w dwa palce nieogoloną górną wargę, z namysłem kiwając głową.

– Mhm. Oczywiście.

– No to idę. – Aune sięgnął po swoją teczkę i wyjął z niej plik fotografii. – Tu są zresztą zdjęcia z miejsca zdarzenia, które przysłała Katrine. Tak jak powiedziałem, mnie są niepotrzebne.

– A mnie po co? – Harry spojrzał na ciało kobiety w zakrwawionym łóżku.

– Pomyślałem, że może przydadzą ci się na zajęciach. Słyszałem, że wracasz do sprawy „Pentagramu”, a to oznacza, że posługujesz się prawdziwymi śledztwami i prawdziwymi dokumentami.

– Sprawami, do których klucz już istnieje. – Harry próbował oderwać wzrok od zdjęcia kobiety. Miało w sobie coś znajomego. Jakby echo. Czyżby już ją kiedyś widział? – Jak się nazywa ofiara?

– Elise Hermansen.

Żaden dzwonek mu nie zadzwonił. Spojrzał na kolejne zdjęcie.

– A te rany na szyi... Co to takiego?

– Naprawdę nic nie czytałeś o tej sprawie? Przecież to jest na pierwszych stronach wszystkich gazet! Nic dziwnego, że Bellman chce cię porwać. Żelazne zęby, Harry.

– Żelazne zęby? Jakiś satanista?

– Gdybyś przeczytał „VG”, zobaczyłbyś, że powołują się na opinię mojego kolegi po fachu Hallsteina Smitha, który napisał na Twitterze, że grasuje wampirysta.

– Wampirysta? To znaczy wampir?

– Gdyby to było takie proste... – Aune wyjął z teczki stronę wyrwaną z „VG” – Wampir wywodzi się z zoologii i z fikcji, natomiast wampirysta to, według Smitha i nielicznej grupki innych psychologów na świecie, człowiek, który osiąga zaspokojenie poprzez picie krwi. Zobacz to sobie...

Harry przeczytał wpis na Twitterze, który Aune podsunął mu pod nos. Jego wzrok zatrzymał się na ostatnim zdaniu.

Wampirysta zaatakuje ponownie.

– Mhm. To, że jest ich niewielu, nie musi oznaczać, że nie mają racji.

– Daj spokój, jestem całym sercem z tymi, którzy płyną pod prąd, i lubię ambitnych ludzi takich jak Smith. On, niestety, w trakcie studiów się wygłupił, zyskując sobie przezwisko Małpa, przez które, jak się obawiam, wciąż nie zasługuje na wiarygodność wśród psychologów. A był naprawdę bardzo obiecującym psychologiem aż do czasu, kiedy zajął się tym wampiryzmem. Jego artykuły też były całkiem niezłe, chociaż oczywiście nie pozwolono mu ich opublikować w żadnym czasopiśmie fachowym. No ale teraz przynajmniej coś ukazało się drukiem. W tabloidzie „VG”

– A dlaczego ty nie wierzysz w wampirystów? – spytał Harry. – Sam mówiłeś, że jeśli tylko człowiek jest w stanie wyobrazić sobie jakieś zбочzenie, to z pewnością na świecie jest ktoś, kto je ma.

– Oczywiście, wszystko istnieje. Albo się pojawi. Nasza seksualność to kwestia myśli i uczuć, a one właściwie nie mają granic. Dendrofilia to odczuwanie seksualnego podniecenia kontaktem z drzewami. Kakorrhafiofilia to podniecenie własnym niepowodzeniem. Aby jednak coś dało się nazwać -filią czy -izmem, musi mieć pewne rozpowszechnienie i jakiś wspólny mianownik. Smith i myślący tak jak on psychologowie mitomani stworzyli sobie własny -izm. Mylą się, bo nie istnieje grupa tak zwanych wampirystów działających według pewnego przewidywalnego schematu, o którym oni czy ktoś inny mógłby coś powiedzieć. – Aune zapiął płaszcz i ruszył do drzwi. – Natomiast fakt, że ty cierpisz na lęk przed intymnością i nie potrafisz uściskać swojego najlepszego przyjaciela, zanim wyjdzie, to w istocie materiał do rozważań psychologicznych. Przekażesz moje pozdrowienia Rakel i powiesz jej, że zaklinam ten jej ból głowy? Harry?

– Co? Tak, oczywiście. Pozdrowię. Mam nadzieję, że z Aurorą się ułoży.

Po wyjściu Aunego Harry dalej siedział wpatrzony przed siebie. Poprzedniego wieczoru, kiedy wszedł do salonu, Rakel oglądała jakiś film. Ledwie rzucił okiem na ekran i spytał, czy to film Jamesa Graya. Obraz przedstawiał zupełnie neutralną ulicę, bez aktorów, bez jakichkolwiek charakterystycznych samochodów czy ujęć kamery, dwie sekundy filmu, którego Harry nigdy wcześniej nie widział. Wprawdzie obraz chyba nigdy nie bywa całkowicie neutralny, ale Harry naprawdę nie potrafił powiedzieć, skąd mu się wzięło skojarzenie z tym akurat reżyserem, oprócz tego, że oglądał film Jamesa Graya kilka miesięcy wcześniej. Mogło chodzić o tak prostą rzecz, odruchowe, trywialne skojarzenie. Widziany wcześniej film i dwusekundowa scena zawierająca jeden czy dwa szczegóły, które przemknęły przez mózg tak szybko, że nie zdołał się zorientować, na czym polegało to rozpoznanie.

Sięgnął po komórkę.

Zawahał się. W końcu odszukał numer Katrine Bratt. Zobaczył, że nie kontaktowali się od pół roku, kiedy przysłała mu SMS-a z życzeniami urodzinowymi. Odpowiedział: *dziękuję*. Małą literą i bez kropki. Katrine wiedziała, iż nie oznacza to wcale, że mu na niej nie zależy, tylko po prostu nie lubił długich SMS-ów.

Nie odebrała telefonu.

Kiedy zadzwonił pod jej wewnętrzny numer w Wydziale Zabójstw, odezwał się Magnus Skarre.

– No proszę. Harry Hole we własnej osobie. – Ironia była tak wyczuwalna, że Harry nie musiał się jej nawet doszukiwać. W Wydziale Zabójstw nigdy nie miał wielu fanów i Skarre też się do nich nie zaliczał. – Nie, nie widziałem dzisiaj Bratt. Właściwie to dziwne, zważywszy, że dopiero co została szefową, bo mamy cholernie dużo roboty.

– Mhm. Możesz przekazać, że dzwo...

– Raczej spróbuj sam jeszcze raz później, Hole. I bez tego jest tu czym się zajmować.

Harry się rozłączył. Zabębnił palcami o blat i spojrzął na plik prac studenckich leżących po jednej stronie biurka. I na plik zdjęć po drugiej. Pomyślał o porównaniu Bellmana do drapieżników. Lew? Czemu nie? Czytał, że lwy, które polują same, mają niską średnią osiągnięć, niekiedy zaledwie piętnaście procent. A kiedy zabijają dużą zdobycz, nie dają rady przegryźć jej gardła, tylko muszą ją udusić, zacisnąć szczęki i wstrzymać dopływ powietrza. A to może potrwać. W wypadku dużego zwierzęcia, na przykład bawołu, lew musi niekiedy godzinami dręczyć siebie i przeciwnika, a w końcu zrezygnować. To samo można powiedzieć o śledztwach w sprawach zabójstw. Ciężka praca i żadnej nagrody.

Obiecał Rakel, że już do tego nie wróci. Obiecał to samemu sobie.

Znów spojrzął na plik zdjęć. Na zdjęcie Elise Hermansen.

Nazwisko zapamiętał automatycznie. Tak samo jak szczegóły fotografii przedstawiającej ofiarę leżącą na łóżku. Ale nie chodziło o szczegóły. Chodziło o całość. A poza wszystkim tamtego wieczoru Rakel oglądała film pod tytułem *Brudny szmal*. Nie wyreżyserował go James Gray. Harry się pomylił. Piętnaście procent. Ale mimo wszystko.

Było coś w sposobie, w jaki leżała. W jaki została ułożona.

Zaaranżowanie. Niczym echo z zapomnianego snu. Wołanie w lesie. Głos mężczyzny, którego imienia starał się nie pamiętać. Tego, który się wywinał.

Przypomniał sobie teraz, co kiedyś przyszło mu do głowy. Że kiedy pękał, kiedy odkręcał butelkę i nalewał sobie pierwszego drinka, to wbrew temu, co sądził, wcale nie wtedy podejmował decyzję. Ta decyzja zapadała dużo wcześniej. Dalej była już tylko okazja, która się nadarzała. W jakimś momencie butelka stawała przed nim. Wtedy już na niego czekała. A on na nią. Reszta była kwestią wzajemnie przyciągających się ładunków, magnetyzmem, nieuchronnością praw fizyki.

Niech to szlag.

Poderwał się, chwycił skórzaną kurtkę i wymaszerował z pokoju.

Przejrzał się w lustrze, zobaczył, że kurtka leży jak powinna. Przeczytał opis po raz

ostatni. Już jej nie lubił. „W” w imieniu, które należy pisać przez „v”, tak jak jego własne – samo to było powodem, by ją ukarać. Wolałby inną ofiarę, bardziej w jego guście. Taką jak Katrine Bratt. Ale decyzja została podjęta za niego. Czekala kobieta z literą „w” w imieniu.

Zapiął ostatni guzik kurtki.

Wyszedł.

8 PIĄTEK, W CIĄGU DNIA

– W jaki sposób Bellman zdołał cię namówić? – Gunnar Hagen stał przy oknie, zwrócony do Harry’ego plecami.

– No cóż – rozległ się charakterystyczny głos. – Złożył mi propozycję, której nie mogłem się oprzeć. – Głos miał w sobie więcej żwiru, niż kiedy Hagen słyszał go ostatnio, ale tę samą głębię i spokój. Hagen podsłuchiwał kiedyś jedną z podwładnych, która stwierdziła, że w Harrym jedyną piękną rzeczą jest jego głos.

– A jaka była ta propozycja?

– Pięćdziesiąt procent dodatku za nadgodziny i podwójne punkty do emerytury.

Naczelnik wydziału zaśmiał się krótko.

– I nie stawiasz żadnych warunków?

– Tylko takie, że sam dobiorę członków swojej grupy. Chcę jedynie trzy osoby.

Gunnar Hagen się odwrócił. Harry zapadł się w fotel przed biurkiem Hagen, długie nogi wyciągnął przed siebie. Na jego wąskiej twarzy pojawiło się więcej bruzd, a w gęstych krótkich jasnych włosach widać było ślady siwizny. Ale nie był już tak chudy jak wówczas, gdy Hagen widział go ostatnio. Białka otaczające niebieskie tęczęwki nie stały się całkiem przejrzyste, ale nie miały też tak wyraźnej siateczki czerwonych żyłek, jak w najgorszych okresach.

– Nadal nie pijesz, Harry?

– Jestem suchy jak norweska studnia z ropą naftową, szefie.

– Hm. Masz świadomość, że norweskie studnie naftowe wcale nie wyschły?

Po prostu zamknięto je w oczekiwaniu, aż ceny ropy znów pójdą w górę.

– Właśnie taki obraz usiłowałem przekazać.

Hagen pokręcił głową.

– A ja myślałem, że przez lata trochę wydoroslejesz, Harry.

– To rozczarowujące, prawda? Nie mądrzejemy, po prostu się starzejemy. Ciągłe żadnych wieści od Katrine?

- Nic.
- Może zadzwonimy jeszcze raz.

* * *

– Hallstein! – dobiegło z salonu wołanie. – Dzieci chcą, żebyś jeszcze raz był wilkiem!

Znów gąski, gąski do domu. Hallstein Smith westchnął z rezygnacją, ale nie bez zadowolenia, po czym odłożył książkę *The Miscellany of Sex* Franceski Twinn na kuchenny stół. Owszem, czytanie o tym, że na Wyspach Trobrianda należących do Papui-Nowej Gwinei za wyraz namiętności uważano odgryzanie kobietom rzęs, było interesujące, ale nie znalazł tu nic, do czego powinien się odnieść w swojej pracy doktorskiej, a większą radość sprawiało mu sprawianie radości własnym dzieciom. Wprawdzie był zmęczony po poprzedniej rundzie, ale trudno, przecież urodziny są tylko raz w roku. To znaczy cztery razy, jeśli ma się czworo dzieci. Sześć, jeśli się uprą, by urządzać kinderbal również z okazji urodzin rodziców. Dwanaście, jeśli będzie się obchodzić również półrocznice. Szedł już do salonu, z którego dobiegało wyczekujące gęganie dzieciaków, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Hallstein Smith otworzył i zobaczył, że stojąca na schodach kobieta wyraźnie się na niego gapi.

– Przedwczoraj zjadłem coś z orzechami – wyjaśnił, drapiąc swędzącą jaskrawoczerwoną wysypkę na czole. – To zniknie za parę dni.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że wcale nie pokrzywka przykuła jej uwagę.

– Aha, o to chodzi. – Złapał się za nakrycie głowy. – To ma wyobrażać łeb wilka.

– Przypomina raczej kota – stwierdziła kobieta.

– W zasadzie to zajaczek wielkanocny, ale udajemy, że wilk polujący na gęsi.

– Nazywam się Katrine Bratt, jestem z Wydziału Zabójstw komendy w Oslo.

Smith lekko przechylił głowę.

– Oczywiście, przecież widziałem panią wczoraj w wiadomościach telewizyjnych. Chodzi o ten wpis na Twitterze? Telefon się urywał, a nie było moim zamiarem narobienie takiego zamieszania.

– Mogę wejść?

– Naturalnie, proszę. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko nieco... hałasującym dzieciom.

Wyjaśnił swoim potomkom, że przez pewien czas muszą sami po kolei odgrywać rolę wilka, i zabrał policjantkę do kuchni.

– Chyba dobrze by pani zrobiła filiżanka kawy – zauważył i nalał jej, nie czekając

na odpowiedź.

– Wczorajszy dzień nieoczekiwanie się wydłużył – wyjaśniła Katrine. – Zasnęłam, dlatego przychodzę do pana prosto z łóżka. Na dodatek udało mi się zostawić komórkę w domu, więc chciałabym spytać, czy mogłabym skorzystać z pana telefonu, żeby przekazać wiadomość do pracy.

Smith podał jej swój aparat i obserwował, jak policjantka bezradnie wpatruje się w archaiczny model Ericssona.

– Dzieci mówią, że to telefon dla głupków. Pokazać pani?

– Chyba jeszcze pamiętam, jak to się robi – odparła Katrine. – Proszę mi powiedzieć, co pan widzi na tym zdjęciu?

Zaczęła wstukiwac numer, a Smith w tym czasie oglądał podaną mu fotografię.

– Żelazna sztuczna szczęka – powiedział. – Z Turcji?

– Nie, z Caracas.

– Aha. Wiem po prostu, że podobna szczęka z żelaza znajduje się w Muzeum Archeologicznym w Stambule. Podobno używali jej żołnierze z armii Aleksandra Wielkiego, ale historycy podają to w wątpliwość, twierdząc, że to raczej przedmiot wykorzystywany przez przedstawicieli klasy wyższej do sadomasochistycznych zabaw. – Smith podrapał się po wysypce. – To znaczy, że on użył właśnie takiej szczęki?

– Nie wiemy tego z całą pewnością, jedynie wnioskujemy na podstawie kształtu ugryzienia, rdzy i resztek czarnej farby.

– Aha! – zawołał Smith. – Czyli jedziemy do Japonii.

– Tak? – Katrine przyłożyła telefon do ucha.

– Widziała pani może Japonki barwiące zęby na czarno? Nie? To tradycja o nazwie *ohaguro*. Oznacza „ciemność po zachodzie słońca”. Zyskała popularność w okresie Heian, około ósmego wieku naszej ery i... Mam mówić dalej?

Katrine potwierdziła machnięciem ręki.

– Podobno w średniowieczu żył na północy Japonii władca, który kazał swoim żołnierzom używać pomalowanych na czarno żelaznych szczęk. Te zęby miały głównie straszyć przeciwników, ale mogły być również wykorzystywane w walce wręcz. Jeżeli wróg zbliżył się na tyle, że ani broń, ani kopniaki czy ciosy ręką nie były już pomocne, to zęby ciągle mogły posłużyć do przegryzienia mu gardła.

Policjantka zasygnalizowała, że z kimś rozmawia.

– Cześć, Gunnar, mówi Katrine. Chciałam tylko powiedzieć, że prosto z domu pojechałam porozmawiać z Hallsteinem Smithem. Tak, to ten od wpisu na Twitterze. Mój telefon leży w domu, więc jeśli ktoś próbował mnie złapać... – Przez chwilę słuchała. – Żartujesz sobie? – Słuchała przez kilka kolejnych sekund. –

Harry Hole po prostu stanął w drzwiach i oświadczył, że chce pracować przy tej sprawie? Pogadamy o tym później. – Oddała telefon Smithowi. – No to proszę mi teraz powiedzieć, czym jest wampiryzm.

– Jeśli o to chodzi – odparł Smith – to myślę, że musimy się przejść.

Katrine szła obok Hallsteina Smitha żwirową ścieżką, prowadzącą od budynku mieszkalnego do obory. Opowiedział jej, że gospodarstwo z hektarem ziemi odziedziczyła jego żona, a zaledwie dwa pokolenia wcześniej na tych polach w Grini, kilka kilometrów od centrum Oslo, pasły się krowy i konie. Ale pod względem wartości i tak nie mogło się równać z położoną na wyspie Nesøya szopą na łodzie, która również weszła w skład spadku. Przynajmniej jeśli wierzyć ofertom przedstawionym im przez sąsiadów krezusów.

– Na Nesøye jest niepraktycznie daleko, ale nie chcemy sprzedawać tej szopy, dopóki nie musimy. Mamy tylko tanią aluminiową łódkę z dwudziestopięciokonnym silnikiem, lecz i tak ją kocham. Proszę nie mówić żonie, ale wolę morze od tej zapadłej wsi.

– Sama jestem dziewczyną z wybrzeża – wyznała Katrine.

– Z Bergen, prawda? Uwielbiam dialekt bergeński. Pracowałem rok na oddziale psychiatrycznym w Sandviken. Pięknie, chociaż dużo deszczu.

Katrine w zamyśleniu kiwnęła głową.

– Tak, ja też nie raz zmokłam w Sandviken.

Dotarli już do obory. Smith wyjął klucz i otworzył kłódkę.

– Mocne zamknięcie jak na oborę – zauważyła Katrine.

– Poprzednie było za słabe – odparł Smith, a Katrine wychwyciła w jego głosie rozgoryczenie. Przeszła przez próg i cicho krzyknęła, bo nastąpiła na coś, co się pod nią ugięło. Spojrzała pod nogi i zobaczyła długą na półtora metra i szeroką na metr metalową płytę, umieszczoną na tym samym poziomie co cementowa podłoga. Wydawało jej się, że płyta spoczywa na sprężynach, bo ciągle leciutko drżała, pobrzękując o cementową krawędź, zanim w końcu znieruchomiła.

– Pięćdziesiąt osiem kilo – oznajmił Smith.

– Słucham?

Skinął w lewo, tam gdzie na skali w kształcie półksiężyca duża strzałka drgała między wartościami pięćdziesiąt a sześćdziesiąt. Katrine zrozumiała, że stoi na staroświeckiej wadze do ważenia bydła. Zmrużyła oczy.

– Pięćdziesiąt siedem przecinek sześćdziesiąt osiem.

Smith się roześmiał.

– W każdym razie dużo poniżej wagi odpowiedniej do uboju. Muszę przyznać,

że sam co rano staram się susem ominąć tę wagę, bo niezbyt przyjemnie się myśli, że każdy dzień może być ostatni.

Ruszyli dalej, mijając kolejne boksy dla zwierząt, aż zatrzymali się przed drzwiami bardziej kojarzącymi się z biurem. Smith otworzył. Gabinet miał okno z widokiem na pole, a jego wyposażenie składało się z biurka z komputerem oraz rysunku człowieka wampira z wielkimi, cienkimi skrzydłami nietoperza, długą szyją i kwadratową twarzą. Na półkach za biurkiem stało trochę segregatorów i kilkanaście książek.

– Znajdzie tu pani wszystko, co kiedykolwiek ukazało się na temat wampiryzmu. – Smith przeciągnął ręką po ich grzbietach. – Wygląda to dość przejrzyście. Ale jeśli mamy udzielić odpowiedzi na pani pytanie o to, czym jest wampiryzm, to zaczniemy od tego: to Vandenberg i Kelly, z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. – Smith wyjął jedną z książek, otworzył ją i przeczytał: – „Wampiryzm to czynność polegająca na wysysaniu krwi z jakiegoś obiektu, zwykle obiektu uczuć, i osiągnięciu w ten sposób podniecenia seksualnego i rozkoszy”. Tak wygląda sucha definicja. Ale pani chodzi o coś więcej, prawda?

– Tak mi się wydaje. – Katrine popatrzyła na rysunek przedstawiający człowieka wampira. To było piękne dzieło sztuki. Prostota. Samotność. Od postaci bił taki chłód, że odruchowo mocniej owinęła się kurtką.

– A więc spróbujemy się trochę zagłębić – powiedział Smith. – Po pierwsze, wampiryzm nie jest żadnym nowomodnym wymysłem. Nazwa oczywiście wywodzi się od legend o krwiożerczych istotach w ludzkiej postaci. Korzenie tych opowieści możemy znaleźć w odległej przeszłości, szczególnie w Europie Wschodniej i w Grecji. Ale nowoczesne wyobrażenie wampira pojawiło się przede wszystkim wraz z książką Brama Stokera *Drakula* wydaną w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym i z pierwszymi filmami o wampirach z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Niektórzy badacze żyją w błędnym przekonaniu, że wampirysta, który jest zwyczajnym, ale chorym człowiekiem, czerpie inspirację przede wszystkim z tych mitów. Zapominają, że o wampiryzmie pisano już tutaj... – Smith wyciągnął stary tom w zmurszałej brązowej oprawie. – Richard von Krafft-Ebing, *Psychopathia Sexualis* z tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego, a więc zanim te legendy stały się powszechnie znane. – Ostrożnie odstawił książkę i wyjął inną. – Moje własne badania przyjmują za punkt wyjścia powiązanie wampiryzmu na przykład z nekrofagią, nekrofilią i sadyzmem, jak uważał również autor tej pozycji z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego, Bourguignon. – Smith przerzucił kilka stron. – „Wampiryzm to występujące rzadko kompulsyjne zaburzenie osobowości, charakteryzujące się

nieodpartą chęcią spożywania krwi. Wampirysta odprawia rytuał, który jest bezwzględnie konieczny w celu uzyskania psychicznego ukojenia, chociaż podobnie jak w wypadku innych zachowań przymusowych, sam wampirysta nie rozumie znaczenia tego rytuału”

– Więc wampirysta po prostu robi to, co robią wampiryści? Zwyczajnie nie potrafi inaczej?

– To duże uproszczenie, ale owszem, właśnie tak.

– Czy któraś z tych książek może nam pomóc w stworzeniu profilu zabójcy zabierającego krew swoich ofiar?

– Nie – odparł Smith i odstawił Bourguignona na miejsce. – Taka książka została uprawdzie napisana, ale nie stoi tu, na tej półce.

– Dlaczego?

– Ponieważ nigdy nie została wydana.

Katrine popatrzyła na Smitha.

– Pańska?

– Owszem, moja – potwierdził ze smutkiem w oczach Smith.

– A co się wydarzyło?

Wzruszył ramionami.

– Środowisko nie było gotowe na tak radykalną psychologię. Przecież ja się rzuciłem do gardła temu. – Wskazał na jeden z grzbietów. – Herschelowi Prinsowi i jego artykułowi w „British Journal of Psychiatry” z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. A takich rzeczy nie robi się bezkarnie. Zbywano mnie, twierdząc, że moje wnioski opierały się na studiach przypadku, że zabrakło uogólnień. Ale to przecież niemożliwe, skoro jest tak niewiele przypadków prawdziwego wampiryzmu, a te nieliczne, które istnieją, są diagnozowane jako schizofrenia, ponieważ brakuje odpowiedniej wiedzy. Nie dało się też wzbudzić większego zainteresowania badaniami nad wampiryzmem. Próbowiałem, ale nawet gazety, które tak chętnie publikują artykuły o drugorzędnych amerykańskich gwiazdkach, uznały, że wampiryzm to temat niepoważny i wygląda na poszukiwanie sensacji. A kiedy wreszcie zgromadziłem odpowiednią ilość badań, żeby ukręcić łeb tym błędnym ocenom, doszło do tego włamania. To, że ukradli komputer, to jedno, ale oni zabrali wszystko. – Smith pokazał ręką na puste półki. – Wszystkie karty moich pacjentów, całe archiwum, co do joty. A teraz niektórzy moi złośliwi koledzy twierdzą, że to mnie uratowało, jak gong oznajmiający koniec rundy. Że gdyby ten materiał został opublikowany, ośmieszyłbym się jeszcze bardziej, ponieważ jeszcze wyraźniejsze by się stało, że wampiryści nie istnieją.

Katrine przeciągnęła palcem wzdłuż ramy okalającej człowieka wampira.

- Kto się włamuje, żeby ukraść informacje o pacjentach?
- Bogowie jedni wiedzą. Sądzę, że jakiś kolega po fachu. Czekałem, aż pojawi się ktoś, kto opublikuje moje teorie i wyniki, ale nic takiego się nie stało.
- Może chciał przejąć pańskich pacjentów?
- No to powodzenia. – Smith się roześmiał. – Są tak głęboko zaburzeni, że nikt się nie chce nimi zajmować, proszę mi wierzyć. Nadają się jedynie do badań, a nie do tego, żeby zarabiać na nich na chleb. Gdyby moja żona nie miała takich dobrych dochodów z tych swoich szkół jogi, nie moglibyśmy zatrzymać ani gospodarstwa, ani szopy na łodzie. À propos, mam przyjęcie urodzinowe, goście cały czas czekają na wilka.

Wyszli, a kiedy Smith zamykał drzwi do gabinetu, Katrine zauważyła niedużą kamerę zamontowaną na ścianie nad boksami.

– Wie pan, że policja już się nie zajmuje drobnymi włamaniami, nawet jeśli przedstawi pan zdjęcia z kamery?

– Wiem, wiem – westchnął Smith. – Trzymam to dla siebie. Gdyby złodziej wrócił, wiedziałbym, z którym kolegą mam do czynienia. Zainstalowałem też kamerę na zewnątrz i przy bramie.

Katrine się uśmiechnęła.

– A ja myślałam, że akademicy to przemili superinteligentni ludzie, którzy nie wychylają nosów z książek, a nie zwykli złodzieje.

– Och, obawiam się, że popełniamy takie same głupstwa, jak ci uznawani za mniej inteligentnych od nas – powiedział Smith, ze smutkiem kręcąc głową. – Łącznie ze mną, żeby była jasność.

– Ach tak?

– To nic ciekawego. Pewien głupi błąd, który moi koledzy po fachu wynagrodzili przewiskiem. Ale to było już dawno.

Może i było dawno, lecz Katrine i tak dostrzegła grymas bólu, który przemknął po jego twarzy.

Na schodach przed domem wręczyła psychologowi swoją wizytówkę.

– Jeśli zwróci się do pana ktoś z mediów, byłabym wdzięczna, gdyby nie wspominał pan o naszej rozmowie. Ludzie zaczną się bać, jeśli się dowiedzą, że zdaniem policji grasuje wampir.

– Media na pewno nie zadzwonią – odparł Smith, wpatrując się w jej wizytówkę.

– Tak? Dlaczego? Przecież „VG” wydrukowała pański wpis na Twitterze.

– Ale wywiadu ze mną nie przeprowadzili. Pewnie ktoś ciągle pamięta, że już wcześniej wołałam: „Uwaga, wilk!”

– Wilk?

– Chodziło o zabójstwo jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, byłem pewien, że to dzieło wampirysty. Plus ta sprawa sprzed trzech lat, nie wiem, czy pani pamięta.

– Nie.

– No tak, wtedy też nikt nie mówił o tym głośno. Na szczęście, chyba tak można podsumować.

– Więc teraz woła pan: „Uwaga, wilk!” już po raz trzeci?

Smith powoli skinął głową.

– Tak, to już trzeci raz. Rozumie pani zatem, że mam dość długi rejestr grzechów.

– Hallstein? – Z domu dobiegło wołanie kobiety. – Idziesz?

– Za moment, moja droga! Włącz alarm antywilkowy! Auuuu!

Katrine w drodze do bramy usłyszała narastający krzyk kilku gardeł. Rozhisteryzowane gęsi przed masakrą.

9 PIĄTEK, POPOŁUDNIE

O godzinie piętnastej Katrine miała spotkanie w Wydziale Techniki Kryminalistycznej, o szesnastej w Instytucie Medycyny Sądowej, oba równie przygnębiające, a o siedemnastej rozmowę z Bellmanem w gabinecie komendanta.

– Cieszę się, że pozytywnie przyjąłś decyzję o sprowadzeniu Holego, Bratt.

– Dlaczego miałabym nie zareagować pozytywnie? Harry jest naszym najbardziej zasłużonym śledczym.

– Niektórzy dowódcy uznaliby takie prośenie starego bohatera o zajrzenie w karty za... prowokację.

– Dla mnie to żaden problem, bo zawsze gram w otwarte karty, panie komendancie. – Katrine uśmiechnęła się przelotnie.

– To dobrze. Harry i tak pokieruje własną niezależną grupą, więc nie musisz się obawiać, że będzie się wtrącał. Po prostu trochę zdrowej konkurencji. – Bellman złączył dłonie czubkami palców. Katrine zauważyła, że jedna z jasnych plam na jego skórze ułożyła się w szerszą opaskę pod ślubną obrączką. – A ja oczywiście będę kibicował kobiecie. Mam nadzieję, że możemy liczyć na szybkie wyniki.

– Aha – mruknęła Katrine Bratt spokojnie, patrząc na zegarek.

– Co: aha?

Wychwyciła irytację w jego głosie.

– Aha, szef ma nadzieję na szybkie wyniki.

Zdawała sobie sprawę, że umyślnie prowokuje komendanta. Nie robiła tego

dlatego, że tak właśnie chciała. Po prostu inaczej nie potrafiła.

– Ty również powinnaś na to liczyć. Parytet czy nie, takich stanowisk jak twoje nie rozdaje się codziennie.

– Wobec tego postaram się na nie uczciwie zasłużyć.

Nie odwróciła oczu pod jego spojrzeniem. Miała wrażenie, że klapka jeszcze podkreśla intensywność spojrzenia i piękno tego drugiego, sprawnego oka. A także widoczny w nim błysk twardości, bezwzględności.

Wstrzymała oddech.

Tymczasem Bellman nagle się roześmiał.

– Lubię cię, Katrine. Ale muszę ci udzielić kilku rad.

Czekała, gotowa na wszystko.

– Uważam, że podczas następnej konferencji prasowej to ty powinnaś zabierać głos, a nie Hagen. Musisz podkreślić, że to bardzo trudna sprawa, w której nie mamy absolutnie żadnych śladów, dlatego musimy być gotowi na długie śledztwo. Media przestaną się tak niecierpliwić i zostawią nam więcej przestrzeni do działania.

– Zabójca może przez to nabrać odwagi i zaatakować ponownie.

– Nie przypuszczam, żeby zabójca kierował się tym, co wypisują gazety.

– Skoro szef tak uważa... No cóż, muszę już iść przygotować się do kolejnej odprawy z całą grupą.

Katrine wyczytała w jego oczach milczące ostrzeżenie.

– Dobrze, idź. Ale zrób tak, jak mówię. Powiedz mediom, że to najtrudniejsza sprawa ze wszystkich, jakimi się zajmowałaś.

– No...

– Oczywiście wyraż to własnymi słowami. Kiedy kolejna konferencja?

– Dzisiejszą odwołaliśmy, ponieważ nie mamy nic nowego do przekazania.

– Okej. Pamiętaj, że jeśli tę sprawę przedstawimy jako trudną, tym większa będzie chwała, kiedy ją rozwiążemy. I przecież nie kłamiemy, nie mamy żadnych śladów, prawda? Poza tym media uwielbiają wielkie tajemnice z dreszczykiem. Potraktuj to jako sytuację, w której nie ma przegranych.

Nie ma przegranych, akurat, pomyślała Katrine, idąc w dół schodami do Wydziału Zabójstw na szóstym piętrze.

O godzinie osiemnastej Katrine otworzyła zebranie grupy śledczej. Rozpoczęła od podkreślenia wagi pisania raportów i notatek, a także umieszczania ich w systemie na bieżąco, ponieważ nie zrobiono tego po pierwszym przesłuchaniu Geira Sølle, mężczyzny, z którym Elise Hermansen umówiła się na randkę przez

Tindera w wieczór zabójstwa, dlatego po raz drugi kontaktował się z nim inny śledczy.

– Dodatkowa praca to jedno, ale przede wszystkim przez takie sytuacje opinia publiczna odnosi wrażenie, że u nas w komendzie nie wie lewica, co czyni prawica.

– Musiał wystąpić jakiś błąd w systemie – oświadczył Truls Berntsen, chociaż Katrine wcale nie wywołała go po nazwisku. – Ja swoje napisałem i wysłałem.

– Tord? – spytała Katrine.

– W ciągu ostatniej doby nikt nie zgłaszał żadnego błędu w systemie – odparł Tord Gren. Dopiero wtedy poprawił okulary i dostrzegł błagalne spojrzenie Katrine, które odczytał prawidłowo. – Ale oczywiście coś może być nie tak z twoim komputerem, Berntsen. Sprawdzę go.

– Skoro jesteś już przy głosie, Tord, przedstaw nam swoje najnowsze genialne posunięcie, dobrze?

Ekspert od komputerów zaczerwienił się, kiwnął głową i zaczął mówić sztywno, nienaturalnym tonem, jakby czytał z notatek.

– Usługi dotyczące lokalizacji. Większość użytkowników telefonów komórkowych pozwala, by jedna czy nawet kilka aplikacji, które mają w telefonie, zbierały dane o miejscu, w którym się w danej chwili znajdują. Wiele osób nie ma nawet świadomości, że na to zezwalają.

Pauza. Tord przełknął ślinę. A Katrine uświadomiła sobie, że on właśnie to robi: recytuje napisany wcześniej tekst, którego nauczył się na pamięć, kiedy poprosiła go o wytłumaczenie jego pomysłu całej grupie.

– Wiele tych aplikacji nakazuje zaakceptować warunek swobodnej sprzedaży danych dotyczących lokalizacji komercyjnej stronie trzeciej. Jest nią firma Geopard. Gromadzi te dane i nie obwarowała się żadną klauzulą o niesprzedawaniu ich dalej oficjalnym organom, czyli policji. W chwili zwalniania z więzienia osób, które odbyły karę za przestępstwa na tle seksualnym, uzyskujemy od nich dane kontaktowe, to znaczy adres zamieszkania, numer komórki i adres mailowy, ponieważ rutynowo chcemy mieć możliwość kontaktu z nimi, w razie gdyby doszło do podobnych przestępstw jak te, za które ci ludzie zostali skazani. Postępujemy tak, ponieważ powszechnie sądzono, że z przestępstwami na tle seksualnym wiąże się największe ryzyko recydywy. Nowoczesne badania wykazują, że wcale tak nie jest. Prawdopodobieństwo powtórzenia się gwałtu jest najmniejsze. BBC Radio 4 podało niedawno, że szansa na ponowne aresztowanie przestępców wynosi w USA sześćdziesiąt procent, a w Wielkiej Brytanii pięćdziesiąt. Często osoby takie są aresztowane za ten sam rodzaj przestępstwa. Ale nie jest tak w wypadku gwałtu. Ze statystyk amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości wynika,

że siedemdziesiąt osiem przecinek osiem procent osób przyłapanych na kradzieży pojazdów aresztowano za takie samo przestępstwo w ciągu trzech lat, a spośród skazanych za przechowywanie i sprzedaż przedmiotów pochodzących z kradzieży było to siedemdziesiąt cztery procent. I tak dalej. Natomiast w wypadku gwałtów liczba ta wynosi zaledwie dwa i pół procent.

Tord się zawahał. Katrine domyśliła się, iż wyczuł, że grupa ma ograniczoną cierpliwość dla tego rodzaju dywagacji. Chrząknął.

– Nieważne. Po otrzymaniu naszej partii danych kontaktowych Geopard potrafi przedstawić nam mapę z zaznaczeniem, gdzie telefony tych osób, przy założeniu, że korzystają z usług zbierających dane o lokalizacji, znajdowały się w danym czasie czy okresie. Na przykład w środę wieczorem, jak w tym wypadku.

– Z jaką dokładnością? – zapytał Magnus Skarre.

– Do kilku metrów kwadratowych – odparła Katrine. – Ale GPS określa tylko dwie współrzędne, więc nie uzyskamy danych dotyczących wysokości, na przykład nie dowiemy się, na którym piętrze znajdował się telefon.

– Ale czy to naprawdę jest legalne? – spytała Gina, analityczka. – Mam na myśli zasady ochrony danych osobowych...

– ...mające wielkie problemy z dotrzymaniem kroku nowoczesnym technologiom – przerwała jej Katrine. – Naradzałam się z naszym prokuratorem, a on stwierdził, że wkraczamy w strefę, której nie obejmuje obowiązujące aktualnie prawo. A to, co nie zostało wprost zabronione, jest, jak wiadomo... – Poruszyła ręką, ale nikt z obecnych nie chciał dokończyć zdania za nią. – Mów dalej, Tord.

– Po zaakceptowaniu strony prawnej przez prokuratora i finansowej przez Gunnara Hagenę kupiliśmy te mapy. Ta z nocy zabójstwa pokazuje nam pozycję GPS dziewięćdziesięciu jeden procent skazanych wcześniej przestępców na tle seksualnym. – Tord urwał. Chwilę pomyślał, w końcu powiedział: – No tak.

Katrine zrozumiała, że tekst został wyrecytowany do końca. Nie rozumiała tylko, dlaczego przez salę nie przeszedł szmer podziwu.

– Ludzie, czy wy nie rozumiecie, ile pracy nam to zaoszczędziło? Gdybyśmy mieli eliminować ze sprawy tylu podejrzanych, korzystając z dotychczasowych sposobów...

Rozległo się ciche chrząknięcie. To był Wolff, najstarszy, który powinien już być na emeryturze.

– Ponieważ mówisz o „eliminowaniu”, to chyba ma oznaczać, że te mapy nie wykazały żadnej aktywności pod adresem Elise Hermansen?

– Owszem. – Katrine ujęła się pod boki. – Ale do tradycyjnego sprawdzenia alibi zostało nam tylko dziewięć procent podejrzanych.

– Zlokalizowanie telefonu niekoniecznie gwarantuje alibi. – Skarre się rozejrzył, jakby spodziewał się aplauzu.

– Chyba rozumiesz, o co mi chodzi – powiedziała Katrine z rezygnacją. Co się dzieje z tymi ludźmi? Byli tu po to, żeby wykryć sprawcę zabójstwa, a nie żeby wysysać energię z siebie nawzajem. – Technicy, proszę – oddała im głos, siadając z przodu, w pierwszym rzędzie, żeby przez chwilę nie patrzeć na swoją grupę.

– Nie ma tego wiele – stwierdził Bjørn Holm, wstając. – Laboratorium przebadalo ten płatek farby w ranie. Bardzo wyjątkowa rzecz. Przypuszczamy, że to opiłki żelaza rozpuszczone w occie z dodatkiem roślinnego garbnika pochodzącego z herbaty. Sprawdziliśmy to, farba może się wywodzić z tradycji japońskiej, bo to tam barwiono zęby na czarno.

– *Ohaguro* – uzupełniła Katrine. – „Ciemność po zachodzie słońca”

– No właśnie. – Bjørn posłał jej takie samo pełne uznania spojrzenie jak podczas śniadań w kawiarni, gdy z rzadka udało jej się go pokonać w quizie zamieszczonym w „Aftenposten”

– Dziękuję – powiedziała Katrine i Bjørn usiadł. – Przejdźmy teraz do problemu, który do tej pory staraliśmy się omijać, a problem jest, i to duży. Do tego, co „VG” nazywa źródłem informacji, a my donosicielem. – W cichym pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciszej. – To, co już się stało, to jedna rzecz, a mianowicie zabójca dowiedział się, co już wiemy, więc może się zabezpieczyć. Gorzej, że my, zebrani w tej sali, nie wiemy, czy możemy ufać sobie nawzajem. Dlatego najpierw spytam wprost: kto rozmawiał z „VG”?

Ku swojemu zdumieniu zobaczyła jedną rękę wędrującą w górę.

– Tak, Truls?

– Müller i ja rozmawialiśmy z Moną Daa bezpośrednio po wczorajszej konferencji prasowej.

– Masz na myśli Wyllera?

– Mam na myśli tego nowego. Żaden z nas nic nie powiedział. Ale tobie ta kobieta dała wizytówkę, prawda, Wyller?

Spojrzenia wszystkich skierowały się na Andersa Wyllera, którego twarz pod jasną grzywką poczerwieniała jak piwonia.

– No... no tak, ale...

– Wszyscy wiemy, że Mona Daa jest reporterką kryminalną „VG” – przypomniała Katrine. – Nie potrzeba wizytówki, żeby zadzwonić do gazety na centralę i poprosić o kontakt z nią.

– Wygadałeś się, Wyller? – spytał Magnus Skarre. – Mów, jak było. Każdy świeżak ma pewien limit wpadek.

- Ale ja nie rozmawiałem z „VG” – zaprotestował Wyller z rozpaczą w głosie.
- Berntsen przed chwilą powiedział, że rozmawiałeś! – zawołał Skarre. – Twierdzisz, że Berntsen kłamie?
- Nie, ale...
- Wyduśże to z siebie!
- No... ona powiedziała, że ma alergię na koty, a ja, że mam kota.
- Czyli jednak rozmawialiście. O czym jeszcze?
- Równie dobrze ty mogłeś być źródłem informacji, Skarre. – Głęboki spokojny głos dobiegł z końca sali, dlatego wszyscy się odwrócili. Nikt nie słyszał, jak ten człowiek wchodził. Wysoki mężczyzna bardziej leżał, niż siedział na krześle przysuniętym pod samą ścianę.
- Zobaczcie, kogo nam tu przywiało – powiedział Skarre. – Nie rozmawiałem z „VG”, Hole.
- Tak samo jak każdy obecny na tej sali mogłeś przypadkiem ujawnić odrobinę za dużo świadkowi, którego przesłuchiwałeś. A świadek mógł zadzwonić do gazety i powiedzieć, że dowiedział się tego bezpośrednio od glin. Stąd „źródło w policji”. Takie rzeczy dzieją się cały czas.
- *Sorry*, ale tutaj nikt w to nie uwierzy, Hole! – prychnął Skarre.
- A powinniście – odparł Harry. – Bo i tak nikt się nie przyzna, że rozmawiał z „VG”. Natomiast jeśli ciągle będziecie myśleć o tym, że jest wśród was kret, to całe wasze śledztwo utknie w martwym punkcie.
- Co on właściwie tu robi? – spytał Skarre, zwracając się do Katrine.
- Harry ma zorganizować własną grupę, która będzie pracowała równolegle z nami – wyjaśniła.
- Ta grupa na razie jest jednoosobowa – oznajmił Harry. – A ja przyszedłem tu zamówić trochę materiałów. Jeśli chodzi o tych dziewięć procent przestępców, co do których nie wiemy, gdzie się znajdowali w chwili zabójstwa, to czy mogę dostać ich listę ułożoną według długości ich ostatecznych wyroków?
- Ja to załatwię! – wyrwał się Tord, ale się zmitygował i spojrzał pytająco na Katrine.
- Kiwnęła głową na znak, że się zgadza.
- Coś jeszcze?
- Listę przestępców na tle seksualnym, którzy dzięki Elise Hermansen trafili za kratki. I to już wszystko.
- Zanotowałam – powiedziała Katrine. – Ale ponieważ już tu jesteś, to może przedstawisz nam swoje pierwsze skojarzenia.
- No cóż. – Harry się rozejrzył. – Wiem, że patolog znalazła środek nawilżający,

który zapewne pochodzi od zabójcy, ale nie można wykluczyć, że jego głównym motywem była zemsta, a czynności seksualne to tylko bonus. To, że zabójca najprawdopodobniej znajdował się w mieszkaniu ofiary w chwili jej powrotu do domu, nie jest jednoznaczne z tym, że go wpuściła lub że się znali. Dlatego nie chciałbym ograniczać śledztwa na tak wczesnym etapie. Przypuszczam zresztą, że wam samym już dawno przyszło to do głowy.

Katrine uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Wszystko jedno, dobrze mieć cię z powrotem, Harry.

Ten może najlepszy, może najgorszy, a z całą pewnością najbardziej legendarny śledczy w komendzie policji w Oslo z wielkim trudem zdołał się ukłonić ze swojej pozycji w trzech czwartych leżącej.

– Dziękuję, szefowo.

– Ty naprawdę tak myślisz – odezwała się Katrine. Stała razem z Harrym w windzie.

– Co myślę?

– Nazwałeś mnie szefową.

– Oczywiście – potwierdził Harry.

Wysiedli w garażu, Katrine wcisnęła przycisk przy kluczyku samochodowym. Gdzieś w ciemności zamigotały światła i rozległo się piśnięcie. To Harry ją przekonał, że powinna korzystać ze służbowego samochodu, który automatycznie dostała do dyspozycji na czas takiego śledztwa jak to. A następnie że powinna go podrzucić na kawę do restauracji U Schrødera.

– A co się stało z twoim taksówkarzem? – spytała Katrine.

– Z Øysteinem? Dostał wymówienie.

– Od ciebie?

– Ależ skąd, od właściciela taksówki. Doszło do pewnego incydentu.

Katrine pokiwała głową. Pomyślała o Øysteinie Eikelandzie, długowłosym chudzielcu z zębami ćpuna i przepitym głosem. Øystein wyglądał na siedemdziesiąt lat, a był jednym z przyjaciół Harry'ego z dzieciństwa. Jednym z zaledwie dwóch, jak twierdził Harry. Drugiego nazywano Drewniak i był, jeśli to możliwe, jeszcze dziwniejszą figurą, niesympatycznym urzędnikiem z nadwagą, który nocą niczym Mister Hyde przemieniał się w pokerzystę.

– A co się stało? – spytała Katrine.

– Mhm. Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie, ale mów.

– Øystein nie znosi dźwięku fletni Pana...

– A kto go znosi?

– No i wyobraź sobie, dostaje zlecenie na długi wyjazd, aż do Trondheim, z facetem, który może podróżować wyłącznie taksówką, ponieważ boi się samolotów i pociągów. Facet poza wszystkim z trudem nad sobą panuje i zabiera płytę CD ze starymi hitami na fletnię Pana, której musi słuchać przy wykonywaniu ćwiczeń oddechowych, żeby kompletnie nie odjechać. I w środku nocy, w górach Doure, kiedy wersja *Careless Whisper* na fletnię Pana zaczyna się po raz szósty, Øystein wyrywa płytę z odtwarzacza i wyrzuca ją przez okno. Dochodzi do rękoczynów.

– Rękoczyny to piękne słowo. A sama piosenka jest okropna już w wykonaniu George'a Michaela.

– Øystein na koniec wykopał faceta z samochodu.

– W biegu?

– No nie. Ale na odludziu, na płaskowyżu Doure, w środku nocy, dwadzieścia kilometrów od najbliższego domu. Øystein na swoją obronę mówił, że to był lipiec, nie zapowiadano deszczu, a niemożliwe, żeby facet cierpiał jeszcze na lęk przed chodzeniem.

Katrine się śmiała.

– A teraz jest bezrobotny? Powinieneś go zatrudnić jako prywatnego kierowcę.

– Próbuję znaleźć mu robotę, ale Øystein – to cytat z niego – jest wprost stworzony do bezrobocia.

Restauracja U Schrødera pomimo nazwy była raczej piwiarnią. Stała popołudniowa klientela jak zwykle nie zawiodła i powitała Harry'ego łaskawymi skinieniami głów, nie przechodząc na poziom werbalny.

Kelnerka natomiast rozpromieniła się, jakby syn marnotrawny wrócił do domu, i podała im kawę zdecydowanie niebędącą powodem do tego, że cudzoziemcy ostatnio zaczęli wychwalać Oslo jako jedno z najlepszych miast dla smakoszy kawy.

– Szkoda, że tobie i Bjørnowi nie wyszło.

– Owszem. – Katrine nie wiedziała, czy Harry chce, żeby to jakoś rozwinęła. Ani czy sama chce to rozwijać. Dlatego tylko wzruszyła ramionami.

– No tak. – Harry podniósł do ust filiżankę z kawą. – I jak wygląda życie świeżo upieczonej singielki?

– Ciekawi cię życie singli?

Roześmiał się. A ona uświadomiła sobie, że stęskniła się za tym śmiechem. Za rozśmieszaniem Harry'ego. Ten śmiech za każdym razem był dla niej jak nagroda.

– Życie singielki jest całkiem fajne. Spotykam się z różnymi facetami. – Spojrzała na Harry'ego w poszukiwaniu reakcji. Czyżby na nią liczyła?

– W takim razie mam nadzieję, że Bjørn spotyka się z różnymi babkami. Chodzi mi o jego dobro.

Pokiwała głową, chociaż właściwie wcześniej w ogóle o tym nie myślała. Akurat niczym ironiczny komentarz rozległo się wesołe piknięcie, sygnalizując *match* Tindera, i moment później Katrine dostrzegła spieszącą do wyjścia kobietę ubraną w desperacką czerwień.

– Dlaczego wróciłeś, Harry? Przecież powiedziałeś mi, że nigdy więcej nie będziesz zajmował się zabójstwami.

Harry obracał filizankę.

– Bellman zagroził, że wyrzuci Olega z Wyższej Szkoły Policyjnej.

Katrine pokręciła głową.

– Bellman to rzeczywiście największy drań na dwóch nogach od czasu cesarza Nerona. Chce, żebym okłamała prasę, twierdząc, że ta sprawa jest prawie niemożliwa do rozwiązania. Dzięki temu będzie lepiej wyglądało, kiedy ją rozwiążemy.

Harry spojrział na zegarek.

– No cóż, może Bellman ma rację. Zabójca, który zagryza ofiarę żelaznymi zębami i wypija pół litra jej krwi... Może rzeczywiście chodziło raczej o samo uśmiercenie, a nie o tę konkretną kobietę. A wtedy od razu sprawa robi się trudniejsza.

Katrine przytaknęła. Na ulicy świeciło słońce, a mimo to wydało jej się, że słyszy daleki odgłos grzmotu.

– To zdjęcie z miejsca zabójstwa Elise Hermansen – powiedział Harry. – Nie nasunęło ci żadnych skojarzeń?

– To ugryzienie w szyję? Nie.

– Nie chodzi mi o szczegóły. – Harry odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. – O całość. O sytuację, kiedy pierwszy raz słyszysz nową muzykę, graną przez nieznaną grupę, a mimo to wiesz, kto to napisał, bo w tym po prostu coś jest. Coś, czego nie potrafisz nazwać.

Katrine patrzyła na profil Harry'ego. Jeź króciutko ostrzyżonych jasnych włosów sterczał tak samo zbuntowany jak zawsze, chociaż może nie tak gęsty jak kiedyś. Twarz nabrała nowych cech. Zatoczki i bruzdy wbiły się w nią głębiej i chociaż przy oczach pojawiły się również zmarszczki od śmiechu, to jednak te brutalne ślady stały się bardziej widoczne.

Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego uważa, że Harry jest piękny.

– Nie – powtórzyła jeszcze raz.

– Okej.

– Harry?

– Mhm.

– Naprawdę wróciłeś z powodu Olega?

Odwrócił się, spojrzał na nią z uniesioną brwią.

– Dlaczego o to pytasz?

A ona tak jak dawniej poczuła, że to spojrzenie razi ją niczym prąd elektryczny i że Harry, który bywał tak nieobecny duchem, tak zdystansowany, potrafi jednym trwającym sekundę spojrzeniem odsunąć wszystko inne, zażądać pełnej uwagi – i ją dostać. Przez tę sekundę istniał na świecie tylko jeden mężczyzna.

– Nie wiem. – Roześmiała się krótko. – Dlaczego o to pytam? Chodźmy dalej.

– Ewa przez „w” Rodzice chcieli, żebym była wyjątkowa, a potem się okazało, że to dość zwyczajne w tych krajach żelaznego bloku. – Roześmiała się, wypła łyk z półlitrowej szklanki piwa. Rozchyliła usta, kciukiem i palcem wskazującym usunęła z kącików szminkę.

– Albo żelazna kurtyna, albo blok wschodni – poprawił ją mężczyzna.

– Słucham? – Spojrzała na niego. Był chyba dość przystojny, prawda? W każdym razie przystojniejszy od tych, z którymi na ogół parował ją Tinder. Ale pewnie coś z nim jest nie tak i objawi się to z czasem, bo z reguły tak bywało. – Wolno pijesz – zauważyła.

– A ty lubisz czerwień. – Mężczyzna spojrzał na jej płaszcz, który powiesiła na krześle.

– Tak jak ten wampir. – Ewa wskazała na jeden z ogromnych telewizorów, w którym leciały wiadomości. Mecz już się skończył, a bar, jeszcze pięć minut temu pełny, zaczął pustoszeć. Czuła się lekko wstawiona, ale tylko lekko. – Czytałeś „VG”? On podobno wypił jej krew.

– Tak. A wiesz, gdzie ona wypła swojego ostatniego drinka? Sto metrów stąd, przy tej samej ulicy. W barze Jealousy.

– Naprawdę? – Ewa się rozejrzała. Wyglądało na to, że większość innych gości przyszła w jakimś towarzystwie. Wcześniej zwróciła uwagę na siedzącego samotnie mężczyznę, który się jej przyglądał, ale teraz już gdzieś zniknął. I nie był to Szpicel.

– Oczywiście, że to prawda. Jeszcze coś do picia?

– Tak, muszę się napić. – Wzdrygnęła się. – Uff. – Dała sygnał barmanowi, który jednak pokręcił głową. Wskazówka minutowa minęła magiczną granicę.

– Wygląda na to, że innym razem – stwierdził mężczyzna.

– I to akurat teraz, kiedy udało ci się śmiertelnie mnie wystraszyć – powiedziała Ewa. – Będziesz musiał odprowadzić mnie do domu.

– Oczywiście. Mówiłaś, że to na Tøyen?

– Chodź. – Zarzuciła czerwony płaszcz na czerwoną bluzkę.

Na chodniku lekko się zatoczyła, nie mocno, ale poczuła, że dyskretnie ją podtrzymał.

– Miałam kiedyś stalkera. Nazywam go Szpicel. Spotkałam się z nim tylko raz i... nawet było nam miło. Ale kiedy nie chciałam już nic więcej, ogarnęła go zazdrość. Zaczął się pojawiać w różnych miejscach, w których spotykałam się z innymi.

– To musiało być nieprzyjemne.

– Pewnie. – Roześmiała się. – Ale człowiek czuje się też trochę dumny, że potrafi kogoś oczarować aż tak, że ten ktoś jest w stanie myśleć tylko o tobie. – Odkaslnęła. Pozwolił jej ująć się pod ramię i uprzejmie słuchał opowieści o mężczyznach, którym zawróciła w głowie. – Wiesz, byłam piękna. Dlatego początkowo nawet mnie nie zaskoczyło, kiedy się pojawił, pomyślałam, że pewnie za mną szedł. No a potem uświadomiłam sobie, że przecież nie mógł wiedzieć, że będę akurat w tym miejscu. I wiesz co?... – Zatrzymała się i lekko zachwiała na nogach.

– No nie wiem.

– Czasami miałam wrażenie, że on był u mnie w mieszkaniu. No wiesz, nasz mózg rejestruje ludzkie zapachy i rozpoznaje je, chociaż nie jesteśmy tego świadomi.

– No tak.

– Pomyśl, a jeśli to on jest tym wampirem?

– To byłby niezły zbieg okoliczności. Tutaj mieszkasz?

Zdziwiona popatrzyła na fasadę.

– Ojej, tak. Ale szybko doszliśmy.

– Jak wiadomo, czas płynie szybko w dobrym towarzystwie, Ewo. Ale dziękuję ci...

– Nie wejdiesz na górę? Wydaje mi się, że mam jeszcze w szafce schowaną butelkę.

– A mnie się wydaje, że oboje mamy już dość...

– Tylko po to, żeby sprawdzić, czy jego tam nie ma. Bardzo cię proszę.

– To naprawdę mało prawdopodobne.

– Zobacz, w kuchni się świeci. – Wskazała mieszkanie na parterze. – A jestem pewna, że przed wyjściem zgasiłam światło!

– Tak? – Mężczyzna stłumił ziewnięcie.

– Nie wierzysz mi?

– Wiesz, przepraszam cię, ale naprawdę muszę już wracać do domu, położyć się spać.

Popatrzyła na niego chłodno.

– Gdzie się podzieli prawdziwi dżentelmeni?

Uśmiechnął się ostrożnie.

– No... może poszli do domu i położyli się spać.

– Ha! Jesteś żonaty i uległeś pokusie, ale teraz żałujesz, mam rację?

Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie. Jakby było mu jej żal.

– Owszem – przyznał. – Właśnie tak. A teraz dobranoc, śpij dobrze.

Otworzyła kluczem drzwi na klatkę schodową. Weszła po schodach na wysoki parter. Nasłuchiwała. Ale nic nie było słychać. Nie miała pojęcia, czy wychodząc, zgasiła światło w kuchni. Po prostu tak powiedziała, żeby go ściągnąć do siebie. Ale teraz, kiedy już to powiedziała, miała wrażenie, jakby słowa ożyły. Może Szpicel rzeczywiście się do niej zakradł.

Nagle usłyszała szuranie kroków dochodzące zza drzwi do piwnicy, potem chrobot zamka i za moment stanął przed nią mężczyzna w uniformie ochroniarza. Zamknął drzwi białym kluczem i odwrócił się, a kiedy ją zobaczył, chyba się przestraszył.

– Nie słyszałem pani. – Roześmiał się. – Przepraszam.

– Jakież problemy? – spytała.

– Ostatnio było kilka włamań do piwnic. Dlatego spółdzielnia zamówiła patrole.

– Więc pan pracuje dla nas? – Ewa lekko przechyliła głowę. On też nie prezentował się najgorzej. I nie był taki młody jak większość ochroniarzy. – Wobec tego poproszę pana o sprawdzenie mojego mieszkania, dobrze? Wie pan, ja też miałam włamanie. A teraz widzę, że pali się światło, i nie pamiętam, czy gasiłam je przed wyjściem, czy nie.

Ochroniarz wzruszył ramionami.

– Nie mamy polecenia wchodzenia do mieszkań, ale dobrze.

Nareszcie mężczyzna, który się do czegoś nadaje, stwierdziła i oceniła go jeszcze raz. Dojrzały, ochroniarz. Z pewnością nie najbystrzejszy, ale solidny, spokojny. I łatwy w obejściu. Wspólnym mianownikiem mężczyzn w jej życiu było to, że mieli wszystko: dobre nazwiska, widoki na solidny spadek, wykształcenie, świetlaną przyszłość. I ubóstwiali ją. Ale niestety pili tak dużo, że ich wspólna świetlana przyszłość szła w diabły. Chyba najwyższa pora spróbować czegoś zupełnie nowego. Szukając w pęku kluczy właściwego, Ewa ustawiła się profilem i wysunęła biodro. O Boże, tyle kluczy! Może jednak upiła się bardziej, niż jej się wydawało.

Znalazła wreszcie, otworzyła, w przedpokoju zsunęła buty i poszła do kuchni. Usłyszała, że ochroniarz idzie za nią.

– Nikogo tu nie ma – oświadczył.

– Oprócz pana i mnie. – Uśmiechnęła się i odchyliła, opierając się o kuchenny blat.

– Przytulna kuchnia. – Ochroniarz stał w drzwiach i gładził swój mundur.

– Dziękuję. Gdybym wiedziała, że będę miała gości, posprzątałabym.

– I może pozmywała. – Uśmiechnął się.

– No właśnie. Ale doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. – Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy, zatoczyła się przy tym i musiała się podeprzeć. – Jeśli pan będzie tak miły i sprawdzi inne pomieszczenia, to ja w tym czasie przygotuję dla nas koktajl. Co pan na to? – Położyła rękę na nowym blenderze do smoothie.

Ochroniarz spojrział na zegarek.

– Za dwadzieścia pięć minut muszę być pod innym adresem. Ale zdążymy sprawdzić, czy nikt się u pani nie ukrywa.

– W tym czasie wiele się może wydarzyć.

Ochroniarz spojrział jej w oczy, zaśmiał się cicho, dłonią pogładził podbródek i wyszedł z kuchni.

Ruszył w kierunku, jak przypuszczał, drzwi do sypialni i zdziwiło go, jak bardzo akustyczne jest to mieszkanie. Rozróżniał słowa mężczyzny rozmawiającego z kimś u sąsiadów. Otworzył. Ciemno. Znalazł przełącznik za drzwiami. Zapaliło się słabe światło na suficie.

Pusto. Niezaścielone łóżko. Na szafce nocnej opróżniona butelka.

Poszedł dalej, otworzył drzwi do łazienki. Brudne kafelki, zapleśniała zasłona prysznicowa.

– Wygląda na to, że jest pani bezpieczna! – zawołał w stronę kuchni.

– Proszę usiąść w salonie! – odkrzyknęła.

– Okej, ale za dwadzieścia minut muszę wyjść. – Przeszedł do salonu i usiadł na zapadniętej kanapie. Z kuchni dobiegało pobrzękiwanie butelek i jej piskliwy głos.

– Napije się pan czegoś?

– Owszem, dziękuję. – Pomyślał, że ta kobieta ma naprawdę nieprzyjemny głos, z rodzaju tych, które chciałoby się wyłączyć pilotem. Ale kształty miała bujne. Trochę jakby matczyne. Pogrzebał w kieszeni uniformu, ale coś zaczepiło się o podszewkę.

– Mam dżin, białe wino. – Głos z kuchni brzmiał jak świder. – Trochę whisky. Na co ma pan ochotę?

– Na coś innego – mruknął cicho do siebie.

– Co? Wobec tego przyniosę wszystko.

– Dobrze, mamusiu – szepnął i wreszcie oswobodził przedmiot z podszewki. Położył go przed sobą na stoliku w miejscu, w którym ona z pewnością natychmiast go dostrzeże. Już czuł erekcję. Odetchnął głęboko. Miał wrażenie, jakby opróżniał pomieszczenie z tlenu. Odchylił się na kanapie i oparł nogi w kowbojkach tuż obok żelaznej szczęki.

Katrine Bratt w świetle lampki biurkowej wodziła zmęczonym wzrokiem po zdjęciach. Nie dało się po nich poznać, że to zwyrodnialcy. Że gwałcili kobiety, mężczyzn, dzieci i starców, w niektórych przypadkach torturowali ich, a w kilku, nielicznych, również zabili. Owszem, gdyby komuś opisano ich czyny aż po najdrobniejsze okrutne szczegóły, z pewnością dopatrzyłby się czegoś w tych zgnębionych, często wystraszonych spojrzeniach na zdjęciach z aresztowań. Ale na ulicy minąłby tych ludzi bez cienia podejrzeń, że mógł być obserwowany, oceniany i na szczęście został odrzucony jako ofiara. Niektóre nazwiska kojarzyła z czasów, kiedy pracowała w obyczajówce, innych nie знаła. Wiele było nowych. Codziennie przychodził na świat kolejny przestępca na tle seksualnym. Niewinny kłębusek, maleńki człowiek, którego płacz zagłusza krzyki rodzącej, przytwierdzony do życia pępowiną, a rodzice ronią łzy szczęścia na widok tego daru, dziecka, które później potnie pochwę związanej kobiety, onanizując się przy tym i wydając z siebie ochryple stęknienia, zagłuszane kobiecym krzykiem.

Połowa grupy śledczej zaczęła kontaktować się z tymi przestępcami, na pierwszy ogień biorąc tych z najokrutniejszymi czynami na koncie. Sprawdzano ich alibi. Na razie jednak nikomu nie udało się powiązać ani jednego z nich z okolicami miejsca zbrodni. Druga połowa przesłuchiwała dawnych kochanków ofiary, przyjaciół, kolegów z pracy i krewnych. Statystyki dotyczące zabójstw w Norwegii były jasne. W osiemdziesięciu procentach zabójca znał wcześniej ofiarę, a jeśli ofiarą była kobieta, która zginęła we własnym domu – w dziewięćdziesięciu. Mimo to Katrine nie spodziewała się znalezienia sprawcy w tych statystykach. Harry miał rację, to nie ten rodzaj zabójstwa. Tożsamość ofiary była podporządkowana samemu czynowi. Przejrzeli też listę przestępców na tle seksualnym, przeciwko którym zeznawały klientki Elise, lecz Katrine nie bardzo chciało się wierzyć w to, że sprawca – jak sugerował Harry – upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: osiągnął słodką zemstę i jednocześnie seksualne zaspokojenie. I czy w ogóle można mówić o zaspokojeniu? Usiłowała wyobrazić sobie napastnika, który po popełnieniu zbrodni leży z papierosem w ustach, obejmując ofiarę jedną ręką, i z uśmiechem szepcze: „Ale było fajnie”. Przecież Harry mówił o nieustającej

frustracji seksualnej seryjnych zabójców, ponieważ nigdy nie udaje im się w pełni osiągnąć tego, o co im chodzi, dlatego polują na kolejne ofiary z nadzieją, że z następną się uda, będzie idealnie, osiągną spełnienie i urodzą się na nowo przy wtórze krzyków kobiety, zanim przetną pępowinę łączącą ich z człowieczeństwem.

Katrine znów popatrzyła na zdjęcie leżącej na łóżku Elise Hermansen. Szukała tego, co mógł dostrzec Harry. Albo usłyszeć. Porównywał to chyba do muzyki? Zrezygnowana, zasłoniła twarz dłońmi. Co ją skłoniło do uwierzenia, że ma psychikę nadającą się do takiej pracy? „Dwubiegunowość jest dobrym punktem wyjścia wyłącznie dla artystów”, powiedział jej psychiatra, kiedy była u niego ostatnio, a potem wypisał nową receptę na małe różowe tabletki, które pozwalały jej utrzymywać się w pionie.

Był weekend, normalni ludzie robili normalne rzeczy, nie siedzieli w pracy i nie oglądali okrutnych zdjęć z miejsca zbrodni ani okrutnych ludzi, z nadzieją, że ich twarze coś wyjawiają, a później nie umawiali się za pośrednictwem Tindera na randkę z szybkim seksem, żeby zapomnieć. Akurat w tej chwili rozpaczliwie tęskniła za pępowiną, która połączyłaby ją z normalnością. Za niedzielnym obiadem. Kiedy jeszcze byli razem, Bjørn wielokrotnie zapraszał ją na niedzielny obiad do swoich rodziców w Skreia. To tylko półtorej godziny jazdy, ale Katrine zawsze znajdowała jakąś wymówkę. A teraz nie pragnęła niczego bardziej, niż usiąść za stołem z teściami, podawać w koło ziemniaki na półmisku, narzekać na pogodę, chwalić nową kanapę, przeżuwać suchą pieczeń z łosia i uczestniczyć w niemrawej, ale bezpiecznej konwersacji, w sytuacji, w której skinienia głową były ciepłe, żarty stare, a momenty irytacji do przeżycia. W tej chwili wiele by za to oddała.

– Cześć.

Katrine wzdygnęła się przestraszona. W drzwiach stał mężczyzna.

– Wykluczyłem ostatniego z mojej listy – oznajmił Anders Wyller. – Więc jeśli nie masz dla mnie żadnych innych zadań, pójdę do domu trochę się przespać.

– Jasne. Jesteś ostatni?

– Na to wygląda.

– A Berntsen?

– Wcześniej skończył i poszedł. Chyba był bardziej skuteczny.

– No właśnie. – Katrine miała ochotę się roześmiać, ale zabrakło jej siły. – Przepraszam, że cię o to proszę, Wyller, ale czy chciałoby ci się jeszcze raz sprawdzić jego listę? Bo wydaje mi się...

– Już to zrobiłem. Wygląda na to, że jest w porządku.

– Na pewno?

Katrine zleciła Wyllerowi i Berntsenowi uzyskanie od różnych dostawców usług

telekomunikacyjnych list z numerami i nazwiskami osób, z którymi ofiara kontaktowała się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Mieli się nimi podzielić i posprawdzać alibi tych ludzi.

– Tak, tak. Tylko w Åneby w Nittedal był jeden facet o imieniu, które się kończy na „y”. Trochę za dużo razy dzwonił do Elise na początku lata, dlatego starannie sprawdziłem jego alibi.

– Imię zakończone na „y”?

– Lenny Hell. Posłuchaj sobie, jak to brzmi.

– Słyszę. Podejrzewasz ludzi, opierając się wyłącznie na brzmieniu ich imion?

– Między innymi. Faktem jest, że ci z „y” na końcu są nadreprezentowani w statystykach kryminalnych.

– Czyli...

– Kiedy zobaczyłem notatkę Berntsena, że w czasie gdy doszło do zabójstwa Elise Hermansen, Lenny siedział razem z innym facetem w Pizza & Grill w Åneby, a potwierdził to jedynie właściciel tej pizzerii, zadzwoniłem do miejscowego lensmana i trochę się wywiedziałem.

– Dlatego że facet ma na imię Lenny?

– Dlatego że właściciel pizzerii ma na imię Tommy.

– I co ci powiedział lensman?

– Że Lenny i Tommy to dwaj bardzo praworządni, godni zaufania obywatele.

– Czyli się pomyliłeś?

– To się jeszcze okaże. Lensman ma na imię Jimmy.

Katrine roześmiała się głośno. Poczula, że właśnie tego potrzebowała. Anders Wyller odpowiedział uśmiechem. Ten uśmiech chyba też był jej potrzebny. Każdy stara się zrobić dobre pierwsze wrażenie, ale czuła, że gdyby nie spytała, Wyller nie powiedziałby jej, że wykonał również robotę Berntsena. A to pokazywało, że Wyller, podobnie jak ona, nie ufał Trulsowi Berntsenowi. Wcześniej przyszedł jej do głowy pewien pomysł, który początkowo odrzuciła, ale teraz zmieniała decyzję.

– Wejdz i zamknij za sobą drzwi.

Wyller usłuchał.

– Niestety jest jeszcze jedna rzecz, o którą muszę cię prosić. Ten przeciek do „VG”. To ty będziesz najbliższym współpracownikiem Berntsenem. Czy mógłbyś...

– Mieć oczy i uszy otwarte?

Katrine westchnęła.

– Mniej więcej. To zostanie między nami. A jeśli coś odkryjesz, będziesz rozmawiał o tym wyłącznie ze mną. Jasne?

– Jasne.

Po wyjściu Wyllera Katrine odczekała jeszcze kilka sekund, w końcu sięgnęła po telefon leżący na biurku. Wybrała numer. Bjørn. Wyświetliło się jego zdjęcie. Uśmiechał się. Nie dało się go nazwać przystojniakiem. Twarz miał bladą, lekko napuchniętą, rude włosy ostatnio się przerzedziły. Ale to był Bjørn, odtrutka na te wszystkie inne zdjęcia. Czego ona właściwie tak się bała? Skoro nawet Harry Hole potrafił żyć w bliskości z drugą osobą, to dlaczego ona nie mogła? Jej palec wskazujący zbliżył się do ikonki telefonu widocznej przy numerze, ale w głowie znów rozległ się sygnał alarmowy.

Sygnał pochodzący od Harry'ego i od Hallsteina Smitha.

Następna ofiara.

Odłożyła telefon i znów skupiła się na zdjęciach.

Następna.

A co, jeśli zabójca już myślał o następnej?

– Musisz się bardziej sta-starać, Ewa – szepnął.

Nienawidził, kiedy się bardziej nie starały.

Kiedy nie sprzątały swoich mieszkań. Kiedy nie dbały o swoje ciała. Kiedy nie potrafiły zatrzymać przy sobie mężczyzny, który zrobił im dziecko. Kiedy nie dawały dziecku kolacji, tylko zamykały je w schowku, każąc mu siedzieć cicho i czekać na obiecaną czekoladę, a w tym czasie przyjmowały mężczyzn, którzy dostawali wszystko, i kolację, i czekoladę, bawiły się z nimi, piszcząc z zachwytu, tak jak nigdy nie bawiły się ze swoim dzieckiem.

Nie to nie.

W takiej sytuacji dziecko postanowiło zabawić się z matką. I z takimi jak matka.

No i się bawił. Ostro się bawił. Aż pewnego dnia złapali go i zamknęli w schowku przy Jøssingveien 33. Ila. Zakład Karny i Miejsce Odosobnienia. W statucie napisano, że to krajowy zakład karny dla więźniów „wymagających szczególnej pomocy”

Jeden z tych pedalskich psychologów tłumaczył mu, że gwałty i jąkanie to skutek traum przeżytych w dzieciństwie. Co za idiotyzm. Jąkanie odziedziczył po ojcu, którego nigdy nie widział. Jąkanie i brudny garnitur. A o gwałceniu kobiet marzył, odkąd sięgał pamięcią. No i robił to, czego te kobiety nie potrafiły. Starał się bardziej. Prawie przestał się jąkać. Zgwałcił więzienną dentystkę. I uciekł z Ila. Kontynuował zabawę. Ostrzej niż dotychczas. To, że ścigała go policja, jeszcze dodawało tej zabawie pikanterii. Tak było aż do dnia, kiedy stanął twarzą w twarz z tym policjantem, kiedy dostrzegł w jego oczach zdecydowanie i nienawiść i zrozumiał, że ten człowiek mógłby go dopaść. Mógłby odesłać go z powrotem

do ciemności dzieciństwa w zamkniętym schowku, gdzie starał się wstrzymać oddech, żeby nie wciągać smrodu potu i tytoniu bijącego z grubego, zatłuszczonego wełnianego ojcowskiego garnituru, który wisiał tuż przed jego nosem, a który matka, jak mówiła, zachowała, na wypadek gdyby pewnego dnia ojciec znów się pojawił. Wiedział, że nie wytrzyma ponownego zamknięcia. Dlatego się ukrył. Ukrył się przed policjantem o spojrzeniu mordercy. Siedział cicho przez trzy lata. Trzy lata bez zabawy. Dopóki kryjówka nie zmieniła się w schowek. Potem nagle dostał tę szansę. Możliwość zabawy, w dodatku bezpiecznej. Oczywiście nie mogła być zbyt bezpieczna. Musiał czuć zapach strachu, żeby naprawdę się napalić. Strachu własnego i ich. Wszystko jedno, ile miały lat, jak wyglądały, duże czy małe, byle to były kobiety. Czyli potencjalne matki, jak powiedział jeden z tych durniów psychiatrów.

Przechylił głowę i spojrzał na nią. Mieszkania były akustyczne, ale to już go nie martwiło. Dopiero teraz, kiedy znalazł się tak blisko, w tym świetle, zauważył, że Ewa przez „w” ma drobne pryszczki wokół otwartych ust. Niewątpliwie usiłowała krzyczeć, ale to nie mogło jej się udać, bez względu na to, jak bardzo by się starała. Bo pod otwartymi ustami miała nowe usta. Krwawą, ziejącą dziurę w szyi w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się jej krtań. Przytrzymał kobietę pod ścianą salonu, a z przegryzionej tchawicy wydobywały się i pękały jasnoczerwone bańki krwi. Mięśnie szyi napinały się i rozluźniały, jak u osoby cierpiącej na POChP, gdy rozpaczliwie usiłowała łapać powietrze. A ponieważ płuca ciągle pracowały, mogła żyć jeszcze przez kilka chwil. Ale teraz najbardziej fascynowało go to, że jego żelazne zęby, przerywając jej struny głosowe, wreszcie położyły kres tej nieznośnej paplaninie.

Światło w oczach Ewy powoli gasło, a on w tym czasie usiłował odnaleźć w jej spojrzeniu ślad lęku przed śmiercią, pragnienia, by żyć jeszcze przez sekundę dłużej. Nic takiego jednak nie znalazł. Powinna bardziej się starać. Może brakowało jej fantazji. Albo radości życia. Nienawidził, kiedy rozstawały się z życiem tak łatwo.

10 SOBOTA, RANO

Harry biegł. Nie lubił biegać. Podobno są ludzie, którzy biegają, ponieważ to lubią. Haruki Murakami lubił biegać. Harry lubił książki Murakamiego, oprócz tej o bieganiu, tę odłożył. Harry biegał, bo lubił się zatrzymywać. Lubiał być po bieganiu. Wolał trening siłowy. Ten bardziej konkretny ból, ograniczony wydolnością mięśni, a nie gotowość do wytrzymywania cierpienia. Prawdopodobnie mówiło to coś o jego słabym charakterze, o skłonności do ucieczki, do poszukiwania środka uśmierzającego ból, jeszcze zanim się pojawi.

Ze ścieżki zeskoczył wystraszony chudy pies myśliwski z rodzaju tych, które trzymali zamożni mieszkańcy Holmenkollen, chociaż zdarzało im się polować nie częściej niż w jeden weekend raz na dwa lata. Właściciel biegł sto metrów za nim. Tegoroczna kolekcja Under Armour. Harry zdążył poobserwować jego technikę biegania, kiedy mijali się jak dwa nadjeżdżające z przeciwka pociągi. Szkoda, że nie biegli w tę samą stronę. Harry deptałby mu po piętach, dysząc w kark i udając, że ledwie daje radę, a potem wyprzedziłby go na podbiegach do jeziora Tryvann. Pokazałby mu zniszczone podeszwy swoich dwudziestoletnich adidasów. Oleg twierdził, że Harry podczas biegania okazuje się niewiarygodnie dziecinny, bo nawet jeśli obiecują sobie spokojny jogging przez całą drogę, Harry i tak przed ostatnią górką chce się ścigać. Na obronę Harry'ego należałoby powiedzieć, że sam się prosił o lanie – Oleg odziedziczył po matce niesprawiedliwie wysoką wydolność tlenową.

Dwie kobiety z nadwagą, które bardziej szły, niż biegły, rozmawiały, dysząc tak głośno, że nie słyszały, jak Harry się pojawia, dlatego skręcił na węższą ścieżkę. I nagle znalazł się w nieznanym terenie. Drzewa rosły tu gęściej, zasłaniając światło poranka, i zanim Harry dotarł do otwartej przestrzeni, zdołał posmakować znanego z dzieciństwa lęku, że zabłądzi, że już nigdy nie trafi do domu. Ale teraz wiedział, dokąd zmierza. Wiedział, gdzie jest dom.

Niektórzy ludzie lubili tutejsze świeże powietrze, miękkie pofałdowane ścieżki, ciszę i zapach świerków. Harry lubił panoramę miasta. Lubiał jego dźwięk i zapach. Wrażenie, że może go dotknąć. Świadomość, że można w nim utonąć, pójść na dno. Niedawno Oleg spytał Harry'ego, jak chciałby umrzeć, na co Harry odpowiedział, że pragnąłby odejść spokojnie we śnie. Oleg wybrał nagłą i stosunkowo bezbolesną śmierć. Ale Harry go okłamał. Wolałby zapić się na śmierć w jakimś

barze w mieście widocznym w dole. I miał świadomość, że Oleg również nie powiedział prawdy. On także zdecydowałby się na swoje dawne piekło połączone z rajem i postawiłby na przedawkowanie heroiny. Whisky i heroina. Kochanki, które mogli opuścić, lecz o których nie mogli zapomnieć, bez względu na mijający czas.

Harry sprintem pokonał ostatni odcinek po podjeździe, słyszał chrzęst żwiru podrywanego adidasami. W sąsiednim domu dostrzegł za zasłonką panią Syvertsen.

Wziął prysznic. Lubił brać prysznic. Ktoś powinien napisać książkę o braniu prysznica. Kiedy skończył i wszedł do sypialni, Rakel stała przy oknie w swoim ogrodowym stroju, w kaloszach, rękawicach roboczych, znoszonych dżinsach i spłowiałym kapeluszu przeciwstónczym. Lekko się obróciła i odgarnęła ciemne kosmyki wystające spod ronda. Harry był ciekaw, czy Rakel wie, jak ślicznie wygląda w tym stroju. Przypuszczalnie wiedziała.

– Iii – szepnęła i uśmiechnęła się. – Nagi pan.

Harry stanął za nią, położył ręce na jej ramionach i zaczął je lekko masować.

– Co robisz? – spytał.

– Oglądam okna. Jak myślisz, powinniśmy coś zrobić przed nadejściem Emilii?

– Emilii?

Rakel się roześmiała.

– Co jest?

– Tak gwałtownie przerwałś to masowanie. Spokojnie, nie będzie żadnych gości. To tylko sztorm.

– A, o tej Emilii mówisz. Wiesz, wydaje mi się, że ten fort przetrzyma jeszcze niejedną klęskę żywiołową.

– Właśnie tak się wydaje nam, mieszkańcom Holmenkollen.

– To znaczy jak?

– Że nasze życie jest jak fort. Niedostępne. – Westchnęła. – Muszę iść kupić coś do jedzenia.

– Obiad w domu? Jeszcze nie wypróbowaliśmy tej peruwiańskiej knajpy na Badstugata. Nie jest bardzo droga.

Był to jeden z kawalerskich nawyków Harry'ego, do których usilnie starał się ją przekonać: do niegotowania domowego obiadu. Prawie już kupiła jego argumenty o tym, że restauracje to jeden z lepszych pomysłów cywilizacji, przecież już w epoce kamiennej ludzie zrozumieli, że duża kuchnia i wspólne posiłki to o wiele inteligentniejsze rozwiązanie niż poświęcanie dzień w dzień trzech godzin na planowanie, zakupy, gotowanie i zmywanie przez każdego z osobna. Na jej

uwagę, że to trochę dekadencje podejście, odparł, że dekadencje są rodziny z dwojgiem dzieci, które wydają milion na wyposażenie kuchni. Zdrowym niedekadencym wykorzystaniem zasobów jest natomiast płacenie wykształconym kucharzom tyle, ile im się należy, za przyrządzanie posiłków dla wielu osób, a ci kucharze w zamian za to zapłacą za ewentualną pomoc prawną udzielaną przez Rakel lub za pracę Harry'ego polegającą na kształceniu policjantów.

– Zresztą dzisiaj jest mój dzień, to ja stawiam – powiedział, obejmując ją mocno prawą ręką. – Nigdzie nie idź.

– Muszę zrobić zakupy – powtórzyła i skrzywiła się, kiedy, wciąż wilgotny i parujący, przyciągnął ją do siebie. – Przyjdą Oleg i Helga.

Przytrzymał ją jeszcze mocniej.

– Naprawdę? Chyba mówiłaś, że nikogo nie będzie.

– Wytrzymasz dwie godziny z Olegiem i...

– Żartowałem. Będzie miło. Ale może poszlibyśmy raczej...

– Nie. Nie będziemy ich zabierać do żadnej restauracji. Helga jeszcze u nas nie była, a ja chcę się jej porządnie przyjrzeć.

– Biedna Helga – szepnął Harry i już miał ugryźć Rakel w płatek ucha, gdy nagle odkrył coś na granicy między jej klatką piersiową a szyją. – Co to jest? – Końcem palca delikatnie dotknął czerwonego śladu.

– Co? – Sama sprawdziła. – Aha. Lekarz pobrał mi krew.

– Z szyi?

– Nie pytaj mnie dlaczego. – Roześmiała się. – Słodki jesteś, kiedy się martwisz.

– Wcale się nie martwię – odparł Harry. – Jestem zazdrosny. To moja szyja, a oboje dobrze wiemy, że masz słabość do lekarzy.

Roześmiała się, Harry przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

– Nie – zaprotestowała.

– Nie? – Zorientował się, że jej oddech natychmiast staje się cięższy, a ciało ulega.

– Niech cię diabli – jęknęła Rakel. Sama o sobie mówiła, że jest osobą „o krótkim zapłonie”, a przeklinanie było tego najbardziej ewidentnym znakiem.

– Może powinniśmy przerwać w tym miejscu? – wyszeptał, puszczając ją. – Ogród wygląda fatalnie.

– Za późno – syknęła.

Rozpiął jej dzinsy i opuścił je razem z majtkami do kolan, tuż nad cholewki kaloszy. Rakel się pochyliła, jedną ręką chwyciła parapet, drugą sięgnęła do kapelusza, chcąc go zdjąć.

– Nie. – Zniżył się tak, że ich głowy znalazły się tuż obok siebie. – Zostań w nim.

Jej cichy perlisty śmiech załaskotał go w ucho. Boże, jak on kochał ten śmiech.

Ale po chwili wmieszał się do niego inny dźwięk. Powarkiwanie wibrującego telefonu, który leżał tuż obok jej dłoni na parapecie.

- Rzuć go na łóżko – szepnął, starając się nie patrzeć na wyświetlacz.
- To Katrine Bratt – powiedziała Rakel.

Rakel podciągała spodnie, wpatrzona w głęboko skoncentrowanego Harry'ego.

- Jak dawno? – spytał. – Rozumiem.

Widziała, jak Harry jej znika, absorbowany przez głos tej drugiej kobiety. Chciała wyciągnąć po niego ręce, ale było za późno, już zniknął. Jego nagie szczupłe ciało z mięśniami wijącymi się jak korzenie pod bladą skórą ciągle stało przed nią. Spojrzenie, którego błękit trochę wypłukał się z tęczy po tych latach, kiedy Harry nadużywał alkoholu, wciąż było utkwione w nią. Ale on już jej nie widział. Wzrok miał skierowany do wewnątrz. Poprzedniego wieczoru tłumaczył jej, dlaczego musi wziąć tę sprawę. Nie protestowała. Gdyby Olega wyrzucono z Wyższej Szkoły Policyjnej, znów mógłby się wciągnąć w nałóg. A wybierając między utratą Harry'ego a utratą Olega, wolała stracić Harry'ego. W traceniu Harry'ego miała już wieloletni trening, wiedziała, że potrafi bez niego żyć. Nie wiedziała natomiast, czy potrafi żyć bez syna. Ale kiedy Harry tłumaczył, że robi to dla Olega, w jej głowie odezwało się echo czegoś, co niedawno powiedział: „Może bowiem przyjść dzień, kiedy naprawdę będę musiał skłamać, a wtedy dobrze by było, gdybyś nie wątpiła w moją szczerość”

- Zaraz przyjeżdżam – oświadczył Harry. – Jaki adres?

Rozłączył się i zaczął się ubierać. Szybko i efektywnie, każdy jego ruch był odpowiednio wyważony. Harry działał jak maszyna, która nareszcie robi to, do czego ją skonstruowano. Rakel obserwowała go, uczyła się go na pamięć, tak jak człowiek stara się nauczyć na pamięć kochanka, którego przez dłuższy czas nie będzie widzieć.

Harry wyminął Rakel bez jednego spojrzenia, bez słowa pożegnania. Z umysłu Harry'ego Rakel została wyparta przez jedną z dwóch jego prawdziwych kochanek: whisky lub zbrodnię. Tym razem była to ta, której Rakel bała się bardziej.

Harry stał przy biało-pomarańczowych taśmach policyjnych, gdy uchyliło się okno na parterze kamienicy. Katrine Bratt wystawiła przez nie głowę.

- Wpuść go! – zawołała do młodego umundurowanego policjanta, który zagroził Harry'emu drogę.
- On nie ma identyfikatora – zaprotestował funkcjonariusz.
- To Harry Hole! – krzyknęła Katrine.

– Naprawdę? – Policjant zmierzył Harry'ego wzrokiem od stóp do głów i dopiero uniósł taśmę. – Myślałem, że on jest tylko legendą.

Harry wszedł po trzech stopniach do otwartych drzwi mieszkania. W środku ruszył ścieżką wyznaczoną przez miniaturowe chorągiewki techników, oznaczające jakieś znaleziska. Dwóch specjalistów od badania śladów dłubało na klęczkach w szparze podłogi.

– Gdzie...?

– Tam – odparł któryś.

Harry zatrzymał się przed drzwiami wskazanymi przez technika. Nabrał powietrza i opróżnił mózg z myśli. Wszedł do środka.

Usiłował chłonąć tyle, ile mógł: światło, zapachy, wnętrze, wszystko, co tu było. Wszystko, czego tu nie było.

– Dzień dobry, Harry – powitał go Bjørn Holm.

– Możesz się odsunąć? – spytał Harry cicho.

Bjørn odsłonił zwłoki, odstępując w bok od kanapy, nad którą się nachylał. Zamiast podejść bliżej, Harry lekko się cofnął. Scena. Kompozycja. Całość. Zbliżając się, zaczął notować w umyśle szczegóły. Kobieta siedziała na kanapie, z nogami rozsuniętymi tak, że podwinęła jej się sukienka, odsłaniając czarne majtki. Głowę miała odchyloną na oparcie, długie włosy w kolorze fałszywego blondu opadły za kanapę. Części szyi nie było.

– Zabito ją w tym miejscu. – Bjørn wskazał ścianę przy oknie.

Harry omiótł wzrokiem tapetę i surowe deski na podłodze.

– Mniej krwi – zauważył. – Tym razem nie przegryzł tętnicy.

– Może nie wcelował. – Z kuchni wyszła Katrine.

– Jeżeli ugryzł, to ma mocne szczęki – stwierdził Bjørn. – Przeciętna siła ludzkiego ugryzienia to siedemdziesiąt kilogramów, ale tu wygląda na to, że za jednym podejściem odgryzł krtań i część tchawicy. Nawet przy żelaznych szczękach potrzeba do tego naprawdę wielkiej siły.

– Albo wielkiej wściekłości – stwierdził Harry. – Dostrzegasz w ranie ślady rdzy i farby?

– Nie, ale może te luźne fragmenty złuszczyły się, kiedy ugryzł Elise Hermansen.

– Mhm. Albo masz rację, albo tym razem nie użył żelaznych zębów, tylko czegoś innego. Ciało też nie przeniósł na łóżko.

– Rozumiem, o czym myślisz, Harry, ale to ten sam sprawca. Chodź, zobacz. – Katrine przywołała go gestem.

Harry poszedł za nią do kuchni. Jeden z techników pobierał próbki z wnętrza szklanego dzbanka blendera, który stał w zlewie.

– Zrobił sobie smoothie – powiedziała Katrine.

Harry przełknął ślinę. Wnętrze dzbanka było zabrudzone czymś czerwonym.

– Z krwi. I chyba z cytryn, które były w lodówce. – Wskazała na strużynę żółtej skórki leżącą na blacie.

Harry poczuł naciągające mdłości. I pomyślał, że jest tak jak z pierwszym drinkiem, tym, który wzbudza torsje i każe rzygać. Jeszcze dwa drinki i już nie da się przestać. Kiwnął głową i wyszedł. Przeprowadził krótką inspekcję w łazience i w sypialni, po czym wrócił do salonu. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Kobieta, pozycja ciała, sposób, w jaki została wyeksponowana. Sposób wyeksponowania Elise Hermansen. Znowu odezwało się echo. To był on. To musiał być on.

Kiedy otworzył oczy, spojrzał prosto w twarz jasnowłosego młodego mężczyzny, który wydał mu się znajomy.

– Anders Wyller – przedstawił się chłopak. – Śledczy.

– Oczywiście – powiedział Harry. – Skończyłeś szkołę rok temu? Dwa lata?

– Dwa.

– Gratuluję świetnych ocen.

– Dziękuję. Nieźle, że pamiętasz stopnie.

– Nic nie pamiętam, to czysta dedukcja. Przyjęli cię do Wydziału Zabójstw jako śledczego zaledwie po dwóch latach służby.

Anders Wyller się uśmiechnął.

– Jeśli przeszkadzam, to powiedz, od razu sobie pójdę. Ale chodzi o to, że jestem tu dopiero dwa i pół dnia, a skoro mamy do czynienia z podwójnym zabójstwem, to nikt nie będzie miał teraz czasu, żeby mnie czegoś nauczyć. Dlatego pomyślałem, że spytam, czy nie mógłbym trochę za tobą pochodzić, żeby się dowiedzieć czegoś pożytecznego. Ale tylko pod warunkiem że nie będzie ci to przeszkadzało. Zgadzasz się?

Harry przyjrzał się chłopakowi. Przypomniał sobie, że Wyller przychodził do jego pokoju na uczelni i że miał dużo pytań. Na tyle dużo i czasami tak nieistotnych, że można by podejrzewać, iż jest holemianiakiem. Takiego określenia używano w szkole w odniesieniu do studentów zauroczonych mitem Harry'ego Hole; w kilku ekstremalnych przypadkach mit ten stał się główną przyczyną, dla której ci młodzi ludzie w ogóle ubiegali się o przyjęcie do szkoły policyjnej. Harry unikał ich jak zarazy. Ale holemianiak czy nie, Harry doszedł do wniosku, że z takimi ocenami, z takimi ambicjami, z takim uśmiechem i niewymuszoną zręcznością w manewrowaniu ludźmi Anders Wyller może zajść daleko. A zanim zajdzie daleko, bystry chłopak może się do czegoś przydać, na przykład przy wykrywaniu sprawców zabójstw.

– W porządku – powiedział. – Pierwsza lekcja jest taka, że będziesz rozczarowany swoimi nowymi kolegami.

– Rozczarowany?

– Stoisz taki grzeczny i dumny, bo wydaje ci się, że trafiłeś na sam szczyt łańcucha pokarmowego w policji. Dlatego pierwsza lekcja mówi: śledczy, którzy zajmują się zabójstwami, są tacy sami jak większość innych ludzi. Nie jesteśmy szczególnie inteligentni, a niektórzy z nas są wręcz głupi. Popełniamy błędy, dużo błędów, i niezbyt wiele się na nich uczymy. Kiedy czujemy zmęczenie, czasami wybieramy sen zamiast dalszego pościgu za zabójcą, chociaż wiemy, że rozwiązanie może być tuż za rogiem. Więc jeśli sądzisz, że otworzymy ci oczy, zainspirujemy cię i pokażemy ci zupełnie nowy świat finezji technicznych i taktycznych, to się rozczarujesz.

– Ja to wszystko już wiem, Harry.

– Czyżby?

– Pracowałem przez dwa dni z Trulsem Berntsenem. Chcę po prostu wiedzieć, jak ty działasz.

– Przecież chodziłeś na mój kurs z taktyki prowadzenia śledztwa w sprawach zabójstwa.

– I wiem, że ty pracujesz zupełnie inaczej. O czym myślałeś?

– O czym myślałem?

– Tak, kiedy stałeś z zamkniętymi oczami. Wątpię, żeby wyjaśnienie dało się znaleźć w lekturach.

Harry zobaczył, że Bjørn się wyprostował, a w drzwiach stanęła Katrine z rękami założonymi na piersi i zachęcająco kiwała głową.

– No dobrze – zaczął Harry. – Każdy ma swoje metody. Moja polega na próbie nawiązania kontaktu z myślami, które przepływają przez mózg, kiedy za pierwszym razem znajdziesz się w miejscu zbrodni. Z wszystkimi tymi pozornie nic nieznaczącymi konkluzjami, które mózg wysnuwa automatycznie, kiedy chłonimy wrażenia z jakiegoś miejsca po raz pierwszy. Z myślami, które błyskawicznie ulatują nam z głowy, nie zdążymy ich nawet sformułować, ponieważ naszą uwagę przykuwa coś innego. To trochę jak ze snami, które się rozwiewają, kiedy się budzisz i zaczynasz chłonąć wszystko inne, co cię otacza. Dziewięć na dziesięć takich myśli jest bezwartościowych. Możesz mieć nadzieję, że dopiero ta dziesiąta będzie coś znaczyć.

– A teraz? – spytał Wyller. – Czy któraś z twoich myśli miała jakieś znaczenie?

Harry się zawahał. Dostrzegł badawcze spojrzenie Katrine.

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że zabójca ma fioła na punkcie czystości.

– Czystości?

– Swoją poprzednią ofiarę przeniósł z miejsca, w którym ją zabił, na łóżko. Seryjni zabójcy zwykle postępują według dość podobnego schematu, więc dlaczego tym razem zostawił ciało w salonie? Od sypialni Elise Hermansen tę sypialnię odróżnia brudna pościel. Obejrzałem pościel Hermansen wczoraj, zanim technicy zabrali rzeczy z mieszkania. Pachniała lawendą.

– To znaczy, że on oddawał się nekrofilii z tą kobietą w salonie, bo nie znosi brudnej pościeli?

– Jeszcze do tego wrócimy – powiedział Harry. – Widziałeś blender w kuchni? Tak? No to zauważyłeś, że po użyciu wstawił go do zlewu?

– I co z tego?

– Zlew służy do zmywania – wyjaśniła Katrine. – Dzisiejsza młodzież nie wie, czym jest zmywanie ręczne, Harry.

– Najwyraźniej. Nie musiał go tam wstawiać, przecież nie zamierzał niczego myć. Może więc to jakaś czynność przymusowa? Może cierpi na fobię związaną z czystością? Albo na bakteriofobię? Seryjnym zabójcom na ogół nie brakuje fobii. Ale on tego nie dokończył. Nie pozmywał. Nawet nie odkręcił kranu, żeby napełnić dzbanek wodą, tak żeby to smoothie z krwi i cytryny później łatwo dało się zmyć. Dlaczego tego nie zrobił?

Anders Wyller pokręcił głową.

– Okej, do tego też jeszcze wrócimy. – Harry ruchem głowy wskazał na ciało. – Jak widzisz, ta kobieta ma...

– Sąsiad ją zidentyfikował – przerwała mu Katrine. – To Ewa Dolmen. Ewa przez „w”

– Dziękuję. Więc Ewa, którą tu widzisz, ciągle jest w majtkach, w przeciwieństwie do Elise, którą rozebrał. W koszu na śmieci w łazience leżały na wierzchu opakowania po tamponach, więc zgaduję, że Ewa miała okres. Katrine, możesz to sprawdzić?

– Patolog już jedzie.

– Po prostu zobacz, czy jest tak, jak sędzę, czy ona ciągle ma założony tampon.

Katrine zmarszczyła czoło. A potem zrobiła to, o co Harry prosił, trzej mężczyźni w tym czasie się odwrócili.

– Rzeczywiście, widzę sznurek od tamponu.

Harry wyjął z kieszeni kurtki paczkę cameli.

– Co oznacza, że zabójca – chyba że później sam włożył jej tampon – nie zgwałcił jej waginalnie, ponieważ... – Harry wskazał papierosem na Andersa Wyllera.

– ...lubi czystość.

– To przynajmniej jedna możliwość – ciągnął Harry. – Druga jest taka, że on nie lubi krwi.

– Nie lubi krwi? – zdumiała się Katrine. – Przecież ją pije, do diabła!

– Owszem, z cytryną. – Harry wsunął do ust niezapalonego papierosa.

– I co to znaczy?

– Zadaję sobie to samo pytanie – powiedział Harry. – Co to znaczy? Że krew była za słodka?

– Żarty sobie stroisz? – fuknęła Katrine.

– Nie. Po prostu dziwię się, że ktoś, kto naszym zdaniem szuka seksualnego zaspokojenia przez picie krwi, nie pije swojego ulubionego drinka bez dodatków. Ludzie używają cytryny do dzinu i do ryby, twierdzą, że cytryna podkreśla smak. Ale to pomyłka. Cytryna paraliżuje kubki smakowe i zagłusza wszelkie inne smaki. Dodajemy cytrynę, żeby stłumić smak czegoś, czego tak naprawdę nie lubimy. Tran sprzedaje się o wiele lepiej od czasu, kiedy zaczęto dodawać do niego cytrynę. Więc może nasz wampirysta nie lubi smaku krwi. Może jej pochłanianie jest również czynnością przymusową.

– Może jest przesądny i pije krew, żeby przejąć siłę ofiar – podsunął Wyller.

– W każdym razie to zbrodniarz napędzany szaleństwem seksualnym, który mimo wszystko nie tknął dolnych części ciała kobiety. Niewykluczone, że z powodu jej krwawienia.

– Wampirysta, który nie toleruje krwi menstruacyjnej. – Katrine pokręciła głową.

– Meandry ludzkiego umysłu...

– Czyli wracamy do tego blendera – stwierdził Harry. – Mamy jakieś inne ślady pozostawione przez sprawcę?

– Drzwi wejściowe – odezwał się Bjørn.

– Drzwi? – zdziwił się Harry. – Zerknąłem na zamek, kiedy przyszedłem. Wygląda na nieuszkodzony.

– Nie chodzi o włamanie. Nie widziałeś tych drzwi od zewnątrz.

Wszyscy troje wyszli na klatkę i patrzyli, jak Bjørn obluzowuje sznur, który przytrzymał drzwi w pozycji otwartej przy ścianie. Powoli same się zamknęły i ukazała się ich zewnętrzna strona.

Harry poczuł, że jego serce zaczyna ciężko walić w piersi, w ustach mu zaschło.

– Przywiązałem, żeby nikt z was tego nie dotknął, jak będziecie przechodzić – wyjaśnił Bjørn.

Na drzwiach namalowano duże „V”. Wysokie na ponad metr, z nierównymi krawędziami w dolnej części, tam gdzie ściekła krew, którą je nakreślono.

– Właśnie przez to nas wezwano – powiedziała Katrine. – Sąsiedzi usłyszeli, że kot Ewy miauczy na klatce. Często gdzieś się włóczył i zabierali go do siebie, jeśli Ewa nie otwierała przez dłuższy czas. Z tego, co mówili, kot mógł wręcz stracić orientację, gdzie tak naprawdę jest jego dom. W każdym razie wyszli po niego i wtedy zobaczyli, że liże drzwi, a ponieważ koty zwykle stronią od farby, zrozumieli, że to „V” musiało zostać namalowane krwią.

Wszyscy czworo w milczeniu przyglądali się drzwiom.

Pierwszy wyłamał się Bjørn:

– „V” jak *victory*?

– „V” jak *vampirist* – mruknęła Katrine.

– Albo może odfajkował kolejną ofiarę – podsunął Wyller.

Wszyscy troje spojrzeli na Harry’ego.

– No co? – zniecierpliwiła się Katrine.

– Nie wiem – odparł Harry.

Znów to jej ostre spojrzenie.

– Daj spokój, przecież widzę, że o czymś myślisz.

– Mhm. „V” jak *vampirist* to całkiem niezła propozycja. Może się zgadzać z tym, że poświęcił tyle energii na przekazanie nam właśnie tego.

– Właśnie czego?

– Że jest kimś wyjątkowym. Żelazne zęby, blender, ta litera. Uważa się za wyjątkowego i podsuwa nam kawałeczki układanki tak, abyśmy również to zrozumieli. Chce, żebyśmy się zbliżyli.

Katrine pokiwała głową.

Wyller się wahał, jakby rozumiał, że jego czas na mówienie już się skończył, lecz mimo to zaryzykował:

– To znaczy, że według ciebie zabójca w głębi ducha chce ujawnić, kim jest?

Harry nie odpowiedział.

– Nie kim, tylko czym – zauważyła Katrine. – Podnosi flagę.

– Mogę spytać, co to znaczy?

– Proszę bardzo – powiedziała Katrine. – Spytaj naszego specjalistę od seryjnych zabójstw.

Harry cały czas wpatrywał się w literę. To już nie było echo krzyku. To był sam krzyk. Krzyk demona.

– To oznacza... – Harry zapalił zapalniczkę, przyłożył ją do papierosa i mocno się zaciągnął. Wypuścił dym. – ...że on chce się bawić.

– Pomyślałeś, że to „V” oznacza coś innego – stwierdziła Katrine, kiedy godzinę

później we dwoje z Harrym wyszli z mieszkania.

– Tak? – Harry rozejrzał się po ulicy w obie strony. Tøyen. Dzielnica imigrantów. Wąskie zaułki, pakistańskie sklepy spożywcze, bruk, nauczyciele norweskiego na rowerach, tureckie kafejki, matki w hidżabach chodzące kołyszającym się krokiem, młodzież żyjąca z kredytów studenckich, powietrze i miłość, małe sklepiki z płytami handlujący winylami i hard rockiem. Harry kochał Tøyen. Kochał tak bardzo, że czasami zadawał sobie pytanie, co właściwie robi wśród najklasyczniejszego mieszczaństwa na wzgórzu.

– Tylko nie chciałeś powiedzieć tego głośno – upierała się Katrine.

– Wiesz, co mawiał mój dziadek, kiedy przyłapywał mnie na przeklinaniu? „Skoro wzywasz diabła, to on przyjdzie”. No więc...

– Więc co?

– Chcesz, żeby diabeł przyszedł?

– Mamy podwójne zabójstwo, Harry. Zapewne seryjne. Może być coś gorszego?

– Owszem – odparł Harry. – Może.

11 SOBOTA, POPOŁUDNIE

– Przypuszczamy, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą – oznajmiła komisarz Katrine Bratt i rozejrzała się po Centrum Dowodzenia. Grupa śledcza stawiła się w pełnym składzie. Był jeszcze Harry, bo uzgodnili, że będzie uczestniczył w odprawach, dopóki nie stworzy własnej grupy.

Panowała inna atmosfera, bardziej napięta niż na poprzednich zebraniach. Oczywiście miało to związek z rozwojem sprawy, lecz Katrine była pewna, że obecność Harry’ego również nie pozostawała bez wpływu. Chociaż Hole był zapijaczonym aroganckim *enfant terrible* Wydziału Zabójstw, człowiekiem bezpośrednio i pośrednio winnym śmierci kolegów, którego metody pracy były wysoce wątpliwe, mimo wszystko na jego widok prostowali się na krzesłach. Wciąż bowiem otaczała go ta sama ponura, wręcz budząca grozę aura, a osiągnięte przez niego wyniki nie podlegały dyskusji. Tak na szybko Katrine potrafiła sobie przypomnieć tylko jednego człowieka, którego Harry’emu nie udało się dopaść. A może prawdą było to, co mówił Harry, że nawet burdelmama zyskuje szacunek, jeśli tylko pracuje w branży dostatecznie długo.

– Takiego sprawcę bardzo trudno wykryć z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że tak jak w tym wypadku zabójca starannie planuje, wybiera przypadkowe

ofiary i nie pozostawia w miejscu zdarzenia innych śladów niż te, które chce nam zostawić. Właśnie dlatego leżące przed wami teczki z raportami techników, patologów i śledczych taktycznych są tak cienkie. Ciągłe nie udaje nam się powiązać żadnego sprawcy przestępstwa na tle seksualnym z Elise Hermansen czy Ewą Dolmen albo z którymś z miejsc zbrodni. Za to udało nam się określić pewien schemat działania zabójcy. Tord?

Specjalista od informatyki zaśmiał się krótko, jakby rozbawiły go słowa Katrine, co było zupełnie nie na miejscu, i dopiero po chwili zaczął mówić:

– Ewa Dolmen wysłała ze swojej komórki wiadomość, z której wynika, że umówiła się na randkę przez Tindera w barze sportowym o nazwie Dicky.

– Dicky? – zawołał Magnus Skarre. – To przecież prawie naprzeciwno Jealousy! Przez salę przeszedł jęk.

– Więc jeśli zabójca działa według swoistego schematu, to wiemy przynajmniej, że korzysta z Tindera i umawia się na Grünerløkka – podsumowała Katrine.

– Co właściwie nam to daje? – spytał któryś ze śledczych.

– Pewne pojęcie o tym, jak to się odbędzie następnym razem.

– A jeśli następnego razu nie będzie?

Katrine westchnęła.

– Harry?

Odchylił się do tyłu razem z krzesłem.

– No cóż. Zwykle seryjni zabójcy, którzy uczą się swojego rzemiosła, potrzebują większych odstępów czasu między pierwszymi zbrodniami. Między jednym a drugim zabójstwem mogą minąć miesiące, ba, nawet lata. Klasyczny wzór wygląda tak, że po zabójstwie następuje etap ochłodzenia, po czym frustracja seksualna znów zaczyna narastać. W miarę popełniania kolejnych zbrodni te cykle zazwyczaj stają się coraz krótsze. Przy tak krótkim, bo zaledwie dwudniowym cyklu należy zatem przypuszczać, że sprawca nie pierwszy raz popełnia tego rodzaju przestępstwo.

Zapadła cisza, jakby wszyscy czekali na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił. Katrine chrząknęła.

– Problem w tym, że wśród zbrodni popełnionych w Norwegii w ciągu ostatnich pięciu lat nie znajdujemy żadnej, która wykazywałaby jakiegokolwiek podobieństwo do tych dwóch zabójstw. Kontaktowaliśmy się z Interpolem, żeby sprawdzić, czy zabójca nie zmienił terytorium i nie przybył do Norwegii z zewnątrz. Jest z tuzin kandydatów, ale nie wygląda na to, by któryś z nich ostatnio się przemieszczał. Nie wiemy więc, kto to jest. Natomiast całe nasze doświadczenie pozwala sądzić, że to się powtórzy. W tym wypadku już niedługo.

– To znaczy kiedy? – spytał ktoś.

– Trudno powiedzieć – odparła Katrine, patrząc jednocześnie na Harry’ego, który pokazał jej jeden palec. – Ale może nawet w ciągu najbliższej doby.

– I nie możemy nic zrobić, żeby go powstrzymać?

Katrine przestąpiła z nogi na nogę.

– Rozmawialiśmy z komendantem i poprosiliśmy, żeby na konferencję prasową o osiemnastej przygotowano oficjalne ostrzeżenie dla mieszkańców. Liczymy, że zabójca zrezygnuje ze swoich planów, a przynajmniej je odłoży, jeśli zrozumie, że ludzie wyostrzyli czujność.

– Naprawdę by tak zrobił? – spytał Wolff.

– Wydaje mi się... – zaczęła Katrine, ale Wolff jej przerwał:

– Z całym szacunkiem, ale to było pytanie do Holego.

Katrine przełknęła ślinę, starając się opanować irytację.

– Co powiesz, Harry? Czy takie oficjalne ostrzeżenie go powstrzyma?

– Nie mam pojęcia. Zapomnijcie o tym, co widzieliście w telewizji. Seryjni zabójcy to nie roboty z takim samym oprogramowaniem, działające według określonego wzoru. Są tak samo różni i nieobliczalni jak inni ludzie.

– Rozsądna odpowiedź, Hole. – Wszyscy zebrani odwrócili się w stronę drzwi, w których pojawił się komendant. Bellman stanął oparty o futrynę, z rękami założonymi na piersi. – Nikt nie wie, jaki efekt miałoby wydanie takiego oficjalnego ostrzeżenia. Mogłoby tylko rozdrażnić tego szaleńca, wzbudzić w nim przekonanie, że ma przewagę, że jest nietykalny i dalej może robić swoje. Natomiast wiemy z całą pewnością, że oficjalne ostrzeżenie wywoła wrażenie, że tu, w komendzie, przestaliśmy panować nad sytuacją. To jedynie przestraszy mieszkańców tego miasta. Przy czym należy chyba dodać: przestraszy jeszcze bardziej. Ci z was, którzy czytali, co w ostatnich godzinach wypisują gazety w Internecie, z pewnością zauważyli, że pojawiły się już spekulacje na temat związku między tymi dwoma zabójstwami. Dlatego mam lepszą propozycję. – Mikael Bellman obciągnął białe mankiety koszuli, tak aby wystawały z rękawów marynarki. – A mianowicie żebyśmy po prostu złapali tego gościa, zanim zdąży narobić więcej złego. – Uśmiechnął się do zgromadzonych. – I co wy na to?

Katrine zobaczyła, że kilka głów porusza się potakująco.

– To dobrze. – Bellman spojrzął na zegarek. – Proszę mówić dalej, komisarz Bratt.

Karylion w ratuszu akurat obwieszczał, że jest ósma wieczorem, kiedy obok przejeżdżał cywilny samochód policyjny marki VW Passat.

– To najokropniejsza konferencja prasowa, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłam –

stwierdziła Katrine, kierując passata w stronę Dronning Mauds gate.

– Dwadzieścia dziewięć razy – powiedział Harry.

– Co?

– Powiedziałaś „nie możemy tego komentować” dwadzieścia dziewięć razy. Liczyłem.

– Mało brakowało, a wypaliłabym: „*sorry*, ale komendant założył nam kaganiec”. Co ten Bellman wyprawia? Nie chce wydać ostrzeżenia, nie chce powiedzieć wprost, że grasuje seryjny morderca i ludzie mają się pilnować?

– Ma rację, że to jedynie wzbudzi irracjonalny lęk.

– Irracjonalny? – prychnęła Katrine. – Rozejrzyj się! Jest sobotni wieczór i połowa tych spieszących się kobiet zmierza na spotkanie z nieznanym mężczyzną. Z księciem, który, jak mają nadzieję, odmieni ich życie. A jeśli twoja przepowiednia o jednej dobie się sprawdzi, to któraś z nich będzie miała cholerną rację!

– Wiesz o tym, że tego samego dnia, w którym w Paryżu doszło do ataku terrorystycznego, w centrum Londynu zdarzył się duży wypadek autobusowy? Zginęło prawie tyle samo ludzi co w Paryżu. Norwegowie, którzy mieli znajomych w Paryżu, dzwoniли do nich, bo bali się, że są wśród ofiar. Ale o przyjaciół i znajomych w Londynie nikt specjalnie się nie martwił. Po ataku terrorystów ludzie bali się jechać do Paryża, chociaż postawiono tam policję w stan alarmowy. A nikt nie mówił o lęku przed wsiadaniem do autobusu w Londynie, mimo że bezpieczeństwo ruchu drogowego nie poprawiło się ani trochę.

– Do czego zmierzasz?

– Ludzie boją się bardziej, niż nakazywałoby to prawdopodobieństwo zetknięcia z wampirystą. Ponieważ sprawa jest opisywana na pierwszych stronach gazet i ponieważ czytali, że on pije krew. A jednocześnie bez najmniejszego lęku palą papierosy, które z całą pewnością wpędzą ich do grobu.

– Powiedz mi: trzymasz stronę Bellmana?

– Nie. – Harry wyrzwał na ulicę. – Usiłuję tylko być adwokatem diabła. Staram się postawić na miejscu Bellmana, żeby zrozumieć, o co mu chodzi. Bellman zawsze chce coś osiągnąć.

– I co by to miało być?

– Nie wiem. Ale w każdym razie chce jak najmniejszego rozdmuchiwania tej sprawy i jak najszybszego rozwiązania. Zachowuje się trochę jak bokser, który broni tytułu mistrzowskiego.

– O czym ty mówisz, Harry?

– Kiedy już masz pas mistrzowski, starasz się unikać walk. Ponieważ najlepszą rzeczą, jaką możesz osiągnąć, jest zachowanie stanu posiadania.

- Ciekawa teoria. A wracając do rzeczy?
- Mówiłem ci, nie mam pewności.
- On namalował „V” na drzwiach Ewy Dolmen. To jego inicjał, Harry. Poza tym twierdziłeś, że rozpoznajesz miejsca zdarzenia z czasów, kiedy był aktywny.
- Owszem. Ale nie potrafię skonkretyzować tego, co poznaję.

Harry zawahał się, gdy na moment pojawił mu się przed oczami obraz neutralnej ulicy.

– Posłuchaj, Katrine, przegryzanie gardła, żelazne zęby, picie krwi to nie jest jego metoda. Seryjni gwałciciele i zabójcy są być może nieobliczalni, jeśli chodzi o szczegóły, ale nie zmieniają metody.

- On ma wiele metod, Harry.
- Lubi ból i strach ofiar. Nie krew.
- Powiedziałaś, że zabójca dodał do krwi cytrynę, bo mu nie smakowała.
- Katrine, świadomość, że to on, i tak nam w niczym nie pomoże. Od jak dawna i wy, i Interpol go ścigacie?

- Już blisko cztery lata.
- Właśnie dlatego uważam informowanie innych o swoich podejrzaniach za bezproduktywne. Istnieje ryzyko, że śledztwo zawęzi się do tej jednej osoby.

- Albo chcesz go dla siebie.
- Słucham?
- To z jego powodu wróciłeś, Harry, prawda? Od samego początku wywąchałeś, że to on. Oleg był tylko wymówką.

- Skończmy tę rozmowę, Katrine.
- Bellman nigdy w życiu nie upubliczniłby tej informacji o przeszłości Olega. Przecież brak wcześniejszej reakcji z jego strony postawiłby go w złym świetle.

Harry pogłośnił radio.

- Słyszałaś to? Aurora Aksnes, całkiem...
- Ty nie znosisz elektroniki, Harry.
- Nie bardziej niż tej rozmowy.

Katrine westchnęła. Zatrzymali się na czerwonym świetle. Pochyliła się, wyglądając przez przednią szybę.

- Zobacz, księżyc w pełni.
- Księżyc jest w pełni. – Mona Daa wyjrzała przez okno kuchenne na falujące pola. W świetle księżycy zdawały się lśnić, jakby właśnie spadł śnieg. – Jak pan sądzi, czy to zwiększa prawdopodobieństwo, że trzeci atak nastąpi już dziś wieczorem?
- Hallstein Smith się uśmiechnął.

– Raczej nie. Na podstawie tego, co mi pani powiedziała o tych dwóch zabójstwach, parafiliami tego wampirysty są raczej nekrofilia i sadyzm, a nie mitomania i uważanie się za istotę nadprzyrodzoną. Ale że uderzy ponownie, to pewne.

– Interesujące. – Mona Daa zapisała coś w notatniku leżącym na kuchennym stole obok filiżanki świeżo zaparzonej zielonej herbaty z chili. – A jak pan sądzi, w jaki sposób i gdzie do tego dojdzie?

– Mówiła pani, że ta druga kobieta też była na randce z Tindera?

Mona Daa kiwnęła głową, dalej notując. Większość jej kolegów po fachu używała dyktafonów, lecz ona, chociaż wśród reporterów kryminalnych zaliczała się do najmłodszych, wolała tradycyjne metody. Oficjalnie tłumaczyła się tym, że w wyścigu o jak najszybsze opublikowanie artykułu oszczędza czas w porównaniu z innymi, ponieważ redaguje tekst już w momencie notowania. Szczególną zaletę miało to przy relacjonowaniu konferencji prasowych. Chociaż podczas dzisiejszej popołudniowej konferencji w komendzie można było sobie świetnie poradzić i bez dyktafonu, i bez notatnika. Powtarzany przez Katrine Bratt refren „nie możemy tego komentować” rozjuszył w końcu nawet doświadczonych dziennikarzy.

– Na razie jeszcze nie napisaliśmy, że to była randka z Tindera, ale dostaliśmy cynk z policji, że Ewa Dolmen wysłała SMS-a do przyjaciółki, że jest na tinderowej randce w Dicky na Grünerløkka.

– Ano właśnie. – Smith poprawił okulary. – Jestem zupełnie pewien, że on będzie się trzymał metody, która na razie doskonale się sprawdza.

– Wobec tego co by pan powiedział kobietom, które rozważają umawianie się za pośrednictwem Tindera z nowymi mężczyznami w najbliższych dniach?

– Powinny poczekać, dopóki ten wampirysta nie zostanie ujęty.

– Ale sądzi pan, że on posłuży się Tinderem nawet po przeczytaniu tego w gazetach? Kiedy zrozumie, że wszyscy znają jego metodę?

– Mamy do czynienia z psychozą, więc nie powstrzyma go racjonalne rozważenie ryzyka. To nie jest klasyczny seryjny zabójca, psychopata, który spokojnie planuje, działa z zimną krwią, nie zostawia żadnych śladów i potrafi się ukryć w ciemnym kącie, tkając swoją sieć i pozwalając, by między kolejnymi zbrodniami upłynął jakiś czas.

– Nasze źródło twierdzi, że kierujący śledztwem uważają sprawcę właśnie za klasycznego seryjnego zabójcę.

– To inna forma szaleństwa. Mord jest podporządkowany ugryzieniu, krwi. Właśnie te elementy go napędzają. On pragnie działać dalej, osiągnął obecnie

punkt wrzenia, psychoza jest w pełnym rozkwicie. Jedyna nadzieja w tym, że w przeciwieństwie do klasycznego seryjnego zabójcy zostanie zidentyfikowany i szybko ujęty, ponieważ już nad sobą nie panuje i jest mu obojętne, czy zostanie odkryty. I klasyczny seryjny zabójca, i wampirysta są jak klęska żywiołowa, ponieważ obaj są całkiem zwykłymi ludźmi, tyle że chorymi na umyśle. Ale podczas gdy seryjny zabójca jest jak burza, która potrafi trwać długo, a ludzie nie mają pojęcia, kiedy minie, wampirysta jest jak kamienna lawina. Szybko mija, chociaż w krótkim czasie potrafi zetrzeć z powierzchni ziemi całą wioskę, prawda?

– Prawda – potwierdziła Mona Daa i zanotowała: *zetrzeć z powierzchni ziemi całą wioskę*. – No to dziękuję panu, panie Smith. Mam już to, co chciałam.

Smith z żalem rozłożył ręce.

– Niewiele mogłem pani pomóc. Właściwie dziwię się, że wybraliście się aż tutaj jedynie po to, żeby usłyszeć tych kilka słów.

Mona Daa wyjęła swojego iPada.

– I tak trzeba było przyjechać, żeby zrobić zdjęcie, więc zabrałam się przy okazji. Willy?

– Chętnie widziałbym ujęcie na polu – odezwał się fotograf, który w milczeniu przysłuchiwał się wywiadowi. – Pan, otwarta przestrzeń i to piękne światło księżyca.

Mona oczywiście wiedziała, o co chodzi fotografowi. Samotny mężczyzna na czarnym polu, księżyc w pełni, wampir. Ledwie zauważalnym skinieniem głowy dała mu sygnał. Czasami lepiej nie zdradzać fotografowanym ludziom swoich pomysłów, bo istnieje ryzyko, że będą protestować.

– Czy to możliwe, by moja żona też znalazła się na zdjęciu? – spytał Smith z wyraźnie zakłopotaną miną. – „VG”.. to dla nas wielka rzecz.

Mona Daa nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Jakie to słodkie. Przyszedł jej do głowy pomysł zrobienia zdjęcia psychologa gryzącego żonę w szyję – byłaby to dość dosłowna ilustracja do artykułu – uznała jednak, że posunęliby się zbyt daleko w komizmie, a to przecież poważna sprawa.

– Moi szefowie woleliby raczej, żeby na zdjęciu był pan sam – powiedziała.

– Rozumiem, ale musiałem spytać. – Smith uśmiechnął się przeprasząco.

– Zostanę tutaj i napiszę artykuł. Może uda nam się go wrzucić do Internetu jeszcze przed odjazdem. Macie w domu wi-fi?

Psycholog podał jej hasło dostępu do sieci i kiedy na polu zaczął błyskać flesz, mało już brakowało do końca tekstu.

Nieoficjalnym i prawdziwym powodem, dla którego reporterka nie używała dyktafonu, był fakt, że nagranie stanowiło bezsporny dowód tego, co faktycznie

powiedziano. Wprawdzie Mona Daa nigdy świadomie nie napisała nic całkowicie sprzecznego z tym, co jej zdaniem wyrażała osoba, z którą przeprowadzała wywiad, ale korzystanie wyłącznie z notatek dawało jej swobodę odpowiedniego, jak mówiła, podkreślania pewnych elementów wypowiedzi, tłumaczenia cytatów na język tabloidu, który czytelnicy rozumieli. I klikali.

Psycholog: Wampirysta może zetrzeć z powierzchni ziemi całe wioski!

Spojrzała na zegarek. Truls Berntsen mówił, że gdyby pojawiło się coś nowego, zadzwoni o dziesiątej.

– Nie lubię filmów science fiction – oświadczył mężczyzna siedzący naprzeciwko Penelope Rasch. – Najbardziej irytuje mnie dźwięk, który się rozlega w chwili, gdy statek kosmiczny mija kamerę. – Ułożył odpowiednio wargi i wydobył z siebie krótki świst. – W kosmosie nie ma powietrza, nie ma żadnych dźwięków, jest tylko idealna cisza. Okłamują nas.

– Amen. – Penelope się roześmiała i uniosła szklanekę z wodą.

– Lubię Alejandra Gonzáleza Iñárritu. – Mężczyzna też uniół swoją szklanekę, również z wodą. – I wolę *Beautiful* i *Babel* od *Birdmana* i *Zjawy*. Obawiam się, że on powoli idzie w mainstream.

Penelope poczuła przyjemny dreszczyk. Mężczyzna właśnie wymienił oba jej ulubione filmy, a przede wszystkim chciało mu się użyć tak rzadko przytaczanego pełnego nazwiska Iñárritu. Poza tym przed chwilą z jego ust padło nazwisko jej ulubionego pisarza (Cormac McCarthy) i wymarzony cel podróży (Florencja).

Otworzyły się drzwi. Do tej pory byli jedynymi gośćmi w tej położonej na uboczu restauracyjce, którą zaproponował, ale teraz weszła jakaś para. Jej rozmówca się odwrócił. Ale nie do drzwi, żeby zobaczyć, kto wchodzi, tylko w drugą stronę. Dzięki temu miała parę sekund na przyjrzenie mu się ukradkiem. Już zdążyła stwierdzić, że jest szczupły, mniej więcej jej wzrostu, ma dobre maniere i eleganckie ubranie, ale czy był przystojny? Trudno powiedzieć. Na pewno niebrzydki, lecz miał w sobie jakąś śliskość. Poza tym coś kazało jej wątpić w to, że nie przekroczył czterdziestki, chociaż tak twierdził. Skóra wokół oczu i na szyi wydawała się naciągnięta, jakby niedawno przeszedł lifting.

– Nie znałam tej restauracji – odezwała się Penelope. – Bardzo spokojna.

– Z-za spokojna? – Uśmiechnął się.

– Nie, lubię takie.

– Następnym razem możemy wybrać się do lokalu, gdzie serwują piwo Kirin i czarny ryż. Jeśli to lubisz.

O mało nie pisnęła z radości. To zdumiewające. Skąd mógł wiedzieć, że uwielbia

czarny ryż? Znów to samo. Większość jej przyjaciół nie miała nawet pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje. Roar go nienawidził, twierdził, że smakuje zdrową żywnością i snobizmem. W pewnym sensie miał rację, bo podobno czarny ryż zawiera więcej antyoksydantów niż czarne jagody i był składnikiem zakazanego sushi, zastrzeżonego wyłącznie dla cesarza i jego rodziny.

– Uwielbiam – powiedziała. – A co jeszcze lubisz?

– Swoją pracę.

– Czyli?

– Jestem artystą wizualnym.

– Fajnie! Co...

– Instalacje.

– Roar... mój były, też jest artystą. Może go znasz?

– Raczej nie. Działam na uboczu, poza uznanymi kręgami artystycznymi. No i można powiedzieć, że sam się kształciłem.

– Ale skoro jesteś w stanie utrzymać się ze sztuki, dziwne, że o tobie nie słyszałam. Oslo jest takie małe.

– Zajmuję się czymś innym, żeby przeżyć.

– Czyli?

– Jestem ochroniarzem.

– Ale wystawiasz?

– To na ogół zamknięte wystawy dla bardzo małej grupy profesjonalnej publiczności, na które prasa nie ma wstępu.

– Ojej, to fantastyczne, że starasz się być ekskluzywny. Mówiłam Roarowi, że też powinien tego spróbować. A czego używasz do instalacji?

Wytarł swoją szklaną serwetką.

– Modelek.

– Modelek... Żywych osób?

Uśmiechnął się.

– I tak, i nie. Opowiedz mi lepiej o sobie, Penelope. Co lubisz?

Podparła brodę palcem. No właśnie, co lubiła? Akurat w tej chwili miała wrażenie, że już to wszystko wymienił. Jakby wcześniej czytał jakąś książkę o niej.

– Lubię ludzi – stwierdziła w końcu. – I szczerść. Moją rodzinę. Dzieci.

– I lubisz być unieruchomiona – dodał, zerkając na parę, która usiadła dwa stoliki dalej.

– Słucham?

– Lubisz ostrą zabawę. – Nachylił się nad stolikiem. – Widzę to po tobie, Penelope. W porządku, ja też to lubię. Zaczyna się tu robić tłoczno, idziemy

do ciebie?

Minęła sekunda, zanim Penelope zrozumiała, że to wcale nie żart. Spuściła wzrok i zobaczyła, że on położył rękę tak blisko jej dłoni, iż niemal zetknęły się koniuszkami palców. Przełknęła ślinę. Co z nią było nie tak? Stale trafiała na niewłaściwych mężczyzn. To przyjaciółki doradziły jej, że najlepszym sposobem na odreagowanie po rozstaniu z Roarem będą inni mężczyźni. I rzeczywiście próbowała, lecz albo okazywali się nieporadnymi towarzyszko nerdami komputerowymi, zrzucającymi na nią cały ciężar rozmowy, albo też byli tacy jak ten, chodziło im wyłącznie o szybki numerek.

– Chyba raczej wrócę do domu sama – oświadczyła, rozglądając się za kelnerem. – Wiesz, chętnie zapłacę. – Siedzieli w tej knajpie od niespełna dwudziestu minut, ale według jej przyjaciółek trzecie, najważniejsze przykazanie Tindera brzmiało: *Don't play games, leave if you don't click.*

– Zapłacę za te dwie butelki wody mineralnej. – Mężczyzna uśmiechnął się, lekko pociągając za kołnierzyk swojej jasnoniebieskiej koszuli. – Biegnij, Kopciuszk.

– W takim razie dziękuję.

Penelope chwyciła torebkę i czym prędzej wyszła. Ostre jesienne powietrze cudownie chłodziło jej rozgrzane policzki. Ruszyła w górę Bogstadveien. W sobotni wieczór na ulicach były tłumy rozbawionych ludzi, a na postoju taksówek kolejka. Może i dobrze, ceny taksówek w Oslo kazały jej ich unikać, chyba że łało. Minęła Sorgenfrigata. Kiedyś marzyła, że zamieszkają razem z Roarem w którejś z tych pięknych kamienic. Ustalili, że mieszkanie nie musi mieć więcej niż siedemdziesiąt – osiemdziesiąt metrów kwadratowych, byleby było świeżo wyremontowane, przynajmniej łazienka. Mieli świadomość, że będzie koszmarnie drogie, ale rodzice zarówno jej, jak i Roara obiecywali, że ich wspomogą. Przez „wspomożenie” rozumieli, rzecz jasna, sfinansowanie całego mieszkania. Przecież ona była dopiero świeżo upieczoną designerką szukającą pracy, a rynek sztuki jeszcze nie odkrył ogromnego talentu Roara. Odkryła go jednak ta przeklęta właścicielka galerii, która zastawiła na niego sidła. W pierwszym okresie po wyprowadzce Roara Penelope była pewna, że narzeczony przejrzy na oczy i dotrze do niego, że tej pomarszczonej pumie chodzi wyłącznie o trofeum w postaci młodego chłopaka, którym będzie mogła się pobawić przez jakiś czas. Ale tak się nie stało. Przeciwnie, ogłosili tak zwane zaręczyny, wystawiając idiotyczną instalację zrobioną z waty cukrowej.

Na stacji kolejki na Majorstua Penelope wsiadła w pierwszy pociąg jadący w kierunku zachodnim. Wysiadła na Hovseter, w okolicy znanej jako wschodni skraj zachodnich dzielnic. Gromadka wysokich bloków i stosunkowo tanie mieszkania, spośród których ona i Roar wynajmowali najtańsze. Łazienka była

okropna.

Roar ją pocieszał i podarował jej *Poniedziałkowe dzieci* Patti Smith, autobiograficzną opowieść o dwojgu ambitnych artystach żyjących powietrzem, nadzieją i miłością w Nowym Jorku na początku lat siedemdziesiątych, którzy oczywiście w końcu odnoszą sukces. No ale cóż, tracą siebie nawzajem.

Ze stacji ruszyła w stronę bloku, który wznosił się przed nią i wyglądał, jakby spowiła go aureola. Penelope uświadomiła sobie, że dziś jest pełnia i księżyc musi się znajdować tuż za budynkiem. Czterech. Przespała się z czterema mężczyznami, odkąd Roar odszedł od niej jedenaście miesięcy i trzynaście dni temu. Dwóch było lepszych od Roara, dwóch gorszych. Ale przecież Roara kochała nie ze względu na seks. Tylko dlatego, że był... No cóż, był Roarem. Niech go diabli.

Zorientowała się, że przyspieszyła, mijając lasek po lewej stronie drogi. Na Hovseter ulice wyludniały się już wczesnym wieczorem, ale Penelope była wysoką, wysportowaną dziewczyną i dawniej nawet przez myśl by jej nie przeszło, żeby bać się tędy chodzić po zapadnięciu ciemności. Może to przez tego mordercę, o którym pisali. Chociaż nie, już raczej przez to, że ktoś dostał się do jej mieszkania. Od tamtej pory minęły trzy miesiące i zgasła początkowa nadzieja, że to Roar zateknił za powrotem. Zrozumiała, że ktoś był w mieszkaniu, kiedy na podłodze w przedpokoju znalazła grudki ziemi, z całą pewnością nie pochodzące z jej butów. A kiedy podobną grudkę zobaczyła w sypialni na podłodze przy komodzie, przeliczyła majtki, wiedziona idiotyczną nadzieją, że to Roar wziął sobie jedną parę. Na to jednak raczej nie wyglądało. W końcu połapała się, co zginęło. Pudełeczko z pierścionkiem zaręczynowym, tym, który Roar kupił jej w Londynie. Czy to mógł być włamywacz? Nie, to na pewno Roar. Zakradł się tutaj, zabrał pierścionek i dał go tej przeklętej babie z galerii. Penelope oczywiście się wkurzyła, zadzwoniła do Roara i mu to wykrzyczała. Ale on się wyparł, twierdził, że w ogóle tu nie przychodził, bo podczas przeprowadzki zawieruszył gdzieś klucze do mieszkania, inaczej oczywiście by je odesłał. To było rzecz jasna kłamstwo, tak jak wszystko inne, ale i tak zadbała o wymianę zamków, zarówno w drzwiach wejściowych na dole, jak i w tych do mieszkania na trzecim piętrze.

Wyjęła klucze z torebki – leżały w kieszonce razem z gazem pieprzowym, który sobie kupiła – otworzyła drzwi na klatkę, usłyszała cichy syk hydraulicznej pompy, która je za nią zamykała, zobaczyła, że winda stoi na piątym piętrze, więc schodami ruszyła na trzecie. Minęła drzwi Amundsenów, zatrzymała się. Poczowała, że się zasapała. Dziwne. Przecież była w dobrej formie i wchodzenie po tych schodach nigdy wcześniej jej nie męczyło. Coś było nie tak, tylko co? Spojrzała w górę na drzwi do swojego mieszkania.

To były stare domy, zbudowane w czasach, gdy do zachodniej części Oslo postanowiono wprowadzić klasę robotniczą. I oszczędzano tu na oświetleniu. Na każdym piętrze zamontowano tylko jedną stalową lampkę sterczącą wysoko ze ściany nad schodami. Penelope wstrzymała oddech, nasłuchując. Odkąd weszła na klatkę, nie słyszała ani jednego dźwięku.

Od chwili, gdy syknęła pompa w drzwiach.

Żadnego dźwięku.

Właśnie to było nie w porządku.

Nie usłyszała, żeby drzwi się za nią zatrzasnęły.

Nie zdążyła się odwrócić. Nie zdążyła wsunąć ręki do torebki. Nie zdążyła zrobić nic, gdy z tyłu wysunęło się ramię, unieruchomiło jej ręce i ścisnęło ją przez pierś tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Torebka upadła na schody i była jedyną rzeczą, w którą Penelope trafiła, kiedy zaczęła wierzgać i kopać na oślep. Dziewczyna krzyczała bezgłośnie prosto w dłoń, która spadła jej na usta. Ta dłoń pachniała mydłem.

– Cicho, cicho, Penelope – szepnął głos do jej ucha. – W kosmosie i tak nikt cię nie u-usłyszy. – Wydał z siebie cichy świst.

Od strony drzwi wejściowych dobiegł stukot i Penelope jeszcze przez chwilę miała nadzieję, że ktoś idzie, ale już za moment zrozumiała, że to torebka – z gazem pieprzowym – przeleciała przez balustradę i uderzyła o podłogę na parterze.

– Co się stało? – spytała Rakel, nie odwracając się ani nie przestając kroić cebuli do sałatki. W odbiciu w szybie nad blatem kuchennym zobaczyła, że Harry przerwał nakrywanie do stołu, żeby podejść do okna w salonie.

– Wydawało mi się, że coś usłyszałem – powiedział.

– To na pewno Oleg i Helga.

– Nie, to było coś innego. To było... coś innego.

Rakel westchnęła.

– Harry, ledwie wróciłeś do domu, a już chodzisz po ścianach. Widzisz, co się z tobą dzieje.

– Tylko ta jedna sprawa i koniec z tym. – Harry podszedł do blatu, pocałował Rakel w kark. – Jak się czujesz?

– Dobrze – skłamała. Bolało ją ciało, bolała głowa. Serce.

– Kłamiesz – powiedział.

– A dobrze kłamię?

Uśmiechnął się i zaczął masować jej kark.

– Gdybym odeszła, poszukałbyś sobie innej?

– Poszukałbym? To strasznie męczące. I tak się naharowałem, żeby przekonać ciebie.

– Młodszej. Takiej, z którą mógłbyś mieć dziecko. Wiesz, nie byłabym zazdrosna.

– Aż tak dobrze nie kłamiesz, moja kochana.

Roześmiała się, wypuściła z ręki nóż i pochyliła głowę, czuła, że jego ciepłe suche palce niwelują ból, pozwalają jej od niego odpocząć.

– Kocham cię – powiedziała.

– Mhm?

– Kocham cię. Szczególnie jeśli zrobisz mi herbatę.

– *Aye, aye*, kapitanie. – Harry odsunął ręce, a Rakel stała i czekała. Z nadzieją. Ale nie, ból znów się pojawił, jak uderzenie pięścią.

Harry stał oparty obiema rękami o blat i wpatrywał się w elektryczny czajnik. Cekał na narastający łoskot, od którego cały dzbanek zacznie się trząść. Jakby krzychał. Harry słyszał krzyki. Milczące krzyki wypełniały mu głowę, wypełniały pokój, wypełniały ciało. Przeniósł ciężar na drugą nogę. Krzyki, które chciały się wydostać, które musiały się wydostać. Czyżby popadał w obłąd? Podniósł oczy i spojrzał w szybę. W ciemności zobaczył jedynie własne odbicie. To był on. To on krążył na zewnątrz. Cekał na nich. Śpiewał. Chodźcie, pobawimy się!

Harry zamknął oczy.

Nie, on nie czekał na nich. Cekał na niego. Na Harry'ego. Pobawimy się, chodź!

Zrozumiał, że ona jest inna niż tamte. Penelope Rasch chciała żyć. Była duża i silna. A jej torebka z kluczami do mieszkania leżała trzy piętra niżej. Poczuł, że Penelope wypuściła powietrze z płuc, i jeszcze wzmocnił ucisk wokół jej piersi. Jak wąż dusiciel. Kłęb mięśni, który zaciska się odrobinę mocniej przy każdym wydechu jego zdobyczy. Chciał ją żywą. Żywą i ciepłą. Z tą cudowną wolą przetrwania, którą zamierzał zdławić, po kawałeczku. Ale jak? Nawet gdyby zdołał zaciągnąć dziewczynę aż na sam dół, żeby zdobyć klucze do mieszkania, ryzykowałaby, że usłyszy go ktoś z sąsiadów i podniesie alarm. Poczuł napływającą wściekłość. Powinien był pominąć Penelope Rasch. Powinien był podjąć tę decyzję już trzy dni temu, kiedy odkrył, że zmieniła zamki. No ale miał szczęście, nawiązał z nią kontakt na Tinderze, zgodziła się z nim spotkać w tym dyskretnym miejscu, dlatego uznał, że jednak się uda. Ale taki mały, spokojny lokal oznacza również, że ci nieliczni, którzy tam przychodzą, baczniej zwracają na wszystko uwagę. Jeden z gości trochę za długo mu się przyglądał. Dlatego się zestresował, za bardzo zaczęło mu zależeć, żeby stamtąd zniknąć, no i się zagalopował. Penelope się zaparła, odrzuciła go

i wyszła.

Przewidział taką ewentualność, dlatego miał w pobliżu samochód. Jechał szybko – nie pędził, żeby nie zatrzymała go policja, lecz na tyle szybko, żeby zająć odpowiednią pozycję w lasku, zanim ona wysiadła z kolejki. Nie odwróciła się, ani kiedy za nią szedł, ani gdy wyjmowała klucze z torebki i wchodziła na klatkę. Zdążył wsunąć stopę za próg, zanim drzwi się zamknęły.

Poczuł, że ciałem Penelope wstrząsnęło drzenie, i wiedział, że dziewczyna niedługo straci przytomność. Nabrzmiałym członkiem dotykał jej pośladków, mięsistego szerokiego kobiecego tyłka. Matka też miała taki tyłek.

Czuł, że chłopiec się pojawia, że chce przejąć, że krzyczy w środku, pragnie, żeby go nakarmiono. Teraz. Tutaj.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha. – Naprawdę, Penelope. Dlatego zanim pójdziemy dalej, zrobię z ciebie cnotliwą kobietę.

Zwiotczała mu w objęciach, ale podtrzymał ją jedną ręką. Drugą sięgnął do kieszeni.

Penelope Rasch ocknęła się i zrozumiała, że musiała stracić przytomność. Było ciemniej. Unosiła się w powietrzu, a coś ciągnęło ją za rękę, coś, co wbijało się w jej nadgarstki. Podniosła głowę. Kajdanki. A na palcu serdecznym coś leciutko połykiwało.

Poczuła ból między nogami i spojrzała w dół akurat w chwili, gdy wyciągał z niej dłoń.

Twarz miał ukrytą w cieniu, lecz zobaczyła, że obwąchuje palce. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła.

– Dobrze, ukochana – powiedział. – Jesteś czysta, więc możemy zaczynać.

Rozpiął kurtkę, koszulę, rozchylił poły, odsłonił pierś. Wtedy ukazał się tatuaż. Twarz krzycząca równie bezgłośnie jak ona. Stał z wypiętą piersią, jakby zależało mu, żeby pokazać jej ten tatuaż. A może odwrotnie? Może to ją pokazywał temu szczerzącemu zęby rysunkowi diabła?

Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej coś i podsunął Penelope pod oczy. Czarne. Żelazo. Zęby.

Penelope udało się chwycić odrobinę powietrza. Krzyknęła.

– Właśnie tak, ukochana. – Roześmiał się. – Właśnie tak. Muzyka do pracy.

Potem otworzył szeroko usta i wsunął w nie żelazną szczękę.

Dźwięki odbijały się od ścian. Jego śmiech i jej krzyk.

W pomieszczeniach „VG”, w których szef wiadomości i redaktor prowadzący

na bieżąco redagowali internetowe wydanie gazety, unosił się szum głosów i dźwięki zagranicznych wiadomości telewizyjnych, przewijających się na wielkich ekranach zamontowanych na ścianie.

Mona Daa i fotograf stali pochyleni za krzesłem szefa wiadomości i przyglądali się zdjęciu na jego monitorze.

– Próbowałem wszystkiego, ale po prostu nie udało mi się zrobić nic, żeby wyglądał groźnie – westchnął fotograf.

Mona przyznała mu rację. Hallstein Smith stojący na tle nieba, z księżycem w pełni nad głową, prezentował się po prostu jowialnie.

– Zdaje się, że i tak działa – stwierdził szef wiadomości. – Spójrzcie tylko na kliknięcia. Już dziewięćset na minutę.

Mona przeniosła wzrok na licznik po prawej stronie ekranu.

– Mamy zwycięzcę – ogłosił szef. – Przesuwamy go na samą górę. Trzeba spytać redaktor dyżurną, czy nie chce zmienić też pierwszej strony.

Fotograf podsunął Monie zaciśniętą pięść, a ona z obowiązku dotknęła jej swoimi knykciami. Jej ojciec twierdził, że to Tiger Woods i jego *caddie* spopularyzowali ten gest. Przeszli na niego od obowiązkowej *high-five* po tym, jak *caddie* nieco zbyt gwałtownym ruchem uszkodził dłoń swojego golfisty – Tiger uderzeniem typu *pitch* zaliczył wtedy szesnasty dołek w ostatniej rundzie turnieju Masters. Ojciec bardzo żałował, że wrodzona wada stawu biodrowego nie pozwoliła Monie stać się golfistką, na jaką liczył. Ona sama zniechęciła golfa już od pierwszego razu, kiedy ojciec zabrał ją na *driving range*, teren treningowy. Ponieważ poziom zawodników okazał się wprost komicznie niski, wygrała to, co było do wygrania, uderzeniem tak krótkim i tak brzydkim, że trener kadry juniorów odmówił jej powołania, twierdząc, że lepiej dostać w kość od drużyny, która przynajmniej stwarza pozory grania w golfa. Mona zostawiła więc kije do golfa w piwnicy ojca i przeniosła się do siłowni, gdzie nikt nie miał zastrzeżeń co do stylu, w jakim dźwigała sto dwadzieścia kilo w martwym ciągu. Liczba kilogramów, liczba uderzeń, liczba kliknięć. Sukces da się zmierzyć liczbami, a wszyscy, którzy twierdzą inaczej, po prostu boją się prawdy i próbują komuś wmówić, że przeciętny człowiek koniecznie musi się w życiu oszukiwać. Ale akurat w tej chwili bardziej interesowały ją komentarze. Bo gdy Smith powiedział, że wampirysta nie dba o ryzyko, przyszło jej coś do głowy: zabójca może czytać „VG”. I osobiście przysłać komentarz do artykułu.

Jej spojrzenie prześlizgiwało się po komentarzach, w miarę jak się pojawiały.

Nie znalazła nic nadzwyczajnego.

Byli litościwi, którzy wyrażali współczucie z ofiarami.

Byli samozwańcy socjolodzy, którzy tłumaczyli, że to jedna czy druga partia polityczna ponosi winę za społeczeństwo produkujące taki czy inny rodzaj niepożądanych indywiduów, w tym wypadku wampirystę.

Byli kaci, którzy domagali się kary śmierci i kastracji, gdy tylko nadarzy się okazja.

No i oczywiście pretendenci do miana komików, którzy popularyzowali pogląd, że ze wszystkiego można sobie żartować. *Polecam świetny zespół, Wampire! Trwa sprzedaż akcji Tindera!*

Zresztą nawet gdyby zobaczyła komentarz, który wydałby się jej podejrzany, to co by zrobiła? Zgłosiła to Katrine Bratt i spółce? Może. Była to winna Trulsowi Berntsenowi. Mogła też zadzwonić do tego blondyna, Wyllera. Żeby miał u niej dług. Nawet jeśli człowiek nie jest na Tinderze, to i tak stale przesuwają ludzi na lewo i na prawo.

Ziewnęła. Podeszła do swojego biurka, sięgnęła po torbę.

- Idę poćwiczyć! – zawołała do dyżurnego.
- Poćwiczyć? Teraz? Przecież zaraz noc.
- Zadzwon do mnie, gdyby coś się działo.
- Twój dyżur skończył się godzinę temu, Daa. Są inni, którzy...
- To jest moja sprawa, więc zadzwonisz do mnie, okej?

W chwili, gdy drzwi się za nią zamykały, usłyszała jeszcze, że ktoś się śmieje. Może z jej chodu, a może z tego jej nastawienia: „jestem zdolną dziewczynką i dam sobie radę ze wszystkim”. Ani trochę ją to nie obchodziło. I sama sobie da ze wszystkim radę.

Winda, śluza, obrotowe drzwi, wreszcie wyszła ze szklanego domu mediowego i znalazła się w świetle księżyca w pełni.

Odetchnęła głęboko. Coś się szykowało, po prostu to wiedziała. I wiedziała, że weźmie w tym udział.

* * *

Truls Berntsen zaparkował samochód obok krętej stromej drogi. W dole stały spowite w ciemność, nieme murowane budynki, zlikwidowany przemysł w Oslo. Między podkładami torów kolejowych rosła trawa. A dalej wznosiły się nowe klocki architektów, zespół wieżowców nazywany Kodem Kreskowym, zabawka nowej gospodarki, kontrastująca z ponurą powagą minionego robotniczego życia, w którym minimalizm oznaczał funkcjonalność łączącą się z oszczędzaniem pieniędzy, nie zaś ideał estetyczny.

Truls spojrzął na stojący na grzbiecie wzgórze dom zalany światłem księżyca.

W oknach się świeciło, wiedział więc, że Ulla jest w środku. Może siedzi, tak jak to miała w zwyczaju, z podwiniętymi nogami na kanapie i czyta książkę. Gdyby poszedł z lornetką na wzgórze w lesie, mógłby to sprawdzić. A gdyby miał rację, zobaczyłby, jak zakłada jasne włosy za ucho, jakby musiała nasłuchiwać. Czy dzieci się nie obudzą. Czy Mikael czegoś nie chce. Lub po prostu jak gazela przy wodopoju, czy nie zbliża się drapieżnik.

Przy wtórze szumów i trzasków głosy rzucały krótkie meldunki i zaraz znowu milkły. Odgłosy miasta przekazywane przez policyjne radio uspokajały Trulsa bardziej niż muzyka.

Wpatrywał się w schowek na rękawiczki, który przed chwilą otworzył. Za pistoletem służbowym leżała lornetka. Już dawno sobie obiecywał, że z tym skończy, że już najwyższa pora, że już tego nie potrzebuje, przecież się dowiedział, że w morzu są również inne ryby. Owszem. Żabnice, kury diabły i ostrosze. Usłyszał własne chrumkanie. To ten śmiech przyniósł mu przyzwisko Beavis. Śmiech i mocno wysunięta żuchwa. A ona tam siedziała. Uwięziona w tym zbyt wielkim, drogim domu z tarasem, w którym Truls własnoręcznie zabetonował trupa dilerka narkotykowego – wiedział o tym tylko on sam, a trup nigdy nie zafundował mu bezsennej nocy.

Trzaski w radiu. Głos z centrali alarmowej.

– Mamy jakiś wóz w pobliżu Houseter?

– Trzydzieści jeden jest na Skøyen.

– Houseterveien czterdzieści cztery, klatka B. Mamy rozhisteryzowanych mieszkańców. Twierdzą, że na klatce jest szalenciec, który znęca się nad lokatorką, ale boją się interweniować, bo zbił lampę, więc na korytarzu jest całkiem ciemno.

– Znęca się z użyciem broni?

– Nie wiedzą. Mówią, że zanim światło zgasło, widzieli, jak ją gryzł. Dzwoniący nazywają się Amundsen.

Truls zareagował natychmiast. Wcisnął w radiu przycisk Speak.

– Tu sierżant Truls Berntsen, jestem bliżej. Zajmę się tym.

Już uruchomił silnik, dodał gazu, wyjechał na drogę i usłyszał głośnie trąbienie wyłaniającego się zza zakrętu samochodu.

– Aha – odezwał się dyżurny z centrali. – A gdzie jesteś, Berntsen?

– Tuż obok, już mówiłem. Trzydzieści jeden, chcę, żebyś zabezpieczył mi tyły, więc zaczekaj, gdybyś mimo wszystko był pierwszy. Podejrzenie, że sprawca jest uzbrojony. Powtarzam, uzbrojony.

Sobotni wieczór, prawie zero ruchu. Na pełnym gazie przez tunel przy Operze,

tnący centrum pod fiordem prosto jak kreska, dotrze na miejsce nie później niż siedem – osiem minut po patrolu numer trzydzieści jeden. Te minuty, rzecz jasna, mogły okazać się krytyczne, zarówno dla ofiary, jak i dla ujęcia sprawcy, ale sierżant Truls Berntsen mógł również stać się tym policjantem, który aresztuje wampirystę. Nie mówiąc już, ile „VG” zapłaci za raport z miejsca zdarzenia pochodzący z pierwszej ręki. Nacisnął klakson, jakieś volvo zjechało na bok. Już dwupasmowa jezdnia. Trzypasmowa. Pełen gaz. Serce tłukło się o żebra. Błysk fotoradaru w tunelu. Policjant na służbie, z licencją na to, żeby wszyscy w tym pierdolonym mieście przed nim spieprzali. Na służbie. Pompowana krew krążyła w żyłach coraz szybciej, mocniej, jakby zaraz miał mieć wzwód.

– *Ace of space!* – wrzasnął Truls. – *Ace of space!*

– Tak, to my jesteśmy z trzydzieści jeden, czekamy tu już od ładnych kilku minut.

Dwoje policjantów, mężczyzna i kobieta, stało za radiowozem zaparkowanym tuż przed wejściem do klatki B.

– Tir się włókł i nie chciał mnie przepuścić. – Truls sprawdził, czy pistolet jest naładowany i czy ma pełny magazynek. – Słyszeliście coś?

– W środku cisza. Nikt nie wchodził ani nie wychodził.

– No to my wchodzimy. – Truls wskazał na policjanta. – Ty pójdziesz ze mną, tylko weź ze sobą latarkę. A ty przypilnujesz tutaj. – Skinął głową kobiecie.

Ruszyli do wejścia. Truls zajrzał przez szybkę na ciemną klatkę schodową. Wcisnął guzik, przy którym widniało nazwisko Amundsen.

– Tak? – rozległ się szept.

– Policja. Słyszeliście coś po tym, jak nas zawiadomiliście?

– Nie, ale on ciągle może tu być.

– Okej, proszę otworzyć.

Zaburczał brzęczyk i Truls szarpnął drzwi.

– Pójdziesz przodem i będziesz świecił.

Młody policjant przełknął ślinę.

– Wydawało mi się, że mówiłeś o zabezpieczeniu tyłów, a nie o pójściu na pierwszy ogień.

– Ciesz się, że nie przyjechałeś tu sam – szepnął Truls. – Idziemy.

Rakel patrzyła na Harry’ego. Dwa zabójstwa. Nowy seryjny morderca. Jego rodzaj polowania.

Siedział i jadł, udawał, że śledzi konwersację toczącą się przy stole, okazywał uprzejmość Heldze, pozornie z zainteresowaniem słuchał Olega. A może się myliła?

Może rzeczywiście go to ciekawiło? Może nie do końca wpadł w sidła? Może się zmienił?

– Prowadzenie rejestrów broni stanie się bezsensowne, kiedy ludzie z czasem zaczną kupować drukarki 3D i drukować sobie własne pistolety.

– Z tego, co zrozumiałem, drukarki 3D mogą robić różne rzeczy tylko z plastiku – zauważył Harry.

– Te domowe owszem. Ale plastik i tak wystarczy z naddatkiem, jeśli chcesz mieć prostą sztukę broni jednorazowego użytku, żeby kogoś zabić. – Oleg przejęty nachylił się nad stołem. – Nie trzeba nawet być właścicielem oryginalnego pistoletu. Żeby go skopiować, wystarczy pożyczyć na pięć minut, rozmontować, zrobić woskowy odcisk części, na którego podstawie wygeneruje się plik, umieści w komputerze i ustawi drukarkę. A po zabójstwie można cały pistolet przetopić. Gdyby nawet ktoś stwierdził, że strzelano z plastikowej broni, to i tak nie będzie ona na nikogo zarejestrowana.

– Mhm. Ale pistolet da się być może powiązać z drukarką, za pomocą której został wytworzony. Policijni technicy potrafią czasami zidentyfikować drukarki atramentowe.

Rakel zerknęła na Helgę, która wyglądała na trochę zagubioną.

– Chłopcy... – powiedziała Rakel.

– Wszystko jedno – ciągnął Oleg. – To zupełnie chore, że da się na nich zrobić wszystko. Na razie w Norwegii sprzedano tylko trochę ponad dwa tysiące drukarek 3D, ale wyobraź sobie, co to będzie, kiedy wszyscy będą je mieli. Kiedy na przykład terroryści będą mogli sobie wydrukować bombę wodorową.

– Chłopcy, czy nie możemy porozmawiać o czymś przyjemniejszym? – Rakel czuła, że dziwnie ciężko jej się oddycha. – O czymś bardziej kulturalnym, skoro mamy gości.

Oleg i Harry odwrócili się do Helgi, która się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że właściwie nie ma nic przeciwko większości tematów.

– Okej – zgodził się Oleg. – Może o Szekspirze?

– Brzmi lepiej. – Rakel spojrzała podejrzliwie na syna, zanim podała ziemniaki Heldze.

– No dobrze, wobec tego przejdźmy do Stałego Aune i do zespołu Otella – podjął Oleg. – Nie mówiłem wam jeszcze, że nagraliśmy z Jesusem cały wykład. Miałem ukryty pod koszulą mikrofon i nadajnik, a Jesus siedział w pokoju do kolokwiów i wszystko nagrywał. Czy Aune będzie miał coś przeciwko temu, żebyśmy wrzucili to nagranie do sieci? Jak myślisz, Harry?

Nie odpowiedział. Rakeł znów przyjrzała mu się uważnie. Czyżby znów się oddalał?

– Harry?

– Oczywiście w tej kwestii nie mogę się wypowiadać – odparł Harry, patrząc w talerz. – Ale dlaczego nie nagraliście tego po prostu na telefon? Przecież nie ma zakazu nagrywania wykładów na prywatny użytek.

– Oni ćwiczą – powiedziała Helga.

Popatrzyli na nią.

– Jesus i Oleg marzą o tym, żeby zostać tajnymi agentami – wyjaśniła.

– Wina, Helgo? – Rakeł sięgnęła po butelkę.

– Tak, poproszę. A wy nie pijecie?

– Ja wzięłam tabletkę od bólu głowy – odparła Rakeł. – A Harry nie pije.

– Tak zwany alkoholik – uzupełnił Harry. – Trochę szkoda, bo to podobno bardzo dobre wino.

Rakeł dostrzegła rumieniec, który pojawił się na policzkach Helgi, dlatego czym prędzej spytała:

– Więc Ståle uczy was o Szekspirze?

– I tak, i nie – odpowiedział Oleg. – Określenie „zespół Otella” sugeruje, że w sztuce to była zbrodnia z zazdrości, ale ja się z tym nie zgadzam. Helga i ja czytaliśmy wczoraj *Otella*...

– Czytaliście razem? – Rakeł położyła rękę na ramieniu Harry’ego. – Czy oni nie są słodcy?

Oleg przewrócił oczami.

– Wszystko jedno. W moim pojęciu prawdziwą, sięgającą głębiej przyczyną wszystkich zabójstw nie jest zazdrość, tylko zawiść i ambicje urażonego mężczyzny. Czyli Jagona. Otello to tylko marionetka, a ten dramat powinien nosić tytuł *Jago*, a nie *Otello*.

– Zgadzasz się z tym, Helgo? – Rakeł podobała się ta drobna, trochę anemiczna, dobrze wychowana dziewczyna, która najwyraźniej dość szybko poradziła sobie ze stresem.

– Mnie się tytuł *Otello* podoba, zresztą może tam wcale nie ma żadnej głębiej skrywanej przyczyny. Może prawdą jest to, co mówi sam Otello. Że to księżyc w pełni jest winny. Że to przez niego ludzie wariują.

– *No reason* – powiedział Harry uroczystym głosem z poprawną angielską wymową. – *I just like doing things like that.*

– Imponujące, Harry – stwierdziła Rakeł. – Cytujesz Szekspira w oryginale?

– To Walter Hill – odparł Harry. – *Wojownicy*, z tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątego dziewiątego roku.

– No tak. – Oleg się zaśmiał. – Najlepszy film gangsterski wszech czasów!

Rakel i Helga też się roześmiały. Harry podniósł szklankę z wodą, popatrzył na siedzącą po drugiej stronie Rakel. Uśmiechnął się. Śmiech przy rodzinnym stole. A ona pomyślała, że akurat w tej chwili on tu jest. Tutaj, z nimi. Starła się zatrzymać jego spojrzenie przy sobie. Ale niepostrzeżenie, tak jak morze zmienia kolor z zielonego na niebieski, znów to się stało. Jego spojrzenie odwróciło się do wewnątrz. I wiedziała, jeszcze zanim śmiech ucichł, że Harry znów wraca w swoją ciemność, daleko od nich.

Truls szedł po schodach w ciemności, zgięty wpół nad pistoletem, chowając się za szerokimi plecami policjanta w mundurze. W ciszy na klatce schodowej słychać było jedynie cykanie, jakby gdzieś wyżej chodził zegar. Snop światła latarki zdawał się popychać ciemność przed nimi, zagęszczać ją, kompresować, tak jak działa się ze śniegiem, kiedy Truls i Mikael jako nastoletni chłopcy odśnieżali dojście do domów emerytom z Manglerud. Później wyrywali im z drżących kościstych rąk stukoronowe banknoty, mówiąc, że rozmienią i przyniosą resztę. Jeśli ci starszycy na nią czekali, to czekają do dzisiaj.

Pod butami coś zachrząściło.

Truls chwycił młodego policjanta za kurtkę, funkcjonariusz zatrzymał się i poświecił. Błysnęły odłamki szkła, między nimi Truls dostrzegł niewyraźne odciski butów – z całą pewnością ktoś musiał wdepnąć w krew. Obcas był zdecydowanie oddzielony od przedniej części podeszwy, ale Trulsowi wydawało się, że odcisk jest za duży, aby pochodził od buta kobiety. Ślady kierowały się w dół. Doszedł do wniosku, że zauważyłby je, gdyby były również na parterze. Cykanie się wzmogło.

Gestem dał znać funkcjonariuszowi, że ma iść wyżej. Sam przyglądał się stopniom schodów. Odciski stały się wyraźniejsze. Spojrzał w górę. Uniósł pistolet, ale nie zatrzymał policjanta z patrolu. Nagle coś zobaczył. Coś, co przemknęło przez snop światła latarki. Spadło z góry, lekko połyskując. Coś czerwonego.

To nie było cykanie, tylko odgłos kropel krwi skapujących na schody.

– Poświeć – polecił.

Młody policjant przystanął, odwrócił się i przez moment wyglądał na kompletnie zaskoczonego, widząc, że kolega, który, jak sądził, znajduje się tuż za jego plecami, stoi jednak niżej i gapi się w sufit. Ale wykonał polecenie Trulsa.

– Panie święty! – szepnęła.

– Amen – dokończył Truls.

Na ścianie nad nimi wisiała kobieta.

Spod podciągniętej spódnicy w kratkę wystawał brzeg białych majtek. Z dużej rany na udzie znajdującej się na wysokości głowy policjanta sączyła się krew. Spływała po łydce do buta, który najwyraźniej już się wypełnił, bo krew wypływała, zbierała się na samym końcu czubka i skapywała do czerwonej kałuży na stopniu. Ręce kobiety były wyciągnięte do góry ponad pochyloną do przodu głową. Nadgarstki skuwiała para dziwacznych kajdanek, zapiętych wokół stalowego ramienia lampy. Człowiek, który podniósł tę kobietę, musiał być silny. Włosy zasłaniały ofierze twarz i szyję, dlatego Truls nie mógł stwierdzić, czy została tam ugryziona, ale po ilości krwi w kałuży i delikatnym kapaniu uznał, że w ciele kobiety już nic nie ma.

Przyglądał jej się uważnie. Usiłował zapamiętać każdy szczegół. Wyglądała jak obraz. Właśnie takiego określenia postanowił użyć podczas rozmowy z Moną Daa. „Jak obraz, który wisiał na ścianie”

Na podeście nad nimi uchyliły się drzwi i wyjrzała zza nich blada twarz.

– Nie ma go już?

– Na to wygląda. Amundsen?

Kiedy drzwi otworzyły się szerzej, wylało się z nich światło i jednocześnie rozległ się jęk przerażenia.

Starszy pan, stąpając z trudem, wyszedł na klatkę, a starsza pani, pewnie żona, z lękiem patrzyła z progu.

– To był diabeł we własnej osobie – stwierdził Amundsen. – Spójrzcie, co zrobił!

– Proszę się nie zbliżać – zakomenderował Truls. – To miejsce, w którym dokonano zabójstwa. Czy ktoś wie, gdzie się podział sprawca?

– Gdybyśmy wiedzieli, że już go tu nie ma, wyszlibyśmy sprawdzić, czy nie da się w czymś pomóc – odparł staruszek. – Ale z okna w salonie widzieliśmy mężczyznę. Wszedł z bloku i skierował się w stronę stacji. Nie wiem, czy to był on. Szedł tak spokojnie.

– Jak dawno?

– Nie więcej niż kwadrans temu.

– A jak wyglądał?

– Trudno powiedzieć. – Staruszek odwrócił się do żony, żeby mu pomogła.

– Zwyczajnie – stwierdziła.

– No właśnie. Ani wysoki, ani niski, włosy ani jasne, ani ciemne. W garniturze.

– Szarym – dodała żona.

Truls skinął głową policjantowi, który zrozumiał sygnał i zaczął mówić do radia przymocowanego do kieszonki na piersi.

– Proszę o wsparcie na Hovseterveien czterdzieści cztery. Zaobserwowano podejrzanego piętnaście minut temu, przemieszczał się piechotą w stronę stacji kolejki. Około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu, prawdopodobnie etniczny Norweg, w szarym garniturze.

Pani Amundsen wyszła zza drzwi. Poruszała się z jeszcze większym trudem niż jej mąż, nie odrywała kapci od podłogi. Drżącym palcem wskazała na wiszącą kobietę. Przypominała Trulsowi emerytów, którym odświeżał.

– Mówiłem, że macie się nie zbliżać! – podniósł głos.

– Ale... – zaczęła kobieta.

– Proszę wrócić do mieszkania! Nie wolno zanieczyszczać miejsca zbrodni, dopóki nie przyjadą technicy. A do państwa zadzwonimy, kiedy będziemy chcieli zadać jakieś pytania.

– Ale... ale ona przecież żyje!

Truls się odwrócił. W świetle bijącym z otwartych drzwi zobaczył, że prawa stopa kobiety lekko drga, jakby targana skurczem. Pojawiła się myśl, nad którą nie był w stanie zapanować. Że kobieta została zarażona. I też stała się wampirem. A teraz się budzi.

12 SOBOTA, WIECZÓR

Metal głośno dzwonił o metal, kiedy sztanga uderzała o statyw nad wąską ławką. Niektórzy uważali te dźwięki za hałas, a w uszach Mony Daa brzmiały jak najpiękniejsza muzyka karylionu. Nikomu zresztą nie przeszkadzały, bo w klubie fitness Gain była sama. Pół roku temu klub stał się całodobowy – prawdopodobnie inspirację zaczerpnięto z podobnych miejsc w Nowym Jorku i Los Angeles, ale Mona jeszcze nie widziała, żeby ktoś inny ćwiczył tu po północy. Norwegowie po prostu nie pracowali tak dużo, aby znalezienie czasu na trening w ciągu dnia stanowiło jakiś problem. Była wyjątkiem. Chciała nim być. Mutantem. Przecież w ewolucji to wyjątki posuwały świat naprzód. Przybliżały do perfekcji.

Usłyszała dźwięk telefonu, więc wstała z ławki.

Dzwoniła Nora. Mona włożyła słuchawkę do ucha i odebrała.

– Trenujesz, *bitch* – jęknęła przyjaciółka.

– Tylko trochę.

– Kłamiesz, przecież widzę, że jesteś tam już od dwóch godzin.

Mona, Nora i kilka innych koleżanek z czasów studiów mogły się nawzajem

obserwować za pomocą GPS-u w telefonie. Aktywowały usługę pozwalającą na śledzenie przez komórkę poczynań pozostałych. Było to świetne rozwiązanie towarzyskie, które poza wszystkim dawało poczucie bezpieczeństwa. Ale Mona niekiedy odczuwała, że to trochę ogranicza jej swobodę. Dobrze mieć bliski kontakt z koleżankami, lecz przecież nie muszą być jak papużki nierozłączki czy jak czternastolatki, które nawet do toalety chodzą razem. Najwyższa pora, żeby te młode, zdolne kobiety przyznały, że drzwi do kariery stoją przed nimi otworem, a tym, co je powstrzymuje od przekroczenia progu, jest ich własna odwaga i ambicja, by zrobić coś wyjątkowego, a nie tylko zasłużyć na uznanie innych.

– Czuję do ciebie lekką nienawiść, kiedy myślę o wszystkich kaloriach, które właśnie w tej chwili z ciebie ściekają – westchnęła Nora. – A ja siedzę na swoim tłustym tyłku i pocieszam się kolejną piña coladą. Posłuchaj...

Mona o mało nie wyciągnęła słuchawki, kiedy w bębenek uderzył ją przeciągły bulgot przez rurkę. Nora twierdziła, że piña colada to jedyna odtrutka na wczesnojesienną depresję.

– Mamy coś do omówienia, Noro? Jestem właśnie...

– Owszem – przerwała jej Nora. – Robotę.

Nora i Mona studiowały razem w Wyższej Szkole Dziennikarstwa. Kilka lat temu szkoła musiała zaostrzyć kryteria przyjmowania bardziej niż jakakolwiek inna uczelnia w kraju, bo wydawało się, że marzeniem co drugiej zdolnej dziewczynki i co drugiego zdolnego chłopca było zdobycie własnej szpalty komentatorskiej w gazecie albo pokazywanie się w telewizji. W każdym razie taki był cel Mony i Nory. Badaniem nad rakiem i rządzeniem krajem niech zajmą się inni, nie tak zdolni. Ale Mona zorientowała się, że jej uczelnia zaczęła mieć konkurencję w postaci wszystkich tych lokalnych szkół wyższych, które otrzymywały państwowe dotacje, mogły więc zaproponować młodzieży norweskiej ciesząc się wielką popularnością studia w dziedzinie dziennikarstwa, filmu, muzyki i pielęgnacji urody, nie bacząc na to, jakie zawody są poszukiwane i jakiego rodzaju specjalistów brakuje w społeczeństwie. Najbogatsze państwo świata mogło ich przecież importować z krajów, gdzie ludzie przywykli do ciężkiej pracy, podczas gdy bezrobotni i beztroscy młodzi norwescy filmoznawcy ze słomkami głęboko zanurzonymi w państwowych milkshake'ach siedzieli w domach i oglądali – a jeśli mieli siłę, to również krytykowali – zagraniczne filmy. Innym powodem obniżenia wymogów przy przyjęciu na studia było oczywiście to, że chłopcy i dziewczęta odkryli rynek blogów, na którym nie musieli zaharowywać się na dobre oceny, żeby zdobyć taką samą popularność, jaką mogły im zaoferować telewizja i gazety. Mona w artykule na ten temat napisała, że media nie stawiają już dziennikarzom

wymogu fachowości również dlatego, że nie muszą tego robić, ponieważ społeczeństwo nowych mediów z coraz bardziej dominującym banalnym skupieniem na celebrytach zredukowało rolę dziennikarza do roli wiejskiej plotkarki. Mona posłużyła się przykładem własnej, największej w Norwegii gazety. Artykuł nigdy się nie ukazał. Redaktor tematyczny stwierdził, że tekst jest za długi, i odesłał ją do naczelnej magazynu. A pozytywnie nastawiony kolega wyjaśnił: „Jeżeli istnieje coś, czego nie lubi tak zwana krytyczna prasa, to bycia krytykowaną”. Ale Mona przypuszczała, że tak naprawdę w sedno trafiła naczelna magazynu, mówiąc: „No ale, Mona, przecież tu się nie wypowiada żaden celebryta!”

Mona stanęła przy oknie i wyjrzała na park Frogner. Zachmurzyło się. Z wyjątkiem oświetlonych ścieżek park spowijała ciężka, wręcz namacalna ciemność. Zawsze tak było jesienią, zanim drzewa zaczynały zrzucić liście i wszystko nabierało przejrzystości, a miasto odzyskiwało swoją twardość i chłód. Ale od końca sierpnia do końca września Oslo było jak miękki ciepły miś, którego miała ochotę tulić do siebie i tulić.

- Zamieniam się w słuch, Noro.
- Chodzi o tego wampirystę.
- Zlecili ci sprowadzenie go jako gościa? Myślisz, że on się udziela w talk-show?
- Mówię ci po raz ostatni: *Magazyn niedzielny* to program publicystyczny, Mona. Dzwoniłam już do Harry’ego Hole, ale grzecznie odmówił. Powiedział, że to ta cała Katrine Bratt kieruje śledztwem.
- A ona ci nie pasuje? Stale się skarżysz, że tak trudno znaleźć kobiety w roli dobrych gości.
- No tak, ale Hole to najśłynniejszy śledczy w kraju. Pamiętasz, że raz przyszedł do telewizji pijany? Owszem, był skandal, ale ludzie to uwielbiali!
- Powiedziałaś mu o tym?
- Nie, ale mówiłam, że telewizja potrzebuje celebrytów i znana twarz zwróci większą uwagę na pracę policji w naszym mieście.
- Lizuska. Nie kupił tego?
- Powiedział, że gdybym chciała go namówić do *Tańca z gwiazdami* jako reprezentanta policji, to już jutro zacząłby ćwiczyć slow-foxa, ale akurat teraz chodzi o poważną sprawę, o zabójstwa. A Katrine Bratt jest osobą, która ma o wszystkim pojęcie, poza tym jest upoważniona do wypowiadania się publicznie.

Mona się śmiała.

- O co chodzi?
- O nic. Po prostu wyobraziłam sobie Holego w *Tańcu z gwiazdami*.
- Co? Myślisz, że on mówił poważnie?

Mona roześmiała się jeszcze głośniej.

– Dzwonię, żeby zapytać, co ty, która przecież dobrze znasz to środowisko, myślisz o tej Katrine Bratt.

Mona ze stojącego przed nią statywu zdjęła lekkie hantle i zaczęła wykonywać szybkie ćwiczenia na bicepsy, żeby podgonić krążenie i pozbyć się produktów przemiany materii z mięśni.

– Bratt jest bystra. I nieźle się wysławia. Może trochę zbyt surowa.

– Ale myślisz, że dobrze wypadnie na ekranie? Na nagraniach z konferencji prasowej wydawała się trochę...

– Szara? No może, ale potrafi świetnie wyglądać, jeśli tylko zechce. Paru chłopaków z redakcji kryminalnej uważa, że to najgorętsza laska, jaką mają w komendzie. Ale to jedna z tych, które starają się to przytłumić i wolą raczej wypaść profesjonalnie.

– Czuję, że już trochę jej nie znoszę. A co z Hallsteinem Smithem?

– Tu masz potencjalnego stałego gościa. Odpowiednio ekscentryczny, odpowiednio wyszczekany, ale profesjonalista, możesz z nim ruszać.

– Okej, dzięki. *Sisters are doing it for themselves, OK?*

– Chyba przestałyśmy już tak mówić?

– Owszem, dlatego teraz użyłam tego ironicznie.

– Aha. Ha, ha.

– No właśnie, ha, ha. I wiesz co?

– Co?

– On ciągle krąży.

– Przecież wiem.

– Ale ja mówię dosłownie. A z Hovseter do parku Frogner nie jest tak daleko.

– Co masz na myśli?

– Ojej, nie słyszałaś? Znow zaatakował.

– Kurwa! – krzyknęła Mona i kątem oka zobaczyła, że chłopak w recepcji podniósł głowę. – Ten cholerny redaktor dyżurny obiecał, że do mnie zadzwoni, a dał to komuś innemu. Na razie, Nora.

Mona ruszyła do szatni, wepchnęła wierzchnie ubranie do torby, zbiegła po schodach i wypadła na ulicę. Szybkim krokiem szła w stronę redakcji „VG”, jednocześnie rozglądając się za wolnymi taksówkami. Miała szczęście, bo wkrótce udało jej się złapać taką, która zatrzymała się na czerwonym świetle. Ciężko opadła na tylne siedzenie i wyjęła telefon. Wstukała numer Trulsa Berntsena. Już po dwóch dzwonek usłyszała ten jego dziwaczny chrumkający śmiech.

– No i co? – spytała.

- Zastanawiałem się, ile czasu ci to zajmie.

13 SOBOTA, PÓŻNY WIECZÓR

– Zdążyła stracić ponad półtora litra krwi, zanim ją tu do nas przywieziono – poinformował lekarz, który prowadził Harry’ego i Katrine korytarzem Szpitala Ullevål. – Gdyby tętnica udowa została przegryziona nieco wyżej, w miejscu, gdzie jest grubsza, życia pacjentki nie udałoby się uratować. Zwykle nie pozwalamy osobom w jej stanie na rozmowy z policją, lecz ponieważ zagrożone jest również życie innych...

– Dziękujemy – powiedziała Katrine. – Będziemy pytać wyłącznie o to, co absolutnie konieczne.

Lekarz otworzył drzwi, on i Harry zatrzymali się, natomiast Katrine podeszła do łóżka chorej i do czuwającej przy niej pielęgniarki.

– To dość imponujące – stwierdził lekarz. – Nie sądzisz, Harry?

Harry z uniesioną brwią odwrócił się do niego.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zwracam się do ciebie po imieniu. Oslo jest takie małe. To ja lecę twoją żonę.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, że ta wizyta lekarska ma się odbyć aż w Szpitalu Ullevål.

– Uświadomiłem to sobie, kiedy wypełniając jeden z naszych formularzy, wpisała ciebie jako osobę najbliższą. Zapamiętałem twoje nazwisko z gazet.

– No to masz dobrą pamięć. – Harry spojrział na plaketkę z nazwiskiem przypiętą do białego fartucha. *Ordynator John D. Steffens*. Postanowił jednak zrezygnować z wszelkich formalności. – Bo moje nazwisko nie pojawia się w gazetach od dawna. Co twoim zdaniem jest imponujące?

– To, że człowiek może w taki sposób przegryźć udo. Wiele osób sądzi, że siła szczęk współczesnego człowieka jest nieduża, ale w porównaniu z większością ssaków potrafimy ugryźć całkiem mocno, wiedziałeś o tym?

– Nie.

– A jak ci się wydaje, jak mocno gryziemy?

Harry po kilku sekundach zorientował się, że Steffens naprawdę czeka na odpowiedź.

– Cóż, nasz technik kryminalistyczny mówi, że z siłą siedemdziesięciu kilogramów.

– No to wiesz, Harry, że gryziemy mocno.

Harry wzruszył ramionami.

– Ta wartość nic mi nie mówi. Gdyby mi powiedziano, że to sto pięćdziesiąt kilogramów, nie zaimponowałoby mi to ani mniej, ani bardziej. Ale skoro już jesteśmy przy liczbach, to skąd wiesz, że Penelope Rasch straciła akurat półtora litra krwi? Nie przypuszczałem, że puls i ciśnienie mogą być tak dokładnymi wskaźnikami.

– Przesłano mi zdjęcia z miejsca, w którym to się stało – wyjaśnił Steffens. – A ponieważ handluję krwią, mam świetną miarkę w oku.

Harry już chciał spytać, co lekarz przez to rozumie, ale w tej samej chwili Katrine przywołała go gestem.

Wszedł do pokoju i stanął przy niej. Penelope Rasch miała twarz równie białą jak powłoczka jej poduszki. Oczy dziewczyny były otwarte, ale zamglone.

– Nie będziemy cię długo męczyć, Penelope – obiecała Katrine. – Porozumieliśmy się z policjantem, który rozmawiał z tobą w miejscu, gdzie to się stało, więc wiemy, że bezpośrednio przed tym zdarzeniem spotkałaś się ze sprawcą na mieście, że zaatakował cię na klatce schodowej i że ugryzł cię żelaznymi zębami. Ale czy możesz nam powiedzieć o nim coś więcej? Czy oprócz imienia Vidar podał ci jeszcze jakieś nazwisko? Mówił, gdzie mieszka, gdzie pracuje?

– Vidar Hansen. Nie pytałam, gdzie mieszka. – Głos Penelope skojarzył się Harry'emu z cieniutką porcelaną. – Mówił, że jest artystą, chociaż pracuje jako ochroniarz.

– Uwierzyłaś mu?

– Nie wiem. Może i jest ochroniarzem. W każdym razie jest kimś, kto ma dostęp do kluczy, bo już wcześniej był w moim mieszkaniu.

– Tak?

Z wielkim wysiłkiem wysunęła spod kołdry lewą dłoń i lekko ją uniosła.

– Pierścionek zaręczynowy, który dostałam od Roara. Zabrał go z mojej komody.

Katrine z niedowierzaniem wpatrywała się w zmatowiały złoty pierścionek.

– Chcesz powiedzieć, że... że on włożył ci go na palec tam, na klatce?

Penelope kiwnęła głową i mocno zacisnęła powieki.

– A na koniec powiedział, że...

– Tak?

– Że nie jest taki jak inni mężczyźni i wróci, żeby się ze mną ożenić. – Z jej ust wyrwał się szloch.

Harry widział, że Katrine jest wstrząśnięta, ale wciąż skoncentrowana.

– Jak on wygląda, Penelope?

Dziewczyna otworzyła usta i szybko je zamknęła. Patrzyła na nich zagubiona.

– Nie pamiętam. Musiałam... musiałam o tym zapomnieć. Ja... – Przygryzła dolną wargę, a do oczu napłynęły jej łzy.

– W porządku – uspokoiła ją Katrine. – To całkiem normalne w twojej sytuacji. Później przypomnisz sobie więcej. Pamiętasz, jak był ubrany?

– W garnitur. I koszulę. Rozpiął ją. Miał... – Urwała.

– Co miał?

– Tatuż na piersi.

Harry widział, że Katrine zapało dech.

– Jaki tatuż, Penelope?

– Twarz.

– Twarz demona, który próbuje się wydostać?

Penelope potwierdziła. Po policzku spłynęła jej jedna łza. Jakby nie miała w sobie dość płynów na dwie, pomyślał Harry.

– Jakby... – z gardła Penelope wydarł się pojedynczy szloch – ...jakby chciał mi go pokazać.

Harry zamknął oczy.

– Ona potrzebuje teraz spokoju – oznajmiła pielęgniarka.

Katrine pokiwała głową i położyła rękę na mlecznobiałym ramieniu dziewczyny.

– Dziękujemy, Penelope. Bardzo nam pomogłaś.

Harry i Katrine już wychodzili, kiedy przywołała ich pielęgniarka. Zawrócili do łóżka.

– Pamiętam jeszcze jedno – szepnęła Penelope. – On wyglądał tak, jakby miał niedawno zoperowaną twarz. I zastanawiałam się jeszcze nad czymś.

– Nad czym? – Katrine musiała się nachylić, żeby złowić uchem prawie niesłyszalny głos.

– Dlaczego on mnie nie zabił?

Katrine spojrzała na Harry'ego, szukając u niego pomocy, a on wziął głębszy oddech, skinął jej głową i sam pochylił się nad Penelope.

– Ponieważ nie dał rady – powiedział. – Ty mu na to nie pozwoliłaś.

– W każdym razie teraz wiemy już na pewno, że to on – stwierdziła Katrine, gdy szli korytarzem, kierując się do wyjścia.

– Mhm. Czyli zmienił metodę. I preferencje.

– Co czujesz w związku z tym?

– W związku z czym? Z tym, że to on? – Harry wzruszył ramionami. – Nie mam żadnych odczuć. Wiem, że to morderca, którego należy złapać. I kropka.

– Nie kłam, Harry. Nie mnie. To on jest powodem, dla którego tu teraz jesteś.

– Dlatego że może zabić kolejne osoby. Trzeba go ująć. Ale w tym nie ma żadnych osobistych pobudek, okej?

– Słyszę, co mówisz.

– To dobrze.

– Jak myślisz, co znaczy ta zapowiedź, że wróci, żeby się z nią ożenić? Czy to...

– ...metafora? Tak. Będzie ją nachodził w snach.

– Ale to oznacza, że on...

– Specjalnie jej nie zabił.

– Okłamałeś ją.

– Okłamałem. – Harry pchnął drzwi i po kilku sekundach wsiedli do samochodu, który czekał na nich tuż przed wejściem. Katrine zajęła miejsce z przodu, Harry z tyłu.

– Komenda? – spytał Anders Wyller siedzący za kierownicą.

– Tak. – Katrine sięgnęła po komórkę, która ładowała się w aucie. – Bjørn przysłał SMS-a, że odciski krwi na schodach to prawdopodobnie ślady kowbojek.

– Kowbojki... – powtórzył Harry z tylnego siedzenia.

– Z wąskim wysokim obcasem i...

– Wiem, jak wyglądają kowbojki. O takich butach wspominał jeden ze świadków.

– Kto? – spytała Katrine, przeglądając inne SMS-y, które dostała w czasie, gdy była w szpitalu.

– Ten barman z Jealousy. Mehmet jakiś.

– Trzeba przyznać, że pamięć masz ciągle imponującą. Piszą, że chcą mnie widzieć jako gościa w *Magazynie niedzielnym*, żebym mówiła o wampirystyce. – Stukała w klawiaturę.

– I co odpowiadasz?

– Oczywiście, że nie. Bellman wyraźnie sobie zażyczył, by o tej sprawie mówiło się jak najmniej.

– A gdyby udało się ją rozwiązać?

Katrine odwróciła się, żeby spojrzeć na Harry'ego.

– Co przez to rozumiesz?

Wzruszył ramionami.

– Po pierwsze, komendant mógłby się pochwalić w ogólnokrajowej telewizji wykryciem sprawcy w ciągu trzech dni. Po drugie, do złapania go przydałby nam się rozgłos.

– Rozwiązaliśmy sprawę? – Wyller spojrzał na Harry'ego w lusterku.

– Wykryliśmy sprawcę – odparł Harry. – Chociaż sprawy nie rozwiązaliśmy.

Wyller zwrócił się do Katrine:

– O czym on mówi?

– Wiemy już, kim jest zabójca. Ale sprawa nie zostanie rozwiązana, dopóki długie ramię sprawiedliwości nie dosięgnie tej osoby. W tym wypadku okazało się ono za krótkie. Ten człowiek jest poszukiwany na całym świecie od ponad trzech lat.

– Co to za jeden?

Katrine ciężko westchnęła.

– Nie mam siły wymieniać jego nazwiska. Mów ty, Harry.

Harry wyjrzał przez okno. Oczywiście Katrine miała rację. Mógł się tego przed nią zapierać, ale był tu z jednego egoistycznego powodu. Nie z powodu ofiar, nie ze względu na dobro miasta ani na prestiż policji. Nawet nie ze względu na własny prestiż. Powód był tylko jeden – że tamten się wymknął. Owszem, Harry miał poczucie winy, że go wcześniej nie powstrzymał, że zginęły kolejne ofiary, że ten człowiek tyle czasu spędził na wolności. A i tak liczyło się tylko jedno: że musi go dopaść. Że dopaść musi go on, Harry. Nie wiedział dlaczego. Naprawdę potrzebował zmierzenia się z tym najgorszym z seryjnych zabójców i gwałcicieli, aby nadać własnemu życiu kierunek i sens? Diabli wiedzą. I diabli wiedzą też, czy z tamtym nie jest podobnie. Czy ten człowiek nie wychynął ze swojej kryjówki właśnie ze względu na niego. Na Harry'ego. Narysował znak V na drzwiach Ewy Dolmen, a Penelope Rasch pokazał wytatuowanego demona. Penelope pytała, dlaczego jej nie zabił. A Harry skłamał. Zabójca nie uśmiercił jej z jednego jedyne powodu: chciał, aby opowiedziała o tym, co widziała. Aby przekazała Harry'emu to, co on już wiedział: że musi wyjść i podjąć zabawę.

– No cóż – powiedział Harry. – Którą wersję chcecie usłyszeć: długą czy krótką?

14 NIEDZIELA, RANO

– Valentin Gjertsen. – Harry Hole wskazał na człowieka spoglądającego na grupę śledczą z trzymetrowego ekranu na ścianie.

Katrine przyglądała się tej wąskiej twarzy. Brązowe włosy, głęboko osadzone oczy. A może tak to tylko wyglądało, ponieważ wysunął czoło i światło padło na nie w pewien określony sposób? Zdumiało ją, że fotograf policyjny pozwolił Valentinowi poprzestać na takim zdjęciu. No i ten wyraz twarzy. Na fotografiach robionych przy aresztowaniu z reguły widać było strach, zagubienie albo rezygnację. Ale to zdjęcie ukazywało radość. Jakby Valentin Gjertsen wiedział coś, o czym oni nie wiedzieli. Jeszcze nie wiedzieli.

Harry pozwolił, by ta twarz zapadła wszystkim obecnym w pamięć, i dopiero podjął:

– Oskarżony już w wieku szesnastu lat za obmacywanie dziewięciolatki, którą zwabił do łodzi wiosłowej. Kiedy miał siedemnaście, sąsiadka zgłosiła, że usiłował ją zgwałcić w pralni. W wieku dwudziestu sześciu lat, gdy odbywał karę za napaści na nieletnie, w więzieniu Ila miał wizytę u dentystki. Grożąc lekarce wiertłem dentystycznym, zmusił ją, by zdjęła nylonowe pończochy i wciągnęła je na głowę. Najpierw ją zgwałcił w fotelu dentystycznym, a potem te pończochy podpalił.

Harry wcisnął klawisz w komputerze i zdjęcie na ekranie się zmieniło. Rozległ się stłumiony jęk, Katrine zobaczyła, że nawet najbardziej doświadczeni śledczy spuszczaają wzrok.

– Nie pokazuję wam tego dla zabawy, tylko żebyście zrozumieli, z jakim indywiduum mamy do czynienia. Poza tym tę dentystkę pozostawił przy życiu. Tak jak Penelope Rasch. Nie sądzę, żeby to był wypadek przy pracy. Uważamy, że Valentin Gjertsen w coś z nami gra.

Harry znów wcisnął klawisz i pojawiło się to samo zdjęcie Valentina, ale na stronie Interpolu.

– Valentin uciekł z Ila przed blisko czterema laty w bardzo spektakularny sposób. Zabił współwięźnia, Judasa Johansena, zmasakrował mu głowę, na piersi trupa kazał wytatuować kopię twarzy demona, którą sam ma w tym miejscu, i ukrył zwłoki w bibliotece, w której pracował. Kiedy Judas nie stawił się na zbiórkę, zgłoszono jego ucieczkę. Valentin, tej nocy gdy uciekł, przebrał ciało we własną odzież i ułożył je na podłodze w swojej celi. Strażnicy więzienni, którzy znaleźli niezidentyfikowane zwłoki, oczywiście uznali, że to Valentin, zresztą nie byli szczególnie zaskoczeni. Tak jak wszyscy skazani za pedofilię, Valentin Gjertsen był znienawidzony wśród więźniów. Nie pomyślano nawet o sprawdzeniu odcisków palców, a tym bardziej o badaniu DNA. Dlatego długo sądziliśmy, że Valentin Gjertsen należy do przeszłości. Aż do chwili, kiedy wypłynął w związku z innym zabójstwem. Oczywiście nie wiemy dokładnie, ile osób Valentin Gjertsen zabił czy zgwałcił, ale w każdym razie jest ich więcej, niż był o to podejrzewany lub za to skazany. Wiemy jednak, że jedną z jego ostatnich ofiar, zanim zniknął na dobre, była kobieta, która dawniej wynajmowała mu mieszkanie, Irja Jacobsen.

Kolejny klawisz.

– To zdjęcie z komuny, w której mieszkała i ukrywała się przed Valentinem. Jeśli się nie mylę, to ty, Berntsen, byłeś pierwszy na miejscu zdarzenia, tam gdzie ją znaleziono uduszoną pod stosem desek surfingowych dla dzieci z, jak widzicie, motywem rekina.

Z tyłu sali dobiegł chrumkający śmiech.

– Zgadza się. Deski były kradzione. Biedne ćpuny nie dały rady ich sprzedać.

– Irja Jacobsen najprawdopodobniej zginęła, ponieważ udzieliła policji informacji o Valentinie. To może wyjaśniać, dlaczego tak trudno było skłonić kogokolwiek, żeby bodaj jednym słowem zdradził, gdzie on może przebywać. Ci, którzy go znają, po prostu nie mają odwagi mówić. – Harry chrząknął. – Valentina nie można było odnaleźć również dlatego, że po ucieczce przeszedł rozległe, wieloetapowe operacje plastyczne. Osoba, którą widzicie na zdjęciu, nie jest podobna do tej, którą widzieliśmy później na niewyraźnym nagraniu z monitoringu podczas meczu na Stadionie Ullevaal. To nagranie pozwolił nam zobaczyć umyślnie. Później też nie mogliśmy go odnaleźć, zaczęliśmy więc podejrzewać, że przeszedł kolejne operacje, prawdopodobnie gdzieś za granicą, ponieważ sprawdziliśmy absolutnie wszystkich chirurgów plastycznych w całej Skandynawii. Nasze podejrzania o zmianach dokonanych na jego twarzy potwierdza to, że Penelope Rasch nie rozpoznaje Valentina na żadnym z pokazywanych jej zdjęć. Niestety, nie potrafi też dokładnie go opisać, a wrzucone na Tindera zdjęcie tego tak zwanego Vidara w jej telefonie raczej nie przedstawia jego.

– Tord sprawdził facebookowy profil tego Vidara – wtrąciła Katrine. – To żadna niespodzianka, ale jest fałszywy, założono go niedawno na komputerze, którego nie potrafimy wyśledzić. To ostatnie, zdaniem Torda, wskazuje, że on musi mieć jakieś pojęcie o komputerach.

– Albo ktoś mu pomógł – stwierdził Harry. – W każdym razie jest osoba, która widziała Valentina Gjertsena i rozmawiała z nim tuż przed jego zniknięciem z radaru trzy lata temu. Niestety, Ståle przeszedł na emeryturę i nie jest już konsultantem Wydziału Zabójstw, ale dzisiaj zgodził się z nami porozmawiać.

Ståle Aune wstał i zapiął guzik tweedowej marynarki.

– Miałem wątpliwą przyjemność mieć przez krótki okres pacjenta, który przedstawił się jako Paul Stavnes. Wśród schizofrenicznych psychopatów wyróżniał się tym, że był świadomy swojej choroby, przynajmniej do pewnego stopnia. Również mnie zdołał zmanipulować. Nie uświadamiałem sobie, kim jest ani co zrobił, aż do dnia, kiedy przypadkiem się ujawnił i próbował mnie zabić, po czym zniknął na dobre.

– Podany przez Stålego rysopis stał się podstawą tego portretu pamięciowego. – Harry znów pomajstrował przy komputerze. – Który również jest nieaktualny, ale przynajmniej lepszy od tego zdjęcia z monitoringu zrobionego podczas meczu.

Katrine lekko przechyliła głowę na bok. Rysunek pokazywał zmienione włosy, nos i kształt oczu, obrys twarzy bardziej wyostrzony niż na zdjęciu, ale ta radość

pozostała. Przypuszczalna radość. Uśmiech, o jaki podejrzewa się krokodyla.

– W jaki sposób stał się wampirystą? – Pytanie padło spod okna.

– Przede wszystkim ciągle nie jestem przekonany o istnieniu wampirystów – odparł Aune. – Ale oczywiście może być wiele powodów, dla których Valentin Gjertsen pije krew. Chociaż nie mogę udzielić odpowiedzi tu i teraz.

Zapadła długa chwila ciszy.

Harry chrząknął.

– W żadnej z wcześniejszych spraw, które wiążemy z Valentinem Gjertsenem, nie znaleźliśmy śladów gryzienia ani picia krwi. A rzeczywiście jest tak, że zbrodniarze z reguły trzymają się pewnego określonego schematu, próbują stale realizować te same fantazje.

– Na ile jesteśmy pewni, że to rzeczywiście Valentin Gjertsen? – spytał Skarre. – A nie tylko ktoś, kto próbuje nam wmówić, że to on?

– Na osiemdziesiąt dziewięć procent – odezwał się Bjørn Holm.

Skarre się roześmiał.

– Dokładnie osiemdziesiąt dziewięć?

– Tak. Na kajdankach, którymi skuł Penelope Rasch, znaleźliśmy włoski, pochodzące prawdopodobnie z grzbietu dłoni. W wyniku analizy DNA stosunkowo łatwo potwierdzić *match* z prawdopodobieństwem osiemdziesięciu dziewięciu procent. Czasu wymaga kolejne dziesięć procent. Ostateczną odpowiedź dostaniemy za dwa dni. A tak w ogóle to kajdanki są z rodzaju tych, które można kupić w sieci. Replika średniowiecznych kajdan, dlatego to żelazo, nie stal. Podobno są bardzo popularne wśród ludzi, którzy lubią urządzać sobie gniazdka miłości na podobieństwo średniowiecznych lochów.

Pojedyncze wybuchy śmiechu.

– A co z tymi żelaznymi zębami? – spytała któraś z kobiet. – Skąd mógł je wziąć?

– To już trudniejsza sprawa – odparł Bjørn Holm. – Nie znaleźliśmy żadnych producentów tego rodzaju zębów. W każdym razie nie z żelaza. Mógł je zamówić u jakiegoś kowala albo zrobić sam. To coś nowego. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy, żeby ktoś używał takiej szczęki.

– Nowy sposób postępowania. – Aune rozpiął guzik marynarki, uwalniając brzuch. – Zachowanie człowieka prawie nigdy nie zmienia się w sposób zasadniczy. Ludzie uparcie, notorycznie popełniają te same błędy, chociaż dysponują nowymi informacjami. Tak wygląda moja teza, lecz nawet w kręgach psychologów jest ona na tyle kontrowersyjna, że nadano jej zaszczytną nazwę „postulat Aunego”. Jeśli mimo wszystko obserwujemy zmiany w zachowaniu danej jednostki, wynikają one ze zmian w otoczeniu, do których dany osobnik się dostosowuje. Jednak

podstawowa motywacja determinująca zachowanie pozostaje taka sama. Odkrywanie przez przestępcę na tle seksualnym nowych fantazji i przyjemności nie jest niczym wyjątkowym, ale ma to związek ze stopniowym rozwojem smaku i gustu, a nie z fundamentalną zmianą dokonującą się w danej osobie. Gdy byłem nastolatkiem, mój ojciec twierdził, że kiedy dorosnę, zacznę cenić Beethovena. A ja na tym etapie Beethovena nienawidziłem i byłem przekonany, że ojciec się myli. Valentin Gjertsen już w młodym wieku doceniał szeroki wachlarz smaków, jeśli chodzi o seksualność. Gwałcił zarówno młode, jak i stare kobiety, być może również chłopców. O żadnych dorosłych mężczyznach nie wiemy, ale to może wynikać z przyczyn praktycznych, mężczyźni po prostu potrafią lepiej się bronić. Pedofilia, nekrofilia i sadyzm, wszystko to znajdowało się w menu Valentina Gjertsena. Oprócz Sveina „Narzeczonego” Finne Valentin Gjertsen jest osobą, którą policja w Oslo wiąże z największą liczbą zabójstw na tle seksualnym. Fakt, że Valentin ostatnio zasmakował w krwi, oznacza tylko, że dostałby dużo punktów za to, co nazywamy *openness*, czyli otwartością na nowe doświadczenia. Mówię o „smaku”, ponieważ jego poszczególne posunięcia, na przykład fakt dodania cytryny, wskazują raczej na to, że Valentin Gjertsen eksperymentuje z krwią, a nie jest nią opętany.

– Nie jest opętany?! – zawołał Skarre. – Przecież osiągnął poziom jednej ofiary dziennie! Kiedy tutaj siedzimy, on prawdopodobnie znów poluje. Co pan na to, profesorze? – Wymawiając ten tytuł, nawet nie starał się ukryć ironii.

Aune rozłożył swoje krótkie ręce.

– Znów muszę odpowiedzieć: nie wiem. Nie wiemy. Nikt nie wie.

– Valentin Gjertsen – powtórzył Mikael Bellman. – Mamy całkowitą pewność, Bratt? W takim razie daj mi dwie minuty na przemyślenie tej sprawy. Tak, tak, rozumiem, że to pilne.

Bellman przerwał połączenie i odłożył komórkę na szklany stolik. Isabelle właśnie przed chwilą poinformowała go, że to ręcznie formowane szkło z ClassiCon za ponad pięćdziesiąt tysięcy koron, a ona woli kilka sztuk mebli wysokiej jakości niż wypełnianie nowego mieszkania śmieciami. Z miejsca, w którym siedział, miał widok na sztuczną plażę i promy kursujące po Oslofjorden. Nieco dalej ostre porywy wiatru smagały niemal fioletowe morze aż do białości.

– No i co? – spytała Isabelle z łóżka za jego plecami.

– Szefowa grupy śledczej pyta, czy ma się zgodzić na udział w *Magazynie niedzielnym* dziś wieczorem. Tematem będą oczywiście zabójstwa popełnione przez wampirystę. Wiemy już, kim jest sprawca, ale nie wiemy, gdzie może się

ukrywać.

– To proste – stwierdziła Isabelle Skøyen. – Gdybyście złapali tego faceta, powinieneś stawić się tam osobiście. Ale w wypadku jedynie częściowego sukcesu słuszniej będzie wysłać przedstawicielkę. Przypomnij jej tylko, żeby mówiła „my”, a nie „ja”. Nie zaszkodzi też sugestia, że sprawca być może przedostał się za granicę.

– Za granicę? Dlaczego?

Isabelle westchnęła.

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś, to irytujące.

Bellman wstał i podszedł do drzwi na balkon. Patrzył na turystów napływających na Tjuvholmen w niedzielę. Jedni przyszli zwiedzić Muzeum Sztuki Współczesnej, Astrup Fearnley Museet, drudzy podziwiać hipernowoczesną architekturę i wypić przesadnie drogie cappuccino. A jeszcze inni pomarzyć o śmiesznie drogich mieszkaniach, których dotychczas nie sprzedano. Słyszał zresztą, że w muzeum wystawiono mercedesa z solidną ludzką kupą w miejscu gwiazdki na masce. Niech i tak będzie. Dla niektórych symbolem statusu są regularne wypróżnienia. Inni potrzebują najdroższego mieszkania, najnowszego samochodu albo największego jachtu, żeby się dobrze poczuć. No i są jeszcze tacy jak oni, jak Isabelle i on sam, którzy pragną mieć absolutnie wszystko: władzę, ale bez poczucia obowiązku. Uznanie i szacunek, lecz przy zachowaniu anonimowości pozwalającej na swobodne ruchy. Rodzinę zapewniającą bezpieczne ramy, dzięki którym przekażą dalej swoje geny, lecz również nieograniczony dostęp do seksu poza czterema ścianami domu. Mieszkanie i samochód. Oraz zdrową kupę.

– Czyli tak – powiedział Mikael Bellman. – Uważasz, że jeśli Valentin Gjertsen zniknie teraz na pewien czas, to opinia publiczna automatycznie uzna, że zwiął za granicę, a nie że Komenda Okręgowa Policji w Oslo nie jest w stanie go złapać. A jeśli go złapiemy, to będzie znaczyć, że działamy bardzo sprawnie. Gdy natomiast popełni kolejne zabójstwo, wszystko, co powiedzieliśmy, i tak pójdzie w zapomnienie.

Odwrócił się do niej. Dlaczego zdecydowała się na ustawienie dużego małżeńskiego łóża w salonie, skoro miała odpowiednią sypialnię, tego nie mógł pojąć. Zwłaszcza że do pokoju mogli zajrzeć sąsiedzi. Przypuszczał, że zrobiła to właśnie dlatego. Isabelle Skøyen była dużą kobietą, jej długie mocne członki leżały rozrzucone pod złocistym jedwabnym prześcieradłem, udrapowanym na jej bujnych kształtach. Już na sam ten widok poczuł, że znów jest gotowy.

– Wystarczy rzucenie odpowiedniego słowa, a już zasiejesz myśl o zagranicy – oznajmiła Isabelle. – W psychologii nazywa się to kotwiczenie, prosta rzecz, która działa zawsze. Dlatego że ludzie są prości. – Powiodła wzrokiem w dół jego ciała

i uśmiechnęła się szeroko. – Zwłaszcza mężczyźni.

Gwałtownym ruchem zrzuciła jedwabne prześcieradło na parkiet.

Patrzył na nią. Czasami myślał, że woli widok jej ciała od dotyku. Natomiast z żoną było odwrotnie. Dziwiło go to, ponieważ Ulla miała obiektywnie ładniejsze ciało niż Isabelle. Ale gwałtowne, wściekłe pożądanie Isabelle rozpałało go o wiele bardziej niż czułość Ulli i jej ciche, zbliżone do tłumionego płaczu orgazmy.

– Onanizuj się! – rozkazała, szeroko rozchylając ugięte w kolanach nogi, tak że przypominały rozwinięte do połowy skrzydła drapieżnego ptaka, i położyła dwa mocne palce na swojej płci.

Usłuchał. Zamknął oczy. I usłyszał lekkie pobrząkiwanie szklanego stolika. Do diabła, całkiem zapomniał o Katrine Bratt. Sięgnął po wibrującą komórkę i wcisnął Odbierz.

– Tak?

Kobięcy głos na drugim końcu linii coś powiedział, ale Mikael nie usłyszał słów, bo w tej samej chwili rozległa się przenikliwa syrena któregoś z promów.

– Mówię, że tak! – zawołał zniecierpliwiony. – Masz się stawić w *Magazynie niedzielnym*! Jestem teraz zajęty. Ale zadzwonię do ciebie później i przekażę ci instrukcje, w porządku?

– To ja.

Mikael Bellman zeszywniał.

– Ty, skarbie? Myślałem, że to Katrine Bratt.

– A gdzie jesteś?

– Gdzie? W swoim biurze, oczywiście.

Podczas zbyt długiej chwili milczenia uświadomił sobie, że ona również usłyszała syrenę promu i właśnie dlatego zadała mu to pytanie. Oddychał ciężko przez usta, wpatrzony w opadający członek.

– Obiad będzie gotowy nie wcześniej niż o wpół do szóstej – oświadczyła Ulla.

– Aha. A co...

– Pieczeń wołowa – odparła i się rozłączyła.

Harry i Anders Wyller wysiedli z samochodu przy Jøssingveien 33. Harry zapalił papierosa i spojrzał na czerwony murowany budynek otoczony wysokim ogrodzeniem. Z komendy wyjechali w blasku słońca wśród jaskrawych jesiennych kolorów, ale kiedy byli w drodze, zebrały się chmury, które nasuwały się teraz nad wzgórze niczym sufit o odcieniu cementu i wysysały z krajobrazu wszystkie barwy.

– A więc to jest Zakład Karny IIa – odezwał się Wyller. Harry pokiwał głową i głęboko zaciągnął się dymem. – Dlaczego mówią na niego Narzeczony?

– Ponieważ kiedy zgwałcone przez niego ofiary zachodziły w ciążę, groźbami zmuszał je, żeby donosiły dziecko.

– A gdyby się nie zgodziły...

– Zapowiadał, że i tak wróci i własnoręcznie wykona cesarskie cięcie. – Harry zaciągnął się ostatni raz, zgasił żar o paczkę z papierosami i schował do niej niedopałek. – Miejmy to już za sobą.

– Zasady nie pozwalają nam go skuć, ale będziemy was obserwować przez kamerę – poinformował strażnik więzienny, który ich wpuścił i zaprowadził na sam koniec długiego korytarza z pomalowanymi na szaro drzwiami po obu stronach. – Z reguły nie zbliżamy się do niego bardziej niż na metr.

– O rany – zdziwił się Wyller. – Zwykle was atakuje?

– Nie. – Strażnik wsunął klucz w zamek w ostatnich drzwiach. – Svein Finne nie dostał ani jednego upomnienia w ciągu tych dwudziestu lat, które tu spędził.

– Ale?

Strażnik wzruszył ramionami i przekręcił klucz.

– Wydaje mi się, że rozumiecie, o co mi chodzi.

Otworzył, odsunął się na bok, Wyller i Harry weszli do celi.

Mężczyzna siedzący na łóżku znajdował się w cieniu.

– Finne – powitał go Harry.

– Hole. – Głos z cienia zabrzmiał tak, jakby mełł kamień.

Harry wskazał ręką na jedyne krzesło w pomieszczeniu.

– Mogę usiąść?

– Jeśli uważasz, że czas ci na to pozwala. Słyszałem, że masz co robić.

Harry usiadł. Wyller stanął za nim przy drzwiach.

– Mmm. Czy to on?

– Czy to kto?

– Wiesz, o kim mówię.

– Odpowiem ci, jeśli będziesz ze mną szczery. Tęskniłeś za tym?

– Za czym, Finne?

– Za kumplem do zabawy na twoim poziomie. Takim, jakim kiedyś byłem dla ciebie ja.

Siedzący w cieniu mężczyzna pochylił się do przodu, jego twarz znalazła się w świetle wpadającym przez okno umieszczone wysoko na ścianie i Harry usłyszał, że Wyller zaczyna oddychać szybciej. Cień krat padł na naznaczoną bliznami po ospie twarz, pokrytą grubą czerwonobrazową skórą, gęsto poraną bruzdami, tak ostrymi i głębokimi, że wyglądały na wycięte nożem aż do kości. Finne miał

czoło przewiązane czerwoną chustką jak Indianin, grube wilgotne wargi w obramowaniu wąsów, źrenice małe, okolone piwnymi tęczęwkami, a białka oczu żółtawe. Zachował jednak umięśnione szczupłe ciało, jak dwudziestolatek. Harry szybko policzył w pamięci. Svein „Narzeczony” Finne musiał już mieć siedemdziesiąt pięć lat.

– Człowiek nigdy nie zapomina swojego pierwszego razu, mam rację, Hole? Moje nazwisko zawsze będzie zajmowało najwyższe miejsce na liście twoich przechwałek. Odebrałem ci cnotę, prawda? – Śmiech zabrzmiał tak, jakby ten człowiek płukał gardło żwirem.

– No cóż. – Harry złożył ręce. – Jeśli moja szczerłość zostanie nagrodzona twoją, to odpowiem ci, że wcale za tym nie tęsknię. I rzeczywiście nigdy cię nie zapomnę. Tak jak żadnej z tych, które okaleczyłeś i zabiłeś. Regularnie nawiedzacie mnie nocą.

– Do mnie one też przychodzą. Wierne są te moje narzeczone. – Grube wargi Finnego rozsunęły się, kiedy się uśmiechnął, jednocześnie przykładając prawą dłoń do prawego oka. Harry usłyszał, że Wyller zrobił krok do tyłu i uderzył plecami w drzwi. Oko Finnego patrzyło na Wyllera przez dziurę w dłoni, dostatecznie dużą na przepchnięcie przez nią piłki do golfa.

– Nie bój się, chłopcze – powiedział Finne. – To swojego szefa powinieneś się bać. Był równie młody jak ty teraz, a ja już leżałem na ziemi i nie mogłem się bronić. Mimo to przystawił do mnie pistolet i strzelił. Twój szef ma serce z kamienia, chłopcze, zapamiętaj to sobie. A teraz znów odczuwa pragnienie. Tak jak ten, który krąży na zewnątrz. To ich pragnienie jest jak pożar. Właśnie dlatego mówi się o gaszeniu pragnienia. Dopóki się go nie ugasi, będzie pochłaniać wszystko, z czym tylko się zetknie. Nieprawda, Hole?

Harry chrząknął.

– Teraz twoja kolej, Finne. Gdzie się ukrywa Valentin?

– Pytaliście o to już dawniej, a ja mogę tylko powtórzyć to, co już wam mówiłem. Nie rozmawiałem z Valentinem, kiedy tu siedział. I minęły już blisko cztery lata, odkąd uciekł.

– Jego metody są podobne do twoich. Niektórzy twierdzą, że to ty go wyuczyłeś.

– Bzdury! Valentin wszystko umiał, już kiedy się urodził. Możecie mi wierzyć.

– A gdzie schowałbyś się na jego miejscu?

– Tak blisko, że znalazłbym się w zasięgu twojego ostrego wzroku, Hole. Tym razem bym się na ciebie przygotował.

– On mieszka w mieście? Porusza się po mieście? Ma nową tożsamość? Jest sam czy z kimś współpracuje?

– Teraz robi to inaczej, prawda? To gryzienie i picie krwi. Może to wcale nie Valentin?

– To on. Więc jak mogę go złapać?

– Nie złapiesz go.

– Nie?

– On woli umrzeć, niż znowu tu trafić. Fantazje nigdy mu nie wystarczały, on musiał działać.

– Mówisz tak, jakbyś go jednak znał.

– Wiem, z jakiej gliny jest ulepiony.

– Z takiej samej jak ty? Z hormonów z piekła?

Stary wzruszył szerokimi ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że wolne moralne wybory to iluzja, bo i moim, i twoim zachowaniem, Hole, steruje wyłącznie chemia w mózgu. Niektóre zachowania diagnozuje się jako ADHD albo lęk i leczy się je za pomocą leków i pociechy. Innych uznaje się za przestępców, złych ludzi, tych się zamyka. Ale to ta sama historia. Nieszczęśliwe połączenie substancji w mózgu. Jestem za tym, żeby nas zamykać. Gwałcimy wasze córki, do diabła. – Finne zaśmiał się chrapliwie. – Więc sprzątajcie nas z ulic, groźcie nam karą, abyśmy nie robili tego, do czego zmusza nas chemia w mózgu. Żałosne natomiast jest wasze tchórzostwo, potrzeba moralnej wymówki do tego, żeby nas zamknąć. Opowiadacie kłamliwe historyjki o wolnym wyborze i uświęconej karze stanowiącej element czegoś w rodzaju niebiańskiej sprawiedliwości, opartej na uniwersalnej odwiecznej moralności. Ale moralność nie jest ani uniwersalna, ani odwieczna. Jest w najwyższym stopniu uzależniona od ducha czasów, Hole. Kilka tysięcy lat temu mężczyźni posuwających mężczyzn uważano za jak najbardziej w porządku. Później wsadzano ich do więzienia, a teraz politycy maszerują razem z nimi na paradach. Wszystko zależy od tego, czego społeczeństwo potrzebuje w danym czasie; moralność jest elastyczna i zorientowana na płynące z niej korzyści. Mój problem polega na tym, że urodziłem się w takich czasach i w takim kraju, gdzie mężczyźni szafujący bez zahamowań swoim nasieniem są niepożądani. Ale po pandemii, po której gatunek znów trzeba byłoby postawić na nogi, Sveina „Narzeczonego” Finne uznano by za podporę społeczeństwa i ratunek dla ludzkości. Co o tym myślisz, Hole?

– Ty groźbami zmuszałeś kobiety do rodzenia twoich dzieci – powiedział Harry. – Valentin je zabija. Więc dlaczego nie pomożesz mi go złapać?

– Ja ci nie pomagam?

– Dajesz mi ogólne odpowiedzi i skleconą naprędce filozofię moralności. Jeśli nam pomożesz, wstawię się za tobą, poproszę, żeby ci skrócili karę.

Harry usłyszał, że Wyller szura po podłodze stopami.

– Naprawdę? – Finne pogładził wąsy. – Chociaż wiesz, że znów zacznę gwałcić, jak tylko stąd wyjdę? Rozumiem, że złapanie Valentina musi być dla ciebie rzeczywiście ważne, skoro jesteś skłonny złożyć w ofierze tyle niewinnych kobiet. Ale pewnie inaczej nie potrafisz. – Postukał się palcem w skroń. – Chemia...

Harry nie odpowiedział.

– Wszystko jedno – podjął Finne. – Po pierwsze, kończę odsiadkę w pierwszą sobotę marca przyszłego roku, więc już za późno na jakieś istotne skracanie kary. Po drugie, dwa tygodnie temu byłem na przepustce, i wiesz co? Tęskniłem za powrotem tutaj. Dlatego dziękuję, ale nie skorzystam. Powiedz mi raczej, jak jest z tobą, Hole? Słyszałem, że się ożeniłeś. Podobno masz bękarta. Mieszkacie bezpiecznie?

– Mhm. To wszystko, co miałeś do powiedzenia, Finne?

– Tak. Ale będę was obserwował z dużym zainteresowaniem.

– Mnie i Valentina?

– Ciebie i twoją rodzinę. Mam nadzieję zobaczyć cię w Komitecie Powitalnym, kiedy mnie wypuszczą.

Śmiech Finnego przeszedł w mokry kaszel.

Harry wstał i dał Wyllerowi sygnał, żeby zastukał w drzwi.

– Dziękuję, że poświęciłeś mi swój drogocenny czas, Finne.

Finne uniósł prawą rękę na wysokość twarzy i pomachał nią.

– Do zobaczenia, Hole. Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać o p-planach na przyszłość.

Harry przez dziurę w dłoni zobaczył jego uśmiech.

15 NIEDZIELA, WIECZÓR

Rakel siedziała przy kuchennym stole. Ból przesłaniany zamieszaniem i pilnymi obowiązkami stawał się trudniejszy do zignorowania, gdy tylko na chwilę przysiadła. Podrapała się po ramieniu. Wczoraj wieczorem wysypka była ledwie widoczna. Kiedy lekarz spytał, czy regularnie oddaje mocz, odruchowo potwierdziła, ale odkąd zwrócił jej na to uwagę, uświadomiła sobie, że przez ostatnie dwie doby prawie nie robiła siku. No i ten oddech. Jakby była w bardzo złej formie. A to przecież nieprawda.

Brzęknęły klucze przy drzwiach wejściowych, więc Rakel wstała. Drzwi się

otworzyły, wszedł Harry. Wyglądał blado i wydawał się zmęczony.

– Wpadłem tylko się przebrać. – Pogłaskał ją po policzku i ruszył w stronę schodów.

– Jak wam idzie? – spytała, stojąc i obserwując znikające w sypialni plecy Harry'ego.

– Dobrze! – odrzyknął. – Wiemy już, kto to jest.

– To znaczy, że pora wracać do domu? – spytała półgłosem, bez przekonania.

– Co mówisz? – Usłyszała tupanie i wiedziała, że Harry zrzuca spodnie, wychodząc z nich jak mały chłopiec albo pijany.

– Skoro ty i ten twój wielki nabrzmiały mózg rozwiązaście sprawę...

– Właśnie o to chodzi. – Ukazał się w drzwiach. Już włożył cienką wełnianą bluzę, a teraz, opierając się o futrynę, wciągał na stopy cienkie wełniane skarpety. Ciągle się śmiała, że tylko starszycy upierają się przy noszeniu wełny zarówno zimą, jak i latem, a on wtedy odpowiadał, że naśladowanie starych ludzi zawsze było najlepszą strategią przetrwania, przecież to mimo wszystko oni są zwycięzcami, tymi, którzy zdołali przeżyć.

– Niczego nie rozwiązałem. Sam zdecydowałem się ujawnić. – W drzwiach Harry wyprostował się i poklepał po kieszeniach. – Klucze. – Znow zniknął w sypialni. – Spotkałem w Ullevål doktora Steffensa. Powiedział, że cię leczy.

– Ach tak? Wiesz, mój kochany, wydaje mi się, że potrzebujesz kilku godzin snu. Bo twoje klucze zostały w drzwiach na dole.

– Mówiłaś, że tylko cię badali.

– A co to za różnica?

Harry wyszedł z sypialni i zbiegł po schodach. Objął ją.

– „Badali” to czas przeszły – szepnął jej do ucha. – „Leczy” to czas teraźniejszy. I według moich pojęć leczenie następuje po tym, jak coś odkryją podczas badań.

Rakel się roześmiała i przytuliła do niego.

– Ból głowy odkryłam sama. A to właśnie on potrzebuje leczenia, Harry. Kuracji tabletkami od bólu głowy.

Odsunął ją od siebie i przyjrzał się jej uważnie.

– Chyba niczego byś przede mną nie ukrywała, prawda?

– Masz czas na zajmowanie się takimi głupstwami? – Rakel się nachyliła, próbując zapomnieć o bólu, ugryzła Harry'ego w ucho i pchnęła go w stronę drzwi. – Idź, dokończ tę swoją robotę. I wracaj szybko do domu. Bo inaczej wydrukuję sobie w 3D domatora z białego plastiku.

Harry uśmiechnął się, podszedł do drzwi i wyjął klucze z zamka. Nagle znieruchomiał, wpatrując się w nie.

– O co chodzi? – spytała Rakeł.

– Miał klucze do mieszkania Elise Hermansen – oznajmił Harry, trzaskając drzwiczkami po stronie pasażera. – I prawdopodobnie do Ewy Dolmen również.

– Tak? – Wyller zwolnił ręczny hamulec, pozwalając, żeby samochód stoczył się z podjazdu. – Sprawdziliśmy absolutnie wszystkie zarejestrowane punkty dorabiania kluczy w mieście i nikt nie dorabiał kluczy systemowych do żadnej z tych kamienic.

– Ponieważ dorobił je sam. Z białego plastiku.

– Z białego plastiku?

– Za pomocą zwykłej drukarki 3D za piętnaście tysięcy koron, którą się stawia na biurku. Potrzebował jedynie kilkusekundowego dostępu do oryginalnych kluczy. Mógł zrobić zdjęcie albo odcisk w wosku, na podstawie którego wygenerował plik 3D. Dlatego kiedy Elise Hermansen wróciła do domu, on już był w jej mieszkaniu. A ona zamknęła drzwi na łańcuch, myśląc, że jest sama.

– A w jaki sposób, twoim zdaniem, uzyskał dostęp do tych kluczy? Żadna z kamienic, w której mieszkały ofiary, nie korzysta z usług zewnętrznej firmy, zatrudniają po prostu własnych dozorców. Wszyscy mają alibi i absolutnie nie przyznają się do wypożyczania kluczy komukolwiek.

– Wiem. I nie wiem, jak to się stało, ale wiem, że się stało.

Harry nie musiał patrzeć na młodszego kolegę, aby widzieć jego powątpiewanie. Istniały setki innych wyjaśnień zamknięcia drzwi do mieszkania Elise Hermansen na łańcuch. Dedukcja Harry'ego nie wykluczała żadnego z nich. Drewniak, dawny kumpel Harry'ego, pokerzysta, mówił, że najłatwiej się nauczyć obliczania prawdopodobieństwa i rozgrywania kart według podręcznika. Ale tym, co odróżnia dobrych graczy od średnich, jest zdolność zrozumienia sposobu myślenia przeciwnika, co wymaga analizowania tak wielkiej ilości informacji, że ma się uczucie słuchania wypowiedzianej szeptem odpowiedzi wśród ryku burzy. Może i tak. Bo wśród burzy informacji posiadanych przez Harry'ego na temat Valentina Gjertsena, wśród wszystkich raportów, całego doświadczenia z innymi seryjnymi zabójcami, wśród duchów ofiar, których nie zdołał uratować w ciągu tych lat, rozlegał się szept. Głos Valentina Gjertsena mówiący, że przeniknął do środka, znalazł się w ich polu widzenia.

Harry wyjął telefon. Katrine odebrała po drugim dzwonku.

– Malują mnie – powiedziała.

– Wydaje mi się, że Valentin ma drukarkę 3D. A ona może nas do niego doprowadzić.

– Jak?

– Sklepy ze sprzętem elektronicznym rejestrują nazwiska i adresy klientów, jeśli cena zakupu przekracza pewną sumę. W Norwegii sprzedano zaledwie dwa tysiące drukarek 3D. Jeżeli wszyscy śledczy zostawią teraz to, czym się zajmują, możemy w ciągu doby zdobyć listę właścicieli drukarek, a w ciągu dwóch wyeliminować ze sprawy dziewięćdziesiąt dziewięć procent. W takim wypadku zostanie nam do zbadania dwadzieścia nazwisk. Zmyślonych albo pożyczonych, tego już się dowiemy, sprawdzając je w Biurze Ewidencji Ludności i porównując z podanym adresem. Albo dzwoniąc do ludzi, którzy zaprzeczają, jakoby kupili drukarkę 3D. W większości sklepów ze sprzętem jest monitoring, więc możemy przejrzeć nagrania z dokonywania zakupu przez podejrzanych. Nie ma powodu, by wykluczyć, że on poszedł do sklepu położonego najbliżej miejsca, w którym mieszka. I już mamy obszar poszukiwań. A po opublikowaniu nagrań z monitoringu opinia publiczna może nam wskazać właściwy kierunek.

– Jak wpadłeś na tę drukarkę 3D, Harry?

– Gadałem z Olegiem o drukarkach i o broni...

– Rzucić wszystko inne, Harry? Żeby postawić na coś, co wpadło ci do głowy podczas rozmowy z Olegiem?

– Owszem.

– To jest właśnie alternatywny ślad, który masz badać z tą swoją partyzancką grupą, Harry.

– W jej skład na razie ciągle wchodzi tylko ja. I potrzebne mi twoje zasoby.

Usłyszał szczerzy śmiech Katrine.

– Gdybyś się nie nazywał Harry Hole, dawno bym się rozłączyła.

– No to dobrze, że się tak nazywam. Posłuchaj, szukamy Valentina Gjertsena od trzech lat, bez powodzenia. To jedyny nowy ślad, jaki mamy.

– Pozwól mi to przemyśleć przez ten program, niedługo wchodzimy na antenę i głowę mam pełną tego, co mogę mówić, a czego nie. W brzuchu mnie łaskocze.

– Mhm.

– Masz jakieś podpowiedzi dla debutantki telewizyjnej?

– Usiądź swobodnie, bądź rozluźniona, genialna i dowcipna.

– Tak jak ty byłeś w telewizji?

Po tonie głosu poznał, że się uśmiechnęła.

– O mnie nie dało się powiedzieć żadnej z tych rzeczy. Aha, i bądź trzeźwa.

Schował telefon do kieszeni kurtki. Zbliżali się do tego miejsca. Tam, gdzie Slemdalsveien dochodzi do Rasmus Winderens vei na Vinderen. I trafili na czerwone światło. Stanęli. Harry nie zdołał się powstrzymać. Nigdy nie potrafił

się powstrzymać. Spojrzał na peron po drugiej stronie torów kolejki. Na to miejsce, gdzie pół życia temu podczas pościgu za samochodem stracił kontrolę nad radiowozem, poszybował nad torami i uderzył w beton. Kolega na siedzeniu pasażera zginął. Jak bardzo Harry był pijany? Nie pobrano mu wtedy krwi do badania, a w raporcie napisano, że to on był pasażerem, a nie kierowcą. Wszystko dla dobra firmy.

– Zrobiłeś to, żeby ratować ludzkie życie?

– Co? – spytał Harry.

– Poszedłeś do Wydziału Zabójstw. Czy po to, żeby łapać zabójców?

– Mhm. Myślisz o tym, o czym mówił Narzeczony?

– Pamiętam twoje wykłady. Myślałem, że zostałeś śledczym od zabójstw tylko dlatego, że po prostu kochałeś tę robotę.

Harry pokręcił głową.

– Zdecydowałem się na nią, ponieważ w tej jednej rzeczy byłem dobry. Nienawidziłem tej pracy.

– Naprawdę?

Harry wzruszył ramionami i w tym momencie światło zmieniło się na zielone. Ruszyli dalej w stronę Majorstua i wieczornego mroku, który zdawał się nasuwać na nich od strony niecki Oslo.

– Wyrzuć mnie przy tym barze – polecił Harry. – Tym, w którym była pierwsza ofiara.

Katrine zza kulis przyglądała się niewielkiej pustej wysepce w kręgu światła. Wysepka składała się z czarnego podestu, na którym ustawiono trzy fotele i stolik. W jednym fotelu siedział prowadzący *Magazynu niedzielnego*, który wkrótce miał ją przedstawić jako pierwszego gościa. Katrine starała się nie myśleć o morzu oczu. O tym, jak mocno wali jej serce. O tym, że akurat w tej chwili morderca krąży po mieście, a oni, chociaż mieli pewność, że to Valentin, nie byli w stanie zrobić nic, żeby zapobiec kolejnej zbrodni. Zamiast tego powtarzała w duchu instrukcje Bellmana: ma być przekonująca i spokojna, gdy będzie mówić, że sprawa została wyjaśniona, lecz zabójca ciągle pozostaje na wolności i niewykluczone, że uciekł za granicę.

Spojrzała na szefową nagrania, która w słuchawkach, z podkładką do pisania w ręku stanęła między kamerami a wyspą, zawołała, że do wejścia na antenę zostało dziesięć sekund, i zaraz zaczęła odliczać. W głowie Katrine całkiem niezapowiedzianie pojawiła się myśl o idiotycznej błahostce sprzed paru godzin. Może dlatego, że była zmęczona i zdenerwowana? Może mózg uciekał do takich

właśnie błahostek, kiedy to, na czym powinien się koncentrować, było zbyt wielkie i przerażające? Błahostka polegała na tym, że Katrine zajrzała do Bjørna, do Wydziału Techniki Kryminalistycznej, żeby go poprosić o przyspieszenie analiz śladów z klatki schodowej, tak aby mogła wykorzystać je w telewizji i dzięki temu wypaść bardziej przekonująco. W niedzielę w lokalach techników było niewielu ludzi, a ci, którzy przyszli do pracy, zajmowali się zabójstwami popełnionymi przez wampirystę. Może właśnie ta pustka tak wytrąciła Katrine z równowagi. W każdym razie kiedy jak zwykle weszła do ciasnego pokoiku Bjørna, zobaczyła przy jego krześle kobietę, która niemalże się nad nim nachylała. Coś musiało ich rozbawić, bo i ta kobieta, i Bjørn się śmiali. Kiedy się odwrócili, Katrine zorientowała się, że to niedawno mianowana szefowa Wydziału Techniki Kryminalistycznej, jakaś Lien, imienia nie zapamiętała. Przypomniała sobie natomiast, co pomyślała, kiedy Bjørn opowiadał o pojawieniu się nowej szefowej: że dziewczyna jest zbyt młoda i niedoświadczona, a stanowisko powinno przypaść jemu. A raczej że powinien je przyjąć, przecież mu proponowali. Ale on odpowiedział klasycznie, jak na Bjørna Holma przystało: po co pozbywać się całkiem niezłego technika kryminalistycznego, żeby mieć złego szefa? Pod tym względem pani czy panna Lien była dobrym wyborem, w każdym razie Katrine do tej pory nie słyszała o żadnej Lien, która zasłynęłaby fachowością jako technik. Kiedy Katrine przedstawiła swoją prośbę o przyspieszenie badań, Bjørn spokojnie odparł, że o tym musi zdecydować szefowa, bo to ona ustala priorytety. A ta Cośtam Lien z niby-życzliwym uśmiechem powiedziała, że porozmawia z technikami i spyta, kiedy dadzą radę się z tym uporać. To właśnie w tym momencie Katrine trochę za bardzo podniosła głos i wyjaśniła, że „porozmawianie” nie wystarczy, bo zabójstwa wampirysty są w tej chwili sprawą najważniejszą, co rozumie każdy, kto ma jakie takie doświadczenie. Dodała też, że marnie by to wypadło w telewizji, gdyby musiała powiedzieć, że nie może czegoś wytłumaczyć, ponieważ zdaniem nowej szefowej techników sprawa nie zasługuje na priorytetowe potraktowanie.

Berna Lien – tak, teraz Katrine już sobie przypomniała, jak jej na imię, bo ta kobieta przywodziła na myśl Bernadette z *Teorii wielkiego podrywu*, drobna, w okularach, z za dużym biustem – odpowiedziała:

– A jeśli uznam, że twoja sprawa ma zdecydowany priorytet, to obiecasz nikomu nie wspominać o tym, że w mojej opinii sprawa znęcania się nad dzieckiem na Aker czy honorowe zabójstwa na Stovner są mniej ważne?

Katrine nie rozumiała, że ów proszący ton był udawany, dopóki Lien nie kontynuowała już normalnie, z pełną powagą:

– Oczywiście, zgadzam się, że te badania są pilne, jeżeli pomogą zapobiec kolejnym zabójstwom. Ale to ten aspekt, a nie twój występ w telewizji, zważaj na mojej ocenie. Wrócę do ciebie za dwadzieścia minut, w porządku?

Katrine tylko kiwnęła głową i wyszła stamtąd. Pojechała prosto do Budynku Policji, zamknęła się w damskiej toalecie i zmyła makijaż, który nałożyła przed wizytą w Wydziale Techniki Kryminalistycznej.

Pojawiła się czołówka i prowadzący – chociaż już siedział prosto – wyprostował się jeszcze bardziej, rozgrzewając jednocześnie mięśnie twarzy kilkakrotnymi szerokimi uśmiechami, których i tak miał tego wieczoru nie używać, zważywszy na tematykę programu.

Katrine poczuła w kieszeni spodni wibrowanie komórki. Jako kierująca śledztwem musiała być cały czas dostępna, dlatego zignorowała nakaz całkowitego wyłączenia telefonu na czas emisji.

To był SMS od Bjørna.

Mamy potwierdzenie odcisków palców z drzwi na klatkę Penelope. Valentin Gjertsen. Oglądam TV. Break a leg.

Stojąca obok niej dziewczyna powtórzyła, że Katrine natychmiast po usłyszeniu swojego nazwiska ma iść w stronę prowadzącego i usiąść na wyznaczonym fotelu.

Break a leg. Jakby miała wyjść na scenę w teatrze! Ale mimo wszystko uśmiechnęła się w duchu.

Harry zatrzymał się zaraz za drzwiami baru Jealousy. Stwierdził, że odgłos hałasującego tłumu oszukuje. Wyglądało bowiem na to, że jest tu jedynym gościem, no chyba że ktoś ukrywał się w boksach pod ścianą. Zaraz jednak się zorientował, że wrzawa dochodzi z boiska piłkarskiego, a mecz rozgrywa się na ekranie telewizora za barem. Usiadł na stołku barowym i patrzył.

– Beşiktaş – Galatasaray. – Barman się uśmiechnął.

– Turcy – stwierdził Harry.

– Owszem – przyznał barman. – Zainteresowany?

– Właściwie nie.

– Wszystko jedno. To i tak wariactwo. Jeśli jest się kibicem zespołu, który zwycięży na wyjeździe, trzeba natychmiast uciekać do domu, bo inaczej można zginąć.

– Mhm. Chodzi o różnice religijne czy klasowe?

Barman przestał polerować szklanekę do piwa i spojrzał na Harry'ego.

– Chodzi o to, żeby wygrać.

Harry wzruszył ramionami.

– Jasne. Nazywam się Harry Hole i jestem... byłem komisarzem w Wydziale Zabójstw. Wróciłem na trochę w związku z...

– Elise Hermansen.

– No właśnie. W protokole z przesłuchania czytałem, że w tym samym czasie co Elise i ten facet, z którym umówiła się na randkę, był tu też gość w kowbojkach.

– Zgadza się.

– Możesz powiedzieć mi o nim coś więcej?

– W zasadzie nie. Bo z tego, co pamiętam, wszedł zaraz za Elise Hermansen i usiadł w jednym z boksów.

– Widziałeś go?

– Tak. Ale nie na tyle długo i dokładnie, żebym mógł go opisać. Jak widzisz, stąd do boksu nie da się zajrzeć, a on nic nie zamówił i nagle zniknął. Goście często wychodzą, pewnie uważają, że tu zbyt spokojnie. Tak to już jest z barami. Potrzeba ludzi, żeby przyciągnęli innych. Ale nie zauważyłem, kiedy wyszedł, więc dłużej się nad tym nie zastanawiałem. Poza tym ona została zamordowana w mieszkaniu, prawda?

– Owszem.

– Myślicie, że mógł za nią iść?

– W każdym razie nie wykluczamy takiej ewentualności. – Harry podniósł wzrok na barmana. – Masz na imię Mehmet, prawda?

– Zgadza się.

Harry instynktownie polubił coś w tym facecie, dlatego zdecydował się podzielić z nim swoimi myślami.

– Jeśli nie podoba mi się widok jakiegoś baru, to po prostu zawracam w drzwiach. A jak już wchodzę, to coś zamawiam. Nie siadam w kącie, żeby posiedzieć. Może przyszedł tutaj za nią, a kiedy się zorientował w sytuacji i zrozumiał, że ona niedługo wyjdzie bez tego faceta, poszedł do jej mieszkania i tam na nią czekał.

– Naprawdę? To jakiś psychol. Biedna dziewczyna. À propos biednych, masz tu tego gościa, z którym się umówiła tamtego wieczoru. – Mehmet skinieniem głowy wskazał na drzwi i Harry się odwrócił. Kibice Galatasaray zagłuszyli wejście łysego, nieco pulchnego mężczyzny w puchowej kamizelce i czarnej koszuli. Usiadł przy barze i ze sztywną miną kiwnął głową barmanowi.

– Piwo.

– Geir Sølle? – spytał Harry.

– Raczej nie – odpowiedział mężczyzna i zaśmiał się głucho, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy. – Dziennikarz?

– Policjant. Chciałbym spytać, czy któryś z was rozpoznaje tego mężczyznę. – Harry wyjął odbitkę portretu pamięciowego Valentina Gjertsenaa i położył ją na barze. – Prawdopodobnie później zrobił sobie kilka operacji plastycznych, więc użycie wyobraźni.

Mehmet i Sølle przyglądali się rysunkowi. W końcu obaj pokręcili głowami.

– A zresztą olej to piwo – rzucił Sølle. – Przypomniało mi się, że muszę wracać do domu.

– Przecież widzisz, że już nalałem – zaprotestował Mehmet.

– Muszę wyprowadzić psa. Daj je policjantowi. Wygląda na spragnionego.

– Mhm. Jeszcze ostatnie pytanie, panie Sølle. W protokole zapisano, że Elise Hermansen opowiadała o stalkerze, który za nią chodził i groził mężczyznom, z którymi się spotykała. Odniósł pan wrażenie, że to prawda?

– Prawda?

– Może powiedziała tak tylko po to, żeby pan się od niej odczepił?

– Aha, w tym sensie. No cóż, pewnie miała swoje sposoby na pozbywanie się żab. – Uśmiech Geira Sølle zmienił się w grymas. – Takich jak ja.

– Mhm. Sądzi pan, że wiele żab musiała pocałować?

– Tinder potrafi rozczarować, ale człowiek ciągle nie traci nadziei, no nie?

– Według pana ten stalker to przypadkowy wariat czy mężczyzna, z którym pozostawała w jakimś bliższym związku?

– Nie wiem. – Geir Sølle podciągnął zamek błyskawiczny puchowej kamizelki aż pod brodę, chociaż na zewnątrz było ciepło. – Idę już.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Harry położył stówę na kontuarze.

– Mężczyzna, z którym pozostawała w bliższym związku? – powtórzył barman, wydając mu resztę. – Myślałem, że w tych zabójstwach chodzi jedynie o picie krwi. I o seks.

– Możliwe – odparł Harry. – Ale z reguły chodzi również o zazdrość.

– A jeśli nie?

– No to może chodzić o to, o czym mówiłeś.

– O krew i o seks?

– O to, żeby wygrać. – Harry zajrzał do szklanki. Dawniej po piwie czuł się nasycony i senny. Lubił pierwsze łyki, później tylko go już przygnębiało. – A propos wygrywania, wygląda na to, że Galatasaray przegrywa, więc masz coś przeciwko temu, żebyśmy przełączyli na *Magazyn niedzielny* na NRK 1?

– A może jestem kibicem Beşiktaş?

Harry ruchem głowy wskazał na kąt najwyższej lustrzanej półki.

– Nie miałbyś proporczyka Galatasaray za tą butelką Jima Beama na górze, Mehmet.

Barman spojrział na Harry'ego. Potem się uśmiechnął, pokręcił głową i wcisnął guzik na pilocie.

* * *

– Nie możemy ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że kobietę na Houseter zaatakowała wczoraj ta sama osoba, która zabiła Elise Hermansen i Ewę Dolmen. – Po wypowiedzeniu tych słów Katrine uderzyła cisza panująca w studiu, jakby wszystko dookoła się jej przysłuchiwało. – Mogę jednak powiedzieć, że mamy ślady i relacje świadków wczorajszej napaści wskazujące na konkretną osobę. Ten człowiek jest już poszukiwany, ponieważ zbiegł z więzienia, gdzie odbywał karę za przestępstwa na tle seksualnym, toteż postanowiliśmy ujawnić jego nazwisko.

– Ogłaszacie je po raz pierwszy teraz, w *Magazynie niedzielnym*?

– Owszem. Człowiek ten naprawdę nazywa się Valentin Gjertsen, chociaż prawdopodobnie używa innego nazwiska.

Z miny prowadzącego wyczytała pewne rozczarowanie tym, że wymieniła to nazwisko tak zwyczajnie, bez krygowania się i zachęty z jego strony. Najwyraźniej wolałby, aby nastąpiło to po większych słownych przepychankach.

– A to jest portret pamięciowy pokazujący, jak zabójca wyglądał trzy lata temu – dodała. – Prawdopodobnie później Gjertsen poddał się rozległym operacjom plastycznym, ale są przynajmniej jakieś wskazówki. – Katrine uniosła rysunek tak, aby pokazać go siedzącej na niedużej trybunie pięćdziesięcioosobowej publiczności, która według szefowej nagrania miała dodawać programowi większego „nerwu”. Katrine dostrzegła czerwone światło kamery ustawionej dokładnie naprzeciwko niej i odczekała chwilę, żeby widzowie w domach mieli czas na zapamiętanie tej twarzy. Prowadzący patrzył na nią wniebowzięty. – Prosimy, aby każdy, kto ma jakieś informacje o tej osobie, zadzwonił pod nasz numer kontaktowy. Portret pamięciowy, nazwisko i znane pseudonimy, a także numer telefonu, pod który należy się zgłaszać, można znaleźć na stronie internetowej Komendy Okręgowej Policji w Oslo.

– Nie muszę dodawać, że sprawa jest pilna – uzupełnił prowadzący, zwracając się do kamery. – Istnieje przecież ryzyko, że dziś wieczorem on znów zaatakuje. – Przeniósł wzrok na Katrine. – Może nawet w tym momencie, prawda?

Katrine zorientowała się, że prowadzący szuka u niej pomocy w wykreowaniu

obrazu wampirysty pijącego świeżą krew o temperaturze ciała.

– Niczego nie chcemy wykluczać. – Tego sformułowania wyuczył ją Bellman, każąc jej powtarzać je słowo po słowie. I wyjaśnił, że w odróżnieniu od „niczego nie możemy wykluczyć” „nie chcemy” sprawi wrażenie, że policja w Oslo na tyle panuje nad sprawą, iż mogłaby wykluczyć całkiem sporo, lecz mimo wszystko postanawia tego nie robić. – Ale posiadam informacje mogące wskazywać, że Valentin Gjertsen zdążył opuścić kraj w czasie między ostatnią napaścią a uzyskaniem wyników badań, na podstawie których go zidentyfikowaliśmy. Prawdopodobne jest, że ukrył się poza Norwegią, w tym samym miejscu, z którego korzystał, odkąd jest poszukiwany.

Doboru tych słów Bellman nie musiał jej tłumaczyć, Katrine była pojętną uczennicą. „Posiadam informacje” kojarzyło się z działalnością wywiadowców, z tajnymi agentami i gruntowną policyjną robotą, a fakt, że mówiła o łatwo dostępnych rozkładach lotów, pociągów i promów, wcale nie oznaczał, że kłamie. Za to, iż prawdopodobne jest, że Gjertsen przebywa za granicą, mogli ręczyć, dopóki twierdzenie to nie stanie się nieprawdopodobne, a poza wszystkim dyskretnie przerzucało to odpowiedzialność za nieujęcie Valentina Gjertsena przez tyle lat na „zagranicę”.

– No dobrze, ale jak złapać wampirystę? – spytał prowadzący, odwracając się w stronę drugiego fotela. – Zaprosiliśmy dziś także Hallsteina Smitha, profesora psychologii i autora licznych artykułów na temat wampiryzmu. Czy może nam pan odpowiedzieć na to pytanie?

Katrine spojrzała na Smitha, który, zanim skierowała się na niego kamera, zdążył usiąść w trzecim fotelu. Miał wielkie okulary i wesołą kolorową marynarkę, wyglądającą na uszytą w domu. Wyglądem ostro kontrastował z Katrine w czarnych wąskich skórzanych spodniach, czarnej obcisłej lateksowej kurtce i z zaczesanymi do tyłu błyszczącymi włosami. Wiedziała, że prezentuje się dobrze, a na stronie internetowej komendy, kiedy zajrzy na nią wieczorem, pojawią się komentarze i propozycje. W ogóle jej to jednak nie obchodziło. Bellman nie wspomniał o stroju. Miała tylko nadzieję, że ta suka Coşam Lien ją ogląda.

– Eee... – Hallstein Smith uśmiechnął się głupio. Prowadzący chyba się przestraszył, że psycholog zaniemówił, i już chciał interweniować. – Po pierwsze, nie jestem profesorem – odezwał się jednak Smith. – Ciągle jestem w trakcie pisania doktoratu. Ale kiedy zrobię profesurę, to dam znać.

Publiczność się roześmiała.

– Po drugie, artykuły mojego autorstwa nie były publikowane w czasopiśmie fachowych, a jedynie w magazynach o wątpliwej reputacji, które interesują się

mroczniejszymi obrzeżami psychologii. Jeden z tych magazynów nazywa się „Psycho”, tak jak film. To był największy zgrzyt w mojej karierze akademickiej.

Kolejna fala śmiechu.

– Ale naprawdę jestem psychologiem – zwrócił się do publiczności. – Skończyłem studia na Uniwersytecie Michała Römera w Wilnie ze średnią ocen znacznie wyższą od przeciętnej. I naprawdę mam w gabinecie kozetkę, na której można się położyć i pogapić w sufit za tysiąc pięćset koron za godzinę, podczas gdy ja udaję, że robię notatki.

Przez chwilę wydawało się, że zarówno skłonna do śmiechu publiczność, jak i prowadzący zapomnieli o poważnej tematyce programu. Smith przywołał ich jednak z powrotem.

– Ale nie wiem, jak się łapie wampirystów.

Cisza.

– W każdym razie nie potrafię powiedzieć nic ogólnie. Wampiryci to rzadkie zjawisko, a jeszcze rzadziej wypływają na powierzchnię. Pozwólcie, że zacznę od tego, iż należy wyróżnić dwa rodzaje wampirystów. Jeden jest stosunkowo niegroźny. Są to osoby, które pociąga mit o nieśmiertelnym półbogiem wysysającym krew, bohaterze współczesnych opowieści o wampirach, na przykład takich jak te o Drakuli. Ta forma wampiryzmu ma wyraźne podteksty erotyczne i komentował ją nawet nasz drogi Zygmunt Freud. Rzadko wiąże się z uśmiercaniem. Ale są też osoby cierpiące na to, co nazywamy wampiryzmem klinicznym czy też syndromem Renfielda, a co oznacza obsesję na punkcie picia krwi. Większość artykułów na ten temat zamieszczono w publikacjach z dziedziny psychiatrii sądowej, ponieważ z reguły opisują przestępstwa wiążące się z użyciem ekstremalnej przemocy. Ale wampiryzm jako zjawisko nigdy nie został uznany przez tradycyjną psychiatrię. Odrzucano go jako przejaw poszukiwania sensacji i wiązano z obszarem działania szarlatanów. Ba, nie wspominają o nim nawet encyklopedie czy słowniki psychiatryczne. Nam, zajmującym się badaniem wampiryzmu, zarzucono wymyślenie nieistniejącego typu osobowości człowieka. W ciągu trzech ostatnich dni bardzo chciałem, aby wszyscy ci krytycy mieli rację. Niestety się mylą. Wampiry nie istnieją, ale wampiryści owszem.

– W jaki sposób ktoś staje się wampirystą, panie Smith?

– Oczywiście nie ma na to żadnej ogólnej odpowiedzi. Ale klasycznie zaczyna się od jakiegoś kluczowego wydarzenia w dzieciństwie. Od sytuacji, w której dana osoba albo ktoś przy niej mocno krwawi lub gdy dochodzi do wypicia krwi i osoba ta uznaje to za ekscytujące. John George Haigh, słynny wampirysta, a jednocześnie seryjny morderca, był na przykład karany przez surową religijną matkę, która biła

go szczotką do włosów, a on potem zlizywał krew z ran. Później, w okresie dojrzewania, krew staje się źródłem podniecenia seksualnego. Wówczas przyszły wampirysta zaczyna eksperymentować z krwią, najpierw praktykując tak zwany autowampiryzm, polegający na samookaleczaniu i piciu własnej krwi. Następnie zabija na przykład mysz, szczura albo kota i wypija krew zwierzęcia. Wreszcie podejmuje decydujący krok i próbuje krwi innej osoby. Z reguły po wypiciu krwi osobę tę morduje. Staje się wówczas wampirystą pełnej krwi. Hm... ta gra słów nie była zamierzona.

– A w którym momencie pojawia się gwałt? Wiemy przecież, że Elise Hermansen została wykorzystana seksualnie.

– Tak. Ale chociaż element seksualny nigdy nie znika, to poczucie władzy i kontroli może mieć dla dorosłego wampirysty równie duże znaczenie. John George Haigh nie był specjalnie zainteresowany seksem, mówił, że chodzi mu wyłącznie o krew ofiar. Wypijał ją zresztą ze szklanki. No i jestem najzupełniej pewien, że również dla wampirysty z Oslo krew jest ważniejsza od napaści seksualnej.

– Komisarz Bratt?

– Tak, słucham?

– Czy pani się z tym zgodzi? Czy rzeczywiście dla tego wampirysty krew jest ważniejsza niż seks?

– Tego nie mogę ani nie chcę komentować.

Katrine zobaczyła, że prowadzący podejmuje błyskawiczną decyzję i znów odwraca się do Smitha. Widać pojął, że od niego wyciągnie więcej.

– Panie Smith, czy wampirysty uważają się za wampiry? Innymi słowy, czy wierzą w swoją nieśmiertelność, dopóki będą unikać światła słonecznego, i w to, że zarażają innych swoimi ukąszeniami?

– W wypadku klinicznego wampirysty z syndromem Renfielda tak nie jest. Nazwanie syndromu od nazwiska Renfielda, który był służącym Drakuli w baśni Brama Stokera, to dość nieudany żart. Powinniśmy mówić o syndromie Nolla, od nazwiska psychiatry, który opisał go jako pierwszy. Ale z drugiej strony również Noll nie traktował wampiryzmu poważnie. Jego artykuł na ten temat miał być parodią.

– Ale czy można wykluczyć, że ten człowiek wcale nie jest chory, tylko zażywa narkotyk wywołujący u niego pragnienie ludzkiej krwi? Tak jak MDPV, nazywany również solą do kąpieli, skłonił zażywających go w roku dwa tysiące dwunastym w Miami i Nowym Jorku do atakowania innych ludzi po to, by ich zjeść.

– Tak. Osoby po zażyciu MDPV wykazują skłonności kanibalistyczne, pozostają

w stanie ostrej psychozy, nie są w stanie myśleć racjonalnie czy planować. Policja łapie je na gorącym uczynku, a one nawet nie próbują się ukrywać. Typowy wampirysta również ulega swojej obsesji do tego stopnia, że często zapomina o zabezpieczeniu sobie odwrotu. Ale w tym konkretnym wypadku sprawca czy sprawczyni planuje wszystko bardzo starannie, nie pozostawia nawet śladów, jeśli wierzyć temu, co pisze „VG”

– Sprawczyjni?

– No... starałem się jedynie zachować poprawność polityczną. Wampirysta to z reguły mężczyzna, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z tak okrutnymi atakami jak obecnie. Wampirystki poprzestają raczej na autowampiryzmie. Poszukują kobiet o takich samych upodobaniach, z którymi mogą wymieniać krew, zdobywają też ją w rzeźniach albo kręcą się w pobliżu banków krwi. Na Litwie miałem zresztą pacjentkę, która zjadła na żywo kanarka swojej matki...

Katrine uchwyciła pierwszy jęk przerażenia wśród publiczności i osamotniony śmiech, który nagle się urwał.

– Początkowo ja i moi koledzy sądziliśmy, iż mamy do czynienia z tak zwaną dysforią gatunkową: pacjentka uważa, że przyszła na świat jako niewłaściwy gatunek, bo tak naprawdę jest, jak w jej wypadku, kotem. Myśleliśmy tak aż do chwili, gdy zrozumieliśmy, że oto stoimy w obliczu przypadku wampiryzmu. Niestety, redaktorzy „Psychology Today” nie zgodzili się z nami, więc jeśli ktoś ma ochotę przeczytać artykuł o tym przypadku, musi wejść na stronę internetową hallstein.psychologist.com.

– Pani komisarz, czy możemy już potwierdzić, że to seryjny morderca?

Katrine zastanowiła się przez dwie sekundy, zanim wreszcie odpowiedziała:

– Nie.

– Ale „VG” podaje, że do sprawy zaangażowano Harry’ego Hole, słynnego specjalistę od seryjnych zabójców. Czy to nie oznacza...

– Czasami prosimy o radę strażaków, chociaż nie ma pożaru.

Jedyną osobą, która się roześmiała, był Smith.

– Znakomita odpowiedź! Psychiatrzy i psychologowie zginęliby z głodu, gdyby mieli wyłącznie pacjentów naprawdę wymagających pomocy.

Tę wypowiedź nagrodzono śmiechem i prowadzący z wdzięcznością uśmiechnął się do Smitha. Katrine domyślała się, że z nich dwojga to Smith ma o wiele większe szanse na ponowne zaproszenie do telewizji.

– Seryjny morderca czy nie, czy państwo uważają, że znów zaatakuje? Czy wampir będzie raczej czekał na kolejną pełnię księżyca?

– Nie chcę spekulować na ten temat – odparła Katrine i w spojrzeniu

prowadzącego dostrzegła cień irytacji. Co jest, do cholery? Spodziewał się po niej uczestnictwa w tych jego tabloidowych zabawach towarzyskich?

– Ja też nie będę spekulował – oznajmił Hallstein Smith. – Nie muszę, ponieważ wiem. Parafilik – czyli ktoś, kogo nieprecyzyjnie nazywamy osobą o perwersyjnych upodobaniach seksualnych – którego nie podda się leczeniu, bardzo rzadko sam rezygnuje z zaspokajania swoich pragnień, a wampirysta nigdy. Poza tym uważam, że ten zbieg okoliczności – ostatnie usiłowanie zabójstwa podczas pełni księżyca – bardziej ucieszyło was, media, niż wampirystę. To był absolutny przypadek.

Prowadzący raczej nie poczuł się urażony złośliwością Smitha. Ze zmarszczką skupienia na czole spytał:

– Panie Smith, czy pana zdaniem należy skrytykować policję za to, że nie ostrzegła wcześniej opinii publicznej o grasującym w mieście wampirystyce, tak jak pan to zrobił w „VG”?

– Hm. – Smith skrzywił się i spojrzał w jeden z reflektorów. – To chyba pytanie o to, co powinno się wiedzieć, prawda? Jak już mówiłem, wampiryzm skrywa się w mrocznych zakamarkach psychologii, do których jeszcze nie dotarło światło, i nie możemy wymagać, aby policja знаła się na wszystkim, co jest między niebem a ziemią. Więc nie. Powiem, że źle się stało, ale krytykować tego nie można.

– Ale teraz policja już wie. Co zatem powinna zrobić?

– Poszerzyć swoją wiedzę w tej dziedzinie.

– Na koniec jeszcze jedno pytanie. Ilu wampirystów pan poznał?

Smith nadał policzki i wypuścił powietrze.

– Prawdziwych?

– Tak.

– Dwóch.

– A jak pan reaguje na krew?

– Robi mi się niedobrze na jej widok.

– Mimo to pisze pan o niej i prowadzi badania?

Smith uśmiechnął się krzywo.

– Może właśnie dlatego. Wszyscy jesteśmy trochę szaleni.

– Pani również, komisarz Bratt?

Katrine drgnęła. Przez moment zapomniała, że nie ogląda telewizji, tylko w niej jest.

– Słucham?

– Czy pani również jest trochę szalona?

Katrine szukała odpowiedzi. Czegoś dowcipnego i genialnego, tak jak doradzał Harry. Wiedziała, że właściwa odpowiedź przyjdzie jej do głowy, kiedy wieczorem

położy się do łóżka. Co powinno nastąpić już wkrótce, bo potrzeba snu zaczęła odzywać się coraz głośniej teraz, kiedy wzmożona produkcja adrenaliny wywołana występem w telewizji powoli malała.

– Ja... – zaczęła, ale w końcu się poddała. – Trudno powiedzieć.

– Czy jest pani na tyle szalona, że mogłaby pani stanąć twarzą w twarz z wampirystą? Nie z mordercą, jak w tej tragicznej sprawie, ale z kimś, kto miałby ochotę trochę panią pokąsać?

Zrozumiała, że to żart, pewnie nawiązujący do jej skórzanego stroju, lekko inspirowanego sado-maso.

– Trochę? – powtórzyła, unosząc wąską umalowaną na czarno brew. – Cóż, czemu nie? – I tym razem, nawet się nie starając, wywołała wybuch śmiechu.

– Powodzenia w polowaniu, komisarz Bratt. A ostatnie słowo należy do pana Smitha. Nie odpowiedział pan, jak się łapie wampirystów. Ma pan jakąś radę dla komisarz Bratt?

– Wampiryzm jest na tyle ekstremalną parafilią, że często występuje wraz z innymi zaburzeniami psychicznymi. Dlatego zachęcam wszystkich psychologów i psychiatrów, aby wspierali policję i sprawdzili, czy nie mieli pacjentów, których zachowanie odpowiada kryteriom wampiryzmu klinicznego. Wydaje mi się, że w tym wypadku bezpieczeństwo ludzi ma pierwszeństwo przed ciężącym na nas obowiązkiem dochowania tajemnicy.

– Na tym kończymy *Magazyn niedzielny*...

Ekran telewizora za barem zgasł.

– Straszna historia – odezwał się Mehmet. – Ale twoja koleżanka nieźle wypadła.

– Mhm. Zawsze tak tu pusto?

– Nie, skąd. – Mehmet rozejrzał się po lokalu. Chrząknął. – A właściwie tak.

– Podoba mi się tutaj.

– Naprawdę? Nie ruszyłeś piwa. Zobacz, całkiem zdechło.

– To dobrze – odparł policjant.

– Mogę dać ci coś, w czym jest więcej życia. – Mehmet skinął głową w kierunku proporczyka Galatasaray.

Katrine szła szybko przypominającymi labirynt wyludnionymi korytarzami budynku telewizji, gdy nagle usłyszała za sobą ciężkie kroki i sapanie. Obejrzała się, ale się nie zatrzymała. To był Hallstein Smith. Doszła do wniosku, że albo świadomie wypracował sobie technikę biegania równie nieortodoksyjną, jak jego praca badawcza, albo ma niesłychanie krzywe nogi.

– Komisarz Bratt! – zawołał Smith.

Zatrzymała się i zaczekała.

– Przede wszystkim muszę przeprosić – powiedział, kiedy już stanął przed nią, z trudem łapiąc oddech.

– Za co?

– Że tyle mówiłem. Strasznie się zapalam, kiedy skupia się na mnie czyjaś uwaga. Żona stale mi to powtarza. Ale jest coś ważniejszego. Ten rysunek...

– Tak?

– Nie mogłem tego powiedzieć w trakcie programu na żywo, ale wydaje mi się, że on był moim pacjentem.

– Valentin Gjertsen?

Smith pokręcił głową.

– Tak jak mówię, nie mam pewności, to musiało być co najmniej dwa lata temu. Jeśli to rzeczywiście był on, to przyszedł zaledwie dwa razy na terapię do gabinetu, który wynajmowałem w mieście. Podobieństwo nie jest uderzające, ale kiedy pani wspomniała o chirurgii plastycznej, nasunął mi się właśnie ten pacjent. Pamiętam, że miał pod brodą blizny, jak po szwach.

– Czy był wampirystą?

– Trudno mi wysnuwać jakiegokolwiek wnioski. Nic takiego nie mówił, bo wtedy oczywiście włączyłbym go do swoich badań.

– Może przyszedł właśnie z ciekawości? Wiedział, że bada pan akurat to, co jest jego... Jak pan to nazwał?

– Parafilią. Absolutnie nie można tego wykluczyć. Tak jak mówiłem, jestem bezwzględnie przekonany, że mamy do czynienia z inteligentnym wampirystą, świadomym swojej choroby. Tym większe rozgoroczenie budzi fakt, że skradziono całe moje archiwum.

– Nie pamięta pan, jak się przedstawił ten pacjent? Gdzie pracował ani gdzie mieszkał?

Smith westchnął.

– Obawiam się, że moja pamięć nie jest już taka jak dawniej.

Katrine pokiwała głową.

– Miejmy nadzieję, że był u innych psychologów i że oni pamiętają. I że nie są zbyt katolicycy, jeśli chodzi o obowiązek dochowania tajemnicy.

– Odrobina katolicyzmu jest chyba nie do pogardzenia.

Katrine uniosła brew.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Smith z rezygnacją zamknął oczy, ale minę miał taką, jakby przełykał

przekleństwo.

– Nic.

– Proszę mówić, panie Smith.

Psycholog rozłożył ręce.

– Po prostu dodałem dwa do dwóch, komisarz Bratt. Pani reakcję na pytanie prowadzącego o to, czy jest pani szalona, w powiązaniu z tym, co mi pani powiedziała o zmknięciu w Sandviken. Często komunikujemy się podświadomie, a pani w ten sposób zakomunikowała mi, że przebywała w Szpitalu Psychiatrycznym w Sandviken. Akurat w pani wypadku, osoby na stanowisku dowodzenia w Wydziale Zabójstw, chyba dobrze, że istnieje obowiązek dochowania tajemnicy, chroniący tych, którzy zdecydowali się szukać pomocy w związku ze swoimi problemami, żeby nie zaczęły ich nawiedzać później w trakcie życia zawodowego.

Katrine zorientowała się, że otworzyła szeroko usta i na próżno usiłuje przemówić.

– A tak w ogóle to nie musi pani odpowiadać na moje idiotyczne przypuszczenia – zapewnił Smith. – Jestem zobowiązany do dochowania tajemnicy, również gdy chodzi o nie. Chcę, żeby pani o tym wiedziała. Dobranoc, komisarz Bratt.

Katrine patrzyła, jak Hallstein Smith ciężko idzie korytarzem, krzywonogi jak wieża Eiffla. Zadzwoił telefon.

Bellman.

* * *

Był nagi, zamknięty w nieprzeniknionej rozpalonej mgle, której dotyk piekł w miejscach wyszorowanych aż do zdercia skóry, tak że krew sączyła się teraz i wsiąkała w drewnianą ławę. Zamknął oczy, poczuł płacz ściskający w gardle i zaczął sobie wizualizować, jak to się stanie. Przekłete zasady. Ograniczały rozkosz, ograniczały ból. Nie pozwalały mu się wyrazić tak, jak najbardziej chciał. Ale nadejdą inne czasy. Policjant otrzymał jego wiadomości i podjął pościg. Właśnie w tej chwili na niego poluje. Próbuje go wywąchać, ale nie potrafi. Dlatego że on jest czysty.

Drgnął, słysząc we mgle chrząknięcie, i zrozumiał, że nie jest już sam.

– *Kapatiyoruz.*

– *Yes* – odparł Valentin Gjertsen zachrypniętym głosem, ale dalej siedział, przełykając łzy. Zamykają.

Lekko dotknął swojego organu płciowego. Wiedział dokładnie, gdzie ona jest.

Jak się z nią bawić. Był gotowy. Wciągnął w płuca wilgotne powietrze. Harry'emu Hole wydawało się, że to on jest myśliwym.

Valentin Gjertsen poderwał się i ruszył do drzwi.

16 NIEDZIELA, NOC

Aurora wstała z łóżka i wymknęła się na korytarz. Minęła drzwi do sypialni rodziców i schody do salonu. Nie mogła się powstrzymać przed wsłuchiowaniem się w ogromną, milczącą ciemność na dole, zanim po cichu weszła do łazienki i zapaliła światło. Przekręciła klucz w zamku, zdjęła majtki i usiadła na sedesie. Czekwała, ale nic się nie działo. Tak jej się chciało siku, że nie mogła zasnąć, więc dlaczego teraz nic się nie dzieje? Czy dlatego, że właściwie nie miała takiej potrzeby i tylko wmówiła sobie, że z tego powodu nie śpi? Bo tutaj było tak jasno i bezpiecznie? Zamknęła drzwi na klucz. Kiedy była dzieckiem, rodzice mówili, że nie wolno jej tego robić – no chyba że mieli goście – bo muszą zawsze móc wejść do łazienki, gdyby coś jej się stało.

Aurora zamknęła oczy. Nasłuchiwała. A jeśli mieli goście? Przecież obudził ją jakiś odgłos, przypomniawszy sobie teraz. Dźwięk skrzypiących butów. Długich butów. Długich szpiczastych czubków, które zginały się, skrzypiąc, w miarę jak on cicho sunął naprzód. Zatrzymały się i czekały przed drzwiami łazienki. Czekały na nią. Aurora poczuła, że nie może oddychać, i odruchowo chciała wyjrzeć przez szparę pod drzwiami. Próg jednak zasłaniał widok, dlatego nie mogła dostrzec żadnego cienia wpadającego z zewnątrz. Zresztą przecież na korytarzu i tak było ciemno. Kiedy zobaczyła go pierwszy raz, siedziała na huśtawce w ogrodzie. Poprosił o szklankę wody i prawie wszedł za Aurorą do domu, ale zniknął, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód mamy. Drugi raz był w dziewczęcej toalecie w trakcie zawodów piłki ręcznej.

Aurora nasłuchiwała. Wiedziała, że on tam jest. W ciemności za drzwiami. Powiedział, że wróci. Jeśli ona coś powie. Dlatego przestała mówić. Tak było najbezpieczniej. I już wiedziała, dlaczego nie może się wysiusiać. Wtedy on by się zorientował, gdzie jej szukać.

Zacisnęła oczy i ze wszystkich sił starała się coś usłyszeć. Nie. Nic. Znów mogła oddychać. Poszedł.

Podciągnęła majtki, przekręciła klucz w zamku i wybiegła. Jak najszybciej minęła schody i podeszła do drzwi sypialni rodziców. Delikatnie je uchyliła i zajrzała do środka. Przez szczelinę w zasłonach wpadała smuga księżycowego światła i oświetlała twarz ojca. Aurora nie widziała, czy tata oddycha, a twarz miał tak białą jak babcia, kiedy leżała w trumnie. Na palcach podeszła do łóżka. Oddech mamy

brzmiał jak nadeptywana gumowa niebieska pompka, którą nadmuchiwali materace w domku letniskowym. Nachyliła się nad tatą, jak najbliżej przysunęła ucho do jego ust i serce podskoczyło jej z radości, gdy poczuła na skórze jego ciepły oddech.

Kiedy z powrotem leżała w swoim łóżku, czuła się tak, jakby to się w ogóle nie zdarzyło. Jakby to wszystko było jedynie koszmarem, wystarczyło już tylko zamknąć oczy i zasnąć.

Rakel otworzyła oczy.

Przyśnił jej się koszmar. Ale to nie on ją obudził. Ktoś otworzył drzwi wejściowe na dole. Spojrzała na łóżko obok siebie. Harry'ego nie było. Zatem pewnie to on przyszedł. Słyszała teraz kroki na schodach i odruchowo doszukiwała się w nich tego, co znajome. Ale nie, te kroki brzmiały inaczej. Inaczej niż kroki Olega, nawet gdyby to on zdecydował się zajrzeć do domu. Wpatrywała się w przymknięte drzwi sypialni.

Kroki się zbliżały.

Drzwi się otworzyły.

Wypełniła je duża ciemna sylwetka.

Dopiero teraz Rakel przypomniała sobie swój sen. Był księżyc w pełni, a on przykuł się do łóżka, na którym leżały strzepy prześcieradła. Wił się z bólu, szarpał za łańcuch, wył jak ciężko ranny, wznosząc głowę ku nocnemu niebu, aż w końcu zerwał z siebie własną skórę.

Spod niej wyłoniło się jego drugie ja. Wilkołak ze szponami i kłami. Z polowaniem i żądzą mordu w lodowatoniebieskich oczach szaleńca.

– Harry? – szepnęła.

– Obudziłem cię? – Jego głęboki spokojny głos brzmiał tak samo jak zwykle.

– Śniłeś mi się.

Wszedł do pokoju, nie zapalając światła. Rozpiął pasek i ściągnął T-shirt przez głowę.

– Ja? Zmarnowany sen. I tak jestem twój.

– Gdzie byłeś?

– W barze.

Zmieniony rytm kroków.

– Piłeś?

Wsunął się do łóżka obok niej.

– Owszem, piłem, a ty wcześniej się położyłaś.

Wstrzymała oddech.

– Co piłeś, Harry? I ile?

– Dwie filiżanki. Kawy zaparzonej na sposób turecki.
– Harry. – Trzepnęła go poduszką.
– Przepraszam. – Roześmiał się. – Wiedziałaś, że kawa po turecku nie może się gotować? I że w Stambule są trzy duże kluby piłkarskie, które od stu lat nienawidzą się jak zarazy, ale już zapomniały dlaczego. Oprócz tego, że przypuszczalnie ludzką rzeczą jest nienawidzić kogoś, ponieważ ten ktoś nienawidzi ciebie.

Przysunęła się do niego, objęła go przez pierś.

– Wszystko to jest dla mnie zupełnie nowe, Harry.
– Wiem, że bardzo sobie cenisz regularne wyjaśnianie sposobu funkcjonowania świata.

– Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez tego.
– Nie odpowiedziałaś na pytanie, dlaczego się wcześniej położyłaś.
– Bo wcale nie spytałeś, tylko stwierdziłeś.
– Pytam teraz.
– Czułam się taka zmęczona. No i mam na jutro wcześniej rano wyznaczoną wizytę w Ullevål, jeszcze przed pracą.

– O tym nic nie mówiłaś.

– Bo dopiero dzisiaj mnie wezwali. Doktor Steffens zadzwonił osobiście.

– Jesteś pewna, że to naprawdę wizyta lekarska, a nie wymówka?

Rakel roześmiała się cicho, odwróciła się do niego plecami, wsunęła w jego objęcia.

– Jesteś pewien, że nie udajesz zazdrosnego tylko po to, żeby mi zrobić przyjemność?

Leciutko ukąsił ją w kark. Rakel zamknęła oczy z nadzieją, że ból głowy zaraz zniknie, że zwycięży go pożądanie, przesycone słodyczą, uśmierzające ból. Ale się nie pojawiło. A Harry być może to wyczuł, w każdym razie leżał nieruchomo i tylko ją obejmował. Oddychał równo i głęboko, ale Rakel wiedziała, że nie śpi. Że jest gdzie indziej. U swojej kochanki.

Mona Daa dreptała po bieżni. Z powodu ułomnego biodra, biegnąc, poruszała się jak krab, dlatego z automatycznej bieżni korzystała dopiero wtedy, gdy miała całkowitą pewność, że jest sama. Ale po ostrym treningu lubiła przebiec kilka kilometrów, poczuć, jak kwas mlekowy wysącza się z mięśni, podczas gdy ona wpatruje się w pogrążony w ciemności park Frogner. The Rubinoos, powerpopowa grupa z lat siedemdziesiątych, ta od piosenki z jej ulubionego w dzieciństwie filmu *Zemsta frajerów*, wyśpiewywała słodko-gorzkie słowa w słuchawkach podłączonych do jej telefonu. Dopóki nie przerwał jej dzwonek.

Poczuła, że podświadomie na to czekała.

Wcale nie chciała, żeby znów zaatakował. Niczego nie chciała. Po prostu relacjonowała to, co się działo. W każdym razie tak to sobie tłumaczyła.

Na wyświetlaczu zobaczyła napis: *Numer nieznan*, a więc przynajmniej nie z redakcji. Zawahała się. Przy okazji takich poważnych spraw na powierzchnię wypływało mnóstwo dziwaków, ale ciekawość zwyciężyła i Mona wcisnęła Odbierz.

– Dobry wieczór, Mona. – Męski głos. – Sądzę, że jesteśmy sami.

Mona odruchowo się rozejrzała. Dziewczyna w recepcji siedziała pochłonięta własnym telefonem.

– O czym mówisz?

– Masz dla siebie cały klub fitness, a ja cały park Frogner. Właściwie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mamy dla siebie całe Oslo, Mona. Ty ze swoimi artykułami zawierającymi najświeższe informacje i ja jako ich główny bohater.

Mona spojrzała na pulsometr na nadgarstku. Puls jej przyspieszył, ale tylko trochę. Wszyscy jej znajomi wiedzieli, że trenuje wieczorami i że ma widok na park. Nie pierwszy raz próbowano ją nabrać i zapewne nie ostatni.

– Nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz. Daję ci dziesięć sekund na przekonanie mnie, że nie powinnam się rozłączać.

– Nie jestem całkiem zadowolony z opisu sprawy w gazetach. Na wiele szczegółów moich dzieł kompletnie nie zwróciliście uwagi. Proponuję ci spotkanie, na którym powiem ci, co usiłuję wam pokazać. I co się wydarzy w najbliższej przyszłości.

Puls przyspieszył jeszcze bardziej.

– To rzeczywiście duża pokusa. Wyjąwszy to, że ty zapewne nie masz ochoty być aresztowany, a ja nie chciałabym zostać ukąszona.

– W porcie kontenerowym koło wyspy Ormøya stoi stara opuszczona klatka z ogrodu zoologicznego w Kristiansand. Nie ma żadnego zamknięcia, więc weźmiesz ze sobą kłódkę, zamkniesz się w środku, a ja przyjdę i porozmawiam z tobą z zewnątrz. Będę miał nad tobą kontrolę, a jednocześnie ty będziesz bezpieczna. Jeśli chcesz, możesz wziąć ze sobą broń.

– Na przykład harpun? Tak myślisz?

– Harpun?

– Tak. Skoro mamy się bawić w żarłacza ludojada i nurka w klatce.

– Nie traktujesz mnie poważnie.

– A ty na moim miejscu potraktowałbyś siebie poważnie?

– Na twoim miejscu zanimbym się zdecydował, poprosiłbym o podanie

szczegółów związanych z tymi zabójstwami, które może znać tylko ten, kto to zrobił.

– No to mów.

– Użyłem należącego do Ewy Dolmen blendera do smoothie, żeby przygotować sobie koktajl. Możesz go nazwać Bloody Ewa. Sprawdź to u swojego informatora z policji, bo nie pozmywałem po sobie.

Mona się zastanowiła. To było szaleństwo. Ale mogło się okazać sensacją wszech czasów, tym, co już na zawsze ustawi jej dziennikarską karierę.

– Okej. Skontaktuję się teraz z informatorem. Mogę do ciebie zadzwonić za pięć minut?

Ściszony śmiech.

– Zaufania nie buduje się na tanich sztuczkach, Mona. To ja za pięć minut zadzwonię do ciebie.

– W porządku.

Minęła dłuższa chwila, zanim Truls Berntsen odebrał. Sprawiał wrażenie zaspanego.

– Myślałam, że wszyscy jesteście w pracy.

– Niektórzy muszą mieć wolne.

– Mam tylko jedno pytanie.

– Dostaniesz rabat za ilość, jeśli masz ich więcej.

Kiedy się rozłączała, już wiedziała, że znalazła skarb. Albo raczej skarb znalazł ją.

A gdy z nieznanego numeru zatelefonowano jeszcze raz, miała tylko dwa pytania. Gdzie? I kiedy?

– H dwadzieścia trzy. Jutro wieczorem o ósmej. I wiesz, Mona...

– Tak?

– Nie mów nikomu, dopóki nie będziemy tego mieli za sobą. Pamiętaj, że cały czas cię widzę.

– Jest jakiś powód, dla którego nie możemy załatwić tego przez telefon?

– Chcę cię widzieć cały czas. A ty chcesz widzieć mnie. Śpij dobrze. Jeśli skończyłaś już z tą bieżnią.

Harry leżał na plecach i gapił się w sufit. Oczywiście mógł o to obwinić dwie filiżanki czarnej jak smoła i mocnej kawy Mehmeta, ale wiedział, że to nieprawda. Wiedział, że znów znalazł się w miejscu, w którym nie da się już wyłączyć mózgu, aż to się nie skończy, bo mózg będzie działał i snuł domysły tak długo, jak sprawca nie zostanie ujęty, a nawet jeszcze dużo później. Trzy lata. Trzy lata bez znaku życia. Albo znaku śmierci. Aż wreszcie Valentin Gjertsen się objawił. I pokazał nie tylko

koniuszek diabelskiego ogona, lecz dobrowolnie cały ustawił się w świetle reflektorów, jak zachwycony sobą aktor, autor scenariusza i reżyser w jednej osobie. Bo tutaj w grę wchodziła reżyseria. To nie było dzieło chaotycznie działającego psychotycznego szaleńca. To nie był ktoś, kogo mogliby ująć przypadkiem. Musieli czekać na jego następne posunięcie i modlić się do Boga, żeby zabójca popełnił błąd. A do tego czasu nie przestawać szukać w nadziei na znalezienie tego malutkiego błędu, który już popełnił. Bo wszyscy popełniają błędy. Prawie wszyscy.

Harry jeszcze przez chwilę posłuchał regularnego oddechu Rakel, w końcu wysunął się spod kołdry, na palcach opuścił sypialnię i zszedł na dół do salonu.

Telefon odebrano już po drugim dzwonku.

– Myślałem, że śpisz – powiedział Harry.

– I mimo wszystko zadzwoniłeś? – spytał zasnym głosem Ståle Aune.

– Musisz mi pomóc znaleźć Valentina Gjertsena.

– Mi? Czy nam?

– Mi. Nam. Miastu. Ludzkości, do pioruna. Jego trzeba powstrzymać.

– Powiedziałem już, że mój dyżur dobiegł końca, Harry.

– On nie śpi i krąży gdzieś w tej chwili, Ståle. W czasie kiedy my śpimy.

– Owszem, z wyrzutami sumienia, ale śpimy. Ponieważ jesteśmy zmęczeni. Ja jestem zmęczony, Harry. Za bardzo zmęczony.

– Potrzebuję kogoś, kto go rozumie. Przewidzi jego następne posunięcie, Ståle. Wskaże, gdzie on może popełnić błąd. Znajdzie jego słaby punkt.

– Nie mogę...

– Hallstein Smith – powiedział Harry. – Co o nim myślisz?

Zapadła chwila ciszy.

– Nie zadzwoniłeś wcale po to, żeby mnie namówić. – Harry wychwycił w głosie Stålego lekką urazę.

– To jest plan B – wyjaśnił Harry. – Hallstein Smith pierwszy powiedział, że to wampirysta, który uderzy kolejny raz. Miał rację, że Valentin będzie się trzymał sprawdzonej metody działania. Metody randki na Tinderze. Miał rację, mówiąc, że on zaryzykuje i zostawi ślady. Że obojętne mu jest, czy zostanie odkryty. W dodatku wcześniej mówił, że policja powinna szukać przestępcy na tle seksualnym. Do tej pory Smith trafiał bardzo celnie. A to, że nie jest w mainstreamie, też jest dobre, bo zamierzam go wykorzystać w mojej małej antymainstreamowej grupie. Ale najważniejsze, że twoim zdaniem on jest dobrym psychologiem.

– Bo jest. Owszem, Hallstein Smith to może być trafny wybór.

– Zastanawiam się tylko nad jedną rzeczą. Nad tym przezwiskiem...

– Małpa?

– Wspominałeś, że to się do niego przyczepiło i że Smith ciągle ma kłopoty z odzyskaniem wiarygodności wśród kolegów po fachu.

– Na miłość boską, Harry, to było więcej niż pół życia temu!

– To nic, mów.

Stąle jakby się zastanawiał. W końcu zaśmiał się cicho do telefonu.

– Obawiam się, że to przezwisko pojawiło się z mojej winy. No i jego, rzecz jasna. W okresie jego studiów tutaj, w Oslo, odkryto, że z małego sejfu w bufecie na wydziale psychologii ubyło pieniędzy. Podejrzenia padły na Hallsteina, ponieważ nagle okazało się, że stać go jednak na studyjny wyjazd do Wiednia, z którego wcześniej zrezygnował z powodu marnej sytuacji finansowej. Problem polegał na tym, że nie potrafiliśmy udowodnić, że Hallstein zdobył szyfr do sejfu, a to był jedyny sposób na zabranie stamtąd pieniędzy. Zastawiłem więc małpią pułapkę.

– Jaką?

– Tatusiu! – Harry na drugim końcu linii usłyszał nieco piskliwy głos młodej dziewczyny. – Wszystko w porządku?

Dłoń Stąłego zachrobotła o mikrofon.

– Nie chciałem cię obudzić, Auroro. Rozmawiam z Harrym.

I jeszcze głos matki dziewczynki, Ingrid:

– Ależ ty wyglądasz na śmiertelnie przerażoną, córeczko! Dręczyły cię jakieś koszmary? Pójdę z tobą, okryję cię i posiedzę przy tobie. Albo zaparzemy herbaty.

Szuranie kroków po podłodze.

– O czym rozmawialiśmy? – spytał Stąle.

– O małpiej pułapce – odparł Harry.

– No właśnie. Czytałeś taką książkę *Zen i sztuka oporządzania motocykla* Roberta Pirsiga?

– Wiem tylko, że niewiele się tam mówi o grzebaniu przy motorach.

– Zgadza się. To przede wszystkim książka o filozofii, ale trochę również o psychologii i o walce intelektu z uczuciami. Tak jak w małpiej pułapce. Robisz w orzechu kokosowym dziurę na tyle dużą, żeby małpa mogła wsunąć do środka łapę. Wypełniasz kokos jedzeniem i przywiązujesz go do słupa. Potem się chowasz i czekasz. Małpa przychodzi, a kiedy wywącha jedzenie, wsuwa łapę do dziury i chwytta jedzenie, a wtedy ty wyskakujesz. Małpa chce jak najprędzej uciec, ale odkrywa, że nie może wyciągnąć łapy, nie wypuszczając jedzenia. Ciekawe jest to, że chociaż małpa powinna być dostatecznie inteligentna, aby zrozumieć, że jeśli

zostanie schwytana, i tak nie będzie mogła skorzystać z jedzenia, nie chce go wypuścić. Instynkt, głód, pożądanie okazują się silniejsze niż rozum. I to jest zguba małpy. Za każdym razem. Dlatego zorganizowaliśmy z szefem bufetu wielki quiz psychologiczny, do którego zaprosiliśmy wszystkich studentów z naszego wydziału. Zgłosiło się mnóstwo osób, ludzie bardzo się zaangażowali, oczekiwania były wielkie. Po sprawdzeniu odpowiedzi razem z szefem bufetu ogłosiłem, że dwa prawie najtęższe umysły na wydziale, Smith i niejaki Olausen, osiągnęły identyczny wynik, cały konkurs zostanie więc rozstrzygnięty poprzez przetestowanie zdolności przyszłych psychologów w roli żywych wykrywaczy kłamstw. Zaprezentowałem pewną młodą dziewczynę jako jedną z pracownic bufetu, posadziłem ją na krześle i kazałem kandydatom wyciągnąć od niej jak najwięcej cyfr szyfru do sejfu. Smith i Olausen siedzieli naprzeciwko niej, gdy zadawano jej pytania najpierw o pierwszą cyfrę w czterocyfrowym szyfrze od zera do dziewięciu w przypadkowej kolejności, potem o drugą i tak dalej. Dziewczyna miała za zadanie odpowiadać za każdym razem, że to nie jest właściwa cyfra, Smith i Olausen zaś mogli obserwować jej mowę ciała, wielkość źrenic, oznaki przyspieszonego pulsu, zmiany częstotliwości głosu, potliwość, mimowolne ruchy gałek ocznych, wszystko to, co pomaga wykryć kłamstwo – a każdy ambitny psycholog poczytuje sobie za punkt honoru posiadanie umiejętności właściwego uchwycenia takich reakcji. Zwycięzcą miał zostać ten, który odgadnie więcej prawidłowych cyfr. Obaj, głęboko skoncentrowani, siedzieli tam i robili notatki, podczas gdy ja zadawałem tych czterdzieści pytań. Pomyśl tylko, jak wiele od tego zależało. Tytuł drugiego w kolejności najbystrzejszego psychologa!

– No tak. Wszyscy rozumieli, że ten najbystrzejszy...

– ...nie mógł uczestniczyć w quizie, ponieważ był jego organizatorem, owszem. Kiedy skończyłem zadawać pytania, obaj oddali mi kartki ze swoimi propozycjami. Okazało się, że Smith odgadł prawidłowo wszystkie cyfry. Ogromna radość na sali. To przecież naprawdę imponujące! Podejrzanie imponujące, można powiedzieć. Hallstein Smith ma przecież wyższy iloraz inteligencji niż przeciętna małpa, ba, wręcz nie wykluczam, że wiedział, o co w tym chodzi. A mimo to nie potrafił zrezygnować ze zwycięstwa. Po prostu nie potrafił! Może dlatego, że w tamtym czasie Hallstein Smith był niepozornym, ubogim, pryszczatym młodym facetem, niemającym powodzenia u kobiet ani zresztą u nikogo innego, krótko mówiąc, był kimś, komu zależało na zwycięstwie bardziej desperacko niż większości innych. A może uznał, że chociaż może ściągnąć na siebie podejrzenia o zabranie tych pieniędzy z sejfu, to i tak niczego nie da się udowodnić, bo przecież mógł naprawdę być tak fantastycznym znawcą ludzi i umieć odczytać najrozmaitsze

sygnały wysyłane przez ciało. Ale...

– Mhm.

– Co?

– Nic.

– Dalej, mów.

– Dziewczyna na krześle. Nie znała szyfru.

Ståle się roześmiał.

– Nie była nawet zatrudniona w tym bufecie.

– A skąd wiedziałeś, że Smith da się złapać w tę twoją małpią pułapkę?

– Ponieważ to ja jestem owym fantastycznym znawcą ludzi i tak dalej. Pozostaje teraz pytanie, co myślisz na ten temat, już wiedząc, że twój kandydat ma złodziejską przeszłość.

– A o jakiej kwocie mówimy?

– O ile dobrze pamiętam, o dwóch tysiącach koron.

– Niedużo. I powiedziałaś, że z sejfu ubyło pieniędzy, co oznacza, że nie opróżnił go całkiem, prawda?

– Wtedy sądziliśmy, że zrobił tak, licząc, że nikt tego nie zauważy.

– Ale później doszedłeś do wniosku, że zabrał dokładnie tyle, ile potrzebował, żeby wziąć udział w tym wyjeździe.

– Poproszono go grzecznie o zrezygnowanie ze studiów w zamian za to, że sprawa nie zostanie zgłoszona policji. Dostał się na studia psychologiczne na Litwie.

– Po tym twoim wyczynie wyruszył na wygnanie z przezwiskiem Małpa.

– Ale wrócił, uzupełnił wykształcenie o kursy w Norwegii i uzyskał tytuł psychologa. Dał sobie radę.

– Wiesz, że mówisz tak, jakbyś miał wyrzuty sumienia?

– A ty jakbyś miał zamiar zaangażować złodzieja.

– Nigdy nie miałem nic przeciwko złodziejom kierującym się motywami możliwymi do zaakceptowania.

– Ha! – zawołał Ståle. – On teraz jeszcze bardziej ci się podoba! Bo ty rozumiesz, o co chodzi w małpiej pułapce. Ty też nie potrafisz odpuścić, Harry! Tracisz to, co wielkie, bo nie umiesz zrezygnować z tego, co małe. Po prostu musisz złapać Valentina Gjertsena, chociaż właściwie rozumiesz, że możesz za to zapłacić wszystkim, co jest ci drogie. Samym sobą i ludźmi wokół ciebie. Ale ty po prostu nie potrafisz odpuścić.

– Zabawne porównanie, ale się mylisz.

– Doprawdy?

– Tak.

– W takim razie się cieszę. A teraz muszę już iść i zobaczyć, co słyhać u moich pań.

– Jasne. Jeżeli Smith się do nas przyłączy, możesz go ogólnie wprowadzić w to, czego się od niego oczekuje jako psychologa?

– Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Dla Wydziału Zabójstw? Czy dla tego, którego przez ciebie ochrzczono Małpą?

– Dobranoc, Harry.

Harry wrócił do łóżka. Nie dotykając Rakeł, położył się tak blisko niej, jak tylko mógł, żeby czuć ciepło bijące od jej uśpionego ciała. Zamknął oczy.

Zen i sztuka oporządzania motocykla.

Po chwili odleciał. Wyfrunął z łóżka przez okno, poszybował przez noc w stronę migoczącego miasta, w którym nigdy nie gasły światła, leciał ulicami, zaułkami, ponad pojemnikami na śmieci, przez miejsca, do których światła miasta nigdy nie docierały. I tam go zobaczył. Tamten miał rozpiętą koszulę, a z gołej piersi krzyczała do niego twarz, która próbowała rozerwać skórę i się spod niej wydostać.

Znał tę twarz.

Ścigana i ścigająca, wystraszona i głodna, znieawidzona i nienawidząca.

Harry gwałtownie otworzył oczy.

Zobaczył własną twarz.

17 PONIEDZIAŁEK, RANO

Katrine patrzyła na blade twarze śledczych ze swojej grupy. Część z nich pracowała przez całą noc, a pozostali też najwyraźniej spali krótko. Omówili listę znajomych Valentina Gjertsena – w większości byli to kryminaliści, niektórzy z nich siedzieli, inni, jak się okazało, już nie żyli. Potem Tord Gren poinformował o listach połączeń uzyskanych z centrali Telenoru z nazwiskami wszystkich osób, z którymi trzy ofiary miały kontakt telefoniczny w ostatnich godzinach i dniach przed napadami. Na razie nie było żadnych zbieżności numerów telefonicznych, żadnych dziwnych rozmów czy SMS-ów. Jedynym ewentualnie podejrzanym połączeniem był nieodebrany telefon z nieznanego numeru do Ewy Dolmen na dwa dni przed zabójstwem. Dzwoniono z telefonu na kartę, którego nie dawało się wysledzić, co mogło oznaczać, że został wyłączony albo zniszczony, że usunięto kartę SIM lub po prostu skończyły się na niej pieniądze.

Anders Wyller pokazał wstępne zestawienie sprzedanych drukarek 3D

i stwierdził, że kupiono ich po prostu za wiele, a procent niezarejestrowanych w sklepach nazwisk i adresów jest zbyt duży, aby pójście tym tropem miało sens.

Katrine spojrzała na Harry'ego, który pokręcił głową, słysząc o wyniku, ale pokiwał nią na znak, że zgadza się z konkluzją.

Bjørn Holm wyjaśnił, że teraz, kiedy ślady techniczne z miejsca zdarzenia pozwoliły wytypować podejrzanego, jego wydział skupi się na zabezpieczeniu dowodów, które pozwolą jeszcze mocniej powiązać Valentina Gjertsena z tymi trzema miejscami zbrodni i z ofiarami.

Katrine przygotowywała się do rozdzielenia zadań, gdy nagle Magnus Skarre podniósł rękę i zanim zdążyła udzielić mu głosu, udzielił go sobie sam.

– Dlaczego zdecydowaliście się na upublicznienie nazwiska Valentina Gjertsena jako podejrzanego?

– Dlaczego? – powtórzyła Katrine. – Żeby dostać od ludzi jakąś informację o tym, gdzie on może przebywać, to oczywiste.

– I teraz będą zawracać nam gitarę setki czy tysiące ludzi, bazujących jedynie na ołówkowym rysunku gęby, na którym osobiście rozpoznałbym dwóch swoich wujków. Każde takie zgłoszenie będziemy musieli sprawdzać, no bo jeśli później wyjdzie na jaw, że kiedy Gjertsen zagryzł ofiary numer cztery i pięć, policja już miała informację o jego nowej tożsamości i miejscu zamieszkania, poleci niejedna głowa. – Skarre rozejrzał się, jakby szukał wsparcia u kolegów. Albo, uświadomiła sobie Katrine, jakby wypowiadał się nie tylko we własnym imieniu.

– Taki dylemat istnieje zawsze, Skarre. Ale właśnie taką decyzję podjęliśmy.

Skarre skinął głową analitycznie, która przejęła pałeczkę:

– Skarre ma rację, Katrine. Naprawdę przydałby nam się spokój do pracy. Przecież już dawniej prosiliśmy opinię publiczną o informacje związane z Valentinem Gjertsenem i donikąd nas to nie zaprowadziło, a jedynie odciągnęło od tego, co może dałoby jakiś wynik.

– I jeszcze jedno – dodał Skarre. – Teraz on już wie, że my wiemy, no i mogliśmy go wystraszyć. Ma jakąś norę, w której zdołał się ukrywać przez trzy lata. Teraz ryzykujemy, że znów się w tej norze schowa. Tak tylko chciałem zauważyć.

Katrine zobaczyła, że Skarre z triumfalną miną zakłada ręce na piersi.

– Ryzykujemy? – Z końca sali dobiegł głos, któremu towarzyszył chrumkający śmiech. – Jeśli ktokolwiek tu ryzykuje, to chyba wszystkie te kobiety, które chciałbyś widzieć w roli przynęty przez ten czas, kiedy będziemy ukrywać przed wszystkimi, że wiemy, kto to jest, Skarre. I nawet jeśli nie złapiemy sukinsyna, to moim zdaniem i tak dobrze zagnać go z powrotem do tej jego nory.

Skarre z uśmiechem pokręcił głową.

– Jeszcze się nauczysz, Berntsen, jak popracujesz trochę dłużej w wydziale, że tacy jak Valentin Gjertsen nie rezygnują. On po prostu dalej będzie robił to samo, tylko gdzie indziej. Słyszałeś naszą szefową... – wypowiedział te słowa, przesadnie je akcentując – ...wczoraj w telewizji. Mówiła, że Valentin może już być za granicą. Ale jeśli ci się wydaje, że on siedzi w domu przy popcornie i robi na drutach, to gdybyś miał odrobinę większe doświadczenie, wiedziałbyś, że się mylisz.

Truls Berntsen wbił wzrok we własne dłonie i mruknął coś niezrozumiałego dla Katrine.

– Nie słyszymy cię, Berntsen! – zawołał Skarre, nie odwracając się do niego.

– Mówię tylko, że zdjęcia tej Jacobsen pod deskami surfingowymi, które tu puszczaliście, nie pokazywały wszystkiego – odparł Truls Berntsen donośnym czystym głosem. – Kiedy się tam zjawiłem, jeszcze oddychała. Ale nie mogła mówić, bo on obcęgami wyrwał jej język i wetknął w pewne miejsce. Wiesz, co się dzieje, kiedy się wyrywa język, zamiast go obciąć? W każdym razie miałem wrażenie, że ta kobieta mnie błaga, żebym ją zastrzelił. I gdybym miał przy sobie pistolet, to, do diabła, zacząłbym się zastanawiać, czy tak nie zrobić. No ale umarła chwilę później, więc przynajmniej tyle dobrze. Tak tylko o tym wspominał, à propos doświadczenia.

W ciszy, która zapadła, kiedy Truls brał głębszy oddech, Katrine zdążyła pomyśleć, że może któregoś dnia mogłaby nawet polubić sierżanta Berntsena. Myśl tę jednak zaraz zabił finał Trulsa:

– A poza tym, o ile mi wiadomo, jesteśmy odpowiedzialni za Norwegię, Skarre. Jeśli Valentin zechce maltretować południowców i czarnuchów w innych krajach, to niech tam się tym zajmują. Lepsze to, niż żeby brał sobie nasze dziewczyny.

– W tym momencie mówimy stop – przerwała mu Katrine. Zdumione twarze powiedziały jej, że przynajmniej wszyscy zdążyli się obudzić. – Zbieramy się na popołudniową odprawę o szesnastej. Konferencja prasowa jest o osiemnastej, a ja postaram się być możliwie dostępna pod telefonem dla wszystkich, więc proszę, żebyście raportowali krótko i zwięźle. I żeby cały czas było dla nas jasne: ze wszystkim się spieszy. To, że nie zaatakował wczoraj, nie musi oznaczać, że nie zaatakuje dziś. Bóg też zrobił sobie przerwę w niedzielę.

Sala odpraw szybko się opróżniała. Katrine pozbierała swoje papiery, zamknęła laptopa i zamierzała iść za innymi.

– Chcę Wyllera i Bjørna. – To odezwał się Harry. Ciągle siedział z rękami za głową i nogami wyciągniętymi przed siebie.

– Na Wyllera się zgadzam, a jeśli chodzi o Bjørna, musisz spytać tę nową z Wydziału Techniki Kryminalistycznej. Cośtam Lien.

- Bjørna już pytałem. Mówi, że z nią porozmawia.
- O, na pewno – wyrwało się Katrine. – A z Wyllerem już się dogadałeś?
- Tak, bardzo się ucieszył.
- A co z ostatnią osobą?
- Hallstein Smith.
- Naprawdę?
- Czemu nie?

Katrine wzruszyła ramionami.

- Ekscentryczny alergik, uczulony na orzechy, bez żadnego doświadczenia w pracy policyjnej?

Harry odchylił się na krześle, zanurzył rękę w kieszeni spodni i wyciągnął z niej pogniecioną paczkę cameli.

- Jeśli w dżungli pojawiło się nowe zwierzę o nazwie wampirysta, to mam ochotę mieć cały czas przy sobie eksperta, który wie najwięcej o tym zwierzęciu. Ale twoim zdaniem alergia na orzechy przemawia przeciwko niemu?

Katrine westchnęła.

- Po prostu zacznam mieć dość alergików. Anders Wyller ma alergię na lateks, nie może używać lateksowych rękawiczek. Ani kondomów, jak przypuszczam, wyobraź to sobie.

- Wolałbym nie.

Harry zajrzał do paczki i wsunął do ust papierosa. Złamana końcówka zwisała smutno.

- Dlaczego nie trzymasz papierosów w kieszeni kurtki jak ludzie, Harry?

Wzruszył ramionami.

- Połamane mają lepszy smak. A poza tym zakładam, że skoro Kotłowni nie zaakceptowano jako biura, to zakaz palenia tam nie obowiązuje?

- Przykro mi – powiedział Hallstein Smith do telefonu – ale bardzo dziękuję za propozycję.

Rozłączył się, schował komórkę do kieszeni i spojrzał na swoją żonę May, która siedziała po drugiej stronie kuchennego stołu.

- Coś nie tak? – zainteresowała się z zatroskaną miną.

- Dzwonili z policji. Spyтали, czy nie zechciałbym dołączyć do małej grupy, która ma schwycić tego wampirystę.

- I?

- Goni mnie termin oddania pracy doktorskiej. Nie mam czasu. Poza tym nie interesuje mnie tego rodzaju polowanie na ludzi. Wystarczy mi zabawa w wilka

i gęsi w domu.

– I tak im powiedziałaś?

– Tak. Oprócz tego o wilku i gęsiach.

– Co odpowiedzieli?

– On. To był mężczyzna. Harry Hole. – Hallstein Smith się roześmiał. – Powiedział, że mnie rozumie, bo śledztwo policyjne to nudna drobiazgowa praca, która w ogóle nie wygląda tak, jak się ją przedstawia w telewizji.

– No to tyle. – May podniosła do ust filiżankę z herbatą.

– No to tyle. – Hallstein też sięgnął po herbatę.

Kroki Harry'ego i Andersa Wyllera odbijały się echem, zagłuszając miękkie cmoknięcia kropli wody skapujących ze sklepienia murowanego tunelu.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Wyller, który niósł monitor i klawiaturę do starego stacjonarnego komputera.

– Gdzieś pod parkiem, między Budynkiem Policji a Więzieniem Okręgowym w Oslo – wyjaśnił Harry. – Nazywamy ten korytarz Kanałem.

– I tutaj jest sekretne biuro?

– Nie sekretne, po prostu wolne.

– A kto chce mieć biuro tutaj, pod ziemią?

– Nikt. Właśnie dlatego jest wolne. – Harry zatrzymał się przy żelaznych drzwiach. Włożył klucz do zamka, przekręcił i pociągnął za klamkę.

– Ciągłe zamknięte? – spytał Wyller.

– Zapięły się. – Harry oparł się jedną nogą o mur przy drzwiach i szarpnął.

Buchnęły na nich wilgoć i woń piwnicy. Harry chłonał je chciwie. Z powrotem w Kotłowni.

Wcisnął przełącznik w środku. Po kilku sekundach namysłu świetlówka na suficie zaczęła błyskać na niebiesko. Kiedy się wreszcie ustabilizowała, rozejrzeli się po kwadratowym pokoju z podłogą pokrytą szaroniebieskim linoleum, za to bez okien, a jedynie z nagimi, szarymi betonowymi ścianami. Harry zerknął na Wyllera. Ciekaw był, czy widok miejsca pracy nie stłumi spontanicznej radości, jaką okazał młody funkcjonariusz, gdy Harry zaproponował mu przyłączenie się do swojej partyzantki. Na to jednak się nie zanosilo.

– Niezłe. – Anders Wyller odsłonił w uśmiechu zęby.

– Jesteśmy pierwsi, więc możesz wybierać. – Harry wskazał mu trzy biurka. Na jednym stał ekspres z resztkami przypalonej kawy, pojemnik z wodą i cztery filiżanki z wypisanymi ręcznie nazwiskami.

Wyllerowi akurat udało się podłączyć komputer, a Harry'emu ekspres, kiedy

otworzyły się ponownie szarpnięte drzwi.

– O rany, cieplej tu, niż zapamiętałem! – zaśmiał się Bjørn Holm. – A to jest Hallstein.

Zza pleców Bjørna wyłonił się mężczyzna z nastroszoną czupryną, w dużych okularach i kraciastej marynarce.

– Hallstein Smith. – Harry wyciągnął do niego rękę. – Cieszę się, że zmieniłeś zdanie.

Psycholog ucisnął mu dłoń.

– Mam pewną słabość do odwróconej psychologii. Jeśli o to chodziło. Chyba że jesteś najgorszym sprzedawcą telefonicznym, z jakim kiedykolwiek miałem kontakt. W każdym razie pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się oddzwonić do telemarketera, żeby jednak przyjąć jego ofertę.

– Nakłanianie kogokolwiek nie ma sensu. Potrzebujemy wyłącznie ludzi odpowiednio zmotywowanych do pracy. Wolisz mocną kawę?

– Nie, raczej... Będę pił taką jak wy.

– To dobrze. Wygląda na to, że ta jest twoja. – Harry podał Smithowi jedną z białych filiżanek.

Psycholog poprawił okulary na nosie i przeczytał zrobiony flamastrem napis.

– Lew Wygotski?

– A to jest filiżanka naszego technika. – Harry podał ją Bjørnowi.

– Ciągle Hank Williams – stwierdził Bjørn z zadowoleniem. – Czy to oznacza, że filiżanka nie była myta od trzech lat?

– Flamaster wodoodporny – odparł Harry. – Tu masz swoją, Wyller.

– Popeye Doyle? A kto to jest?

– Superpolicjant. Sprawdź sobie.

Bjørn obrócił w palcach czwartą filiżankę.

– Dlaczego na twojej nie jest napisane Valentin Gjertsen, Harry?

– Zapewne niedopatrzenie. – Harry sięgnął po dzbanek z kawą i nalał wszystkim.

Bjørn odwrócił się i spojrzał na dwie pytające twarze.

– To taka nasza tradycja, że mamy na filiżankach wypisane nazwiska naszych idoli. A Harry nazwisko głównego podejrzanego. Jin i jang.

– W niczym mi to nie przeszkadza – odezwał się Smith. – Ale chciałem tylko zauważyć, że Lew Wygotski nie jest moim ulubionym psychologiem. Wprawdzie był pionierem, ale...

– Dostałeś filiżankę Stałego Aune. – Harry przysunął ostatnie krzesło, tak aby cztery krzesła w pokoju utworzyły krąg na środku. – A więc jest tak: mamy swobodę. Jesteśmy sami sobie szefami i nikomu nie składamy żadnych raportów.

Ale o tym, co robimy, informujemy Katrine Bratt i vice versa. Siadajcie. Zaczniemy od tego, że każdy po kolei szczerze powie, co myśli o tej sprawie. Opierając się na faktach, doświadczeniu czy intuicji, wszystko jedno. Na podstawie jakiegoś idiotycznego szczegółu albo w ogóle bez żadnej podstawy. Nic, co tutaj powiecie, nie zostanie później wykorzystane przeciwko wam, więc wolno kompletnie odlecieć. Kto chce zacząć?

Wszyscy czterej usiedli.

– Oczywiście nie ja tu decyduję – odezwał się Smith – ale wydaje mi się, że... hm... ty powinienesz zacząć, Harry. – Smith objął filiżankę dłońmi, jakby zmarzł, chociaż tuż za ścianą mieli kotły ogrzewające całe więzienie. – Może nam powiesz, dlaczego uważasz, że to nie Valentin Gjertsen?

Harry spojrzał na Smitha. Pociągnął łyk kawy. Przełknął.

– No dobrze. Zacznę. Wcale nie uważam, że to nie Valentin. Chociaż i taka myśl przyszła mi do głowy. Zabójca dokonuje dwóch zbrodni, nie zostawiając żadnych śladów. To wymaga planowania i chłodnej głowy. A potem nagle dopuszcza się ataku, podczas którego wręcz sypie śladami i dowodami wskazującymi na Valentina Gjertsena. Jest w tym jakaś natrętność, jakby sprawcy koniecznie zależało na zaanonsowaniu, kim jest. No a coś takiego oczywiście budzi podejrzenia. Czy ktoś próbuje nami manipulować, wskazując na kogoś innego? W takim wypadku Valentin Gjertsen byłby idealnym kozłem ofiarnym. – Harry zauważył skupione spojrzenie szeroko otwartych oczu Andersa Wyllera, niemal zaspane Bjørna Holma i życzliwe, zapraszające Hallsteina Smitha, jakby naukowiec nawet w tych okolicznościach niemal automatycznie wcielił się w rolę psychologa. – Ktoś, kto ma taką kartotekę jak Valentin Gjertsen, jest bardzo prawdopodobnym sprawcą – ciągnął Harry. – Poza tym zabójca wie, że to ktoś, kogo nie znajdziemy, skoro szukamy go od tak dawna. Albo ma pewność, że Valentin Gjertsen już umarł i został pogrzebany, ponieważ sam go zabił i pogrzebał. A pogrzebany w tajemnicy Valentin nie będzie mógł zaprzeczyć naszym podejrzeniom, prezentując alibi czy choćby coś na kształt, tylko z grobu dalej będzie odciągał uwagę od innych ewentualnych sprawców.

– Odciski palców – zauważył Bjørn Holm. – Wytatuowana twarz demona. DNA na kajdankach.

– No cóż. – Harry wypił kolejny łyk. – Odciski palców zabójca mógł zostawić, zabierając na Hovseter odcięty od ręki Valentina palec. Tatuaż może być podróbką, która zniknie w praniu. Włoski na kajdankach mogą pochodzić z ciała Valentina Gjertsena. A kajdanki mogły być pozostawione celowo.

Ciszę w Kotłowni zakłóciło jedynie ostatnie charczenie ekspresu.

– Cholera! – Anders Wyller się zaśmiał.

– Ta koncepcja zajęłaby wysokie miejsce na mojej liście dziesięciu najlepszych teorii spiskowych tworzonych przez paranoików – powiedział Smith. – To... hm... miał być w zamierzeniu komplement.

– I właśnie dlatego tu jesteśmy. – Harry się pochylił. – Musimy myśleć alternatywnie. Przyglądać się ewentualnościom, których grupa Katrine kompletnie nie zauważa. Ponieważ tamci już sobie ułożyli scenariusz wydarzeń, a im większa grupa, tym trudniej się oderwać od głównych idei i konkluzji. W pewnym sensie funkcjonują one jak religia, człowiek odruchowo myśli, że tyle osób wokół niego nie może się mylić. No cóż. – Harry podniósł do ust filiżankę bez żadnego nazwiska. – Może. I myli się. Cały czas.

– Amen – podsumował Smith. – Hm... drugie dno było niezamierzone.

– No to przejdźmy do kolejnej błędnej teorii. Wyller?

Anders Wyller zajął do swojej filiżanki. Nabrał tchu i zaczął mówić:

– Smith w telewizji opisał kolejne fazy rozwoju wampirystów. W Skandynawii młodzi ludzie są tak ściśle kontrolowani pod względem zdrowotnym, że gdyby wykazywali jakieś ekstremalne tendencje, zostałyby to wychwycone przez służbę zdrowia, zanim weszliby w ostatnią fazę. Wampirysta nie jest Norwegiem, pochodzi z innego kraju. – Podniósł głowę.

– Dziękuję – powiedział Harry. – Mogę dodać, że w spisanej historii seryjnych zabójców nie ma ani jednego pijącego krew Skandynawa.

– Morderstwo w dzielnicy Atlas w Sztokholmie w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku – przypomniał Smith.

– Mhm. Nie słyszałem.

– Pewnie dlatego, że wampirysty nigdy nie znaleziono, a poza tym stwierdzono, że to dzieło seryjnego zabójcy.

– Interesujące. Ofiarą była kobieta, tak jak tutaj?

– Lilly Lindeström, trzydzieści dwa lata, prostytutka. I gotów jestem zjeść swój słomkowy kapelusz, który mam w domu, jeśli była jedyną ofiarą. Później zaczęto tę sprawę nazywać zabójstwem Wampira.

– Jakież szczegóły?

Smith zamrugał dwa razy, po czym przymknął oczy i zaczął mówić tak, jakby odtwarzał raport słowo po słowie:

– Trzydziesty kwiecień, noc Walpurgi, Sankt Eriksplan jedenaście, jednopokojowe mieszkanie. Lilly przyjmuje w nim mężczyznę. Wcześniej schodzi na parter do przyjaciółki z prośbą o pożyczanie prezerwatywy. Kiedy czwartego maja policja włamała się do mieszkania Lilly, znalazła ją martwą, leżącą na otomanie. Żadnych

odcisków palców czy innych śladów. Wyraźnie było widać, że morderca po sobie posprzątał, nawet ubranie Lilly leżało porządnie złożone. W kuchni, w zlewie, znaleziono chochlę umazaną krwią.

Bjørn i Harry wymienili spojrzenia, a Smith ciągnął:

– Nic w jej notesie z adresami, zawierającym co prawda całe mnóstwo samych imion, nie naprowadziło na żadnego podejrzanego. Policja nigdy nie wpadła na ślad wampirysty.

– Ale jeśli to był wampirysta, to chyba zaatakowałby ponownie? – zauważył Wyller.

– Owszem – przyznał Smith. – A kto mówi, że tego nie zrobił? I że nie posprzątał po sobie jeszcze staranniej?

– To prawda – zgodził się Harry. – Liczba osób zaginionych co roku przewyższa liczbę zarejestrowanych zabójstw. Ale może Wyller ma rację, że w Skandynawii przyszły wampirysta zostałby chyba dość prędko wykryty.

– W telewizji opisałem typowy rozwój – odparł Smith. – A są tacy, którzy odnajdują w sobie wampirystę na późniejszym etapie życia. Zwykłym ludziom odkrycie własnych skłonności seksualnych też może zająć trochę czasu. Jeden z najsłynniejszych wampirystów w historii, Peter Kürten, zwany Wampirem z Düsseldorfu, który w ciągu niespełna dwóch lat uśmiercił dziewięć osób, a usiłował zabić kolejnych siedem, miał czterdzieści pięć lat, kiedy pierwszy raz napił się krwi zwierzęcia – łabędzia, którego zabił pod miastem w grudniu tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku.

– Mhm. Więc twoim zdaniem nie ma nic dziwnego w tym, że w i tak już budzącej grozę kartotece Valentina Gjertsena nie odnotowano wcześniej picia krwi czy kanibalizmu?

– Nie.

– Okej. A co ty myślisz, Bjørn?

Bjørn Holm wyprostował się na krześle i przetarł oczy.

– To samo co ty, Harry.

– Czyli?

– Że zabójstwo Ewy Dolmen jest kopią zabójstwa ze Sztokholmu. Kanapa, sprzątnięte mieszkanie, naczynie, z którego pił krew, wstawione do zlewu.

– Czy to brzmi sensownie, Smith?

– Naśladownictwo? W każdym razie byłoby to coś nowego. Hm... paradoks niezamierzony. Istnieją wprawdzie wampiryści, którzy uważają się za reinkarnację Drakuli, ale to, żeby wampirysta uważał się za odrodzonego mordercę z Atlasu, wydaje się mało prawdopodobne. W grę wchodzi raczej pewne cechy osobowości,

które są typowe dla wampirystów.

– Harry uważa, że dla naszego wampirysty ekstremalnie ważna jest czystość – powiedział Wyller.

– No proszę. – Smith pokiwał głową. – Wampirysta John George Haigh miał obsesję na punkcie mycia rąk i nosił rękawiczki, zarówno latem, jak i zimą. Nienawidził brudu, a krew swoich ofiar pił wyłącznie ze świeżo umytych szklanek.

– A ty, Smith? – spytał Harry. – Jak sądzisz, kim jest nasz wampirysta?

Smith włożył między wargi dwa palce i poruszał nimi w górę i w dół, wywołując tym przy głębokich wdechach i wydechach ciche kłapanie.

– Wydaje mi się, że na podobieństwo wielu wampirystów to inteligentny mężczyzna, który od wczesnej młodości torturował zwierzęta, a być może również ludzi. Pochodzi z normalnej, dobrze funkcjonującej społecznie rodziny, w której on jedyny był nieprzystosowany. Wkrótce znów będzie musiał dostać krwi. Przypuszczam, że odczuwa satysfakcję seksualną, nie tylko pijąc krew, ale nawet na sam jej widok. Poszukuje idealnego orgazmu, który, jak sądzi, może mu zapewnić kombinacja gwałtu z krwią. Peter Kürten, zabójca łabędzia z Düsseldorfu, tłumaczył, że liczba ran zadawanych kobietom nożem była uzależniona od ilości krwi, jaka z nich wypływała, co z kolei determinowało szybkość, z jaką osiągał spełnienie.

W pokoju zapadła ponura cisza.

– No ale gdzie i jak znajdziemy taką osobę? – spytał Harry.

– Może Katrine miała rację podczas tego wczorajszego występu w telewizji – powiedział Bjørn. – Może Valentin zwiął za granicę? Wyprawił się na przykład na plac Czerwony.

– Do Moskwy? – zdumiał się Smith.

– Do Kopenhagi – wyjaśnił Harry. – Do wielokulturowej dzielnicy Nørrebro. Jest tam park pozostający pod obserwacją handlarzy żywym towarem. Głównie import, trochę eksportu. Siadasz na ławce albo na którejś z huśtawek i podnosisz rękę z biletem – autobusowym, lotniczym, jakimkolwiek. Podchodzi do ciebie facet i pyta, dokąd się wybierasz. Zadaje kolejne pytania, nie mówiąc nic, co by ujawniło, kim jest, a jego kumpel, który siedzi w innym miejscu w parku, niepostrzeżenie robi ci zdjęcie i sprawdza w Internecie, czy jesteś tym, za kogo się podajesz, a nie policyjnym wywiadowcą. To dyskretne i drogie biuro podróży, a mimo to nikt nie podróżuje business class, najtańsze są miejsca w kontenerze.

Smith pokręcił głową.

– Wampirysty nie oceniają ryzyka tak racjonalnie jak my, dlatego nie sądzę, żeby uciekł.

– Ja też tak uważam – przyznał Harry. – Tylko wobec tego gdzie jest? Mieszka

sam? Kontaktuje się z innymi ludźmi? Ukrywa się w tłumie czy żyje gdzieś na pustkowiu? Ma przyjaciół? Czy to możliwe, żeby miał dziewczynę?

– Nie wiem.

– Wszyscy tutaj rozumiemy, że nikt nie może nic wiedzieć na pewno, Smith. Proszę jedynie o pierwsze pomysły, bez oglądania się na psychologię.

– My, naukowcy, jesteśmy bardzo ostrożni w kwestii pomysłów. Ale on jest samotny, tego jestem najzupełniej pewien. I to bardzo samotny. To odludek.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę mocno ciągnąć i wejść! – zawołał Harry.

Drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry, nieustraszeni pogromcy wampirów! – powitał ich Ståle Aune, najpierw wprowadzając do środka swój brzuch. Za rękę trzymał przygarbioną dziewczynę, której na twarz opadały ciemne włosy, tak że jej rysy pozostawały dla Harry'ego kompletnie niewidoczne. – Zgodziłem się dla ciebie przeprowadzić błyskawiczny kurs na temat roli psychologa w pracy policyjnej, Hallstein.

Smith się rozjaśnił.

– Bardzo to doceniam, drogi kolego.

Ståle Aune zakołysał się na piętach.

– I powinienes. Ale osobiście nie zamierzam więcej pracować w tych katakumbach. Katrine zgodziła się udostępnić nam swój pokój. – Położył rękę na ramieniu dziewczyny. – Aurora przyszła ze mną, bo potrzebny jej nowy paszport. Harry, mógłbyś jej pomóc ominąć kolejkę? A w tym czasie ja i Smith porozmawiamy sobie na fachowe tematy.

Dziewczyna odgarnęła włosy na bok. Harry wprost nie mógł uwierzyć, że ta blada twarz o tłustej cerze z czerwonymi pryszczami należy do ślicznej dziewczynki, którą pamiętał sprzed zaledwie dwóch lat. Sądząc po ciemnym ubraniu i mocnym makijażu, akurat w tej chwili należała do subkultury gotyckiej albo tej, którą Oleg nazywał emo. Chociaż w jej oczach nie było buntu, podobnie zresztą jak młodzieńczego znużenia czy oznak radości na widok Harry'ego, jej ulubionego niewujka, jak kiedyś go nazywała. Nie było w nich nic. A raczej było coś, czego nie potrafił nazwać.

– Ominiemy kolejkę. Na tyle skorumpowani to już jesteśmy – odparł Harry i doczekał się cienia uśmiechu od Aurory. – Chodźmy do paszportowego.

We czworo opuścili Kotłownię. Harry i Aurora szli Kanałem w milczeniu, a Ståle Aune i Hallstein Smith, dwa kroki za nimi, nie przestawali rozmawiać.

– Miałem pacjenta, który mówił w tak zawoalowany sposób o swoich prawdziwych problemach, że w ogóle tego nie zrozumiałem – przyznał Aune. –

Kiedy przypadkiem ujawniłem, że to on jest poszukiwanym Valentinem Gjertsenem, rzucił się na mnie. Gdyby Harry nie pospieszył mi na ratunek, zabiłby mnie.

Harry spostrzegł, że Aurora cała aż drgnęła.

– Zdołał uciec, ale kiedy mi groził, uzyskałem jego pełniejszy obraz. Przyłożył mi nóż do szyi, próbując wydusić ze mnie diagnozę. Nazwał samego siebie wybrakowanym produktem i powiedział, że jeśli mu nie odpowiem, opróżni mnie z krwi, a wtedy jego fiut się nią napełni.

– Interesujące. Widziałeś, czy naprawdę miał erekcję?

– Nie widziałem, ale czułem. I czułem też ząbkowane ostrze noża myśliwskiego. Pamiętam, jak myślałem, że może ocali mnie drugi podbródek. – Stałe się zaśmiał.

Harry usłyszał stłumiony szloch Aurory, lekko się odwrócił i spojrzał wymownie na Aunego.

– Och, przepraszam, córeczko! – zawołał Aune.

– O czym rozmawialiście? – spytał Smith.

– O wielu różnych rzeczach – odparł i dodał już ciszej: – Bardzo zajmowały go głosy w tle na *Dark Side of the Moon* Pink Floydów.

– Teraz go sobie przypominam! To znaczy on się chyba nie przedstawił jako Paul, a niestety listy moich pacjentów zostały skradzione.

– Słyszałeś, Harry?

– Słyszałem.

Weszli po schodach na parter, tam Aune i Smith stanęli przy windzie, a Harry z Aurorą ruszyli dalej w głąb atrium. Kartka na szybie przy okienku informowała, że aparat fotograficzny w tym miejscu jest zepsuty, więc osoby składające wnioski o wydanie paszportu muszą skorzystać z automatu znajdującego się na zapleczu.

Harry zaprowadził Aurorę do przypominającego wychodek boks, odsunął zasłonkę i zanim dziewczyna weszła do środka, dał jej kilka monet.

– Aha. Masz nie pokazywać zębów – powiedział i z powrotem zaciągnął zasłonę.

Aurora wpatrywała się w swoje odbicie w czarnej szybie, za którą znajdował się aparat fotograficzny.

Czuła, że zaraz się rozpłacze.

Rano wydawało jej się, że to taki dobry pomysł: powie tacie, że chce z nim iść do Budynku Policji, gdzie miał się spotkać z Harrym, bo musi mieć nowy paszport w związku z wyjazdem na wycieczkę klasową do Londynu. Tata i tak nigdy nie miał pojęcia o takich sprawach, podobnymi rzeczami zawsze zajmowała się mama. Jej plan polegał na znalezieniu jakiejś wymówki, aby przez kilka minut porozmawiać

z Harrym w cztery oczy i o wszystkim mu opowiedzieć. Jednak kiedy zostali sami, nie potrafiła się przemóc. To przez tę opowieść taty o nożu – wystraszyła się tak, że znów zaczęła się trząść i kolana się pod nią ugięły. To był ten sam nóż, który tamten człowiek przyłożył do jej szyi. On wrócił. Aurora zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na swoją przerażoną twarz. Wrócił i mógł zabić ich wszystkich, jeśli ona coś powie. A co przyjdzie z tego, że zacznie mówić? Przecież nie wiedziała o nim nic, co pomogłoby im go odnaleźć. Nie uratowałyby ani taty, ani nikogo innego. Otworzyła oczy. Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu, przypominającym tamtą toaletę w hali sportowej. Jej spojrzenie automatycznie skierowało się w dół i znalazło to, czego szukało, tuż pod krawędzią zasłonki. Czubki butów znajdujących się tuż obok. Czekwały na nią, chciały tu wejść, chciały...

Jednym szarpnięciem odsunęła zasłonkę, wyminęła Harry'ego i rzuciła się do wyjścia. Słyszała, że Harry ją woła, ale już po chwili była na dworze, na otwartym terenie. Biegła po trawie przez park w stronę Grønlandsleiret, słyszała własny szloch mieszający się z chrapliwym oddechem, jakby nawet tutaj brakowało powietrza. Ale się nie zatrzymywała. Biegła. Wiedziała, że będzie biec, dopóki nie padnie.

– Paul, czy też Valentin, nie wspominał mi o żadnej szczególnej obsesji na punkcie krwi – powiedział Aune, kiedy już zajął miejsce za biurkiem Katrine. – Mając w pamięci jego kartotekę karną, możemy chyba stwierdzić, że nie jest to osoba z zahamowaniami w kwestii realizacji swoich preferencji seksualnych. A ktoś taki rzadko odkrywa całkiem nowe strony swojej seksualności w dorosłym wieku.

– Może te preferencje zawsze w nim tkwiły – odparł Smith. – Tylko nie znalazł sposobu wprowadzenia swoich fantazji w życie. Jeśli jego pierwotnym pragnieniem było kąsanie ludzi do krwi i picie bezpośrednio ze źródła, że tak to ujmę, to może konieczne do realizacji stało się odkrycie tych żelaznych zębów.

– Picie krwi innych ludzi to prastary rytuał, z którym wiąże się wiara w przejmowanie cudzych sił i zdolności, często swoich wrogów, mam rację?

– Owszem.

– Gdyby przyszło ci sporządzić profil tego seryjnego zabójcy, Smith, sugerowałbym przyjęcie za punkt wyjścia osoby napędzanej potrzebą kontroli, taką, z jaką się stykamy u bardziej konwencjonalnych gwałcicieli i tych, którzy zabijają dla przyjemności. A raczej potrzebą odzyskania kontroli, władzy, której w jakimś momencie został pozbawiony. Restytucja.

– Dziękuję – powiedział Smith. – Restytucja. Zgadzam się i definitywnie uwzględnię ten aspekt.

– Co tu oznacza „restytucja”? – spytała Katrine, która przysiadła na parapecie, otrzymawszy od obu psychologów zgodę na przebywanie w pokoju.

– Wszyscy pragniemy naprawienia szkód, których doznaliśmy – odpowiedział jej Aune. – Stąd też bierze się chęć odwetu. Ja na przykład postanowiłem zostać tym genialnym psychologiem, którym jestem, ponieważ tak słabo grałem w piłkę, że nikt mnie nie chciał w swojej drużynie. Harry był zaledwie chłopcem, kiedy umarła jego matka, i zdecydował, że zostanie policjantem, zajmie się łapaniem zabójców, aby karać tych, którzy odbierają życie innym.

Zaskrzybiała futryna drzwi.

– O wilku mowa! – zawołał Aune.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam – odezwał się Harry. – Ale Aurora uciekła. Nie mam pojęcia, co się stało. Coś wyraźnie było nie tak.

Przez twarz Stałego Aune przebiegł front niżowy i psycholog z westchnieniem podniósł się z krzesła.

– Tak, jedni bogowie rozumieją tych nastolatków. Pójdę jej poszukać. To było krótkie spotkanie, Smith. Zadzwoń do mnie, wrócimy do tego wątku.

– Coś nowego? – spytał Harry, kiedy Aune już wyszedł.

– I tak, i nie – odparła Katrine. – Wydział Techniki Kryminalistycznej potwierdził na sto procent, że DNA na kajdankach pochodzi od Gjertsena. Po wygłoszonym przez Smitha wezwaniu do sprawdzenia list pacjentów skontaktował się z nami tylko jeden psycholog i dwóch seksuologów. Ale podane przez nich nazwiska wyeliminowaliśmy ze sprawy już wcześniej. I tak jak można się było spodziewać, mamy kilkaset zgłoszeń od ludzi, którzy donoszą na wszystko, od nieprzyjemnych sąsiadów po psy pokąsane przez wampiry, wilkołaki i trolle. Było też jednak kilka telefonów, które warto sprawdzić. A poza tym dzwoniła Rakeł i pytała o ciebie.

– Tak, widziałem, że próbowała mnie złapać, ale w tym naszym bunkrze marnie z zasięgiem. Da się z tym coś zrobić?

– Spytam Torda, czy nie mógłby założyć jakiejś linii czy czegoś takiego. Czy mój pokój znów należy do mnie?

Harry i Smith jechali windą sami.

– Unikasz kontaktu wzrokowego – stwierdził Smith.

– Bo taka jest konwencja przyjęta w windach, prawda?

– Miałem na myśli w ogóle.

– Jeżeli nieszukanie kontaktu wzrokowego oznacza jego unikanie, to z pewnością masz rację.

– I nie lubisz jeździć windą.

- Mhm. Tak wyraźnie to widać?
- Mowa ciała nie kłamie. A poza tym uważasz, że za dużo gadam.
- To twój pierwszy dzień, więc może jesteś trochę zdenerwowany.
- Nie, ja się tak zachowuję prawie cały czas.
- Aha. A tak w ogóle to nie podziękowałem ci, że zmieniłeś zdanie.
- Naprawdę nie ma za co. To ja powinienem raczej przeprosić za tak egoistyczne myślenie w sytuacji, gdy zagrożone jest ludzkie życie.
- Rozumiem, że ten doktorat jest dla ciebie ważny.

Smith się uśmiechnął.

- Tak, rozumiesz to, ponieważ jesteś jednym z nas.
- Czyli z kogo?
- Ze zwariowanej elity. Słyszałeś może o dylemacie Goldmana z lat osiemdziesiątych? Kiedy spytano wyczynowych sportowców z najwyższej ligi, czy byliby skłonni zażyć narkotyk, który zagwarantowałby im złoty medal, ale pięć lat później by ich zabił, ponad połowa odpowiedziała twierdząco. Gdy takie samo pytanie zadano innym ludziom, twierdząco odpowiedziały zaledwie dwie osoby na dwieście pięćdziesiąt. Wiem, większości ludzi wydaje się to chore, ale nie takim jak ty i ja, Harry. Bo ty jesteś gotów poświęcić życie, żeby złapać tego mordercę, prawda?

Harry długo patrzył na psychologa. W uszach brzmiało mu echo słów Stąlego: „Bo ty rozumiesz, o co chodzi w małpiej pułapce. Ty też nie potrafisz odpuścić”

– Jeszcze coś cię zaciekało, Smith?

– Tak. Czy ona przytyła?

– Kto?

– Córka Stąlego.

– Aurora? – Harry uniósł brew. – Hm. Wcześniej była szczuplejsza.

Smith pokiwał głową.

– Spodziewam się, że moje kolejne pytanie możesz przyjąć bardzo źle, Harry.

– Przekonajmy się.

– Nie sądzisz, że Stąle Aune może mieć kazirodczy związek ze swoją córką?

Harry szeroko otworzył oczy i wbił wzrok w psychologa. Wybrał Smitha, ponieważ chciał mieć w swoim zespole ludzi zdolnych do oryginalnego myślenia i dopóki Smith odpowiadał jego oczekiwaniom, Harry był skłonny zaakceptować większość jego pomysłów. Większość.

Smith uniósł ręce, jakby się nimi osłaniał.

– Widzę, że jesteś zły, ale pytam jedynie dlatego, że ona wykazuje wszystkie klasyczne oznaki.

– Okej – powiedział Harry cicho. – Masz dwadzieścia sekund na wytłumaczenie się. Wykorzystaj je.

– Mówię tylko, że...

– Już tylko osiemnaście.

– Okej, okej. Samookaleczanie się. Miała koszulkę z długimi rękawami zasłaniającymi ślady na przedramionach, które cały czas drapała. Higiena. Kiedy się stało blisko niej, dało się wyczuć, że z higieną osobistą niezbyt u niej w porządku. Jedzenie. Spożywanie nadmiernych ilości jedzenia lub odchudzanie się to typowe zachowanie ofiar napaści seksualnych. Stan psychiczny. Sprawiała ogólne wrażenie przygnębionej, może odczuwającej lęki. Zdaję sobie sprawę, że ubranie i makijaż mogą być w tym względzie mylące, ale mowa ciała i wyraz twarzy nie kłamia. Intymność. Po twoich gestach zorientowałem się, że w Kotłowni gotów byłeś ją uściskać. Ona jednak udała, że tego nie zauważa, właśnie dlatego zasłoniła włosami twarz przed samym wejściem. Dobrze się znacie, już nie raz się obejmowaliście, więc przewidziała tę sytuację. Ofiary molestowania seksualnego unikają intymności i kontaktu cielesnego. Czy mój czas już minął?

Winda zatrzymała się z mocnym szarpnięciem.

Harry zrobił krok do przodu. Staął, górując nad Smithem, i wcisnął guzik niepozwalający na otwarcie się drzwi.

– Załóżmy na moment, że masz rację, Smith. – Harry zniżył głos do szeptu. – Co to ma, do jasnej cholery, wspólnego ze Stålem? Oprócz tego, że swego czasu wywalił cię ze studiów psychologicznych w Oslo i obdarzył przezwiskiem Małpa.

Dostrzegł w oczach Smitha łzy bólu, jakby go uderzył. Psycholog zamrugał i przełknął ślinę.

– Do diabła, masz rację, Harry. Pewnie widzę tylko to, co chcę zobaczyć, bo w głębi ducha ciągle jestem wściekły. Taki pomysł wpadł mi do głowy, a, jak mówiłem, źle sobie radzę z pomysłami.

Harry z namysłem pokiwał głową.

– I wiesz o tym, więc to nie była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałeś. Co zobaczyłeś?

– Zobaczyłem ojca, który prowadzi za rękę swoją córkę. Szesnasto- czy siedemnastoletnią. I najpierw pomyślałem: fajnie, że ciągle tak razem chodzą, mam nadzieję, że moje córki też będą trzymały mnie za rękę jeszcze długo po wejściu w wiek nastoletni.

– Ale?

– Ale można na to spojrzeć inaczej: że to ojciec utrzymuje władzę i kontrolę, nie wypuszczając córki z rąk.

– A co cię skłoniło do takiego myślenia?

– To, że uciekła, gdy tylko nadarzyła się okazja. Pracowałem przy sprawach, w których zachodziło podejrzenie kazirodztwa, Harry. I ucieczka z domu to właśnie jedna z oznak, których szukamy. Wymienione przeze mnie symptomy mogą oznaczać tysiąc innych rzeczy, lecz jeśli jest jeden promil prawdopodobieństwa, że ta dziewczyna doznaje krzywdy w domu, to zawodowym grzechem zaniedbania byłoby nie podzielić się z kimś tą myślą. Chyba się ze mną zgodzisz? Rozumiem, że jesteś przyjacielem rodziny, ale właśnie dlatego zgłaszam tę myśl tobie. Jesteś kimś, kto może porozmawiać z dziewczyną.

Harry zwolnił przycisk, drzwi się rozsunęły i Hallstein Smith wysiadł.

Harry stał nieruchomo, dopóki winda znów nie zaczęła się zamykać. Wtedy wsunął stopę między drzwi i w końcu ruszył za Smithem po schodach w stronę Kanału. Zawibrował telefon w kieszeni. Odebrał.

– Cześć, Harry. – Ostrego, choć zarazem przymilnie gruchającego głosu Isabelle Skøyen nie dało się pomylić z niczym innym. – Słyszałam, że znów dosiadłeś swojego ulubionego konia.

– Nie jestem pewien, czy tak jest.

– Przez chwilę jechaliśmy konno razem, Harry. Było miło. A mogło być jeszcze milej.

– Myślę, że było tak miło, jak mogło być.

– Wszystko jedno, dużo wody upłynęło, Harry. Dzwonię, żeby cię prosić o przysługę. Nasza firma pracuje trochę dla Mikaela, a widziałeś może, że „Dagbladet” właśnie opublikowała w Internecie artykuł, który bardzo mocno w niego uderza.

– Nie, nie widziałem.

– Pozwolisz, że zacytuję: *Miasto płaci teraz za to, że policja w Oslo pod dowództwem Mikaela Bellmana nie radzi sobie z tym, od czego jest, mianowicie z chwytnością ludzi pokroju Valentina Gjertsen. Za skandal i powód do podania się do dymisji należy uznać fakt, że Gjertsen od trzech lat bawi się z policją w kotka i myszkę, a kiedy znudziło mu się już być myszką, podjął zabawę w roli kota. Co ty na to?*

– Mogło być lepiej napisane.

– Chcielibyśmy, żeby ktoś wystąpił i wytłumaczył, jak nierozsądna jest ta krytyka Mikaela, no i powinien to być ktoś, kto może przypomnieć, jaki jest procent wykrytych poważnych spraw kryminalnych za czasów Bellmana, ktoś, kto zajmował się wieloma zabójstwami, a przy tym jest uważany za osobę niezależną. Ponieważ obecnie wykładasz w Wyższej Szkole Policyjnej, nikt nie oskarży cię

o kumoterstwo. Nadajesz się do tego idealnie, Harry. Co ty na to?

– Oczywiście pomogę i tobie, i Bellmanowi.

– Naprawdę? Fantastycznie!

– W taki sposób, w jaki potrafię najlepiej. Czyli znajdując Valentina Gjertsena. Akurat w tej chwili bardzo mnie to zajmuje, więc przepraszam, muszę kończyć.

– Wiem, że ciężko pracujecie, Harry, ale to może potrwać.

– A dlaczego oczyszczenie dobrego imienia Bellmana jest takie pilne właśnie teraz? Oszczędźmy sobie czasu. Nigdy nie stanę przed mikrofonem i nie wygłoszę słów podyktowanych przez agentkę PR. Jeśli się teraz rozłączymy, będziemy mogli powiedzieć, że odbyliśmy cywilizowaną rozmowę, która nie zakończyła się tym, że kazałem ci iść do diabła.

Isabelle Skøyen roześmiała się głośno.

– Świetnie się trzymasz, Harry! Ciągle zaręczony z tą piękną czarnowłosą prawniczką?

– Nie.

– Nie? No to może któregoś wieczoru wybralibyśmy się na drinka?

– Rakeł i ja przestaliśmy być zaręczeni, ponieważ jesteśmy małżeństwem.

– Aha, no proszę. Ale czy to stanowi przeszkodę?

– Dla mnie tak. Dla ciebie to może raczej wyzwanie?

– Żonaci mężczyźni są najlepsi. Nigdy nie ma z nimi kłopotu.

– Tak jak z Bellmanem?

– Mikael jest słodki, ma najlepsze usta do całowania w całym mieście. No, ale ta rozmowa zaczyna się robić nudna, Harry, więc się rozłączam. Masz mój numer.

– Nie, nie mam. Cześć.

– Okej. Ale jeśli nie chcesz śpiewać pieśni pochwalnych o Mikaelu, to czy mogę przynajmniej przekazać mu twoje pozdrowienia i powiedzieć, że cieszysz się na chwilę, kiedy zakujesz w kajdanki tego nieszczęsnego zbrojnika?

– Mów co chcesz. Życzę miłego dnia.

Połączenie zostało przerwane. Rakeł. Zapomniał, że dzwoniła. Odszukał jej numer, dla zabawy sprawdzając, co czuje. Czy zaproszenie Isabelle Skøyen podziałało w jakikolwiek sposób? Czy udało jej się chociaż odrobinę go podniecić? Nie. Tak. Trochę. Czy to coś oznaczało? Nie. Znaczyło tak mało, że nie chciało mu się nawet zastanawiać, jaką jest świnią. Nie oznaczało, że nie jest świnią, ale to leciutkie podrażnienie, ten obraz jak ze snu – długie nogi i te jej szerokie biodra – który mimowolnie na moment stanął mu przed oczami, pojawił się i zaraz zniknął, nie był wyrokiem skazującym. Absolutnie nie. Odrzucił ją. Chociaż wiedział, że właśnie z uwagi na odrzucenie Isabelle Skøyen jeszcze do niego zadzwoni.

– To telefon Rakel Fauke, ale odebrał doktor Steffens – usłyszał nagle w komórce.

Harry poczuł lekkie mrowienie na karku.

– Tu Harry Hole. Czy jest tam Rakel?

– Nie, Hole, nie ma jej.

Harry poczuł, że gardło mu się zaciska. Ukradkiem nadciągnęła panika. Lód zaczął trzeszczeć. Harry skoncentrował się na oddychaniu.

– A gdzie jest?

Podczas długiej pauzy, która nastąpiła, jak przypuszczał, nie bez powodu, Harry zdążył pomyśleć mnóstwo rzeczy. I ze wszystkich tych wniosków, które jego mózg automatycznie wysnuł, wiedział, że jeden zapamięta. Że to już koniec. Że w tym miejscu przyszedł kres. Że już nie będzie miał tego, czego najbardziej pragnął. Tego, aby dzień dzisiejszy i jutrzejszy były kopią dnia wczorajszego.

– Rakel jest w komie.

Zagubiony czy też zdesperowany mózg usiłował mu wmówić, że koma to jakiś kraj albo miasto.

– Ale próbowała do mnie dzwonić. I to mniej niż godzinę temu.

– Owszem – odparł Steffens. – A ty nie odbierałeś.

18 PONIEDZIAŁEK, W CIĄGU DNIA

Bez sensu. Harry siedział na twardym krześle i usiłował skupić się na tym, co mówił do niego człowiek za biurkiem. Ale jego słowa miały równie mało sensu, co śpiew ptaków w oknie otwartym za plecami mężczyzny w okularach i w białym fartuchu. Bezsensowne jak błękitne niebo i jak to, że właśnie tego dnia słońce postanowiło świecić najmocniej od kilku tygodni. Bezsensowne jak plansze na ścianie, ukazujące ludzkie ciało z odsłoniętym układem krwionośnym zaznaczonym jaskrawą czerwienią i z szarymi organami wewnętrznymi. Bezsensowne jak wiszący obok krzyż z krwawiącym Chrystusem.

Rakel.

Jedyne, co w jego życiu miało sens.

Nie nauka, nie religia, nie sprawiedliwość, nie lepszy świat, nie rozkosz, nie odurzenie, nie brak bólu, nawet nie szczęście. Tylko tych pięć liter. R-a-k-e-l. To nie tak, że gdyby nie było jej, byłaby inna. Gdyby nie było jej, nie byłoby żadnej.

A żadna byłaby lepsza.

Żadnej nikt nie może ci odebrać.

W końcu przebił się przez potok słów.

– Co to znaczy?

– To znaczy – odparł ordynator John D. Steffens – że nie wiemy. Wiemy, że nerki nie funkcjonują tak, jak powinny. A to może wynikać z wielu przyczyn, chociaż, tak jak mówiłem, wykluczaliśmy już wszystkie najbardziej oczywiste.

– No ale co sądzicie?

– Jakiś syndrom – powiedział Steffens. – Problem polega na tym, że są ich tysiące, a jeden bardziej tajemniczy i rzadki od drugiego.

– A to oznacza?

– Że musimy dalej szukać. A na razie, tak jak powiedziałem, wprowadziliśmy ją w stan śpiączki, ponieważ zaczęła mieć problemy z oddychaniem.

– Jak długo...

– Do odwołania. Nie tylko musimy stwierdzić, co dolega twojej żonie, ale musimy też móc to wyleczyć. Wybudzimy ją dopiero wtedy, gdy będziemy mieć pewność, że jest zdolna sama oddychać.

– Czy ona... czy ona...

– Słucham?

– Czy będąc w śpiączce, może umrzeć?

– Tego nie wiemy.

– Owszem, wiecie.

Steffens złączył czubki palców obu dłoni. Czekał, jakby chciał obniżyć tempo tej rozmowy.

– Może umrzeć – stwierdził w końcu. – Wszyscy możemy umrzeć. W jakimś momencie serce może przestać bić. Ale to oczywiście kwestia prawdopodobieństwa.

Harry wiedział, że wściekłość, która w nim narasta, właściwie nie ma żadnego związku z tym lekarzem i z wygłaszanymi przez niego banałami. Dostatecznie wiele razy rozmawiał z bliskimi ofiar zabójstw, aby wiedzieć, że frustracja szuka ujścia, a fakt, że go nie znajduje, jeszcze bardziej go rozwścieczyła. Wziął głęboki oddech.

– O jakim prawdopodobieństwie mówimy w tym wypadku?

Steffens rozłożył ręce.

– Powtórzę, że nie wiemy, z czego wynika ta niewydolność nerek.

– Nie wiecie i dlatego to się nazywa prawdopodobieństwo – wycedził Harry. Urwał. Przełknął ślinę. Zniżył głos. – Więc po prostu powiedz mi, na ile oceniasz prawdopodobieństwo na podstawie tej niewielkiej wiedzy, jaką posiadasz.

– Niewydolność nerek nie jest chorobą samą w sobie, tylko symptomem. Może być rezultatem jakiejś choroby krwi, ale możemy też mieć do czynienia z zatruciem.

Mamy teraz wysoki sezon zatruć grzybami, ale twoja żona mówiła, że ostatnio nie jedliście grzybów. I że oboje jedliście to samo. Źle się czujesz, Hole?

– Tak.

– Ty... Okej, rozumiem. To, co nam zostaje, to na ogół poważne historie.

– Mniej czy więcej niż pięćdziesiąt procent, Steffens?

– Nie mogę...

– Wiem, że poruszamy się w krainie zgadywanek – przerwał mu Harry – ale proszę cię. Bardzo cię proszę.

Lekarz przyglądał mu się długo i badawczo, zanim wreszcie, jak się wydawało, podjął decyzję.

– Oceniając jej stan na podstawie wyników badań, wydaje mi się, że szansa na to, że możemy ją stracić, wynosi trochę ponad pięćdziesiąt procent. Niewiele ponad pięćdziesiąt, ale jednak. Na ogół nie chcę podawać bliskim wartości procentowych, ponieważ za bardzo się do nich przywiązują. Jeśli pacjent umiera w trakcie operacji, w której ryzyko zgonu oceniliśmy na dwadzieścia pięć procent, często obwiniają nas o oszustwo.

– Czterdzieści pięć procent? Czterdzieści pięć procent szansy na to, że przeżyje?

– Tak to wygląda w obecnej chwili. Jej stan się pogarsza, jeśli więc nie postawimy diagnozy w ciągu doby, góra dwóch, ta liczba będzie jeszcze niższa.

– Dziękuję. – Harry wstał. Zakreśliło mu się w głowie. I automatycznie pojawiła się myśl: nadzieja, że otoczy go ciemność, która już nie zniknie. Szybkie, bezbolesne wyjście, idiotyczne i banalne, a mimo to najbardziej sensowne.

– Poza wszystkim dobrze byłoby wiedzieć, na ile łatwy, czy też na ile trudny, będzie kontakt z tobą, gdyby...

– Postaram się być dostępny na okrągło przez całą dobę – odparł Harry. – Wrócę teraz do niej, jeśli o niczym więcej nie powinienem się dowiedzieć.

– Odprowadzę cię, Hole.

Ruszyli korytarzem, znów kierując się w stronę pokoju 301. Korytarz ciągnął się i niknął w migotliwym świetle. Na samym końcu musiało znajdować się okno, przez które świeciło niskie jesienne słońce. Mijali pielęgniarki spowite w biel jak duchy i pacjentów w szlafrokach, którzy szurając nogami, w swoim półmartwym marszu zmierzali ku temu światłu. Wczoraj Rakeł i on obejmowali się w wielkim łóżku z nieco zbyt miękkim materacem, a teraz ona znajdowała się tutaj, w krainie o nazwie Koma, wśród duchów i upiórów. Musiał zadzwonić do Olega. Musiał wymyślić, jak mu to powie. Musiał się napić. Nie wiedział, skąd mu się wzięła ta myśl, ale się pojawiła, jakby ktoś głośno ją wykrzyczał, przeliterował mu prosto do ucha. Należało ją zagłuszyć, i to czym prędzej.

– Dlaczego Penelope Rasch była twoją pacjentką? – spytał głośno. – Przecież nie leżała na tym oddziale.

– Ponieważ potrzebowała transfuzji – odparł Steffens. – A ja jestem hematologiem i szefem banku. Ale biorę też dyżury na izbie przyjęć.

– Szefem banku?

Steffens spojrział na Harry'ego. I chyba zrozumiał, że mózg Harry'ego potrzebuje pewnej dystrykcji, maleńkiej przerwy, oderwania się od tego, w czym się znalazł.

– Lokalnej filii banku krwi. Chociaż może powinno się mnie raczej nazywać łaźniebnym. Przejęliśmy dawną łaźnię dla reumatyków, znajdującą się w piwnicy tego budynku. Nazywamy ją Krwawą Łaźnią. Nikt nie zarzuci hematologom, że nie mają poczucia humoru.

– Mhm. A więc to miałeś na myśli, mówiąc, że handlujesz krwią?

– Słucham?

– Powiedziałeś, że dlatego potrafisz odczytać ze zdjęcia z miejsca zdarzenia, ile krwi tam zostawiła Penelope Rasch. Masz miarkę w oku.

– A ty dobrą pamięć.

– Jak ona się miewa?

– Fizycznie Penelope Rasch dojdzie do siebie. Ale będzie potrzebowała pomocy psychologa. Spotkanie z wampirem...

– Z wampirystą.

– ...to ostrzeżenie, wiesz.

– Ostrzeżenie?

– Owszem. Jego nadejście przepowiedziano i opisano w Starym Testamencie.

– Nadejście wampirysty?

Steffens uśmiechnął się lekko.

– Księga Przysłów, rozdział trzydziesty, werset czternasty. „Jest plemię o zębach jak miecze, o zębach trzonowych jak noże, by wygryźć uciemienionych z kraju, a spośród ludzi nędzarzy”^[1]. To już tutaj.

Steffens przytrzymał drzwi i Harry wszedł do środka. W noc. Po drugiej stronie zaciągniętej zasłony świeciło słońce, ale tu jedynym źródłem światła był połyskujący na zielono pasek, który podskakując, raz po raz przebiegał po czarnym ekranie. Harry spojrział na twarz Rakel. Wyglądała tak spokojnie. I była taka daleka, unosiła się w jakimś mrocznym kosmosie, w którym nie mógł jej dosięgnąć. Usiadł na krześle przy łóżku i zaczekał, aż drzwi się zamkną. Dopiero wtedy ujął ją za rękę i wcisnął twarz w kołdrę.

– Nie odchodź już dalej, ukochana – szepnął. – Nie odchodź już dalej.

Truls Berntsen tak poprzesuwał ścianki działowe w otwartej przestrzeni biurowej, że boks, który dzielił z Andersem Wyllerem, był całkowicie zasłonięty przed wzrokiem innych. Właśnie dlatego tak cholernie go irytowało, że jedyna osoba, która miała tu wgląd, a mianowicie Wyller, wykazywała takie zainteresowanie wszystkim, zwłaszcza tym, z kim Truls rozmawia przez telefon. Ale akurat teraz ten wężyciel wybrał się do zakładu wykonującego tatuaże i piercing, który, jak im podpowiedziano, importował też wampirze artykuły, między innymi metalowe kolczyki w kształcie szczęk wampira, więc Truls zamierzał wykorzystać tę przerwę na full. Ściągnął z sieci ostatni odcinek drugiego sezonu *Świata gliniarzy* i ustawił dźwięk na tyle cicho, że jedynie on go słyszał. Dlatego bardzo nie w porę rozjarzył się wyświetlacz komórki, która jednocześnie zaczęła mrużyć na biurku jak wibrator i głośno grać początek piosenki Britney Spears *I'm Not a Girl*, którą Truls z niejasnych przyczyn lubił. Następna linijka tekstu mówiąca, że bohaterka nie jest jednak jeszcze kobietą, wywoływała mgliste skojarzenia z małodzieńcą, z którym współżycie było zagrożone karą, ale Truls miał nadzieję, że nie dlatego wybrał właśnie ten utwór na dzwonek. A może? Czy to perwersja walić konia do Britney Spears w czymś w rodzaju szkolnego mundurka? Okej, w takim razie był zboczeńcem. Ale bardziej zaniepokoiło Trulsa to, że numer na wyświetlaczu wydał mu się znajomy. Poborca podatkowy? Wydział spraw wewnętrznych? Jakiś dawny wątpliwy kontakt, dla którego wykonał robotę palacza? Ktoś, komu był winien pieniądze lub przysługę? W każdym razie numer nie należał do Mony Daa. Oczywiście najprawdopodobniej telefon miał związek z pracą, zapewne dzwonił ktoś, kto chciał mu dołożyć roboty. Czyli na odebraniu tego telefonu nie mógł nic zyskać, a tylko stracić. Schował aparat do szuflady i skupił się na Vicu Mackeyu i jego kolegach z Grupy Uderzeniowej. Uwielbiał Vica. *Świat gliniarzy* był po prostu jedynym serialem policyjnym, w którym rozumiano, jak myślą prawdziwi policjanci. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, olśniło go, dlaczego ten numer wydał mu się znajomy. Mocnym szarpnięciem otworzył szufladę i sięgnął po aparat.

– Berntsen, śledczy do spraw zabójstw, słucham.

Minęły dwie sekundy, podczas których na drugim końcu nic się nie działo, więc już zdążył pomyśleć, że się rozłączyła. Za moment jednak rozległ się jej głos, tuż przy jego uchu, miękki i łaskoczący.

– Cześć, Truls, tu Ulla.

– Ulla...?

– Ulla Bellman.

– Cześć, Ulla, to ty...? – Truls miał nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco. –

W czym mogę ci pomóc?

Roześmiała się cicho.

– Pomóc jak pomóc. Zobaczyłam cię dzisiaj w atrium w Budynku Policji i uświadomiłam sobie, że już dawno porządnie nie rozmawialiśmy. No wiesz, tak jak dawniej.

Nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawialiśmy, pomyślał Truls.

– Nie spotkalibyśmy się któregoś dnia?

– O rany, no pewnie. – Truls usiłował powstrzymać swój chrumkający śmiech.

– To świetnie. Co powiesz na wtorek? Dzieci są wtedy u mojej mamy. Napijemy się czegoś razem albo coś przekąsimy?

Truls nie wierzył własnym uszom. Ulla chciała się z nim spotkać! Znow będzie go wypytywać o Mikaela? Nie, na pewno wie, że rzadko się ostatnio widują, a poza tym: napić się albo coś przekąsić?

– Byłoby bardzo miło. Masz na myśli coś konkretnego?

– Tylko to, że fajnie byłoby się spotkać. Tak niewiele jest osób z dawnych czasów, z którymi mam kontakt.

– Aha – powiedział Truls. – No to gdzie?

Ulla się roześmiała.

– Od lat nie byłam na mieście. Nie wiem już, jakie knajpy są na Manglerud. Bo ty dalej tam mieszkasz, prawda?

– Owszem. No... Olsen na Bryn ciągle jest otwarty.

– Naprawdę? Aha, no to dobrze. Wobec tego jesteście umówieni. O ósmej?

Truls w milczeniu kiwnął głową, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, i w końcu wydusił z siebie słyszalne potwierdzenie.

– I jeszcze jedno, Truls.

– Tak?

– Nie wspominaj Mikaelowi, że się umówiliśmy, dobrze?

Truls zakasłał.

– Nie?

– Nie. No to widzimy się we wtorek o ósmej.

Rozłączyła się, a on dalej wpatrywał się w telefon. Czy to się naprawdę stało, czy też było jedynie echem snów na jawie, które snuł, odkąd miał szesnaście czy siedemnaście lat? Poczuł szczęście tak intensywne, że o mało nie rozsadziło mu piersi. Potem pojawiła się panika. Przecież to i tak pójdzie w diabły. No tak, oczywiście, w taki czy inny sposób to musi iść w diabły.

Poszło w diabły.

Oczywiście to nie mogło trwać zbyt długo, wygnanie z raju pozostawało jedynie kwestią czasu.

– Piwo – rzucił, podnosząc wzrok na młodą piegowatą dziewczynę, która stanęła przy jego stoliku.

Nie była umalowana, włosy związała w prosty koński ogon, a rękawy białej bluzki zakasała, jakby szykowała się do ruchu wymagającego użycia dużej siły. Zrobiła notatkę w bloczku, zapewne spodziewając się dłuższego zamówienia, Harry domyślił się więc, że musiała zatrudnić się niedawno, ponieważ znajdowali się w knajpie U Schrødera, gdzie dziewięć na dziesięć zamówień kończyło się w tym właśnie miejscu. Dziewczyna przez pierwsze tygodnie będzie nienawidzić tej pracy, przyciężkich dowcipów mężczyzn, źle skrywanej zazdrości najbardziej zapitych kobiet. Marnie z napiwkami, brak muzyki, w której rytm można by pląsać przez lokal, żadnych przystojniaczków rzucających pełne podziwu spojrzenia, tylko starzy kłótlivi pijacy, z którymi trzeba się siłować w porze zamykania. Zacznie się zastanawiać, czy robota tutaj jest warta tego dodatku do kredytu studenckiego, dzięki któremu stać ją na wynajmowanie wspólnie z koleżankami mieszkania stosunkowo blisko centrum. Ale Harry wiedział, że jeśli dziewczyna zdoła przetrwać pierwszy miesiąc, nie załamując się i nie składając wymówienia, jej sytuacja stopniowo się odmieni. Zacznie ją rozśmieszać bezsensowny humor komentarzy, nauczy się odpłacać równie marną monetą. Kobiety, kiedy zrozumieją, że im nie zagraża, zaczną się jej zwierzać. I będzie dostawać napiwki. Nieduże, ale dawane ze szczerego serca, w prosty sposób dodające otuchy i będące wyznaniem miłości, rozjaśniającymi szare codzienne dni. No i otrzyma imię, które może się okazać nieprzyjemnie trafne, lecz wcale nie będzie przez to mniej pieśczośliwe, a nada jej szlachectwo w tym nieszlachetnym towarzystwie. Krótka Kari, Lenin, Tylne Zakole, Niedźwiedzica. W tym wypadku będzie to zapewne coś związanego z piegami albo z rudymi włosami. I podczas gdy ze studenckiego mieszkania koleżanki będą się wyprowadzać i do niego wprowadzać, a ewentualni narzeczeni pojawiać się i znikać, tutejsi goście z czasem staną się jej rodziną. Miłą, szczodłą, irytującą, zatraconą rodziną.

Dziewczyna podniosła głowę znad bloczka.

– To wszystko?

– Tak. – Harry się uśmiechnął.

Pobiegła do baru, jakby ktoś mierzył czas. Zresztą kto wie, może Nina za ladą

właśnie tym się zajmowała.

Anders Wyller przysłał SMS-a, że czeka na Harry'ego w Tattoos & Piercing na Storgata. Harry już zaczął wstukiwać odpowiedź, żeby Anders sam się tym zajął, kiedy usłyszał, że ktoś siada na krześle naprzeciwko niego.

– Cześć, Nina – odezwał się, nie podnosząc głowy.

– Cześć, Harry. Ciężki dzień?

– Tak. – Wystukał staroświecką buźkę: dwukropek i prawy nawias.

– A teraz przyszedłeś tu, żeby był jeszcze cięższy?

Nie odpowiedział.

– Wiesz, co sobie myślę, Harry?

– Co sobie myślisz, Nino? – Jego palec już szukał przycisku Wyślij.

– Nie wydaje mi się, żebyś pękał.

– Właśnie zamówiłem piwo u Panny Piegowatej.

– Którą na razie nazywamy po prostu Marte. A zamówienie anulowałam. Diabeł, który siedzi u ciebie na prawym ramieniu, miałby może ochotę na drinka, Harry, ale anioł na lewym skierował cię do lokalu, w którym nie podaje się mocniejszego alkoholu. I gdzie jest Nina, która, jak wiesz, przyniesie ci kawę zamiast piwa, chwilę z tobą pogada i poprosi, żebyś wracał do domu, do Raket.

– Raket nie ma w domu, Nina.

– Aha, to dlatego. Harry Hole znów zdołał wszystko spieprzyć. Że też wam, facetom, zawsze się to udaje!

– Raket jest chora, a ja potrzebuję piwa, żeby zadzwonić do Olega. – Harry dalej wpatrywał się w telefon. Ciągle szukał przycisku Wyślij, gdy nagle poczuł na ręce pulchną ciepłą dłoń Niny.

– W końcu wszystko będzie dobrze, Harry.

Spojrzał na nią.

– Nieprawda. Znasz kogoś, kto przeżył koniec?

Roześmiała się.

– „W końcu” oznacza odległość czasową między tym, co cię dzisiaj przygniata, a dniem, w którym nie ciąży nam już nic, Harry.

Harry znów spojrzał na telefon. I zamiast wcisnąć Wyślij, wstukał imię Olega i wcisnął Zadzwoń.

Nina odeszła od stolika.

Oleg odebrał po pierwszym sygnale.

– Dobrze, że dzwonisz! Mamy kolokwium i omawiamy paragraf dwadzieścia Ustawy o policji. Prawda, że należy go rozumieć tak, że w sytuacji nadzwyczajnej każdy policjant podlega funkcjonariuszowi wyższemu stopniem i musi słuchać jego

rozkazów, nawet jeśli nie pracują w tym samym wydziale czy w tej samej komendzie? Z paragrafu dwadzieścia wynika, że stopień rządzi, jeśli sytuacja jest trudna i tego wymaga. No dalej, powiedz, że mam rację! Założyłem się o piwo z dwoma durniami stąd...

Harry usłyszał w tle radosny śmiech kolegów Olega.

Zamknął oczy. Oczywiście, że było na czym zawiesić nadzieję, było czego wypatrywać: czasu, który nadejdzie po tym, co cię dzisiaj przytłacza, dnia, kiedy już nic ci nie ciąży.

– Mam złe wieści, Oleg. Mama jest w szpitalu. W Ullevål.

– Wezmę rybę – zwróciła się Mona do kelnera. – Proszę nie przynosić ziemniaków, sosu ani warzyw.

– To zostanie tylko ryba – zauważył kelner, Szwed.

– No właśnie. – Mona zwróciła mu menu. Omiotła wzrokiem gości przybyłych na lunch do nowo otwartej, ale już popularnej restauracji, w której udało im się zająć ostatni dwuosobowy stół.

– Samą rybę? – zdziwiła się Nora, która zamówiła sałatkę Cezar bez dressingu, ale Mona już wiedziała, że przyjaciółka mimo wszystko skapituluje i nie zrezygnuje z deseru do kawy.

– Chodzi o definicję – wyjaśniła Mona.

– Definicję?

– O definicję mięśni, czyli likwidację podskórnej warstwy tkanki tłuszczowej, dzięki czemu wyraźniej widać mięśnie. Mistrzostwa Norwegii już za trzy tygodnie.

– *Bodybuilding*? Naprawdę weźmiesz w tym udział?

Mona się roześmiała.

– Masz na myśli moje biodra? Stawiam na to, że za nogi i tors zarobię dość punktów. No i oczywiście za swoją ujmującą osobowość.

– Mam wrażenie, że się denerwujesz.

– Oczywiście.

– Do mistrzostw są jeszcze trzy tygodnie, a ty się nigdy nie denerwujesz. O co chodzi? To ma jakiś związek z tymi zabójstwami wampirysty? A tak w ogóle to dziękuję ci za odpowiedź. Smith był cudowny. Bratt w pewnym sensie też sporo z siebie dała, w każdym razie dobrze się prezentowała. Wiesz, która to Isabelle Skøyen, ta była radna? Zadzwoiła do nas z pytaniem, czy *Magazyn niedzielny* nie zaprosiłby Mikaela Bellmana jako gościa.

– Żeby mógł odpowiedzieć na krytykę za niezłapanie Valentina Gjertsena do tej pory? Dzięki serdeczne, do nas też dzwoniła w tej sprawie. Co za nachalne babsko!

– I co, nie chcecie się tym zająć? Boże, przecież wszystko, co ma związek z wampirystą, od razu trafia na pierwsze strony.

– Ja nie chciałam, ale moi koledzy nie są aż tacy wyrafinowani. – Mona włączyła swojego iPada i podała go Norze, która na głos zaczęła czytać tekst ze strony internetowej „VG”. – *Była radna Isabelle Skøyen odrzuca krytykę skierowaną do Komendy Okręgowej Policji w Oslo i twierdzi, że komendant podjął odpowiednie kroki: „Mikael Bellman i jego ludzie już odkryli tożsamość wampirysty, a teraz poświęcają wszelkie siły i środki na odnalezienie go. Komendant między innymi zaangażował słynnego śledczego Harry’ego Hole, który chętnie zgodził się przyjść z pomocą swojemu dawnemu szefowi i cieszy się, że będzie mógł zakuć w kajdanki tego nieszczęsnego zbrojeńca”.*

Nora oddała iPada.

– Wieśniacki tekst. A tak w ogóle to co myślisz o Holem? Wykopałabyś go z łóżka?

– Zdecydowanie. A ty?

– Ja? Nie wiem. – Nora zapatrzyła się przed siebie. – Może bym go nie wykopała, może tylko lekko odepchnęła. Albo zaczęła błagać: „Bardzo cię proszę, idź sobie, nie dotykaj mnie tu ani tu, a już na pewno nie tu” – Zachichotała.

– Boże! – Mona pokręciła głową. – Przez takie jak ty rośnie liczba gwałtów w wyniku nieporozumienia.

– Gwałty w wyniku nieporozumienia? Jest takie określenie? I ma sens?

– *You tell me.* Mnie nikt nigdy źle nie zrozumiał.

– Co mi uświadamia, że nareszcie wiem, dlaczego używasz Old Spice’a.

– Z całą pewnością nie wiesz – powiedziała Mona z rezygnacją.

– Właśnie że wiem. Aby ochronić się przed gwałtem. Mam rację? Woda po goleniu, która pachnie testosteronem. To odpędza gwałcicieli równie skutecznie jak gaz pieprzowy. Ale, Mona, pomyślałaś, że odpędza też wszystkich innych mężczyzn?

– No dobrze, poddaję się – jęknęła Mona.

– Świetnie, wobec tego mów!

– To z powodu mojego ojca.

– Słucham?

– On używał Old Spice’a.

– No jasne, przecież byliście sobie tacy bliscy. Brakuje ci go, biedactwo...

– Używam tej wody, żeby stale mi przypominała o najważniejszej rzeczy, jakiej mnie nauczył.

– Golenia się? – Nora zdumiona zamrugwała.

Mona ze śmiechem sięgnęła po szklanę.

– Żeby się nie poddawać. Nigdy.

Nora lekko przechyliła głowę i z powagą popatrzyła na przyjaciółkę.

– Jesteś zdenerwowana. O co chodzi? I dlaczego nie chciałaś się zająć sprawą Skøyen? Przecież masz wyłączność na te zabójstwa wampirysty.

– Dlatego, że jest *bigger fish to fry*.

Mona zdjęła ręce ze stołu, kiedy znów pojawił się kelner.

– Cóż, mam nadzieję. – Nora spojrzała na żaloszny filet, który kelner postawił przed przyjaciółką.

Mona zaczęła grzebać w nim widelcem.

– No i denerwuję się, bo prawdopodobnie jestem obserwowana.

– Co ty mówisz?

– No właśnie, co ja mówię? Jest coś, o czym nie mogę ci powiedzieć, Noro. Ani tobie, ani nikomu innemu. Bo tak się umówiłam. A z tego, co wiem, możemy być teraz podsłuchiwane.

– Podsłuchiwane? Wygłupiasz się. A ja powiedziałam, że ten Hole mógłby... – Nora zasłoniła usta ręką.

– To raczej nie zostanie wykorzystane przeciwko tobie. Chodzi o to, że być może czeka mnie coś, co może się okazać największą sensacją w historii dziennikarstwa kryminalnego. Sensacją wszech czasów.

– Musisz mi o tym opowiedzieć!

Mona zdecydowanie pokręciła głową.

– Mogę ci się tylko przyznać, że mam pistolet. – Poklepała torebkę.

– Zaczynam się bać, Mona. A jeśli oni usłyszą, że masz broń?

– Chcę, żeby usłyszeli. Wtedy zrozumieją, że nie mogą zrobić nic głupiego.

Nora westchnęła z rezygnacją.

– Ale jeśli to jest niebezpieczne, dlaczego musisz to robić sama?

– Bo właśnie wtedy zapiszę się w historii prasy, kochana Noro. – Mona uśmiechnęła się szeroko i uniosła szklanę. – Jeśli wszystko pójdzie jak należy, stawiam następny lunch. I bez względu na mistrzostwa Norwegii napijemy się wtedy szampana.

– Super!

– Przepraszam, że przychodzę tak późno. – Harry zamknął za sobą drzwi do Tattoos & Piercing.

– Przeglądamy asortyment. – Anders Wyller się uśmiechnął. Stał za stołem i przerzucał katalog razem z krzywonogim mężczyzną, ubranym w czapkę

z daszkiem z logo klubu sportowego Vålerenga i w czarną koszulkę z zespołem Hüsker Dü. Mężczyzna miał brodę, co do której Harry był absolutnie pewien, że została wyhodowana na długo, zanim zawsze zsynchronizowani hipsterzy przestali się golić.

– Nie będę wam przeszkadzał. – Harry dalej stał przy drzwiach.

– Tak jak mówiłem – brodacz wskazał coś w katalogu – te też są tylko do ozdoby i nie da się ich umieścić w gębie. Poza tym zęby nie są ostre, z wyjątkiem kłów.

– No a te?

Harry się rozejrzył. W sklepie nie było nikogo więcej, zresztą chyba nikt już by się nie zmieścił. Wykorzystany został każdy metr kwadratowy, żeby nie powiedzieć sześcienny. Ławka do tatuażu na środku, T-shirty zwisające z sufitu, stojaki z biżuterią do piercingu i witryny z większymi ozdobami, czaszkami i figurkami z komiksów wykonanymi z chromowanego metalu. Wszystkie puste miejsca na ścianach wytapetowano rysunkami i fotografiami tatuaży. Na jednym ze zdjęć Harry rozpoznał rosyjski tatuaż więzienny, pistolet Makarowa – wtajemniczeni wiedzieli, że posiadacz takiego tatuażu ma na koncie zabójstwo policjanta. A rozmyte linie mogły wskazywać na to, że został wykonany starą metodą, za pomocą struny od gitary przymocowanej do maszynki do golenia, stopionej podeszwy buta i moczu.

– To wszystko twoje tatuaże? – spytał Harry.

– Żaden nie jest mój – odparł brodacz. – Pozbierane zewsząd. Sporo fajnych rzeczy, no nie?

– Niedługo kończymy – powiedział Anders.

– Nie spieszcie... – Harry urwał.

– Przykro mi, że nie potrafię wam pomóc – zwrócił się brodacz do Wyllera. – Według twojego opisu wygląda mi to raczej na coś, czego trzeba szukać w sklepie dla fetyszystów.

– Dziękuję za odpowiedź, tam już sprawdzaliśmy.

– Aha. Ale dajcie znać, jeśli będę mógł coś jeszcze dla was zrobić...

– Możesz.

Obaj odwrócili się do wysokiego policjanta, który palcem wskazującym celował w rysunek umieszczony wysoko na ścianie.

– Skąd to masz?

Podeszli do niego.

– Z więzienia Ila – wyjaśnił brodacz. – To jeden z rysunków, które zostały po Ricu Herremie, więźniu i tatuażyście. Umarł w Pattayi w Tajlandii zaraz po tym, jak go wypuścili, dwa czy trzy lata temu. Wąglik.

– Tatuowałaś komuś ten motyw? – Harry czuł, jak otwarte do krzyku usta w twarzy demona przyciągają do siebie jego wzrok.

– Nie, nigdy. Nikt też o to nie pytał. To nie jest coś, na co miałyby się ochotę.

– Nikt?

– Ja przynajmniej nie widziałem. Ale skoro tak się upierasz, to przypomina mi się, że rzeczywiście facet, który tu pracował przez jakiś czas, mówił, że widział wcześniej ten tatuaż. Nazywał go *cin*. Zapamiętałem, bo to słowo i *şeytan* to jedyne tureckie słowa, jakie zostały mi w głowie. *Cin* znaczy demon.

– Mówił, gdzie go widział?

– Nie. I wrócił już do Turcji. Ale jeśli to coś ważnego, mam gdzieś numer jego telefonu.

Harry i Wyller zaczekali, aż brodacz wróci z zaplecza z zapisaną ręcznie kartką.

– Tylko ostrzegam, on ledwie mówi po angielsku.

– No to jak...

– Na migi, mój naleśnikowy turecki i jego kebabowy norweski. Który zapewne już zdążył wylecieć mu z głowy. Sugerowałbym tłumacza.

– Jeszcze raz dziękujemy – zakończył Harry. – Obawiam się, że musimy zabrać ten rysunek. – Odwrócił się, szukając wzrokiem jakiegoś stołka, ale zobaczył, że Wyller już mu go podsunął.

Harry przez chwilę patrzył na uśmiechniętego młodego kolegę, po czym wszedł na stołek.

– Co teraz robimy? – spytał Wyller, kiedy stanęli już przed zakładem na Storgata i czekali, aż przejedzie tramwaj.

Harry schował rysunek do wewnętrznej kieszeni kurtki i podniósł w górę wzrok na widniejący na fasadzie ponad nimi szyld Międzynarodowego Błękitnego Krzyża.

– Teraz pójdziemy do baru.

Szedł szpitalnym korytarzem. Bukiet kwiatów niósł przed sobą, zakrywając nim część twarzy. Żadna z napotkanych osób – ani odwiedzający, ani ludzie w bieli – nie zwracała na niego uwagi. Puls spoczynkowy. Miał puls spoczynkowy. W wieku trzynastu lat, chcąc podglądać sąsiadkę przez płot, spadł z pokojowej drabinki, uderzył głową o cementowy taras i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, matka leżała z uchem wciśniętym w jego pierś, a on czuł jej zapach, zapach lawendowych perfum. Myślała już, że umarł, bo nie słyszała jego serca ani nie mogła wyczuć pulsu. Trudno było stwierdzić, czy w jej głosie pobrzmiwała ulga, czy rozczarowanie, w każdym razie zabrała go do młodego lekarza, który dopiero po wielu wysiłkach wyczuł jego tętno i stwierdził, że jest niespotykane niskie,

choć przy wstrząsie mózgu na ogół przyspiesza. Zatrzymano go w szpitalu i przez tydzień leżał w białym łóżku, śniąc olśniewająco białe sny, przypominające prześwieczone zdjęcia, trochę takie jak przedstawiane na filmie życie po śmierci. Anielska biel. W szpitalu nic nie przygotowuje człowieka na całą tę czekającą go czerń.

Na czerń, która teraz czekała kobietę w pokoju o numerze, który właśnie mu podano.

Na czerń, która czekała policjanta z tym wzrokiem, kiedy dowie się, co się stało.

Na czerń, która czeka nas wszystkich.

Harry przyglądał się butelkom ustawionym na lustrzanej półce. Patrzył, jak ich złota zawartość migocze ciepłem w odbitym świetle. Rakel spała. Spała w tej chwili. Czterdzieści pięć procent. Procent szansy na przeżycie był mniej więcej taki sam jak procent zawartości alkoholu. Spać. Mógłby tam być razem z nią. Przeniósł wzrok. Na usta Mehmeta, na jego wargi formułujące niezrozumiałe słowa. Harry czytał gdzieś, że gramatyka turecka uważana jest za trzecią z kolei pod względem trudności. Telefon, który trzymał Mehmet, należał do Harry'ego.

– *Sağ olun.* – Mehmet oddał Harry'emu komórkę. – Mówi, że widział tę twarz *cin* na piersi człowieka w łaźni tureckiej na Sagene, która się nazywa Cagaloglu hamam. Powiedział, że spotkał go tam kilka razy. Ostatnio prawdopodobnie mniej niż rok temu, tuż przed powrotem do Turcji. Ten człowiek zwykle chodził w szlafroku, nawet w saunie. Bez szlafroka widział go jeden jedyny raz, w *hararet*.

– Hara co?

– W łaźni parowej. Drzwi się otworzyły, powiew na kilka sekund rozwiał parę i wtedy tamten mignął mu przed oczami. Mówi, że takiego tatuażu się nie zapomina. To było jak zobaczenie samego *şeytan*, który próbuje się uwolnić.

– Mhm. I spytałeś go o znaki szczególne?

– Tak. Nie zauważył żadnych blizn pod brodą, o których wspominałeś. Ani niczego innego wyjątkowego.

Harry w zamyśleniu kiwał głową, a Mehmet poszedł dolać im kawy.

– Będziemy obserwować łaźnię? – spytał Wyller, który siedział obok Harry'ego na stołku barowym.

Harry pokręcił głową.

– Nie wiemy, kiedy ani czy w ogóle tam się pojawi, a nawet gdyby miał przyjść, i tak nie wiemy, jak Valentin teraz wygląda. Poza tym jest sprytny i będzie zasłaniał tatuaż.

Mehmet wrócił, postawił filiżanki na barze.

– Dzięki za pomoc, Mehmet – powiedział Harry. – Znalezienie tureckiego tłumacza przysięgłego na pewno zajęłoby nam cały dzień.

Mehmet wzruszył ramionami.

– Czuję, że muszę pomóc. Przecież to tutaj Elise przyszła, zanim ją zamordował.

– Mhm. – Harry zapatrzył się w filiżankę. – Anders?

– Słucham. – W głosie Wyllera zabrzmiała radość, może dlatego że Harry pierwszy raz zwrócił się do niego po imieniu.

– Pójdiesz po samochód i podjedziesz pod wejście?

– Ale przecież stoi zaledwie...

– I tam się spotkamy.

Po wyjściu Wyllera Harry wypił łyk kawy.

– To nie moja sprawa, ale czy ty masz jakieś kłopoty, Mehmet?

– Kłopoty?

– Twoja kartoteka jest czysta, sprawdziłem. Ale kartoteka faceta, który tu był i stąd wyszedł, jak nas zobaczył, wygląda zupełnie inaczej. I chociaż się ze mną nie przywitał, to Daniał Banks i ja znamy się od dawna. Wpadłeś w jego szpony?

– O co ci chodzi?

– O to, że niedawno otworzyłeś bar, a w urzędzie podatkowym dowiedziałem się, że masz zerowy majątek. Banks specjalizuje się w takich jak ty.

– W takich jak ja?

– W takich, z którymi bank nie chce gadać. To, czym on się zajmuje, jest nielegalne, wiesz o tym? Lichwa. Paragraf dwieście dziewięćdziesiąt pięć w Kodeksie karnym. Możesz na niego donieść na policję i w ten sposób się z tego wyplątać. Pozwól, żebym ci pomógł.

Mehmet długo patrzył na niebieskookiego policjanta. W końcu kiwnął głową.

– Masz rację, Harry...

– To dobrze.

– ...to nie jest twoja sprawa. Zdaje się, że twój kolega już na ciebie czeka.

Zamknął za sobą drzwi do pokoju szpitalnego. Żaluzje były opuszczone i do środka przesączała się zaledwie odrobina światła. Odłożył bukiet kwiatów na szafkę nocną stojącą przy wezglowiu łóżka. Popatrzył na uśpioną kobietę. Wyglądała tak samotnie.

Zaciągnął zasłony. Usiadł na krześle przy łóżku, z kieszeni kurtki wyjął strzykawkę i ściągnął kapturek z igły. Chwycił kobietę za ramię. Spojrzał na skórę. Prawdziwa skóra. Uwielbiał prawdziwą skórę. Miał ochotę ją pocałować, ale wiedział, że musi się opanować. Plan. Trzeba się trzymać planu. Wbił igłę w rękę

kobiety. Czuł, jak przechodzi przez skórę, nie napotykając żadnego oporu.

– Już. Teraz mu ciebie odbiorę. Teraz będziesz moja. Tylko moja.

Wcisnął tłoczek i patrzył, jak ciemna zawartość strzykawki przenika w ciało kobiety. Wypełnia ją czernią. I snem.

– Do komendy? – spytał Wyller.

Harry spojrział na zegarek. Za godzinę był umówiony z Olegiem w szpitalu.

– Do Szpitala Ullevål – powiedział.

– Źle się czujesz?

– Nie.

Wyller czekał na dalszy ciąg, ale ponieważ dalsze wyjaśnienia nie nastąpiły, wrzucił bieg i ruszył.

Harry wyglądał przez okno, zastanawiając się, dlaczego nic nikomu nie powiedział. Oczywiście z przyczyn praktycznych będzie musiał poinformować Katrine. Ale oprócz niej. Dlaczego?

– Ściągnąłem sobie wczoraj Fathera Johna Misty’ego – odezwał się Wyller.

– Dlaczego?

– Dlatego że ty to przecież polecałeś.

– Naprawdę? No to pewnie dobre.

O niczym więcej nie rozmawiali, dopóki wśród wolno poruszających się samochodów nie wjechali na Ullevålsveien. Kiedy minęli katedrę Świętego Olava i Nordahl Bruns gate, Harry polecił:

– Zatrzymaj się przy tym przystanku. Zauważyłem kogoś znajomego.

Wyller przyhamował i zjechał na prawo przy wiacie przystankowej, w której stała akurat grupka młodzieży, najwyraźniej właśnie skończyła lekcje. Liceum Katedralne, no tak, właśnie do tej szkoły chodziła. Stała nieco z boku rozgadanych młodych ludzi, z twarzą przestoniętą opadającymi włosami. Nie mając właściwie żadnego planu działania, Harry opuścił szybę i zawołał:

– Aurora!

Długonoga dziewczyna drgnęła i jak wystraszona antylopa rzuciła się do ucieczki.

Harry dalej siedział i tylko patrzył w boczne lusterko, obserwował, jak znika na Ullevålsveien, kierując się w stronę katedry.

– Zawsze tak działasz na młode dziewczyny? – spytał Wyller.

Pobiegła w przeciwną stronę niż ta, w którą stał zwrócony samochód, pomyślał Harry. Nie musiała się nawet zastanawiać. Przemyślała to sobie już wcześniej. Wiedziała, że jeśli chce uciec przed kimś, kto jedzie samochodem, to musi biec w stronę przeciwną niż ta, z której nadszedł. Ale co to może oznaczać, nie miał

pojęcia. Może jakieś nastoletnie lęki. Albo faza, jak określił to Ståle.

Kawałek dalej na Ullevålsveien korek się rozładował.

– Zaczekam w aucie – powiedział Anders, kiedy zatrzymał się na terenie szpitala przy wejściu do budynku numer trzy.

– To może trochę potrwać – uprzedził Harry. – Nie wolałbyś posiedzieć w poczekalni?

Anders z uśmiechem pokręcił głową.

– Mam złe wspomnienia ze szpitala.

– Mhm. Matka?

– Skąd wiedziałeś?

Harry wzruszył ramionami.

– Musi chodzić o kogoś bardzo ci bliskiego. Ja też straciłem matkę w szpitalu, kiedy byłem jeszcze chłopcem.

– W twoim wypadku to też się stało z winy lekarza?

Harry pokręcił głową.

– Jej nie dało się uzdrowić. Więc wziąłem winę na siebie.

Wyller uśmiechnął się krzywo.

– W wypadku mojej matki to był samozwańczy bóg w białym fartuchu. Właśnie dlatego nie mam ochoty przestępować progu tego przybytku.

Wchodząc do budynku, Harry zwrócił uwagę na mężczyznę z bukietem kwiatów podniesionym na wysokość twarzy, bo przecież kwiaty to coś, czego człowiek spodziewa się u tych, którzy wchodzą do szpitala, a nie u wychodzących.

Oleg czekał w kąciuku dla odwiedzających. Objęli się. Pacjenci i ich bliscy nie przerywali ściszonych rozmów i obojętnego przeglądania starych tygodników. Oleg prawie dorównywał Harry'emu wzrostem, brakowało mu zaledwie paru centymetrów. Harry czasami zapominał, że chłopak bardziej nie urośnie, więc właściwie mógłby upomnieć się o to, o co się dawno założyli.

– Mówili coś więcej? – spytał Oleg. – Powiedzieli, co to jest i czy to groźne?

– Nie – odparł Harry. – Ale, tak jak ci mówiłem, nie martw się za bardzo, oni wiedzą, co robią. Sami wprowadzili ją w stan śpiączki, pod kontrolą.

Oleg otworzył usta, potem je zamknął i pokiwał głową. Harry zrozumiał. Wiedział, że Oleg pojął, że Harry chroni go przed prawdą. I że mu na to pozwalał.

Podeszła do nich pielęgniarka z informacją, że mogą wejść do Rakiel.

Harry ruszył przodem.

Żaluzje były opuszczone.

Podszedł do łóżka. Spojrzał na bladą twarz. Rakiel wyglądała tak, jakby była gdzieś bardzo daleko.

Za daleko.

– Czy ona o... oddycha?

To spytał Oleg. Stanął tuż za Harrym, jak w dzieciństwie, kiedy był mały, a musieli minąć któregoś z licznych na Holmenkollåsen wielkich psów.

– Tak. – Harry ruchem głowy wskazał błyskające urządzenia.

Usiedli po obu stronach łóżka. Na zieloną podskakującą kresczkę na ekranie zerkali tylko wtedy, gdy im się wydawało, że ten drugi tego nie widzi.

Katrine patrzyła na las rąk.

Konferencja prasowa trwała zaledwie od piętnastu minut i zniecierpliwienie w sali konferencyjnej dawało się już wyraźnie wyczuć. Zastanawiała się, co wywołuje największe wzburzenie: czy to, że w policyjnym polowaniu na Valentina Gjertsena nie wydarzyło się nic nowego, czy też to, że nic nowego nie wydarzyło się w polowaniu Valentina Gjertsena na nowe ofiary. Od ostatniej napaści minęło czterdzieści sześć godzin.

– Obawiam się, że to będzie powtarzanie odpowiedzi na te same pytania – powiedziała – więc jeśli nie ma żadnych nowych pytań...

– A jaka jest pani reakcja na to, że macie teraz do czynienia z trzema, a nie z dwoma zabójstwami?

Pytanie to wykrzyczał jakiś dziennikarz z końca sali.

Katrine zauważyła zaniepokojenie rozchodzące się wśród zebranych niczym kręgi na wodzie. Odwróciła się do Bjørna Holma, który siedział w pierwszym rzędzie, ale w odpowiedzi otrzymała jedynie wzruszenie ramion. Nachyliła się do mikrofonu.

– Możliwe, że ktoś tu posiada informacje, które jeszcze do mnie nie dotarły, więc do tego ewentualnie wrócimy.

Inny głos:

– Przyszła wiadomość ze szpitala. Penelope Rasch nie żyje.

Katrine miała nadzieję, że jej twarz nie ujawnia w pełni zagubienia, które ją ogarnęło. Przecież Penelope Rasch pozostawała poza wszelkim zagrożeniem!

– Kończymy teraz. Wrócimy do państwa, kiedy będziemy wiedzieć więcej. – Pozbierała swoje papiery i szybkim krokiem zeszła z podium, kierując się do bocznych drzwi. – Kiedy będziemy wiedzieć więcej niż wy – mruknęła wściekła pod nosem.

Głośno tupiąc, szła korytarzem. Co się, u diabła, wydarzyło? Czyżby w trakcie leczenia coś poszło nie tak? Miała nadzieję. Liczyła na jakieś medyczne wyjaśnienie. Nieprzewidziane komplikacje, gwałtowne załamanie, może nawet głupi błąd lekarski. Byle nie to drugie. Nie to, że Valentin dotrzymał obietnicy i wrócił.

Przecież to niemożliwe. Umieścili Penelope w pokoju, którego numer ujawniono wyłącznie jej najbliższemu.

Bjørn ją dogonił.

– Rozmawiałem przed chwilą z Ullevål. Mówią, że to było zatrucie, którego wcześniej nie zauważyli, ale i tak nie byłiby w stanie nic z tym zrobić.

– Zatrucie? Od tego ugryzienia? Czy od czegoś w szpitalu?

– Nie wiadomo. Twierdzą, że jutro będą wiedzieć więcej.

Cholerny chaos. Katrine nienawidziła chaosu. I gdzie się podział Harry, do jasnej cholery?

– Uważaj, żebyś tymi obcasami nie przedziurawiła podłogi – rzucił Bjørn cicho.

Harry powiedział Olegowi, że lekarze nie wiedzą. Powiedział mu o niepewnej przyszłości. O sprawach praktycznych, które należy załatwić, chociaż nie było ich wcale tak dużo. Potem zaległa między nimi ciężka cisza.

Harry spojrział na zegarek. Siódma.

– Powinieneś wracać do domu – powiedział. – Zjeść coś i położyć się spać. Jutro masz zajęcia w szkole.

– Pójdę tylko wtedy, jeśli będę wiedział, że ty tu jesteś – odparł Oleg. – Nie możemy zostawić jej samej.

– Będę tu siedział, dopóki mnie nie wyrzucą, co może się stać już niedługo.

– Ale do tego czasu zostaniesz? Nie pójdziesz do pracy?

– Do pracy?

– Tak. Teraz już będziesz tutaj, a nie... przy tej sprawie?

– Oczywiście.

– Wiem, co się z tobą dzieje, kiedy zaczynasz pracować przy zabójstwach.

– Wiesz?

– Trochę pamiętam. No i mama opowiadała.

Harry westchnął.

– Teraz zostanę tutaj. Obiecuję ci. Słowo honoru. Beze mnie świat będzie się dalej kręcił, ale... – urwał, dalszy ciąg zdania zawisł między nimi w powietrzu. „Ale bez niej nie” – Odetchnął. – Jak się czujesz?

Oleg wzruszył ramionami.

– Boję się. I czuję ból.

– Wiem. Idź już i wróć jutro po szkole. Będę tu od rana.

– Harry?

– Tak?

– Jutro będzie lepiej?

W żyłach piwnookiego chłopaka nie płynęła ani jedna kropla krwi Harry'ego, a mimo to Harry, patrząc na niego, miał wrażenie, jakby przeglądał się w lustrze.

– A ty jak myślisz?

Oleg pokręcił głową, Harry widział, że chłopak nie potrafi powstrzymać łez.

– No cóż – powiedział Harry. – Ja też siedziałem, tak jak ty teraz, przy swojej matce, kiedy chorowała. Całymi godzinami, całymi dniami. Byłem ledwie chłopaczkiem i to mnie zżerało od środka.

Oleg wytarł oczy wierzchem dłoni, pociągnął nosem.

– Żałujesz tego?

Harry pokręcił głową.

– Właśnie to jest takie dziwne. Mało rozmawialiśmy, bo ona była za słaba. Leżała tylko, uśmiechając się blado, i po trochu znikąca, jak kolory na zdjęciu, które leży w słońcu. To moje najgorsze, a zarazem najlepsze wspomnienie z dzieciństwa. Rozumiesz?

Oleg z namysłem skinął głową.

– Chyba tak.

Uściskali się na pożegnanie.

– Tato... – szepnął Oleg i Harry poczuł gorącą łzę na szyi.

On sam nie potrafił płakać. Nie chciał. Czterdzieści pięć procent, czterdzieści pięć dobrych procent.

– Jestem tu, synku – odparł. Mocnym głosem. Ze skamieniałym sercem. Czuł się silny. Da radę.

19 PONIEDZIAŁEK, WIECZÓR

Mona Daa włożyła adidas, a mimo to jej kroki niosły się echem wśród kontenerów. Zaparkowała swój elektryczny samochodzik przy bramie i ruszyła bez zastanowienia prosto w ciemny, bezludny obszar składowania kontenerów, będący właściwie cmentarzem dawnej aktywnej działalności portowej. Rzędy kontenerów były nagrobkami martwych i zapomnianych przesyłek, skierowanych do odbiorców, którzy zbankrutowali lub nie chcieli przyznać się do zamówień, od nadawców, którzy już nie istnieli i nie mogli przyjąć zwrotów. Teraz przesyłki te odpoczywały w wiecznym tranzyście tu, przy Ormøya, ostro kontrastując z odnawianą i upiększaną zatoką Bjørvika w głębi, gdzie wznoszono jeden wspaniały budynek za drugim, z przypominającą górę lodową Operą niczym perłą w koronie, która zdaniem Mony miała się stać pomnikiem epoki ropy, Tadz Mahal socjaldemokracji.

Żeby trafić, Mona skorzystała z zabranej z domu latarki. Liczby i litery namalowane na asfalcie wskazywały drogę. Ubrała się w czarne legginsy i czarną bluzę od dresu. W jednej kieszeni miała gaz pieprzowy i kłódkę, w drugiej pistolet, walter dziewięć milimetrów. Bez pytania pożyczyła go kiedyś od ojca, który po studiach medycznych przez rok służył jako sanitariusz i po skończonej służbie nie oddał broni.

Pod cienką wełnianą koszulką i pod paskiem pulsometru jej serce biło coraz szybciej.

Sektor H 23 znajdował się między dwoma rzędami kontenerów ustawionych po trzy jedno na drugim.

Rzeczywiście stała tam klatka.

Jej rozmiary świadczyły o tym, że musiała służyć do przewozu wielkiego zwierzęcia. Może słoń, a może żyrafa czy hipopotam. Cały jeden krótszy bok klatki był podnoszony, lecz zamknięto go na ogromną kłódkę, brązową od rdzy. Ale na środku jednego z dłuższych boków znajdowały się mniejsze niezamknięte drzwi – Mona domyślała się, że były przeznaczone dla tych, którzy mieli karmić zwierzę i sprzątać klatkę.

Zazgrzytały zawiasy, kiedy chwyciła za pręt i pociągnęła drzwi. Rozejrzała się ostatni raz. On prawdopodobnie już tu czekał, ukrywał się gdzieś w cieniu albo za którymś z kontenerów i sprawdzał, czy przyszła sama, tak jak się umówili.

Nie było już jednak miejsca na wątpliwości i wahanie, zrobiła więc to samo, co robiła, kiedy miała dźwigać wielki ciężar podczas zawodów – powiedziała sobie, że decyzja już zapadła, że to proste, że czas na myślenie ma za sobą, a teraz pozostał jej tylko czas na działanie. Weszła do środka, wyjęła z kieszeni przyniesioną kłódkę, zaczepiła ją o drzwi i o boczny pręt. Zamknęła, a klucz schowała do kieszeni.

Klatka cuchnęła moczem, nie wiadomo, czy ludzkim, czy zwierzęcym. Mona zajęła miejsce na środku.

On mógł nadejść z prawa lub z lewa, zbliżyć się do któregoś z krótszych boków. Podniosła wzrok. Mógł też wspiąć się na kontenery ustawione jedne na drugich i mówić do niej z góry. Włączyła dyktafon w telefonie i położyła aparat na cuchnącej metalowej podłodze. Potem podciągnęła lewy rękaw bluzy i spojrzała na zegarek. Dziewiętnasta pięćdziesiąt dziewięć. Podciągnęła prawy rękaw. Pulsometr wskazywał sto dwadzieścia osiem.

– Cześć, Katrine, to ja.

– Dobrze, że dzwonisz, Harry, próbowałam cię złapać. Nie dostałeś moich wiadomości? Gdzie jesteś?

– W domu.

– Penelope Rasch nie żyje.

– Komplikacje. Czytałem na stronie „VG”

– I?

– Miałem inne zmartwienia.

– Tak? Na przykład jakie?

– Rakel jest w Ullevål.

– Ojej. Coś poważnego?

– Tak.

– Boże, Harry. Naprawdę tak poważnego...

– Nie wiemy. Ale nie mogę dłużej uczestniczyć w śledztwie. Będę do odwołania siedział w szpitalu.

Pauza.

– Katrine?

– Słucham? Tak, oczywiście. Przepraszam, trochę za dużo naraz. Oczywiście, rozumiem i bardzo ci współczuję. O Boże, Harry, masz z kim porozmawiać? Chcesz, żebym przyjechała...?

– Dzięki, Katrine, ale masz co robić. Rozwiązuję swoją grupę, więc będziesz musiała grać dalej tylko swoimi kartami. Wykorzystaj Smitha. On ma co prawda jeszcze mniej wyczucia towarzyskiego niż ja, ale się nie boi i ma odwagę myśleć

inaczej niż wszyscy, poza wyznaczonym torem. Anders Wyller też jest interesujący. Daj mu trochę więcej odpowiedzialności już teraz. Zobaczysz, czy się sprawdzi.

- Sama o tym myślałam. Dzwon, jak będziesz czegoś potrzebował. Czegokolwiek.
- Jasne.

Rozłączyli się. Harry wstał. Kiedy podchodził do ekspresu do kawy, usłyszał, że szura nogami. Wcześniej nie szurał, nigdy. Stał z dzbankiem w ręku i rozejrzał się po pustej kuchni, zapomniał, gdzie odstawił filiżankę. Znow wsunął dzbanek do ekspresu, usiadł przy stole i wybrał numer Mikaela Bellmana. Poczta głosowa. Wszystko jedno, i tak miał niewiele do powiedzenia.

- Tu Hole. Żona zachorowała, więc rezygnuję. To ostateczna decyzja.

Dalej siedział, wyglądając przez okno na światła miasta.

Myślał o ważącym tonę bawole, w którego gardło wczepił się lew samotnik. Bawół krwawił z zadanych ran, ale krwi miał w sobie dość i gdyby tylko udało mu się strząsnąć lwa, mógłby bez problemu rozdeptać drapieżnika i wziąć go na rogi. Czas płynął jednak szybko. Tchawica była zaciśnięta, a bawół potrzebował powietrza. Poza tym nadciągało więcej lwów. Stado zwietrzyło krew.

Harry widział światła, ale nigdy nie wydawały mu się tak odległe jak teraz.

Pierścionek zaręczynowy. Valentin dał jej pierścionek i wrócił. Tak jak Narzeczony. Jasna cholera. Odpędził to od siebie. Najwyższy czas wyłączyć głowę. Zgasić, zamknąć i iść do domu.

Właśnie tak.

Była dwudziesta czternaście, kiedy Mona usłyszała jakiś dźwięk. Dochodził z ciemności, która w czasie, gdy ona stała w klatce, gęstniała stopniowo coraz bardziej. Mona dostrzegła ruch. Coś się zbliżało. Wcześniej powtórzyła w myślach kilka uprzednio przygotowanych pytań, zastanawiając się jednocześnie, czego bardziej się boi: tego, że on przyjdzie, czy że nie przyjdzie. Ale teraz nie miała wątpliwości. Czuła serce w gardle, więc zacisnęła dłoń na pistolecie w kieszeni. W piwnicy u rodziców urządziła sobie kiedyś próbne strzelanie i z odległości sześciu metrów trafiła w cel – w zapleśniały płaszcz od deszczu, który wisiał na kołku wbitym w ceglana ścianę.

To coś wyłoniło się z ciemności i weszło w krąg światła, rzucony przez silną latarnię frachtowca, który cumował przy betonowych silosach kilkaset metrów dalej.

Pies.

Podszedł do klatki i spojrzął na Monę.

Wyglądał na bezpańskiego, w każdym razie nie miał obroży i był na tyle

wychudzony i parszywy, że trudno było sobie wyobrazić, by miał dom gdzie indziej niż tutaj. W dzieciństwie Mona, mająca alergię na koty, miała nadzieję, że któregoś dnia właśnie taki pies pójdzie za nią do domu i już nigdy jej nie opuści.

Napotkała krótkowidzące psie oczy i wydało jej się, że wyczuwa jego myśli. *Człowiek w klatce*. W głowie usłyszała jego śmiech.

Pies chwilę jej się poprzyglądał, po czym ustawił się równolegle do klatki, uniósł tylną łapę i zaraz strumień moczu trysnął na kratę, przelewając się na podłogę w środku. Pies podreptał dalej i zniknął w ciemności.

Nie nastawiając uszu ani nie węsząc.

Wtedy do Mony dotarła prawda.

Nikt nie przyjdzie.

Spojrzała na pulsometr. Sto dziewiętnaście. Wartość ta spadała.

Jego tutaj nie było. Więc gdzie mógł być?

Harry zauważył coś w ciemności.

Na środku podwórza, poza światłem padającym z okien i latarni przy schodach, dostrzegł zarys postaci, która stała z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, nieruchomo, wpatrzona w kuchenne okno i w Harry'ego.

Opuścił głowę i znów zajrzał do filiżanki, jakby nikogo na zewnątrz nie dostrzegł. Jego służbowy pistolet leżał na piętrze.

Czy powinien po niego pójść?

Ale z drugiej strony, jeśli to naprawdę zwierzyzna zbliżała się do myśliwego, to nie miał ochoty jej spłoszyć.

Wstał, przeciągnął się ze świadomością, że w jasno oświetlonej kuchni jest dobrze widoczny. Przeszedł do salonu, którego okna również wychodziły na podwórze, sięgnął po książkę, po czym zrobił dwa szybkie kroki w stronę drzwi wejściowych, chwycił ogrodowe nożyce, które Rakel położyła przy swoich kaloszach, szarpnięciem otworzył drzwi i zbiegł ze schodów.

Postać ciągle się nie poruszała.

Harry stanął.

Zmrużył oczy.

– Aurora?

Harry krzątał się po kuchni.

– Kardamon, cynamon, rumianek. Rakel ma dużo takich herbatek, a ja piję głównie kawę, więc nie bardzo wiem, co ci polecić.

– Może być cynamon – odparła Aurora.

– Proszę. – Harry podał jej pudełko.

Wyjęła torebkę, a Harry obserwował, jak ją moczy w filiżance pełnej wrzątku.

– Uciekłaś dzisiaj z Budynku Policji – powiedział.

– Tak – potwierdziła tylko i owinęła torebkę na łyżeczce.

– I z przystanku autobusowego.

Tym razem w ogóle nie odpowiedziała. Włosy znów opadły jej na twarz.

Harry usiadł, wypił łyk kawy. Postanowił, że da jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała. Nie wypełniał milczenia słowami domagającymi się reakcji.

– Nie widziałam, że to ty – odezwała się wreszcie. – To znaczy w końcu zobaczyłam, ale wcześniej zdążyłam się przestraszyć, a często trochę trwa, zanim mózg przekona ciało, że nic złego się nie dzieje. A w tym czasie ciało zdążyło już odbiec spory kawałek.

– Mhm. Boisz się czegoś?

Kiwnęła głową.

– Chodzi o tatę.

Harry cały się spiął. Nie chciał posuwać się dalej, nie chciał w to wchodzić. Ale musiał.

– A co tata zrobił?

Do oczu Aurory napłynęły łzy.

– On mnie zgwałcił i powiedział, że nigdy nie wolno mi nikomu o tym powiedzieć, bo on wtedy umrze...

Mdłości pojawiły się tak nagle, że Harry'emu na moment zaparło dech, kiedy kwas zapiekł w przełyku.

– Tata powiedział, że umrze?

– Nie! – Nagły, pełen złości okrzyk dziewczyny odbił się krótkim echem od ścian kuchni. – Ten człowiek, który mnie zgwałcił, powiedział, że zabije tatę, jeśli kiedykolwiek pisnę komuś słówko. Mówił, że raz prawie mu się to udało, a następnym razem już nikt go nie powstrzyma.

Harry zamrugał. Usiłował przetrwać ostrą mieszankę ulgi i szoku.

– Zostałaś zgwałcona? – spytał z wymuszonym spokojem.

Kiwnęła głową, pociągnęła nosem i wytarła oczy.

– W damskiej toalecie podczas zawodów w piłce ręcznej. To było tego samego dnia, kiedy ty i Rakel braliście ślub. On to zrobił i poszedł.

Harry poczuł się tak, jakby spadał z wysoka.

– Mogę to gdzieś wyrzucić? – Aurora trzymała kapiącą torebkę nad filiżanką.

Harry podsunął jej własną dłoń.

Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie, po czym upuściła torebkę. Harry

zacisnął dłoń, poczuł wrzątek parzący skórę, spływający między palcami.

– Zrobił ci coś jeszcze?

Pokręciła głową.

– Tylko mnie przytrzymał tak, że miałam siniaki. Mamie powiedziałam, że oberwałam podczas meczu.

– To znaczy, że utrzymywałaś to w tajemnicy aż do tej pory?

Potwierdziła.

Harry czuł, że całym sobą chce wstać, obejść stół i objąć Aurorę, ale zdążył sobie przypomnieć to, co Smith mówił o bliskości i intymności.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie teraz?

– Bo on zabija innych ludzi. Widziałam rysunek w gazecie. To on, ten człowiek z dziwnymi oczami. Musisz mi pomóc, wujku Harry. Musisz razem ze mną pilnować taty.

Harry kiwał głową, oddychając przez usta.

Aurora przechyliła głowę, minę miała zatroskaną.

– Wujku Harry?

– Tak?

– Ty płaczesz?

Harry w kąciку ust poczuł słony smak pierwszej łzy. Niech to szlag.

– Przepraszam – wymamrotał niewyraźnym głosem. – Jak ci smakuje herbata?

Kiedy podniósł głowę, napotkał jej spojrzenie. Odmieniło się całkowicie. Jakby ktoś je otworzył. Jakby pierwszy raz od dawna patrzyła swoimi pięknymi oczami na zewnątrz, a nie do środka, w przeciwieństwie do wszystkich ostatnich spotkań.

Aurora wstała, potrącając filiżankę, obeszła stół. Nachyliła się nad Harrym i mocno go objęła.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Będzie dobrze.

Marte Ruud podeszła do gościa, który właśnie stanął w drzwiach pustego Schrødera.

– Przykro mi, ale podawanie piwa zakończyliśmy już pół godziny temu, a za dziesięć minut w ogóle zamykamy.

– Poproszę o kawę – powiedział i uśmiechnął się. – Wypiję szybko.

Marte wróciła do kuchni. Kucharz poszedł do domu już ponad godzinę temu, tak samo jak Nina. W późne poniedziałkowe wieczory w pracy zostawała zwykle tylko jedna kelnerka i chociaż było spokojnie, Marte czuła pewne napięcie, ponieważ tego wieczoru po raz pierwszy była w pracy sama. Nina miała jeszcze przyjść po zamknięciu i pomóc jej rozliczyć kasę.

Zagotowanie w elektrycznym czajniku wody na jedną filiżankę zajęło kilka sekund. Marte wsypała do niej kawę rozpuszczalną, wróciła na salę i postawiła filiżankę przed mężczyzną.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwał się gość, wpatrzony w parującą kawę. – Skoro jesteście tu sami.

– Tak – powiedziała Marte, chociaż tak naprawdę miała ochotę odpowiedzieć „nie”. Chciała tylko, żeby ten człowiek wypił swoją kawę, wyszedł i pozwolił jej zamknąć drzwi, tak aby mogła poczekać na Ninę, a potem wrócić do domu. Jutro pierwszy wykład zaczynał się już piętnaście po ósmej.

– Czy to nie tutaj przychodzi ten słynny śledczy od zabójstw, Harry Hole?

Marte kiwnęła głową. Prawdę mówiąc, o tym policjancie usłyszała, dopiero kiedy się pojawił. Wysoki mężczyzna z brzydkimi bliznami na twarzy. Nina opowiedziała jej wtedy drobiazgowo o tym Harrym Hole.

– Gdzie zwykle siada?

– Podobno tam. – Marte wskazała stolik w kącie przy oknie. – Ale zdaje się, że nie przychodzi tu już tak często jak kiedyś.

– No tak, skoro ma zakuć w kajdanki tego „nieszczęsnego zbrojeńca”, jak mówi, to pewnie nie ma czasu, żeby tu przesiadywać. Ale to wciąż jest jego miejsce, rozumiesz?

Marte z uśmiechem kiwnęła głową, chociaż wcale nie była pewna, czy rozumie.

– Jak ci na imię?

Zawahała się. Nie wiedziała, czy podoba jej się kierunek, jaki obiera ta rozmowa.

– Zamykamy za sześć minut, więc jeśli chce pan zdążyć wypić całą kawę, to powinien pan...

– Wiesz, dlaczego masz piegi, Marte?

Zamarła. Skąd znał jej imię?

– Widzisz, kiedy byłaś mała i nie miałaś piegów, pewnej nocy się przebudziłaś. Przyśnił ci się *kabus*, koszmar. Ciągle się bałaś, więc pobiegłaś do sypialni swojej matki, żeby ci powiedziała, że duchów i potworów nie ma. Ale na piersi twojej matki siedział skulony nagi granatowoczarny mężczyzna, miał długie szpiczaste uszy, a z kącików ust płynęła mu krew. Stałaś i gapiłaś się na niego, a on wtedy wydał policzki i zanim zdążyłaś odskoczyć, prychnął całą krwią, którą trzymał w ustach, i na twoją twarz i pierś spadł prysznic maleńkich kropelek. Ta krew, Marte, nie chciała się zmyć, bez względu na to, jak mocno się szorowałaś. – Mężczyzna podmuchał na kawę. – To jest odpowiedź na pytanie, skąd wzięły się twoje piegi. Ale pytanie brzmiało „dlaczego”. A ta odpowiedź jest równie prosta, co niesatysfakcjonująca, Marte. Ponieważ znalazłaś się w niewłaściwym miejscu

o niewłaściwym czasie. Świat po prostu nie jest zbyt sprawiedliwy. – Podniósł filiżankę do ust, szeroko je otworzył i wlał w nie wciąż parujący czarny płyn. Marte jęknęła – z przerażenia, z braku powietrza, ze strachu, że stanie się coś, czego jeszcze nie umiała przewidzieć. Nie zdążyła nawet zobaczyć kawy tryskającej z jego ust, zanim gorący płyn nie obryzgał jej twarzy.

Oślepiąca, odwróciła się, poślizgnęła na kawie, kolanem uderzyła o podłogę, ale się podniosła i pobięła do drzwi. Przewróciła za sobą krzesło, żeby go opóźnić, jednocześnie mruganiem usiłując pozbyć się kawy z oczu. Chwyliła za klamkę i pociągnęła drzwi do siebie. Zamknięte. Zamknął na zamek zatrzaskowy. Usłyszała za sobą skrzypiące kroki w momencie, gdy zaciskała kciuk i palec wskazujący na blokadzie zamka. Nie zdążyła jednak zrobić nic więcej, gdy poczuła, że chwycił ją za pasek i pociągnął do tyłu. Upadła na czworaki. Próbowwała krzyczeć, ale z jej gardła wydobywały się tylko ściszone piski. Kroki. Stanął przed nią. Ale ona dalej klęczała, nie chciała podnieść głowy, nie chciała na niego patrzeć. W dzieciństwie nigdy nie śniły jej się koszmary o żadnym granatowoczarnym człowieku, tylko o mężczyźnie z głową psa. I wiedziała, że gdyby teraz podniosła wzrok, właśnie jego by zobaczyła. Dlatego patrzyła w dół. Na szpiczaste czubki kowbojek.

20 NOC Z PONIEDZIAŁKU NA WTOREK

– Tak?

– Harry?

– Tak.

– Nie byłam pewna, czy to twój numer. Mówi Nina. Ze Schrødera. Wiem, że jest w pół do drugiej, i przepraszam, że cię obudziłam.

– Nie spałam, Nina.

– Dzwoniłam na policję, ale oni... byli tutaj, ale poszli.

– Spokojnie, Nina, co się stało?

– Chodzi o Marte, tę nową dziewczynę, którą miałeś okazję poznać, kiedy byłeś ostatnio.

Harry pomyślał o zakasanych rękawach koszuli i nieco nerwowej gotowości do świadczenia usług.

– Tak?

– Zniknęła. Przyszłam tuż przed północą, żeby pomóc jej rozliczyć kasę, ale nikogo nie zastałam. Drzwi były niezamknięte. Marte to porządna dziewczyna,

umówiliśmy się. Wiem, że nie wyszła stąd ot tak, nie zamykając lokalu. Nie odbiera telefonu, a jej chłopak mówi, że nie wróciła do domu. Policja sprawdziła na pogotowiu i w szpitalach, bez skutku. No i ta policjantka powiedziała, że takie rzeczy dzieją się cały czas, ludzie w dziwny sposób znikają i pojawiają się kilka godzin później z dobrym wytłumaczeniem na swoje zniknięcie. Kazała mi zadzwonić jeszcze raz, jeśli Marte się nie pojawi w ciągu dwunastu godzin.

– Mhm. To prawda, co mówią, Nina. Taka jest procedura.

– No tak, ale... halo?

– Jestem, jestem, Nina.

– Kiedy sprzątałam, bo już miałam zamykać, zauważyłam, że ktoś coś napisał na obrusie. Wygląda na to, że szminką. W kolorze, jakiego używa Marte.

– Rozumiem. Co tam jest napisane?

– Nic.

– Nic?

– No... nic. Tylko jakby odhaczone. Takie duże „V”. Na twoim stoliku.

Trzecia w nocy.

W jego piersi wezbrał krzyk, wyrwał się z ust Harry’ego, echem odbił się od gołych ścian piwnicy. Harry wpatrywał się w metalowy pręt, który groził, że spadnie i go zmiażdży, podtrzymywany przez drżące ramiona, z trudem ratujące mu życie. W końcu ostatnim wysiłkiem woli zdołał wypchnąć kilogramy do góry, ciężarki zadzwoniły o siebie, kiedy mocno opuszczał sztangę na statyw. Dalej leżał na ławce, z wysiłkiem łapiąc oddech.

Zamknął oczy. Przyrzekł Olegowi, że będzie przy Rakel. Ale musiał wyjść. Musiał go złapać. Dla Marte. Dla Aurory.

Nie.

Było już za późno. Za późno dla Aurory. Za późno dla Marte. Musiał więc zrobić to dla tych, które jeszcze nie stały się ofiarami. Które ciągle można było ocalić przed Valentinem.

Bo to dla nich, prawda?

Chwytał sztangę, poczuł metal wbijający się w odciski.

Coś, do czego możesz się przydać.

Tak mówił jego dziadek, twierdził, że człowiekowi potrzeba jedynie czegoś, do czego może się przydać. Kiedy babcia rodziła ojca Harry’ego, straciła tyle krwi, że położna wezwała lekarza. Dziadek, któremu powiedziano, że nie może zrobić nic, aby jej pomóc, nie miał siły słuchać jej krzyków, więc wyszedł z domu, zaprzęgnął konia do pługa i orał pole. Poganiał konia batem i krzykiem, zagłuszającym te

krzyki, które dochodziły z domu. I sam popychał pług, kiedy wierny, stary Blakken zaczął się trząść w uprzęży. Gdy krzyki ucichły, doktor wyszedł i powiedział, że i matka, i dziecko przeżyją, dziadek padł na kolana, ucałował ziemię i podziękował temu Bogu, w którego nie wierzył.

Tej samej nocy Blakken padł martwy w swoim boksie.

Teraz w łóżku leżała Rakel. Milcząca. A on musiał podjąć decyzję.

Coś, do czego możesz się przydać.

Zdjął sztangę ze statywu i opuścił na pierś. Wziął głęboki oddech. Napiął mięśnie. I wydał z siebie ryk.

CZEŚĆ II

21 WTOREK, RANO

Była godzina siódma trzydzieści. W powietrzu wisiał delikatny deszcz, gdy Mehmet, który chciał przejść przez ulicę, zauważył stojącego przed Jealousy mężczyznę. Człowiek ten ułożył dłonie na kształt lornetki i nachylał się nad szybą, żeby zajrzeć do środka. Mehmet najpierw pomyślał, że to Danial Banks stawiał się o tak wczesnej porze, aby upomnieć się o kolejną ratę, ale kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że mężczyzna jest wyższy od Daniala, a poza tym ma jasne włosy. Doszedł do wniosku, że to jakiś dawny klient-alkoholik wrócił z nadzieją, że knajpę ciągle otwierają o siódmej rano.

Ale kiedy mężczyzna odwrócił się w stronę ulicy i zaciągnął dymem z trzymanego w ustach papierosa, Mehmet zobaczył, że to ten policjant. Harry.

– Dzień dobry – powiedział Mehmet, wyjmując klucze. – Spragniony?

– To również. Ale przychodzę z propozycją.

– Z jaką propozycją?

– Z rodzaju tych do odrzucenia.

– No to jestem zainteresowany. – Mehmet wpuścił policjanta, sam wszedł i zamknął drzwi na klucz. Zapalił światło za barem.

– To w zasadzie fajny bar – stwierdził Harry, opierając się łokciami o kontuar i wciągając powietrze.

– Masz ochotę go odkupić? – spytał Mehmet cierpko i wlał wodę do *cezve*, specjalnego tureckiego tygielka do zaparzania kawy.

– Owszem – odparł Harry.

Mehmet się roześmiał.

– Wobec tego słucham propozycji.

– Czterysta trzydzieści pięć tysięcy.

Mehmet zmarszczył czoło.

– Skąd wzięłeś tę sumę?

- Od Daniała Banksa. Miałem z nim spotkanie dziś rano.
- Rano? Przecież jest dopiero...
- Wczesnie wstałem. On też. To znaczy musiałem go obudzić i wyciągnąć z łóżka. Mehmet popatrzył w przekrwione oczy policjanta.
- W przerośni – dodał Harry. – Wiem, gdzie mieszka. Zadzwoiłem do drzwi i jemu też złożyłem propozycję.
- Jaką?
- Tego innego rodzaju. Z tych nie do odrzucenia.
- To znaczy?
- Wykupiłem dług ciążący na Jealousy w zamian za to, że nie naślę na niego policji z gospodarczego z zarzutami z paragrafu dwieście dziewięćdziesiąt pięć, czyli lichwy.

– Żartujesz sobie?

Harry wzruszył ramionami.

- Możliwe, że przesadzam, zapewne mógł odrzucić moją propozycję. Poinformował mnie mianowicie, że niestety paragraf dwieście dziewięćdziesiąt pięć został parę lat temu usunięty. Co się stanie ze światem, jeśli przestępcy lepiej znają się na prawie niż policjanci? Tak czy owak, uznał chyba, że ta umowa pożyczki zawarta z tobą nie jest warta zwracania głowy, jakie mu obiecałem również w innych dziedzinach. Dlatego ten dokument – policjant położył na kontuarze odręcznie zapisaną kartkę – potwierdza, że Daniał Banks został spłacony, a ja, Harry Hole, jestem dumnym właścicielem opiewającego na czterysta trzydzieści pięć tysięcy koron roszczenia wobec Mehmeta Kalaka pod zastaw wyposażenia baru Jealousy i umowy najmu.

Mehmet przeczytał tych kilka linijek i pokręcił głową.

- Jasna cholera. I ty miałeś te prawie pół miliona, które dałeś Banksowi do ręki?
- Swego czasu pracowałem jako egzekutor długów. W Hongkongu. To było... intratne zajęcie. Uskładałem pewien kapitał. Banks dostał czek i wyciąg z konta.

Mehmet się roześmiał.

- Więc teraz to ty będziesz się domagał krwawych odsetek, Harry?
- Nie, jeśli zgodzisz się na moją propozycję.
- Mianowicie?
- Że zamienimy ten dług na wkład własny.
- Chcesz przejąć bar?
- Chcę się wkupić. Zostaniemy wspólnikami. Przy czym zachowasz prawo do spłacenia mnie, kiedy zechcesz.
- A co w zamian?

– Będziesz chodził do łaźni tureckiej, a w tym czasie mój kumpel zajmie się barem.

– Co?

– Będziesz się pocił w hamamie Cagaloglu, aż skóra ci się pomarszczy jak rodzynka. W oczekiwaniu na pojawienie się Valentina Gjertsena.

– Ja? Dlaczego właśnie ja?

– Ponieważ z tego, co mi się wydaje, po śmierci Penelope Rasch ty i pewna piętnastoletnia dziewczynka jesteście jedynymi żywymi osobami, które wiedzą, jak w tej chwili wygląda Valentin Gjertsen.

– Ja wiem?

– Rozpoznasz go.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo czytałem raport. Powiedziałeś, cytuję: „Nie przyglądałem mu się na tyle długo i dokładnie, żebym mógł go opisać”

– No właśnie.

– Miałem koleżankę. Umiała rozpoznać każdą twarz, którą kiedykolwiek w życiu zobaczyła. Tłumaczyła mi, że zdolność do rozróżnienia miliona twarzy tkwi w pewnym miejscu w mózgu – *gyrus fusiformis* – i że bez tej zdolności nie zdołalibyśmy przeżyć jako gatunek. Potrafisz opisać ostatniego gościa, który był tu wczoraj?

– Eee... nie.

– A mimo to w ułamku sekundy rozpoznałbyś tę osobę, gdyby tu teraz weszła.

– Prawdopodobnie.

– Właśnie na to stawiam.

– Stawiasz na to własne czterysta trzydzieści pięć tysięcy koron? A jeśli go nie rozpoznam?

Harry wysunął dolną wargę.

– To przynajmniej będę miał bar.

O godzinie siódmej czterdzieści pięć Mona Daa pchnęła drzwi do redakcji „VG” i wpadła do środka. Miała za sobą kiepską noc. Chociaż prosto z portu kontenerowego pojechała do Gain i trenowała tak ostro, że bolały ją wszystkie mięśnie, ledwie zdołała zmrużyć oko. W końcu zdecydowała się poruszyć tę sprawę z naczelnym, bez wdawania się w szczegóły. Spyta go, czy źródło ma prawo do ochrony, jeśli kompletnie wystawi dziennikarza. Innymi słowy: czy mogła z tym teraz iść na policję. A może jednak mądrzej będzie poczekać i sprawdzić, czy on ponownie nie nawiąże kontaktu. Przecież mimo wszystko mógł nie przyjść

z jakiegoś konkretnego powodu.

– Wyglądasz na nieźle zmęczoną, Daa! – zawołał szef działu. – Balowałeś wczoraj?

– *I wish* – odpowiedziała Mona cicho, rzucając torbę ze strojem sportowym na podłogę przy biurku. Włączyła komputer.

– Zabawa z rodzaju tych bardziej eksperymentalnych, mam rację?

– *I wish* – powtórzyła Mona tym razem głośno. Podniosła głowę i zobaczyła kilka twarzy wychylających się zza komputerów w otwartej przestrzeni biurowej. Radośnie podnieconych i zaciekawionych. – Co jest?!

– Tylko striptiz czy również seks ze zwierzętami? – rozległ się ściszony głos, którego nie zidentyfikowała, ale zaraz dwie dziewczyny wybuchnęły niekontrolowanym śmiechem.

– Sprawdź swoje maile – powiedział szef działu. – Adresy kilkorga z nas też były doklejone.

Monę oblał zimny pot. Ogarnęło ją paskudne przecucie, gdy bardziej waliła, niż stukwała w klawiaturę.

Nadawcą był wydziałzabojstw@oslopol.no.

Żadnego tekstu, tylko zdjęcie. Prawdopodobnie zrobione aparatem przystosowanym do fotografowania w słabym świetle, bo przecież nie zauważyła błysku flesza. I może z użyciem teleobiektywu. Na pierwszym planie był pies sikający na klatkę, a w klatce ona sama. Spięta, ze wzrokiem dzikiego zwierzęcia.

Ktoś ją oszukał. Nie dzwonił do niej żaden wampirysta.

* * *

O ósmej piętnaście Smith, Wyller, Holm i Harry zebrali się w Kotłowni.

– Mamy zgłoszone zaginięcie, za którym może stać wampirysta – oznajmił Harry.

– Marte Ruud, dwadzieścia cztery lata. Zniknęła wczoraj przed północą z restauracji U Schrødera. Katrine właśnie informuje o tym swoją grupę.

– Technicy są na miejscu – powiedział Bjørn Holm. – Na razie żadnych śladów oprócz tego, o czym mówiłeś.

– To znaczy czego? – spytał Wyller.

– „V” wypisane szminką na obrusie. Kąt między kreskami jest taki sam jak na drzwiach Ewy Dolmen. – Bjørnowi przerwały dźwięki gitary hawajskiej, w których Harry rozpoznał Dona Helmsa i początek *Your Cheatin' Heart* Hanka Williamsa.

– O rany, czyżbyśmy mieli zasięg? – Bjørn wyjął z kieszeni telefon. – Słucham, tu Holm. Co? Nie słyszę. Zaczekaj.

Zniknął w drzwiach do Kanału.

– Wygląda na to, że w tym porwaniu chodzi o mnie – stwierdził Harry. – To moja restauracja, mój stały stolik.

– Niedobrze. – Smith pokręcił głową. – On stracił panowanie nad sobą.

– A to niedobrze, że je stracił? – spytał Wyller. – Czy to nie oznacza, że zacznie być nieostrożny?

– W tym zakresie może to być dobra wiadomość – przyznał Smith. – Ale teraz, gdy tak się uzależnił od poczucia władzy i kontroli, nie pozwoli, żeby ktokolwiek mu je odebrał. Jemu rzeczywiście chodzi o ciebie, Harry. Wiecie, jaki może być tego powód?

– Artykuł w „VG” – podsunął Wyller.

– Nazywasz go w nim „nieszczęsnym zboczeńcem, którego...” Co tam było dokładnie?

– ...zakujesz w kajdanki? – podpowiedział Wyller.

– A nazywając go nieszczęsnym, upokarzasz go, grozisz, że odbierzesz mu kontrolę i władzę.

– To Isabelle Skøyen go tak nazwała, nie ja. Ale to ma w tej chwili mniejsze znaczenie. – Harry potarł kark. – Smith, sądzisz, że on chce wykorzystać tę dziewczynę, żeby dopaść mnie?

Smith pokręcił głową.

– Ona nie żyje.

– Skąd ta pewność?

– On nie chce żadnej konfrontacji, chce jedynie pokazać tobie i wszystkim innym, kto ma władzę. Na przykład że może przyjść do jakiegoś twojego miejsca i zabrać kogoś z twoich bliskich.

Harry gwałtownie przestał pocierać kark.

– Z moich bliskich?

Smith nie odpowiedział.

Do Kotłowni wpadł z powrotem Bjørn Holm.

– Dzwonili z Ullevål. Tuż przed śmiercią Penelope Rasch do recepcji zgłosił się mężczyzna. Wylegitymował się jako jeden z tych, których podała jako bliskich. Roar Vik, eksnarzeczony.

– Ten, który kupił pierścionełk zaręczynowy skradziony później przez Valentina z mieszkania – uzupełnił Harry.

– Skontaktowali się z nim, żeby spytać, czy niczego dziwnego u niej nie zauważył – ciągnął Bjørn. – Ale Roar Vik twierdzi, że nie był w szpitalu.

W Kotłowni zapadła cisza.

– Nie narzeczony... – odezwał się w końcu Smith. – Wobec tego...

Zapiszczały kółka krzesła Harry'ego, które już było puste i z rozpędu toczyło się w stronę ściany.

Sam Harry stał w drzwiach.

– Wyller, chodź!

Harry biegł.

Korytarz szpitalny zdawał się rozciągać i rosnać, wydłużać szybciej, niż on biegł, niczym rozszerzający się wszechświat, którego dogonić nie mogło światło, ba, nawet myśl.

Ledwie uniknął zderzenia z mężczyzną, który wyłonił się z jakichś drzwi, przytrzymując ręką stojak z kroplówką.

Kogoś z twoich bliskich.

Valentin skrzywdził Aurorę, ponieważ była córką Stałego Aune.

Marte Ruud, ponieważ pracowała w ulubionej knajpie Harry'ego.

Penelope Rasch, żeby pokazać im, że może to zrobić.

Kogoś z twoich bliskich.

Pokój 301.

Harry zacisnął rękę na pistolecie w kieszeni kurtki. Glock 17 przez blisko półtora roku leżał nietknięty, zamknięty w szufladzie na piętrze. Dziś rano go stamtąd zabrał. Nie dlatego, by się spodziewał, że mu się przyda. Ale dlatego, że po raz pierwszy od trzech lat nie miał pewności, że mu się nie przyda.

Pchnął drzwi lewą ręką, jednocześnie wyciągając broń przed siebie.

Pokój był pusty.

Nie było Rakeł. Nie było łóżka.

Podszedł tam, gdzie stało.

– Przykro mi, spóźniłeś się – usłyszał głos za plecami.

Błyskawicznie się obrócił. Doktor Steffens stał w drzwiach, z rękami w kieszeniach białego fartucha. Na widok glocka uniósł brew.

– Gdzie ona jest? – wydyszał Harry.

– Powiem ci, jak to zabierzesz.

Harry opuścił pistolet.

– Na badaniach – odpowiedział Steffens.

– Czy ona... czy wszystko z nią w porządku?

– Stan jest taki jak przedtem. Stabilnie niestabilny. Ale przeżyje do jutra, jeśli o to się martwisz. Z jakiego powodu ten dramatyzm?

– Trzeba jej pilnować.

- Akurat w tej chwili jest pilnowana przez pięć osób z naszego personelu.
- Postawimy uzbrojonego policjanta przed jej drzwiami. Jakieś zastrzeżenia?
- Nie, ale to nie moja działka. Boicie się, że morderca może przyjść tutaj?
- Tak.
- Dlatego że to żona policjanta, który go ściga? Numery pokoi ujawniamy wyłącznie osobom najbliższym.
- To go nie powstrzymało przed podaniem się za narzeczonego i zdobyciem w ten sposób numeru pokoju Penelope Rasch.
- Ach tak.
- Zostanę tu, dopóki nie zjawi się policjant.
- W takim razie może napijesz się kawy?
- Nie potrzebujesz...
- Za to ty potrzebujesz. Zaczekaj moment. W dyżurce mamy fascynująco podłą kawę.

Steffens wyszedł, a Harry rozejrzał się po pokoju. Krzesła, na których poprzedniego dnia siedzieli z Olegiem, stały tak, jak je zostawili, po obu stronach łóżka, którego nie było. Harry usiadł i wbił wzrok w szarą wykładzinę podłogową. Czuł, jak jego puls zwalnia. A mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że tu, w tym pokoju, brakuje powietrza. Przez szczelinę w zasłonach wpadł promień słońca i oświetlił podłogę między krzesłami. Harry dostrzegł na wykładzinie jasny włos. Podniósł go. Czyżby Valentin mimo wszystko przyszedł tu do niej, tylko się spóźnił? Harry przełknął ślinę. Nie było powodów, żeby teraz to dłużej roztrząsać. Rakel była bezpieczna.

Steffens wrócił, podał Harry'emu papierowy kubek, wypił łyk z własnego i usiadł na drugim krześle. Znaleźli się więc naprzeciwko siebie, w odległości dwóch metrów.

- Twój syn był tutaj – odezwał się Steffens.
 - Oleg? Miał przyjść dopiero po szkole.
 - Pytał o ciebie. Wydawał się oburzony, że zostawiłeś jego matkę samą.
- Harry pokiwał głową i napił się kawy.
- Oni w tym wieku często wpadają w złość i wydają moralne sądy – stwierdził Steffens. – Obwiniają ojców o wszystko, co idzie nie tak. Nagle ten, który kiedyś był ich wzorem, reprezentuje wszystko to, czym nie chcą się stać.
 - Mówisz z własnego doświadczenia?
 - Oczywiście. Zawsze tak jest. – Uśmiech Steffensa zgasł równie szybko, jak się pojawił.
 - Mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Oczywiście, proszę, pytaj.
- Czy wychodzisz na plus?
- Słucham?
- Radość z ratowania życia minus rozpacz nad tymi, których straciłeś, a których mogłeś uratować.

Steffens wytrzymał spojrzenie Harry'ego. Może ze względu na sytuację – dwóch mężczyzn siedzących naprzeciwko siebie w zaciemnionym pokoju – zadawanie pytań przychodziło naturalnie. Statki, które mijają się nocą. Lekarz zdjął okulary i potarł twarz dłońmi, jakby chciał zetrzeć z niej zmęczenie. Pokręcił głową.

- Nie.
- A jednak to robisz.
- To powołanie.
- No tak. Widziałem krucyfiks w twoim gabinecie. Wierzysz w powołanie.
- Wydaje mi się, że ty też, Hole. Obserwowałem cię. Nie w powołanie od Boga, ale ty też to czujesz.

Harry zajął się kubkiem. Steffens miał rację, mówiąc o fascynującej podłości kawy.

- Czy to oznacza, że nie lubisz swojej pracy?
- Nienawidzę. – Lekarz się uśmiechnął. – Gdybym mógł wybierać, zostałbym pianistą.
- Mhm. A dobrze grasz na fortepianie?
- Właśnie na tym polega przekleństwo: kiedy nie jesteś dobry w tym, co kochasz, za to jesteś w tym, czego nienawidzisz, prawda?

Harry pokiwał głową.

- To rzeczywiście przekleństwo. Robimy to, do czego możemy się przydać.
 - A twierdzenie, że nagrodę otrzyma ten, kto pójdzie za swoim powołaniem, jest kłamstwem.
 - Czasami praca sama w sobie bywa nagrodą.
 - Tylko w wypadku pianisty, który kocha muzykę, albo kata, który kocha krew.
- Steffens wskazał na plakietkę przypiętą do białego fartucha.

– Urodziłem się i wychowałem jako mormon w Salt Lake City i otrzymałem imię po Johnie Doyle'u Lee, bogobojnym, wielbiącym pokój człowieku. Jesienią tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku dostał od starszyny swojej społeczności rozkaz zmasakrowania grupy bezbożnych emigrantów, którzy wdarli się na ich terytorium. Swoje udręki duchowe opisał w dzienniku. Uznał, że to było straszliwe powołanie, które przyniósł mu los, i że musiał je po prostu zaakceptować.

- Masakra w Mountain Meadows.
- No proszę, znasz historię, Hole.

– Studiowałem seryjne zabójstwa w FBI i przy tej okazji omawialiśmy również najstraszniejsze masowe zbrodnie. Ale przyznam, że nie pamiętam, jak to się skończyło dla twojego imiennika.

Steffens spojrział na zegarek.

– Mam nadzieję, że nagroda czekała na niego w niebie, bo na ziemi wszyscy zawiedli Johna Doyle’a Lee, z naszym duchowym przywódcą Brighamem Youngiem włącznie. John Doyle został skazany na śmierć. Mój ojciec uważał jednak, że to przykład do naśladowania, taka rezygnacja z tanio kupionej miłości bliźnich na rzecz powołania, którego się nienawidzi.

– Może nienawiść nie była wcale aż tak wielka, jak twierdził?

– Co masz na myśli?

Harry wzruszył ramionami.

– Alkoholik nienawidzi alkoholu i go przeklina, ponieważ niszczy mu życie. A jednocześnie alkohol jest jego życiem.

– Interesująca analogia. – Steffens wstał, podszedł do okna i odsunął na bok zasłony. – A co z tobą, Hole? Ciągłe jest tak, że powołanie zarówno niszczy ci życie, jak i nim jest?

Harry zasłonił oczy. Próbował patrzeć na Steffensa, ale oślepił go ten nagły zalew światła.

– Ciągłe jesteś mormonem?

– Ciągłe bierzesz udział w tej sprawie?

– Na to wygląda.

– Inaczej nie potrafimy, prawda? Muszę wracać do pracy, Harry.

Kiedy Steffens wyszedł, Harry zadzwonił do Gunnara Hageny.

– Cześć, szefie. Potrzebuję ochrony policyjnej w Szpitalu Ullevål – oznajmił. – Natychmiast.

Wyller stał w miejscu, w którym polecono mu stać, za maską samochodu zaparkowanego w poprzek alejki tuż przed wejściem.

– Widziałem wchodzącego policjanta – powiedział. – Wszystko w porządku?

– Postawiliśmy straż pod jej drzwiami. – Harry zajął siedzenie pasażera.

Wyller schował służbowy pistolet do kabury i usiadł za kierownicą.

– A Valentin?

– Bogowie jedni wiedzą.

Harry wyjął z kieszeni włos.

– To prawdopodobnie czysta paranoja, ale poproś w Instytucie Medycyny Sądowej o ekspresową analizę tego włosa – tylko po to, żeby wykluczyć, że pasuje

do czegoś z innych miejsc zdarzeń, okej?

Jechali ulicami tą samą trasą. Czuli się jak na powtórce filmu puszczonego od tyłu w zwolnionym tempie.

– Czy mormoni używają symbolu krzyża? – spytał Harry.

– Nie – odparł Wyller. – Uważają, że krzyż symbolizuje śmierć i jest pogańskim znakiem. Wierzą w zmartwychwstanie.

– Mhm. Czyli mormon z krucyfiksem na ścianie to prawie jak...

– Muzułmanin z portretem Mahometa.

– No właśnie. – Harry pogłośnił muzykę w radiu. The White Stripes, *Blue Orchid*. Gitary i bębny. Nagość. Przejrzystość.

Podkręcił głośność jeszcze mocniej, nie bardzo wiedząc, co właściwie usiłuje zagłuszyć.

Hallstein Smith kręcił młynka palcami. Został w Kotłowni sam, a bez innych niewiele mógł zrobić. Skończył pisać krótki profil wampirysty, posurfował trochę po Internecie, przeczytał najnowsze artykuły dotyczące zabójstw popełnionych przez wampirystę, zapoznał się nawet z materiałami na ten temat z ostatnich pięciu dni, które minęły od pierwszej zbrodni. Zastanawiał się już, czy nie wykorzystać tego czasu na pracę nad doktoratem, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Halo?

– Pan Smith? – spytał kobiecy głos. – Mówi Mona Daa z „VG”

– Ach tak?

– Jest pan zaskoczony?

– Tylko dlatego, że nie spodziewałem się tak dobrego zasięgu w tym miejscu.

– À propos zasięgu, czy mogę u pana zweryfikować informację, że za zniknięciem pracownicy restauracji U Schrødera, do którego doszło dzisiejszej nocy, stoi najprawdopodobniej wampirysta?

– Zweryfikować? U mnie?

– No tak. Pan przecież teraz pracuje dla policji, prawda?

– Owszem, o tyle o ile. Ale moja pozycja nie pozwala na komentowanie czegokolwiek.

– Dlatego że pan czegoś nie wie czy dlatego że panu nie wolno?

– Chyba jedno i drugie. Jeśli miałbym coś powiedzieć, to jako ekspert od wampiryzmu. Musiałoby to dotyczyć kwestii ogólnych.

– Świetnie. Bo widzi pan, przygotowuję podcast.

– Słucham?

– Taki program radiowy. „VG” ma własny kanał.

- Aha.
- Mogę pana zaprosić, żeby opowiedział pan o wampirystyce? Oczywiście najzupełniej ogólnie.
- Hallstein Smith się zastanowił.
- Musiałbym dostać zezwolenie od szefostwa tutaj.
- Znakomicie. Wobec tego czekam na wiadomość od pana. Ale jeszcze jedna sprawa, panie Smith. Napisałam przecież o panu artykuł, z którego, mam nadzieję, był pan zadowolony. Pośrednio właśnie ten tekst wciągnął pana w centrum wydarzeń.
- No tak, tak.
- Czy w zamian mógłby mi pan powiedzieć, kto od was zwabił mnie wczoraj do portu kontenerowego?
- Do czego?
- Aha, no to już nic. Miłego dnia.
- Hallstein Smith jeszcze długą chwilę wpatrywał się w telefon. Port kontenerowy? O czym ona mówi?

Truls Berntsen powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu zdjęć Megan Fox na ekranie komputera. Aż nieprzyjemnie się robiło na widok tego, jak zbrzydła. Czy to tylko zdjęcia, czy może świadomość, że przekroczyła trzydziestkę? Świadomość wpływu urodzenia dziecka na kobiece ciało, które w *Transformers* z dwa tysiące siódmego roku definiowało ideał? Czy może fakt, że on sam w ciągu ostatnich dwóch lat stracił osiem kilo tłuszczu, zastąpił je czterema kilogramami mięśni i posunął dziewięć babek? Coś, co sprawiło, że odległy sen o Megan Fox stał się trochę mniej odległy. O jakiś rok świetlny albo dwa? A może po prostu myśl o tym, że za dziesięć godzin będzie siedział razem z Ullą Bellman, jedyną kobietą, której pożądał bardziej niż Megan Fox.

Usłyszawszy chrząknięcie, podniósł głowę.

Katrine Bratt opierała się ramieniem o ściankę działową.

Od czasu, gdy Wyller wyniósł się do tego idiotycznego klubu dla chłopaków w Kotłowni, Truls mógł całkowicie zanurzyć się w *Świat gliniarzy*. Zdążył już obejrzeć wszystkie dostępne sezony i miał nadzieję, że sprawa, z którą przyszła Katrine Bratt, nie zagrozi jego dalszemu nieróbstwu.

– Bellman chce z tobą pogadać.

– W porządku. – Truls wyłączył komputer, wstał i wyminął Katrine. Przeszedł tak blisko, że powinien wyczuć zapach jej perfum, gdyby jakichś używała. Był zdania, że kobiety powinny się trochę perfumować. Nie tyle co te, które dosłownie

zlewały się perfumami, a którym z reguły rzucało się to na mózg. Ale trochę. Na tyle, żeby poruszyć wyobraźnię na temat ich prawdziwego zapachu.

Kiedy czekał na windę, mógł wykorzystać czas, żeby zastanowić się nad tym, czego może chcieć od niego Mikael. Ale głowę miał pustą.

Dopiero gdy wszedł do gabinetu komendanta, zrozumiał, że został odkryty. Zobaczył plecy stojącego przy oknie Mikaela i usłyszał wypowiedziane bez żadnych wstępów słowa:

– Zdradziłeś mnie, Truls. To ta dziwka przyszła do ciebie czy odwrotnie?

Poczuł się tak, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro lodowatej wody. Co się stało, do jasnej cholery? Czyżby Ulla się załamała i dręczona wyrzutami sumienia przyznała do wszystkiego? Czy może Mikael ją przycisnął? I co, u diabła, ma teraz mówić?

Chrząknął.

– To ona do mnie przyszła, Mikael. Ona tego chciała.

– Oczywiście. Dziwki biorą to, co mogą dostać. Ale że mogła to dostać od ciebie, mojego najbardziej zaufanego człowieka, w dodatku po tym wszystkim, co razem przeszliśmy...

Truls nie mógł uwierzyć, że Mikael mówi tak o żonie, o matce swoich dzieci.

– Uważałem, że nie mogę się wykręcić od spotkania i chwili rozmowy. Przecież nic więcej nie miało się wydarzyć.

– Ale się wydarzyło, prawda?

– Nic się nie wydarzyło.

– Nic? Nie rozumiesz, że informowałeś zabójcę o tym, co wiemy, a czego nie? Ile ci zapłaciła?

Truls zamrugał.

– Zapłaciła? – Powoli zaczęło mu się rozjaśniać w głowie.

– Spodziewam się, że Mona Daa nie dostała informacji za darmo. Odpowiadaj. I nie zapominaj, że cię znam, Truls.

Truls Berntsen się uśmiechnął. Zerwał się z haczyka. I powtórzył:

– Nic się nie wydarzyło.

Mikael odwrócił się, z wściekłością uderzył pięścią w blat biurka i syknął:

– Masz nas za idiotów?

Truls obserwował, jak duże plamy na twarzy Mikaela na zmianę bledną i czerwienieją, jakby krew pod skórą podpływała i się cofała. Z latami te plamy się powiększyły, jak u węża, który zmienia skórę.

– Powiedz, co, waszym zdaniem, wiecie. – Truls bez zaproszenia usiadł.

Mikael popatrzył na niego zaskoczony, ale w końcu i on usiadł w swoim fotelu.

Może dostrzegł w oczach Trulsa brak strachu, przypomnienie, że jeżeli Truls zostanie wypchnięty za burtę, pociągnie Mikaela Bellmana za sobą. Na samo dno.

– Wiem tyle, że Katrine Bratt pojawiła się o świcie w moim gabinecie, żeby mi o tym powiedzieć. Ponieważ prosiłem, żeby miała na ciebie oko, kazała cię pilnować jednemu ze swoich funkcjonariuszy. Najwyraźniej już wcześniej podejrzewała, że to ty jesteś źródłem przecieku.

– Co to za funkcjonariusz?

– Tego mi nie powiedziała, a ja nie pytałem.

Naturalnie, pomyślał Truls. Na wypadek gdybyś znalazł się pod presją w sytuacji, w której korzystniej byłoby twierdzić, że o niczym nie wiedziałeś. Truls nie należał może do najbystrzejszych na świecie, ale wcale nie był aż tak głupi, jak uważali ludzie z jego otoczenia, i z czasem zaczął rozumieć sposób myślenia Mikaela, a także innych osób na górze.

– Ten funkcjonariusz Bratt wykazał się dużą aktywnością – ciągnął Mikael. – Sprawdził, że w zeszłym tygodniu co najmniej dwa razy miałeś kontakt telefoniczny z Moną Daa.

Funkcjonariusz, który sprawdza rozmowy, pomyślał Truls. Który miał kontakt z teleoperatorami. Funkcjonariusz Anders Wyller. Truls nie był wcale taki głupi, o nie.

– Aby udowodnić, że to ty jesteś informatorem Mony Daa, zadzwonił do niej. Podał się za wampirystę i kazał jej zatelefonować do swojego informatora, żeby sprawdziła pewien szczegół, o którym mogli wiedzieć jedynie sprawca i policja.

– Blender do smoothie.

– Więc się przyznajesz?

– Do tego, że Mona Daa do mnie dzwoniła? Owszem.

– Bardzo dobrze, bo ten funkcjonariusz zbudził dziś w nocy Katrine Bratt i powiedział jej, że z rejestru rozmów od teleoperatora wynika, że Mona Daa po jego blefie natychmiast zadzwoniła do ciebie. To będzie, łagodnie mówiąc, trudne do wyjaśnienia, Truls.

Berntsen wzruszył ramionami.

– Tu nie ma nic do wyjaśniania. Mona Daa zadzwoniła do mnie i spytała o blender do smoothie, a ja oczywiście odmówiłem komentarza i odesłałem ją do kierownictwa. Rozmowa trwała nie dłużej niż dziesięć – dwadzieścia sekund, co na pewno widać w tym raporcie. Może Mona Daa podejrzewała, że to jakaś sztuczka, która ma ujawnić jej źródło. Właśnie dlatego zadzwoniła do mnie, a nie do swojego informatora.

– Według tego funkcjonariusza stawiała się później na spotkanie z wampirystą

w umówionym miejscu w porcie kontenerowym. Ten funkcjonariusz zrobił jej nawet zdjęcie. Ktoś musiał więc potwierdzić tę historię z blenderem.

– Może Mona Daa najpierw umówiła się na spotkanie, a dopiero potem poszła do swojego informatora i uzyskała potwierdzenie w rozmowie twarzą w twarz? I policjanci, i dziennikarze wiedzą, że łatwo uzyskać informację o tym, kto do kogo dzwonił i kiedy.

– Odbyłeś też dwie inne rozmowy telefoniczne z Moną Daa, z czego jedna trwała kilka ładnych minut.

– No to sprawdź sobie te wydruki. To Mona Daa dzwoniła do mnie, ja nigdy nie dzwoniłem do niej. Taki pitbul jak Daa musi pomarudzić kilka minut, zanim zrozumie, że nie ma czego szukać, a mimo to znów próbuje, wierząc, że jakoś jej się uda przekłuć wrzód. Ale to jej problem. Ja mam w zasadzie całkiem sporo czasu w ciągu dnia.

Truls odchylił się na krześle. Złożył ręce i patrzył na Mikaela. Bellman zamyślony kiwał głową, jakby trawił słowa Trulsa, szukając ewentualnych dziur, które mogli przeoczyć. Lekki uśmieszek z odrobiną ciepła wskazywał, iż Mikael doszedł do wniosku, że to rzeczywiście niewykluczone, więc można Trulsowi odpuścić.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Ale skoro okazuje się, że nie ty jesteś tym informatorem, Truls, to jak sądzisz, kto nim może być?

Truls złożył usta w ciup, tak jak nauczył się od pewnej tłustej Francuzki poznanej przez serwis randkowy, która robiła właśnie taką minę, kiedy zadawała mu to niezwykle skomplikowane pytanie: „Kiedy się znów spotkamy?”

– Trudno powiedzieć. Przy takiej sprawie nikt nie chce, aby widziano, że zbyt długo rozmawia z dziennikarzem pokroju Daa. No cóż, zauważyłem jedynie, jak Wyller z nią rozmawiał. No i chwileczkę... jeśli się nie mylę, podał jej numer telefonu, pod który mogła dzwonić. A ona mu powiedziała, że znajdzie ją w tym klubie fitness, w Gain.

Mikael Bellman spojrzał na Trulsa. Z lekko zaskoczonym uśmiechem, jak małżonek, który po wielu latach właśnie odkrył, że poślubiona przez niego osoba umie śpiewać, pochodzi ze szlacheckiej rodziny albo ma wykształcenie uniwersyteckie.

– Więc sugerujesz, Truls, że ten przeciek najprawdopodobniej wyszedł od kogoś, kto jest u nas nowy. – Bellman w zamyśleniu gładził podbródek dwoma palcami. – To dość naturalne przypuszczenie, ponieważ problem przecieku powstał niedawno i pod tym względem – jak brzmi to słowo, którego szukam? – nie odzwierciedla zwyczajów wypracowanych w ostatnich latach wśród policji w Oslo. Ale kto to tak naprawdę jest, nigdy się nie dowiemy, ponieważ dziennikarka ma obowiązek

chronić swoje źródło informacji.

Truls zaśmiał się tym swoim chrumkającym śmiechem.

– Świetnie, Mikael.

Bellman pokiwał głową. Nachylił się i zanim Truls zdążył zareagować, złapał go za kołnierz koszuli i szarpnięciem przyciągnął do siebie.

– No to ile zapłaciła ci ta dziwka, Beavis?

22 WTOREK, POPOŁUDNIE

Mehmet ciasniej owinął się szlafrokiem. Wpatrzony w ekran komórki, udawał, że nie widzi, kto wchodzi do skromnie umeblowanej szatni i kto z niej wychodzi. Bilet do hamamu Cagaloglu upoważniał do przebywania w łaźni bez ograniczeń czasowych. Ale dość oczywiste było, że ktoś godzinami przesiadujący w szatni i obserwujący nagich mężczyzn może narazić się na antypatię. Dlatego w regularnych odstępach czasu przenosił się z szatni do saun, zarówno do suchej, jak i do tej wiecznie spowitej mgłą, do basenów z wodą o różnej temperaturze, od niemal wrzącej po zimną. Robił tak również z przyczyn praktycznych – pomieszczenia połączone były wieloma drzwiami, więc ryzykował, że się z kimś minie, jeśli nie będzie się przenosił. Akurat w tej chwili w szatni zrobiło się na tyle zimno, że zapragnął wrócić do ciepła. Spojrzał na zegarek. Czwarta. Turecki tatuażysta miał wrażenie, że człowieka z wytatuowanym demonem widział w łaźni wczesnym popołudniem. A kto powiedział, że seryjni mordercy nie mają przyzwyczajęń, jak zwykli ludzie?

Harry Hole stwierdził, że Mehmet jest wywiadowcą idealnym. Po pierwsze, był jedną z zaledwie dwóch osób mających możliwość rozpoznania twarzy Valentina Gjertsena. Po drugie, jako Turek nie wyróżniał się w łaźni, odwiedzanej głównie przez jego rodaków. Po trzecie, zdaniem Harry'ego Valentin natychmiast zidentyfikowałby policjanta. Poza tym mieli, zdaje się, w Wydziale Zabójstw kreta, który po cichu informował „VG” i nie wiadomo kogo jeszcze. Dlatego Harry i Mehmet byli jedynymi wtajemniczonymi w ten plan. Ale Harry obiecał, że od chwili, kiedy Mehmet powiadomi go, że zobaczył Valentina, nie minie kwadrans, a on stawi się z oddziałem uzbrojonej policji.

Z drugiej strony Harry obiecał Mehmetowi również, że Øystein Eikeland będzie idealnym zastępstwem za niego w Jealousy. Kiedy facet stanął w drzwiach, wyglądał jak strach na wróble i wniósł ze sobą zapach hippisowskiej zabawy, który

utkwiał w zniszczonym dżinsowym ubraniu. A na pytanie Mehmeta, czy już wcześniej stał w barze, Eikeland wsunął skręta do ust i westchnął: „Stałem w barze całymi latami, chłopcze. Stałem, klęczałem i leżałem. Chociaż nigdy po tej stronie kontuaru”

No ale Eikeland był zaufanym człowiekiem Harry’ego, dlatego należało wierzyć, że jakoś to pójdzie. Harry mówił, że akcja potrwa maksimum tydzień. Potem Mehmet będzie mógł wrócić do swojego baru, który miał zresztą nowego współwłaściciela. Harry głęboko się uklonił, kiedy dostał klucz na breloczku – plastikowym złamanym sercu, będącym logo Jealousy – i oświadczył Mehmetowi, że muszą przedyskutować kwestię muzyki, ponieważ są ludzie po trzydziestce, którzy nie dostają łupieżu od nowych nurtów, a uratować można nawet kogoś, kto utknął w bagnie Bad Company. Już samo wspomnienie tej dyskusji było warte co najmniej tygodnia nudy, pomyślał Mehmet, przesuwając w dół internetowe wydanie „VG”, chociaż zdążył przeczytać te tytuły co najmniej dziesięć razy. Zatrzymał się przy nowym.

Słynni wampiryści w dziejach. Wpatrywał się w ekran, czekając na pojawienie się głównego tekstu, gdy nagle wydarzyło się coś dziwnego. Przez moment nie mógł złapać tchu. Podniósł głowę. Drzwi prowadzące do łaźni się zasunęły. Rozejrzał się. W szatni byli obecni ci sami trzej mężczyźni co przed chwilą. Ale ktoś właśnie przez nią przeszedł. Mehmet schował telefon do swojej szafki, zamknął ją, wstał i ruszył za nim.

Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziło powarkiwanie kotłów. Harry spojrzął na zegarek. Pięć po czwartej. Odsunął krzesło, założył ręce za głowę i oparł się o ścianę. Smith, Bjørn i Wyller popatrzyli na niego.

– No to minęło szesnaście godzin od zniknięcia Marte Ruud – powiedział Harry.

– Coś nowego?

– Włoski – odparł Bjørn. – Technicy pracujący na miejscu zdarzenia znaleźli włoski przy drzwiach wejściowych do Schrødera. Wyglądają na podobne do włosków Valentina Gjertsena odkrytych na kajdankach i już zostały przesłane do analizy. Wskazują na walkę, no i na to, że tym razem po sobie nie posprzątał, co z kolei oznacza, że nie było żadnej krwi, więc możemy mieć nadzieję, że ona żyła, kiedy się stamtąd oddalali.

– No dobrze – włączył się Smith. – Istnieje jedna możliwość, że dziewczyna żyje, a mianowicie taka, że on ją trzyma jako krowę.

– Krowę? – powtórzył Wyller.

W Kotłowni zapadła cisza. Harry się skrzywił.

– Chcesz powiedzieć, że... że on ją doi?

– Ludzki organizm potrzebuje doby na odtworzenie jednego procenta czerwonych krwinek – wyjaśnił Smith. – W najlepszym razie to przez jakiś czas zaspokoi jego żądę krwi. W najgorszym oznacza tylko, że on skupia się jeszcze bardziej na odzyskiwaniu władzy i kontroli. I że znów będzie chciał się mścić na tych, którzy go poniżyli. Co oznacza ciebie albo twoich bliskich, Harry.

– Moja żona ma ochronę policyjną dwadzieścia cztery godziny na dobę. A synowi zostawiłem na sekretarce wiadomość, że ma się pilnować.

– Czyli on może zaatakować również mężczyzn? – spytał Wyller.

– Oczywiście – odparł Smith.

Harry poczuł wibrowanie w kieszeni spodni. Wyjął telefon.

– Słucham?

– Tu Øystein. Jak się robi daiquiri? Mam tu trudnego klienta, a Mehmet nie odbiera.

– Skąd mam wiedzieć? Ten klient nie wie?

– Nie.

– Coś z rumem i limonką. Google, słyszałeś o czymś takim?

– Owszem, nie jestem idiotą, to w Internecie, co nie?

– Przetestuj sobie, może ci się spodobać. Muszę kończyć. – Harry się rozłączył. – *Sorry*. Coś jeszcze?

– Przesłuchania świadków w okolicach Schrødera. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Trochę dziwne na tak uczęszczanej ulicy.

– Około północy w poniedziałek bywa tam całkiem pusto – zauważył Harry. – Ale przetransportowanie przez dzielnicę osoby, przytomnej czy nieprzytomnej, bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi? Raczej nie wchodzi w grę. Może miał samochód zaparkowany tuż przed wejściem.

– Nie ma żadnego samochodu zarejestrowanego na nazwisko Valentina Gjertsena. Żadnego też nie wynajęto wczoraj na to nazwisko – dodał Wyller.

Harry odwrócił się w jego stronę.

Wyller posłał mu pytające spojrzenie i zaczął się tłumaczyć:

– Oczywiście prawdopodobieństwo tego, że posłużył się własnym nazwiskiem, jest prawie równe zero, ale na wszelki wypadek sprawdziłem. Czy to nie...

– W porządku – przerwał mu Harry. – Prześlij portret pamięciowy firmom wynajmującym samochody. Obok Schrødera są delikatesy Deli de Luca czynne przez całą dobę...

– Byłem na przedpołudniowej odprawie grupy śledczej, sprawdzali ich nagrania z monitoringu – powiedział Bjørn. – Nic.

– Okej. O czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

– W Stanach pracują nad uzyskaniem dostępu do adresów IP ofiar na Facebooku na podstawie samego wezwania sądowego, bez wydawania pełnego postanowienia – poinformował Wyller. – Nie dostaniemy treści, ale będziemy mieć wszystkie adresy nadawców i odbiorców, i to może już za dwa tygodnie zamiast czekania miesiącami.

Mehmet stał pod drzwiami do *hararet*, łaźni parowej. Kiedy wyszedł z szatni, widział, jak drzwi do niej się zasuwały. A to właśnie w *hararet* widziano mężczyznę z tatuażem. Mehmet miał świadomość, że to mało prawdopodobne, aby Valentin pojawił się już teraz, pierwszego dnia. Chyba że przychodził tu kilka razy w tygodniu. Skąd więc to wahanie?

Przełknął ślinę.

Potem pociągnął drzwi i wszedł do środka. Gęsta para się poruszyła, zawirowała, buchnęła, utworzył się w niej korytarz pozwalający zajrzeć w głąb pomieszczenia. I Mehmet przez moment mógł dostrzec twarz mężczyzny, który siedział na drugim poziomie ławek, dokładnie naprzeciwko niego. Ich spojrzenia się spotkały. Po sekundzie ów korytarz znów się zamknął i tamta twarz zniknęła.

Ale Mehmet zobaczył już dość.

To był on. Człowiek, który tamtego wieczoru wszedł do baru.

Czy natychmiast stąd wybiec, czy może jednak chwilę posiedzieć? Ten mężczyzna widział przecież, że Mehmet na niego patrzy, więc gdyby teraz wyszedł, tamten mógłby nabrać podejrzeń.

Mehmet dalej stał przy drzwiach.

Miał wrażenie, że para, którą oddychał, zatyka drogi oddechowe. Nie mógł dłużej zwlekać. Musiał stąd wyjść. Delikatnie pchnął drzwi i wymknął się na zewnątrz. Biegł po gładkich kafelkach, drobiąc kroki, żeby się nie poślizgnąć. Dotarł do szatni. Przeklinał w duchu, walcząc z szyfrem do swojej kłódki. Cztery cyfry. 1683. Bitwa pod Wiedniem. Kiedy Imperium Osmańskie władało światem, a przynajmniej tą jego częścią, którą warto było władać. Kiedy nie mogło się już dłużej rozszerzać. Kiedy rozpoczął się upadek. Klęska za klęską. Czy wybrał właśnie tę datę, ponieważ opowiadała jego własną historię – historię o tym, jak miało się wszystko i wszystko się straciło? Wreszcie udało mu się otworzyć kłódkę. Wyjął telefon, wybrał numer i przyłożył aparat do ucha. Wpatrywał się w drzwiczki szafki, które same się zamknęły, spodziewał się w każdej chwili, że ten człowiek wpadnie tu i go zaatakuje.

– Tak?

- On tu jest – szepnął Mehmet.
 - Na pewno?
 - Tak. W *hararet*.
 - Miej na niego oko. Jesteśmy za kwadrans.
- Co zrobiłeś? – Bjørn Holm puścił sprzęgło, kiedy światło na Hausmanns gate zmieniło się na zielone.
- Wynająłem cywilnego ochotnika i wysłałem go do tureckiej łaźni na Sagene. – Harry spojrzął w boczne lusterko legendarnego amazona Bjørna Holma, model z 1970 roku, pierwotnie białego, później przelakierowanego na czarny, z rajdowym paskiem w kratkę biegnącym przez dach i bagażnik. Samochody z tyłu znikwały w gęstej chmurze czarnych spalin.
 - Bez konsultacji z nami? – Bjørn wcisnął klakson i wyprzedził audi od prawej strony.
 - To nie do końca zgodne z podręcznikiem, więc nie widziałem powodu, żebyście byli współwinni.
 - Pojedź Maridalsveien, będzie mniej świateł – odezwał się Wyller z tylnego siedzenia.
- Bjørn zredukował bieg i przepchnął amazona na prawo. Harry czuł na ciele nacisk starych trzypunktowych pasów, które Volvo wypuściło jako pierwsze, ale brak mechanizmu zwijania sprawiał, że człowiek ledwie mógł się poruszać.
- Jak tam, Smith? – Harry przekrzyczał warkot silnika i spojrzął w tylne lusterko. Normalnie nie zabierałby eksperta z zewnątrz na tak ostrą akcję, ale w ostatniej chwili zdecydował, że Smith pojedzie z nimi, na wypadek gdyby doszło do wzięcia zakładników czy oblężenia, bo wówczas przydałby im się psycholog zdolny do rozszyfrowania Valentina. Tak jak rozszyfrował Aurorę. Tak jak rozszyfrował Harry’ego.
 - Tylko lekka choroba lokomocyjna. – Smith uśmiechnął się blado. – Co to za zapach?
 - Stare sprzęgło, ogrzewanie i adrenalina – odparł Bjørn.
 - Posłuchajcie! – przerwał im Harry. – Będziemy tam za dwie minuty. Więc powtarzam: Smith, ty zostajesz w samochodzie. Ja i Wyller wchodzimy głównym wejściem, Bjørn pilnuje tylnych drzwi. Zrozumiałeś, gdzie są?
 - Jasne – odparł Bjørn. – A ten twój człowiek ciągle jest na linii?
- Harry kiwnął głową i przyłożył telefon do ucha. Skręcili pod dość stary murowany budynek. Harry uprzednio obejrzał i sprawdził plany. W dawnej fabryce mieściły się teraz biura, drukarnia, studio płytowe i hamam, który oprócz głównego

wejścia miał tylko jedne tylne drzwi.

– Broń naładowana i odbezpieczona? – spytał Harry, kiedy udało mu się rozpiąć uciskający pas. – Bierzemy go żywcem. Ale jak się nie da... – Podniósł wzrok na zasłonięte okna po obu stronach wejścia, słuchając monotonnej odpowiedzi Bjørna.

– Policja, strzał ostrzegawczy, a następny w tego drania. Policja, strzał ostrzegawczy, a...

– Już – powiedział Harry.

Wysiedli z samochodu, przeszli przez chodnik i rozdzielili się przed wejściem.

Harry i Wyller pokonali trzy stopnie i pchnęli ciężkie drzwi. W korytarzu czuć było amoniakiem i farbą drukarską. Dwoje drzwi miało wypolerowane do połysku złote wizytówki z kaligraficznie wypisanymi nazwami niedużych, pełnych nadziei kancelarii adwokackich, których nie stać było na wynajem biura w centrum. Na trzecich drzwiach skromna tabliczka informowała, że to tu znajduje się HAMAM CAGALOGLU. Literki były tak małe, iż odnosiło się wrażenie, że właściciele nie chcą tu widzieć gości, którzy jeszcze nie znają tego miejsca.

Harry wszedł do środka.

Znalazł się w korytarzu, w którym ze ścian łuszczyła się farba, a za prostym kontuarem ubrany w dres barczysty mężczyzna z ciemnym zarostem czytał jakiś magazyn. Gdyby Harry nie wiedział, dokąd trafił, pomyślałby, że to szatnia klubu bokserskiego.

– Policja – odezwał się Wyller i wsunął swój identyfikator między magazyn a twarz mężczyzny. – Siedź spokojnie i nikogo nie alarmuj. Uporamy się z tym w ciągu dwóch minut.

Harry ruszył w głąb korytarza i zobaczył dwoje drzwi. Na jednych napisano Szatnia, na drugich Hamam. Wszedł do łaźni, słyszał, że Wyller depta mu po piętach.

Dalej w długiej wąskiej kiszce znajdowały się jeden za drugim trzy mniejsze baseny. Po prawej stronie były nisze z ławkami do masażu, po lewej dwoje szklanych drzwi prowadzących, jak Harry się domyślał, do saun i jedne zwykłe drewniane, które, jak pamiętał z planów, wiodły bezpośrednio do szatni. Dwóch mężczyzn siedzących w najbliższym basenie zmierzyło ich wzrokiem. Mehmet przycupnął na stołku przy ścianie i udawał, że czyta coś w telefonie. Na ich widok poderwał się i wskazał na szklane drzwi z zaparowaną plastikową tabliczką, na której napisano HARARET.

– Jest sam? – spytał Harry cicho. Obaj z Wyllerem wyjęli swoje Glocki 17. Z basenu za plecami usłyszał rozpaczliwy plusk.

– W każdym razie od tamtej pory, to znaczy od mojego telefonu do ciebie, nikt tu nie przychodził ani stąd nie wychodził – odszepnął Mehmet.

Harry podszedł do drzwi, próbując zajrzeć do środka, ale zobaczył jedynie nieprzeniknioną biel. Dał sygnał, żeby Wyller go osłaniał. Wziął głęboki oddech z zamiarem wejścia, ale zmienił zdanie. Odgłos butów. Nie mógł obudzić podejrzeń Valentina tym, że wchodząca do łazienki osoba jest w butach. Wolną ręką zdjął buty i skarpetki. Szarpnął drzwi i wszedł. Wokół niego zawirowała para. Jak welon. Rakel. Nie miał pojęcia, skąd mu się wzięło to skojarzenie, ale je od siebie odpędził. I ledwie zdążył dostrzec przed sobą pojedynczą postać siedzącą na ławce, gdy już biel znów całkowicie go otoczyła. Biel i cisza. Harry wstrzymał oddech i nasłuchiwał oddechu tamtego. Czy tamten zdążył zauważyć, że wszedł tu ktoś w pełni ubrany, kto trzyma w ręku pistolet? Czy się bał? Czy bał się tak jak Aurora na widok jego kowbojek pod drzwiami toalety?

Uniósł pistolet i ruszył w stronę, gdzie dostrzegł postać. Wreszcie na tle szarej bieli zauważył kontury sylwetki, nacisnął cyngiel aż do momentu, gdy napotkał opór.

– Policja – powiedział zachrypniętym głosem. – Nie ruszaj się, bo będę strzelać. – Przez mózg przeleciała mu nowa myśl. Że normalnie w podobnej sytuacji powiedziałby: „będziemy strzelać”. To była prosta psychologia. Udawanie, że jest ich więcej, zwiększające szansę na poddanie się podejrzanego bez walki. Dlaczego więc powiedział: „będę”? A kiedy mózg już dopuścił możliwość zadawania pytań, pojawiły się kolejne. Dlaczego był tu on, a nie Delta, oddział wyspecjalizowany w tego typu akcjach? Dlaczego umieścił tu Mehmeta w tajemnicy, informując kolegów o wszystkim, dopiero kiedy ten zadzwonił?

Poczuł lekki nacisk spustu pod palcem wskazującym. To takie łatwe.

Dwóch mężczyzn w pomieszczeniu, gdzie nikt inny ich nie widzi. Kto zaprzeczy, że Valentin, który zabił już tyle osób gołymi rękami i żelaznymi zębami, nie zaatakował Harry'ego, zmuszając go do strzału w samoobronie?

– *Vurma!* – odezwała się siedząca przed nim postać i wyciągnęła ręce do góry.

Harry nachylił się bardziej.

Chudy mężczyzna był nagi. Oczy miał rozszerzone ze strachu. A pierś porastały mu siwe włosy, ale oprócz tego nie było tam nic.

23 WTOREK, PÓŹNE POPOŁUDNIE

– Do jasnej cholery! – zawołała Katrine Bratt i rzuciła gumką do ścierania, którą wzięła ze swojego biurka. Gumka uderzyła w ścianę tuż nad głową Harry’ego Hole, który siedział skulony na krześle. – Jakbyśmy mieli za mało kłopotów, tobie udaje się złamać prawie wszystkie pieprzone paragrafy instrukcji policyjnej, a oprócz tego jeszcze ze dwie ustawy! Co ty miałaś w głowie?

Rakel, pomyślał Harry i odchylił się do tyłu, uderzając oparciem krzesła o ścianę. Miałem w głowie Rakel. I Aurorę.

– No mów!

– Uważałem, że jeśli istnieje jakaś droga na skróty, dzięki której udałoby nam się schwycić Valentina Gjertsena choćby o dzień wcześniej, mogłoby to oznaczać ocalone ludzkie życie.

– Nie pieprz, Harry. Cholernie dobrze wiesz, że to nie działa w taki sposób. Gdyby wszyscy tak myśleli i robili...

– Masz rację, wiem. Ale wiem też, jak niewiele brakowało do złapania Valentina Gjertsena. Zobaczył Mehmeta, rozpoznał go z baru, zrozumiał, co się dzieje, i wymknął się tylnymi drzwiami, kiedy Mehmet poszedł do szatni, żeby do mnie zadzwonić. I wiem też, że gdyby to Valentin Gjertsen siedział w saunie parowej, kiedy przyszliśmy, to już dawno byś mi wybaczyła i teraz śpiewałabyś hymny pochwalne na cześć aktywnej, kreatywnej pracy policyjnej. Czyli tego, co wyznaczyłaś grupie w Kotłowni.

– Ty draniu! – syknęła. Harry zobaczył, że Katrine zaczyna się rozglądać po biurku za czymś innym, czym mogłaby w niego cisnąć, ale na szczęście odrzuciła zarówno zszywacz, jak i plik korespondencji amerykańskich organów sądowych z Facebookiem. – Nie dałam ci licencji na robienie z nas kowbojów! We wszystkich gazetach internetowych atak na łaźnię jest na czołówce. Broń w oazie spokoju. Niewinni cywile na linii strzału. Nagi dziewięćdziesięciolatek, któremu grożą pistoletem. I nikt nie został zatrzymany! To po prostu – uniosła ręce i wzrok ku sufitowi, jak gdyby wydanie osądu pozostawiała siłom wyższym – amatorszczyzna!

– Wywalasz mnie?

– A chcesz zostać wywalony?

Harry’emu stanęła przed oczami Rakel. Uspiona, z lekko drgającymi cienkimi powiekami, jakby nadającymi sygnały Morse’a z krainy Koma.

– Tak – odparł. I zaraz z kolei zobaczył Aurorę, niepokój i ból w jej oczach. Głęboką ranę, która nigdy do końca się nie zagoi. – I nie. A ty chcesz mnie wywalić?

Katrine jęknęła, wstała i podeszła do okna.

– Owszem, chcę wywalić – potwierdziła, odwracając się do niego plecami. – Ale nie ciebie.

– Mhm.

– Mhm? – powtórzyła sarkastycznie.

– Masz ochotę to rozwinąć?

– Chętnie wywaliłabym Trulsa Berntsena.

– To się rozumie samo przez się.

– Tak, ale nie dlatego, że jest niestrawny i leniwy. To od niego był ten przeciek do „VG”

– Jak do tego doszłaś?

– Anders Wyller zastawił pułapkę. Posunął się trochę za daleko, chyba chciał się odgryźć Monie Daa. Tak czy owak, raczej nie będziemy mieć z nią kłopotów, jeśli zapłaciła funkcjonariuszowi publicznemu za informacje. Powinna wiedzieć, że to się może wiązać z oskarżeniem o korupcję.

– To dlaczego jeszcze nie wywaliłaś Berntsena?

– Zgadnij. – Wróciła do biurka.

– Bellman?

Katrine rzuciła ołówkiem, ale nie w kierunku Harry’ego, tylko w zamknięte drzwi.

– Bellman przyszedł, usiadł tu, gdzie ty teraz siedzisz, i oświadczył, że Berntsen przekonał go o swojej niewinności. A na dodatek zasugerował, że to sam Wyller mógł rozmawiać z „VG” i dlatego usiłował zwalić winę na Berntsena. Ale dopóki nie będziemy w stanie niczego udowodnić, mamy siedzieć cicho i łapać Valentina. Tylko to się teraz liczy. Co ty na to?

– No cóż. Może Bellman ma rację. Może lepiej odłożyć pranie brudów na czas, kiedy zapasy w błocie się skończą.

– Teraz to wymyśliłaś? – Katrine się skrzywiła.

Harry wyjął papierosy.

– A skoro mówimy o przecieku, to owszem, gazety piszą, że byłem w łaźni. W porządku. Zostałem rozpoznany. Ale nikt oprócz załogi z Kotłowni i ciebie nie wie na razie, jaką rolę odegrał Mehmet. Z uwagi na jego bezpieczeństwo chciałbym, żeby dalej tak zostało.

Katrine kiwnęła głową.

– Rozmawiałam już o tym z Bellmanem i on się ze mną zgodził. Uważa, że mamy mnóstwo do stracenia, jeśli wyjdzie na jaw, że wykorzystujemy cywilów do wykonywania za nas policyjnej roboty, a poza tym cała ta historia pokaże, że jesteśmy zdesperowani. Mówił, żeby o Mehmedzie i jego roli w sprawie nie

wspominać nikomu. Nawet członkom grupy śledczej. Wydaje mi się, że tak będzie lepiej, chociaż Truls Berntsen już nie przychodzi na odprawę.

– Nie?

Katrine lekko uniosła kącik ust.

– Dostał własny pokój i ma się zająć archiwizacją raportów w sprawach niezwiązanych z zabójstwami wampirysty.

– No to go jednak wywaliłaś? – Harry wsunął papierosa między wargi.

Telefon zadrgał mu na udzie. Wyjął go. SMS od doktora Steffensa.

Badania zakończone. Rakel wróciła do 301.

– Muszę lecieć.

– Ciągłe jesteś z nami, Harry?

– Jeszcze to sobie przemyślę.

Przed Budynkiem Policji Harry pod dziurawą podszewką znalazł zapalniczkę i wreszcie zapalił. Patrzył na ludzi, którzy mijali go alejką. Wydawali się tacy harmonijni, beztroscy. Coś go w tym wyjątkowo drażniło. Gdzie jest Valentin? Gdzie, u diabła, się podział?

* * *

– Cześć – powiedział Harry, wchodząc do pokoju 301.

Oleg siedział przy łóżku Rakel, która rzeczywiście wróciła. Podniósł głowę znad książki, ale się nie odezwał.

Harry usiadł.

– Coś do przekazania?

Oleg przewrócił kartkę.

– Posłuchaj. – Harry zdjął kurtkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła. – Wiem, co sobie myślisz. Że skoro nie siedzę tutaj, to znaczy, że bardziej mnie obchodzi praca niż Rakel. Że są inni, którzy mogą rozwiązać sprawę tych zabójstw, a ona ma tylko ciebie i mnie.

– A to nieprawda?

Oleg w dalszym ciągu nie podnosił głowy znad książki.

– Ona mnie teraz nie potrzebuje, Oleg. Tutaj nikogo nie uratuję. Ale tam, na zewnątrz, mogę coś zrobić. Mogę uratować czyjeś życie.

Oleg zamknął książkę i spojrzał na Harry'ego.

– Dobrze słyszeć, że to miłość bliźniego tobą kieruje. Bo mógłbym pomyśleć,

że coś zupełnie innego.

– Coś innego?

Oleg wrzucił książkę do torby.

– Żądza chwały. No wiesz, Harry Hole wrócił i ratuje świat.

– Myślisz, że o to chodzi?

Oleg wzruszył ramionami.

– Ważne jest chyba, co ty o tym myślisz. Że udaje ci się przekonać samego siebie tym pieprzeniem.

– To tak mnie widzisz? Uważasz, że pieprzę?

Oleg wstał.

– Wiesz, dlaczego zawsze chciałem być taki jak ty? Nie dlatego, że byłeś taki świetny, po prostu nie miałem nikogo innego. Byłeś jedynym mężczyzną w domu. Ale teraz, kiedy widzę lepiej, rozumiem, że muszę się jak najbardziej starać, żeby nie stać się taki jak ty. Usuwanie oprogramowania rozpoczęte, Harry.

– Oleg...

Ale jego już nie było.

Niech to wszyscy diabli.

Harry poczuł w kieszeni wibracje telefonu i wyłączył go, nawet nie rzucając okiem na wyświetlacz. Wsłuchał się w aparaturę. Ktoś podkręcił dźwięk i teraz za każdym razem, gdy zielona kreska podskakiwała, dochodziło leciutko opóźnione ciche piśnięcie.

Jak zegar odliczający w dół.

Odliczający w dół jej czas.

Odliczający w dół czas komuś na zewnątrz.

Może Valentin akurat w tej chwili patrzy na zegarek, czekając na następną ofiarę.

Harry wziął telefon do ręki. Ale zaraz znów go wypuścił.

Niskie, ukośnie wpadające słońce sprawiło, że kiedy położył swoją szeroką dłoń na wąskiej dłoni Rakeł, jego grube niebieskie żyły rzuciły cienie na grzbiet jej ręki. Usiłował nie liczyć tych piśnięć.

Kiedy doszedł do ośmiuset sześciu, nie mógł dłużej usiedzieć. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Wyszedł, znalazł w dyżurce lekarza, który nie chciał wdawać się w szczegóły. Powiedział jedynie, że stan Rakeł jest stabilny i że dyskutowali o wybudzeniu jej ze śpiączki.

– To brzmi jak dobre wiadomości – stwierdził Harry.

Lekarz dość długo zwlekał z odpowiedzią.

– Tylko o tym dyskutowaliśmy – odparł w końcu. – Są również argumenty przemawiające przeciwko temu. Steffens ma nocny dyżur, może pan z nim

porozmawiać, kiedy przyjdzie.

Harry znalazł drogę do bufetu, zjadł coś i wrócił do pokoju 301. Policjant na krześle przy drzwiach skinął mu głową.

W pokoju zrobiło się już ciemno, więc Harry zapalił lampę na stoliku przy łóżku. Wypukał z paczki papierosa, uważnie przyglądając się powiekom Rakel. Miała spierzchnięte wargi. Usiłował zrekonstruować ich pierwsze spotkanie. Stał wtedy na podwórzu przed jej domem, a ona szła w jego stronę krokiem baleriny. Czy po tylu latach dobrze to pamiętał? Pierwsze spojrzenie, pierwsze słowa, pierwszy pocałunek. Może zmyślanie na ten temat jest nieuniknione, zaczyna się po trochu, aż w końcu staje się to opowieścią, zawierającą logikę, ciężar i sens, mówiącą, że cały czas zmierzali właśnie tutaj, którą powtarzali sobie nawzajem niczym rytuał plemienny ich dwojga tak długo, aż w końcu w nią uwierzyli. Dlatego kiedy to zniknęło, kiedy urwała się opowieść o Rakel i Harrym, to w co miał wierzyć?

Zapalił papierosa.

Zaciągnął się, wydmuchał dym i patrzył, jak wijąc się, sunie w stronę czujnika i tam rozwiewa.

Zniknąć.

Ręka wsunęła się do kieszeni, objęła zimny wyłączony telefon.

Niech to wszyscy diabli.

Powołanie, tak mówił Steffens. Czy to właśnie to? Kiedy wybiera się pracę, której się nienawidzi, bo człowiek wie, że jest w niej najlepszy? *Coś, do czego możesz się przydać.* Działające autodestrukcyjnie zwierzę stadne. A może jednak rację miał Oleg. Osobista żądza chwały. Pragnienie, by błyszczeć. Nawet wówczas, gdy jego ukochana leży tu i więdnie. No cóż, nigdy nie zauważył u siebie głębokiego poczucia odpowiedzialności za społeczeństwo, a uznanie kolegów czy opinii publicznej też nie miało wielkiego znaczenia. Co więc zostawało?

Zostawał Valentin. Zostawało polowanie.

Rozległy się dwa puknięcia, drzwi cicho się uchyliły. Bjørn Holm wślizgnął się do środka i usiadł na wolnym krześle.

– Palenie w szpitalu – powiedział. – Za to grozi chyba sześć lat.

– Dwa. – Harry podsunął mu papierosa. – Wyświadczysz mi tę przysługę i będziesz współwinnym?

Bjørn ruchem głowy wskazał na Rakel.

– Nie boisz się, że ona dostanie raka płuc?

– Rakel uwielbia bierne palenie. Podoba jej się to, ponieważ nic nie kosztuje, a poza tym uważa, że mój organizm zdąży wchłonąć większość szkodliwych substancji, zanim wydmucham dym. Jestem dla niej połączeniem portfela z filtrem.

Bjørn się zaciągnął.

– Twoja poczta głosowa powiedziała mi, że masz wyłączony telefon, więc doszedłem do wniosku, że jesteś tutaj.

– Mhm. Zawsze miałeś niezłe jak na technika rozwiniętą zdolność dedukcji.

– Dziękuję. A tak w ogóle to jak tam?

– Dyskutują o wybudzeniu jej ze śpiączki. Postanowiłem uznać to za dobrą wiadomość. Masz coś pilnego?

– Żaden z tych, których przesłuchaliśmy w łaźni, nie rozpoznał Valentina na portrecie pamięciowym. Facet, który siedział za kontuarem, powiedział, że o tej porze wiele osób przychodzi i wychodzi, ale przypuszcza, że naszym człowiekiem może być typ, który zjawia się w płaszczu narzuconym na szlafrok, w czapce z daszkiem nasuniętej na oczy i zawsze płaci gotówką.

– Żeby płatność nie zostawiła śladów elektronicznych. Szlafrok po to, żeby nikt nie zobaczył tatuażu, kiedy będzie się przebierał. A jak wrócił z łaźni do domu?

– Jeśli przyjechał samochodem, to musiał mieć w kieszeni szlafroka kluczyki, ewentualnie pieniądze na autobus. Bo w ubraniu, które zostało w szatni, nie było absolutnie nic. Nawet paprocha w kieszeniach. Na pewno znajdziemy na nim DNA, ale pachniało proszkiem do prania. Wydaje mi się, że nawet płaszcz został wyprany w pralce.

– To pasuje do tej maniakalnej czystości w miejscach zbrodni. A zabranie ze sobą kluczyków albo pieniędzy do sauny parowej wskazuje na przygotowanie do szybkiego odwrotu.

– Owszem. Żadnych świadków, którzy widzieli mężczyznę w szlafroku na ulicach Sagene, więc raczej nie wsiadł do autobusu.

– Miał samochód zaparkowany tuż przy tylnym wyjściu. To nie przypadek, że udało mu się pozostać na wolności przez całe trzy lata. On jest po prostu dobry.

– Harry potarł kark. – No cóż, wystraszyliśmy go. Co teraz?

– Sprawdzamy nagrania z monitoringu w sklepach i na stacjach benzynowych w okolicy. Wypatrujemy czapki z daszkiem i szlafroka wystającego spod płaszcza. Zresztą jutro rano potnę ten płaszcz. W podszewce była malusieńka dziurka, więc może zaplątał się gdzieś jakiś drobiazg.

– On unika kamer monitoringu.

– Tak sądzisz?

– Tak. Jeśli zobaczymy go na jakimś nagraniu, to dlatego, że sam tego chciał.

– Pewnie masz rację. – Bjørn Holm rozpiął parkę. Jego blade czoło było mokre od potu.

Harry dmuchnął dymem w stronę Rakel.

– O co chodzi, Bjørn?

– O czym mówisz?

– Nie musiałeś przychodzić aż tutaj, żeby złożyć mi ten raport.

Bjørn nie odpowiedział. Harry czekał. Maszyna cały czas popiskiwała.

– Chodzi o Katrine – odezwał się wreszcie Bjørn. – Nie rozumiem tego. W rejestrze połączeń widziałem, że dzwoniła do mnie wczoraj w nocy, ale kiedy oddzwoniłem, powiedziała, że coś musiało jej się nacisnąć przez przypadek.

– I?

– O trzeciej w nocy? Przecież nie śpi na telefonie.

– To dlaczego jej o to nie spytałeś?

– Nie chciałem się narzucać. Ona potrzebuje czasu. Przestrzeni. Jest trochę taka jak ty. – Bjørn znów wziął papierosa od Harry'ego.

– Jak ja?

– Outsiderka.

Bjørn już miał się zaciągnąć, ale Harry zabrał mu papierosa.

– Przecież jesteś outsiderem – upierał się Bjørn.

– Czego chcesz?

– Wariuję od tego, że nic nie wiem. Dlatego pomyślałem... – Bjørn energicznie podrapał się w bak. – Ty i Katrine się przyjaźnicie, nie mógłbyś...

– Sprawdzić, jak to wygląda z jej strony?

– Mniej więcej. Muszę ją odzyskać, Harry.

Harry zgasił papierosa na nodze od krzesła. Spojrzał na Rakel.

– Oczywiście. Porozmawiam z Katrine.

– Tylko tak, żeby ona...

– Nie zrozumiała, że to ty mnie o to prosiłeś.

– Dzięki. Jesteś dobrym przyjacielem, Harry.

– Ja? – Harry schował peta do paczki z papierosami. – Ja jestem outsiderem.

Po wyjściu Bjørna Harry zamknął oczy. Wsłuchał się w maszyny. W odliczanie w dół.

24 WTOREK, WIECZÓR

Nazywał się Olsen i prowadził knajpę U Olsena, ale lokal już nosił tę nazwę, kiedy go przejmował ponad dwadzieścia lat temu. Niektórzy uważali, że to nieprawdopodobny zbieg okoliczności, lecz na ile to było nieprawdopodobne, skoro nieprawdopodobne rzeczy dzieją się ciągle, codziennie, w każdej sekundzie? Ktoś przecież musi trafić szóstkę w lotto, to jedno jest absolutnie pewne. A mimo to osoba, która wygrywa, uważa, że to nie tylko nieprawdopodobne, ale że to cud. Dlatego Olsen nie wierzył w cuda. To jednak był przypadek graniczny: właśnie weszła Ulla Henriksen i usiadła przy stoliku Trulsa Berntsena, przy którym sam Truls siedział już od dwudziestu minut. Cud polegał na tym, że to była randka. Co do tego Olsen nie miał najmniejszych wątpliwości, bo od ponad dwudziestu lat obserwował zdenerwowanych mężczyzn przestępujących z nogi na nogę albo bębniących palcami o blat stolika w oczekiwaniu na dziewczyny z marzeń. Cud polegał na tym, że Ulla Henriksen w młodości była najładniejszą dziewczyną na całym Manglerud, a Truls Berntsen – największym durniem i przegranym spośród tych, którzy wałęsali się wokół centrum handlowego Manglerud i przychodzili do Olsena. Truls, czy raczej Beavis, był cieniem Mikaela Bellmana, który też nie zajmował żadnego z czołowych miejsc na liście popularności, ale Mikael miał po swojej stronie przynajmniej urodę i wygadanie, no i udało mu się sprzątnąć sprzed nosa hokejowcom i motocyklistom dziewczynę, do której wszyscy się ślinili. A potem jeszcze został komendantem miejskiej policji, więc musiał coś w sobie mieć. W przeciwieństwie do Trulsa Berntsena. Kiedy raz się zostało przegranym, to jest się nim już na zawsze.

Olsen podszedł do stolika, żeby przyjąć zamówienie i co nieco podsłuchać, o czym toczy się rozmowa na takiej nieprawdopodobnej randce.

– Przeszedłem trochę wcześniej – powiedział Truls i ruchem głowy wskazał na stojącą przed nim prawie całkiem już opróżnioną półlitrową szklankę piwa.

– To ja się spóźniłam. – Ulla przełożyła nad głową pasek torebki i rozpięła płaszcz. – Mało brakowało, a w ogóle bym nie przyszła.

– Tak? – Truls wypił pospiesznie łyk, żeby ukryć, jaki jest roztrzęsiony.

– Tak, to... to nie jest takie proste, Truls. – Uśmiechnęła się przelotnie. Zauważyła Olsena, który bezszelestnie pojawił się za jej plecami. – Ja trochę poczekam, dobrze? – powiedziała, więc Olsen się oddalił.

Poczekaj, pomyślał Truls. Zobaczysz, jak sytuacja się rozwinie? Ucieknij, jeśli zmieni zdanie? Jeśli okaże się, że on nie potrafi sprostać jej oczekiwaniom? Ale jakie to mogły być oczekiwania? Przecież praktycznie wychowywali się razem.

Ulla się rozejrzała.

– Boże, ostatnio byłam tu na spotkaniu klasowym dziesięć lat temu, pamiętasz?

– Nie – odparł Truls. – Ja nie przyszedłem.

Zaczęła skubać palcami rękawy swetra.

– Straszna jest ta sprawa, nad którą teraz pracujecie. Szkoda, że go dzisiaj nie złapaliście. Mikael opowiadał mi, co się stało.

– Aha – mruknął Truls. Mikael. A więc na samym wstępie wyciągnęła Mikaela i trzymała go przed sobą jak tarczę. Była po prostu zdenerwowana czy może nie wiedziała, czego chce? – A co ci powiedział?

– Że Harry Hole wykorzystał barmana, który widział mordercę przed pierwszym zabójstwem. Mikael był bardzo zagniewany.

– Barmana z baru Jealousy?

– Chyba tak.

– A do czego go wykorzystał?

– Ten człowiek siedział w łaźni tureckiej i wypatrywał mordercy. Nie wiedziałeś o tym?

– Dzisiaj... pracowałem przy innych zabójstwach.

– Ach tak? Wszystko jedno. Miło cię widzieć. Nie zostanę długo, ale...

– Na tyle długo, że mogę zamówić jeszcze jedno piwo?

Zauważył jej wahanie. Niech to szlag.

– Chodzi o dzieci? – spytał.

– Co?

– Chorują?

Dostrzegł jej chwilowe zagubienie, zanim chwyciła boję ratunkową, którą jej rzucił. Którą rzucił obojgu.

– Najmłodszy jest trochę przeziębiony. – Wzdrygnęła się, wyglądała tak, jakby miała ochotę cała schować się w swetrze. Nie przestawała się rozglądać. Zajęte były jeszcze trzy inne stoliki. Truls domyślił się, że Ulla nie zna żadnej z osób, które przy nich siedziały, w każdym razie po przeprowadzonym skanowaniu wydawała się odrobinę bardziej rozluźniona.

– Posłuchaj, Truls...

– Tak?

– Mogę cię spytać o jedną dziwną rzecz?

– Oczywiście.

– Czego ty chcesz?

– Czego chcę? – Wypił jeszcze jeden łyk, żeby zyskać czas do namysłu. – Masz na myśli w tej chwili?

– Chodzi mi o to, czego pragniesz. Czego pragniemy.

Pragnę cię rozebrać, posuwać i słuchać, jak błagasz o więcej, pomyślał Truls. A później chciałbym, żebyś poszła do lodówki, otworzyła dla mnie zimne piwo, położyła się w moich objęciach i powiedziała, że rzucasz dla mnie wszystko. Dzieci, Mikaela, ten twój cholerny dom, w którym wylałem taras, wszystko. Tylko po to, żeby móc być ze mną, z Trulsem Berntsenem, bo po tym wszystkim niemożliwy jest już powrót do czegoś innego, że liczę się tylko ja, ja, ja. I żebyśmy znów się pieprzyli.

– Chyba tego, żeby nas doceniano, prawda? – podsunęła.

Truls przełknął ślinę.

– Jasne.

– Żeby doceniali nas ci, których kochamy. Inni nie są tacy ważni, mam rację?

Truls poczuł, że rysy jego twarzy układają się w dziwną minę, ale sam nie wiedział, co ona ma oznaczać.

Ulla nachyliła się i zniżyła głos:

– A od czasu do czasu, kiedy uważamy, że nas nie doceniono, tylko zdeptano, pojawia się ochota, żeby odpłacić komuś tą samą monetą i też kogoś zdeptać, prawda?

– Owszem – przyznał Truls. – Tak może być.

– Ale ta ochota znika, kiedy tylko zrozumiemy, że jednak nas cenią. I wiesz, dziś wieczorem Mikael powiedział, że mnie kocha. Między wierszami, nie wprost, ale... – Przygryzła dolną wargę, tę cudowną, pełną krwi dolną wargę, w którą Truls zawsze się wpatrywał, odkąd mieli po szesnaście lat. – Więcej nie trzeba, Truls. Czy to nie dziwne?

– Bardzo. – Truls zajął do swojej pustej szklanki. I zaczął się zastanawiać, jak sformułować to, o czym myślał. Że czasami kiedy ktoś mówi, że kocha, i tak nie ma to kompletnie żadnego znaczenia. Zwłaszcza kiedy mówi to pieprzony Mikael Bellman.

– Chyba mój najmłodszy nie może już dłużej na mnie czekać.

Truls podniósł głowę i zobaczył, że Ulla spogląda na zegarek z zatroskaną miną.

– Jasne – powiedział.

– Naprawdę mam nadzieję, że następnym razem będziemy mieć więcej czasu.

Truls zdołał się powstrzymać od pytania, kiedy to może być. Wstał i postarał się nie obejmować jej dłużej niż ona jego. A gdy drzwi wejściowe się za nią zamknęły,

z powrotem ciężko opadł na krzesło. Poczł nadciągającą wściekłość. Lepką, bolesną, a zarazem przyjemną wściekłość.

– Jeszcze jedno piwo? – Olsen znów pojawił się bezszelestnie.

– Tak. Albo nie. Muszę zadzwonić. Czy to ciągle działa? – Skinął głową w stronę boksu ze szklanymi drzwiami. Mikael twierdził, że zerznął w nim Stine Michaelsen na stojąco podczas imprezy maturalnej, kiedy było tak tłoczno, że nikt nie widział, co się dzieje na wysokości poniżej piersi. A już na pewno nie widziała tego Ulla, która stała w kolejce do baru po piwo dla nich.

– Oczywiście.

Truls wszedł do małego pomieszczenia i odszukał numer w swojej komórce.

Potem wybrał ten sam numer, wciskając kwadratowe guziki z błyszczącego metalu w aparacie na monety.

Czekał. Był ubrany w obcisłą koszulę, która miała podkreślić powiększoną muskulaturę klatki piersiowej, większe bicepsy i węższą talię, niż prawdopodobnie zapamiętała Ulla. Ale ona ledwie na niego spojrzała. Truls nadał się i poczuł, że barkami dotyka ścianek po obu stronach boksu. Tu było jeszcze ciaśniej niż w tym cholernym pokoju, w którym go dzisiaj upchnęli.

Bellman. Bratt. Wyller. Hole. Niech wszyscy oni smaą się w piekle.

– Mona Daa, słucham.

– Tu Berntsen. Ile zapłacisz, żeby się dowiedzieć, co właściwie wydarzyło się dzisiaj w łaźni?

– Masz już jakiś nagłówek?

– Jasne. „Aby złapać Valentina Gjertsen, policja w Oslo naraża życie niewinnego barmana”

– Na pewno się dogadamy.

Wytarł parę z lustra w łazience i zaczął się sobie przyglądać.

– Kim jesteś? – szepnął. – Kim jesteś?

Zamknął oczy. Znów je otworzył.

– Jestem Alexander Dreyer. Ale mów mi po prostu Alex.

Z salonu dobiegł historyczny śmiech, odgłos jakiejś maszyny albo helikoptera i przerażone krzyki oznaczające przejście między *Speak To Me* a *Breathe*. Właśnie te krzyki usiłował wywołać, ale żadna nie chciała krzyżeć w taki właśnie sposób.

Para prawie całkiem zniknęła z lustra. Nareszcie był czysty. I mógł zobaczyć tatuaż. Wiele osób, zwłaszcza kobiet, pytało go, dlaczego wybrał sobie akurat demona jako rysunek na skórze. Jakby to on go wybrał. Oni nic nie wiedzieli. Nie wiedzieli nic o nim.

– Kim jesteś, Alex? Pracuję w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Storebrand. Nie, nie chcę rozmawiać o ubezpieczeniach. Porozmawiajmy raczej o tobie. Czym się zajmujesz, Tone? Będziesz dla mnie krzyżeć, jeśli odetnę ci sutki i je zjem?

Z łazienki przeszedł do salonu i spojrzął na zdjęcie leżące na biurku obok białego klucza. Tone. Na Tinderze była od dwóch lat, a mieszkała na Professor Dahls gate. Pracowała w gospodarstwie ogrodniczym i była niezbyt ładna. Trochę za tłusta. Wolał szczuplejsze. Takie jak Marte. Podobała mu się. Do twarzy jej było z tymi piegami.

No ale ma być Tone. Pogładził dłonią czerwoną rękojeść rewolweru.

Plany się nie zmieniły, chociaż mało brakowało, a dałby się dzisiaj złapać. Nie rozpoznał faceta, który wszedł do *hararet*, ale wyraźnie było widać, że gość rozpoznał jego. Żrenice mu się rozszerzyły, a puls przyspieszył w dosłownie widoczny sposób, facet znieruchomiał w rzadszej parze tuż przy drzwiach, jakby go sparaliżowało, zanim się stamtąd wymknął. Ale wcześniej powietrze zdążyło się nasycić zapachem jego strachu.

Samochód jak zwykle stał zaparkowany przy chodniku w odległości mniejszej niż sto metrów od tylnego wyjścia z łazienki prowadzącego na mało uczęszczaną ulicę. Oczywiście nigdy nie odwiedzałyby regularnie łazienki niegwarantującej takiej drogi ucieczki. Ani dostatecznie czystej. Nie wszedłby też do łazienki bez kluczyków w kieszeni szlafroka.

Zastanawiał się, czy zastrzelić Tone z rewolweru po tym, jak ją ugryzie. Jedynie po to, żeby wprowadzić trochę zamieszania. Zobaczyć, jakie to wywoła nagłówki. Ale złamałby zasady. A ten drugi już się trochę zeźlił za złamanie zasad przy okazji kelnerki.

Przycisnął rewolwer do brzucha, aby poczuć dojmujący chłód stali, po czym go odłożył. Jak blisko był ten policjant? W „VG” napisali, że policja liczy na jakieś postanowienie sądu, które zmusi Facebook do ujawnienia adresów. On ani się na tym nie wyznawał, ani się tym nie martwił. To nie było zmartwienie Alexandra Dreyera czy Valentina Gjertsena. Matka mówiła, że dała mu imię po Rudolffie Valentino, pierwszym i największym amancie w historii filmu. Sama więc była sobie winna, że wybrała mu imię, któremu musiał sprostać. Początkowo niewiele ryzykował. Kiedy się bowiem gwałci dziewczynę, zanim samemu skończy się szesnaście lat, a ta szczęściara przekroczyła już dolną granicę wieku pozwalającego na seks, to ta dziewczyna jest dostatecznie dorosła, aby wiedzieć, że jeśli sąd dojdzie do wniosku, że to jednak nie był gwałt, tylko dobrowolny seks, to nie jemu, a jej grozi kara za molestowanie nieletniego. Po ukończeniu szesnastu lat ryzyko zawiadomienia policji się zwiększa. No chyba że zgwałci się tę, która nadała

ci imię po Rudolfie Valentino. Chociaż gwałt jak gwałt. Zaczęła się przed nim zamykać. Wówczas wytłumaczył jej, że albo ona, albo dziewczyny z sąsiedztwa, nauczycielki, ciotki lub przypadkowe ofiary na ulicy, więc znów zaczęła otwierać. Psycholodzy, którym to opowiadał, nie uwierzyli. No cóż, po jakimś czasie pewnie by do nich dotarło, do wszystkich.

Pink Floydzi przeszli do *On The Run*. Nerwowa perkusja, pulsujące syntezatory, odgłos biegnących, uciekających stóp. Uciekających przed policją. Przed kajdankami Harry'ego Hole. *Nieszczęsny zboczeniec*.

Sięgnął po stojącą na stole szklankę z lemoniadą. Wypił łyczek, spojrzał na nią. Potem cisnął nią o ścianę. Szklanka się stłukła, a żółty płyn spłynął po białej tapecie. Z sąsiedniego mieszkania dobiegło przekleństwo.

Przeszedł do sypialni. Sprawdził przypięte do ramy łóżka kajdanki na nogach i rękach. Spojrzał na piegowatą kelnerkę, która spała w jego pościeli. Oddech miała regularny. Narkotyk zadziałał tak, jak powinien. Czy coś jej się śniło? Może ten granatowoczarny mężczyzna? A może śnił się tylko jemu? Jeden z psychologów sugerował, że ten stale nawracający koszmar jest w istocie częściowo wypartym wspomnieniem z dzieciństwa, że to jego własny ojciec, którego widział siedzącego na matce. Oczywiście brednia, nigdy nie widział swojego ojca, który, według tego, co mówiła matka, zgwałcił ją tylko raz i wyparował. Trochę jak z Dziewicą Maryją i Duchem Świętym. Co z kolei robiło z niego Zbawiciela. Czemu nie? Tego, który wróci i będzie sądził.

Pogładził Martę po policzku. Dawno nie miał w łóżku prawdziwej żywej kobiety. Zdecydowanie wolał kelnerkę Holego od swojej stałej martwej japońskiej przyjaciółki. Naprawdę szkoda, że musi ją oddać. Szkoda, że nie może pofolgować woli demona, tylko musi słuchać tego drugiego głosu – głosu rozumu. Głos rozumu się rozzłościł. Instrukcje były szczegółowe. Las przy drodze na pustkowiu, na północny wschód od miasta.

Wrócił do salonu, usiadł w fotelu. Nagim ciałem, które wciąż lekko mrowiło po bardzo gorącym prysznicu, czuł przyjemną w dotyku gładką skórę obicia. Włączył nowy telefon, włożył do niego otrzymaną kartę SIM. Aplikacje Tindera i „VG” znajdowały się tuż obok siebie. Najpierw nacisnął „VG”. Czekał. Czas oczekiwania to element napięcia. Czy ciągle zajmował czołowe miejsce na stronie z wiadomościami? Świetnie rozumiał drugorzędnych celebrytów, którzy robili co mogli, byle tylko o nich napisano. Śpiewaczka gotująca z przypominającym klauna telewizyjnym kucharzem, ponieważ, jak sama zapewne uważała, musi być na bieżąco.

Z ponurą miną patrzył na niego Harry Hole.

Barman, który obsługiwał Elise Hermansen, wykorzystany przez policję. Stuknął w Czytaj więcej pod zdjęciem. Przesunął w dół.

Nasze źródła donoszą, że barman został umieszczony w łaźni tureckiej, aby tam szpiegować dla policji...

Facet z hararet. Człowiek policji. Człowiek Harry'ego Hole.

...ponieważ jest jedyną współpracującą z policją osobą, która z pewnością może zidentyfikować Valentina Gjertsena.

Wstał, obicie fotela odkleiło się od jego skóry z lekkim cmoknięciem. Wrócił do łazienki.

Spojrzał w lustro. Kim jesteś? Kim jesteś? Jesteś jedyny. Jesteś jedynym, który widział i zna tę twarz, na którą teraz patrzę.

Nie podano nazwiska, nie zamieszczono też zdjęcia w gazecie. A tamtego wieczoru, kiedy przyszedł do baru Jealousy, nie przyglądał się barmanowi, ponieważ kontakt wzrokowy zmusza do zapamiętywania. Ale teraz ten kontakt wzrokowy nawiązali. A on pamiętał. Przesunął palcem wzdłuż twarzy demona. To, co chciało się wydostać, musiało się wydostać.

*W salonie *On The Run* zakończyło się wyciem spadającego samolotu i śmiechem szaleńca, po czym samolot rozbił się w gwałtownej przeciągłej eksplozji.*

Valentin Gjertsen zamknął oczy i wyobraził sobie płomienie.

– Jakie ryzyko wiąże się z wybudzeniem? – spytał Harry, patrząc na Ukrzyżowanego, który wisiał nad głową ordynatora Steffensa.

– Na to pytanie jest wiele prawidłowych odpowiedzi – odparł Steffens. – I jedna prawdziwa.

– Czyli jaka?

– Że nie wiemy.

– Tak jak nie wiecie, co jej dolega.

– Tak.

– Mhm. Co wy właściwie wiecie?

– Jeśli pytasz ogólnie, to wiemy całkiem sporo. Ale gdyby ludzie mieli pojęcie, ilu rzeczy nie wiemy, toby się bali, Harry. Niepotrzebnie by się bali. Staramy się więc tego nie przekazywać.

– Naprawdę?

– Działamy w branży naprawczej, ale przede wszystkim w branży pocieszenia.

– To dlaczego mi o tym mówisz, Steffens? Dlaczego mnie nie pocieszasz?

– Ponieważ jestem w zasadzie pewien, że ty już wiesz, że prawda to iluzja. Jako

śledczy zajmujący się zabójstwami czasami również sprzedajesz coś innego, niż twierdzisz. Dajesz ludziom złudzenie, że sprawiedliwości staje się zadość, dajesz im poczucie porządku i bezpieczeństwa. Ale nie istnieje żadna idealna obiektywna prawda, tak jak nie istnieje prawdziwa sprawiedliwość.

– Czy ją coś boli?

– Nie.

Harry pokiwał głową.

– Mogę tu zapalić?

– W gabinecie lekarskim w publicznym szpitalu?

– To brzmi uspokajająco, skoro palenie jest tak szkodliwe, jak mówią.

Steffens się uśmiechnął.

– Jedna z pielęgniarek wspomniała mi, że sprzątaczkę znalazły popiół na podłodze pod łóżkiem w trzysta jeden. Wolałbym, żebyś palił na zewnątrz. A jak przyjmuje to twój syn?

Harry wzruszył ramionami.

– Jest smutny. I się boi. Jest zły.

– Widziałem, jak wchodził. Ma na imię Oleg, prawda? Został w trzysta jeden i nie chciał tutaj przyjść?

– Nie chciał tu przyjść ze mną. Nie chce ze mną rozmawiać. Uważa, że zdradzam Rakel, uczestnicząc w śledztwie, podczas gdy ona leży tutaj.

Steffens pokiwał głową.

– Młodość zawsze miała godną pozazdrosczenia pewność w swoich moralnych osądach. Chociaż niewykluczone, że zwiększone starania czy wysiłki policji nie zawsze są najskuteczniejszym sposobem zwalczania elementów przestępczych.

– Czyżby?

– Wiesz, co się przyczyniło do zmniejszenia przestępczości w Stanach w latach dziewięćdziesiątych?

Harry pokręcił głową, położył ręce na podłokietnikach i spojrzał na drzwi.

– Niech twój mózg zrobi sobie przerwę od tego, czym nieustannie się zajmuje – powiedział Steffens. – Zgaduj.

– To żadne zgadywanie – odparł Harry. – Powszechnie wiadomo, że to akcja „Zero tolerancji” wprowadzona przez burmistrza Giulianiego i właśnie zwiększone wysiłki policji.

– No i błąd. Bo wskaźniki przestępczości spadły nie tylko w Nowym Jorku, ale w całych Stanach. A właściwa odpowiedź to bardziej liberalne przepisy dotyczące aborcji, które wprowadzono w latach siedemdziesiątych. – Steffens odchylił się w fotelu i odczekał chwilę, pozwalając Harry’emu na samodzielne przeprowadzenie

rozumowania, po czym wygłosił wyjaśnienie: – Samotne rozwiązały kobiety uprawiają seks z mniej lub bardziej przypadkowymi mężczyznami znikającymi następnego dnia, a już na pewno wtedy, gdy zaczynają rozumieć, że kobieta zaszła w ciążę. Takie ciąży przez stulecia taśmowo produkowały przestępczy pomiot. Dzieci bez ojców, bez ram, z matkami pozbawionymi możliwości finansowych do zapewnienia im wykształcenia czy kręgosłupa moralnego, aby podążać ścieżką Boga. Te kobiety z radością uśmierciłyby swoje płody, gdyby nie ryzyko poniesienia za to kary. I nagle w latach siedemdziesiątych mogły to robić. Owoce tego holokaustu, który nastąpił w wyniku liberalnych ustaw aborcyjnych, Stany Zjednoczone zaczęły zbierać piętnaście – dwadzieścia lat później.

– Mhm. I co na to mormon? Czy może nim nie jesteś?

Steffens się uśmiechnął i złączył dłonie, stykając je opuszkami palców.

– Popieram Kościół w wielu sprawach, Hole, ale nie w kwestii sprzeciwiania się aborcji. Tu jestem za poganami. W latach dziewięćdziesiątych zwykli ludzie znów mogli chodzić ulicami amerykańskich miast, nie bojąc się, że zostaną obrabowani, zgwałceni albo zamordowani. Dlatego że ten, kto chciałby ich zamordować, już wcześniej został wyskrobany z łona matki, Hole. Ale nie popieram liberalnych pogan w żądaniu tak zwanej aborcji na własne życzenie. Posiadany przez płód potencjał dobra albo zła dwadzieścia lat później przyda się lub zaszkodzi społeczeństwu tak bardzo, że decyzja o aborcji powinna być podejmowana właśnie przez społeczeństwo, a nie przez nieodpowiedzialną kobietę, która włóczy się po mieście w poszukiwaniu partnera do łóżka na jedną noc.

Harry spojrzał na zegarek.

– Proponujesz aborcję regulowaną przez państwo?

– To oczywiście nie byłaby przyjemna praca, dlatego ktoś, kto by się tym zajmował, musiałby uważać to za... no cóż, za powołanie.

– Żartujesz sobie, prawda?

Steffens przez kilka chwil przytrzymał wzrok Harry'ego. W końcu się uśmiechnął.

– Oczywiście. W pełni wierzę w nienaruszalność jednostki.

Harry wstał.

– Spodziewam się, że powiadomicie mnie, kiedy będziecie ją budzić. Na pewno miło by było, gdyby w chwili wybudzenia zobaczyła znajomą twarz, prawda?

– To również przypuszczenie, Harry. Poproś Olega, żeby do mnie zajrzał, jeśli chce się czegoś dowiedzieć.

Harry wyszedł przed szpital. Drżąc na zimnie, dwa razy zaciągnął się dymem z papierosa, stwierdził, że mu nie smakuje, zgasił go i prędko wrócił do środka.

– Jak tam, Antonsen? – spytał policjanta dyżurującego przed pokojem 301.

– Dziękuję, jakoś leci. – Antonsen spojrzał na niego. – W „VG” jest twoje zdjęcie.

– Tak?

– Chcesz zobaczyć? – Antonsen wyjął swojego smartfona.

– Pod warunkiem że wyjątkowo dobrze się prezentuję.

Antonsen się roześmiał.

– No to chyba nie będziesz chciał go oglądać. Ale muszę powiedzieć, że tam u was w Wydziale Zabójstw jest niezła jazda. Dziewięćdziesięciolatek z wycelowanym w siebie pistoletem w łaźni i barman w roli szpiega.

Harry znieruchomiał z ręką na klawisze.

– Powtórz to ostatnie.

Antonsen, najwyraźniej dalekowidz, odsunął telefon od siebie i zmrużył oczy.

– *Barma...* – zdążył przeczytać na głos, zanim Harry wyrwał mu aparat.

Prędko przeskanował wzrokiem ekran.

– Jasny gwint! Masz tu samochód, Antonsen?

– Nie, jeżdżę rowerem. Oslo jest w zasadzie takie małe, no i człowiek ma trochę ruchu...

Harry rzucił mu smartfona na kolana i nagłym szarpnięciem otworzył drzwi do pokoju 301. Oleg podniósł wzrok na tyle, żeby skonstatować, że to Harry, i znów wbił oczy w książkę.

– Oleg, masz samochód, musisz mnie zawieźć na Grünerløkka. Natychmiast.

– Aha, na pewno! – prychnął chłopak, nie podnosząc głowy.

– To nie było pytanie, tylko rozkaz. Chodź.

– Rozkaz? – Twarz chłopaka wykrzywiła wściekłość. – Nie jesteś nawet moim ojcem! I całe szczęście.

– Miałeś rację. Rzeczywiście to stopień jest najważniejszy. *Me* – komisarz, *you* – student szkoły policyjnej, więc otrzyj łzy i rusz dupę.

Oleg tylko otworzył usta.

Harry się odwrócił i długimi krokami posunął korytarzem.

Mehmet Kalak, porzuciwszy Coldplay i U2, testował na klienteli Iana Huntera.

Z głośników waliło *All The Young Dudes*.

– No i jak? – spytał Mehmet.

– Nieźle, ale David Bowie robił to lepiej – odpowiedziała klientela. A konkretnie Øystein Eikeland, który zajął miejsce po zewnętrznej stronie baru, ponieważ jego praca dobiegła końca. Mieli lokal tylko dla siebie, więc Mehmet podkreślił gałkę głośności.

– Bez względu na to, jak głośno będziesz męczył Huntera! – krzyknął Øystein,

podnosząc szklankę z daiquiri.

To była już piąta. Uważał, że ponieważ sam je mieszał, należało je uznać za próby smakowe w związku z przyuczeniem do wykonywania zawodu barmana, a zatem również za koszty uzyskania, podlegające odliczeniu od dochodu. Skoro zaś dostawał je w specjalnej cenie dla personelu, ale zamierzał odpisywać od podatku pełną cenę, to wręcz na picciu zarabiał.

– Chciałbym już z tym skończyć, ale chyba muszę przygotować sobie jeszcze jednego, jeśli ma mi wystarczyć na czynsz – wybełkotał.

– Jesteś lepszym gościem niż barmanem – stwierdził Mehmet. – To nie znaczy, że jesteś fatalnym barmanem, tylko że jesteś najlepszym gościem, jakiego miałem...

– Bardzo ci dziękuję, mój kochany, ja...

– A teraz masz iść do domu.

– Mam iść?

– Tak. – Żeby to podkreślić, Mehmet wyłączył muzykę.

Øystein obrócił głowę i otworzył usta, jakby coś mu leżało na sercu i oczekiwał, że dzięki temu przemieni się to w słowa, ale tak się nie stało. Spróbował jeszcze raz, w końcu zamknął usta i już tylko kiwał głową. Zapiął swoją taksówkarską kurtkę, ześlizgnął się z barowego stołka i niepewnym krokiem ruszył do drzwi.

– A napiwek? – zawołał Mehmet ze śmiechem.

– Napiwek to nie są koszty uzys... uzysk... o nie.

Mehmet sięgnął po szklankę Øysteina, wpuścił do niej kroplę płynu do naczyń i umył pod kranem. Tego wieczoru nie było tylu ludzi, żeby sens miało uruchamianie zmywarki. Telefon leżący pod blatem kontuaru zaświecił, Mehmet zobaczył, że to Harry. A podczas gdy wycierał ręce, żeby odebrać, uświadomił sobie, że coś dziwnego stało się z czasem. Z czasem, jaki minął od chwili, gdy Øystein otworzył drzwi, do momentu, gdy znów się zamknęły. Ten czas był dłuższy niż zwykle. Ktoś musiał przez kilka sekund przytrzymać drzwi otwarte. Mehmet podniósł głowę.

– Spokojny wieczór? – spytał mężczyzna stojący przy barze.

Mehmet próbował nabrać tchu, żeby odpowiedzieć. Ale nie dał rady.

– Spokój jest dobry – stwierdził Valentin Gjertsen. Bo to był on. Mężczyzna z sauny parowej.

Mehmet w milczeniu wyciągnął rękę do telefonu.

– Jeśli będziesz tak miły i nie odbierzesz, wyświadczę ci przysługę.

Mehmet nie przystałby na tę propozycję, gdyby nie wycelowany w niego wielki rewolwer.

– Dziękuję, nie pożałujesz. – Mężczyzna się rozejrzał. – Szkoda, że nie masz gości.

To znaczy szkoda dla ciebie. Mnie to akurat bardzo odpowiada, ponieważ mogę liczyć na twoją pełną uwagę. Chociaż pewnie i tak bym się jej doczekał. Bo oczywiście bardzo chcesz wiedzieć, czego ja chcę. Czy chodzi mi o drinka, czy o twoje życie. Mam rację?

Mehmet powoli skinął głową.

– No tak. To ostatnie jest dość prawdopodobne, skoro jesteś jedyną żyjącą osobą, która może mnie zidentyfikować. To jest fakt, wiedziałeś o tym? Nawet chirurg plastyczny, który... No ale dość o tym. W każdym razie ponieważ nie odebrałeś telefonu, a po osobie odpowiedzialnej społecznie należało się spodziewać, że wyda mnie policji, to wyświadczę ci tę przysługę. Zgadzasz się?

Mehmet znów skinął głową. Cały czas usiłował nie dopuścić do siebie nieuchronnej myśli. O tym, że umrze. Jego mózg rozpaczliwie szukał innych możliwości, ale wracał stale do tego samego: umrze. Tymczasem jakby w odpowiedzi na jego myśli rozległo się stukanie w szybę przy drzwiach wejściowych. Mehmet przeniósł wzrok poza Valentina. Dwie ręce i znajoma twarz przyciśnięta do szyby, próbująca zajrzeć do środka. Wejść, do diabła, po prostu wejść!

– Nie ruszaj się – polecił Valentin ściszym głosem, nie odwracając się. Ciałem zasłaniał rewolwer tak, że osoba przy oknie nie mogła go zobaczyć.

Dlaczego ten człowiek po prostu nie wchodzi?

Odpowiedź Mehmet poznał już w następnej sekundzie. Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Valentin, wchodząc, przekręcił zamek.

Twarcą za oknem znów się pojawiła. Mehmet zobaczył, że przybysz wymachuje rękami, chcąc zwrócić na siebie uwagę. A więc najwyraźniej dostrzegł ich w środku.

– Nie ruszaj się, tylko zasygnalizuj, że zamknięte – nakazał Valentin. W jego głosie nie było ani śladu stresu.

Mehmet stał wyprostowany jak struna, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków.

– Szybko, bo cię zabiję!

– I tak to zrobisz.

– Nie możesz tego wiedzieć ze stuprocentową pewnością. Ale jeśli mnie nie posłuchasz, zabiję cię, przyrzekam. A potem tego na zewnątrz. Spójrz na mnie, obiecuję ci to.

Mehmet popatrzył na Valentina, przełknął ślinę. Przechylił się nieco na bok, tak żeby znaleźć się w świetle i żeby człowiek za oknem lepiej go widział, i pokręcił głową.

Twarcą pozostała widoczna jeszcze przez kilka sekund. Jakieś machnięcie ręką,

które niezbyt łatwo dało się dojrzeć. Po chwili Geir Sølle zniknął.

Valentin obserwował to w lustrze.

– No i już – powiedział. – Na czym stanęliśmy? Aha, na przysłudze. Będzie jedna dobra i jedna zła wiadomość. Oto ta zła: nieuchronna myśl o tym, że przyszedłem tu po twoje życie, jest tak nieuchronna, że... oznacza nieuchronność. Innymi słowy, osiągnęła sto procent pewności. Zabiję cię. – Valentin popatrzył na Mehmeta z żalem. Ale zaraz wybuchnął wesołym śmiechem. – Masz najsmutniejszą twarz, jaką dzisiaj widziałem. No i trochę to rozumiem, ale nie zapominaj o dobrej wiadomości. O przysłudze. Będziesz mógł wybrać sposób, w jaki umrzesz. Przedstawię ci teraz alternatywę, więc uważaj. Słuchasz mnie? To dobrze. Chcesz, żebym ci strzelił w głowę, czy wolisz mieć tę kaniulę wbitą w szyję? – Valentin wyjął coś przypominającego sporą słomkę do napojów, tyle że z metalu, z jednym końcem przyciętym ukośnie w ostry szpic.

Mehmet tylko patrzył na Valentina. Wszystko było tak absurdalne, że zaczął się zastanawiać, czy to nie jest po prostu sen, z którego wkrótce się obudzi. A może to stojącemu przed nim człowiekowi wszystko to się śniło? Nagle jednak Valentin wyciągnął rurkę w jego stronę, a wtedy Mehmet odruchowo cofnął się o krok i plecami uderzył o zlew.

Valentin cmoknął.

– To znaczy, że nie chcesz kaniuli?

Mehmet ostrożnie pokręcił głową, patrząc, jak metalowa zaostzona końcówka migocze w blasku lampy z półki przy lustrze. Zastrzyki. Zawsze tak strasznie się ich bał. Bał się przebijania skóry i wprowadzania czegoś w ciało, właśnie dlatego jako chłopiec uciekał z domu i chował się w lesie, kiedy miał być zaszczepiony.

– Umowa to umowa, nie będzie kaniuli. – Valentin odłożył ją na kontuar i wyjął z kieszeni parę czarnych, archaicznych kajdanek, przy czym lufa rewolweru nawet na centymetr nie odchyliła się od Mehmeta. – Przełoż je za tą metalową rurą przy półce. Zatrzaśnij na nadgarstkach, a głowę włóż do zlewu.

– Ale...

Mehmet nie zauważył ciosu. Zarejestrował jedynie trzask w głowie, potem chwilę ciemności, a później, kiedy już odzyskał zdolność widzenia, że wzrok ma skierowany w inną stronę. Zrozumiał, że został uderzony rewolwerem, a tym, czego ucisk czuł teraz na skroni, jest lufa.

– Jednak wybrałeś kaniulę – szepnął głos przy jego uchu.

Mehmet chwycił te dziwne ciężkie kajdanki i przełożył je za metalowym drążkiem. Zamknął je wokół własnych nadgarstków. Czuł, że coś ciepłego spływa mu po nosie i górnej wardze. Słodki, metaliczny smak krwi.

– Dobrze? – spytał Valentin jasnym głosem.

Mehmet podniósł wzrok i napotkał jego spojrzenie w lustrze.

– Osobiście go nie znoszę. – Valentin się uśmiechnął. – Ma smak żelaza i lania. Właśnie tak: żelaza i lania. Jeszcze własna krew jest do przejścia, ale cudza? Czuje się smak tego, co jedli. À propos jedzenia, czy skazany na śmierć ma jakieś ostatnie życzenie? Co prawda nie mam zamiaru serwować ci posiłku, pytam wyłącznie z czystej ciekawości.

Mehmet zamrugał. Ostatnie życzenie? Słowa jakby do niego nie docierały, ale mimo wszystko myśli niczym we śnie bezwolnie podążyły drogą wytyczoną przez pytanie. Pragnął, żeby bar Jealousy stał się kiedyś najfajniejszym miejscem w Oslo. Żeby drużyna Beşiktaş wygrała kolejkę. Żeby na pogrzebie zagrali mu *Ready for Love* Paula Rodgersa. Coś jeszcze? Próbował coś wymyślić, ale nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Poczuł, że wzbiera w nim bolesny śmiech.

* * *

Zbliżając się do baru Jealousy, Harry zauważył postać, która się stamtąd oddalała. Na chodnik padało światło z dużego okna wychodzącego na ulicę, ale nie słyszał żadnej dobiegającej ze środka muzyki. Podeszedł do krawędzi szyby i zajrzał do wewnątrz. Dostrzegł czyjeś plecy za kontuarem, ale trudno było stwierdzić, czy to Mehmet. Poza tą osobą bar wydawał się pusty. Harry podsunął się do drzwi i delikatnie nacisnął klamkę. Zamknięte. A przecież bar był czynny do północy.

Wyjął breloczek z plastikowym złamanym sercem, ostrożnie włożył klucz do zamka i prawą ręką wyciągnął glocka 17, jednocześnie lewą obracając klucz i otwierając drzwi. Do środka wszedł z pistoletem już w obu rękach, nogę wykorzystując do spokojnego zamknięcia drzwi. Ale do lokalu zdążyły wpaść wieczorne odgłosy dzielnicy Grünerløkka, a wtedy stojąca tyłem postać za barem wyprostowała się i spojrzała w lustro.

– Policja – powiedział Harry. – Nie ruszaj się!

– Harry Hole. – Postać była w czapce z daszkiem, a ką, pod jakim odbijała się w lustrze, nie pozwolił Harry’emu zobaczyć twarzy, ale wcale nie musiał jej widzieć. Minęły już ponad trzy lata, odkąd słyszał ten wysoki głos, a mimo to miał wrażenie, jakby to było wczoraj.

– Valentin Gjertsen. – Harry usłyszał drzenie we własnym głosie.

– Nareszcie znów się spotykamy, Harry. Myślałem o tobie. A ty o mnie?

– Gdzie Mehmet?

– Jesteś podekscytowany, więc musiałeś o mnie myśleć. – Ten jasny śmiech. –

Dlaczego? Ze względu na listę moich osiągnięć? Czy raczej ofiar, jak je nazywacie. Nie, nie, chwileczkę. Oczywiście, chodzi o listę osiągnięć, ale twoich. Jestem tym, którego nigdy nie udało ci się złapać, prawda?

Harry nie odpowiedział, dalej stał przy drzwiach.

– To irytujące, mam rację? No i świetnie. Właśnie dlatego jesteś taki dobry. Jesteś taki jak ja, Harry, nie możesz tego wytrzymać.

– Nie jestem taki jak ty, Valentin. – Harry inaczej ujął pistolet, wycelował, zastanawiając się, dlaczego nie podchodzi bliżej.

– Nie? Nie potrafisz odpuścić, nawet dla najbliższych, prawda? Masz *eyes on the prize*, Harry. Spójrz na siebie. Zależy ci wyłącznie na trofeach, bez względu na cenę. Cudze życie czy twoje własne – gdybyś był całkiem szczerzy, przyznałbyś, że mają jedynie drugorzędne znaczenie, prawda? Ty i ja powinniśmy razem usiąść i lepiej się poznać, Harry. Bo nie mamy okazji spotkać wielu takich jak my.

– Zamknij się, Valentin! Stań nieruchomo, ręce podnieś do góry tak, żebym je widział, i powiedz mi, gdzie jest Mehmet.

– Jeżeli Mehmet to imię twojego szpiega, to muszę się ruszyć, żeby ci pokazać, gdzie jest. Wtedy sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, od razu stanie się jaśniejsza.

Valentin Gjertsen przesunął się w bok. Mehmet pół stał, pół zwisał na rękach przykutych do metalowego drążka biegnącego poziomo nad barowym lustrem. Głowę miał spuszczone nad zlewem, długie, czarne, kręcone włosy zasłaniały mu twarz. Valentin trzymał rewolwer z długą lufą przyłożony do jego potylicy.

– Zostań tam, gdzie jesteś, Harry. Jak widzisz, osiągnęliśmy interesującą równowagę terroru. Z miejsca, w którym stoisz, jest do mnie jakieś osiem – dziesięć metrów. Szanse na to, że twój pierwszy strzał wyłączy mnie z gry do tego stopnia, że nie zdążę zabić Mehmeta, są dość małe, zgodzisz się ze mną? Natomiast jeśli pierwszy strzelę do Mehmeta, zdążysz oddać do mnie co najmniej dwa strzały, zanim wyceluję w ciebie. To dla mnie gorsze. Innymi słowy, mamy sytuację patową. Z obu stron przegraną. Dlatego pytanie powinno zabrzmieć tak, Harry: czy jesteś skłonny poświęcić swojego szpiega, żeby schwytać mnie teraz? Czy też raczej go ocalimy, a ty będziesz mógł łapać mnie później? Co ty na to?

Harry patrzył na Valentina przez muszkę swojego pistoletu. Gjertsen miał rację. Było za ciemno, a odległość zbyt duża, aby mieć pewność, że trafi w głowę.

– Odczytuję twoje milczenie jako zgodę, Harry. A ponieważ mam wrażenie, że z daleka już słychać syreny policyjne, przypuszczam, że zostało nam niewiele czasu.

Harry wcześniej rozważał, czy nie kazać oddziałom podjechać po cichu, ale wtedy pojawiłyby się później.

– Odłóż pistolet, Harry, a ja teraz stąd wyjdę.

Harry pokręcił głową.

– Przyszedłeś tutaj, ponieważ on zobaczył twoją twarz. Więc najpierw zastrzelisz jego, a potem mnie, bo ja też zobaczę, jak wyglądasz.

– No to przedstaw w ciągu pięciu sekund lepszą propozycję, bo inaczej go zastrzelę, stawiając na to, że spudłujesz, zanim trafię w ciebie.

– Proponuję dalszą równowagę terroru – odparł Harry. – Ale przy zrównoważonym rozbrojeniu.

– Usiłujesz przeciągnąć czas, ale odliczanie w dół już się zaczęło. Cztery, trzy...

– Obaj równocześnie odwracamy giwery i trzymamy je za lufy w prawych rękach, tak żeby rękojeści i spusty były widoczne.

– Dwa...

– Ty przesuwasz się w stronę drzwi wejściowych wzdłuż tej ściany, a ja w takim samym tempie wzdłuż boksów w stronę baru po przeciwnej stronie.

– Jeden...

– Odległość między nami cały czas będzie taka sama jak teraz i żaden nie będzie mógł strzelić, licząc na brak reakcji drugiego.

W barze zapadła cisza. Syreny się przybliżyły. A jeśli Oleg zrobił tak, jak mu Harry powiedział, to znaczy rozkazał, to ciągle siedział w samochodzie dwa kwartały dalej i nie ruszał się stamtąd na krok.

Nagle światło zgasło i Harry zrozumiał, że to Valentin przekręcił wyłącznik za kontuarem. I gdy wreszcie po raz pierwszy odwrócił się w stronę Harry'ego, w barze było za ciemno, aby Harry mógł dostrzec jego twarz pod czapką z daszkiem.

– Na trzy odwracamy broń – powiedział Valentin, unosząc ręce. – Raz, dwa... trzy!

Harry chwycił rękojeść lewą dłonią, a prawą złapał za lufę. Uniósł pistolet wysoko, zobaczył, że Valentin robi to samo. Wyglądało to, jakby podniósł chorągiewkę w dziecięcym pochodzie z okazji święta narodowego 17 Maja – charakterystyczna czerwona rękojeść rugera redhawka sterczała z długiej lufy rewolweru.

– Sam widzisz – odezwał się Valentin. – Któż inny niż dwaj mężczyźni, którzy naprawdę się rozumieją, mógłby zrealizować coś takiego? Lubię cię, Harry. Naprawdę cię lubię. No, zaczynamy się przemieszczać...

Valentin ruszył w stronę ściany, natomiast Harry kierował się ku boksom. Było tak cicho, że Harry słyszał skrzypienie butów Valentina, kiedy obaj zataczali półkole, pilnując się nawzajem jak dwaj gladiatorzy, którzy wiedzą, że pierwszy gwałtowny ruch będzie oznaczał śmierć co najmniej jednego z nich. Harry zrozumiał, że dotarł

do kontuaru, kiedy usłyszał warkot lodówki, miarowe kapanie do zlewu i przypominający owadzie bzyczenie odgłos wzmacniacza. W ciemności pomacał ręką, nie spuszczać z oczu sylwetki rysującej się na tle świateł na zewnątrz. W końcu znalazł się za kontuarem i usłyszał wdzierające się do środka dźwięki ulicy, gdy otworzyły się drzwi wejściowe, oraz odgłos oddalających się pośpiesznie kroków.

Wyjął z kieszeni telefon i przyłożył go do ucha.

– Słyszałeś?

– Słyszałem wszystko – odparł Oleg. – Poinformuję patrol. Rysopis?

– Krótka czarna kurtka, ciemne spodnie, czapka z daszkiem bez logo, którą na pewno już zdążył wyrzucić. Twarzy nie widziałem. Pobiegnął w lewo, w stronę Thorvald Meyers gate, czyli...

– ...czyli tam, gdzie najwięcej ludzi i największy ruch. Przekażę.

Harry schował telefon do kieszeni i położył rękę na ramieniu Mehmeta. Żadnej reakcji.

– Mehmet...

Nie słyszał już lodówki ani wzmacniacza. Tylko regularne kapanie. Przekręcił wyłącznik światła. Zacisnął dłoń na lokach Mehmeta i delikatnie uniósł jego głowę znad zlewu. Twarz była blada. Zbyt blada.

Coś sterczało z jego szyi.

Wyglądało jak metalowa słomka. Z jej końca krew ciągle skapywała do zlewu, który już zdążył się zatkać.

25 WTOREK, NOC

Katrine Bratt wyskoczyła z samochodu i skierowała się ku taśmom odgradzającym wejście do baru Jealousy. Dostrzegła mężczyznę, który palił papierosa, opierając się o jeden z radiowozów. Obracające się niebieskie światło na zmianę to oświetlało, to kryło w cieniu jego brzydtko-piękną twarz. Katrine wzdrygnęła się i podeszła do niego.

– Zimno – powiedziała.

– Nadciąga zima. – Harry wydmuchał dym, który na moment podświetlił niebieski błysk.

– To Emilia nadciąga.

– Mhm. Całkiem o niej zapomniałem.

– Mówią, że uderzy w Oslo już jutro.

– Mhm.

Katrine wydawało się, że widziała już wszystkie możliwe wersje Harry'ego. Ale nigdy nie widziała tej. Pustej, załamanej, zrezygnowanej. Miała ochotę pogłaskać go po policzku i przytulić. Ale nie mogła. Było tyle powodów, dla których nie mogła tego zrobić.

– Co się tam wydarzyło?

– Valentin miał rugera redhawka i zdołał mnie przekonać, że prowadzę negocjacje o ludzkie życie. Ale Mehmet już nie żył, kiedy tam wszedłem. Miał metalową rurkę wbity w tętnicę szyjną. Wykrwawił się jak jakaś pieprzona ryba. Tylko dlatego, że on... że ja... – Harry zaczął szybko mrugać i urwał, niby dlatego, że musiał zdjąć z języka kawałek tytoniu.

Katrine nie wiedziała, co powiedzieć. Więc się nie odzywała. Stała tylko i patrzyła na znajome czarne volvo amazon z paskiem rajdowym, które zaparkowało po drugiej stronie ulicy. Wsiadł z niego Bjørn, a Katrine serce podskoczyło w piersi na widok tej całej Lien otwierającej drzwi z drugiej strony. Co szefowa Bjørna robiła tutaj, w miejscu zdarzenia? Czyżby zaproponował jej romantyczne oprowadzanie po najciekawszych punktach miejsca zbrodni? Do diabła z tym!

Bjørn ich dostrzegł, Katrine zobaczyła, że kieruje się w ich stronę.

– Wchodzę do środka, pogadamy później – rzuciła do Harry'ego, przeszła pod taśmą i szybko ruszyła do drzwi pod szyldem z plastikowym złamanym sercem.

– Jesteś – powiedział Bjørn. – Próbowałem cię złapać przez cały wieczór.

– Byłem – Harry mocno zaciągnął się papierosem – trochę zajęty.

– To jest Berna Lien, nowa szefowa Wydziału Techniki Kryminalistycznej. Berna, to Harry Hole.

– Dużo o tobie słyszałam. – Kobieta się uśmiechnęła.

– A ja o tobie nic – odparł Harry. – Dobra jesteś?

Berna Lien trochę niepewnie spojrzała na Bjørna.

– Dobra?

– Bo Gjertsen jest dobry – wyjaśnił Harry. – A ja nie jestem dostatecznie dobry, więc mam nadzieję, że są tu inni, lepsi, bo inaczej ta krwawa łaźnia nigdy się nie skończy.

– Możliwe, że coś mam – oświadczył Bjørn.

– Co?

– Właśnie dlatego próbowałem cię złapać. Ten płaszcz Valentina. Po rozcięciu rzeczywiście znalazłem pod podszewką kilka drobiazgów. Dziesięcioörówkę i dwie

karteczki. Płaszcz był prany w pralce, więc cała farba drukarska na zewnątrz zeszła, ale kiedy rozłożyłem jedną karteczkę, okazało się, że da się na niej coś wypatrzeć. Niewiele, ale dość, żeby stwierdzić, że to pokwitowanie wypłaty z bankomatu. To by się zgadzało, że on całkowicie unika zostawiania śladów przez karty kredytowe i płaci gotówką. Niestety nie widać numeru karty ani transakcji, ani też godziny wypłaty, ale część daty jest widoczna.

– Jaka część?

– Wystarczy, żeby stwierdzić, że to było w tym roku, w sierpniu, no i mamy fragmenty ostatniej cyfry dnia miesiąca, która nie może być niczym innym jak jedynką.

– Czyli jeden, jedenaście, dwadzieścia jeden lub trzydzieści jeden.

– Cztery możliwe dni... Udało mi się skontaktować z babką z firmy Nokas, to oni zajmują się ochroną bankomatów DNB. Mają pozwolenie na przechowywanie nagrań z monitoringu do trzech miesięcy, więc ta wypłata powinna być nagrana. Pieniądze pobrano na Dworcu Centralnym; tam są najbardziej oblegane bankomaty w Norwegii. Oficjalnie mówi się, że to z powodu wszystkich tych centrów handlowych dookoła.

– Ale?

– Człowieku, przecież wszyscy płacą kartą. Oprócz...

– Mhm. Oprócz handlarzy narkotyków wokół dworca i nad rzeką.

– Dla najciężej pracujących maszyn to ponad dwieście transakcji na dobę – wyjaśnił Bjørn.

– Cztery doby to trochę mniej niż tysiąc – podchwyciła z zapałem Berna Lien.

Harry przydeptał palącego się papierosa.

– Jutro rano udostępnią nam te filmy i przy sprawnym przewijaniu z dodatkiem kilku pauz wydaje mi się, że uda się sprawdzić co najmniej dwie gęby na minutę. To oznacza siedem – osiem godzin. Prawdopodobnie mniej. Kiedy już zidentyfikujemy Valentina, wystarczy sprawdzić godzinę na filmie i zobaczyć, jaką transakcję o tej godzinie zarejestrował bankomat.

– I będziemy mieli sekretną tożsamość Valentina Gjertsena – przerwała Bjørnowi Berna Lien, która sprawiała wrażenie dumnej i uradowanej osiągnięciami swojego wydziału. – Jak myślisz, Hole?

– Myślę sobie tak: szkoda, że człowiek, który mógł zidentyfikować Valentina, leży tam w środku z głową w zlewie i bez wyczuwalnego tętna. – Harry zapiął kurtkę. – Ale dziękuję, że przyjechałaś.

Berna Lien urażona przeniosła wzrok z Harry'ego na Bjørna, który chrząknął zakłopotany.

– Z tego, co rozumiałem, stałeś twarzą w twarz z Valentinem.

– Ale nie widziałem tej jego nowej gęby.

Bjørn powoli skinął głową, ciągle wpatrując się w Harry'ego.

– Rozumiem. Szkoda. Wielka szkoda.

– Mhm. – Harry spojrzał na zdeptanego peta, który leżał przy czubku jego buta.

– No to chyba wejdziemy do środka rzucić okiem – powiedział Bjørn.

– Przyjemnej zabawy – mruknął Harry.

Patrzył za nimi. Fotografowie prasowi już byli na miejscu przy taśmie, zaczęli też się pojawiać dziennikarze. Może już coś wiedzieli, może nie. Może po prostu brakowało im odwagi. W każdym razie zostawili Harry'ego w spokoju.

Osiem godzin.

Osiem godzin od jutra rana.

W ciągu doby Valentin może zdążyć zabić jeszcze jedną osobę.

Niech to szlag.

Technik już kładł rękę na klamce drzwi do baru Jealousy, ale Harry w tym momencie wrzasnął:

– Bjørn!

– Harry! – przywitał ich Ståle Aune, stając w drzwiach. – Bjørn!

– Przepraszam, że przychodzimy tak późno – odezwał się Harry. – Możemy wejść?

– Oczywiście. – Aune szerzej otworzył drzwi i Harry z Bjørnem przekroczyli próg domu psychologa. Drobną kobietą, szczuplejszą od męża, lecz o włosach w takim samym odcieniu siwizny, wyszła do nich szybkim, sprężystym krokiem.

– Harry – powiedziała śpiewnie. – Usłyszałam, że to ty. Długo się nie widzieliśmy. Co z Rakel? Wiedzą coś więcej?

Harry pokręcił głową, przyjmując cmoknięcie Ingrid w policzek.

– Napijcie się kawy czy już za późno? Może zielonej herbaty?

Bjørn i Harry odpowiedzieli chórem, ale jeden: „Tak, dziękuję”, a drugi: „Nie, dziękuję”, i Ingrid zniknęła w kuchni.

Przeszli do salonu, usiedli w głębokich fotelach. Ściany pomieszczenia były pokryte półkami wypełnionymi przeróżnymi książkami – od przewodników turystycznych i starych atlasów po poezję, komiksy i trudną literaturę fachową. Głównie jednak stały tam powieści.

– Widzisz, że czytam książkę od ciebie? – Ståle wziął do ręki cienki tomik, który leżał rozłożony grzbietem do góry na stoliku koło fotela, i pokazał go Bjørnowi. – Édouard Levé, *Samobójstwo*. Dostałem od Harry'ego na sześćdziesiąte urodziny. Pewnie uznał, że najwyższa pora.

Bjørn i Harry się uśmiechnęli. Przypuszczalnie widać było, że robią to z przymusem, bo Ståle zmarszczył czoło.

– Coś się stało, chłopcy?

Harry chrząknął.

– Valentin dziś wieczorem zabił kolejną osobę.

– Z bólem przyjmuję tę wiadomość. – Psycholog pokręcił głową.

– I nie mamy powodów, by przypuszczać, że na tym poprzestanie.

– Rozumiem.

– Właśnie dlatego jesteśmy tu teraz. To dla mnie bardzo trudna sytuacja, Ståle.

Aune westchnął.

– Hallstein Smith się nie sprawdził i chcecie, żebym go zastąpił. O to chodzi?

– Nie. Potrzebujemy... – Harry urwał, bo Ingrid weszła i na stoliku między milczącymi mężczyznami postawiła tacę z herbatą.

– Odgłos obowiązku dochowania tajemnicy – powiedziała. – Pogadamy kiedy indziej, Harry. Pozdrów Olega i przekaż mu, że myślimy o Rakel.

– Potrzebujemy kogoś, kto może zidentyfikować Valentina Gjertsena – podjął Harry po wyjściu Ingrid. – A ostatnią żywą osobą, o której wiemy, że go widziała...

Nie była to teatralna pauza mająca w zamierzeniu jeszcze podnieść napięcie, Harry chciał po prostu dać Stålemu tę sekundę, której potrzebuje mózg, aby przeprowadzić błyskawiczne, niemal nieuświadomione, a mimo to straszliwie precyzyjne rozumowanie. Chociaż właściwie było to już bez różnicy, jak w przypadku boksera, w którego stronę został wymierzony cios, ale dana mu jest dziesiąta część sekundy na lekkie uchylenie się od niego zamiast wyjścia mu naprzeciw.

– ...jest Aurora.

W ciszy, która zapadła, Harry słyszał szelest brzegów kartek książki przesuwających się po palcach Stålego.

– O czym ty mówisz, Harry?

– Oboje z Ingrid byliście na moim ślubie z Rakel. Właśnie tego dnia Valentin odnalazł Aurorę na zawodach piłki ręcznej, w których brała udział.

Książka upadła na dywan z przytłumionym stuknięciem. Ståle zamrugał, oszołomiony.

– Ona... on...

Harry odczekał, aż prawda do niego dotrze.

– On jej coś zrobił? Skrzywdził ją?

Harry patrzył Stålemu w oczy, ale nie odpowiadał, czekał. Widział, jak Ståle składa informacje. Jak zaczyna widzieć ostatnie trzy lata w nowym świetle.

W świetle, które dało mu odpowiedź.

– Tak – szepnął w końcu, krzywiąc się z bólu. Zdjął okulary. – Tak, oczywiście, że tak. Jakiż ja byłem ślepy! – Zapatrzył się gdzieś przed siebie. – W jaki sposób się o tym dowiedzieliście?

– Aurora przyszła do mnie wczoraj i wszystko mi opowiedziała – odparł Harry. Wzrok Stałego powoli przeniósł się na niego.

– Ty... wiedziałeś o tym od wczoraj i nic mi nie powiedziałeś?

– Musiałem jej to obiecać.

Głos Stałego Aune nie podniósł się, tylko opadł.

– Piętnastoletnia zgwałcona dziewczyna, która, jak dobrze wiesz, potrzebuje wszelkiej pomocy, jaką tylko można jej zapewnić, a ty postanowiłeś zachować to w tajemnicy?

– Tak.

– Na miłość boską, Harry, dlaczego?

– Ponieważ Valentin zagroził jej, że cię zabije, jeśli ona powie, co się stało.

– Zabije mnie? – Z gardła Stałego wyrwał się szloch. – I co z tego? Jestem już grubo po sześćdziesiątce i mam słabe serce, Harry. Przed Aurorą całe życie!

– To z tego, że ona cię kocha ponad wszystko na świecie, więc jej to obiecałem.

Stále Aune z powrotem założył okulary i wyciągnął w stronę Harry'ego drżący palec.

– Tak, obiecałeś i dochowałeś tajemnicy tak długo, dopóki nie była dla ciebie istotna. Ale teraz, kiedy zobaczyłeś, że możesz ją wykorzystać do rozwiązania kolejnej sprawy Harry'ego Hole, ta obietnica nie ma już dla ciebie takiego znaczenia!

Harry nie zaprotestował.

– Wyjdź stąd, Harry! Nie jesteś już przyjacielem tego domu. Nie chcemy cię tu więcej widzieć.

– To pilne, Stále.

– Wyjdź! – Aune wstał.

– Potrzebujemy jej.

– Zadzwoń na policję. Na prawdziwą policję.

Harry spojrzał na Stałego. Widział, że nic nie przyjdzie z protestów. Trzeba poczekać. Sprawa musi się toczyć własnym torem. Można jedynie mieć nadzieję, że Stále Aune do rana oceni sytuację z dalszej perspektywy.

Kiwnął głową. Podniósł się z fotela.

– Sami znajdziemy drogę do wyjścia.

Kiedy mijali kuchnię, Harry dostrzegł w drzwiach bladą, milczącą twarz Ingrid.

Zawiązał buty w przedpokoju i już miał wyjść, gdy nagle usłyszał wysoki głos.

– Harry?

Odwrócił się, w pierwszej chwili nie wiedząc, skąd głos się rozległ. W końcu Aurora wyłoniła się z ciemności schodów prowadzących na piętro, ubrana w za dużą piżamę w paski. Może należąca do ojca, pomyślał Harry.

– Przepraszam – szepnął. – Musiałem.

– Wiem – powiedziała Aurora. – W Internecie piszą, że ten, który umarł, miał na imię Mehmet. Słyszałam waszą rozmowę.

W tej samej chwili przybiegł Ståle, wymachując rękami, z oczu lały mu się łzy.

– Aurora! Nie wolno ci... – Głos mu się załamał.

– Tatusiu... – Aurora spokojnie usiadła na schodach nad nimi. – Ja chcę pomóc.

26 WTOREK, NOC

Mona Daa stała przy Monolicie i patrzyła, jak Truls Berntsen pospiesznie zmierza przez ciemność.

Kiedy się umawiali na spotkanie w parku Frogner, zaproponowała dwie nieco bardziej dyskretne, mniej popularne rzeźby, ponieważ Monolit, olbrzymią kamienną kolumnę, składającą się z ponad stu nagich sylwetek, nawet w nocy odwiedzali chętni, by go podziwiać. Po trzech „co?” zrozumiała jednak, że Monolit był jedyną z parkowych rzeźb, jaką znał Truls Berntsen.

Zaciągnęła go na zachodnią stronę kolumny, z dala od dwóch par wpatrzonych w widok z wieżą kościoła na wschodzie, i wręczyła mu kopertę z pieniędzmi. Wsunął ją pod długą marynarkę od Armaniego, która na nim z jakiegoś powodu wcale nie wyglądała jak Armani.

– Coś nowego? – spytała.

– Nie będzie więcej informacji. – Truls rozejrzał się dookoła.

– Nie?

Spojrzał na nią, jakby sprawdzał, czy Mona sobie żartuje.

– Przecież ten facet nie żyje, do jasnej cholery.

– No to następnym razem musisz przynieść mniej... śmiertelnośną informację.

Truls Berntsen zaśmiał się, prychając.

– Cholera, jesteście jeszcze gorsi ode mnie, cała ta wasza banda.

– Czyżby? Podałeś nam nazwisko Mehmeta, a my mimo to zdecydowaliśmy się go nie ujawniać, w artykule nie było też zdjęcia.

Truls pokręcił głową.

– Czy ty siebie słyszysz? Właśnie doprowadziliśmy Valentina prosto do faceta, który popełnił tylko dwa błędy: prowadził bar, do którego przyszła ofiara Valentina, i zgodził się pomóc policji.

– Przynajmniej mówisz w liczbie mnogiej. Czy to znaczy, że dręczą cię wyrzuty sumienia?

– A co, masz mnie za psychopatę? Jasne, że źle się stało.

– Na to pierwsze nie odpowiem, ale zgadzam się, że nie „stało się” najlepiej. To znaczy, że nie będziesz już moim informatorem?

– Jeśli powiem, że nie, to przestaniesz mnie chronić?

– Nie – zapewniła Mona.

– To dobrze. Widać i wy macie resztki sumienia.

– No cóż. Nie chodzi o to, że przejmujemy się losem naszych informatorów; obawiamy się raczej tego, co powiedzieliby nasi koledzy po fachu na wystawienie źródła. A co mówią twoi koledzy?

– Nic. Domyślili się, że przeciek wyszedł ode mnie, więc mnie odizolowali. Nie uczestniczę w odprawach, nie informują mnie o postępach w śledztwie.

– Tak? Wobec tego czuję, że tracę zainteresowanie dla ciebie, Truls.

– Cyniczna jesteś – parsknął Truls. – Ale przynajmniej szczerza.

– Dziękuję. Tak mi się wydaje.

– Okej. Może mam dla ciebie ostatnią informację, ale dotyczy czegoś zupełnie innego.

– No to mów.

– Komendant Bellman rżnie babkę ze świecznika.

– Za takie informacje nie ma kasy, Berntsen.

– Okej, niech to będzie gratis, tylko o tym napisz.

– Redaktorzy nie lubią zdrad, ale jeśli masz dowody i chcesz sam firmować sprawę, to może uda mi się ich przekonać. Tylko że będę musiała cię zacytować pod własnym nazwiskiem.

– Pod nazwiskiem? To samobójstwo, chyba rozumiesz! Mogę wam podpowiedzieć, gdzie się spotykają, żebyście wysłali fotografa, który robi zdjęcia z ukrycia.

Mona Daa się roześmiała.

– *Sorry*, to tak nie działa.

– Nie działa?

– Za granicą prasa zajmuje się zdradami, ale nie w naszej małej Norwegii.

– Dlaczego?

– Oficjalne tłumaczenie jest chyba takie, że nie zniżamy się do tego poziomu.

– Ale?

Mona, drżąc z zimna, wzruszyła ramionami.

– W praktyce nie ma granic tego, do czego się zniżamy. Zgodnie z moją osobistą teorią to kolejny przykład na syndrom: „każdy ma coś na sumieniu, więc raczej bądźmy cicho”

– Mów do mnie po norwesku, *please*.

– Żonaci dziennikarze nie są wcale mniej niewierni niż inni ludzie. Jeśli upublicznisz czyjąś zdradę, w tak małym społeczeństwie jak norweskie ryzykujesz, że prędzej czy później ktoś ci odpłaci tą samą monetą. Możemy pisać o zdradach w wielkim świecie, możemy nawet napomknąć o tym, co się dzieje u nas, jeśli jakaś osoba publiczna zada innej cios poniżej pasa, ale dziennikarstwo śledcze zajmujące się zdradami małżeńskimi w kręgach władzy? – Mona pokręciła głową.

Truls z pogardą prychnął przez nos.

– Więc nie ma sposobu, żeby to wyszło na jaw?

– A czy powinniśmy ujawnić jego zdradę, ponieważ twoim zdaniem świadczy ona o braku kompetencji Bellmana jako komendanta policji?

– Co? Nie, chyba nie o to chodzi.

Mona pokiwała głową, patrząc w górę na Monolit, na bezwzględną wspinaczkę ludzi ku szczytowi.

– Musisz naprawdę nienawidzić tego faceta.

Truls nie odpowiedział. Miał tylko lekko zdumioną minę, jakby do tej pory w ogóle nie przyszło mu to do głowy. Mona zaczęła się zastanawiać, co się dzieje za tą oszpeconą bliznami, mało atrakcyjną twarzą z wysuniętą żuchwą i kłującym spojrzeniem. Prawie zrobiło jej się go żal. Prawie.

– Idę już, Berntsen. Pogadamy kiedy indziej.

– Pogadamy?

– Kto wie.

Mona przeszła kawałek w głąb parku, a kiedy się obejrzała, zobaczyła, że Truls Berntsen stoi w świetle jednej z lamp przy Monolicie. Wsunął ręce do kieszeni i stał zgarbiony, jakby czegoś wypatrywał. Wydawał się nieskończenie samotny, kiedy tak znieruchomiał niczym jeden z otaczających go kamiennych posągów.

Harry gapił się w sufit. Duchy nie przysły. Może tej nocy w ogóle się nie zjawią. Nigdy nie wiadomo. Ale dołączył do nich nowy. Ciekawe, jak będzie wyglądał Mehmet, kiedy się ukáže.

Odciął się od wszystkich myśli i wsłuchał w ciszę. Na Holmenkollen zawsze

panowała cisza, to należało przyznać tej okolicy. Przesadna cisza. Wolał słuchać odgłosów miasta. Noc w dżungli też jest pełna dźwięków, które potrafią ostrzegać w ciemności, informować o tym, co się zbliża. Cisza zawiera zbyt mało informacji. Ale nie o to chodziło. Tylko o to, że nikt nie leżał w łóżku obok niego.

Gdyby policzył noce, podczas których dzielił z kimś łóżko, stanowiłyby wyraźną mniejszość. Dlaczego więc czuł się tak samotny? On, który zawsze szukał samotności i nigdy nikogo nie potrzebował.

Obrócił się na bok, spróbował zamknąć oczy.

Teraz też nikogo nie potrzebował. Nie potrzebował kogoś.

Potrzebował tylko jej.

Coś zatrzeszczało. Ściany z drewnianych bali. Albo deska w podłodze. Może sztorm przyjdzie wcześniej. Albo duchy później.

Obrócił się na drugi bok, znów zamknął oczy.

Trzask dobiegł tuż zza drzwi sypialni.

Harry wstał i poszedł otworzyć.

– Widziałem go, Harry. – To był Mehmet. Tam, gdzie kiedyś miał oczy, pozostały jedynie czarne oczodoły, z których buchał dym.

Harry obudził się, gwałtownie drgając.

Telefon na nocnej szafce mruczał jak kot.

Odebrał.

– Mhm?

– Mówi doktor Steffens.

Harry poczuł nagły ból w piersi.

– Chodzi o Rakel.

– Oczywiście, że chodzi o Rakel. – Harry wiedział, że Steffens powiedział tak wyłącznie po to, by dać mu kilka sekund na przygotowanie się.

– Nie możemy jej wybudzić ze śpiączki.

– Słucham?

– Ona się nie budzi.

– Czy... Czy ona...

– Nie wiemy, Harry. Rozumiem, że masz mnóstwo pytań, ale my także. Naprawdę nie potrafię ci nic powiedzieć oprócz tego, że robimy, co w naszej mocy.

Harry przygryzł wewnątrz policzka, żeby się upewnić, czy to nie jest jedynie prapremiera kolejnego koszmaru.

– Okej, okej. Mogę ją zobaczyć?

– Nie teraz. Przenieśliśmy ją na oddział intensywnej terapii. Zadzwoń, kiedy tylko będę wiedział coś więcej. Ale to może potrwać. Prawdopodobnie Rakel

pozostanie w śpiączce jeszcze przez dłuższy czas, więc nie wstrzymuj oddechu, dobrze?

Harry uświadomił sobie, że Steffens miał rację: przestał oddychać.

Rozłączyli się. Harry nadal wpatrywał się w telefon. *Ona się nie budzi.* Oczywiście, że nie. Nie chce się obudzić. Kto by chciał? Harry wstał i zszedł na dół. Zaczął walić drzwiczkami szafek w kuchni. Nic. Pusto. Wszystko opróżnione.

Zadzwoił po taksówkę i poszedł na górę coś na siebie włożyć.

Zobaczył niebieską tabliczkę, przeczytał nazwę i przyhamował. Zjechał w zatoczkę i zgasił silnik. Rozejrzał się. Las i droga. Przypominało mu to te nic niemówiące monotonne drogi w Finlandii, na których ma się wrażenie przemierzania pustyni lasu. Drzewa ciągną się tam po obu stronach drogi niczym milcząca ściana, łatwo więc ukryć zwłoki, jakby wrzucało się je do morza. Zaczekał, aż przejedzie jakieś auto. Sprawdził w lusterku. Nie widział już żadnych świateł, ani z przodu, ani z tyłu. Wysiadł, obszedł samochód i otworzył pokrywę bagażnika. Była taka blada, nawet piegi jej zbladły. I te wystraszone oczy, takie wielkie, czarne nad kneblem. Wyjął ją, musiał jej pomóc stanąć na nogi. Chwycił za kajdanki i przeprowadził na drugą stronę drogi, przez rów, ku czarnej ścianie drzew. Zapalił latarkę. Dziewczyna drżała tak, że aż trzęsły się kajdanki.

– Spokojnie, spokojnie, nic ci nie zrobię, moja droga – powiedział. I poczuł, że naprawdę tak myśli. Rzeczywiście nie chciał jej skrzywdzić. Już nie. A ona może o tym wiedziała, może rozumiała, że ją pokochał, może drżała dlatego, że była w samej bieliźnie i peniuarze należącym do jego japońskiej przyjaciółki.

Weszli między drzewa. Odniósł wrażenie, jakby wchodzili do domu. Otoczył ich inny rodzaj ciszy, a jednocześnie nowe dźwięki, krótsze, ale wyraźniejsze, nierozpoznawalne. Trzask, westchnienie, krzyk. Leśne posycie było miękkie. Dywan z igieł ugiął się przyjemnie, gdy sunęli naprzód, stąpając bezszelestnie. Jak młoda para idąca we śnie do ślubu w kościele.

Kiedy doliczył do stu, przystanął. Uniósł latarkę i poświecił nią dookoła. Snop światła odnalazł to, czego szukał. Czarne spalone drzewo, rozszczerzone przez piorun na dwoje.

Zaciągnął ją prosto do drzewa. Nie stawiała oporu, kiedy zdejmował jej kajdanki, opasywał pień jej rękami i znów ją zakuwał. Jagnię, pomyślał, przyglądając się klęczącej dziewczynie obejmującej pień. Jagnię ofiarne. Bo on nie był panem młodym, tylko ojcem, który przy ołtarzu oddaje swoje dziecko.

Ostatni raz pogładził ją po policzku, po czym odwrócił się, żeby ruszyć z powrotem, gdy nagle spomiędzy drzew dobiegł głos:

– Ona żyje, Valentin!

Zatrzymał się, odruchowo skierował latarkę w stronę głosu.

– Zabierz to – usłyszał polecenie.

Wykonał je.

– Chciała żyć – wyjaśnił.

– W przeciwieństwie do tego barmana?

– On mógł mnie zidentyfikować, za dużo ryzykowałem.

Valentin nasłuchiwał, ale słyszał jedynie cichutki świst z nozdrzy Marte, gdy wciągała powietrze.

– Posprzątam po tobie tylko ten jeden jedyny raz – powiedział głos. – Przyniosłeś rewolwer, który dostałeś?

– Tak – odparł Valentin. Czy w tym głosie nie było czegoś znajomego?

– Połóż go przy niej i odejdz. Wkrótce dostaniesz go z powrotem.

Valentinowi przyszła do głowy myśl, żeby jednak wyciągnąć rewolwer, odnaleźć tego drugiego za pomocą latarki i go zabić. Zabić rozum. Zatrzeć ślady prowadzące do niego i pozwolić znów rządzić demonowi. Ale mógł go jeszcze potrzebować.

– Gdzie i kiedy? – zawołał. – Nie możemy już korzystać z szafki w szatni.

– Jutro. Dostaniesz informację. Teraz, kiedy już usłyszałeś mój głos, zadzwonię.

Valentin wyjął rewolwer z kabury i położył go przy dziewczynie. Spojrzał na nią ostatni raz. Potem odszedł.

Kiedy wsiadł do samochodu, dwa razy mocno uderzył czołem o kierownicę. W końcu włączył silnik, mrugnął kierunkowskazem, chociaż nigdzie nie było widać żadnego innego samochodu, i spokojnie stamtąd odjechał.

– Zatrzymaj się tutaj. – Harry pokazał taksówkarzowi miejsce.

– Człowieku, jest trzecia w nocy, a ten bar wygląda na bardzo zamknięty!

– To mój bar.

Harry zapłacił i wysiadł.

Tam, gdzie kilka godzin temu trwała gorączkowa aktywność, teraz nie było żywej duszy. Technicy zakończyli swoje czynności, ale drzwi wejściowe i futryna były oklejone białą taśmą, którą zdobiły królewski norweski lew i tekst: POLICJA. OPIECZĘTOWANO. ZŁAMANIE PIECZĘCI GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNAJĄ. § 343 KPK.

Harry wsunął klucz do zamka i przekręcił. Taśma puściła z trzaskiem, kiedy pchnął drzwi i wszedł do środka.

Zostawili zapalone światła pod półką z lustrem. Harry zmrużył oko i wycelował palcem wskazującym w butelki. Dziewięć metrów. A gdyby nacisnął spust? Jak

wyglądałaby teraz ta historia? Nie da się tego powiedzieć. Wyglądała tak, jak wyglądała. Nic się z nią nie zrobi. Oczywiście można jedynie zapomnieć.

Palec zatrzymał się na butelce Jima Beama. Awansowała na stojak barmański. W burdelowym świetle od spodu jej zawartość migotała jak złoto. Harry przeszedł przez salę, za kontuarem sięgnął po szklankę i podstawił ją pod nalewak. Napełnił po sam brzeg. Po co się oszukiwać?

Poczuł, że mięśnie w całym ciele się napinają, i przez chwilę miał wrażenie, że będzie rzygał jeszcze przed pierwszym łykiem, ale zdołał utrzymać zawartość żołądka i alkohol aż do trzeciego, dopiero wtedy przyskoczył do zlewu i zanim żółtozielone wymiociny uderzyły o metal, zdążył jeszcze zobaczyć, że dno zlewu ciągle pokrywa zakrzepła krew.

27 ŚRODA, RANO

Była za pięć ósma, a ekspres do kawy w Kotłowni charczał już drugi raz tego poranka.

– Gdzie się podział Harry? – spytał Wyller, znów patrząc na zegarek.

– Nie mam pojęcia – odparł Bjørn Holm. – Zaczynamy bez niego.

Smith i Wyller pokiwali głowami.

– Okej – powiedział Bjørn. – W tej chwili Aurora Aune siedzi w głównej centrali Nokas i ogląda nagrania razem z ojcem, kobietą z Nokas i specjalistą od nagrań z monitoringu z Wydziału Napadów. Przejrzenie filmów z czterech dni powinno im zająć maksymalnie osiem godzin, zakładając, że pokwitowanie, które znaleźliśmy, rzeczywiście ma związek z wypłatą dokonaną osobiście przez Valentina. Przy przeciętnym farcie poznamy jego nową tożsamość już w ciągu czterech godzin. A na pewno przed ósmą wieczorem.

– To przecież fantastyczne! – zawołał Smith. – No... nie mam racji?

– Owszem, ale nie cieszymy się na zapas – powstrzymał go Bjørn. – Rozmawiałeś z Katrine, Anders?

– Tak, mamy pozwolenie na wykorzystanie Deltę. Oddział jest gotowy do akcji.

– Delta to ci z bronią automatyczną, maskami przeciwigazowymi i tak dalej?

– Zaczynasz się wdrażać, Smith. – Bjørn się uśmiechnął i zobaczył, że Wyller znów zerka na zegarek. – Martwisz się, Anders?

– Może powinniśmy zadzwonić do Harry'ego.

– No to dzwoń.

Była dziewiąta, Katrine akurat wyprawiła swoją grupę śledczą z Centrum Dowodzenia. Zbierała papiery, gdy nagle zauważyła mężczyznę, który stanął w drzwiach.

– I co, Smith? – spytała. – Ciekawy dzień? Czym się zajmujecie tam na dole?

– Próbujemy znaleźć Harry'ego.

– Nie ma go?

– I nie odbiera telefonu.

– Pewnie siedzi w szpitalu, tam nie pozwalają włączać komórek. Twierdzą, że komórki mogą zakłócać pracę urządzeń, ale to chyba taka sama bzdura jak możliwość zakłócania pracy urządzeń nawigacyjnych w samolocie.

Zorientowała się, że Smith jej nie słucha, że patrzy na coś poza nią. Odwróciła się

i zobaczyła, że na ekranie ciągle widać zdjęcie z podłączonego do rzutnika komputera. Obraz z baru Jealousy.

– Wiem – powiedziała. – Niezbyt pięknie to wygląda.

Smith pokręcił głową jak lunatyk, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odparł powoli. – Niedobrze. Nie znoszę widoku krwi, nie znoszę przemocy i nie wiem, czy zniosę patrzenie na jeszcze więcej cierpienia. Ten człowiek... Valentin Gjertsen... Jestem psychologiem, a on przypadkiem, do którego staram się mieć profesjonalny stosunek, ale wydaje mi się, że go nienawidzę.

– Nikt z nas nie jest aż takim profesjonalistą, Smith, więc nie martwiłabym się odrobiną nienawiści. Czy to nie przyjemne mieć kogo nienawidzić, jak mówi Harry?

– Harry tak mówi?

– Tak. Albo Raga Rockers. Albo... Chciałeś o coś spytać?

– Rozmawiałem z Moną Daa z „VG”

– Jeszcze jedna osoba, której możemy nienawidzić. Czego chciała?

– To ja do niej zadzwoniłem.

Katrine przestała zbierać papiery.

– Przedstawiłem jej swoje warunki udzielenia wywiadu o Valentinie Gjertsenie – wyjaśnił Smith. – Że będę mówił bardzo ogólnie i ani słowem nie wspomnę o śledztwie. To ma być tak zwany podcast. Audycja radiowa, która...

– Wiem, co to jest podcast, Smith.

– W każdym razie nie mogą mnie tam błędnie zacytować. To, co powiem, będzie słychać. Mam twoje zezwolenie?

Katrine się zastanowiła.

– Moje pierwsze pytanie brzmi: dlaczego?

– Ponieważ ludzie się boją. Boi się moja żona, boją się moje dzieci, boją się sąsiedzi i rodzice pozostałych dzieci w szkole. Dlatego moim obowiązkiem jako naukowca zajmującego się tą dziedziną jest złagodzenie ich strachu.

– A czy boją się niesłusznie?

– Nie czytasz gazet, Katrine? W ciągu ostatniego tygodnia opróżniono sklepowe magazyny z zamków i systemów alarmowych.

– Wszyscy się boją tego, czego nie rozumieją.

– Tu chodzi o coś więcej. Ludzie się boją, bo sądzili, że mamy do czynienia z osobą, którą początkowo uważałem za wampirystę w czystej postaci. Z chorą, zaburzoną jednostką, ruszającą do ataku z powodu swoich głębokich zaburzeń osobowości i parafilii. Ale ten potwór to zimny, cyniczny, wyrachowany wojownik, który potrafi zapewnić sobie drogę odwrotu, tak jak w tej tureckiej łaźni. I atakuje,

kiedy może. Tak... tak jak na tym zdjęciu. – Smith zamknął oczy i odwrócił głowę. – Przyznaję, sam też się boję. Całą noc leżałem, nie śpiąc, i zastanawiałem się, jak to możliwe, że te morderstwa popełniła jedna i ta sama osoba. Jak to wytłumaczyć? Jak mogłem aż tak się pomylić? Nie rozumiem. Ale muszę to zrozumieć. Nikt nie ma lepszych podstaw do zrozumienia tego niż ja. Jestem jedyną osobą, która może ludziom wyjaśnić i pokazać tego potwora. Bo kiedy go zobaczą, zrozumieją i będą mogli zapanować nad strachem. Strach nie zniknie, ale odniosą wrażenie, że mogą przedsięwziąć jakieś rozsądne kroki, aby się bronić, i dzięki temu poczują się bezpieczniej.

Katrine ujęła się pod boki.

– Sprawdźmy, czy wszystko pojęłam. Ty też nie rozumiesz, kim jest Valentin Gjertsen, a mimo to chcesz tłumaczyć to ludziom?

– Tak.

– Chcesz kłamać, żeby ich uspokoić?

– Wierzę, że uda mi się to drugie bez uciekania się do tego pierwszego. Czy dostanę twoje błogosławieństwo?

Katrine przygryzła dolną wargę.

– Zapewne masz rację, mówiąc, że spoczywa na tobie jako na naukowcu obowiązek informowania, i oczywiście dobrze by było, gdyby dało się trochę uspokoić ludzi. Pod warunkiem że nie zahaczysz o śledztwo.

– Oczywiście.

– Nie może być kolejnych przecieków. Na tym piętrze jestem jedyną osobą, która wie, co w tej chwili robi Aurora. Nawet komendant policji nie został o tym poinformowany.

– Nie pisnę ani słowa, przysięgam.

– To on? Czy to on, Auroro?

– Tatusiu, znów marudzisz.

– Panie Aune, może my dwaj wyjdziemy na chwilę na zewnątrz, damy im trochę spokoju.

– Spokoju? To moja córka, sierżancie Wyller, która pragnie...

– Idź z nim, tatusiu. Czuję się dobrze.

– Tak? Na pewno?

– Na pewno. – Aurora odwróciła się do kobiety z banku i mężczyzny z Wydziału Napadów. – To nie on. Przevińcie dalej.

Stąle Aune wstał może nieco zbyt gwałtownie i właśnie dlatego zakręciło mu się w głowie, a może dlatego, że tej nocy w ogóle nie spał. Albo dlatego, że nic dzisiaj

nie jadł? No i wpatrywał się w monitor przez trzy godziny bez przerwy.

– Jeśli usiądzie pan tu, na tej kanapie, pójdę się rozejrzeć za jakąś kawą – zaproponował Wyller.

Ståle Aune tylko kiwnął głową.

Wyller odszedł, a Ståle wciąż nie odrywał oczu od córki za szklaną ścianą. Patrzył, z jakim przejęciem Aurora sygnalizuje, że mają przewijać dalej, zatrzymywać, cofać. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział ją tak zaangażowaną. Może jego reakcja i przejęcie były przesadzone, może najgorsze miała już za sobą, może na swój sposób zdołała przejść dalej, w czasie gdy on i Ingrid żyli w błogiej nieświadomości.

Jego młodziutka córka wytłumaczyła mu, jak wykładowca psychologii tłumaczy studentowi pierwszego roku, czym jest przyrzeczenie dochowania tajemnicy. Mówiła, że to ona wymusiła je na Harrym i że Harry go nie złamał – tak jak Ståle nie łamał złożonej przysięgi – dopóki nie zrozumiał, że to może ocalić czyjeś życie. No a Aurora mimo wszystko przeżyła. Śmierć. Ståle ostatnio dużo o niej myślał. Nie o własnej śmierci, ale o tym, że jego córka również kiedyś umrze. Dlaczego ta myśl była taka nieznośna? Może podchodziłby do tego inaczej, gdyby Ingrid i on któregoś dnia zostali dziadkami; ludzka psychika oczywiście podlega w takim samym stopniu mechanizmom psychicznym jak fizyczności, a potrzeba przekazania własnych genów jest prawdopodobnie warunkiem przetrwania gatunku. Kiedyś, dawno temu spytał Harry'ego, czy nie chciałby mieć własnych biologicznych dzieci, ale Harry miał gotową odpowiedź. Stwierdził, że nie ma w sobie genu szczęścia, tylko gen alkoholizmu, i nie uważa, by ktokolwiek zasługiwał na to, by go odziedziczyć. Możliwe, że zmienił sposób myślenia, bo w ostatnich latach jasne się stało, że Harry zaznał szczęścia, odkrył, że jest zdolny je przeżywać. Ståle wyjął telefon. Chciał zadzwonić do Harry'ego i powiedzieć mu o tym już teraz, w tej chwili, że Harry jest dobrym człowiekiem, dobrym przyjacielem, ojcem i mężem. Okej, może to i brzmiało jak nekrolog, ale Harry powinien to usłyszeć. Że Ståle się pomylił, uznając, że jego kompulsywny pociąg do ścigania zabójców przypomina alkoholizm. Że to wcale nie ucieczka, że napędza go – i to w większym stopniu niż indywidualista Harry Hole był skłonny przyznać – tylko instynkt stadny. Dobry instynkt stadny. Moralność, odpowiedzialność za wspólnotę. Harry z pewnością będzie się śmiał, ale właśnie to Ståle chciałby przekazać swojemu przyjacielowi, gdyby tylko Harry raczył w końcu odebrać ten cholerny telefon.

Ståle zobaczył, że plecy Aurory się prostują, a mięśnie napinają. Czyżby... Zaraz jednak znów się rozluźniła i machnęła ręką, dając znak, żeby przewijać dalej.

Ståle ponownie przyłożył komórkę do ucha. No, odbierze wreszcie!

– Sukces w pracy zawodowej, sporcie i życiu rodzinnym? Owszem, być może. – Mikael Bellman powiódł wzrokiem wokół stołu. – Ale przede wszystkim jestem prostym chłopakiem z Manglerud.

Wcześniej martwił się, że wystudiowane frazesy zabrzmiały pusto, ale Isabelle miała rację: wystarczy ledwie odrobina zaangażowania, a nawet najgorszy banał wypada przekonująco.

– Cieszymy się, że znalazł pan czas na tę rozmowę, panie Bellman. – Sekretarz partii podniósł do ust serwetkę, dając tym samym znak, że lunch dobiegł końca, i skinął na dwóch pozostałych posłów ze swojego ugrupowania. – Machina już ruszyła i tak jak mówiliśmy, bardzo się cieszymy, że odniósł się pan pozytywnie do przyjęcia propozycji, gdyby taka się pojawiła.

Bellman kiwnął głową.

– Przez „my” – wtrąciła się Isabelle Skøyen – ma pan na myśli również samą premier, prawda?

– Nie przyszlibyśmy tutaj, gdyby nie pozytywne w punkcie wyjścia nastawienie Kancelarii Premiera – odparł sekretarz.

Początkowo zapraszali na tę rozmowę do siedziby rządu, ale po konsultacji z Isabelle Mikael odpowiedział zaproszeniem na neutralny grunt. Lunch na rachunek komendanta policji.

Sekretarz partii spojrzął na zegarek. Bellman zauważył, że to omega seamaster. Niepraktycznie ciężki. Robił z człowieka ofiarę napadu w co trzecim mieście na świecie. Stawał, kiedy się go zdjęło na dłużej niż dobę, więc trzeba było kręcić i kręcić, żeby potem wyregulować godzinę, a jeśli się zapomniało wcisnąć śrubkę i wskoczyło w nim do swojego basenu, zegarek był już do niczego, naprawa kosztowała tyle co cztery inne czasomierze wysokiej jakości. Krótko mówiąc: Mikael musiał mieć taki zegarek.

– Ale, jak mówiłem, rozważane są różne kandydatury. Minister sprawiedliwości to jedna z ważniejszych funkcji i nie będę ukrywał, że w wypadku kogoś, kto nie zdobywał kolejnych stopni w polityce, droga do tej teki jest nieco dłuższa.

Mikael wymierzył czas tak dokładnie, że wstał i odsunął krzesło równocześnie z sekretarzem partii, a potem jako pierwszy wyciągnął do niego rękę, mówiąc „do zobaczenia”. Był komendantem policji, do diabła, z nich dwóch to jemu, a nie temu szaremu urzędnicy, bardziej spieszyło się z powrotem do odpowiedzialnej pracy.

Kiedy posłowie partii rządzącej opuścili restaurację, Mikael i Isabelle Skøyen z powrotem usiedli. Dostali *chambre séparée* w jednej z nowych restauracji wśród

niedawno wybudowanych kompleksów mieszkaniowych na skraju Sørenga. Z tyłu mieli wzgórze Ekeberg i Operę, a przed sobą nowo utworzone kąpielisko morskie. Na fiordzie pojawiły się krótkie, ostre fale, a przechylone żaglówki wyglądały na jego powierzchni jak przecinki. Najświeższe prognozy pogody zapowiadały, że sztorm uderzy w Oslo przed północą.

– Chyba dobrze poszło? – spytał Mikael, rozlewając do szklanek reszkę wody mineralnej z Voss.

– „Pozytywne w punkcie wyjścia nastawienie Kancelarii Premiera”.. – Isabelle zmarszczyła nos.

– Coś w tym złego?

– Owszem. Moderujące „w punkcie wyjścia”, którego wcześniej nie używali. I powoływanie się na kancelarię zamiast na samą premier. Mówi mi to, że się dystansują.

– Dlaczego mieliby się dystansować?

– Słyszałeś to samo co ja. Lunch, podczas którego wypytywali cię głównie o sprawę wampirysty i o to, jak szybko twoim zdaniem morderca może zostać ujęty.

– Daj spokój, Isabelle, w mieście nikt nie mówi o niczym innym.

– Pytali, bo od tego wszystko teraz zależy, Mikael.

– Ale...

– Oni nie potrzebują ciebie, twoich kompetencji ani umiejętności pokierowania ministerstwem, tyle zrozumiałeś?

– Przesadzasz, ale owszem, to...

– Oni chcą twojej klapki na oku, pozycji bohatera, popularności, sukcesu. Bo ty je masz, a właśnie tego rządowi akurat w tej chwili brakuje. Gdyby ci to zabrać, nic nie będziesz dla nich wart. I prawdę mówiąc – odsunęła szklankę i wstała – dla mnie również.

Mikael uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Słucham?

Isabelle zdjęła krótką futrzaną kurtkę ze stojącego wieszaka.

– Nie znoszę przegranych, Mikael, dobrze o tym wiesz. Poszłam do prasy i pochwaliłam cię za uratowanie sytuacji poprzez odkurzenie Harry’ego Hole. Do tej pory udało mu się aresztować nagiego dziewięćdziesięciolatka i doprowadzić do śmierci niewinnego barmana. Nie tylko ty stajesz się przez to przegrany, Mikael. Ciągniesz mnie za sobą. Nie podoba mi się to, dlatego cię teraz opuszczam.

Mikael Bellman się roześmiał.

– Masz okres czy co?

- Dawniej miałeś lepsze rozeznanie.
- No dobrze – westchnął Mikael. – Pogadamy kiedy indziej.
- Wydaje mi się, że interpretujesz „opuszczam cię” w nieco zbyt zawężonym znaczeniu.
- Isabelle...
- Żegnaj! Podobało mi się to, co powiedziałeś o sukcesie w życiu rodzinnym. Postaw teraz na to.

Mikael patrzył, jak zamykają się za nią drzwi.

Kelnera, który do niego zająztał, poprosił o rachunek i znów spojrztał na fiord. Podobno ci, którzy zaprojektowali te mieszkania nad samym brzegiem wody, nie wzięli pod uwagę zmian klimatycznych i podnoszącego się poziomu oceanów. On natomiast o tym pamiętał, gdy budowali z Ullą swoją willę, wysoko na Høyenhall. Myślał, że tam będą bezpieczni, nie zaleje ich żadne morze, napastnicy nie zakradną się niepostrzeżenie i żaden sztorm nie zerwie im dachu. Do diabła, do tego potrzeba było czegoś więcej. Wypił łyk wody. Skrzywił się i spojrztał na szklankę. Źródłana woda z Voss. Dlaczego ludzie są skłonni płacić bajońskie sumy za coś, co wcale nie smakuje lepiej niż zwykła kranówka? Nie uważają butelkowanej wody za smaczniejszą, po prostu sądzą, że inni tak uważają. Dlatego zamawiają wodę z Voss, gdy wychodzą do restauracji z nudną młodą żoną na pokaz i ze zbyt ciężkim zegarkiem Omega Seamaster. Czy dlatego czasami tęsknił za przeszłością? Za powrotem na Manglerud, za upiciem się w sobotni wieczór U Olsena, za przechyleniem się przez kontuar i nalaniem sobie darmowego piwa, kiedy Olsen się odwróci? Za zatańczeniem ostatniego przytulanego tańca z Ullą na oczach pierwszej piątki z klubu hokejowego Manglerud Star i chłopaków jeżdżących kawasaki 750, obserwujących ich spode łba, tak jak wtedy, gdy miał świadomość, że wkrótce wyjdą stamtąd z Ullą, wyruszą w noc tylko we dwoje i pójdą Plogveien w stronę hali łyżwiarskiej i jeziora Østensjøvannet, gdzie będzie jej pokazywał gwiazdy i tłumaczył, jak do nich dotrą.

Czy im się udało?

Być może. Ale czuł się tak jak wtedy, gdy jako dziecko chodził z ojcem w góry i zmęczony myślał, że wreszcie dotarli na szczyt, po czym odkrywał, że za tym szczytem wznosi się inny, jeszcze wyższy.

Mikael Bellman zamknął oczy.

Dokładnie tak samo czuł się teraz. Był zmęczony. Czy mógł się zatrzymać w tym miejscu? Położyć się, poczuć wiatr, łaskotanie wrzosu, nagrany od słońca kamień przy skórze? Oświadczyć, że w tym miejscu chce zostać? Przyszedł mu do głowy dziwny pomysł. Zadzwońi do Ulli i powie jej właśnie to: „Zostajemy w tym

miejscu”

Jakby w odpowiedzi poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni marynarki. Oczywiście, to na pewno Ulla.

– Halo?

– Mówi Katrine Bratt.

– Aha, słucham.

– Chciałam tylko poinformować, że wiemy już, pod jakim nazwiskiem ukrywa się Valentin Gjertsen.

– Naprawdę?

– W sierpniu wypłacał pieniądze na dworcu i sześć minut temu udało nam się go zidentyfikować na nagraniach z monitoringu. Używał karty wystawionej na niejakiego Alexandra Dreyera, urodzonego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku.

– I?

– Alexander Dreyer zginął w wypadku samochodowym w dwa tysiące dziesiątym.

– Adres? Mamy jego adres?

– Mamy. Delta już została zaalarmowana, jest w drodze.

– Coś więcej?

– Na razie jeszcze nie, ale przypuszczam, że mam informować na bieżąco.

– Owszem. Na bieżąco.

Rozłączyli się.

– Przepraszam. – To był kelner.

Bellman spojrział na rachunek, wstukał zawyżoną kwotę w terminal płatniczy i wcisnął Okej. Wstał i wybiegł z restauracji. Ujęcie Valentina Gjertseny otworzy teraz przed nim wszystkie drzwi.

John D. Steffens nacisnął przełącznik. Światłówki przez kilka sekund migotały, zanim wreszcie z cichym szumem się ustabilizowały i zalały pomieszczenie zimnym światłem.

Oleg zamrugnął i aż jęknął.

– Czy to wszystko jest krew? – Jego głos odbił się echem.

Steffens się uśmiechnął. Metalowe drzwi zatrzasnęły się za nimi.

– Witam w Krwawej Łażni!

Olega przeszedł dreszcz. Pomieszczenie było chłodzone, a niebieskawe światło odbijające się od białych, popękanych kafelków jeszcze wzmacniało wrażenie, że znalazł się w lodówce.

– Ile... ile tego jest? – spytał, idąc za Steffensem między rzędami czerwonych plastikowych worków, zawieszonych po cztery na metalowych stojakach.

– Wystarczająco, żebyśmy dali sobie radę przez pierwsze dni, gdyby Oslo zaatakowali Lakotowie. – Steffens szedł po drabince do basenu.

– Lakotowie?

– Ty pewnie nazywasz ich Siuksami. – Steffens chwycił w dłoń jeden z worków i ścisnął go. Oleg zobaczył, jak krew zdaje się zmieniać kolor z ciemnego na jasnoczerwony. – To mit, że Indianie, na których natknął się biały człowiek, byli tak bardzo żądni krwi. Z wyjątkiem Lakotów.

– Tak? No a biały człowiek? Czy żądza krwi nie jest raczej równo podzielona między rozmaite narody?

– Wiem, że tak się teraz uczycie w szkole – powiedział Steffens. – Nikt nie jest lepszy ani gorszy. Ale uwierz mi, Indianie Lakota to co innego. Byli najlepszymi wojownikami. Apacze mówili, że jeśli zjawiają się Czejeni albo Czarne Stopy, to oni pozwalają swoim wojownikom odpoczywać, a do pokonania wroga wysyłają młodych chłopców albo starców. Ale kiedy pojawiali się Lakotowie, Apacze nie wysyłali nikogo. Zaczynali od razu śpiewać pieśni umarłych. I mieli nadzieję na szybką śmierć. Kiedy Lakotowie palili swoich jeńców wojennych, robili to po kawałku. Używali małych kawałeczków węgla. – Steffens szedł dalej w głąb, tam gdzie worki z krwią wisiły jeszcze gęściej i gdzie docierało mniej światła. – A kiedy jeńcy już nie dawali rady, robiono przerwę, podawano im wodę i coś do jedzenia, aby tortury mogły potrwać jeszcze dzień albo dwa. Podobno tym jedzeniem bywały niekiedy odkrojone kawałki ich własnego ciała.

– To prawda?

– Hm. Taka sama prawda jak inna opowieść. Pewien wojownik z plemienia Lakota o imieniu Księżyc za Chmurą zasłynął z wypijania całej krwi wszystkich wrogów, których zabił. To oczywiste zafałszowanie historii, ponieważ zabił wielu wrogów i nie przeżyłby takich uczt – ludzka krew w dużych dawkach jest śmiertelna.

– Naprawdę?

– Organizm otrzymuje więcej żelaza, niż jest w stanie przetrawić. Ale krew kilku osób wypił, to wiem na pewno. – Steffens zatrzymał się przy jednym ze stojaków. – W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku mojego prapradziadka opróżnionego z krwi znaleziono w obozie Księżycza za Chmurą w Utah, dokąd prapradziadek wyprawił się z misją. Moja babcia w dzienniku zapisała, że po masakrze na Lakotach nad Wounded Knee w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku prababcia dziękowała Bogu. A wracając do rodziny...

– Tak?

– Ta krew należy do twojej matki. To znaczy teraz należy do mnie.

– Myślałem, że ona raczej dostaje krew.

– Twoja matka ma bardzo rzadki typ krwi, Oleg.

– Naprawdę? Sądziłem, że ma dość zwyczajną grupę.

– We krwi liczy się wiele innych rzeczy oprócz grupy. Na szczęście ma grupę A, więc mogę jej zapewnić pospolity produkt stąd – wskazał ręką – zwyczajną krew, którą jej organizm absorbuje i przetwarza w te szlachetne krople, będące krwią Rakel Fauke. A ciebie, Olegu Fauke, ściągnąłem tutaj nie tylko po to, żebyś zrobił sobie przerwę w siedzeniu przy jej łóżku. Chciałem spytać, czy będę mógł pobrać od ciebie próbkę, żeby sprawdzić, czy produkujesz taką samą krew jak twoja matka.

– Ode mnie? – zdziwił się Oleg. – No... jeśli to może komuś pomóc, to dlaczego nie?

– Może pomóc mnie, uwierz mi. Jesteś gotów?

– Tutaj? Teraz?

Oleg spojrzał doktorowi Steffensowi w oczy. Coś kazało mu się zawahać, chociaż nie potrafił określić, o co chodzi.

– Okej – zgodził się mimo to. – Oddam panu moją krew.

– No to dobrze. – Steffens wsunął rękę do prawej kieszeni białego fartucha i podszedł o krok bliżej. Zaraz jednak na jego czole pojawiła się zmarszczka irytacji, bo z lewej kieszeni dobiegła wesoła melodia. – Nie sądziłem, że tu jest zasięg – mruknął i wyjął telefon. Blask wyświetlacza padł na twarz lekarza i odbił się od okularów. – Wygląda na to, że dzwonią z policji. – Przyłożył komórkę do ucha. – Słucham, ordynator John Doyle Steffens.

Oleg słyszał tylko szmer głosu osoby na drugim końcu linii.

– Nie, pani komisarz Bratt. Nie widziałem dzisiaj Harry’ego Hole i jestem pewien, że go tu nie ma. Istnieją też inne miejsca, w których wyłącza się telefon. Może na przykład wsiadł do samolotu? – Steffens spojrzał na Olega, który wzruszył ramionami. – Znaleźliście go? Tak, pani komisarz, przekażę mu tę informację, gdyby się pojawił. A kogo znaleźliście? Nie, nie musi pani tłumaczyć, wiem, czym jest obowiązek tajemnicy służbowej. Myślałem, że Holem będzie łatwiej, jeśli nie będę musiał porozumiewać się z nim szyfrem. Zrozumie, o kogo pani chodzi? Dobrze, wobec tego przekażę Holem, kiedy go zobaczę, że go znaleźliście. Życzę miłego dnia, pani komisarz.

Steffens schował telefon z powrotem do kieszeni i zobaczył, że Oleg podwinął już rękaw koszuli. Lekarz chwycił chłopaka pod ramię i szybkim krokiem poprowadził z powrotem ku basenowej drabince.

– Dziękuję, ale zauważyłem w telefonie, że jest już później, niż sądziłem, i czeka na mnie pacjent. Krew od ciebie, Fauke, pobierzemy kiedy indziej.

Sivert Falkeid, szef oddziału Delta, siedział z tyłu geländewagena, będącego na wyposażeniu jednostki specjalnej policji, i wyszczeniwał ostatnie krótkie komendy, kiedy toczyli się w górę Trondheimsveien. W samochodzie było ich ośmioro. Siedmiu mężczyzn i jedna kobieta, nienależąca do oddziału. Żadna kobieta nigdy do niego nie trafiła. Teoretycznie wymogi przyjmowania do Deltę nic nie mówiły o płci, lecz wśród setki tegorocznych kandydatów również nie było ani jednej kobiety, a w historii zgłosiło się ich zaledwie pięć, wszystkie w poprzednim stuleciu, i żadnej nie udało się prześlizgnąć przez ucho igielne. Ale kto wie, ta, która siedziała teraz naprzeciwko niego, wyglądała na silną i wytrzymałą, może miałaby szansę.

– Czyli nie wiemy, czy ten Dreyer jest w domu – powtórzył Sivert Falkeid.

– Tylko żeby była jasność: to Valentin Gjertsen, wampirysta – odpowiedziała Katrine.

– Przecież żartuję. – Falkeid się uśmiechnął. – Nie ma komórki, którą moglibyśmy namierzyć?

– Możliwe, że ma, ale niezarejestrowaną ani na nazwisko Dreyer, ani na Gjertsen. To jakiś problem?

Sivert Falkeid patrzył na nią. Z Wydziału do spraw Architektury w Ratuszu ściągnęli szkic budynku i nic nie zapowiadało trudności. Czterdziestopięciometrowe dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, bez tylnego wyjścia czy bezpośrednich schodów do piwnicy. Planował wysłać czterech ludzi na klatkę, a dwóch postawić na trawniku, na wypadek gdyby facet postanowił skoczyć z balkonu.

– Nie, żaden – odparł.

– To dobrze. Wchodźcie po cichu?

Falkeid uśmiechnął się jeszcze szerzej. Podobał mu się jej bergeński dialekt.

– Uważasz, że powinniśmy wyciąć dziurę w szybie balkonowej, uprzejmię wytrzeć nogi i dopiero wejść?

– Pomyślałam, że nie ma powodu marnować granatów i dymić, skoro chodzi o jednego człowieka, który najprawdopodobniej nie ma broni przy sobie przez cały czas i nie wie, że się zjawimy. A ciche wejście pozbawione dramatyzmu oznacza wyższe noty za styl, prawda?

– Owszem. – Falkeid sprawdził GPS i drogę przed nimi. – Ale użycie granatu hukowego obniża ryzyko i dla niego, i dla nas. Huk i błysk po wrzuceniu granatu

paraliżuje dziewięciu na dziesięciu ludzi, bez względu na to, za jakich twardzieli się uważają. Myślę, że wykorzystując tę taktykę, ocaliliśmy życie większej liczbie aresztowanych niż naszych. No i chętnie zużyjemy te granaty, zanim minie termin ich przydatności. Poza tym chłopców roznosi, muszą się trochę zabawić, ostatnio sporo się nudzili.

– Żartujesz sobie, prawda? Chyba nie jesteście dziecinni aż do tego stopnia?

Falkeid wyszczerzył zęby w uśmiechu i wzruszył ramionami.

– Wiesz co? – Katrine nachyliła się nad nim, zwilżyła czerwone wargi i lekko zniżyła głos. – Nawet trochę mi się to podoba.

Falkeid się roześmiał. Był szczęśliwie żonaty, ale gdyby nie to, nie odmówiłby wyjścia na kolację z Katrine Bratt. Chętnie popatrzyłby dłużej w te niebezpieczne ciemne oczy, posłuchał charakterystycznej bergeńskiej wymowy „r”, kojarzącej się z powarkiowaniem drapieźnika.

– Jedna minuta – powiedział głośno i mężczyźni niemal zsynchronizowanym ruchem zsunęli przyłbice na twarze. – Mówiłaś, że ma rugera redhawka.

– To Harry Hole mówił, że Gjertsen miał go w barze.

– Słyszeliście, chłopcy?

Kiwnęli głowami. Producent twierdził, że plastik nowego modelu przyłbicy jest w stanie zatrzymać dziewięćmilimetrową kulę zmierzającą ku twarzy, którą osłaniał, ale nie poradzi sobie z dużym kalibrem Redhawka. Zdaniem Falkeida może i lepiej, bo fałszywe poczucie bezpieczeństwa tylko otępia.

– A jeśli będzie się opierał? – spytała Katrine.

– Wtedy go zastrzelimy.

– Musicie?

– Na pewno ktoś mądry po szkodzie będzie miał później jakieś uwagi, ale my wolimy być mądrzy przed szkodą i strzelać do tych, którzy zamierzają strzelić do nas. Świadomość, że to dozwolone, stanowi u nas ważny element zadowolenia z pracy. No, chyba jesteśmy na miejscu.

Stał przy oknie. Zauważył na szybie dwa tłuste ślady po palcach. Miał stąd widok na miasto, ale nic nie dostrzegał, tylko słyszał syreny. Nie musi się martwić, przecież syreny wyją nieustannie. Ludzie płoną w mieszkaniach, zdarza im się poślizgnąć na podłodze w łazience, torturują najbliższych – wtedy włączają się syreny. Irytujące, uporczywie domagające się, by ci, którzy jadą przodem, usunęli się, ustąpili z drogi.

Za ścianą ktoś uprawiał seks. W godzinach pracy. Czyli zdrada. Zdrada małżonków, zdrada pracodawców, a prawdopodobnie jednych i drugich.

Syreny wznosiły się i opadały ponad szumem głosów płynących z radia w telefonie. Już byli w drodze – ludzie w mundurach, posiadający autorytet i prawo pierwszeństwa przejazdu, ale działający bez celu i sensu. Wiedzieli jedynie, że mają się spieszyć, bo jeśli nie zdążą, stanie się coś strasznego.

Nalot bombowy. Wtedy syreny miały sens. Odgłos sądu ostatecznego. Radosny dźwięk, od którego włosy jeżyły się na głowie. Usłyszeć ten dźwięk, spojrzeć na zegarek, stwierdzić, że nie jest punkt dwunasta w południe, i zrozumieć, że to nie są ćwiczenia. On zbombardowałby Oslo o dwunastej zero zero. Nikt nie pobiegłby do schronu. Ludzie stanęliby zdziwieni, patrząc w niebo, zastanawiając się, o co chodzi z tą pogodą. Albo pieprzyliby się dalej z wyrzutami sumienia, lecz nie byłiby w stanie zachować się inaczej. Bo nie potrafimy postępować inaczej, robimy to, co musimy, ponieważ jesteśmy tym, kim jesteśmy. Źle rozumiemy ideę siły woli, która może nas skłonić do działania innego aniżeli to, co dyktuje nam własna natura. Jest dokładnie przeciwnie. Siła woli jedynie podąża w ślad za głosem naszej natury, nawet wtedy, gdy okoliczności wszystko nam utrudniają. Zgwałcenie kobiety, zwalczenie lub wykorzystanie jej oporu, ucieczka przed policją i zemsta, ukrywanie się we dnie i w nocy – czy to nie jest pokonywanie wszelkich przeszkód tylko po to, aby kochać się z tą kobietą?

Syreny już się oddaliły. Kochankowie skończyli swoje.

Usiłował sobie przypomnieć, jak brzmiał sygnał alarmowy oznaczający „ważna informacja, słuchajcie radia.” Czy ciągle się go używało? Kiedy był chłopcem, w radiu w zasadzie nadawano jeden program, ale jaki należało wybrać teraz, żeby usłyszeć tę wiadomość, która musiała być niesłychanie ważna, lecz jednak nie na tyle dramatyczna, by uciekać do schronu? Może istniał plan szybkiego reagowania, nakazujący przejęcie wszystkich kanałów radiowych, w których jeden głos obwieści... ale co? Że już za późno. Że schrony są zamknięte, bo oni i tak nie mogą cię uratować, nic już nie pomoże. Teraz trzeba jak najszybciej zebrać wokół siebie tych, których się kocha, pożegnać się z nimi i umrzeć. Zdażył bowiem już się nauczyć, że wiele osób podporządkowuje całe swoje życie temu jednemu: aby nie umierać w samotności. Udaje się to jedynie nielicznym, lecz, mój ty świecie, do jakich ofiar skłonni są ludzie z powodu owego rozpaczliwego lęku przed samotnym przekroczeniem tego progu, bez nikogo, kto trzymałby ich za rękę. No cóż. On je trzymał za rękę. Ile? Dwadzieścia? Trzydzieści? Wcale nie wyglądały na mniej przerażone lub mniej samotne. Nawet te, które kochał. Oczywiście nie miały czasu nauczyć się odwzajemniania jego uczuć, ale przecież otaczała je miłość. Pomyślał o Marte Ruud. Powinien był potraktować ją lepiej, nie ulegać tak łatwo. Miał nadzieję, że ona już nie żyje, a jej śmierć nastąpiła szybko i bezboleśnie.

Usłyszał, że za ścianą odkręcono prysznic, pogłośnił więc dźwięk radia w telefonie.

– ...a zatem kiedy część literatury fachowej opisuje wampirystę jako osobę inteligentną, bez oznak chorób psychicznych czy socjopatii, stwarza to wrażenie, że mamy do czynienia z silnym, groźnym wrogiem. Wobec tego tak zwany Wampir z Sacramento, wampirysta Richard Chase, jest bardziej typowym przypadkiem, podobnym do Valentina Gjertsena. U obu obserwujemy zaburzenia psychiczne od wczesnego dzieciństwa, moczenie nocne, piromanię, impotencję. U obu zdiagnozowano paranoję i schizofrenię. Chase co prawda przeszedł podręcznikową drogę z piciem zwierzęcej krwi, między innymi wstrzyknął sobie krew królików, w wyniku czego zachorował, natomiast Valentina jako chłopca bardziej interesowało dręczenie kotów. W gospodarstwie dziadka ukrywał nowo narodzone kocięta w klatce w stodole, gdzie mógł się nad nimi znęcać bez wiedzy dorosłych. Obaj jednak, i Valentin Gjertsen, i Chase, popadają w obsesję po pierwszym ataku wampirystycznym. Chase zabił wszystkie swoje ofiary, a było ich łącznie sześć, w ciągu zaledwie kilku tygodni. I tak samo jak Gjertsen, większość z nich zamordował w ich własnych domach. Pod koniec grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku zaczął krążyć po Sacramento i sprawdzać drzwi. Jeśli były otwarte, uznawał to za zaproszenie, by wejść do środka, jak później tłumaczył podczas przesłuchania. Jedną z jego ofiar, Teresa Wallin, była w trzecim miesiącu ciąży, a kiedy Chase zastał ją w domu samą, trzykrotnie do niej strzelił i zgwałcił już martwą, potem podziurawił jej ciało nożem rzeźnickim i wypił jej krew. Brzmi znajomo, prawda?

Owszem, pomyślał. Ale nie masz odwagi wyjawic, że Richard Trenton Chase wyciął z jej ciała organy wewnętrzne, odciął brodawkę sutkową, a z podwórza przyniósł psią kupę, którą wetknął jej do ust. Ani że użył penisa jednej z ofiar jako rurki do wypicia jej krwi.

– I na tym podobieństwo się nie kończy. Podobnie jak Chase, Valentin wkrótce dotrze do końca drogi. Nie sądzę, aby zabił kogoś jeszcze.

– Skąd ta pewność, panie Smith? Współpracuje pan z policją, macie jakieś konkretne ślady?

– Moja pewność nie ma nic wspólnego ze śledztwem, którego, rzecz jasna, nie mogę komentować ani w sposób bezpośredni, ani pośredni.

– Więc dlaczego?

Słyszał, jak Smith bierze głębszy oddech. Przypominał sobie roztargnionego psychologa, który robił notatki, przejęty wypytywaniem go o dzieciństwo, o sikanie do łóżka, o wczesne doświadczenia seksualne, o las, który podpalił, a zwłaszcza

o łowienie kota na wędkę, jak to nazywał, polegające na tym, że brał wędkę dziadka, przerzucał żyłkę przez belkę w dachu stodoły, przebijał haczykiem podbródek kociaka i zwijał żyłkę tak, że zwierzę wisiało w powietrzu, a on mógł obserwować jego beznadziejne próby uwolnienia się poprzez wspinanie się po żyłce.

– Ponieważ Valentin Gjertsen nie jest wyjątkowy, poza tym że jest wyjątkowo zły. Nie jest tępy, ale nie jest też wybitnie inteligentny. Nic szczególnego nie osiągnął. Budowanie wymaga zdolności przewidywania przyszłości, wizji, natomiast niszczenie wymaga jedynie zaślepienia. W ostatnich dniach Gjertsena od schwytania wcale nie ocaliła zręczność, tylko czysty fart. Oczywiście dopóki nie zostanie ujęty, co powinno nastąpić już wkrótce, Valentin Gjertsen pozostanie niebezpiecznym człowiekiem, którego należy się wystrzegać, tak jak należy wystrzegać się psów, które toczą pianę z pyska. Ale pies chory na wściekliznę jest już umierający, a Valentin Gjertsen mimo całego swego zła jest tylko, że zacytuje nieprofesjonalne określenie Harry'ego Hole, nieszczęsnym zboczeńcem, wytraconym z równowagi do tego stopnia, że wkrótce popełni wielki błąd.

– Chce pan więc uspokoić mieszkańców Oslo...

Usłyszał coś i wyłączył podcast. Nasłuchiwał. Zza drzwi dobiegło szuranie stóp. Ktoś się na czymś koncentrował.

Czterech mężczyzn w czarnych mundurach Delta stało przy drzwiach do mieszkania Alexandra Dreyera. Dwadzieścia metrów dalej Katrine Bratt obserwowała ich z korytarza.

Jeden z członków oddziału trzymał półtorametrowej długości taran, kształtem przypominający tubę chipsów Pringles, tyle że z dwiema rączkami.

Mężczyzn o twarzach zasłoniętych przyłbicami nie dawało się od siebie odróżnić, Katrine zakładała jednak, że tym, który podniósł trzy osłonięte rękawiczką palce, był Sivert Falkeid.

W ciszy odliczania słychać było muzykę dobiegającą z mieszkania. Pink Floyd. Nienawidziła Pink Floydów. Chociaż nie, to nieprawda, po prostu żywiła głęboką nieufność do ludzi, którzy ich lubili. Bjørn powiedział kiedyś, że ceni tylko jedną ich piosenkę. Wyciągnął album ze zdjęciem czegoś, co wyglądało jak owłosione ucho – pewnie jeszcze z czasów, zanim stali się naprawdę wielcy – i puścił prostego bluesa, któremu towarzyszyło wycie psa, coś takiego, co wybierają w telewizyjnych show, kiedy już wyczerpią się pomysły. Bjørn powiedział, że udziela amnestii każdej piosence, w której jest trochę przyzwoitego grania techniką *bottleneck*, a brak podwójnych bębnow basowych, ochrypłego wokalu, czczenia czarnych mocy

i zjedzonych przez robaki trupów – tego, co lubiła Katrine – również stanowi plus. Zateškniła za Bjørnem. Tu, w tym momencie, kiedy Falkeid zgiął ostatni palec, zwiijając dłoń w zaciśniętą pięść, i gdy zamierzono się taranem, by wyłamać drzwi do mieszkania człowieka, który w ciągu ostatniego tygodnia zabił co najmniej cztery, a prawdopodobnie pięć osób, ona myślała o mężczyźnie, którego opuściła.

Rozległ się trzask, kiedy drzwi razem z zamkiem wpadły do środka. Trzeci z Deltę wrzucił natychmiast granat hukowy, więc Katrine zasłoniła uszy. W momencie błysku, który zarejestrowała ułamek sekundy wcześniej niż dwa następujące po nim wybuchy, na ściany korytarza padły cienie komandosów.

Trzej mężczyźni wpadli do środka z MP5 przyłożonymi do barków, czwarty został na zewnątrz z bronią wycelowaną w drzwi.

Katrine opuściła ręce.

Granat hukowy nie wystraszył Pink Floydów.

– Czysto – dobiegł głos Falkeida.

Policjant na zewnątrz odwrócił się do Katrine i skinął jej głową.

Odetchnęła głęboko i ruszyła korytarzem.

Weszła do mieszkania. Po wybuchu granatu zostało trochę dymu, ale właściwie bez zapachu.

Przedpokój. Salon. Kuchnia.

Przede wszystkim zaskoczyło ją, że wszystko wygląda tak normalnie, jakby mieszkała tu całkiem zwyczajna osoba, lubiąca czystość i porządek. Która gotuje, pije kawę, ogląda telewizję, słucha muzyki. Żadnych haków do mięsa zwisających z sufitu, bryzgów krwi na tapecie ani przyklejonych do ściany gazetowych wycinków dotyczących zabójstw czy zdjęć ofiar.

Przyszło jej do głowy, że Aurora się pomyliła.

Zajrzała przez otwarte drzwi do łazienki. Ogołocoła ją. Nie było zasłony prysznicowej ani przyborów toaletowych, tylko na półce pod lustrem coś leżało. Katrine weszła do środka. To coś nie służyło do mycia czy golenia. Metal pokrywały czarne plamy farby i brunatnoczerwona rdza. Żelazne szczęki wpasowywały się w siebie, tworząc zygzakowaty wzór.

– Bratt!

– Tak? – Katrine przeszła do salonu.

– Tutaj. – Głos Falkeida dobiegał z sypialni. Brzmiał spokojnie, bez emocji. Jak wówczas, kiedy coś się kończy. Przechodząc przez próg, Katrine wysoko podniosła nogę i starała się nie dotykać drzwi, jakby już wiedziała, że jest na miejscu zbrodni. Szafa była otwarta, a po obu stronach podwójnego łóżka stali członkowie Deltę z pistoletami maszynowymi wycelowanymi w leżące na kołdrze nagie ciało,

martwymi oczami wpatrujące się w sufit. Bił od niego zapach, którego początkowo nie potrafiła zidentyfikować, więc nachyliła się nieco niżej. Lawenda.

Katrine wyjęła telefon i wybrała numer. Bjørn Holm odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Dorwaliście go? – spytał zdyszany.

– Nie – odparła. – Mamy tu kobietę.

– Martwą?

– W każdym razie nie żywą.

– O cholera, to Marte Ruud? Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie jest żywa?

– Ani martwa, ani żywa.

– Co...

– To dmuchana lalka.

– Co...

– Lalka do pieprzenia, w dodatku chyba nawet dość droga, *made in Japan*, bardzo naturalna. W pierwszej chwili wzięłam ją za człowieka. Wszystko jedno, Alexander Dreyer to Valentin. Żelazna szczeka tu jest. Musimy po prostu poczekać i sprawdzić, czy się nie pojawi. Miałaś jakieś wieści od Harry'ego?

– Nie.

Spojrzenie Katrine padło na wieszak i parę slipów, leżące na podłodze przy szafie.

– Nie podoba mi się to, Bjørn. W szpitalu też go nie było.

– Nikomu się to nie podoba. Mam wszcząć poszukiwania?

– Harry'ego? A w jakim celu?

– Racja. Tylko nie róbcie tam za dużego bałaganu, mogą być jakieś ślady po Marte Ruud.

– Dobrze, chociaż przypuszczam, że ewentualne ślady zostały usunięte. Kiedy się patrzy na to mieszkanie, trzeba przyznać Harry'emu słusność. Valentin ekstremalnie lubi porządek i czystość. – Jej spojrzenie znów padło na wieszak i slipy. – A to oznacza...

– Co? – spytał wreszcie Bjørn, kiedy uznał, że pauza zanadto się przedłużyła.

– Niech to piekło pochłonie.

– O co chodzi?

– On wrzucił trochę ubrań do jakiejś torby czy walizki i zabrał z łazienki przybory toaletowe. Wiedział, że przyjdziemy.

Valentin otworzył. I zobaczył, kto szurał nogami tuż pod jego drzwiami. Pokojówka nachylająca się nad kartą-kłuczem do drzwi jego pokoju hotelowego wyprostowała się spłoszona.

– *Oh, sorry.* – Uśmiechnęła się. – *I didn't know the room was occupied...*
– *I'll take those* – powiedział, biorąc od niej ręczniki. – *And could you please clean again?*
– *Sorry?*
– *I'm not happy with the cleaning. There are fingermarks on the window glass. Please clean the room again in, let's say, one hour?*

Jej zaskoczona twarz zniknęła, kiedy zamknął drzwi.

Położył ręczniki na niskim stoliku, usiadł w fotelu i otworzył torbę.

Syreny ucichły. Jeśli to była policja, może już przeszukiwano jego mieszkanie. W prostej linii do Sinsen było nie więcej niż dwa kilometry. Tamten drugi zadzwonił przed niespełną półgodziną i powiedział mu, że policja już wie, gdzie go szukać i jakiego nazwiska używa, więc musi uciekać. Valentin spakował najważniejsze rzeczy, samochód musiał zostawić, skoro znali nazwisko, na które był zarejestrowany.

Wyjął z torby teczkę i zaczął ją przeglądać. Wodził wzrokiem po zdjęciach, po adresach. I uświadomił sobie, że po raz pierwszy od dawna nie wie, co robić.

W głowie rozległ się głos psychologa:

...jest tylko... nieszczęsnym zboczeńcem, wytrąconym z równowagi do tego stopnia, że wkrótce popełni wielki błąd.

Valentin Gjertsen wstał i się rozebrał. Wziął ręczniki, wszedł do łazienki. Odkręcił gorącą wodę w prysznicu, stanął przed lustrem, czekając, aż popłynie niemal wrzątek, i obserwował, jak lustro zaparowuje. Spojrzał na tatuaż. Usłyszał, że dzwoni telefon, wiedział, że to on. Rozum. Ratunek. Z nowymi instrukcjami, z nowymi poleceniami. Nie odbierać? Czyżby przyszła pora na odcięcie pępowiny, liny ratunkowej? Pora, by całkowicie wyrwać się na wolność?

Wziął głęboki wdech i zaczął krzyczeć.

28 ŚRODA, POPOŁUDNIE

– Sekslalki to nic nowego. – Smith patrzył na plastikowo-silikonową kobietę leżącą na łóżku. – Kiedy Holendrzy władali siedmioma morzami, marynarze zwykle zabierali ze sobą coś w rodzaju lalki z waginą uszytą ze skóry. Były na tyle popularne, że Chińczycy nazywali je *Dutch wife*.

– Naprawdę? – spytała Katrine, przyglądając się, jak technicy niczym anioły w bieli przeszukują sypialnię. – Mówili po angielsku?

Smith się roześmiał.

– *Got me*. Po angielsku są artykuły w czasopismach fachowych. W każdym razie w Japonii istnieją domy publiczne z samymi lalkami. Najdroższe są wyposażone w elementy grzejne, dzięki czemu lalki mają temperaturę ciała, oraz w szkielet pozwalający na wyginanie rąk i nóg w naturalnych i nienaturalnych pozycjach. Mają także automatyczne smarowanie...

– Dziękuję, sądzę, że tyle wystarczy – stwierdziła Katrine.

– Oczywiście, przepraszam.

– Bjørn wspominał, dlaczego został w Kotłowni?

Smith pokręcił głową.

– On i pani Lien mieli jakieś swoje sprawy – odpowiedział Wyller.

– Z Berną Lien? Sprawy?

– Powiedział tylko, że dopóki nie jest to przypuszczalne miejsce zbrodni, zostawia robotę innym.

– Sprawy – mruknęła Katrine pod nosem, opuszczając sypialnię. Smith i Wyller ruszyli za nią. Wyszli z mieszkania na parking przed blokami, stanęli za niebieską hondą, w której dwaj technicy już sprawdzali bagażnik. Kluczyki znaleźli w mieszkaniu i uzyskali potwierdzenie, że samochód jest zarejestrowany na Alexandra Dreyera. Niebo nad nimi było stalowoszare, po drugiej stronie falujących trawiastych zboczy Torshovdalen korony drzew szarpał wiatr. Według ostatnich prognoz Emilia uderzy już za kilka godzin.

– Sprytnie, że nie wziął samochodu – zauważył Wyller.

– Owszem – przyznała Katrine.

– O czym wy mówicie?

– Punkty pobierania opłat za przejazd, strzeżone parkingi, monitoring na ulicach. Można uruchomić program rozpoznający numer rejestracyjny na nagraniach wideo, działa w kilka sekund.

– *Brave new world* – dodała Katrine.

– *O brave new world, that has such people in it* – zacytował Szekspira Smith.

Katrine odwróciła się do psychologa.

– Potrafisz sobie wyobrazić, dokąd ktoś taki jak Valentin mógłby uciec?

– Nie.

– Nie? To znaczy nie masz pojęcia?

Smith wcisnął okulary na nos.

– Nie, nie potrafię sobie wyobrazić, żeby uciekał.

– Dlaczego?

– Bo się rozzłościł.

Katrine się wzdrygnęła.

– Na pewno nie wprowadziłeś go w dobry humor swoją audycją u Mony Daa.

– To prawda – westchnął Smith. – Pewnie posunąłem się za daleko. Znowu. Na szczęście po tym włamaniu do obory założyliśmy w domu dobre zamki i monitoring, ale może...

– Może co?

– Może czulibyśmy się bezpieczniej, gdybym miał jakąś broń, pistolet czy coś takiego?

– Regulamin nie pozwala przekazywać broni policyjnej bez licencji i ukończenia kursu strzeleckiego.

– Uzbrojenie w wypadku obrony koniecznej – podsunął Wyller.

Katrine spojrzała na młodego kolegę. Może kryteria uzbrojenia w wypadku obrony koniecznej nie były do końca spełnione, ale już sobie wyobrażała te nagłówki, w sytuacji gdyby Smith został zabity, a wyszłoby na jaw, że powołując się na obronę konieczną, prosił o broń, której mu nie przyznano.

– Pomożesz Hallsteinowi załatwić pistolet?

– Jasne.

– No to dobrze. Poleciałam już Skarremu, żeby sprawdził pociągi, promy, samoloty, hotele i pensjonaty. Miejmy nadzieję, że Valentin nie ma dokumentów na inne nazwiska niż Alexander Dreyer.

Katrine zadarła głowę i popatrzyła w niebo. Chodziła kiedyś z chłopakiem, który uprawiał paralotniarstwo, mówił jej, że nawet jeśli na poziomie ziemi nie ma wiatru, to kilkaset metrów wyżej powietrze może się poruszać z prędkością przekraczającą tę dopuszczalną na autostradzie. Dreyer. *Dutch wife*. Jakieś sprawy? Pistolet. Rozzłoszczony.

– A Harry’ego nie było w domu? – spytała.

Wyller pokręcił głową.

– Zadzwoń do drzwi, obszedłem dom i zajrzałem do wszystkich okien.

– Pora dać znać Olegowi – zdecydowała Katrine. – Na pewno ma klucze.

– Załatwię to od razu.

Katrine westchnęła.

– Jeśli nie znajdziecie tam Harry’ego, trzeba będzie prosić Telenor, żeby namierzył jego telefon.

Podszedł do niej ubrany na biało technik.

– Znaleźliśmy krew w bagażniku.

– Dużo?

– Tak. I jeszcze to. – Uniósł przezroczystą plastikową torbę na dowody. W środku

leżała biała bluzka. Podarta. Zakrwawiona. Z koronkami, tak jak goście opisywali bluzkę Marte Ruud, którą miała na sobie tamtego wieczoru, gdy zniknęła.

29 ŚRODA, WIECZÓR

Harry otworzył oczy i zapatrzył się w ciemność. Gdzie był?

Co się stało? Na jak długo stracił przytomność? Czuł się tak, jakby ktoś walnął go w głowę metalowym drągiem. Uderzenia serca obijały się o bębny w uszach monotonnym rytmem. Przypominał sobie jedynie, że jest zamknięty. Na tyle, na ile potrafił ocenić, stwierdził, że leży na podłodze pokrytej zimnymi kafelkami. Zimnymi jak we wnętrzu lodówki. Leżał w czymś mokrym, lepkim. Uniósł rękę i wpatrzył się w nią. Czy to krew?

Powoli, bardzo powoli uświadomił sobie, że o bębny w uszach wcale nie tłucze się serce.

To była gitara basowa.

Kaiser Chiefs? Prawdopodobnie. W każdym razie jeden z tych przereklamowanych angielskich zespołów, o których w zasadzie już zapomniał. Kaiser Chiefs nie byli źli, ale też i nie wyjątkowi, dlatego trafili do burej zupy kawałków, które słyszał dawniej niż rok temu, a mniej niż dwadzieścia lat temu, i które po prostu się nie zakorzeniły. Pamiętał każdy ton i każdą linijkę tekstu nawet najgłupszej piosenki z lat osiemdziesiątych, natomiast obszar między tamtymi czasami a teraźniejszością pozostawał czystym niezapisanym polem. Tak samo jak obszar między dniem wczorajszym a chwilą obecną. Nic. Tylko ten natrętny bas. Albo bicie serca. Albo ktoś walił w drzwi.

Harry znów zamknął oczy. Obwąchał dłoń. Miał nadzieję, że to nie krew, mocz czy wymiociny.

Bas wypadł z rytmu piosenki.

To jednak drzwi.

– Zamknięte! – krzyknął. I od razu pożałował, bo miał wrażenie, że rozsadzi mu czaszkę.

Piosenka się skończyła, teraz zaczęli grać The Smiths. Harry zrozumiał, że kiedy znudziło mu się Bad Company, musiał podłączyć do sprzętu swój telefon. *There Is a Light That Never Goes Out*. Oby tak było. Ale walenie nie ustawało. Harry zakrył rękami uszy, lecz kiedy utwór dotarł do ostatniej części z samymi smyczkami, usłyszał też głos wołający go po imieniu. Ponieważ nie był to ktoś, kto

sobie po prostu zapamiętał, że nowy właściciel baru Jealousy ma na imię Harry, a poza tym rozpoznał ten głos, podniósł ręce, chwycił się krawędzi kontuaru i podciągnął do góry. Najpierw na kolana. Potem do pozycji pochylonej, którą jednak należało zakwalifikować również jako stojącą, ponieważ podeszwy butów przylegały do lepkiej podłogi. Zobaczył dwie puste przewrócone butelki po Jimie Beamie z szyszkami poza krawędzią lady i zrozumiał, że na leżąco marynował się we własnym burbonie.

Dostrzegł jej twarz za oknem. Wyglądało na to, że jest sama.

Wyprostowanym palcem wskazującym przeciągnął przez gardło, sygnalizując, że zamknięte, ale ona w odpowiedzi pokazała mu wyprostowany palec środkowy i teraz zaczęła walić w szybę.

Odgłos brzmiał tak, jakby ktoś walił młotkiem w miękkie części mózgu, Harry doszedł więc do wniosku, że lepiej otworzyć. Puścił kontuar, zrobił krok. I upadł. Obie stopy miał zdrętwiałe, jak to możliwe? Zdołał się jednak podnieść i podpierając się o stoliki i krzesła, jakoś doczłapał do drzwi.

– Boże! – jęknęła Katrine, kiedy jej otworzył. – Uwaliłeś się.

– Możliwe – odparł Harry. – Chociaż wolałbym uwalić się bardziej.

– Szukaliśmy cię, idioto! Cały czas byłeś tutaj?

– Nie bardzo wiem, co oznacza „cały czas”, ale na ladzie leżą dwie puste butelki. Miejmy nadzieję, że się nie spieszyłem i czerpałem z tego przyjemność.

– Wydzwaniaaliśmy bez przerwy.

– Mhm. Najwidoczniej przestawiłem telefon na tryb samolotowy. Dobra playlista? Posłuchaj, ta wściekła dama to Martha Wainwright. *Bloody Mother Fucking Asshole*. Przypomina ci kogoś?

– Do diabła, Harry, o czym ty myślisz?

– Myślę jak myślę. Widzisz chyba, że też jestem w trybie samolotowym.

Chwyliła go za kołnierz.

– Tam mordują ludzi, Harry. A ty próbujesz stroić sobie żarty?

– Próbuję stroić sobie żarty w każdy pieprzony dzień, Katrine. I wiesz co? Ludzie nie stają się od tego ani zdrowsi, ani bardziej chorzy. Nie ma to też żadnego wpływu na statystyki zabójstw.

– Harry, Harry...

Zachwiał się i uświadomił sobie, że Katrine przytrzymuje go za kołnierz kurtki przede wszystkim po to, żeby się nie przewrócił.

– Zgubiliśmy go, Harry. Potrzebujemy cię.

– Okej. Tylko daj mi się najpierw napić.

– Harry!

- Te twoje krzyki są bardzo... głośne.
- Spadamy. Mam samochód przed barem.
- W moim barze jest *happy hour*, a ja niezbyt nadaję się do pracy.
- Nie pójdziesz do pracy, tylko do domu, żeby wytrzeźwieć. Oleg na ciebie czeka.
- Oleg?
- Poprosiliśmy, żeby otworzył nam dom na Holmenkollen. Tak się bał tego, co zobaczy w środku, że Bjørn musiał wejść pierwszy.
- Harry zamknął oczy. Niech to szlag.
- Nie mogę, Katrine.
- Czego nie możesz?
- Zadzwoń do Olega i przekaż mu, że ze mną wszystko w porządku, niech wraca do matki.
- Zdecydowałem, że będzie czekał w domu, aż wrócisz, Harry.
- On nie może mnie zobaczyć w takim stanie. A tobie do niczego się nie przydam. *Sorry*, nie ma o czym dyskutować. - Chwyć się drzwi. - Idź już.
- Mam iść? I zostawić cię tutaj?
- Dam sobie radę. Dalej już będzie tylko woda do drinków. Może trochę Coldplay.
- Katrine pokręciła głową.
- Pojedziesz ze mną do domu.
- Nie wracam do domu.
- Nie do twojego.

30 ŚRODA, NOC

Do północy została godzina, U Olsena było pełno zdecydowanie dojrzałych ludzi, a z głośników Gerry Rafferty saksofonem zdmuchiwał zaczeski z głów tych stojących najbliżej.

- Tak brzmiały lata osiemdziesiąte! – zawołała Liz. – Zdrowie!
- Wydaje mi się, że to jest z lat siedemdziesiątych – poprawiła ją Ulla.
- Tak, tak, ale na Manglerud dotarło dopiero w osiemdziesiątych.

Roześmiały się. Ulla zauważyła, że Liz pokręciła głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie mężczyzny, który mijał ich stół.

- Prawdę mówiąc, jestem tu już drugi raz w tym tygodniu – powiedziała Ulla.
- I co, też było tak fajnie?
- Nie. Zresztą nic nie może się równać z wyjściami z tobą. Czas płynie, a ty ciągle jesteś taka sama.

– To prawda. – Liz przechyliła głowę i uważnie przyjrzała się przyjaciółce. – W przeciwieństwie do ciebie.

- Tak? Postarzałam się?
- Nie, i akurat to jest trochę irytujące. Ale już się nie uśmiechasz.
- Nie?
- Uśmiechasz się, ale nie naprawdę. Nie tak jak Ulla z Manglerud.

Ulla zakołysała głową.

– Przeprowadziliśmy się.

– Tak, tak, wiem. Masz męża, dzieci i willę. Ale to marna zapłata za uśmiech, Ulla. Co się właściwie stało?

– No właśnie, co się stało? – Ulla uśmiechnęła się do Liz i wypięła łyk. Rozejrzała się. Dookoła przeważali ludzie w ich wieku, ale nie widziała żadnej znajomej twarzy. Manglerud się rozrosło, ludzie się wprowadzali, wyprowadzali, niektórzy umarli, inni po prostu zniknęli. A niektórzy siedzieli w domu. Czyli też jakby byli martwi albo zniknęli.

- Będę paskudna, jeśli zacznę zgadywać? – spytała Liz.
- Zgaduj.

Rafferty skończył zwrotkę i Liz musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć saksofon, który znów ruszył do ataku.

- Mikael Bellman z Manglerud. To on odebrał ci uśmiech.

– To rzeczywiście było paskudne, Liz.

– Ale prawdziwe, mam rację?

Ulla sięgnęła po kieliszek z winem.

– Pewnie tak.

– Zdradza cię?

– Liz!

– To przecież nie jest żadna tajemnica...

– Co nie jest tajemnicą?

– Że Mikael lubi kobiety. Daj spokój, Ulla, aż taka naiwna nie jesteś!

– Może i nie – westchnęła Ulla. – Ale co robić?

– To samo co ja. – Liz wyjęła z coolera butelkę białego wina i dołała im obu. –

Odplacać tą samą monetą. Zdrowie!

Ulla poczuła, że powinna już przejść na wodę.

– Próbowałam, ale mi nie wyszło.

– Spróbuj jeszcze raz!

– Tylko po co?

– Zrozumiesz, kiedy już to zrobisz. Nic tak nie poprawia kulejącego życia seksualnego w domu jak wyjątkowo kiepski *one night stand*.

Ulla się roześmiała.

– Nie chodzi o życie seksualne, Liz.

– A o co?

– O to, że... jestem... zazdrosna.

– Ulla Henriksen zazdrosna? Niemożliwe! Jak można być tak piękną i zazdrosną!

– No ale jestem! – zaprotestowała Ulla. – I to tak strasznie boli! Chcę się zemścić.

– Oczywiście, że musisz się zemścić, siostró. Pieprz go tam, gdzie go najbardziej zaboli... to znaczy...

Chichocząc, obie parsknęły winem.

– Liz, jesteś pijana!

– Jestem pijana i szczęśliwa, pani komendantowo. Natomiast ty jesteś pijana i nieszczęśliwa. Zadzwoń do niego!

– Do Mikaela, teraz?

– Nie do Mikaela, głupia! Do tego szczęściarza, który będzie cię miał dziś w nocy.

– Co? No nie, Liz!

– Właśnie że tak, zadzwoń do niego teraz! – Liz palcem wskazała niszę z telefonem. – Zadzwoń do niego stąd, niech usłyszy. Telefonowanie stąd będzie bardzo na miejscu.

– Na miejscu? – Ulla się roześmiała, patrząc na zegarek. Niedługo musiała wracać

do domu. – Dlaczego?

– Dlaczego? O Boże, Ulla! To przecież właśnie tutaj Mikael zerznął wtedy Stine Michaelsen!

– Co to jest? – spytał Harry. Pokój wokół niego falował.

– Herbata rumiankowa – odparła Katrine.

– Ta muzyka. – Harry poczuł, że pożyczony sweter go gryzie. Jego własne ubranie suszyło się w łazience, ale chociaż drzwi do niej były zamknięte, ciągle czuł słodkawy zapach alkoholu. Zmysły więc działały, a mimo to pokój dalej falował.

– Beach House. Nigdy wcześniej nie słyszałeś?

– Nie wiem. Właśnie w tym jest problem. Rzeczy zaczynają mi się gubić. – Czuł grubą tkaninę narzuty, na której leżał, zakrywała całe niemal dwumetrowej szerokości niskie łóżko, stanowiące wraz z biurkiem, krzesłem i starą szafką ze sprzętem grającym, na której stała świeca, jedyne umeblowanie pokoju. Harry domyślał się, że i sweter, i sprzęt należały do Bjørna Holma. Muzyka brzmiała tak, jakby poruszała się w przestrzeni. Harry już kilkakrotnie wcześniej doświadczył, że kiedy znalazłszy się blisko granicy zatrucia alkoholem, zaczyna z wolna wynurzać się na powierzchnię, potrafi odczuwać przyjemność płynącą z powrotu przez wszystkie te miejsca, które odwiedził w drodze na dno.

– Pewnie tak to już jest – stwierdziła Katrine. – Zaczynamy od tego, że mamy wszystko, i po trochu to tracimy. Siłę. Młodość. Przyszłość. Ludzi, których kochamy...

Harry usiłował sobie przypomnieć, co miał przekazać Katrine od Bjørna, ale stale mu to uciekało. Rakel. Oleg. W końcu poczuł, że zaraz się rozpłaczę, i wtedy nagle dopadła go wściekłość. Oczywiście, że tracimy wszystkich tych, których usiłujemy zatrzymać, nawet los nami gardzi, bo stajemy się żałośni. Płacząc nad tymi, których tracimy, nie kierujemy się współczuciem, bo przecież wiemy, że oni nareszcie przestali cierpieć. A mimo to płaczymy. Płaczymy, bo zostajemy sami. Płaczymy z litości nad sobą.

– Gdzie jesteś, Harry?

Poczuł jej dłoń na czole. Pod nagłym naporem wiatru zatrzęszczało okno. Z ulicy dobiegł huk, coś spadło na ziemię. Sztorm. Już nadciągał.

– Jestem tutaj – odparł.

Pokój falował. Harry czuł ciepło nie tylko jej dłoni, ale całego jej ciała, chociaż dzieliło ich co najmniej pół metra.

– Chcę umrzeć pierwszy – powiedział.

– Co?

– Nie chcę ich stracić. Oni mogą stracić mnie. Niech raz oni tego posmakują.
Jej śmiech zabrzmiał tak miękko.

– Kradniesz moje kwestie, Harry.

– Naprawdę?

– Kiedy byłam w szpitalu...

– Tak? – Harry przymknął oczy, gdy dłoń Katrine wsunęła się pod jego kark i lekko go ścisnęła, posyłając tępe fale do jego mózgu.

– Cały czas zmieniali diagnozę. Maniakalno-depresyjna, borderline, bipolarna. Ale jedno określenie przewijało się we wszystkich raportach. Skłonności samobójcze.

– Mhm.

– Ale to mija.

– Wiem – powiedział Harry. – A potem wraca, prawda?
Znow się roześmiała.

– Nic nie jest ostateczne. Życie z definicji jest tymczasowe i podlega zmianom. To boli, ale również dzięki temu da się żyć.

– *This too shall pass.*

– Miejmy nadzieję, że tak. Wiesz co, Harry? Jesteśmy tacy sami. Zostaliśmy stworzeni do samotności. Samotność nas kusi.

– Pozbywamy się tych, których kochamy? To chcesz powiedzieć?

– A tak jest?

– Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy stąпам po tym cieniutkim lodzie szczęścia, śmiertelnie się boję, tak bardzo, że chcę, żeby to się już skończyło i żeby wreszcie wpadł do wody.

– Właśnie dlatego uciekamy od naszych ukochanych – stwierdziła Katrine. – W alkohol. W pracę. W przypadkowy seks.

W coś, do czego możemy się przydać, pomyślał Harry. A oni w tym czasie się wykrwawiają.

– Nie możemy ich uratować – powiedziała Katrine, jakby w odpowiedzi na jego myśli. – A oni nie mogą uratować nas. Możemy jedynie uratować się sami.

Materac lekko się ugiął i Harry wiedział, że Katrine obróciła się w jego stronę, poczuł jej ciepły oddech na policzku.

– Ty przynajmniej miałeś to w życiu, Harry. Miałeś tę jedną, którą kochałeś. Oboje mieliście przynajmniej to. I nie wiem, komu z was dwojga bardziej zazdrościłam.

Skąd u niego taka wrażliwość? Czyżby połknął ecstasy albo kwas? A jeśli tak, to skąd wziął prochy? Nie miał pojęcia, ostatnia doba była jedną wielką czarną pustką.

– Mówią, że nie wolno się martwić na zapas – podjęła. – Ale kiedy wiesz,

że czeka cię tylko smutek i żal, to ten zapas jest jedyną poduszką powietrzną, jaka cię chroni. A najlepszym zapasem jest przeżywanie każdego dnia tak, jakby był ostatnim. Mam rację?

Beach House. Przypomniał sobie tę piosenkę. *Wishes*. Przynajmniej tyle. Przypomniał sobie też twarz Rakeł na białej poduszce, w świetle, a mimo to w ciemności, rozmytą, bliską, a jednocześnie daleką, twarz w ciemnej wodzie, wciśniętą w łód od spodu. I przypomniał sobie słowa Valentina: *Jesteś taki jak ja, Harry, nie możesz tego wytrzymać.*

– Co byś zrobił, gdybyś wiedział, że niedługo umrzesz?

– Nie wiem.

– Czybyś...

– Powiedziałem, że nie wiem.

– Czego nie wiesz? – spytała szeptem.

– Czybym się z tobą przespał.

W ciszy, która zapadła, Harry usłyszał szcęk metalu ciągniętego przez wiatr po asfalcie.

– Zobacz – szepnęła Katrine – umieramy.

Harry wstrzymał oddech. Tak, pomyślał, umieram. I zorientował się, że ona też przestała oddychać.

* * *

Hallstein Smith słyszał wiatr gwizdzący w rynnach i czuł chłodny powiew od ściany. Chociaż starali się jak najlepiej zaizolować budynek, to była obora i wciąż nią pozostawała. Emilia. Czytał gdzieś, że to wydana podczas wojny powieść o sztormie nazwanym Marią przyczyniła się do nadawania orkanom żeńskich imion. W latach siedemdziesiątych zwyciężyły jednak idee równouprawnienia i zaczęto naciskać, aby te niszczycielskie siły natury nazywać również imionami męskimi. Spojrzał na uśmiechniętą twarz nad symbolem Skype'a na wielkim monitorze. Głos wyprzedzał nieco ruchy warg.

– *I think I have what I need, thank you so much for being with us, mister Smith. At what for you must be very late, no? Here in LA it's nearly three p.m., and in Sweden?*

– *Norway. Almost midnight.* – Hallstein Smith się uśmiechnął. – *No problem. I'm only glad the press finally realize vampyrism is for real and are seeking information about it.*

Zakończyli rozmowę i Smith przełączył się z powrotem na swoją skrzynkę

pocztową.

Miał trzynaście nieprzeczytanych e-maili, ale po nazwiskach nadawców i tematach zorientował się, że to prośby o wywiad albo wykład. Nie otworzył jeszcze wiadomości od „Psychology Today”. Wiedział, że nie musi się spieszyć. Chciał ją sobie zostawić na później. Spokojnie się nią napawać.

Spojrzał na zegarek. Położył dzieci spać o wpół do dziewiątej, a potem jak zwykle napił się herbaty z May przy stole w kuchni. Opowiedzieli sobie, jak im minął dzień, podzielili się drobnymi radościami i wyrzucili z siebie drobne frustracje. Oczywiście w ostatnich dniach on miał więcej do opowiedzenia jej niż na odwrót, ale pilnował się, by wystarczyło miejsca również na sprawy domowe, wcale nie mniej ważne. Przecież prawdą było to, co powiedział: „Za dużo mówię, a o tym strasznym wampiryzmie możesz po prostu poczytać sobie w gazetach, moja droga”.

Wyjrzał przez okno. Ledwie dostrzegął stąd narożnik domu, gdzie już spali wszyscy, których kochał. Zatrzeszczała ściana. Księżyc to chował się za ciemnymi chmurami, coraz szybciej gnającymi po niebie, to się zza nich wyłaniał, a martwy dąb na środku pola wymachiwał nagimi gałęziami, jakby chciał ich ostrzec o tym, że coś nadciąga, że zbliża się zniszczenie i śmierć.

Otworzył maila z zaproszeniem do przedstawienia prezentacji na seminarium psychologicznym w Lyonie. Ci sami organizatorzy w ubiegłym roku odrzucili jego wniosek o przyznanie mu czasu na wystąpienie. W głowie układał już odpowiedź, w której dziękował za zaszczyt, ale dodawał, że, niestety, priorytetem są dla niego ważniejsze seminaria, dlatego tym razem musi odmówić, ale może kiedy indziej, więc niech spróbują ponownie. Roześmiał się i sam nad sobą pokręcił głową. Nie ma powodów wbijać się w dumę. To nagłe zainteresowanie wampiryzmem znów ucichnie, kiedy ataki ustaną. Przyjął więc propozycję, ze świadomością, że może teraz postawić ostrzejsze warunki, zarówno jeśli chodzi o podróż czy zakwaterowanie, jak i honorarium, ale nie miał siły na negocjacje. I tak dostał wszystko, czego potrzebował, przecież pragnął jedynie, żeby go wysłuchali, żeby wyprawili się wraz z nim w tę podróż po labiryncie ludzkiej psychiki, żeby uznali jego pracę, wspólnie z nim zrozumieli zjawisko i przyczynili się do poprawy życia ludzi. Niczego więcej nie chciał. Spojrzał na zegarek. Za trzy dwunasta. Nagle usłyszał jakiś dźwięk. To oczywiście mógł być wiatr. Kliknął ikonkę kamer monitoringu na pulpicie monitora. Pierwsze okno pokazywało obraz z kamery przy bramie. Brama była otwarta.

Truls sprzątał.

Zadzwońiła. Ulla zadzwońiła.

Wstawił brudne naczynia do zmywarki, opłukał dwa kieliszki. Ciągłe miał butelkę wina, którą kupił na wszelki wypadek tamtym razem, kiedy spotkali się U Olsena. Poskładał puste kartony po pizzy i spróbował je wepchnąć do worka na śmieci, ale worek pękł. Niech to szlag. Schował je za wiadrem do mycia podłogi w głębi szafki. Muzyka. Co ona lubi? Usiłował myślami cofnąć się w czasie. Coś mu dzwoniło, ale nie miał pojęcia, co to jest. Coś z barykadą. Duran Duran? W każdym razie trochę podobne do a-ha. Owszem, miał pierwszą płytę a-ha. Świece. Przyjmował wcześniej u siebie kobiety, ale wtedy nie zależało mu na nastroju.

Z Olsena tutaj było niedaleko. Wprawdzie nadciągał sztorm, ale w środę wieczorem o taksówkę nietrudno, więc Ulla mogła się zjawić w każdej chwili, a to oznaczało, że nie może wziąć prysznic. Umyje tylko fiuta i pachy. A raczej pachy i fiuta, w tej kolejności. Cholera, ale się stresował. Szykował się na spokojny wieczór w towarzystwie dawno niewidzianej Megan Fox z odległych czasów, a tu dzwoni Ulla i pyta, czy mogłaby wpaść z krótką wizytą. Co zresztą rozumiała przez krótką? Że tylko wpadnie i wypadnie, tak jak ostatnio? T-shirt. Ten z Tajlandii z napisem *SAME SAME, BUT DIFFERENT?* Może nie zrozumie dowcipu. A Tajlandia jeszcze jej się skojarzy z chorobami wenerycznymi. Już lepsza ta koszula od Armaniego z centrum handlowego MBK w Bangkoku. Nie, w syntetycznej tkaninie będzie się pocił, a poza tym wyjdzie na jaw, że to tania podróbka. Prędko wciągnął biały T-shirt nieznanego pochodzenia i przeszedł do łazienki. Zobaczył, że kibel trzeba by przelecieć szczotką, ale najpierw to, co najważniejsze...

Stał nad umywalką z członkiem w ręku, kiedy rozległ się dzwonek.

Katrine wpatrywała się w powarkujący telefon.

Dochodziła północ. W ciągu ostatnich minut wiatr się wzmógł i nadciągał teraz porywami, którym towarzyszyły wycie, trzaski i huki, ale Harry leżał nieruchomo, pogrążony we śnie.

Odebrała.

– Tu Hallstein Smith. – W szepcie pobrzmiwało podniecenie.

– Widzę. Co się stało?

– On tu jest.

– Co?

– Wydaje mi się, że to Valentin.

– Co ty mówisz?

– Ktoś otworzył bramę i... na miłość boską, słyszę, że otwierają się drzwi do obory. Co mam robić?

- Nie rób nic... Spróbuj... Możesz się schować?
- Nie. Widziałem go w zewnętrznej kamerze. Boże, to on. – Smith mówił tak, jakby był bliski płaczu. – Co mam robić?
- Cholera... Muszę się zastanowić – jęknęła Katrine.
Ktoś wyrwał jej z ręki telefon.
- Smith? Tu Harry. Jestem z tobą. Zamknąłeś drzwi do gabinetu na klucz? Dobrze, to zamknij i zgaś światło. Zachowuj się cicho i spokojnie.

Hallstein Smith wpatrywał się w monitor komputera.

- Już zamknąłem i zgaśliłem – szepnął.
- Widzisz go?
- Nie. Tak, teraz widzę. – Hallstein zobaczył postać mężczyzny, który pojawił się na końcu korytarza, nadepnął na wagę, zachwiał się, odzyskał równowagę i ruszył dalej, przechodząc obok boksów dla zwierząt. Szedł wprost na kamerę. Kiedy mijał lampę, światło padło na jego twarz.
- Boże, to on, Harry. To Valentin.
- Spokojnie.
- Ale... brama jest otwarta, on ma klucze, Harry! Może do gabinetu też!
- Niewykluczone. Masz tam jakieś okno?
- Tak, ale zbyt wąskie i za wysoko w ścianie.
- A coś ciężkiego, czym możesz uderzyć?
- Nie... Ale mam przecież pistolet.
- Ty masz pistolet?
- Tak, leży w szufladzie, tylko że nie zdążyłem go jeszcze wypróbować.
- Oddychaj spokojnie, Smith. Jak wygląda ten pistolet?
- No, jest czarny. Na komendzie mówili, że to glock coś tam.
- Glock siedemnaście. Z magazynkiem?
- Tak. Powiedzieli, że jest naładowany. Ale nie widzę żadnego odbezpieczenia.
- W porządku. Zabezpieczenie jest w spuście, więc żeby strzelać, wystarczy po prostu nacisnąć cyngiel.

Smith przyłożył telefon do ust i wyszeptał najciszej jak mógł:

- Słyszę klucz w zamku.
- Jak daleko jest do drzwi?
- Dwa metry.
- Wstań i trzymaj pistolet obiema rękami. Pamiętaj, że ty siedzisz po ciemku, a on ma za sobą światło, więc nie będzie cię widział wyraźnie. Jeśli okaże się, że jest nieuzbrojony, zawołasz: „Policja, na kolana!” Jeśli zobaczysz broń, strzelasz

trzy razy. Trzy razy. Zrozumiałeś?

– Tak.

Drzwi przed Smithem się otworzyły.

Pojawił się w nich on. Zarys jego sylwetki na tle światła z obory. Hallstein Smith z trudem łapał powietrze, które jakby wyparowało z gabinetu w momencie, gdy mężczyzna podniósł rękę. Valentin Gjertsen.

Katrine drgnęła. Usłyszała huk dobiegający z telefonu, mimo że Harry trzymał aparat mocno przyciśnięty do ucha.

– Smith! – zawołał Harry. – Smith, jesteś tam?

Cisza.

– Smith!

– Valentin go zastrzelił! – jęknęła Katrine.

– Nie – powiedział Harry.

– Nie? Mówiłeś, że ma strzelić trzy razy, a on nie odpowiada.

– To był glock, a nie ruger.

– Ale dla... – Katrine urwała, słysząc głos w telefonie. Patrzyła na głęboko skupioną twarz Harry’ego. Na próżno usiłowała się zorientować, czy to Smith, czy głos, który znała jedynie z nagrań starych przesłuchań. Wysoki głos, który pojawiał się w jej koszmarach. I który być może akurat w tej chwili mówi Harry’emu, co zamierza zrobić z...

– Okej – odezwał się Harry w końcu. – Podniosłeś jego rewolwer? Dobrze, schowaj go do szuflady i zostań na miejscu, z którego będziesz mógł dobrze widzieć Valentina. Jeśli leży w drzwiach, to go tam zostaw. Rusza się? Wydaje jakieś dźwięki? Aha. Nie, żadnej pierwszej pomocy. Jeśli jest tylko ranny, to czeka, aż się zbliżysz. Jeśli nie żyje, to i tak za późno. A jeśli coś pomiędzy jednym a drugim, no to ma słaby fart. Masz tylko siedzieć i go pilnować. Zrozumiałeś, Smith? Dobrze. Będziemy za pół godziny. Odezwę się do ciebie z samochodu. Nie spuszczaaj z niego oka i zadzwoń do żony, żeby nie wychodziła z domu, przekaż, że już jedziemy.

Katrine złapała rzucony jej przez Harry’ego telefon i zobaczyła, że Harry wstaje z łóżka i znika w łazience. W pierwszej chwili wydało jej się, że ją woła, dopiero później zrozumiała, że wymiotuje.

Truls miał tak spocone dłonie, że czuł to aż przez nogawki spodni.

Ulla była pijana. Mimo to siedziała sztywno na samym brzeżku kanapy, a butelkę z piwem, którą jej dał, trzymała przed sobą jak tarczę.

– Pomyśl tylko, pierwszy raz jestem u ciebie w domu – powiedziała trochę

niewyraźnie. – A znamy się... ile lat?

– Odkąd mieliśmy po piętnaście – odparł Truls, który w tej chwili raczej nie był zdolny do zbyt skomplikowanego rachowania w pamięci.

Uśmiechnęła się do siebie i kiwnęła głową. To znaczy głowa po prostu opadła jej do przodu.

Truls chrząknął.

– Nieźle wieje. Ta Emilia...

– Truls?

– Słucham.

– Przespałbyś się ze mną?

Przełknął ślinę.

Parsknęła śmiechem, nie podnosząc głowy.

– Truls, mam nadzieję, że ta pauza nie oznacza...

– Oczywiście, że tak – zapewnił.

– To dobrze. Bardzo dobrze. – Podniosła wzrok i popatrzyła na niego rozmytym spojrzeniem. – Dobrze.

Głowa osadzona na jej smukłej szyi zakołysała się, jakby wypełniało ją coś ciężkiego. Ciężkie myśli. Ale nie mógł teraz tego roztrząsać. Teraz pojawiła się jego szansa. Otwarcie, o którym zawsze marzył, a na które nigdy nie liczył: wolno mu będzie przelecieć Ullę Henriksen.

– Masz jakąś sypialnię, w której moglibyśmy to zrobić?

Spojrzał na nią i kiwnął głową. Uśmiechała się, ale nie wyglądała na uradowaną. Do diabła z tym. Niech się raduje kto inny, Ulla Henriksen miała ochotę na seks i tylko to się w tej chwili liczyło. Truls już chciał pogłaskać ją po policzku, ale ręka go nie usłuchała.

– Coś nie tak, Truls?

– Nie tak? Co miałoby być nie tak?

– Wyglądasz na takiego...

Czekał. Ale nic więcej nie usłyszał.

– Na jakiego? – spytał wreszcie.

– Zagubionego. – Zamiast niego to ona dotknęła jego policzka. – Biedny, biedny Truls.

Mało brakowało, a odtrąciłby tę rękę. Odtrąciłby rękę Ulli Henriksen, która po tylu latach wyciągnęła się bez pogardy czy obrzydzenia, żeby go dotknąć. Co z nim jest, do cholery? Babka chciała się po prostu rznąć, a on powinien temu sprostać. Nigdy nie miał z tym problemów. Powinien teraz zwyczajnie podnieść ją z kanapy, zaprowadzić do sypialni, rozebrać i robić swoje. Ona powinna krzyżeć,

jęczeć i zawodzić, a on nie przestawać, dopóki ona...

– Płaczesz, Truls?

On płacze? Najwyraźniej tak się spiła, że miała zwidy.

Zabrała rękę z jego policzka i przycisnęła ją do swoich warg.

– Prawdziwe słone łzy – powiedziała. – Smutno ci?

Teraz i Truls to poczuł. Poczuł, że coś ciepłego spływa mu po policzkach. Z nosa też zaczynało kapać. Czuł ściskanie w gardle, jakby próbował przełknąć coś zbyt wielkiego, co chciało go rozerwać albo zadławić.

– Chodzi o mnie? – spytała.

Truls pokręcił tylko głową, nie mógł wydusić z siebie słowa.

– Czy o... Mikaela?

Pytanie było tak idiotyczne, że prawie się wkurzył. Oczywiście, że nie chodziło o Mikaela. Dlaczego, u diabła, miałoby chodzić o niego? Tego niby najlepszego przyjaciela, który od chłopięcych lat wyśmiewał się z niego w obecności innych, a wypychał go przed siebie, kiedy groziło im manto. A później, gdy obaj już byli w policji, kazał Trulsowi, pieprzonemu Beavisowi, wykonywać brudną robotę, potrzebną Mikaelowi Bellmanowi, aby dotrzeć tam, gdzie teraz się znajdował. Dlaczego Truls miałby siedzieć tu i płakać nad czymś takim? Nad przyjaźnią, narzuconą dwóm dziwnym outsiderom, skazanym na przebywanie ze sobą, która jednego wywiodła na szczyt sukcesu, a z drugiego zrobiła żalostnego nieudacznika. Na pewno nie o to chodzi. Więc o co? Dlaczego nieudacznik, mogąc się odegrać i posunąć jego żonę, zaczyna się mazać jak baba? Teraz Truls dostrzegł łzy również w oczach Ulli. Ulla Henriksen. Truls Berntsen. Mikael Bellman. Było ich troje. A cała reszta Manglerud mogła iść w diabły. Bo oni nie mieli nikogo, tylko siebie.

Ulla wyjęła z torebki chusteczkę i delikatnie osuszyła sobie skórę pod oczami.

– Chcesz, żebym poszła? – spytała, siąkając nosem.

– Ja... – Truls nie rozpoznawał własnego głosu. – Do diabła, nie wiem. Nie wiem naprawdę, Ulla.

– Ja też nie. – Spojrzała na ślady tuszu na chusteczce i schowała ją z powrotem do torebki. – Przepraszam, Truls, to był chyba zły pomysł. Pójdę już.

Kiwnął głową.

– Kiedy indziej – wymamrotał. – W innym życiu.

– Na pewno – powiedziała, wstając.

Truls dalej stał w przedpokoju, nawet kiedy drzwi się za nią zamknęły, i słuchał jej kroków odbijających się echem od ścian na klatce, powoli oddalających się coraz bardziej. W końcu usłyszał odgłos otwieranych na dole drzwi. Zamykanych. Odeszła. Całkiem.

Czuł... No właśnie, co czuł?

Ulgę. Ale też rozpacz, wręcz nieznośną, niczym fizyczny ból w piersi i w brzuchu, która sprawiła, że przez moment pomyślał o broni w szafce w sypialni, o tym, że mógłby przestać czuć ten ból już tu i teraz. W końcu osunął się na kolana i dotknął czołem słomianki. A potem zaczął się śmiać. Chrumkający śmiech nie chciał ucichnąć, stawał się coraz głośniejszy. Cholera, ale życie!

Serce Hallsteina Smitha ciągle biło szybko.

Zrobił tak, jak powiedział Harry. Nie spuszczał wzroku z lufy pistoletu wycelowanego w mężczyznę, który leżał nieruchomo na progu. Poczuł mdłości na widok kałuży krwi, rozlewającej się po podłodze w jego stronę. Nie mógł teraz zwymiotować, aby nie stracić koncentracji. Harry polecił mu strzelić trzy razy, czy miał wpakować w niego jeszcze dwie kule? Nie, on już nie żył.

Drżącymi palcami wybrał numer May. Odebrała od razu.

– Hallstein?

– Myślałem, że śpisz.

– Siedzę z dziećmi w łóżku, nie mogą zasnąć przez ten sztorm.

– Aha. Wiesz, niedługo przyjedzie policja. Na światłach i na syrenach, więc się nie bój.

– Czego mam się nie bać? – spytała. Głos wyraźnie jej drżał. – Co się dzieje, Hallstein? Słyszeliśmy huk. To wiatr czy coś innego?

– May, spokojnie, wszystko jest w porządku...

– Przecież słyszę, że nie jest, Hallstein. Dzieci płaczą.

– Przyjdę... i wszystko wyjaśnię.

Katrine prowadziła samochód ciasną żwirową drogą, która wiła się między polami i zagajnikami.

Harry schował telefon do kieszeni.

– Smith poszedł do domu zająć się rodziną.

– No to widocznie wszystko w porządku – stwierdziła Katrine.

Harry nie odpowiedział.

Wiatr cały czas się wzmacniał. Przejeżdżając przez lasy, Katrine musiała uważać na oberwane gałęzie leżące na drodze, a na otwartych odcinkach mocno trzymać kierownicę, żeby porywy wiatru nie zepchnęły samochodu z drogi.

Kiedy przejeżdżała przez otwartą bramę na teren gospodarstwa Smitha, komórka Harry'ego znów zadzwoniła.

– Już tu jesteśmy – odezwał się do telefonu Harry. – Po dotarciu na miejsce

zabezpieczcie okolicę, ale niczego nie ruszajcie, dopóki nie zjawią się technicy.

Katrine zatrzymała się przed oborą i wyskoczyła z samochodu.

– Prowadź. – Harry poszedł za nią.

Kiedy skręciła w prawo w stronę gabinetu, usłyszała za plecami przekleństwo Harry'ego.

– *Sorry*, zapomniałam cię uprzedzić, że tu jest taka waga – powiedziała.

– Nie o to chodzi. Widzę krew na podłodze.

Katrine zatrzymała się przy otwartych drzwiach do gabinetu. Spojrzała na kałużę krwi na podłodze. Do ciężkiej cholery, ani śladu Valentina.

– Pilnuj Smithów – rzucił Harry za nią.

– Co...

Odwróciła się akurat w porę, by zobaczyć, jak Harry wychodzi z obory i znika jej z oczu, skręcając w lewo.

Podmuch wiatru szarpnął Harrym w momencie włączania latarki w telefonie. Poświecił na ziemię. Udało mu się odzyskać równowagę. Na jasnoszarym żwirze widać było wyraźnie plamy krwi. Poszedł tak, jak się układały, pokazując kierunek ucieczki Valentina. Wiatr w plecy. W stronę budynku mieszkalnego.

Nie...

Harry wyjął glocka. Nie tracił czasu na sprawdzenie, czy rewolwer Valentina leży zamknięty w szufladzie w gabinecie, ponieważ i tak musiał założyć, że Valentin jest uzbrojony.

Ślady się urwały.

Poruszył telefonem i odetchnął z ulgą, widząc, że skręcają z drogi i oddalają się od domu. Przeniosły się na wyschniętą, pożółkłą trawę na polu. Również tutaj łatwo je było znaleźć. Wiatr musiał już nabrać mocy pełnego sztormu, Harry poczuł też pierwsze krople deszczu, które uderzyły go w policzek jak naboje. Kiedy się rozpada, deszcz splucze krew w ciągu kilku sekund.

Valentin zamknął oczy i otworzył usta, chwytając w nie wiatr, jakby mógł mu przywiał nowe życie. Życie. Dlaczego wszystko nabiera prawdziwej wartości dopiero wówczas, kiedy się to traci? Ona. Wolność. A teraz życie.

To życie, które w tej chwili z niego wyciekało. Czuł, jak krew wypełnia mu buty, jak się schładza. Nienawidził krwi. To ten drugi kochał krew. Ten drugi, ten, z którym zawarł pakt. Kiedy zrozumiał, że to nie on sam jest diabłem, tylko ten drugi, ten od krwi? I to on, Valentin Gjertsen, zaprzedał tamtemu duszę?

Valentin Gjertsen uniósł twarz do nieba i wybuchnął śmiechem. Sztorm już

nadciągnął. Demon był wolny.

Harry biegł z glockiem w jednej ręce i z telefonem w drugiej.

Przez otwarte pola. W dół zbocza, z wiatrem. Valentin był ranny i wybrał najłatwiejszą drogę ucieczki, aby jak najbardziej powiększyć dystans między sobą a tymi, którzy – jak wiedział – wkrótce się zjawią. Harry czuł, jak każde uderzenie stopy o ziemię przenosi się do głowy, a żołądek znów zaczyna się opróżniać, ale przełknął wymiociny. Wyobraził sobie leśną ścieżkę. Biegnącego przed nim faceta w nowiutkim stroju Under Armour. I pędził dalej.

Zbliżył się do lasu i zwolnił. Poczuł, że zmieniając kierunek, musi się chylić pod wiatrem.

Wśród drzew stała niska, rozpadająca się szopa. Przegniłe deski i blacha falista. Może schowek na narzędzia, a może schronienie dla zwierząt przed deszczem.

Harry poświecił na szopę. W ciemności słychać było jedynie wicher, a zapachu krwi nie potrafiłby wyczuć nawet w ciepły dzień, przy wietrze wiejącym z właściwej strony. Mimo to czuł, że Valentin tu jest. Ale przecież regularnie coś czuł i się mylił.

Znów oświetlił ziemię. Plamy krwi były teraz rozmieszczone gęściej i nie tak rozciągnięte. Widać Valentin też zwolnił. Pewnie chciał ocenić sytuację albo po prostu już nie dawał rady. Może musiał się zatrzymać. A ślady, które w prostej linii prowadziły tutaj, w tym miejscu skręcały. W stronę szopy. Harry się nie pomylił.

Przyspieszył i pobiegł dalej prosto, kierując się do lasu na prawo od szopy. Wszedł między drzewa, tam zgasił latarkę w telefonie, uniósł glocka i ruszył łukiem, zbliżając się do szopy od drugiej strony. W końcu położył się na ziemi i zaczął pełznąć.

Wiatr wiał mu teraz w twarz, co zmniejszało ryzyko, że Valentin go usłyszy. Przeciwnie, to kolejne podmuchy przynosiły do niego odgłosy wraz z urywanym dźwiękiem policyjnych syren.

Harry przeczołgał się ponad zwałonym drzewem. Na niebie błysnęło. Wtedy zobaczył postać rysującą się na tle szopy. To był on. Siedział między dwoma drzewami, obrócony do Harry'ego tyłem, dzieliło ich nie więcej niż pięć – sześć metrów. Harry wycelował w siedzącego człowieka.

– Valentin!

Wołanie częściowo zagłuszył opóźniony huk grzmotu, ale Harry widział, że postać zastygła.

– Mam cię na muszce, Valentin. Odłóż broń!

Wiatr nagle jakby ucichł. Harry usłyszał inny dźwięk. Jasny. Śmiech.

– Harry! Znów przyszedłeś się bawić.

– Nie można przerywać zabawy, dopóki jest dobra. Odłóż broń.

– Przechytryłeś mnie. Skąd wiedziałeś, że siedzę przed szopą, a nie w środku?

– Ponieważ cię znam, Valentin. Sądziłeś, że najpierw przeszukam najbardziej oczywiste miejsce, dlatego usiadłeś na zewnątrz, żeby wyprawić na tamten świat ostatnią duszę.

– Żeby mieć po drodze towarzystwo. – Valentin zakasłał. – Jesteśmy bliźniaczymi duszami, Harry, więc pójdziemy w to samo miejsce.

– Odłóż broń, bo inaczej strzelę.

– Często myślę o swojej matce, Harry. A ty?

Harry wpatrywał się w tył głowy Valentina, poruszającej się w ciemności. Nagle okolice rozświetlił następny błysk, spadła kolejna kropla deszczu. Tym razem ciężka i duża, nieposzarpana wiatrem. Znaleźli się w oku cyklonu.

– Myślę o niej, ponieważ jest jedynym człowiekiem, którego nienawidzę bardziej niż siebie samego, Harry. Próbuję zniszczyć więcej niż ona, ale nie wiem, czy to możliwe. Zniszczyła mnie.

– I więcej już nie da się zniszczyć? Gdzie jest Marte Ruud?

– Nie, więcej się już nie da. Bo ja jestem wyjątkowy, Harry. Ty i ja nie jesteśmy tacy jak oni. Jesteśmy wyjątkowi.

– Przykro mi, że cię rozczaruję, Valentin, ale ja nie jestem wyjątkowy. Gdzie ona jest?

– Dwie złe wiadomości, Harry. Pierwsza: o tej rudowłosej dziewczynie możesz zapomnieć. Druga: owszem, jesteś wyjątkowy.

Kolejny śmiech.

– Przykro o tym myśleć, prawda? Uciekłeś w normalność, w przeciętność stada i wydaje ci się, że znajdziesz przynależność, swoje prawdziwe ja. Ale twoje prawdziwe ja jest teraz tutaj, Harry. I zastanawia się, czy masz zabić, czy nie. Wykorzystujesz te dziewczyny – Aurorę, Marte – do podkładania do ognia twojej cudownej nienawiści. Bo teraz kolej na ciebie, aby rozstrzygnąć, czy ktoś ma przeżyć, czy umrzeć, a tobie sprawia to przyjemność. Czerpiesz przyjemność z bycia Bogiem. Marzyłeś o tym, żeby być mną. Czekałeś na swoją kolej, żeby być wampirem. Czujesz to pragnienie, Harry, przyznaj. Któregoś dnia ty też je zaspokoisz.

– Nie jestem tobą. – Harry przełknął ślinę. W głowie słyszał wrzask. Poczuł kolejny podmuch wichury. I jeszcze jedną rozszarpaną wiatrem kroplę deszczu na dłoni trzymającej pistolet. Skończyło się. Zaraz znajdują się poza okiem cyklonu.

– Jesteś taki jak ja – powtórzył Valentin. – I dlatego ciebie też przechytrzą. Obydwo nam wydaje się, że jesteśmy tacy sprytni, ale w końcu wszystkich nas przechytrzą, Harry.

– Nie...

Valentin obrócił się błyskawicznie i Harry zdążył jeszcze dostrzec wycelowaną w siebie długą lufę. Wcisnął spust glocka. Raz. Dwa razy. Las rozświetlił kolejny piorun i Harry zobaczył ciało Valentina, które na moment zastygło na tle nieba w takim samym przełamany kształcie błyskawicy. Oczy miał wytrzeszczone, usta otwarte, a koszulę z przodu czerwoną od krwi. W prawej ręce trzymał odłamany gałązkę, którą celował w Harry'ego. W końcu osunął się na ziemię.

Harry wstał i podszedł do Valentina, który klęczał, górną połową ciała oparty o drzewo, i patrzył przed siebie. Nie żył.

Harry uniósł pistolet na wysokość piersi Valentina i strzelił jeszcze raz. Huk grzmotu zagłuszył wystrzał.

Trzy strzały.

To nie miało sensu, ale tak prowadziła muzyka, opowieść. Musiały być trzy.

Coś się zbliżało. Brzmiało jak tętent kopyt po ziemi. Pchało przed sobą powietrze, drzewa gięły się pod wiatrem.

Nadciągnęła ulewa.

31 ŚRODA, NOC

Harry siedział u Smithów przy kuchennym stole, z filiżanką herbaty w rękach i ręcznikiem na szyi. Deszczówka skapywała z jego ubrania na podłogę. Wiatr ciągle zawodził, a deszcz bębnił o szyby, zniekształcając obraz stojących na podwórzu policyjnych radiowozów, które ze swoimi migającymi niebieskimi światłami przypominały UFO. Strugi wody lejące się z nieba zdawały się jednak wyhamowywać przemieszczające się masy powietrza. Pachniało Księżycem.

Harry stwierdził, że siedzący naprzeciwko niego Hallstein Smith ciągle jest w szoku. Psycholog miał powiększone źrenice i apatyczny wzrok.

– Jesteś całkiem pewien, że on...

– Tak, on nie żyje, Hallstein. Ale nie jest pewne, że ja bym żył, gdybyś nie zabrał ze sobą jego rewolweru, kiedy stamtąd wychodziłeś.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Sądziłem, że on jest już martwy – powiedział cicho Smith metalicznym głosem robota, wpatrzony w stół, na którym obok

pistoletu, z którego zranił Valentina, położył czerwony rewolwer z długą lufą. – Wydawało mi się, że trafiłem go prosto w pierś.

– Bo tak było – odparł Harry. Księżyc. Astronaucci mówili, że Księżyc pachnie spalonym prochem. Zapach ten częściowo wydobywał się z pistoletu, który Harry miał pod kurtką, ale przede wszystkim z glocka leżącego na stole. Harry wziął do ręki czerwony rewolwer Valentina i powąchał lufę. Ją również czuć było prochem, lecz nie tak mocno.

Przyszła Katrine, z jej czarnych włosów kapała woda.

– Technicy są teraz przy Valentinie Gjertsenie.

Spojrzała na rewolwer.

– Strzelano z niego – stwierdził Harry.

– Nie, nie! – zaprotestował Smith, kręcąc głową. – On tylko we mnie celował.

– Nie teraz – wyjaśnił Harry, patrząc na Katrine. – Zapach prochu utrzymuje się przez wiele dni.

– Marte Ruud? – spytała Katrine. – Myślisz, że...

– Ja strzeliłem pierwszy. – Smith podniósł na nich szklane spojrzenie. – Strzeliłem do Valentina. I teraz on nie żyje.

Harry nachylił się i położył mu rękę na ramieniu.

– Dlatego ty żyjesz, Hallstein.

Smith z namysłem kiwnął głową.

Harry spojrzeniem zasignalizował Katrine, żeby zajęła się psychologiem, a sam wstał.

– Idę do obory.

– Tylko nigdzie dalej – ostrzegła Katrine. – Będą chcieli z tobą rozmawiać.

Harry pokiwał głową. Wewnętrzne śledztwo.

– On wiedział – szepnął Smith. – Wiedział.

Harry przebył odległość dzielącą dom od obory biegiem, a mimo to do gabinetu wszedł znów przemoczony do suchej nitki. Usiadł przy biurku i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. Jego spojrzenie zatrzymało się na rysunku człowieka ze skrzydłami nietoperza. Biła od niego raczej samotność niż groza, może dlatego wydał się taki znajomy. Harry zamknął oczy.

Potrzebował drinka. Odsunął jednak od siebie tę myśl i podniósł powieki. Obraz na stojącym przed nim ekranie komputera był podzielony na dwie części, po jednej dla każdej kamery monitoringu. Sięgnął po mysz, przesunął kursor na zegar, cofnął do za trzy dwunasta, bo Smith telefonował mniej więcej o tej porze. Po około dwudziestu sekundach na obrazie spod bramy pojawiła się postać. Valentin.

Przyszedł z lewej strony. Od głównej drogi. Przyjechał autobusem? Taksówką? W rękę trzymał już przygotowany biały klucz, otworzył nim sobie i wślizgnął się do środka. Brama się za nim zamknęła, ale nie zatrzasnęła. Jakies piętnaście – dwadzieścia sekund później Harry zobaczył Valentina na obrazie z drugiej kamery, tej pokazującej puste boksy i wagę. Valentin zachwiał się na metalowej płycie wagi, a widoczna z tyłu za nim wskazówka zadrżała, pokazując, że potwór, który zabił tyle osób, część z nich gołymi rękami, ważył zaledwie siedemdziesiąt cztery kilo, o dwadzieścia dwa mniej niż Harry. Następnie Valentin podszedł do kamery i jakby patrzył prosto w jej obiektyw, a jednak jej nie widział. Zanim zniknął z obrazu, Harry zdążył dojrzeć, jak Valentin wsuwa rękę do głębokiej kieszeni płaszcza. Na obrazie widać było teraz jedynie puste boksy, wskazówkę wagi i górną część cienia Valentina. Harry rekonstruował sekundy. Przypominał sobie każde słowo rozmowy telefonicznej z Hallsteinem Smithem. Pozostała część minionej doby i godziny u Katrine wyparowały mu z głowy, lecz te sekundy tkwiły jak wyryte. Zawsze tak było, kiedy pił, jego mózg osoby prywatnej pokrywał się czymś podobnym do warstwy teflonu, natomiast mózg policjanta zachowywał warstwę kleju, jakby jedna część chciała zapomnieć, a ta druga musiała pamiętać. Funkcjonariusze prowadzący wewnętrzne śledztwo będą musieli napisać gruby raport z przesłuchania, jeśli zechcą ująć wszystkie szczegóły zapamiętane przez Harry'ego.

Zobaczył krawędź drzwi pojawiającą się na obrazie, kiedy Valentin otworzył, jego cień podniósł rękę, a potem się przewrócił.

Zwiększył prędkość odtwarzania.

Dostrzegł plecy Hallsteina, który z trudem szedł między boksami do wyjścia.

I minutę później Valentina wlokącego się tą samą drogą. Harry zwolnił odtwarzanie. Valentin trzymał się boksów, wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał się przewrócić. Ale jednak sunął dalej, metr po metrze. Na wadze zatrzymał się dłużej, z trudem utrzymując równowagę. Wskazówka pokazała półtora kilo mniej, niż kiedy przyszedł. Harry rzucił okiem na kałużę krwi na podłodze za komputerem i zaraz przeniósł wzrok na Valentina, walczącego z drzwiami. Wręcz poczuł jego wolę przeżycia. A może to był tylko lęk przed schwyтaniem? Harry uświadomił sobie, że ten film w jakimś momencie wycieknie do sieci i stanie się hitem na YouTube.

W drzwiach pojawiła się blada twarz Bjørna Holma.

– A więc to tutaj się zaczęło? – Wszedł do środka, a Harry znów zafascynowany patrzył, jak ten zwykle poruszający się bez gracji technik zmienia się w baletmistrza, gdy tylko wchodzi na teren miejsca zdarzenia. Bjørn przykucnął przy kałuży krwi.

– Zabieramy go teraz.

– Mhm.

– Cztery rany postrzałowe, Harry. Ile z nich jest...

– Trzy. Hallstein strzelił tylko raz.

Bjørn się skrzywił.

– Smith strzelał do uzbrojonego człowieka, Harry. Co masz zamiar powiedzieć tym z wewnętrznego o swoich strzałach?

Harry wzruszył ramionami.

– Prawdę, oczywiście. Że było ciemno, a Valentin trzymał w ręku patyk, chcąc mnie oszukać, że ma broń. Wiedział, że jest skończony, i chciał, żebym go zastrzelił, Bjørn.

– Mimo wszystko... trzy strzały w pierś nieuzbrojonego człowieka...

Harry pokiwał głową.

Bjørn wziął głębszy oddech, obejrzał się przez ramię i zniżył głos:

– No tak, ale to jasne, jest ciemno, deszcz, burza szaleje w lesie. Gdybym tam teraz poszedł i poszukał na własną rękę, to może i znalazłbym pistolet w błocie tuż obok miejsca, gdzie leżał Valentin.

Spoglądali na siebie, słuchając, jak w porywach wiatru trzeszczą ściany.

Harry patrzył na rude bokobrody Bjørna Holma. I wiedział, ile go to kosztuje. Wiedział, że Bjørn proponuje mu więcej, niż może dać. Oddawał mu wszystko, czego bronił. Ich wspólne dobro, kod moralny. Duszę. Swoją i jego.

– Dzięki – powiedział Harry. – Dzięki, kolego, ale muszę odmówić.

Bjørn Holm mrugnął dwa razy. Przełknął ślinę. Wypuścił powietrze z przeciągłym sykiem i z ulgą parsknął krótkim śmiechem, który nie był ani trochę na miejscu.

– No to będę wracał – oświadczył, wstając.

– Tak, wracaj – odparł Harry.

Bjørn stał przed nim i się wahał. Jakby chciał coś powiedzieć albo zrobić krok do przodu i go uściskać. Harry nachylił się z powrotem do komputera.

– Na razie, Bjørn.

Na monitorze obserwował zgarbioną postać technika wychodzącego z obory.

Pięścią uderzył w klawiaturę. Jeden drink, niech to szlag! Tylko jeden drink.

Spojrzenie padło na człowieka nietoperza.

Co takiego powiedział Hallstein? *On wiedział. Wiedział.*

Mikael Bellman stał z rękami założonymi na piersi i zadawał sobie pytanie, czy Komenda Okręgowa Policji w Oslo kiedykolwiek wcześniej organizowała konferencję prasową o drugiej w nocy. Opierał się o ścianę z lewej strony podium i patrzył na salę, na której siedziała mieszanina nocnych dyżurnych z redakcji gazet, reporterów, którzy właściwie mieli relacjonować zniszczenia dokonane przez Emilię, i zaspanych dziennikarzy, wyciągniętych przez szefów z łóżek. Mona Daa przyszła w dresie, na który narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy, i wyglądała na całkowicie przytomną.

Na podium obok naczelnika wydziału Gunnara Hageny siedziała Katrine Bratt, przedstawiając szczegóły akcji w mieszkaniu Valentina Gjertsena na Sinsen oraz dramatu, do którego doszło później w gospodarstwie Hallsteina Smitha. Błyskały flesze, a Bellman wiedział, że chociaż sam nie siedzi za stołem, od czasu do czasu obiektywy kierują się również w jego stronę, starał się więc utrzymywać taką minę, jaką zaleciła mu Isabelle, kiedy zadzwonił do niej po drodze do komendy. Poważną, ale z przebijającą wewnętrzną satysfakcją zwycięzcy. „Pamiętaj, że zginęli ludzie – tłumaczyła mu Isabelle – więc żadnych szerokich uśmiechów czy jawnego świętowania. Wyobraź sobie, że jesteś generałem Eisenhowerem nazajutrz po D-Day, dźwigasz odpowiedzialność przywódcy za zwycięstwo połączone z tragedią”

Bellman stłumił ziewnięcie. Ulla obudziła go po powrocie z wypadu z koleżanką na miasto. Nie przypominał sobie, żeby od czasów młodości widział ją pijaną. A propos pijaństwa. Harry Hole stał przy nim i gdyby Bellman nie wiedział, jak jest, sam by twierdził, że dawny komisarz też jest pijany. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż dziennikarze, a jego ubranie czuć było alkoholem.

Przez salę przebił się głos mówiący dialektem z Rogaland:

– Rozumiem, że nie chcecie upubliczniać nazwiska policjanta, który zastrzelił Valentina Gjertsena. Ale możecie chyba odpowiedzieć na pytanie, czy Valentin był uzbrojony. I czy odpowiedział ogniem.

– Tak jak mówiłam, z podawaniem szczegółów wstrzymamy się do czasu, aż będziemy mieć pełny obraz sytuacji – odparła Katrine i wskazała na wymachującą ręką Monę Daa.

– Ale możecie i chcecie podać nam szczegóły dotyczące roli Hallsteina Smitha?

– Owszem – potwierdziła Katrine. – Tu znamy je wszystkie, ponieważ przebieg wydarzeń został nagrany, a poza tym mieliśmy ze Smithem łączność telefoniczną podczas ataku Gjertsena.

– To już wiemy. Z kim Smith rozmawiał?

– Ze mną. – Katrine chrząknęła. – I z Harrym Hole.

Mona Daa przechyliła głowę.

– To znaczy, że pani komisarz i Harry Hole byliście tu, w komendzie, kiedy się to stało?

Mikael Bellman zobaczył, że Katrine zerka na Gunnara Hagen, jakby prosiła go o pomoc, ale szef wydziału chyba nie do końca to zrozumiał. Bellman też nie wiedział, o co jej chodzi.

– Nie będziemy w tej chwili zagłębiać się zanadto w detale dotyczące metod pracy policji w tej sprawie – powiedział jednak Hagen. – Zarówno ze względu na ewentualną możliwość zatarcia dowodów, jak i na taktykę stosowaną w przyszłych sprawach.

Mona Daa i inni obecni na sali dziennikarze wydawali się usatysfakcjonowani taką odpowiedzią, ale Bellman widział po Hagenie, że naczelnik wciąż nie ma pojęcia, co kryje takimi wymijającymi słowami.

– Późno już, a mamy jeszcze pracę do wykonania, wy również – zakończył Hagen, spojrzawszy na zegarek. – Następna konferencja prasowa odbędzie się jutro o dwunastej. Przymuszczałnie będziemy mieć do przekazania coś więcej. Na razie życzę dobrej nocy. Wszyscy możemy kłaść się spać w nieco większym poczuciu bezpieczeństwa.

Hagen i Bratt wstali, atak fleszy natychmiast przybrał na sile. Posypały się kolejne pytania. Kilka obiektywów skierowało się na Bellmana, a gdy stojący odgradzili go od aparatów, zrobił krok do przodu, aby fotografowie mieli wolną linię strzału.

– Zaczekaj chwilę, Harry – odezwał się Bellman, nie oglądając się na bok ani nie zmieniając swojej miny Eisenhowera. Dopiero kiedy flesze przestały błyskać, spojrzął na Harry’ego, który stał z założonymi rękami. – Nie zamierzam cię rzucić wilkom na pożarcie – oświadczył. – Wykonałeś swoją robotę, zastrzeliłeś śmiertelnie niebezpiecznego seryjnego zabójcę. – Położył Harry’emu rękę na ramieniu. – A my potrafimy bronić swoich, okej?

Wysoki policjant znacząco spojrzął na swoje ramię i Bellman cofnął rękę. Głos Harry’ego brzmiał jeszcze bardziej ochryple niż zazwyczaj.

– Ciesz się zwycięstwem, Bellman. Ja jutro rano idę na przesłuchanie, więc dobranoc.

Bellman patrzył, jak Harry Hole rusza do wyjścia, szeroko stawiając lekko ugięte w kolanach nogi, niczym marynarz przemieszczający się po pokładzie na wzburzonym morzu.

Bellman zdążył już naradzić się z Isabelle i oboje doszli do wniosku, że jeśli nie chcą, aby temu sukcesowi towarzyszył absmak, najlepiej będzie, gdy wydział wewnętrzny uzna, że powody do krytykowania Holego są niewielkie lub nie ma

ich wcale. Jeszcze nie wiedzieli, w jaki sposób pomogą śledczym dojść do takiej konkluzji, bo ci ludzie byli raczej nieprzekupni. Ale oczywiście każdego myślącego człowieka charakteryzuje zdrowy rozsądek. Jeśli chodziło o media i opinię publiczną, to zdaniem Isabelle w ostatnich latach zabijanie przez policję sprawców masowych zbrodni stało się już rutyną do tego stopnia, że media i opinia publiczna mniej lub bardziej milcząco zaakceptowały taki sposób rozwiązywania przez społeczeństwo tego rodzaju spraw – skutecznie i szybko, metodą przemawiającą do poczucia sprawiedliwości przeciętnego człowieka, a zarazem bez oszałamiających kosztów procesu, nieodłącznie wiążących się z głośnymi sprawami zabójstw.

Bellman rozglądał się za Katrine Bratt. Wiedział, że we dwoje stanowiliby znakomity motyw dla fotografów. Ale ona zdążyła już zniknąć.

– Gunnar! – zawołał więc tak głośno, że dwóch facetów z aparatami się odwróciło.

Naczelnik Wydziału Zabójstw zatrzymał się w drzwiach i podszedł do niego.

– Staraj się wyglądać poważnie – szepnął Bellman, wyciągając do niego rękę. – Moje gratulacje – powiedział głośno.

Harry stanął pod uliczną latarnią na Borggata i wśród ostatnich porywów Emilii próbował zapalić papierosa. Przemarzył tak, że szczykał zębami, a trzymany w wargach papieros drżał.

Spojrzał na drzwi Budynku Policji, z których wciąż wychodzili dziennikarze i inni przedstawiciele mediów. Może po prostu byli tak samo zmęczeni jak on i dlatego nie dyskutowali z ożywieniem, tylko niczym milcząca, wolno przelewająca się masa sunęli w dół zbocza ku ulicy Grønlandsleiret. A może dlatego, że oni również czuli pustkę. Tę, która pojawia się po osiągnięciu celu, kiedy dociera się do końca drogi i uświadamia sobie, że więcej drogi do przebycia już nie ma. Nie ma ziemi do zaorania. Ale żona ciągle jest w domu, przy niej lekarz i położna, a ty nic nie możesz zrobić. Do niczego nie możesz się przydać.

– Na co czekasz?

Harry się odwrócił. To był Bjørn.

– Na Katrine – odparł Harry. – Obiecała, że odwiezie mnie do domu. Poszła po samochód do garażu, więc jeśli chcesz, żeby cię gdzieś podrzucić, to...

Bjørn machnął ręką.

– Rozmawiałeś z Katrine o tym, o czym ci mówiłem?

Harry pokiwał głową i podjął kolejną próbę zapalenia papierosa.

– Mam rozumieć, że tak? – spytał Bjørn.

– Nie. Nie pytałem, jak wygląda twoja sytuacja.

– Nie pytałeś?

Harry na moment przymknął oczy. Może i pytał, ale jeśli nawet, to nie pamiętał ani tego faktu, ani odpowiedzi.

– Pomyślałem sobie, że skoro byliście gdzieś razem koło północy i tym miejscem nie była komenda, to może rozmawialiście nie tylko o sprawach związanych z robotą.

Harry osłonił dłonią papierosa i klikającą zapalniczkę, spojrzał na Bjørna. Jasnoniebieskie dziecięce oczy chłopaka z Toten wytrzeszczały się bardziej niż zwykle.

– Nie pamiętam o niczym, co nie ma związku z pracą, Bjørn.

Bjørn Holm spuścił wzrok i zaczął tupać nogą. Jakby chciał pobudzić krążenie krwi, jak ktoś, kto nie może ruszyć z miejsca.

– Dam ci znać, Bjørn.

Holm kiwnął głową, nie podnosząc wzroku, odwrócił się i odszedł.

Harry patrzył za nim. Miał wrażenie, że Bjørn coś zauważył, że wiedział coś, o czym on sam nie miał pojęcia. No, nareszcie się zapaliło.

Akurat podjechał samochód.

Harry westchnął, rzucił papierosa na ziemię, otworzył drzwiczki i wsiadł.

– O czym rozmawialiście? – spytała Katrine, patrząc na odchodzącego Bjørna. Zjechała na pograżoną w nocnej ciszy Grønlandsleiret.

– Przespaliśmy się ze sobą? – spytał Harry.

– Co?

– Nie pamiętam nic, co się dzisiaj działo wcześniej. Przespaliśmy się?

Katrine nie odpowiedziała, pozornie skupiona na zatrzymaniu się dokładnie na białej linii, bo mieli czerwone światło. Harry czekał. Światło zmieniło się na zielone.

– Nie – odpowiedziała w końcu, dodała gazu i puściła sprzęgło. – Nie przespaliśmy się ze sobą.

– To dobrze.

– Byłeś za bardzo pijany.

– Słucham?

– Byłeś za bardzo pijany. Po prostu zasnąłeś.

Harry zamknął oczy.

– Cholera.

– Też tak pomyślałam.

– Nie o to mi chodzi. Rakel jest w śpiączce, a ja...

– Staraleś się jak mogłeś, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Nie przejmuj się,

Harry, zdarzały się gorsze rzeczy.

W radiu suchy głos oznajmił, że Valentin Gjertsen, tak zwany wampirysta, został zastrzelony około północy. I że Oslo doświadczyło pierwszego tropikalnego sztormu i go przetrwało. Katrine i Harry w milczeniu przejechali przez Majorstua i Vinderen, zbliżali się już do Holmenkollen.

– Co myślisz ostatnio o Bjørnie? – spytał Harry. – Jest jakaś możliwość, żebyś dała mu nową szansę?

– Prosił, żebyś o to spytał? – przerwała mu Katrine.

Harry nie odpowiedział.

– Myślałam, że on ma jakieś sprawy z tą Coştam Lien.

– Nic mi o tym nie wiadomo. No dobrze, zatrzymaj się tutaj.

– Nie podwieźć cię pod sam dom?

– Tylko zbudziłabyś Olega. Tutaj, świetnie, dobranoc. – Harry otworzył drzwiczki, ale nie ruszał się z miejsca.

– Co jest?

– Nic.

Wysiadł.

* * *

Harry popatrzył, jak tylne światła znikają w ciemności, i ruszył po żwirze w stronę domu.

Budynek wznosił się jeszcze ciemniejszy niż nocne niebo. Wygaszony. Bez oddechu.

Otworzył kluczem drzwi i nasłuchiwał.

Zobaczył buty Olega, ale w domu panowała cisza.

W pralni ściągnął z siebie całe ubranie, wrzucił do kosza na brudną bieliznę. Poszedł na górę do sypialni, znalazł czyste rzeczy. Wiedział, że nie będzie mógł spać, więc zszedł do kuchni. Nastawił kawę i wyjrzał przez okno. Do głowy przychodziły mu różne myśli, odpędził je, nalał sobie kawy ze świadomością, że nie da rady jej wypić. Mógł pojechać do Jealousy, ale więcej alkoholu też by nie zniósł. Wiedział tylko, że później go zniesie. Później.

Myśli powróciły.

Były tylko dwie.

Proste i głośne.

Jedna mówiła, że jeśli Rakel nie przeżyje, on pójdzie za nią tą samą drogą.

Druga, że jeśli przeżyje, on od niej odejdzie. Ponieważ Rakel zasługuje na coś

lepszego i wtedy to ona nie będzie musiała od niego odchodzić.

Pojawiła się trzecia myśl.

Zastonił twarz dłońmi.

Tą myślą było pytanie, czy pragnie, aby Rakeł przeżyła, czy nie.

Niech to diabli.

I potem czwarta myśl.

To, co powiedział w lesie Valentin.

W końcu wszystkich nas przechytrzą, Harry.

Chodziło mu chyba o to, że Harry go przechytrzył. A może miał na myśli kogoś innego? Ktoś inny przechytrzył Valentina?

I dlatego ciebie też przechytrzą.

Powiedział to tuż przed próbą przechytrzenia Harry'ego, kiedy udał, że celuje do niego z broni, ale może wcale nie to miał na myśli? Może chodziło mu o coś zupełnie innego?

Drgnął, czując czyjąś dłoń na karku.

Odwrócił się i podniósł głowę.

Za jego krzesłem stał Oleg.

– Nie słyszałem, jak przyszedłeś – spróbował powiedzieć Harry, ale głos nie chciał go słuchać.

– Spałeś.

– Spałem? – Harry odsunął się od stołu. – Nie, tylko trochę posiedziałem i...

– Spałeś, tato – przerwał mu Oleg, lekko się uśmiechając.

Harry zamrugnął, żeby odpędzić mgłę sprzed oczu. Rozejrzył się i dotknął filiżanki z kawą. Wystygła.

– Mhm. Niech to cholera.

– Wiesz, przemyślałem to sobie. – Oleg wysunął krzesło stojące obok Harry'ego i usiadł.

Harry cmoknął, próbując rozpuścić osad śliny w ustach.

– I stwierdziłem, że masz rację.

– Ja mam rację? – Harry wypił łyk zimnej kawy, żeby pozbyć się smaku stężałej zółci.

– Tak. Dźwigasz odpowiedzialność ważniejszą niż bycie przy swoich najbliższych. Musisz być też dla tych, którzy nie są tak blisko. I nie mam prawa żądać od ciebie, żebyś ich wszystkich zdradzał. A to, że sprawy zabójstw działają na ciebie jak narkotyk, wcale tego nie zmienia.

– I doszedłeś do tego zupełnie na własną rękę?

– Tak. Z pewną pomocą Helgi. – Oleg spojrzął na swoje dłonie. – Ona potrafi

lepiej niż ja spojrzeć na różne sprawy pod innym kątem. I to nieprawda, że nie chcę być taki jak ty.

Harry położył mu rękę na ramieniu. Zobaczył, że Oleg ma na sobie odziedziczoną po nim koszulkę z Elvisem Costello, której używał do spania.

– Synku?

– Tak?

– Obiecuj mi, że nie będziesz taki jak ja. To jedyna rzecz, o jaką cię proszę.

Oleg kiwnął głową.

– I jeszcze jedno – powiedział.

– Co?

– Dzwonił Steffens. Chodziło o mamę.

Harry poczuł, jak na sercu zaciska mu się żelazny szpon. Wstrzymał oddech.

– Obudziła się.

33 CZWARTEK, RANO

– Tak, słucham.

– Anders Wyller?

– Tak.

– Dzień dobry, dzwonię z Instytutu Medycyny Sądowej.

– Dzień dobry.

– Chodzi o ten włos, który przesłał nam pan do analizy.

– Tak?

– Otrzymał pan nasz wydruk?

– Owszem.

– To nie jest co prawda pełna analiza, ale, jak pan widzi, istnieje powiązanie między DNA z tego włosa a jednym z profili DNA, które zarejestrowaliśmy w związku ze sprawą wampirysty. Konkretnie z profilem numer dwieście jeden.

– Tak, tak, widziałem.

– Nie wiemy, kim jest dwieście jeden, ale to na pewno nie Valentin Gjertsen. Ponieważ to tylko częściowe powiązanie, a nie miałam od pana żadnych informacji, chciałam się upewnić, że wynik dotarł. Zakładam, że życzyście sobie pełnej analizy?

– Nie, dziękujemy.

– Nie? Ale...

– Sprawa jest rozwiązana, a wam przecież nie brakuje roboty. Czy ten wydruk

poszedł do kogoś oprócz mnie?

- Nie, nie widzę, żeby były takie zalecenia. Chciałby pan...
- Nie, nie trzeba. Możecie zamknąć tę sprawę. Dziękuję za pomoc.

CZEŚĆ III

34 SOBOTA

Masa Kanagawa za pomocą kowalskich obcęgow wyciągnął z pieca rozpalony do czerwoności kawał żelaza. Ułożył go na kowadle i zaczął w niego uderzać niedużym młotkiem. Młotek miał tradycyjny japoński kształt z wydłużoną główką, przywodził na myśl szubienicę. Niewielką kuźnię Masa przejął po ojcu i dziadku, ale podobnie jak wielu innych kowali w Wakayamie z trudnością wiązał koniec z końcem. Przemysł stalowy, będący niegdyś kręgosłupem ekonomicznym miasta, przeniósł się do Chin, Masa musiał więc skupić się na produkcji niszowej. Na przykład na wytwarzaniu samurajskich mieczy zwanych katanami, które wykonywał na zamówienie prywatnych klientów z całego świata. Szczególną popularnością cieszyły się w Stanach Zjednoczonych. Prawo japońskie od każdego kowala zajmującego się wykuwaniem mieczy wymagało pięcioletniego przeszkolenia i licencji, a poza tym pozwalało wykuć jedynie dwa długie miecze w miesiącu, przy czym wszystkie należało zgłosić władzom. Masa był jedynie zwykłym kowalem, który wytwarzał dobre miecze za ułamek ceny katan robionych przez tych z licencją, ale wiedział, że może zostać przyłapany, więc nie mógł się wychylać. Do czego jego klienci używali mieczy, nie wiedział ani nie chciał wiedzieć, lecz miał nadzieję, że do treningu, jako ozdobę na ścianę albo do kolekcji broni. Wiedział natomiast, że te zamówienia pozwalają mu utrzymać siebie i rodzinę, a także prowadzić kuźnię. Swojemu synowi powiedział jednak wprost, że chłopak powinien poszukać sobie innego zawodu, iść na studia, bo praca kowala jest ciężka, a wynagrodzenie marne. Syn posłuchał rady ojca, ale jego studia na uniwersytecie kosztowały swoje, Masa przyjmował więc każde zlecenie, jakie się trafiło. Na przykład takie jak teraz – przygotowanie repliki żelaznych zębów z okresu Heian. Zgłosił się klient z Norwegii, który już po raz drugi zamówił ten zestaw. Pierwszy raz pół roku temu. Masa Kanagawa nie znał nazwiska klienta, miał

tylko adres skrytki pocztowej. Ale za towar zapłacono z góry, w dodatku wysoką cenę, jaką podał Masa. Zażądał takiej zapłaty, ponieważ praca polegająca na wykuciu zębów dokładnie według rysunków przesłanych przez klienta była trudna, lecz również czuł, że coś jest nie w porządku. Nie bardzo potrafił wytłumaczyć, dlaczego ta robota jest gorsza od wykuwania mieczy, ale gdy patrzył na te żelazne zęby, przechodził go dreszcz. Kiedy jechał do domu drogą 370, śpiewającą drogą, na której starannie przemyślane i wykonane rowki w nawierzchni wyśpiewywały melodię pod wpływem toczących się po nich opon, nie słyszał już tego, co zwykle uważał za piękną uspokajającą chóralną pieśń. Słyszał ostrzeżenie. Głębokie burczenie, które się wzmagало, aż przeszło w krzyk. Jakby w krzyk demona.

Harry się obudził. Zapalił papierosa i sprawdził, jaki to rodzaj przebudzenia. Nie chodziło o przebudzenie w pracy. Była sobota, pierwszy wykład po feriach zimowych wypadł dopiero w poniedziałek, a tego dnia dyżur w barze miał Øystein.

Nie było to przebudzenie w samotności. Obok niego spała Rakel. Przez pierwsze tygodnie po jej powrocie ze szpitala, kiedy leżał tak jak teraz i obserwował ją śpiącą, towarzyszył mu strach, że ona się nie obudzi, że tajemnicze „to”, czego lekarzom nie udało się zdiagnozować, powróci.

– Ludzie nie znoszą wątpliwości – powiedział mu Steffens. – Chcą wierzyć, że tacy jak ty i ja, Harry, wiedzą. Oskarżony jest winny, diagnoza jest prawidłowa. Przyznanie się do wątpliwości jest niczym przyznanie się do własnej niedoskonałości, a nie do złożoności tajemnicy czy do ograniczeń fachu. Ale prawda jest taka, że nigdy nie będziemy wiedzieli z całą pewnością, co dolegało Rakel. Doszło do nagromadzenia mastocytów, więc w pierwszej chwili myślałem o mastocytozie, która i tak jest rzadką chorobą krwi. Ale wszystkie objawy zniknęły i wiele wskazuje, że to mogło być jakieś zatrucie. Wobec tego nie musisz się martwić, że się powtórzy. Tak jak z tymi zabójstwami wampirysty, prawda?

– No tak, ale my wiemy, kto zabił te kobiety.

– Rzeczywiście, słaba analogia.

W miarę jak mijały tygodnie, coraz rzadziej myślał o tym, że Rakel może mieć nawrót choroby.

Coraz rzadziej też dzwonek telefonu wywoływał myśl, że wampirysta znów zaatakował.

Nie było to zatem również przebudzenie w lęku.

Po śmierci Valentina Gjertsena miał kilka takich poranków. O dziwo, nie wtedy, gdy przesłuchiwali go funkcjonariusze wydziału wewnętrznego, którzy z czasem

doszli do wniosku, że Harry'ego nie można winić za oddanie strzału w trudnej do oceny sytuacji, kiedy stanął twarzą w twarz z groźnym zabójcą i został przez niego sprowokowany do takiego działania. Dopiero później Valentin i Marte Ruud zaczęli go nawiedzać w snach. To ona, nie on, szeptała mu do ucha. *I dlatego ciebie też przechytrzą.* Powtarzał sobie, że odnalezienie Marte to już zadanie innych, i kiedy tygodnie zmieniały się w miesiące, ich odwiedziny stawały się coraz rzadsze. Pomógł powrót do codziennego rytmu w Wyższej Szkole Policyjnej i w domu, no i oczywiście to, że nie tykał alkoholu.

Nareszcie znalazł się tam, gdzie powinien się znaleźć. Bo to był typ piąty. Przebudzenie z zadowoleniem. Zamierzał wyciąć i wkleić kolejny dzień z takim poziomem serotoniny, jaki powinien mieć.

Wstał, wysunął się z łóżka najspokojniej jak potrafił, wciągnął spodnie, zszedł na dół, włożył do ekspresu kapsułkę z ulubioną kawą Rakeł, włączył maszynę i wyszedł przed dom na schody. Śnieg zapiekł w białe stopy, kiedy Harry wciągnął w płuca zimowe powietrze. Spowite bielą miasto wciąż leżało pogrążone w ciemności, ale nieśmiały nowy dzień już rumienił się na wschodzie.

Włożył buty i puchową kurtkę, brodząc w śniegu, ruszył do skrzynki pocztowej.

W „Aftenposten” napisali, że przyszłość wygląda jaśniej, niż świadczyłyby o tym obraz przekazywany w wiadomościach. Że mimo przedstawianych przez media obrazów zabójstw, wojen i okrucieństwa, zawierających coraz więcej brutalnych szczegółów, niedawno opublikowane wyniki badań wykazały, że liczba osób ginących z rąk innych ludzi osiągnęła najniższy poziom w historii i jeszcze spada. Być może przyjdzie dzień, kiedy zabójstw nie będzie wcale. Mikael Bellman, który według „Aftenposten” miał zostać oficjalnie powołany na ministra sprawiedliwości już w przyszłym tygodniu, skomentował, że oczywiście nie ma nic złego w wyznaczaniu sobie wysokich celów, tyle że jego celem osobistym jest społeczeństwo nie idealne, ale po prostu lepsze. Harry nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Isabelle Skøyen to dobra suflerka. Wrócił spojrzeniem do zdania mówiącego, że zabójstw nie będzie wcale. Dlaczego ów śmiały postulat znów obudził w nim niepokój, który pomimo zadowolenia, do jakiego musiał się przyznać, odczuwał w ciągu ostatniego miesiąca albo może nawet dłużej? Zabójstwo. Eliminowanie zabójców Harry uczynił swoją życiową misją. Ale gdyby udało się ją zrealizować, gdyby wszyscy zabójcy zniknęli, to czy on też by zniknął? Czy razem z Valentinem nie pogrzebał odrobiny samego siebie? Czy właśnie dlatego kilka dni temu stanął przy jego grobie? A może chodziło o coś innego? O to, o czym mówił Steffens? O nieradzenie sobie z wątpliwościami? Czyżby spokoju nie dawał mu brak odpowiedzi? Do diabła, Rakeł była zdrowa, Valentin nie

żył, pora się poddać.

Zaskrzybiał śnieg.

– Udały się ferie zimowe, Harry?

– Jakoś przeżyliśmy, pani Syvertsen. A pani, jak widzę, nie ma dość biegania na nartach?

– Dobre warunki trzeba wykorzystać – stwierdziła, wypinając biodro. Kombinezon narciarski wyglądał na niej jak namalowany. Niewątpliwie lekkie jak piórko narty trzymała w ręce, jakby były pałeczkami do jedzenia.

– Nie wybierzesz się ze mną na szybką rundkę, Harry? Wszyscy śpią, moglibyśmy pościgać się nad jezioro Tryvann. – Uśmiechnęła się, światło lampy nad ich głowami odbijało się od jej warg, posmarowanych jakimś kremem ochronnym na mróz. – Naprawdę dobry... ślizg.

– Nie mam nart – odpowiedział z uśmiechem Harry.

Roześmiała się.

– Żartujesz. Jesteś Norwegiem i nie masz nart?

– Wiem, to zdrada stanu. – Harry zerknął na gazetę. Spojrzał na datę. Czwarty marca.

– Pamiętam, że choinki też nie mieliście.

– Prawda? Powinno się nas podać na policję.

– Wiesz co, Harry? Czasami ci zazdroszczę.

Podniósł głowę.

– Ty się nigdy niczym nie przejmujesz, po prostu łamiesz wszelkie zasady. Czasami chciałabym być tak beztroska.

Harry się zaśmiał.

– Z takim rodzajem smarowania, jaki pani ma stale pod ręką, zawsze będzie pani miała dobrą przyczepność, a zarazem dobry ślizg, pani Syvertsen.

– Słucham?

– Udaney wyprawy. – Harry zasalutował, unosząc złożoną gazetę do czoła, i zawrócił do domu.

Spojrzał na zdjęcie Mikaela Bellmana, jednookiego. Może to dlatego jego spojrzenie wydawało się takie mocne. To było spojrzenie człowieka przekonanego o tym, że zna prawdę. Spojrzenie duchownego. Spojrzenie, które nawraca ludzi.

Harry zatrzymał się w przedpokoju i przejrzał się w lustrze.

Prawda jest taka, że nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno. Nawet ciebie w końcu przechytrzą, Harry.

Czy po nim było widać wątpliwości?

Rakel siedziała przy stole w kuchni, już zdążyła nalać kawy im obojgu.

– Wstałaś? – Pocałował ją w głowę. Jej włosy lekko pachniały wanilią i snem, był to jego ulubiony zapach.

– Przed chwilą dzwonił Steffens – powiedziała, ściskając go za rękę.

– Czego chciał tak wcześniej?

– Pytał, co słyhać. Umówił się z Olegiem w związku z tą próbką krwi, którą pobrał od niego przed Bożym Narodzeniem. Mówił, że nie ma żadnych powodów do niepokoju, ale chce sprawdzić, czy istnieje jakieś genetyczne powiązanie, które mogłoby tłumaczyć „to”

„To”. Po powrocie Rakeł ze szpitala Harry, ona i Oleg częściej się obejmowali. Więcej rozmawiali. Mniej planowali. Po prostu byli razem. A później, tak jak dzieje się po wrzuceniu kamienia do wody, powierzchnia wróciła do wcześniejszej postaci. Kruchy lód. A mimo to gdzieś głęboko na dnie coś nieustannie drżało.

– Żadnych powodów do niepokoju – powtórzył Harry zarówno do siebie, jak i do niej. – Ale ty i tak się przestraszyłaś.

Wzruszyła ramionami.

– Myślałaś trochę o barze?

Harry usiadł, wypił łyk swojej kawy rozpuszczalnej.

– Kiedy tam siedłem wczoraj, oczywiście myślałem o tym, że muszę go sprzedać. Nie mam pojęcia o prowadzeniu baru i nie czuję, żeby moim powołaniem było nalewanie alkoholu młodym ludziom z potencjalnie niedobrymi genami.

– Ale...

Podciągnął suwak puchowej kurtki.

– Øystein uwielbia tam pracować. I wiem, że sam nie tyka tego, co sprzedaje. Nieograniczony dostęp działa na niektórych wstrzymująco. No i jeszcze fakt, że to się kręci.

– Nic dziwnego, skoro lokal może się reklamować dwoma zabójstwami wampirysty, jedną prawie strzelaniną i Harrym Hole za barem.

– Mhm. A mnie się wydaje, że to raczej działa pomysł Olega – tematy muzyczne na każdy wieczór. Na przykład dzisiaj będą wyłącznie najlepsze panie po pięćdziesiątce. Lucinda Williams, Emmylou Harris, Patti Smith, Chrissie Hynde...

– To nie moje czasy, kochany.

– Jutro mamy jazz z lat sześćdziesiątych, a najdziwniejsze jest to, że zjawiają się ci sami ludzie, którzy przychodzą na wieczory punkowe. Raz w tygodniu na cześć Mehmeta puszczamy Paula Rodgersa. Øystein uważa, że powinniśmy organizować quizy muzyczne i...

– Harry?

– Słucham.

– Mówisz teraz tak, jakbyś miał zamiar zatrzymać Jealousy.
– Tak? – Harry podrapał się w głowę. – Cholera, przecież nie mam na to czasu. No i dwaj tacy bałaganiarze jak Øystein i ja...

Rakel się roześmiała.

– Chyba że... – zaczął Harry.

– Chyba że co?

Harry nie odpowiedział, tylko się uśmiechał.

– Nie, nie, o tym zapomnij – zaprotestowała Rakel. – Ja mam wystarczająco dużo zajęć, żeby jeszcze...

– Raz w tygodniu. Piątki i tak masz wolne. To tylko trochę rachunków i papierkowej roboty. Dostaniesz jakiś procent udziałów i funkcję prezesa zarządu.

– Prezeski.

– Zgoda.

Ze śmiechem odtrąciła jego wyciągniętą rękę.

– Nie.

– Zastanów się nad tym.

– Dobrze, zastanowię się, zanim odmówię. Wracamy do łóżka?

– Śpiąca?

– Mmm. – Półprzymkniętymi oczami spojrzała na niego znad filiżanki. – Może dostałabym jakiś procent z tego, czego nie dostaje pani Syvertsen?

– Mhm. Szpiegujesz. No dobrze, proszę przodem, pani prezesko.

Harry jeszcze raz zerknął na gazetę. Czwarty marca. Data końca odbywania kary. Ruszył za Rakel w stronę schodów. Minął lustro, nie patrząc w nie nawet przez moment.

Svein „Narzeczony” Finne wszedł na Cmentarz Zbawiciela. Tak wcześnie rano nie było tu ludzi. Przed zaledwie godziną opuścił bramy Zakładu Karnego Ila jako wolny człowiek i to była pierwsza sprawa, którą postanowił załatwić. Na tle białego śniegu wystające z ziemi niewielkie czarne zaokrąglone nagrobki wyglądały jak kropki na kartce.

Szedł oblodzoną ścieżką, stawiając drobne, ostrożne kroki. Był już starym człowiekiem i od lat nie stąpał po lodzie. Zatrzymał się przy wyjątkowo niepozornym nagrobku z białymi neutralnymi literami pod krzyżem.

Valentin Gjertsen.

Ani słowa więcej. Oczywiście. Nikt nie chciał o nim pamiętać. I żadnych kwiatów.

Svein Finne wyjął z kieszeni płaszcz piórko, uklęknął i wbił je w śnieg przy

nagrobku. Indianie z plemienia Czirokezów zwykle dawali swoim zmarłym orle pióro. W trakcie odsiadki w Ila unikał kontaktu z Valentinem, ale kierowały nim inne powody niż pozostałymi osadzonymi, którzy bali się Valentina do szaleństwa. Svein Finne nie chciał, by tamten go rozpoznał. Wiedział bowiem, że prędzej czy później tak się stanie. Sveinowi wystarczyło jedno spojrzenie tego dnia, kiedy Valentin trafił do Ila. Młody człowiek miał wąskie ramiona swojej matki i jej jasny wysoki głos, który Svein zapamiętał z okresu ich narzeczeństwa. Była jedną z tych, które próbowały dokonać aborcji poza wiedzą Sveina, dlatego zmusił ją, by pozwoliła mu u siebie zamieszkać, aby mógł strzec potomka. Co noc leżała przy nim roztrzęsiona i zapłakana, dopóki nie urodziła chłopca. Podczas cudownej krwawej łązni osobiście przeciął pępowinę własnym nożem. Jego trzynaste dziecko, siódmy syn. Ale stuprocentową pewność Svein zyskał nie wtedy, gdy poznał nazwisko nowo osadzonego więźnia, tylko w chwili, gdy usłyszał o szczegółach czynu, za który skazano Valentina.

Svein Finne wstał.

Zmarli to zmarli.

A żywi niedługo umrą.

Odetchnął głęboko. Mężczyzna się z nim skontaktował. I wzbudził w nim pragnienie. To, które, jak sądził, ugasiły minione lata.

Spojrzał w niebo. Niedługo wejdzie słońce. Miasto się obudzi, przetrze oczy, otrząśnie się z koszmarne snu o mordercy, który grasował jesienią. Uśmiechnie się, dostrzeże słoneczne promienie, szczęśliwie nieświadome tego, co się ma wydarzyć. W porównaniu z tym jesień wyda się spokojnym preludium. Jaki ojciec, taki syn. Jaki syn, taki ojciec.

Policjant. Harry Hole. Gdzieś tam był.

Svein Finne odwrócił się i zaczął iść. Kroki stawiał teraz dłuższe, szybsze, pewniejsze. Tyle jeszcze trzeba zrobić.

Truls Berntsen siedział na szóstym piętrze i patrzył, jak czerwony blask słońca usiłuje sforsować wzgórze Ekeberg. W grudniu Katrine Bratt przeniosła go z tamtej psiej budy do pokoju z oknem. Sympatycznie. Ciągłe jednak kazano mu archiwizować raporty i inne wpływające materiały już rozwiązanych albo bardzo starych spraw. Powodem, dla którego przyszedł tak wcześnie do pracy, musiało więc być to, że przy minus dwunastu stopniach na zewnątrz w pracy miał cieplej niż w mieszkaniu. Albo że ostatnio zaczął miewać kłopoty ze snem.

W ciągu ostatnich tygodni archiwizował, rzecz jasna, głównie spóźnione meldunki od ludności i niepotrzebne przesłuchania świadków w związku

z zabójstwami wampirysty. Niektórzy twierdzili, że całkiem niedawno widzieli Valentina Gjertsena; przypuszczalnie byli to ci sami, którzy uważali, że Elvis żyje. Nie pomagało to, że przeprowadzone analizy DNA materiału pobranego ze zwłok stanowiły niezaprzeczalny dowód, że Harry Hole rzeczywiście zabił Valentina Gjertsena. Niektóre fakty stanowiły po prostu irytujące przeszkody, niepotrzebnie tarasujące drogę szalonym ideom.

Tarasujące drogę szalonym ideom. Truls Berntsen nie wiedział, skąd wzięło mu się to zdanie. Po prostu przyszło mu do głowy. Ale nie wypowiedział go na głos.

Sięgnął po następną kopertę leżącą na wierzchu stosu. Tak jak poprzednia, i ta była już otwarta, a jej zawartość przeczytana wcześniej. Na kopercie widniało logo Facebooka, pieczętka świadcząca o tym, że nadano ją jako list polecony, na przypiętym spinaczem poleceniu przekazania do archiwum pod numerem sprawy wpisano jedynie „wampirysta”, a jako nazwisko osoby zajmującej się sprawą – podpis Magnusa Skarre.

Truls Berntsen wyciągnął zawartość koperty. Na samym wierzchu leżał list po angielsku. Nie wszystko zrozumiał, ale dowiedział się przynajmniej tyle, że autor powołuje się na postanowienie sądu dopuszczające wgląd w dokumenty, a załączniki to wydruki z facebookowych kont wszystkich zamordowanych ofiar wampirysty plus ciągle uznanej za zaginioną Marte Ruud. Zaczął przerzucać kartki i zorientował się, że niektóre są sklezione, domyślił się więc, że Skarre nie przejrzał dokładnie wszystkiego. Może i dobrze, sprawa została rozwiązana, a sprawca nigdy nie zasiądzie na ławie oskarżonych. Ale Truls oczywiście chętnie przyłapałby tego śliskiego bęcwała Skarrego z opuszczonymi spodniami. Zaczął więc sprawdzać nazwiska ludzi, z którymi ofiary miały kontakt, z nadzieją szukał facebookowej wiadomości do lub od Valentina Gjertsena czy Alexandra Dreyera, której ominięcie mógłby wytknąć Skarremu. Spojrzeniem badał stronę po stronie, zatrzymując się jedynie na nadawcach i odbiorcach. Westchnął, kiedy już uporał się ze wszystkim. Tu też nikt nie popełnił błędu. Oprócz nazwisk ofiar rozpoznawał jedynie dwa. Byli to ludzie, których on i Wyller przesłuchiwali z racji ich kontaktu telefonicznego z ofiarami. To chyba naturalne, że skoro kontaktowali się przez telefon, tak jak Ewa Dolmen i ten Lenny Hell, to porozumiewali się też przez Facebooka.

Schował wydruki z powrotem do koperty, wstał i podszedł do szafki archiwum. Wyciągnął górną szufladę. Puścił. Lubił sposób, w jaki się sama zasuwała – z lekkim świstem, jak pociąg towarowy. Nagle zatrzymał szufladę, chwytając ją jedną ręką.

Spojrzał na kopertę.

Dolmen. Nie Hermansen.

Grzebał w szufladzie, aż znalazł teczkę z przesłuchaniami osób widniejących na listach połączeń telefonicznych i zabrał ją razem z kopertą z powrotem na biurko. Zaczął przerzucać wydruki i w końcu znalazł to samo nazwisko. Lenny Hell. Truls zapamiętał je, bo skojarzyło mu się z Lemmym, natomiast facet, z którym rozmawiał przez telefon, brzmiał raczej jak mięczak, z tym drzeniem w głosie pojawiającym się u tylu ludzi – bez względu na to, jak bardzo są niewinni – gdy tylko usłyszą, że dzwoni policja. A więc Lenny Hell komunikował się na Facebooku z Ewą Dolmen. Ofiarą numer dwa.

Truls otworzył teczkę z przesłuchaniami. Znalazł własny raport z przesłuchania Lenny'ego Hella. I jeszcze rozmowę z właścicielem knajpy Pizza & Grill w Åneby. A także notatkę, z której istnienia nie zdawał sobie sprawy – Wyller informował w niej, że Urząd Lensmana w Nittedal ręczy i za Lenny'ego, i za właściciela pizzerii, który potwierdził, że Lenny był w jego lokalu w czasie, gdy doszło do zabójstwa Elise Hermansen.

Elise Hermansen. Ofiara numer jeden.

Przesłuchiwali Lenny'ego Hella, ponieważ wielokrotnie dzwonił do Elise Hermansen. Ten sam człowiek miał kontakt na Facebooku z Ewą Dolmen. Czyli znalazł się błąd. Błąd popełniony przez Magnusa Skarre. I być może przez Lenny'ego Hella. Chyba że to przypadek. Single obojga płci w podobnym wieku poszukują się na tym samym obszarze geograficznym w dość rzadko mimo wszystko zaludnionym kraju. Istnieją o wiele bardziej nieprawdopodobne zbiegi okoliczności. A sprawa została wyjaśniona. Nie było tu żadnych wątpliwości. W zasadzie nie było. Ale z drugiej strony... Ciągłe pisanie o wampirystyce. W Stanach Zjednoczonych założono niewielki tajny fanklub Valentina Gjertsena, a ktoś zaklepał sobie prawa do książki i filmu opartych na historii jego życia. Może i sprawa zesza już z pierwszych stron gazet, ale przecież mogła na nie wrócić. Truls Berntsen sięgnął po telefon. Odszukał numer Mony Daa. Wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. W końcu wstał, chwycił kurtkę i ruszył do windy.

Mona Daa zamknęła oczy i wyrzuciła ręce w górę. Ćwiczyła z lekkimi hantlami. Wyobraziła sobie, że rozkłada wyprostowane ręce jak skrzydła i odlatuje stąd, frunie nad parkiem Frogner, nad Oslo. I widzi wszystko. Absolutnie wszystko.

I że im pokazuje.

Oglądała program dokumentalny o swoim ulubionym fotoreporterze Donie McCullinie, którego nazywano humanitarnym reporterem wojennym, ponieważ pokazywał najgorsze strony ludzkości po to, by wywołać refleksje i wiwisekcję duszy, a nie radosne ciarki. Nie mogła tego samego powiedzieć o sobie.

I pomyślała też, że w całym tym filmie, będącym jednoznacznym hołdem dla McCullina, zabrakło jej jednego słowa. Ambicja. McCullin był najlepszy, a między bitwami – dosłownie – musiał stykać się z tysiącami wielbicieli. Z młodymi kolegami, pragnącymi być tacy jak on, bo usłyszeli legendę o fotografii, który został z żołnierzami w Hué podczas ofensywy Têt, anegdoty z Bejrutu, Biafry, Konga i Cypru. Oto fotoreporter karmiony najbardziej uzależniającym narkotykiem, jaki zna ludzkość – uznaniem i uwagą – a mimo to ani słowa o tym, jak może to skłonić człowieka do narażania się na najgorsze próby, do podejmowania ryzyka, o jakim w innej sytuacji nawet by mu się nie śniło. I – potencjalnie – do popełniania takich samych przestępstw jak te, które dokumentował, a wszystko po to, by uzyskać idealny obraz, epokowy reportaż.

Mona zgodziła się na zamknięcie w klatce i czekanie na wampirystę, bez informowania o tym policji, chociaż potencjalnie mogła dzięki temu uratować czyjeś życie. Wprawdzie uważała, że była obserwowana, ale łatwo mogła podnieść alarm. Na przykład dyskretnie podsunąć kartkę Norze. Ale ona – na podobieństwo seksualnych fantazji Nory o niby-zgwałceniu przez Harry’ego Hole – udawała, że jest zmuszona się na to zgodzić. Oczywiście, że tego chciała. Pragnęła uznania, sławy, podziwu w oczach kolegów, gdy będzie wygłaszać mowę dziękczynną za przyznanie jej nagrody dziennikarskiej, kiedy będzie mówić z pokorą, że jest po prostu ciężko pracującą dziewczyną z miasteczka na Północy, której wyjątkowo się poszczęściło. Zanim już mniej pokornie zacznie opowiadać o swoim dorastaniu, o mobbingu, zemście i ambicjach. Tak, mówiłaby głośno o ambicjach, nie bałaby się powiedzenia prawdy. Tego, że chciałaby latać. Latać.

– Potrzebujesz większego oporu.

Podnoszenie stało się trudniejsze. Otworzyła oczy i zobaczyła parę rąk, które ułożyły się na hantlach i lekko je naciskały. Ktoś stał tuż za nią, w wielkim lustrze naprzeciwko wyglądała teraz jak czteroręki bóg Ganesza.

– No dalej, jeszcze dwa razy – szepnął głos prosto do jej ucha. Rozpoznała go. To ten policjant. Uniósł teraz głowę i zobaczyła jego twarz tuż nad swoją. Uśmiechał się. Niebieskie oczy pod jasną grzywką. Białe zęby. Anders Wyller.

– Co ty tu robisz? – spytała. Zapomniała o wyprostowaniu rąk, ale i tak poczuła, że leci.

– Co ty tu robisz? – spytał Øystein Eikeland, stawiając przed klientem półlitrową szklankę z piwem.

– Słucham?

– Miałem na myśli jego. – Øystein kciukiem wskazał ponad swoim ramieniem

na wysokiego, ostrzyżonego na jeża mężczyznę, który akurat wszedł za kontuar i napełniał *cezve* kawą i wodą.

– Nie mam już siły na rozpuszczalną – odparł Harry.

– Nie masz siły na więcej wolnego – stwierdził Øystein. – Nie masz siły na dłuższe rozstanie ze swoim ukochanym barem. Słyszysz, co to jest?

Harry znieruchomiał, wsłuchując się w gęsty, swingujący akompaniament.

– Dopóki ona nie zacznie śpiewać, to nie.

– Nie zacznie – wyjaśnił Øystein. – Właśnie to jest takie cudowne. To Taylor Swift. 1989.

Harry pokiwał głową. Pamiętał, że Swift albo jej wytwórnia płytowa nie chcieli udostępnić albumu na Spotify, dlatego przygotowano wersję, w której usunięty został wokół.

– Nie umawialiśmy się przypadkiem, że dzisiaj słuchamy wyłącznie śpiewających kobiet po pięćdziesiątce? – spytał Harry.

– Nie słyszysz, co mówię? Ona nie śpiewa.

Harry odrzucił myśl o wysuwaniu argumentów przeciwko logice Øysteina.

– Ludzie wcześniej dzisiaj przyszli – stwierdził.

– To ta kiełbasa z aligatora. – Øystein wskazał na długie kiełbaski wiszące nad barem. – W pierwszym tygodniu przychodzili, bo to była ciekawostka, a teraz ci sami ludzie wracają i chcą jeszcze. Może powinniśmy zmienić nazwę baru na Alligator-Joe, Everglades albo...

– Jealousy to dobra nazwa.

– Okej, okej, staram się tylko myśleć przyszłościowo. Ktoś zaraz podkradnie nam ten pomysł.

– Do tego czasu będziemy mieli nowy.

Harry postawił *cezve* na płytce i odwrócił się akurat w chwili, gdy w drzwiach pojawiła się znajoma postać.

Złożył ręce na piersi i patrzył, jak gość otupuje śnieg z butów i spode łba lustruje lokal.

– Jakież kłopoty? – spytał Øystein.

– Nie sądzę. Przypilnuj, żeby kawa się nie zagotowała.

– Ty i to twoje tureckie niegotowanie...

Harry okrążył kontuar i podszedł do mężczyzny. Gość rozpiął płaszcz, spod którego buchnęło gorąco.

– Cześć, Hole – powiedział.

– Cześć, Berntsen – przywitał go Harry.

– Mam coś dla ciebie.

– Dlaczego?

Truls Berntsen zaniósł się chrumkającym śmiechem.

– Nie chcesz wiedzieć co?

– Tylko jeśli będę zadowolony z odpowiedzi na pierwsze pytanie.

Harry widział, że Truls Berntsen usiłuje zrobić obojętną minę, ale ponieważ nie bardzo mu to wychodziło, musiał się zadowolić przełknięciem śliny. Chociaż rumieniec na pokrytej bliznami twarzy mógł, rzecz jasna, pojawić się wskutek przejścia z mrozu do ciepła.

– Jesteś bęcwałem, Hole, ale raz uratowałeś mi życie.

– Nie doprowadzaj do tego, żebym pożałował. Mówże!

Berntsen wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza teczkę z dokumentami.

– Lenny... to znaczy Lenny Hell... Zobacz, że miał kontakt i z Elise Hermansen, i z Ewą Dolmen.

– Tak? – Harry patrzył na żółtą tekturową teczkę obwiązaną gumką. – Dlaczego nie pójdziesz z tym do Katrine?

– Dlatego że ona w przeciwieństwie do ciebie musi myśleć o swojej karierze i będzie zmuszona iść z tym do Mikaela.

– No i?

– Mikael w przyszłym tygodniu obejmuje tekę ministra sprawiedliwości i nie potrzebuje żadnego bruźdzenia przy takim awansie.

Harry w milczeniu patrzył na Trulsa Berntsen. Już dawno zrozumiał, że Berntsen nie jest taki głupi, jak mógł się wydawać.

– Chcesz powiedzieć, że nie będzie chciał kolejnych rund tej sprawy?

Truls wzruszył ramionami.

– Sprawa wampirysty była dla Mikaela jak kij wsadzony w szprychy, ale okazała się jednym z jego największych sukcesów. Przypuszczam, że nie ma ochoty psuć tego obrazu.

– Mhm. Przekazujesz mi te dokumenty, bo się boisz, że inaczej przepadną gdzieś w szufladzie komendanta policji?

– Boję się, że przepadną w niszczarce, Hole.

– Okej. Ale jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego?

– Nie słyszałeś? Niszczarka.

– Dlaczego ty, Truls Berntsen, się o to martwisz? Tylko nie wciskaj mi teraz kitu. Wiem, kim jesteś i jaki jesteś.

Truls coś burknął.

Harry czekał.

Truls zerknął na niego, uciekł wzrokiem, parę razy tupnął, jakby na butach miał

więcej śniegu.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Mówię prawdę, nie wiem. Może pomyślałem, że dobrze by było, gdyby Magnus Skarre dostał ochrzan za przeoczenie tego powiązania między telefonami a Facebookiem. Ale to też nie dlatego. Tak mi się wydaje. Myślę po prostu, że... Nie, za cholere, nie wiem. – Kaszlnął. – Ale jeśli nie chcesz się tym zająć, schowam te papiery z powrotem do archiwum. Niech tam sobie gniją, mnie wszystko jedno.

Harry wytarł zaparowaną szybę i patrzył, jak Truls idzie z pochyloną głową w ostrym zimowym świetle. Czy się mylił, czy też u Trulsa Berntsena właśnie ujawniły się symptomy nieszkodliwej choroby nazywanej infekcją policyjną?

– Co tam masz? – zainteresował się Øystein, kiedy Harry wrócił za bar.

– Policyjną pornografię. – Harry położył żółtą teczkę na kontuarze. – Wydruki i przesłuchania.

– To ta sprawa wampirysty? Przecież jest już rozwiązana.

– Zostały jakieś luźne wątki, drobne formalności. Nie słyszysz, że kawa się gotuje?

– A ty nie słyszysz, że Taylor Swift nie śpiewa?

Harry już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale usłyszał własny śmiech. Uwielbiał tego faceta. Uwielbiał ten bar. Nalał im obu nieudanej kawy i zaczął wybijać na teźce rytm *Welcome to Some Pork*. Przerzucił kilka stron, myśląc jednocześnie o tym, że Rakel na pewno się zgodzi, jeśli tylko będzie siedział cicho jak mysz i da jej trochę czasu do namysłu. Nagle jego spojrzenie się zatrzymało. Poczuł się tak, jakby pod jego stopami zarwał się lód. *W końcu wszystkich nas przechytrzą, Harry.*

– O co chodzi? – spytał Øystein.

– Z czym?

– Wyglądasz, jakbyś... no...

– Zobaczył ducha? – dokończył Harry, czytając kartkę jeszcze raz, żeby mieć pewność.

– Nie – zaprzeczył Øystein.

– Nie?

– Nie. Raczej jakbyś się... obudził.

Harry podniósł wzrok znad kartek i spojrzał na Øysteina. I wtedy to poczuł. Niepokój. Ten niepokój zniknął.

– Tu jest sześćdziesiąt – przestrzegł Harry. – I ślisko.

Oleg lekko popuścił pedał gazu.

– Dlaczego sam nie prowadzisz? Przecież masz i samochód, i prawo jazdy.

– Bo ty i Rakel jeździcie lepiej. – Harry zmrużył oczy w ostrym świetle słońca odbijającym się od porośniętych lasem ośnieżonych niskich wzgórz. Według drogowskazu do Åneby zostały cztery kilometry.

– To znaczy, że mama mogłaby dziś prowadzić?

– Uznałem, że przyda ci się zwiedzenie urzędu lensmana. Wiesz, kiedyś sam możesz trafić w takie miejsce.

Oleg przyhamował, podjeżdżając tuż do tylnych kół traktora, który dzwoniąc łańcuchami po asfalcie, odrzucał śnieg na bok.

– Ja pójdę do Wydziału Zabójstw, a nie na wieś.

– Oslo to też wieś. Odległa zaledwie o pół godziny jazdy stąd.

– Zgłosiłem się na kurs FBI w Chicago.

Harry się uśmiechnął.

– Skoro jesteś taki ambitny, to dwa lata w urzędzie lensmana nie powinny cię wystraszyć. Tutaj skręć w lewo.

– Jimmy – przedstawił się potężny pogodny mężczyzna, który czekał przed wejściem do Urzędu Lensmana w Nittedal, sąsiadującego przez ścianę z biurem opieki społecznej w standardowo nowoczesnym budynku służb publicznych w Norwegii. Świeża opalenizna kazała się Harry'emu domyślać, że lensman wrócił z zimowego urlopu na Gran Canarii, chociaż domysł o Kanarach opierał się wyłącznie na pełnym uprzedzeń założeniu co do ulubionych miejsc urlopowych tych mieszkańców Nittedal, których imiona kończą się na „y”

Harry uścisnął mu rękę.

– Dzięki, że chciało ci się pogadać z nami w sobotę, Jimmy. To jest Oleg, student Wyższej Szkoły Policyjnej.

– Wygląda mi na przyszłego lensmana. – Jimmy obrzucił wzrokiem mierzącego metr dziewięćdziesiąt chłopaka. – Spodobało mi się, że Harry Hole we własnej osobie ma ochotę nas odwiedzić. Obawiam się tylko, że to wy zmarnujecie swój czas, a nie ja.

– Bo?

– Przez telefon mówiłeś, że Lenny Hell nie odbiera, więc trochę się rozpytałem w czasie, gdy tu jechaliście. Okazuje się, że tuż po tym waszym przesłuchaniu wyjechał do Tajlandii.

– Okazuje się?

– Tak, poinformował sąsiadów i stałych zleceniodawców, że zostanie tam przez jakiś czas. Pewnie ma jakiś tajski numer. Ale żadna z osób, z którymi rozmawiałem,

go nie znała. Ludzie nie wiedzą też, gdzie on się tam zatrzymuje.

– Może jest odludkiem?

– Spokojnie można go tak nazwać.

– Jakaś rodzina?

– Kawaler. Jedynek. Nigdy nie wyprowadził się z domu. A od śmierci rodziców mieszka sam w Świniarni.

– W Świniarni?

– Tak mówimy w wiosce. Rodzina Hellów od pokoleń hodowała świnie, trochę na tym zarobiła i sto lat temu zbudowała sobie dość nietypowy dwupiętrowy dom. Ludzie pewnie uważali, że to zbytek elegancji dla hodowców świń, dlatego zaczęli go nazywać Świniarnią. – Lensman się roześmiał. – „Nie myśl sobie, że jesteś kimś”, prawda?

– Mhm. A jak sądzisz, co Lenny Hell robi tak długo w Tajlandii?

– A co tacy ludzie jak Lenny Hell mogą robić tak długo w Tajlandii?

– Nie znam Lenny’ego – odparł Harry.

– Miły gość. I niegłupi. Inżynier od komputerów. Pracuje w domu jako wolny strzelec, więc czasami zdarza nam się do niego dzwonić, kiedy mamy jakieś kłopoty. Żadnych używek ani wygłupów. I chyba brak kłopotów finansowych. Ale do kobiet rzeczywiście nigdy nie miał szczęścia.

– Co to znaczy?

Jimmy obserwował lodowatą mgłę unoszącą się w powietrzu.

– Zimno, chłopaki. Może wejdziemy na kawę?

– Wydaje mi się, że Lenny rozgląda się za jakąś Tajką – powiedział Jimmy, nalewając kawy do dwóch białych kubków z logo opieki społecznej i do własnego ze znaczkiem klubu sportowego z Lillestrøm. – Tu, na miejscu, nie dał rady z konkurencją.

– To znaczy?

– Mówiłem wam, że Lenny to samotny wilk. Głównie siedzi sam i niewiele się odzywa. Nie przyciąga więc kobiet jak magnes. A poza tym szybko budzi się w nim zazdrość. Z tego, co wiem, nigdy w życiu nie skrzywdził muchy, a tym bardziej kobiety, ale był pewien incydent z dziewczyną, która dzwoniła do nas i twierdziła, że Lenny trochę za dużo sobie wyobrażał po randce.

– Stalking?

– Chyba rzeczywiście tak się teraz o tym mówi. Podobno wysyłał jej mnóstwo SMS-ów i kwiatów, chociaż wyraźnie mu powiedziała, że nie jest zainteresowana. Wyczekiwał na nią pod pracą. W końcu oświadczyła, że nie chce go więcej widzieć

na oczy, no i go nie zobaczyła. Ale wtedy po powrocie z pracy do domu zaczęła zauważać rzeczy poprzestawiane w mieszkaniu. Dlatego zadzwoniła do nas.

– Uważała, że wchodził do niej do domu?

– Pogadałem sobie z Lennym, zaprzeczył, żeby tak było. I później już nigdy więcej o tym nie słyszeliśmy.

– Czy Lenny Hell ma drukarkę 3D?

– Co?

– Taką maszynę, której można używać do kopiowania kluczy.

– Jak bardzo jest zazdrosny? – spytał nagle Oleg.

Obaj starsi mężczyźni odwrócili się do niego.

– W skali od jednego do dziesięciu? – spytał Jimmy, a Harry nie potrafił stwierdzić, czy zostało to powiedziane z ironią, czy bez.

– Po prostu zastanawiam się, czy w grę może wchodzić chorobliwa zazdrość – wyjaśnił Oleg, patrząc niepewnie na Harry'ego.

– O czym ten chłopak mówi, Hole? – Jimmy, głośno siorbiąc, wypił łyk ze swojego kanarkowożółtego kubka. – On się pyta, czy Lenny kogoś zabił?

– No cóż. Tak jak ci wyjaśniałem przez telefon, zwijamy po prostu ostatnie wątki w sprawie wampirysty, a Lenny rozmawiał z dwiema ofiarami.

– Które zabił tamten facet, Valentin – przypomniał Jimmy. – Czy może są co do tego jakieś wątpliwości?

– Nie ma żadnych. Chciałem tylko pogadać z Lennym o tych rozmowach. Sprawdzić, czy nie wyjdzie na jaw coś, o czym nie wiedzieliśmy. Widziałem na mapie, że jego dom jest zaledwie kilka kilometrów stąd, więc pomyślałem, że może pojedziemy tam do niego zapukać. Żeby to już było załatwione.

Lensman z czułością pogładził wielką dłonią klubowy emblemat na kubku.

– W gazecie pisali, że jesteś teraz wykładowcą, a nie śledczym.

– Jestem wolnym strzelcem, tak jak Lenny.

Jimmy skrzyżował ręce na piersi. Lewy rękaw koszuli podsunął mu się przy tym, odsłaniając blade tatuaż przedstawiający kobiece ciało.

– Okej, Hole. Jak sam widzisz, tu, w rejonie Urzędu Lensmana w Nittedal, niewiele się dzieje. I dzięki Bogu za to. Dlatego kiedy zatelefonowałeś, nie tylko obdzwoniłem ludzi, ale sam podjechałem pod dom Lenny'ego, to znaczy podjechałem tak daleko, jak się dało. Świniarnia stoi na końcu leśnej drogi. Kiedy się minie najbliższego sąsiada, który mieszka półtora kilometra wcześniej, to śnieg na drodze ma nagle pół metra głębokości, tyle samo co po bokach, i nie ma na nim żadnych śladów, ani kół, ani ludzkich stóp. Są tylko tropy łosi i lisów. Czasami trafi się wilk. Rozumiesz? Tam nikogo nie było od tygodni, Hole. Jeśli chcesz złapać

Lenny'ego, to musisz sobie kupić bilet lotniczy do Tajlandii. Podobno Pattaya to popularne miejsce wśród tych, którzy chcą sobie przywieźć Tajkę.

– Skuter śnieżny – powiedział Harry.

– Co?

– Jeśli wrócę tu jutro z nakazem przeszukania, załatwisz mi do dyspozycji skuter śnieżny?

Harry zrozumiał, że dobry humor lensmana minął. Jimmy pewnie wyobrażał sobie sympatyczną pogawędkę przy kawie, podczas której będzie mógł pokazać gościowi ze stolicy, że na wsi też wiedzą, jak wygląda skuteczna policyjna robota. A oni zamiast tego stroją sobie żarty z jego ocen i każą mu jak pierwszemu lepszemu zaopatrzeniowcowi oddawać do dyspozycji pojazd.

– Na przebycie półtora kilometra nie potrzebujesz skutera – stwierdził Jimmy i pociągnął się za mocno opalony nos, który zaczynał się łuszczyć. – Weź narty, Hole.

– Nie mam nart. Skuter i ktoś, kto nim pokieruje.

Cisza, która zapadła, wydawała się trwać całą wieczność.

– Widziałem, że chłopak prowadził. – Jimmy przechylił głowę. – Nie masz prawka, Hole?

– Mam, ale raz zabiłem samochodem policjanta. – Harry sięgnął po kubek i go opróżnił. – Wolelibyśmy, żeby to się więcej nie powtórzyło. Dzięki za kawę i do zobaczenia jutro.

– Co to miało być? – spytał Oleg, kiedy czekali z migającym kierunkowskazem na możliwość włączenia się do ruchu na głównej drodze. – Lensman stawia się w sobotę, żeby pomóc, a ty zaczynasz nim rządzić.

– A rządziłem?

– Tak!

– Mhm. Przełącz migacz na lewy.

– Oslo jest w prawo.

– A według GPS-u Pizza & Grill w Åneby dwie minuty jazdy stąd w lewo.

Właściciel Pizza & Grill w Åneby, który przedstawił się jako Tommy, wytarł palce w fartuch i uważnie przyjrzał się zdjęciu, które podsunął mu Harry.

– Możliwe. Ale nie pamiętam, jak wyglądało towarzystwo Lenny'ego, pamiętam tylko, że on przyszedł tutaj w ten wieczór, gdy zabito tamtą kobietę w Oslo, i że z kimś był. Lenny to samotny wilk, zawsze jest sam i rzadko tu zagląda. Właśnie dlatego zapamiętałem tamten wieczór, kiedy zadzwoniliście jesienią.

– Mężczyzna ze zdjęcia miał na imię Alexander albo Valentin. Słyszał pan, żeby Lenny zwracał się do niego którymś z tych imion w trakcie rozmowy?

– Nie przypominam sobie, żebym w ogóle słyszał ich rozmowę. A tamtego wieczoru obsługiwałem sam, żona zajmowała się kuchnią.

– O której wyszli?

– Trudno powiedzieć. Zjedli na spótkę pizzę Knut Spezial XXL z pepperoni i szynką.

– To pan pamięta?

Tommy się uśmiechnął i palcem wskazującym postukał się w skroń.

– Proszę zamówić dzisiaj pizzę i wrócić za trzy miesiące z pytaniem, jaka to była. Dam panu taki sam rabat jak urzędowi lensmana. Wszystkie ciasta są niskowęglowodanowe, z orzechami.

– Brzmi kusząco, ale syn czeka na mnie w samochodzie. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co.

Oleg prowadził auto w zapadającym zmierzchu.

Obaj milczeli, zatopieni we własnych myślach.

Harry obliczał. Valentin mógł spokojnie zjeść pizzę z Lennym i zdążyć do Oslo, żeby zabić Elise Hermansen.

Nadjeżdżający z przeciwka tir minął ich z taką prędkością, że samochodem aż zatrzęsło.

W końcu Oleg chrząknął.

– Jak masz zamiar zdobyć ten nakaz przeszukania?

– Bo?

– Po pierwsze, nie pracujesz w Wydziale Zabójstw, po drugie, nie masz podstawy, żeby go dostać.

– Nie mam?

– Jeśli dobrze zrozumiałem materiał, którego się uczymy, to nie.

– No to mów. – Harry się uśmiechnął.

Oleg nieco zwolnił.

– Są niezbite dowody na to, że Valentin zabił kilka kobiet. Lenny Hell przypadkiem spotkał się z dwiema z nich. To jeszcze nie daje policji prawa do wtargnięcia do domu Lenny’ego, podczas gdy on sam jest na wakacjach w Tajlandii.

– Zgadzam się. Na tej podstawie trudno będzie dostać nakaz przeszukania. Dlatego jedźmy do Grini.

– Do Grini?

- Chciałbym pogadać z Hallsteinem Smithem.
- Umówiłem się z Helgą, że razem ugotujemy obiad.
- A konkretnie pogadać o chorobliwej zazdrości. Obiad, mówisz? Rozumiem, że będę musiał się dostać do Grini o własnych siłach.
- Grini jest prawie po drodze, więc dobrze.
- Jedź i gotuj ten obiad. U Smitha może się przeciągnąć.
- Za późno. Już powiedziałaś, że mogę z tobą jechać. – Oleg przyspieszył, zmienił pas na lewy, wyprzedził traktor i włączył długie światła.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Sześćdziesiąt – powiedział Harry, stukając w telefon.
- I ślisko. – Oleg odrobinę zwolnił pedał gazu.
- Wyller? – odezwał się Harry. – Tu Harry Hole. Mam nadzieję, że w sobotni wieczór siedzisz w domu i się nudzisz. Tak? No to wytłumacz tej ślicznotce, że musisz pomóc byłemu, ale legendarnemu policjantowi w sprawdzeniu kilku rzeczy.

- Chorobliwa zazdrość. – Hallstein Smith z ożywieniem popatrzył na dwóch właśnie przybyłych gości. – To bardzo interesujący temat. Ale naprawdę przyjechaliście aż tutaj, żeby o tym porozmawiać? Czy to nie jest raczej specjalność Stąlego Aune?

Oleg pokiwał głową, jakby się z nim zgadzał.

- Wolałem porozmawiać z tobą, bo ty masz wątpliwości – stwierdził Harry.
- Wątpliwości?
- Powiedziałaś coś tamtego wieczoru, kiedy Valentin się tu zjawił. Powiedziałaś, że on wiedział.
- Co wiedział?
- Tego nie wyjaśniłeś.
- Byłem w szoku, więc pewnie mówiłem mnóstwo dziwnych rzeczy.
- Nie, wyjątkowo mówiłeś dość mało, Smith.
- Słyszałaś, May? – Hallstein Smith zaśmiał się do drobnej kobiety, która nalewała im herbaty.

Z uśmiechem pokiwała głową, po czym wyszła do salonu, zabierając dzbanek i filiżankę.

- Powiedziałem „wiedział”, a ty odebrałaś to jako moje wątpliwości? – dopytywał się Smith.
- Zabrzmiało to tak, jakby coś było niewyjaśnione – powiedział Harry. – Jakby nie mieściło ci się w głowie, że Valentin mógł coś wiedzieć. Mylę się?
- Nie mam pojęcia, Harry. Jeśli chodzi o moją podświadomość, wiem tyle samo

co ty, a może nawet mniej. Dlaczego pytasz?

– Dlatego że pojawił się pewien człowiek, któremu bardzo się spieszyło z wyjazdem do Tajlandii, ale poprosiłem Wyllera, żeby to sprawdził, i tego człowieka nie ma na listach pasażerów w tym czasie. W ciągu ostatnich trzech miesięcy nie zarejestrowano użycia jego kart kredytowych czy bankomatowych ani w Tajlandii, ani w żadnym innym miejscu. A równie interesujące jest to, że Wyller znalazł jego nazwisko na liście osób, które w ciągu ostatniego roku kupiły drukarki 3D.

Smith spojrział na Harry'ego, potem odwrócił się i wyjrzał przez kuchenne okno. Śnieg pokrywał rozciągające się w ciemności pola miękką, migoczącą puchową kołdrą.

– Valentin wiedział, gdzie jest mój gabinet. To miałem na myśli, mówiąc, że wiedział.

– Chodzi ci o adres?

– Nie, o to, że od bramy poszedł prosto do obory. Wiedział nie tylko, że mam tam gabinet, ale że przesiaduję w nim w środku nocy.

– Może zobaczył światło w oknie?

– Od bramy nie widać okna. Chodźcie, coś wam pokażę.

Przeszli do gabinetu w oborze, tam Smith włączył komputer.

– Mam tu wszystkie nagrania z monitoringu, muszę tylko poszukać dat.

– Fajny rysunek. – Oleg ruchem głowy wskazał człowieka nietoperza na ścianie. – Straszny.

– Alfred Kubin – wyjaśnił Smith. – *Der Vampyr*. Mój ojciec miał w domu album z obrazami Kubina, który oglądałem w czasie, gdy moi koledzy chodzili do kina na marne filmy grozy. Poza tym May nie pozwala mi wieszać obrazów Kubina w domu. Twierdzi, że przyprawiają ją o koszmary. A jeśli mowa o koszmarze, tu jest to nagranie.

Harry i Oleg nachylili się nad jego ramieniem.

– Tu widać, jak Valentin wchodzi do obory. Zauważcie, że w ogóle się nie waha. Dobrze wie, dokąd ma iść. Skąd to wiedział? Tych parę godzin terapii odbyłem z nim nie tutaj, tylko w wynajętym gabinecie w centrum.

– Uważasz, że ktoś go poinstruował?

– Uważam, że ktoś mógł poinstruować Valentina Gjertsena. Z tą sprawą od samego początku był problem. Wampiryci nie posiadają takiej zdolności planowania, na jaką wskazywałyby te zabójstwa.

– Mhm. W mieszkaniu Valentina nie znaleźliśmy drukarki 3D. Drukować klucze mógł mu ktoś inny. Ktoś, kto w ten sposób dorabiał je wcześniej dla siebie

i wchodził do mieszkań kobiet, które go odrzuciły. A potem spotykały się z innymi mężczyznami.

– Lepszymi – dorzucił Smith.

– Zazdrość – powiedział Harry. – Chorobliwa zazdrość. Ale u człowieka, który nie skrzywdziłby muchy. A kiedy ktoś nie potrafi nikogo skrzywdzić, potrzebuje osoby, która go w tym zastąpi. Takiej, która jest w stanie zrobić to, czego on nie umie.

– Potrzebuje zabójcy. – Smith z namysłem kiwnął głową.

– Kogoś, kto będzie skłonny zabijać dla samego zabijania. Valentina Gjertsena. Mamy więc jednego człowieka, który wszystko przygotowuje, i drugiego, który wykonuje. Agenta i artystę.

– O Boże. – Smith potarł dłońmi policzki. – A więc mój doktorat mimo wszystko zaczyna wyglądać rozsądnie.

– W jakim sensie?

– Gościłem w Lyonie z wykładem na temat zabójstw wampirysty i chociaż koledzy po fachu byli zachwyceni nowatorstwem mojej pracy, cały czas wskazywali na pewną wadę, przez którą moje odkrycie nie kwalifikuje się do miana epokowego. Te zabójstwa nie zgadzają się bowiem z naszkicowanym przeze mnie profilem wampirysty.

– Czyli?

– Osoby o cechach schizofrenicznych i paranoidalnych, powodowanej nieprzemyślanym pragnieniem krwi, zabijającej to, co jest najbliższe i najłatwiej osiągalne. Taki ktoś nie byłby w stanie zrealizować zabójstwa wymagającego planowania i cierpliwości. Tymczasem zbrodnie tego wampirysty wskazywały raczej na człowieka o umyśle inżyniera.

– Na mózg – podsunął Harry – który zwraca się do Valentina zmuszonego do zaprzestania swojej zbrodniczej aktywności. Valentin nie może się swobodnie poruszać, bo wpadnie w ręce policji. Mózg proponuje mu klucze do mieszkań samotnych kobiet. Zdjęcia, informacje o ich zwyczajach, o tym, kiedy przychodzą i kiedy wychodzą. Wszystko, czego Valentin potrzebuje, aby je zabić, jednocześnie sam się nie eksponując. Jak mógł odrzucić taką propozycję?

– Symbioza idealna – podsumował Smith.

Oleg chrząknął.

– O co chodzi? – Harry spojrzał na Olega.

– Policja na próżno szukała Valentina całymimi latami. Jak Lenny go znalazł?

– Dobre pytanie. W każdym razie nie poznali się w więzieniu. Kartoteka Lenny'ego Hella jest czysta jak stokrotka.

– Co powiedziałaś? – spytał Smith.

– Stokrotka.

– Nie, nie, to nazwisko.

– Lenny Hell – powtórzył Harry. – A co?

Hallstein Smith nie odpowiedział, tylko z otwartymi ustami wpatrywał się w Harry'ego.

– O cholera – powiedział Harry cicho.

– Bo co? – zdziwił się Oleg.

– Pacjenci – wyjaśnił Harry. – Tego samego psychologa. Valentin Gjertsen i Lenny Hell spotkali się w poczekalni. Zgadza się, Hallstein? No dalej, zagrożenie kolejnymi zabójstwami unieważnia tajemnicę lekarską.

– Owszem, zgadza się, Lenny Hell jakiś czas temu był moim pacjentem. Czasami tu przyjeżdżał. Znał też mój zwyczaj nocnego przesiadywania w oborze. Nie mogli jednak spotkać się tutaj, bo Valentin przychodził na terapię w mieście.

Harry przesunął się na krześle.

– Ale czy Lenny Hell mógł być chorobliwie zazdrosnym typem współpracującym z Valentinem Gjertsenem przy zabijaniu kobiet, które go odrzuciły?

Hallstein w zamyśleniu przyłożył dwa palce do brody, w końcu kiwnął głową.

Harry odchylił się na krześle. Spojrzał na monitor komputera, na którym zatrzymany został moment, gdy ranny Valentin opuszcza oborę. Strzałka wagi wskazująca siedemdziesiąt cztery i siedem dziesiątych kilograma, kiedy wchodził, zatrzymała się teraz na siedemdziesięciu trzech i dwóch dziesiątych. To oznaczało, że na podłodze w gabinecie zostało półtora kilograma krwi. Wszystko to było prostą matematyką i rachunek się zgodził. Valentin Gjertsen plus Lenny Hell. Wynik daje dwa.

– No to trzeba wznowić sprawę – zawyrokował Oleg.

– Nie ma mowy – oświadczył Gunnar Hagen i spojrzął na zegarek.

– Dlaczego? – Harry dał Ninie znak, że prosi o rachunek.

Naczelnik Wydziału Zabójstw westchnął.

– Dlatego że sprawa jest wyjaśniona, Harry. I dlatego że to, co mi teraz przedstawiasz, trochę za bardzo przypomina teorię spiskową. Przypadkowe zbiegi okoliczności, takie jak kontakt tego Hella z dwiema ofiarami, i psychologiczne zgadywanki, jak to, że Valentin sprawia wrażenie, jakby wiedział, że ma iść w prawo? To z takich składników dziennikarze i pisarze klecą rewelacje o tym, że Kennedy'ego zastrzeliło CIA, a prawdziwy Paul McCartney nie żyje. Sprawa wampirysty ciągle jest wysoko notowana w mediach i zrobimy z siebie wysoko notowanych błaznów, jeśli wznowimy śledztwo na takiej podstawie.

– I to cię martwi, szefie? Że wyjdiesz na błazna?

Gunnar Hagen się uśmiechnął.

– Zawsze nazywałeś mnie szefem w taki sposób, że od razu czułem się błaznem, Harry. Przecież wszyscy i tak wiedzieli, że prawdziwym szefem jesteś ty. W porządku, akceptowałem to, pozwalałem ci nami rządzić, bo to przynosiło rezultaty. Ale na tę sprawę już położono wieko. I mocno je przykręcono.

– Chodzi o Bellmana – domyślił się Harry. – To on nie chce ryzykować, że coś zaburzy jego obraz, w dodatku teraz, tuż przed objęciem teki ministra sprawiedliwości.

Hagen wzruszył ramionami.

– Dzięki, że zaprosiłeś mnie na kawę tak późno w sobotni wieczór, Harry. Co słychać u rodziny?

– Wszystko w porządku. Rakel zdrowa, Oleg gotuje ze swoją dziewczyną. A u was?

– Też dobrze. Katrine i Bjørn kupili dom, ale o tym raczej już wiesz.

– Nie, nie wiedziałem.

– Na pewien czas zrobili sobie przerwę od siebie, ale najwyraźniej zdecydowali, że mimo wszystko stawiają na ten związek. Katrine jest w ciąży.

– Naprawdę?

– Tak, ma termin w czerwcu. Świat idzie naprzód.

– Dla niektórych. – Harry podał Ninie dwustukoronowy banknot, zaraz wydała mu resztę. – Dla innych nie. Tu, U Schrødera, akurat stoi w miejscu.

– Widzę – powiedział Gunnar Hagen. – Sądziłem, że gotówka już nie jest legalną walutą.

– Nie o tym myślałem. Dzięki, Nina.

Hagen odczekał, aż kelnerka odejdzie.

– To dlatego chciałeś, żebyśmy się spotkali właśnie tutaj? Żeby mi o tym przypomnieć? Wydawało ci się, że zapomniałem?

– Nie, wcale tak nie myślałem – odparł Harry. – Ale dopóki się nie dowiemy, co się stało z Marte Ruud, ta sprawa nie będzie rozwiązana. Nie będzie rozwiązana dla jej rodziny, dla tych, którzy tu pracują, dla mnie. I dla ciebie też nie, widzę to po tobie. Poza tym dobrze wiesz, że nawet jeśli Mikael Bellman tak mocno przykręcił wieko, że nie da się go podnieść, to ja po prostu je rozwalę.

– Harry...

– Posłuchaj. Potrzebuję od ciebie jedynie nakazu przeszukania i autoryzacji do prowadzenia śledztwa tylko po to, żeby rozplątać ten jeden luźny wątek. Obiecuję, że później dam już ze wszystkim spokój. Tylko ta jedna przysługa, Gunnar.

Potem się poddam.

Hagen uniósł krzaczastą brew.

– Gunnar?

Harry wzruszył ramionami.

– Sam powiedziałaś, że nie jesteś już moim szefem. No i co ty na to?

– To by było działanie całkowicie sprzeczne z wytycznymi komendanta okręgowego policji w tej sprawie.

– Ty też nie znosisz Bellmana. A on już niedługo przestanie być twoim szefem. Daj spokój, zawsze byłeś zwolennikiem starannej i unikliwej policyjnej roboty, Gunnar.

– Wiesz, że to brzmi jak podlizywanie się?

– I co z tego?

Hagen westchnął ciężko.

– Niczego nie obiecuję, ale się zastanowię, dobrze? – Naczelnik wydziału zapiął płaszcz i wstał. – Pamiętam pewną radę, którą dostałem, kiedy zacząłem brać udział w śledztwach, Harry. Jeśli chcesz przeżyć, musisz nauczyć się odpuszczać.

– To na pewno świetna rada. – Harry podniósł filiżankę do ust i popatrzył na Hagen. – Jeśli się uważa, że przeżycie jest takie ważne.

35 NIEDZIELA, PRZEDPOŁUDNIE

– Są tam – powiedział Harry do Hallsteina Smitha, który przyhamował i zatrzymał samochód przy dwóch mężczyznach stojących z rękami założonymi na piersiach na środku leśnej drogi.

Wysiedli.

– Brr! – Smith schował ręce do kieszeni kolorowej marynarki. – Miałaś rację, powinienem być cieplej się ubrać.

– Weź przynajmniej to. – Harry ściągnął z głowy czarną wełnianą czapkę z wyhaftowaną trupa czaszką i napisem *St. Pauli*, logo fanów klubu sportowego z Hamburga.

– Dziękuję. – Smith mocno naciągnął ją na uszy.

– Dzień dobry, Hole – odezwał się lensman. Za nim, w miejscu, gdzie leśna droga była już nieprzejezdna, stały dwa skutery śnieżne.

– Dzień dobry. – Harry zdjął okulary przeciwsłoneczne. Blask słońca odbijający się od śniegu aż zapiekł w oczy. – Dziękuję, że stawiłaś się mimo tak krótkiego

wyprzedzenia. To jest Hallstein Smith.

– Nie musisz nam dziękować za to, że wykonujemy swoją robotę. – Lensman skinął głową na mężczyznę ubranego tak jak on w niebiesko-biały kombinezon. W tych strojach obaj przypominali przerośnięte przedszkolaki. – Artur, weźmiesz tego gościa w marynarce?

Harry patrzył, jak skuter z asystentem lensmana i Smithem znika w głębi drogi. Odgłos silnika ciął przejrzyste mroźne powietrze niczym piła motorowa.

Jimmy usiadł okrakiem na podłużnym siodelku drugiego skutera i zanim wcisnął starter, chrząknął.

– Jeśli wolno, to skuter poprowadzi miejscowy lensman.

Harry z powrotem założył ciemne okulary i usiadł za nim.

Rozmowa, która odbyła się poprzedniego wieczoru, była krótka.

„Słucham, Jimmy”

„Tu Harry Hole. Mam to, czego potrzeba. Możesz jutro przed południem stawić się ze skuterami i pokazać nam ten dom?”

„O rany”

„Będzie nas dwóch”

„Jak zdobyłeś nakaz...”

„O wpół do dwunastej?”

Pauza.

„W porządku”

Drugi skuter śnieżny jechał w ślad za pierwszym. W oknach porozrzucanych w dolinie zabudowań i w iglicy wieży kościoła odbijały się promienie słońca. Kiedy dotarli do gęstego lasu, w którym panował cień, temperatura gwałtownie spadła, a obniżyła się jeszcze bardziej, gdy zjechali w wąwóz, przez który przepływała skuta lodem rzeka.

Przejażdżka zajęła nie więcej niż trzy – cztery minuty, a mimo to Harry szczękał zębami, kiedy zatrzymali się obok Smitha i asystenta lensmana przy zarośniętym krzakami ośnieżonym płocie. Tuż przed sobą mieli zamkniętą bramę z kutego żelaza, zacementowaną śniegiem.

– No to masz Świniarnię – oznajmił lensman.

W odległości trzydziestu metrów od bramy wznosiła się wielka zaniedbana przedziwna trzykondygnacyjna budowla, przypominająca nawiedzony dom z opowieści grozy. Ze wszystkich stron strzegły jej wysokie świerki. Jeżeli ściany z desek kiedykolwiek malowano, to farba całkowicie już się złuszczyła i dom był w przeróżnych odcieniach szarości. Zastłony w oknach wyglądały na uszyte z grubych prześcieradeł i gęsto tkanego płótna.

- Ciemne miejsce jak na dom.
- Dwa piętra w stylu gotyckim – powiedział Smith. – Niezbyt odpowiadające tutejszej tradycji, prawda?
- Rodzina Hellów łamała wiele tradycji – odparł lensman. – Ale nigdy nie złamała prawa.
- Mogę prosić, żebyś wziął ze sobą jakieś narzędzia, lensmanie?
- Artur, weźmiesz łom? Miejmy to już za sobą.

Kiedy Harry zsiadł ze skutera, od razu zapadł się w śnieg do pół uda, ale dobrnął jakoś do bramy i przez nią przelazł. Trzej pozostali mężczyźni podążali jego śladem.

Wzdłuż frontu domu ciągnęła się zadaszona weranda. Skierowana była na południe, więc niewykluczone, że latem w środku dnia dom miał trochę słońca. Inaczej po co komu weranda? Jako miejsce do karmienia krwią komarów? Harry podszedł do drzwi wejściowych i próbował coś zobaczyć przez mleczną szybę, ale poddał się i sięgnął do zardzewiałego przycisku staroświeckiego dzwonka.

Kiedy pozostali podeszli do niego, zadzwonił jeszcze raz.

- Gdyby był w domu, to już czekałby na nas w drzwiach – stwierdził lensman. – Te skutery słyhać z odległości dwóch kilometrów. A mówiłem ci już, że ta droga prowadzi tylko tutaj.

Harry znów wcisnął dzwonek.

- W Tajlandii Lenny Hell go nie usłyszy. – Lensman się zaśmiał. – Moja rodzina zaplanowała na dzisiaj wycieczkę na nartach i czeka na mnie, więc stłucz szybę, Artur.

Asystent zamierzył się łomem, szkło pękło z trzaskiem, a on zdjął rękawiczkę, wsunął rękę do środka i przez chwilę macał ze skupioną miną, ale wreszcie Harry usłyszał odgłos obracającego się zamka.

- Proszę. – Jimmy otworzył drzwi i zrobił szeroki gest ręką.

Harry wszedł.

Dom wydawał się niezamieszkały, to była pierwsza rzecz, jaka go uderzyła. Może to brak nowoczesnych udogodnień nasunął mu skojarzenia z domami sławnych ludzi przerobionymi na muzea, takimi jak dom Fiodora Dostojewskiego, który Harry zwiedzał w Rosji. Rodzice zabrali tam jego i Sio, kiedy miał czternaście lat. Był to najbardziej pozbawiony duszy dom, jaki Harry kiedykolwiek widział. Pewnie dlatego *Zbrodnia i kara*, którą zaczął czytać trzy lata później, wywołała u niego taki szok.

Z sieni wszedł do dużego otwartego salonu. Wcisnął przełącznik światła na ścianie, ale nic się nie wydarzyło. Dienne światło przenikające przez szarobiałe zasłony wystarczało jednak, by zobaczył parę z własnego oddechu, nieliczne

staroświeckie meble rozmieszczone w pokoju bez planu, trochę tak, jakby przynależne do niego stoły i krzesła usunięto w wyniku nieudanego podziału spadku. Zobaczył ciężkie obrazy na ścianach, przekrzywione, pewnie z powodu wahań temperatury. I zobaczył też, że Lenny Hell jednak nie wyjechał do Tajlandii.

Pozbawiony duszy.

Lenny Hell, a w każdym razie osoba przypominająca Lenny'ego Hella ze zdjęcia, siedział w fotelu uszaku w podobnej majestatycznej pozie, w jakiej siadywał dziadek Harry'ego, gdy dostatecznie się upił. Z tą tylko różnicą, że jego prawa stopa unosiła się lekko nad podłogą, a prawe przedramię zsunęło się z poręczy. Innymi słowy, zwłoki nieco się przechyliły na jedną stronę, kiedy nastąpiło stężenie pośmiertne. A to było dawno temu. Na przykład przed pięcioma miesiącami.

Głowa skojarzyła się Harry'emu z wielkanocną wydmuszką. Krucha, wyschnięta, opróżniona z zawartości. Skóra najwyraźniej się skurczyła, zmuszając usta, by się otwały i odsłoniły przy tym wyschnięte szare dziąsła wokół zębów. Na czole widniała czarna dziura. Bez krwi, ponieważ Lenny Hell leżał z głową odchyloną do tyłu, sztywno wpatrzony w sufit.

Kiedy Harry obszedł fotel, zobaczył, że kula przebiła wysokie oparcie. Na podłodze z prawej strony leżał czarny metalowy przedmiot przypominający trochę latarkę. Harry go rozpoznał. Kiedy miał dziesięć lat, dziadek doszedł do wniosku, że chłopiec powinien już wiedzieć, skąd się biorą żeberka na wigilijnym stole. Zabrał go za oborę i tam taką samą maskę rzeźną, która wcale przecież nie była maską, przyłożył do czoła Heidrun, wielkiej maciory, wcisnął dźwignię, rozległ się suchy trzask, Heidrun drgnęła jakby zaskoczona i zwała się na ziemię. Później opróżnili ją z krwi, lecz Harry najbardziej zapamiętał zapach prochu i drgania nóg Heidrun po pewnym czasie. Dziadek twierdził, że to tylko mechanika ciała, że Heidrun już dawno nie żyje, ale Harry'emu jeszcze dużo później śniły się koszmary, w których pojawiały się drgające świńskie nogi.

W podłodze za jego plecami zatrzeszczały deski, usłyszał czyjś przyspieszony, ciężki oddech.

– Lenny Hell? – spytał Harry, nie odwracając się.

Lensman musiał dwa razy odchrząknąć, żeby móc to potwierdzić.

– Nie podchodź bliżej. – Harry przykucnął i rozejrzał się po pokoju.

To miejsce zbrodni nie przemawiało do niego. To miejsce milczało. Może dlatego, że minęło tyle czasu, a może dlatego, że nie było to miejsce zbrodni, tylko pokój, którego mieszkaniec zdecydował, że nie chce dłużej żyć.

Harry wyjął telefon i zadzwonił do Bjørna Holma.

– Mam zwłoki pod Åneby w Nittedal. Zadzwoni do ciebie facet o imieniu Artur

i wytłumaczy ci, gdzie będzie na was czekał.

Rozłączył się i przeszedł do kuchni. Spróbował zapalić światło, ale i tutaj nie działało. W kuchni panował porządek, chociaż w zlewie stał talerz z zakrzepłym, porośniętym pleśnią sosem. Przy lodówce była zamarznięta kałuża wody.

Wyszedł do sieni.

– Rozejrzyj się za szafką z bezpiecznikami – polecił Arturowi.

– Może prąd został odłączony? – podsunął lensman.

– Dzwonek działał.

Harry ruszył na górę po schodach wijących się z sieni.

Na piętrze zajrzał do trzech sypialni. We wszystkich starannie posprzątano, ale w jednej kołdra na łóżku była odsunięta na bok, a na krześle wisiało ubranie.

Na drugim piętrze wszedł do pokoju służącego najwyraźniej jako gabinet. Na półkach stały książki i segregatory, a przy oknie na jednym z podłużnych stołów – komputer z trzema dużymi monitorami. Harry się odwrócił. Na stole przy drzwiach zobaczył coś, co przypominało terrarium, mniej więcej trzy czwarte na trzy czwarte metra, z wprawionymi w czarne metalowe ramki szklanymi ściankami i małym białym plastikowym kluczem na podstawie w środku. Drukarka 3D.

Z daleka dobiegł cichy odgłos dzwonów. Harry podszedł do okna. Widać stąd było kościół, a dzwony najpewniej biły na niedzielne nabożeństwo. Dom Hella był wyższy niż szerszy, wznosił się w lesie jak wieża, jakby ci, którzy go wybudowali, pragnęli mieć miejsce, z którego mogli obserwować, nie będąc widziani. Spojrzenie Harry'ego padło na segregator leżący przed nim na biurku. Na wypisane odręcznie nazwisko na okładce. Otworzył go i przeczytał pierwszą kartkę. Potem podniósł wzrok i popatrzył na identyczne segregatory na półce. Podszedł do schodów.

– Smith!

– Tak?

– Przyjdź tu na górę!

Kiedy trzydzieści sekund później psycholog przestąpił próg, nie podszedł do biurka, przy którym Harry przerzucał kolejne kartki w segregatorze, tylko stanął przy drzwiach i zaczął się rozglądać z widocznym zaskoczeniem na twarzy.

– Poznajesz je? – spytał Harry.

– Tak. – Smith podszedł do półki i wyciągnął jeden z segregatorów. – Są moje. To moje karty pacjentów. Te, które mi skradziono.

– Zakładam, że ten również? – Harry podniósł segregator, tak żeby Hallstein Smith mógł przeczytać napis na pierwszej stronie.

– Alexander Dreyer. Tak, to mój charakter pisma.

– Nie rozumiem całej terminologii, ale widzę przynajmniej tyle, że Dreyer miał

obsesję na punkcie *Dark Side of The Moon*. I kobiet. I krwi. Piszesz, że może się u niego pojawić wampiryzm i że jeśli te skłonności się rozwiną, będziesz musiał rozważyć rezygnację z dochowania tajemnicy i powiadomić o swoich podejrzeniach policję.

– Mówiłem już, że Dreyer przestał do mnie przychodzić.

Harry usłyszał odgłos gwałtownie otwieranych drzwi i wyjrzał przez okno akurat, żeby zobaczyć, jak asystent lensmana wystawia głowę zza balustrady werandy i wymiotuje w śnieg.

– Gdzie oni poszli szukać tych bezpieczników?

– Do piwnicy – odparł Smith.

– Zaczekaj tutaj – polecił Harry.

Zszedł na dół. W sieni pojawiło się światło, a drzwi do piwnicy były otwarte. Zgięty wpół, ruszył ciasnymi ciemnymi schodami. Uderzył o coś czołem, skóra mu pękła. Złączka na rurze doprowadzającej wodę. Wreszcie poczuł pod stopami podłogę i zobaczył samotną zapaloną żarówkę przy wejściu do pomieszczenia, do którego zaglądał Jimmy, nachylając się z rękami opuszczonymi wzdłuż boków.

Harry ruszył w jego stronę. Chłód w salonie zakneblował zapachy, mimo że zwłoki zaczęły gnić. Ale tu, na dole, panowała wilgoć i chociaż też było zimno, to jednak nie dostawał się tu taki mróz, jaki panował ponad powierzchnią ziemi. Kiedy Harry podszedł bliżej, zrozumiał, że tym, co początkowo brał za odór gnijących ziemniaków, były kolejne zwłoki.

– Jimmy – powiedział cicho, a lensman drgnął i się odwrócił. Oczy miał szeroko otwarte, a skórę na czole przeciętą. Harry aż się wystraszył, ale zaraz pojął, że rana powstała w wyniku spotkania z rurą na schodach.

Lensman odsunął się na bok i Harry zajrzał do pomieszczenia.

Stała w nim klatka. Trzy metry na dwa. Ściany z żelaznych prętów i drzwi, na których wisiała otwarta kłódka. Przypuszczalnie przeznaczona do przetrzymywania w niewoli zwierzęcia. Teraz niczego już nie przetrzymywała. To, co kiedyś tkwiło w pustej skorupie, zniknęło. Znów ten brak duszy. Ale Harry zrozumiał, dlaczego młody asystent lensmana zareagował tak gwałtownie.

Chociaż stopień rozkładu świadczył o tym, że zgon nastąpił już dawno, myszy i szczury nie dobrały się do nagiego ciała kobiety, powieszzonego za szyję na sznurze przywiązany do sufitu klatki. I właśnie dlatego, że zwłoki były nienaruszone, Harry mógł zobaczyć, co jej zrobiono. Nóż. Posłużono się głównie nożem. Harry widział już tyle ciał, okaleczonych w najprzeróżniejsze sposoby. Można by przypuszczać, że człowiek w końcu zaczyna się hartować. I tak też było. Przyzwyczał się do przypadkowych okaleczeń, do przemocy w postaci walki,

do użycia noża w celu uśmiercenia czy do rytualnych szaleństw. Ale nie do czegoś takiego. Do okaleczeń, po których widać, co sprawca chciał osiągnąć. Do fizycznego bólu i rozpaczliwego lęku ofiary, świadomej, co się dzieje. Do seksualnej przyjemności i wyrafinowanego zaspokojenia zabójcy. Do szoku, do desperackiej bezradności i do mdłości tych, którzy znajdują okaleczone ciało. Czy w tym wypadku zabójca osiągnął to, czego chciał?

Lensman za jego plecami zaczął kaszleć.

– Nie tutaj – powiedział Harry. – Wyjdź.

Usłyszał za plecami jego szurające kroki, a sam otworzył drzwi klatki i wszedł do środka. Wisząca w niej dziewczyna była chuda, a skórę miała białą jak śnieg z czerwonymi plamkami. Piegi. I czarną dziurę wysoko na brzuchu. Dziurę po kuli.

Harry wątpił, by uwolniła się od cierpień, wieszając się sama. Przyczyną śmierci mogła oczywiście być kula, ale być może strzał padł w obliczu frustracji, dlatego że umarła, że już nie działała, tak jak dziecko dalej niszczy zepsutą zabawkę.

Harry odgarnął na bok rude włosy opadające jej na twarz. Odgarnął na bok wszystkie wątpliwości. Twarz dziewczyny nic nie wyrażała. Na szczęście. Gdy jej duch wkrótce go odwiedzi, lepiej żeby twarz nie wyrażała nic. Harry tak wołał.

– Kto... kto to jest?

Odwrócił się. Hallstein Smith ciągle miał na głowie czapkę nasuniętą prawie na same oczy, jakby marzył, ale Harry wątpił, by jego drzenie wynikało z przemarznięcia.

– To jest Marte Ruud.

36 NIEDZIELA, WIECZÓR

Harry siedział z głową opartą na rękach i wsłuchiwał się w ciężkie kroki i głosy dochodzące z piętra wyżej. Byli w salonie. W kuchni. W sieni. Odgradzali, wbijali małe chorągiewki, fotografowali.

Zmusił się, żeby podnieść wzrok i jeszcze raz na nią spojrzeć.

Wytłumaczył lensmanowi, że nie odetną Marte Ruud przed przyjazdem techników. Oczywiście można było sobie wmawiać, że wykrwawiła się na śmierć w bagażniku samochodu Valentina, bo znaleziono tam mnóstwo jej krwi. Ale w klatce z lewej strony leżał materac, który opowiadał zupełnie inną historię. Był czarny, przez dłuższy czas wsiąkało w niego to, czego ludzkie ciało się pozbywa. A tuż nad materacem, przymocowane do kraty, wisały kajdanki.

Rozległy się kroki na schodach do piwnicy. Moment później znajomy głos zaklął głośno i pojawił się Bjørn Holm z rozciętym czołem. Ledwie zajął do klatki i już odwrócił się do Harry'ego.

– Rozumiem teraz, dlaczego ci dwaj policjanci mieli identyczne skaleczenia na głowach. Widzę, że ty też. I co, żadnemu z was nie chciało się mnie uprzedzić? – Spojrzał w bok i zawołał w kierunku schodów: – Uważajcie na ru...

– Au! – rozległo się w odpowiedzi.

– Nie rozumiem, jak ludzie mogą tak budować schody, że trzeba walić...

– Nie chcesz jej oglądać – powiedział Harry cicho.

– Co?

– Ja też nie chcę, Bjørn. Jestem tu już prawie godzinę i to wcale nie stało się łatwiejsze.

– To dlaczego tu siedzisz?

Harry wstał.

– Tyle czasu była sama. Pomyślałem... – Usłyszał zdradzieckie wibrato w swoim głosie. Szybko ruszył w stronę schodów i tylko skinął głową rozcierającemu czoło technikowi.

Lensman w sieni rozmawiał przez telefon.

– Gdzie Smith? – spytał Harry.

Jimmy pokazał na górę.

Hallstein Smith siedział przy komputerze i czytał dokumenty z teczki z nazwiskiem Alexandra Dreyera.

Słyszając Harry'ego, podniósł głowę.

– Tam na dole to dzieło Alexandra Dreyera, Harry.

– Mówmy o nim raczej Valentin. Jesteś pewien?

– Wszystko jest tu opisane, w moich własnych notatkach. Nacinanie ciała. Opisywał mi swoje fantazje, torturowanie, a potem zabicie kobiety. Opisywał to tak, jakby planował stworzenie dzieła sztuki.

– Mimo to nie zgłosiłeś tego na policję?

– Najwyraźniej się nad tym zastanawiałem, ale gdybyśmy mieli zgłaszać policji wszystkie wynaturzone zbrodnie, jakich nasi klienci dopuszczają się w wyobraźni, to ani nam, ani policji nie starczyłoby już czasu na nic innego. – Smith ukrył twarz w dłoniach. – Pomyśl tylko, tyle istnień można było uratować, gdybym...

– Nie zdręczaj się, Hallstein. Nie jest pewne, czy policja cokolwiek by zrobiła. Poza tym ponieważ Lenny Hell ukradł twoje notatki, możliwe, że wykorzystał je do skopiowania fantazji Valentina.

– Tego też nie da się wykluczyć. Nie jest zbyt prawdopodobne, moim zdaniem, ale wykluczyć się nie da. – Smith podrapał się w głowę. – Ciągle jeszcze nie rozumiem, skąd Hell mógł wiedzieć, że kradnąc moje notatki, znajdzie morderców, z którymi będzie mógł współpracować.

– Wiesz, ty sporo mówisz.

– Słucham?

– Zastanów się, Smith. Czy nie jest możliwe, że podczas rozmów z Lennym Hellem na temat jego chorobliwej zazdrości wspomniałeś, że masz innych pacjentów snujących fantazje o zabijaniu?

– Z całą pewnością o tym mówiłem. Zawsze staram się tłumaczyć pacjentom, że nie są osamotnieni w swoich wynaturzeniach, żeby ich uspokoić i przybliżyć do normy... – Smith urwał, zasłaniając dłonią usta. – O Boże, uważasz, że ja sam... że to mój długi język jest winien?

Harry pokręcił głową.

– Znajdujemy setki sposobów, by obwiniać samych siebie, Hallstein. Przez tyle lat mojej służby w Wydziale Zabójstw z pewnością co najmniej tuzin ludzi zginął tylko dlatego, że nie zdołałem ująć seryjnych zabójców tak szybko, jak powinienem. Ale jeśli chcesz przeżyć, musisz nauczyć się odpuszczać.

– Masz rację. – Smith zaśmiał się głucho. – Ale tak powinien mówić psycholog, a nie policjant.

– Jedź do domu, do rodziny, zjedz niedzielny obiad i spróbuj chociaż na chwilę o tym zapomnieć. Niedługo zjawi się Tord, przejrzy komputery, zobaczymy, co znajdzie.

– Okej. – Smith wstał, ściągnął z głowy czapkę i podsunął ją Harry'emu.

– Zatrzymaj ją – powiedział Harry. – A gdyby ktoś pytał, to nie zapomnij, dlaczego tu dzisiaj przyjechaliśmy, dobrze?

– Oczywiście. – Smith z powrotem włożył czapkę, a Harry stwierdził, że jest coś paradoksalnie komicznego, a zarazem złowróźbnego w trupiej czaszce St. Pauli nad jowialną twarzą psychologa.

* * *

– Bez nakazu przeszukania, Harry! – Gunnar Hagen wrzeszczał tak głośno, że Harry musiał odsunąć telefon od ucha, a siedzący przy komputerze Hella Tord podniósł głowę. – Poszedłeś pod ten adres i wdarłeś się do środka bez nakazu przeszukania! Powiedziałem ci głośno i wyraźnie, że się nie zgadzam!

– Wcale się nie wdarłem. – Harry wyjrzał przez okno na dolinę. Ściemniało się

i powoli zapalały się światła. – Do środka wszedł miejscowy lensman. Ja tylko zadzwoniłem do drzwi.

– Już z nim rozmawiałem. Odniósł jednoznaczne wrażenie, że masz nakaz przeszukania.

– Powiedziałem mu tylko, że mam to, czego potrzebuję. I miałem.

– A mianowicie?

– Hallstein Smith to psycholog Lenny'ego Hella. Ma pełne prawo odwiedzić pacjenta, o którego się martwi. A zważywszy na ujawniony związek Hella z dwiema zamordowanymi osobami, Smith uznał, że są powody do zaniepokojenia. Poprosił, żebym jako były policjant towarzyszył mu, na wypadek gdyby Lenny Hell okazał się skłonny do przemocy.

– I Smith oczywiście to potwierdzi.

– Oczywiście, szefie. Z tak zaburzonymi pacjentami nie ma żartów.

Harry usłyszał, że Gunnarowi Hagenowi udała się sztuka jednoczesnego parsknięcia śmiechem i prychnięcia ze złości.

– Oszukałeś tego lensmana, Harry. Dobrze wiesz, że sąd może odrzucić ewentualne dowody, jeśli się dowie...

– Zamknij się i przestań marudzić, Gunnar.

Przez chwilę panowała cisza.

– Co powiedziałeś?

– Poprosiłem, żebyś się zamknął – odparł Harry. – Po pierwsze, nie ma czego się dowiadywać. Sposób, w jaki się tam dostaliśmy, mieści się w granicach przewidzianych prawem. Po drugie, nikt nie będzie sądzony. Oni wszyscy nie żyją, Gunnar. Dzisiaj po prostu dowiedzieliśmy się, co się stało z Marte Ruud. I że Valentin Gjertsen nie działał sam. Nie sądzę, aby któryś z was, ty czy Bellman, wypadł źle z tego powodu.

– Mnie nie obchodzi...

– Owszem, obchodzi cię i zaraz dostaniesz tekst do ostatniego komunikatu prasowego komendanta. „Policja nie ustawała w poszukiwaniach Marte Ruud. Jej upór został wreszcie nagrodzony i naszym, kurwa, zdaniem, zasłużyła na to rodzina Marte i cała pieprzona Norwegia”. Zanotowałeś? Lenny Hell nie umniejszy sukcesu komendanta z Valentinem, szefie. To będzie dodatkowy sukces. Więc się uspokój i wcinaj niedzielną pieczeń. – Harry wrzucił telefon do kieszeni spodni. Ręką potarł twarz. – Masz coś, Tord?

Ekspert od komputerów podniósł głowę.

– Korespondencję mailową. Lenny Hell kontaktuje się z Alexandrem Dreyerem i tłumaczy Dreyerowi, że ma jego adres korespondencyjny z archiwum Smitha,

które ukradł. Dalej Hell od razu wali wprost i proponuje współpracę.

– Używa słowa „zabójstwo”?

– Tak.

– Dobrze. Mów dalej.

– Mija parę dni, zanim Dreyer, to znaczy Valentin, odpowiada. Pisze, że musiał najpierw sprawdzić, czy archiwum Smitha rzeczywiście zostało skradzione i czy nie jest to tylko pułapka zastawiona przez policję. Ale teraz jest już otwarty na propozycje.

Harry zajrzał Tordowi przez ramię. Zadrżał na widok słów widocznych na ekranie.

Przyjacielu, jestem otwarty na piękne propozycje.

Tord przewijał dalej i jednocześnie mówił:

– Lenny Hell pisze, że będą się kontaktować wyłącznie przez e-maile, Valentin żadną miarą nie może próbować dowiedzieć się, kim on jest. Prosi, żeby Valentin zaproponował jakieś miejsce, w którym Hell będzie mógł mu zostawiać klucze do mieszkań kobiet i ewentualne dodatkowe instrukcje, ale tak, żeby się nie spotykali. Valentin odpowiada: szatnia w hamamie Cagaloglu.

– W łaźni tureckiej.

– Cztery dni przed zabójstwem Elise Hermansen Hell pisze, że klucz do jej mieszkania i dodatkowe instrukcje zostawił w szatni, w szafce z kłódką, na której jest plamka niebieskiej farby. A szyfr do otwarcia kłódki to zero dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Mhm. Hell nie tylko sterował Valentinem, on nim sterował na odległość. Co tam jest dalej?

– Dość podobnie w wypadku Ewy Dolmen i Penelope Rasch. Ale nie ma żadnych instrukcji zabicia Marte Ruud. Przeciwnie, poczekaj chwilę. To tutaj. Dzień po zniknięciu Marte Ruud Hell pisze:

Alexander, wiem, że to Ty porwałeś dziewczynę z ulubionego pubu Harry’ego Hole. To nie było częścią naszego planu. Domyślam się, że ciągle przetrzymujesz ją u siebie. Dziewczyna ściągnie na Ciebie policję, Alexander. Musimy działać szybko. Przywieź dziewczynę, a ja zadbam o to, żeby zniknęła. Dojedź do współrzędnych 60.148083, 10.777245. To pusty odcinek drogi. Nocą mało kto tamtędy jeździ. Bądź tam o godzinie pierwszej dziś w nocy. Zatrzymaj się przy znaku z napisem Hadeland 1 km. Przejdź lasem dokładnie sto metrów pod kątem prostym na prawo. Połóż ją przy wielkim spalonym drzewie i opuść to miejsce.

Harry spojrzął na ekran i wpisał współrzędne w Google Maps w swoim telefonie.

– To kilka kilometrów stąd. Coś więcej?

– Nie, to już ostatni e-mail.

– Naprawdę?

– W każdym razie nic więcej nie znalazłem na tym komputerze. Może kontaktowali się przez telefon?

– Mhm. Dasz znać, jeśli znajdziesz coś jeszcze?

– Jasne.

Harry zszedł na dół.

W sieni Bjørn Holm rozmawiał z technikiem.

– Jeden drobny szczegół – powiedział Harry. – Pobierzcie próbki DNA z tej rury na schodach.

– Co?

– Wszyscy, którzy tam schodzą pierwszy raz, walą głową w tę rurę. Zostają skóra i krew. To prawdziwa księga gości.

– Dobra.

Harry ruszył do drzwi. Nagle się zatrzymał i odwrócił.

– A tak w ogóle gratuluję. Hagen mi wczoraj powiedział.

Bjørn spojrzął na niego zdziwiony. Harry ręką narysował dużą wypukłość na swoim brzuchu.

– Aha, o to chodzi. – Bjørn Holm się uśmiechnął. – Dzięki.

Harry wyszedł przed dom, a kiedy otoczyły go zimowa ciemność i mróz, mocno wciągnął w płuca powietrze. Wydało mu się oczyszczające. Ruszył ku czarnej ścianie świerków. Dwa skutery śnieżne krążyły ruchem wahadłowym od domu Hella do odsnieżonego odcinka drogi, liczył, że stamtąd ktoś podrzuci go dalej. Ale akurat w tej chwili nie było tu nikogo. Odszukał twarde ślady skuterów, stwierdził, że nie zapada się w śnieg, i ruszył przed siebie. Dom zniknął już w ciemności za jego plecami, gdy nagle dotarł do niego dźwięk, który kazał mu się natychmiast zatrzymać. Nasłuchiwał.

Kościelne dzwony? Teraz?

Nie miał pojęcia, czy dzwonią na pogrzeb, czy na chrzest. Wiedział tylko, że od tego dźwięku ciarki przeszły mu po plecach. W tej samej chwili dostrzegł coś w zagęszczonej ciemności przed sobą. Parę jasnych żółtych oczu, które się poruszały. Zwierzęce ślepia. Ślepia hieny. I ściszony warkot, który się wzmaczał. Szybko się zbliżał.

Harry wyciągnął ręce przed siebie, ale i tak oświetliły go światła skutera, który się przed nim zatrzymał.

– Dokąd? – spytał głos osoby niewidocznej zza świateł.

Harry wyjął telefon, włączył go i podał kierowcy skutera.

– Tam.

60.148083, 10.777245.

Po obu stronach szosy rósł las. Żadnych samochodów. Niebieska tabliczka.

Drzewo znalazł dokładnie w odległości stu metrów od niej. Brodząc w śniegu, dotarł do czarnego spalonego rozszczepionego pnia, wokół którego nie leżał tak wysoki śnieg jak kawałek dalej. Przykucnął, wpatrzony w jaśniejszą ranę na pniu oświetlonym reflektorami skutera. Sznur. A może łańcuch. To oznaczało, że Marte Ruud w tym czasie jeszcze żyła.

– Oni tu byli – oznajmił, rozglądając się. – Byli tu obaj: Valentin i Lenny. Ciekawe, czy się spotkali.

Drzewa obserwowały go w milczeniu, jak nieprzychylni świadkowie.

Harry wrócił do skutera i usiadł za asystentem lensmana.

– Przywieź tu techników. Niech pozbierają to, co zostało.

Artur lekko się do niego odwrócił.

– A ty dokąd jedziesz?

– Do miasta, ze złymi wiadomościami.

– Chyba wiesz, że bliscy Marte Ruud już zostali powiadomieni?

– Mhm. Ale nie bliscy ze Schrødera.

W głębi lasu jakiś ptak wydał z siebie pojedynczy spóźniony krzyk ostrzeżenia.

37 ŚRODA, POPOŁUDNIE

Harry przesunął półmetrowej wysokości stos prac, żeby lepiej widzieć dwóch chłopaków, którzy usiedli przy jego biurku.

– Owszem, czytałem wasze rozwiązanie sprawy „Pentagramu” – powiedział. – I oczywiście należy wam się chwała za to, że poświęćcie wolny czas na zadanie, które dałem studentom ostatniego roku.

– Ale? – spytał Oleg.

– Nie ma żadnego ale.

– No tak, bo nasza praca jest najlepsza ze wszystkich.

Jesus założył obie ręce za głowę, wsuwając je pod długi czarny warkocz.

– Nie – zaprzeczył Harry.

– Nie? A która była lepsza?

– Grupy Ann Grimset, o ile dobrze pamiętam.

– Co? – uniósł się Oleg. – Przecież oni nie mieli nawet głównego podejrzanego!

– To prawda, rzeczywiście stwierdzili, że nie mają głównego podejrzanego.

A na podstawie udzielonych informacji był to właściwy wniosek. Wy prawidłowo wskazaliście osobę, ale to dlatego, że nie zdołaliście się powstrzymać i wyszukaliście w Google, kto był sprawcą wtedy, dwanaście lat temu. Uchwyciliście się klucza i wyciągnęliście wiele błędnych wniosków po to, żeby dojść do właściwej odpowiedzi.

– To znaczy, że przygotowałeś zadanie, które nie ma rozwiązania? – spytał Oleg.

– Na podstawie dostępnych informacji owszem, nie ma – potwierdził Harry. – To przedsmak tego, co was czeka, jeśli naprawdę zamierzacie zostać śledczymi.

– I co się robi w takiej sytuacji?

– Szuka się nowych informacji – odparł Harry. – Albo próbuje się od nowa połączyć to, co się ma. Często rozwiązanie znajduje się w już zebranych materiałach.

– A co ze sprawą wampirysty? – spytał Jesus.

– Trochę nowych informacji. I trochę tego, co już było.

– Widziałeś, co dziś napisali w „VG”? – spytał Oleg. – Że Lenny Hell sterował Valentinem Gjertsenem, każąc mu zabijać kobiety, o które Hell był zazdrosny. Tak jak w *Otelli*.

– Mhm. Ale chyba twierdziłeś, że w *Otelli* motywem zabójstwa jest nie zazdrość, tylko ambicja, o ile się nie mylę?

– No dobrze, w zespole Otella. Dziwne, ale to wcale nie Mona Daa napisała ten artykuł. Zresztą dawno już nie widziałem jej tekstu.

– A kto to jest Mona Daa? – zainteresował się Jesus.

– Jedyna reporterka kryminalna, która ma jakieś pojęcie – wyjaśnił Oleg. – Dziwna dziewczyna z Północy. Ćwiczy w środku nocy i używa Old Spice'a. No, opowiadaj, Harry.

Harry patrzył na przejęte twarze chłopców. Usiłował sobie przypomnieć, czy sam w studenckich czasach też tak się angażował w naukę fachu. Raczej nie. Stale miał kaca i nie mógł się doczekać, kiedy znów się upije. Ci dwaj byli o wiele lepsi. Odchrząknął.

– No dobrze. Ale wobec tego niech to będzie wykład i przypominam, że jako studenci szkoły policyjnej macie obowiązek dochowania tajemnicy, jasne?

Pokiwali głowami i jeszcze bardziej się do niego nachylili. Harry się odsunął. Miał ogromną ochotę zapalić i wiedział, że ten papieros na schodach będzie mu bardzo, ale to bardzo smakował.

– Przejrzeliśmy dokładnie komputer Hella – zaczął. – Były w nim plany działania, notatki, informacje o ofiarach, informacje o Valentinie Gjertsenie *alias* Aleksandrze Dreyerze, o Hallsteinie Smisie, o mnie...

– O tobie? – zdumiał się Jesus.

– Nie przerywaj – zirytował się Oleg.

– Hell napisał, jak zrobić odciski kluczy do domów tych kobiet. Stwierdził, że w trakcie randki umówionej przez Tindera osiem na dziesięć kobiet zostawia torebkę przy stoliku, gdy w jakimś momencie muszą wyjść do toalety. I że większość przechowuje klucze w zapinanej na suwak kieszonce wewnątrz torebki. Zrobienie woskowego odcisku trzech kluczy, z obu stron, zajmuje średnio nie więcej niż piętnaście sekund. A jeszcze szybciej jest, kiedy się je fotografuje. Ale w wypadku niektórych rodzajów kluczy zdjęcia nie wystarczą, żeby wygenerować dostatecznie dokładny plik pozwalający na wydrukowanie kopii na drukarce 3D.

– Czy to znaczy, że on już na pierwszej randce wiedział, że będzie o nie zazdrosny? – zdziwił się Jesus.

– Możliwe, że czasami tak. Napisał tylko, że ponieważ to jest takie proste, nie ma powodu, żeby nie zapewnić sobie dostępu do ich mieszkań.

– Aż ciarki przechodzą – szepnął Jesus.

– Co go skłoniło do wybrania właśnie Valentina? No i jak na niego trafił? – spytał Oleg.

– Wszystkie potrzebne informacje znajdowały się w dokumentach pacjentów, które ukradł Smithowi. Było tam na przykład stwierdzenie, że Alexander Dreyer to

człowiek, którego wampirystyczne fantazjesą tak żywe i zawierają tyle szczegółów, że Smith zastanawiał się, czy nie należy go przymusowo umieścić w szpitalu. Argumentem przemawiającym przeciwko temu był wysoki stopień panowania nad sobą i bardzo uporządkowane życie Dreyera. Zakładam, że właśnie to połączenie: żądza mordy i opanowanie, sprawiło, że Valentin stał się idealnym kandydatem dla Hella.

– Ale co Hell miał do zaproponowania Valentinowi Gjertsenowi? – zapytał Jesus.
– Pieniądze?

– Krew – odparł Harry. – Młodą gorącą krew kobiet, których nie dało się w żaden sposób powiązać z Alexandrem Dreyerem.

– Zabójstwo, w którym brak oczywistego motywu, a sprawca nie miał wcześniej żadnego kontaktu z ofiarami, to najtrudniejsze sprawy do wykrycia – wyrecytował Oleg, a Jesus pokiwał głową. Harry uświadomił sobie, że to cytat z jego własnego wykładu.

– Mhm. Dla Valentina ważne było niemieszanie jego nowej tożsamości do sprawy. Dzięki nowej twarzy i właśnie nowemu nazwisku mógł znów zacząć poruszać się wśród ludzi, zarazem się nie ujawniając. Odkrycie, że za zabójstwami stoi Valentin Gjertsen, martwiło go mniej. W końcu nie oparł się pokusie i zasygnalizował nam, że to właśnie on odpowiada za zbrodnię.

– Nam – rzucił Oleg. – Czy raczej tobie?

Harry wzruszył ramionami.

– W każdym razie te podpowiedzi nie doprowadziły nas bliżej do człowieka, którego poszukiwaliśmy przez wszystkie te lata. Mógł bez przeszkód realizować scenariusz Hella i zabijać. Był przy tym całkiem bezpieczny, bo dzięki dorobionym przez Hella kluczom swobodnie wchodził do mieszkań ofiar.

– Idealna symbioza – orzekł Oleg.

– Jak hieny i sępa – szepnął Jesus. – Sęp wskazuje hienie drogę, krążąc nad rannym zwierzęciem, a hiena je uśmierca. Pożywienie dla jednego i drugiego.

– Czyli tak: Valentin zabija Elise Hermansen, Ewę Dolmen i Penelope Rasch – podsumował Oleg. – Ale co z Marte Ruud? Czy Lenny Hell ją znał?

– Nie, to własna inicjatywa Valentina. Skierowana przeciwko mnie. Przeczytał w gazecie, że nazwałem go nieszczęsnym zboczeńcem, dlatego zemścił się na kimś z mojego kręgu.

– Tylko dlatego, że nazwałeś go zboczeńcem? – Jesus się skrzywił.

– Narcyz uwielbia być kochany – wyjaśnił Harry. – Albo nienawidzony. W lęku innych znajduje potwierdzenie własnej mocy i na tej podstawie buduje pewność siebie. Upokarza go natomiast niedostrzeżenie lub bagatelizowanie.

– To samo przecież się stało, kiedy Smith uraził Valentina w tym podcaście – przypomniał Oleg. – Zadziałało to na Valentina jak płachta na byka, pojechał prosto do gospodarstwa Smitha, żeby go zabić. Sądziś, że popadł w psychozę? Tak długo przecież nad sobą panował. Te pierwsze zabójstwa zostały zaplanowane i zrealizowane na zimno. Natomiast Smith i Marte Ruud to reakcje spontaniczne.

– Możliwe – zgodził się Harry. – Ale może za bardzo uwierzył w siebie. Często tak się dzieje z seryjnymi zabójcami po udanych pierwszych zbrodniach. Zaczyna im się wydawać, że mogą chodzić po wodzie.

– Ale dlaczego Lenny Hell popełnił samobójstwo? – spytał Jesus.

– No właśnie – powiedział Harry. – Jakieś sugestie?

– Czy to nie oczywiste? Lenny zaplanował zabójstwa kobiet, które go odrzuciły, a więc zasłużyły na śmierć. Tymczasem miał na rękach również krew Marte Ruud i Mehmeta Kalaka. Niewinnych osób, które nie miały z nim nic wspólnego. Przebudziło się w nim sumienie. Nie potrafił dalej żyć z tym, do czego doprowadził – oświadczył Oleg.

– Nie zgadzam się – zaprotestował Jesus. – Lenny od samego początku planował samobójstwo, kiedy już będzie po wszystkim. Zamierzał zabić tylko te trzy kobiety: Elise, Ewę i Penelope.

– W to akurat wątpię – stwierdził Harry. – Miał więcej nazwisk kobiet w swoich notatkach i więcej kluczy.

– No dobrze, a jeśli nie zabił się sam? – zasugerował Oleg. – Jeśli to zrobił Valentin? Pokłócili się o Mehmeta i Marte. Lenny uważał, że to niewinne ofiary. Może chciał się zgłosić na policję, a Valentin to odkrył?

– Albo może Valentinowi po prostu znudził się Lenny – podsunął Jesus. – Przecież zdarza się, że hiena rzuca się na sępa, jeżeli staje się zbyt natrętny.

– Na aparacie ubojowym są jedynie odciski palców Lenny’ego Hella – powiedział Harry. – Oczywiście możliwe, że to Valentin zabił Lenny’ego i upozorował samobójstwo, ale po co miałby sobie zawracać tym głowę? Policja i tak zebrała dość dowodów przeciwko niemu za inne zabójstwa, żeby go zapuszkować na resztę życia. Poza tym gdyby Valentinowi chodziło o zacieranie własnych śladów, nie zostawiłby w piwnicy zwłok Marte Ruud ani na drugim piętrze komputera i dokumentów potwierdzających jego współpracę z Hellem.

– Okej – powiedział Jesus. – Zgadzam się z pierwszą teorią Olega. Do Lenny’ego Hella dotarło, do czego doprowadził, i uznał, że nie może już dłużej z tym żyć.

– Nigdy nie wolno nie doceniać pierwszego pomysłu, jaki wpadnie nam do głowy – pouczył chłopców Harry. – Z reguły opiera się on na większej ilości informacji, niż to sobie uświadamiamy. To, co proste, często bywa słuszne.

– Ale jednej rzeczy ciągle nie rozumiem – wyznał Oleg. – Lenny i Valentin nie chcieli być widziani razem, no dobrze. Ale po co taki skomplikowany sposób przekazywania kluczy? Nie mogli się po prostu spotykać u któregoś z nich w domu?

Harry pokręcił głową.

– Lenny’emu zależało na ukryciu swojej tożsamości przed Valentinem, bo przecież ryzyko, że Valentin zostanie aresztowany, mimo wszystko było całkiem spore.

Jesus przytaknął.

– Bał się, że Valentin, licząc na złagodzenie wyroku, doprowadzi policję do niego.

– A Valentin zdecydowanie nie chciał ujawniać Lenny’emu, gdzie mieszka – dodał Harry. – Udawało mu się ukrywać tak długo właśnie dlatego, że bardzo się pilnował pod tym względem.

– Czyli sprawa jest wyjaśniona i nie ma żadnych luźnych wątków – podsumował Oleg. – Hell popełnił samobójstwo, a Valentin porwał Marte Ruud. Ale czy macie dowody, że to on ją zabił?

– Wydział Zabójstw uważa, że tak.

– Bo?

– Bo U Schrødera znaleziono DNA Valentina, a krew Marte w bagażniku jego samochodu. Znaleziono też kulę, którą strzelono jej w brzuch. Wbiła się w ścianę piwnicy u Hella, a jej usytuowanie pokazuje, że Marte zastrzelono, zanim została powieszona. Kula pochodziła z tego samego rugera redhawka, który miał przy sobie Valentin, kiedy przyszedł zabić Smitha.

– Ale ty się z tym nie zgadzasz – zauważył Oleg.

Harry uniósł brew.

– Nie?

– Kiedy mówisz: „Wydział Zabójstw uważa”, to oznacza, że sam myślisz inaczej.

– Mhm.

– No więc co myślisz? – dopytywał się Oleg.

Harry potarł twarz ręką.

– Myślę, że to nie jest takie ważne, kto jej zadał ten miłosierny cios, bo w tym wypadku właśnie tak to należy nazwać. To był akt miłosierdzia. Na materacu w klatce znaleziono pełno DNA, krew, pot, spermę, wymiociny. Część pochodziła od niej samej, a część od Lenny’ego Hella.

– Dżizas – jęknął Jesus. – Chcesz powiedzieć, że Hell też ją wykorzystywał?

– Nie musiał być w tym osamotniony.

– Był ktoś jeszcze oprócz Valentina i Hella?

– Na schodach do piwnicy jest rura doprowadzająca wodę. Jeśli się o niej nie wie, nie można nie uderzyć o nią głową. Dlatego poprosiłem Bjørna Holma, szefa

naszych techników, żeby przesłał nam listę wszystkich, którzy zostawili swoje DNA na tej rurze. Najstarsze ślady przepadły, ale Bjørn i tak znalazł siedem różnych profili. Jak zawsze pobrane zostały próbki od osób pracujących w miejscu zdarzenia. Na rurze stwierdzono obecność DNA miejscowego lensmana, jego asystenta, Bjørna, Smitha, moje i jeszcze jednego technika, którego też nie zdążyliśmy ostrzec przed tą pułapką. Ale siódmego profilu nie udało nam się zidentyfikować.

– Czyli to nie był Valentin Gjertsen ani Lenny Hell?

– Nie. Wiemy tylko, że to mężczyzna i że nie jest spokrewniony z Lennym Hellem.

– To mógł być ktoś, kto tam przyszedł w jakiejś sprawie – zauważył Oleg. – Na przykład elektryk, hydraulik czy ktoś taki.

– Pewnie – zgodził się Harry. Jego wzrok padł na leżącą przed nim gazetę. „Dagbladet” zamieściła wywiad z Bellmanem w związku z planowanym wkrótce objęciem przez niego stanowiska ministra sprawiedliwości. Jeszcze raz przeczytał wytłuszczony tekst. *Szczególnie się cieszę, że upór policji i niestrudzone poszukiwania doprowadziły do odnalezienia Marte Ruud. Zasłużyli na to zarówno jej bliscy, jak i policja. Łatwiej mi teraz opuszczać stanowisko komendanta okręgowego.*

– Muszę już lecieć, chłopcy.

We trzech wyszli z budynku szkoły policyjnej i już mieli się rozstać przy Chateau Neuf, siedzibie Stowarzyszenia Studentów, kiedy Harry przypomniał sobie o zaproszeniu.

– Hallstein skończył pisać swoją pracę doktorską o wampiryzmie i w piątek będzie jej bronił. Jesteśmy zaproszeni.

– Co to znaczy, że będzie jej bronił?

– To taki ustny egzamin w obecności wystrojonych krewnych i przyjaciół na sali – wyjaśnił mu Jesus. – Lepiej się wtedy nie wygłupić.

– Mama i ja się wybieramy – powiedział Harry. – Nie wiem, czy chcesz iść z nami i czy masz czas. Stałe będzie zresztą jednym z egzaminatorów.

– Ojej! – zafrasował się Oleg. – Mam nadzieję, że to nie bardzo rano, bo w piątek mam wyznaczoną wizytę w Ullevål.

Harry zmarszczył czoło.

– W jakiej sprawie?

– Nic poważnego, Steffens chce mi tylko znowu pobrać krew. Prowadzi jakieś badania nad rzadką chorobą krwi, która się nazywa mastocytoza układowa, a jeśli mama właśnie na to zachorowała, to jej krew zdołała się wyleczyć sama.

– Mastocytoza?

– Wada genetyczna, która się nazywa mutacja c-kit i nie jest dziedziczna. Ale Steffens ma nadzieję na dziedziczność tego składnika krwi, który być może pozwala zwalczyć chorobę. Chce wziąć próbkę ode mnie i porównać z krwią mamy.

– Aha. To jest to powiązanie genetyczne, o którym mówiła twoja matka.

– Steffens ciągle wierzy, że to było zwykłe zatrucie, a teraz strzela w ciemno, ale twierdzi, że większość ważnych odkryć to właśnie strzały w ciemno.

– Może mieć rację. Tę obronę wyznaczono na drugą. Potem jest przyjęcie, na które wy możecie iść, chociaż ja raczej się urwę.

– Na pewno. – Oleg się uśmiechnął i zwrócił do Jesusa: – Widzisz, Harry nie lubi ludzi.

– Lubię ludzi – zaprotestował Harry. – Tylko nie lubię z nimi przebywać. Zwłaszcza kiedy jest ich dużo naraz. – Znów spojrzął na zegarek. – À propos.

* * *

– *Sorry*, że się spóźniłem, ale miałem prywatny wykład. – Harry wsunął się za ladę.

Øystein jęknął, jednocześnie stawiając na kontuarze dwie świeżo nalane półlitrowe szklanki piwa tak zamasyżycie, że piana się wychlapała.

– Harry, musimy mieć więcej ludzi.

Harry, mrużąc oczy, powiódł wzrokiem po tłumie wypełniającym lokal.

– Wydaje mi się, że i tak jest za dużo.

– Miałem na myśli tę stronę baru, kapuściany łbie.

– Kapuściany łeb żartował. Znasz kogoś, kto ma dobry gust muzyczny?

– Drewniaka.

– I kto nie jest autystykiem?

– Nie znam. – Øystein nalał następne piwo i dał znak Harry'emu, żeby zajął się płatnością.

– No dobrze, pomyślimy. Hallstein był? – Harry wskazał na czapkę St. Pauli naciągniętą na półlitrową szklankę obok proporczyka Galatasaray.

– Tak, dziękował, że mu pożyczyłeś. Przeprowadził kilku zagranicznych dziennikarzy, żeby pokazać im miejsce, w którym to wszystko się zaczęło. Pojutrze ma coś tam z doktorem.

– Obronę doktoratu. – Harry oddał klientowi kartę kredytową i podziękował.

– No tak. Podszedł do nich zresztą facet, którego Smith przedstawił reszcie jako kolegę z Wydziału Zabójstw.

– Tak? – Harry przyjął następne zamówienie od chłopaka z hipsterską brodą, w koszulce z Cage the Elephant. – A jak wyglądał?

- Miał zęby. – Øystein wskazał na rząd własnych, zbrązowiałych.
- Chyba to nie był Truls Berntsen?
- Nie wiem, jak się nazywa, ale widziałem go tu kilka razy. Przychodzi sam, na ogół siada w tamtym boksie.
- Na pewno Truls Berntsen.
- Dziewczyny się wokół niego kłębią.
- To nie Truls Berntsen.
- A mimo to wraca do domu sam. Podejrzany typ.
- Dlatego że nie wychodzi z dziewczyną?
- A ty masz zaufanie do kogoś, kto odmawia darmowego dymania?

Hipster z brodą uniósł brew. Harry wzruszył ramionami, postawił przed nim piwo, podszedł do półki przy lustrze i włożył czapkę St. Pauli. Już miał się odwrócić, gdy nagle zamarł. Zapatrzył się w swoje odbicie, w trupa czaszkę na czole.

- Harry?
- Mhm.
- Możesz mi trochę pomóc? Dwa razy mojito ze sprite'em light.

Harry wolno kiwnął głową. W końcu zerwał czapkę z głowy, obszedł bar i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę drzwi.

- Harry!
- Dzwon do Drewniaka!

– Słucham.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno. Sądziłem, że Instytut Medycyny Sądowej już nie pracuje o tej porze.

– Niby nie pracuje, ale kiedy jest się zatrudnionym w miejscu, w którym systematycznie brakuje ludzi... Poza tym dzwonisz pod numer wewnętrzny przeznaczony tylko dla policji.

– Tak, mówi Harry Hole, komisarz z...

– Poznałam, że to ty, Harry. Tu Paula. A ty już nie jesteś żadnym komisarzem.

– Aha, to ty. No cóż, zajmuję się sprawą wampirysty i dlatego dzwonię. Chciałbym tylko, żebyś sprawdziła te trafienia z próbek pobranych z rury w piwnicy.

– Nie ja się tym zajmowałam, ale zaraz sprawdzę. Pamiętaj jednak, że w tej sprawie oprócz Valentina Gjertseny nie mam żadnych nazwisk przy profilach DNA, tylko same numery.

– W porządku. Mam przed sobą nazwiska i numery ze wszystkich miejsc

zdarzenia, więc po prostu podaj mi dane.

Harry skreślał, w miarę jak Paula odczytywała numery określonych profili. Lensman, jego asystent, Hole, Smith, Holm i jego technik. No i ta siódma osoba.

– Tu ciągle nie macie żadnego trafienia? – spytał Harry.

– Nie.

– A co z resztą domu Hella? Znalezione jakiś materiał DNA pasujący do profilu Valentina?

– Zaraz zobaczymy... Nie, raczej na to nie wygląda.

– Nic na materacu, nic na zwłokach, nic, co by się wiązało...

– Kompletnie nic.

– Okej, Paula, dzięki.

– Co do powiązań... Wiesz już, o co chodziło z tym włosom?

– Z włosom?

– Tak, jesienią. Sierżant Wyller przyszedł do mnie z włosom i powiedział, że chcesz, żebym go przeanalizowała. Pewnie uznał, że nadamy sprawie priorytet, jeśli wspomni twoje nazwisko.

– I tak się zapewne stało.

– Oczywiście, Harry. Wiesz, że wszystkie dziewczyny tutaj mają do ciebie słabość.

– Czy nie tak się komplementuje bardzo starych mężczyzn?

– Takie rzeczy się dzieją, kiedy człowiek się żeni, Harry – roześmiała się Paula. – Kastracja z wyboru.

– Mhm. Znalazłem ten włos na podłodze w Szpitalu Ullevål, kiedy żona tam leżała. Ale to był ewidentnie atak paranoi.

– Aha. Doszłam do wniosku, że to nie takie ważne. Zresztą Wyller mówił, że mam sobie dać z tym spokój. A co, bałeś się, że żona ma kochankę?

– W zasadzie nie. Przynajmniej aż do tej chwili, kiedy podsunęłaś mi taki pomysł.

– Wy, mężczyźni, jesteście strasznie naiwni.

– Dzięki temu w ogóle udaje nam się przeżyć.

– Właśnie że wam się nie udaje. Przejmujemy planetę, nie zauważyłeś?

– Owszem, pracujecie w środku nocy, to rzeczywiście budzi podejrzenia.

Dobranoc, Paula.

– Dobranoc.

– Chwileczkę, Paula! Z czym spokój?

– Słucham?

– Z czym Wyller kazał dać sobie spokój?

– Z powiązaniem.

- Między czym?
- Między tym włosem a jednym z profili DNA w sprawie wampirysty.
- Tak? O kogo chodzi?
- Skąd mogę wiedzieć? Mówiłam ci już, że mamy tylko numery. Nie wiemy nawet, czy to numery podejrzanych, czy policjantów pracujących w miejscu zdarzenia.

Harry długo się nie odzywał, ale w końcu spytał:

- Masz ten numer?

* * *

- Dobry wieczór – odezwał się starszy kierowca karetki, wchodząc do pokoju socjalnego przy izbie przyjęć.

- Dobry wieczór, Hansen – odpowiedziała mu jedyna obecna w pokoju osoba, nalewająca sobie kawy do filiżanki.

- Przed chwilą dzwonił ten twój kumpel z policji.

Ordynator John Doyle Steffens odwrócił się z lekko uniesioną brwią.

- Ja mam kumpli w policji?

- W każdym razie na ciebie się powoływał. Niejaki Harry Hole.

- Czego chciał?

- Przystał nam zdjęcie kałuży krwi i poprosił, żebyśmy oszacowali, ile tego może być. Twierdził, że raz już tak zrobiłeś, oglądając zdjęcie z miejsca zdarzenia. I doszedł do wniosku, że my, tak często bywający w miejscach wypadków, też to potrafimy. Musiałem go rozczarować.

- Interesujące – powiedział Steffens i zdjął z ramienia włos. Wzmoczonego wypadania włosów nie traktował jako oznaki wędnięcia, przeciwnie, uważał, że kwitnie, że organizm się mobilizuje, pozbywając się wszystkiego, co nie jest mu potrzebne. – Dlaczego nie zwrócił się z tym bezpośrednio do mnie?

- Pewnie nawet mu przez myśl nie przeszło, że ordynator jest w robocie w środku nocy, a chyba mu się spieszyło.

- Aha. Mówił, po co mu to?

- Do czegoś, nad czym pracuje.

- Masz to zdjęcie?

- Tutaj.

Kierowca wyjął telefon komórkowy i pokazał ordynatorowi MMS-a.

Steffens przyjrzał się zdjęciu kałuży krwi na drewnianej podłodze. Obok położono linijkę.

– Półtora litra – oświadczył. – Z dużą dokładnością. Możesz do niego oddzwonić i mu to przekazać. – Wypił łyżeczek kawy. – Nauczyciel, który pracuje w środku nocy. Do czego to doszło?

– To samo można powiedzieć o tobie, Steffens. – Hansen się roześmiał.

– Co takiego? – Lekarz zrobił kierowcy miejsce przy ekspresie do kawy.

– Co drugą noc, Steffens. Co ty właściwie tutaj robisz?

– Przyjmuję ciężko rannych pacjentów.

– Wiem, ale dlaczego? Masz cały etat jako ordynator na hematologii, a mimo to bierzesz dodatkowe dyżury w izbie przyjęć. To nie jest zbyt normalne.

– A kto pragnie normalności? Człowiek chyba chce przebywać tam, gdzie najbardziej może się do czegoś przydać, prawda?

– Nie masz rodziny, która chciałaby cię częściej widzieć w domu?

– Nie. Ale mam kolegów z rodzinami, które chcą, żeby ich nie było w domu.

– He, he. Ale obrączkę, jak widzę, masz.

– A ja widzę, że masz krew na rękawie, Hansen. Przywiozłeś kogoś, kto krwawi?

– Tak. Rozwiodłeś się?

– Owdowiałem. – Steffens wypił jeszcze łyk. – Ten pacjent to kobieta czy mężczyzna? Młody? Stary?

– Kobieta, ze trzydzieści lat. A co?

– Tak tylko pytam. Gdzie jest teraz?

– Słucham – szepnął Bjørn Holm.

– Tu Harry. Śpisz już?

– A jak myślisz? Jest druga w nocy.

– Po Valentinie na podłodze w gabinecie zostało mniej więcej półtora litra krwi.

– Co?

– To prosta matematyka. On za dużo ważył.

Harry usłyszał trzeszczenie łóżka i szelest pościeli przy telefonie. Dopiero po chwili rozległ się szepot Bjørna.

– O czym ty mówisz?

– To widać na wadze na zdjęciach z monitoringu, kiedy Valentin stamtąd wychodzi. Waży tylko o półtora kilo mniej, niż kiedy przyszedł.

– Półtora litra krwi waży półtora kilo, Harry.

– Wiem. I tak brakuje nam dowodów. Jak będziemy je mieli, to ci wytłumaczę. I nie wolno ci o tym wspomnieć żywej duszy, słyszysz? Nawet tej, która leży obok ciebie.

– Ona śpi.

- Słyszę.
- Bjørn zaśmiał się cicho.
- Chrapie za dwoje.
- Możemy punkt ósma spotkać się jutro w Kotłowni?
- Dobrze. Smith i Wyller też przyjdą?
- Ze Smithem spotkamy się na obronie w piątek.
- A Wyller?
- Tylko ty i ja, Bjørn. I chcę, żebyś tam przyniósł komputer Hella i rewolwer Valentina.

38 CZWARTEK, RANO

- Ranny z ciebie ptaszek, Bjørn – stwierdził starszy wiekiem funkcjonariusz za kontuarem magazynu z dowodami rzeczowymi.
 - Dzień dobry, Jens. Chciałbym wziąć coś ze sprawy wampirysty.
 - No tak, znów zrobiła się aktualna. Byli wczoraj po rzeczy z Wydziału Zabójstw. Z tego, co pamiętam, ta skrzynka stoi na półce G. Ale zobaczmy, co nam o tym mówi to diabelstwo... – Postukał w klawiaturę tak, jakby klawisze były rozpalone do czerwoności, i powiódł wzrokiem po ekranie. – Zaraz, zaraz. Diabelstwo znów się zawiesiło... – Spojrzał na Bjørna z rezygnacją pomieszaną z bezradnością. – Nie powiesz, że nie było lepiej, kiedy mogliśmy po prostu zajrzeć do segregatora i znaleźć dokładnie...
 - Kto z Wydziału Zabójstw tu był? – spytał Bjørn Holm, starając się ukryć zniecierpliwienie.
 - Jak on się nazywa? Ten z zębami.
 - Truls Berntsen?
 - Nie, nie, ten z ładnymi zębami. Ten nowy.
- Anders Wyller – powiedział Bjørn.
 - Mhm. – Harry odchylił się na krześle pod ścianą Kotłowni. – Pokwitował pobranie redhawka należącego do Valentina?
 - Plus żelaznej szczęki i kajdanek.
 - I Jens nie mówił, po co Wyllerowi to wszystko?
 - Nie wiedział. Próbowałem dzwonić do Wyllera do wydziału, ale powiedzieli, że wziął dzisiaj dzień wolny, bo odbiera sobie nadgodziny. No to spróbowałem na komórkę.

– I?

– Nie odebrał. Może spał. Ale mogę spróbować jeszcze raz.

– Nie – powiedział Harry.

– Nie?

Harry przymknął oczy.

– W końcu wszystkich nas przechytrzą – szepnął.

– Co?

– Nic. Jedziemy obudzić Wyllera. Zadzwońisz do wydziału i dowiesz się, gdzie mieszka?

Pół minuty później Bjørn odłożył słuchawkę stacjonarnego telefonu i z przesadnie wyraźną dykcją podał adres.

– Żartujesz sobie – stwierdził Harry.

Volvo amazon Bjørna Holma skręciło w cichą uliczkę i potoczyło się między zaspami, wśród których przykryte śniegiem samochody wyglądały, jakby spały w gaurze.

– To tutaj. – Harry nachylił się i spojrział w górę trzypiętrowej fasady. Na jasnyniebieskiej ścianie między pierwszym a drugim piętrzem ktoś wymalował graffiti.

– Sofies gate pięć – powiedział Bjørn. – Trochę daleko od Holmenkollen.

– To było inne życie – odparł Harry. – Zaczekaj w samochodzie.

Wysiadł, wszedł po dwóch stopniach i przyjrzał się dzwonom. Sporo nazwisk się zmieniło. Nazwisko Wyllera widniało niżej niż kiedyś jego własne. Nacisnął dzwonek. Czekał. Nacisnął jeszcze raz. Nic. Już miał zadzwonić po raz trzeci, ale drzwi się otworzyły i wyszła z nich pospiesznym krokiem młoda kobieta. Harry je przytrzymał, zanim się zatrzasnęły. Wszedł.

Na klatce schodowej było czuć tak samo jak dawniej – mieszanką norweskiego i pakistańskiego jedzenia z nutą słodkawego odoru wydobywającego się z mieszkania starej pani Sennheim na parterze. Harry nasłuchiwał. Cisza. W końcu na palcach ruszył po schodach, odruchowo unikając szóstego stopnia, który trzeszczał.

Zatrzymał się przed drzwiami na pierwszym piętrze.

Za mlecznej szyby nie wydobywało się żadne światło.

Zapukał. Czekał. Przyjrzał się zamkowi. Wiedział, że niewiele trzeba, żeby się tu włamać. Wystarczy karta ze sztywnego plastiku i mocne pchnięcie. Wyobraził to sobie. Bycie intruzem. I poczuł, że serce bije mu mocniej, a szybka w drzwiach zaczyna parować od przyspieszonego oddechu. To drżące napięcie. Czy to samo czuł

Valentin przed wejściem do mieszkań swoich ofiar?

Zapukał jeszcze raz. Odczekał, poddał się i odwrócił. W tej samej chwili zza drzwi dobiegł odgłos kroków. Odwrócił się więc ponownie i za szybą dostrzegł cień. Drzwi się otworzyły.

Anders Wyller był ubrany w dżinsy, ale tors miał nagi. I był nieogolony, mimo to nie wyglądał na osobę wyrwaną ze snu. Przeciwnie, źrenice miał czarne, powiększone, a czoło wilgotne od potu. Harry dostrzegł też u niego na ramieniu coś, co wyglądało jak rana. W każdym razie była tam krew.

– Cześć, Harry – przywitał go Wyller. – Co tu robisz? – Głos brzmiał inaczej niż tamten jasny, chłopięcy, który Harry dobrze znał. – I jak tu wszedłeś?

Harry chrząknął.

– Potrzebny nam numer seryjny rewolweru Valentina. Zadzwoiłem domofonem.

– No i?

– Nie otwierałeś. Pomyślałem, że śpisz, więc postarałem się wejść do środka. Mieszkałem kiedyś w tej kamienicy, piętro wyżej. I wiem, że dzwonek czasami słabo działa.

– Tak. – Wyller przeciągnął się, ziewając.

– No to jak? Masz go?

– Co mam?

– Redhawka. Rewolwer.

– A, rewolwer. Mam. Numer seryjny? Zaczekaj, zaraz ci go przyniosę.

Wyller przytknął drzwi i Harry tylko przez szybką widział go idącego w głąb przedpokoju. Ponieważ wszystkie mieszkania w tym domu miały taki sam rozkład, wiedział, że w głębi znajduje się sypialnia. Sylwetka Wyllera znów się pojawiła, kierując się w stronę drzwi wejściowych, ale skręciła w lewo, do dużego pokoju.

Harry pchnął drzwi. Wszedł do środka. Wyczuł lekko perfumowany zapach i zobaczył, że drzwi do sypialni są zamknięte. A więc Wyller poszedł tam, żeby je zamknąć. Harry odruchowo rozejrzał się po przedpokoju, sprawdzając, czy nie ma tu ubrania albo butów, które by mu coś powiedziały, ale niczego takiego nie zauważył. Popatrzył w stronę sypialni, nasłuchując. A potem zrobił trzy bezszelestne kroki i już stanął w pokoju. Anders Wyller go nie usłyszał, klęczał przy niskim stole, obrócony do Harry'ego plecami, i pisał coś w notatniku. Obok notatnika stał talerz z kawałkiem pizzy. Pepperoni. Leżał też wielki rewolwer z czerwoną rękojeścią. Nigdzie nie było widać kajdanek ani żelaznych zębów.

W kącie pokoju stała pusta klatka, taka, w jakiej ludzie trzymają króliki. Chociaż, chwileczkę. Harry przypomniał sobie odprawę, podczas której Skarre przyciskał Wyllera na temat tego przecieku do „VG”, a chłopak odparł, że powiedział

dziennikarce jedynie, że ma kota. Ale gdzie był ten kot? I czy kota trzyma się w klatce? Wzrok Harry'ego powędrował dalej, do krótszej ściany, przy której stał wąski regał z paroma podręcznikami ze szkoły policyjnej, takimi jak *Metody prowadzenia śledztwa* Bjerksnesa i Hoff Johansen. Ale również kilka, których nie było na liście lektur obowiązkowych, na przykład *Sexual Homicide – Patterns and Motives* Resslera, Burgess i Douglasa, książka o seryjnych zabójstwach, na którą Harry powoływał się podczas wykładów, ponieważ zawierała informacje o niedawno opracowanym przez FBI programie VICAP. Harry dalej oglądał regał. Spojrzał na zdjęcia, chyba rodzinne – dwoje dorosłych i Anders Wyller jako dziecko. Książki na półce poniżej: *Haematology at a Glance* Atula B. Mehty i A. Victora Hoffbranda. I *Podstawy hematologii* Johna D. Steffensa. Młody człowiek interesujący się chorobami krwi. Czemu nie? Harry podszedł bliżej i przyjrzał się rodzinnemu zdjęciu. Chłopiec miał wesołą minę, rodzice mniej.

– Dlaczego wzięłeś z magazynu rzeczy Valentina? – spytał Harry i zobaczył, że plecy Wyllera sztywnieją. – Katrine o to nie prosiła. Materiały dowodowe to nie jest coś, co zabiera się do domu, nawet te dotyczące już wyjaśnionych spraw.

Wyller się odwrócił, ale jego wzrok odruchowo powędrował w prawo. W kierunku sypialni.

– Jestem śledczym z Wydziału Zabójstw, a ty wykładowcą w Wyższej Szkole Policyjnej, Harry, więc w zasadzie to ja powinienem spytać, po co ci ten numer.

Harry zrozumiał, że nie doczeka się odpowiedzi.

– Nie sprawdzono na podstawie numeru seryjnego, kto był pierwotnym właścicielem tego rewolweru. Nie był nim Valentin. On nie miał pozwolenia na broń, mówiąc delikatnie.

– A czy to ważne?

– Uważasz, że nie?

Wyller wzruszył nagimi ramionami.

– Według naszej wiedzy z tego rewolweru nikogo nie zabito. Nawet Marte Ruud. Sekcja wykazała, że już nie żyła, kiedy do niej strzelono. Mamy dane balistyczne, nie pasują do żadnej ze spraw kryminalnych w naszej bazie danych. Więc nie, nie uważam, żeby sprawdzenie numeru seryjnego było takie ważne, skoro tyle innych rzeczy krzykiem domaga się sprawdzenia w pierwszej kolejności.

– Aha. Wobec tego można wykorzystać wykładowcę do sprawdzenia, dokąd zaprowadzi nas ten numer seryjny?

– Ależ oczywiście. – Wyller wyrwał kartkę z notesu i podał ją Harry'emu.

– Dziękuję. – Harry spojrzał na krwawy ślad na jego ramieniu.

Wyller odprowadził go do drzwi, a kiedy Harry odwrócił się już za progiem,

zobaczył, że chłopak rozrasta się wszerek, tak jak mniej lub bardziej świadomie robią to ochroniarze.

– Spytam jeszcze z czystej ciekawości – odezwał się Harry. – O tę klatkę w salonie. Co w niej trzymasz?

Wyller zamrugał kilka razy.

– Nic – odparł i cicho zamknął drzwi.

– Zastałeś go? – spytał Bjørn, ruszając.

– Tak – powiedział Harry i podał mu kartkę z notesu. – Tu masz numer seryjny. Ruger jest amerykański, więc może sprawdzić w ATF?

– Chyba nie przypuszczasz, że uda im się wytropić ten rewolwer?

– Dlaczego nie?

– Dlatego że Amerykanie dość lekko podchodzą do rejestracji osób kupujących broń palną. Zresztą w Stanach jest ponad trzysta milionów sztuk broni, czyli więcej niż ludzi.

– Przeróżające.

– Przeróżające jest to – Bjørn docisnął pedał gazu, wprowadzając samochód w kontrolowany poślizg, kiedy skręcali w stronę Pilestredet – że nawet ci, którzy nie są kryminalistami i twierdzą, że mają pistolety wyłącznie do obrony, wykorzystują je do strzelania do niewłaściwych ludzi. W „Los Angeles Times” napisali, że w dwa tysiące dwunastym roku posiadacze broni w Stanach dwa razy częściej zabijali ludzi w wyniku zwykłych wypadków niż w obronie własnej. I prawie czterdzieści razy tyle osób strzeliło do siebie. A to są dane jeszcze przed ujęciem statystyk zabójstw.

– Czytujesz „Los Angeles Times”?

– Czytałem głównie to, co Robert Hilburn pisał tam o muzyce. Znasz jego biografię Johnny’ego Casha?

– Nie. Hilburn to ten, który opisywał tournée Sex Pistols w Stanach?

– No.

Zatrzymali się na czerwonym świetle przed Blitzem, niegdyś głównym przyczółkiem punka w Norwegii, gdzie od czasu do czasu wciąż jeszcze trafiał się jeden czy drugi irokez. Bjørn Holm szeroko uśmiechnął się do Harry’ego. Był zadowolony. Zadowolony z tego, że zostanie ojcem, że sprawa wampirysty została rozwiązana, że może ślizgać się po jezdni samochodem z lat siedemdziesiątych i gadać o muzyce, która ma prawie tyle samo lat.

– Dobrze by było, gdybyś miał dla mnie odpowiedź do dwunastej, Bjørn.

– Jeśli się nie mylę, ATF ma siedzibę w Waszyngtonie, a tam jest teraz środek

nocy.

– Mają też biuro przy Europolu w Hadze, próbuj tam.

– Dobrze. Dowiedziałeś się, dlaczego Wyller zabrał te rzeczy z magazynu?

Harry wpatrywał się w światła.

– Nie. Masz komputer Lenny’ego Hella?

– Tord go ma. Powinien już czekać na nas w Kotłowni.

– To dobrze. – Harry zniecierpliwiony usiłował wzrokiem zakłóć czerwone światło, żeby prędzej zmieniło się na zielone.

– Harry?

– Słucham.

– Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że Valentin ewakuował się ze swojego mieszkania w wielkim pośpiechu, pewnie tuż przed przybyciem Katrine i Deltę? Jakby ktoś go w ostatniej chwili ostrzegł.

– Nie – skłamał Harry.

Światło zmieniło się na zielone.

Tord pokazywał i tłumaczył Harry’emu, a ekspres do kawy krztusił się i charczał.

– Tutaj są maile od Lenny’ego Hella do Valentina w dniach poprzedzających zabójstwa Elise, Ewy i Penelope.

E-maile były krótkie. Zawierały jedynie nazwisko ofiary, adres i datę. Datę zabójstwa. I wszystkie kończyły się tak samo:

Instrukcje i klucze czekają w umówionym miejscu. Instrukcje po przeczytaniu należy spalić.

– Niewiele to mówi – stwierdził Tord. – Ale dość.

– Mhm.

– O co chodzi?

– Dlaczego instrukcje trzeba spalić?

– Czy to nie jest oczywiste? Były w nich elementy, które mogły doprowadzić do Lenny’ego niepowołane osoby.

– Ale e-maili na własnym komputerze nie skasował. Ponieważ wiedział, że informatycy tacy jak ty i tak potrafią zrekonstruować korespondencję mailową?

Tord pokręcił głową.

– Teraz to wcale nie jest takie proste. Zwłaszcza gdy i odbiorca, i nadawca starannie wykasują maile.

– Lenny umiał je starannie usuwać, więc dlaczego tego nie zrobił?

Tord wzruszył ramionami.

– Może wiedział, że kiedy jego komputer trafi w nasze ręce, gra i tak będzie już skończona?

Harry z namysłem pokiwał głową.

– Może Lenny od samego początku wiedział, że pewnego dnia przegra tę wojnę, którą prowadził ze swojego bunkra, i wtedy przyjdzie czas na palnięcie sobie w łeb?

– Możliwe. – Tord spojrział na zegarek. – Coś jeszcze?

– Wiesz, co to jest stylometria?

– Tak. Rozpoznawanie stylu pisania. Zaczęto to badać po skandalu z Enronem. Upubliczniono kilkaset tysięcy maili, aby umożliwić ekspertom sprawdzenie, czy są w stanie zidentyfikować nadawcę. Trafność wyniosła od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent.

Po wyjściu Torda Harry wybrał numer do działu kryminalnego „VG”

– Mówi Harry Hole. Czy mogę rozmawiać z Moną Daa?

– *Long time*, Harry! – Rozpoznał głos jednego ze starszych dziennikarzy. – Na pewno bym ci pozwolił, ale Mona zniknęła kilka dni temu.

– Zniknęła?

– Dostaliśmy SMS-a, że bierze sobie kilka dni wolnych za nadgodziny i będzie miała wyłączony telefon. To na pewno rozsądne, dziewczyna przez ostatni rok harowała jak wół, ale naczelny trochę się wkurzył, bo o nic nie spytała, przysłała tych kilka linijek i zniknęła. Ach, ta dzisiejsza młodzież, co nie, Harry? Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję – odparł Harry i się rozłączył. Przez chwilę wpatrywał się w telefon, po czym schował go do kieszeni.

* * *

Piętnaście po jedenastej Bjørn Holm miał już nazwisko osoby, która sprowadziła rugera redhawka do Norwegii. Był to marynarz z Farsund. A o wpół do dwunastej Harry rozmawiał z jego córką, która świetnie pamiętała redhawka, ponieważ w dzieciństwie upuściła ojcu na duży palec u nogi ten ważący ponad kilogram rewolwer. Nie potrafiła jednak powiedzieć, co się stało z bronią.

– Kiedy tata przeszedł na emeryturę, przeprowadził się do Oslo, żeby być bliżej nas, dzieci. U schyłku życia chorował i zachowywał się bardzo dziwnie, między innymi zaczął rozdawać rzeczy. Odkryliśmy to dopiero przy podziale spadku. Nigdy więcej nie widziałam tego rewolweru, więc mógł go komuś oddać.

- Ale nie wie pani komu?
 - Nie.
 - Mówiła pani, że chorował. Zakładam, że zmarł w wyniku tej choroby?
 - Nie, umarł na zapalenie płuc. Koniec był szybki i stosunkowo bezbolesny, na szczęście.
 - Aha. A jaka to była choroba i u kogo się leczył?
 - Widzi pan, domyślaliśmy się, że nie jest w pełni zdrowy, ale tata uważał się za wielkiego, silnego marynarza. Pewnie bardzo się wstydził swojej przypadłości, bo utrzymywał wszystko w tajemnicy, zarówno co mu dolega, jak i u kogo się leczy. Dopiero na pogrzebie dowiedziałam się tego od jego starego przyjaciela, któremu się zwierzył.
 - Czy ten przyjaciel wie, kto leczył pani ojca?
 - Raczej nie. Tata wspominał tylko o chorobie, bez wdawania się w szczegóły.
 - A co to była za choroba?
- Harry zanotował odpowiedź. I zapatrzył się w to słowo. Dość samotne greckie słowo wśród wszystkich łacińskich określeń w dziedzinie medycyny.
- Dziękuję – powiedział.

39 CZWARTEK, NOC

- Jestem pewien – oświadczył Harry w ciemności sypialni.
- A motyw? – Rakel przysunęła się do niego.
- *Otello*. Oleg miał rację. Tam nie chodzi o zazdrość, tylko przede wszystkim o ambicję.
- Ciągłe mówisz o *Otellu*? Jesteś pewien, że nie powinniśmy zamknąć okna? Na noc zapowiadali minus piętnaście.
- Nie.
- Nie jesteś pewien, czy trzeba zamknąć okno, ale masz pewność, kto był architektem tych zbrodni wampirysty?
- Tak.
- Brakuje ci tylko tej maleńkiej bagatelki, która nosi miano dowodu?
- Tak. – Harry przyciągnął Rakel do siebie. – Właśnie dlatego potrzebne mi jest przyznanie się do winy.
- No to poproś Katrine Bratt, żeby zorganizowała przesłuchanie.
- Mówiłem ci przecież, że Bellman nikomu nie pozwoli tknąć tej sprawy.

– No to co z tym zrobisz?

Harry wpatrywał się w sufit. Czuł ciepło jej ciała. Czy to wystarczy? Czy powinni zamknąć okno?

– Sam go przesłucham, a on nie będzie wiedział, że to przesłuchanie.

– Pozwól, że jako prawniczka przypomnę ci, że nieformalne przyznanie się do winy w cztery oczy będzie miało zerową wartość dowodową.

– Wobec tego musimy zatroszczyć się o to, żebyś nie tylko ja je usłyszał.

Ståle Aune obrócił się w łóżku i sięgnął po telefon. Zobaczył, kto dzwoni, i odebrał.

– Słucham.

– Myślałem, że śpisz – usłyszał chropowaty głos Harry'ego.

– A mimo to zadzwoniłeś?

– Musisz mi pomóc z jedną rzeczą.

– Ciągle „mi”, a nie „nam”?

– Ciągle ludzkości. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o *Zen i sztuce oporządzania motocykla*?

– Tak.

– Potrzebuję cię do zastawienia małpiej pułapki w trakcie obrony pracy doktorskiej Hallsteina.

– Ach tak? Ty, ja, Hallstein i kto jeszcze?

Aune usłyszał, że Harry głęboko nabiera powietrza.

– Lekarz.

– I jest to osoba, którą zdołałeś powiązać ze sprawą?

– W pewnym sensie.

Ståle poczuł, że unoszą mu się włoski na rękach.

– To znaczy?

– To znaczy, że w przypływie paranoi znalazłem w szpitalnym pokoju Rakel włos, który wysłałem do analizy. Nie było w tym nic dziwnego, bo włos należał właśnie do tego lekarza, ale okazało się, że profil DNA tego włosa wiąże go z miejscami zabójstw.

– Co?

– Istnieje też powiązanie między tym lekarzem a młodym policjantem, który przez cały czas był wśród nas.

– Co ty opowiadasz? Masz dowody, że lekarz i policjant są zamieszani w zabójstwa wampirysty?

– Nie – westchnął Harry.

– Nie? To wyjaśnij.

Kiedy Stałe dwadzieścia minut później odłożył telefon, zasłuchał się w ciszę panującą w domu. Spokój. Wszyscy spali, ale on wiedział, że już nie zaśnie.

40 PIĄTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Wenche Syvertsen patrzyła na park Frogner, drepcząc po symulatorze schodów. Jedna z przyjaciółek gorąco jej to odradzała, tłumacząc, że od tego powiększa się tyłek. Najwyraźniej nie rozumiała, o co chodzi – nie pojęła, że Wenche właśnie chce mieć większy tyłek. Na jednej ze stron internetowych Wenche przeczytała, że ćwiczenia zapewniają jedynie bardziej umięśnione pośladki, nie większe, tylko kształtniejsze, a po to, by je powiększyć, trzeba przejść kurację estrogenami, więcej jeść lub – najprościej – wstawić sobie implanty. To ostatnie wyjście Wenche jednak wykluczała, wyznawała bowiem zasadę całkowitej naturalności ciała i nigdy, przenigdy nie poddała się skalpelowi. Oprócz, rzecz jasna, poprawienia piersi, no ale to się nie liczyło. A była kobietą, która trzyma się swoich zasad. Dlatego też nigdy nie zdradziła pana Syvertsen, mimo zalewu propozycji, które dostawała, zwłaszcza w klubach fitness takich jak ten. Z reguły to młodzi mężczyźni uznawali ją za polującego kuguara, ale Wenche zawsze wolała bardziej dojrzałych. Może nie takich jak ten facet z pomarszczoną twarzą, który jechał obok niej na rowerze, ale na przykład takich jak sąsiad. Harry Hole. Harry był jednak niedostępny, tak się przynajmniej wydawało. A romanse z mężczyznami niedorównującymi jej intelektem ani dojrzałością po prostu przygnębiały. Potrzebowała takich, którzy potrafiliby ją stymulować, zabawić i utrzymać. To było takie proste. Nie miała powodu udawać, że jest inaczej. Z tym ostatnim pan Syvertsen świetnie sobie radził. Ale zrobił się niemądrze zazdrosny; tych kilka razy, kiedy przytapał ją na zdradzie, groził nawet, że ukróci jej przywileje i zmusi do zmiany stylu życia. Zdarzyło się to, zanim przyjęła tę swoją zasadę.

– Dlaczego taka piękna kobieta jak pani nie jest zamężna?

Słowa zabrzmiały chropowato, jakby wydobyły się z młynka. Wenche odwróciła się do starszego pana na rowerze. Uśmiechał się do niej. Twarz miał wąską, przeoraną głębokimi bruzdami, wargi duże, a długie włosy tłuste i grube. Szczupły, szeroki w barach. Trochę jak Mick Jagger. Z wyjątkiem czerwonej chustki na czole i wąsów jak u kierowcy tira.

Wenche odpowiedziała uśmiechem i uniosła lewą rękę.

– Jestem mężatką, ale zdejmuję obrączkę, kiedy zamierzam dźwigać ciężary.

– Szkoda. – Starszy pan się uśmiechnął. – Bo ja nie jestem żonaty i natychmiast zaproponowałbym pani za-zaręczyny.

On też podniósł rękę. Prawą. Wenche aż drgnęła. Przez moment wydało jej się, że źle widzi. Czy on naprawdę miał w dłoni wielką dziurę, i to na wylot?

– Oleg Fauke tu jest – rozległ się głos w interkomie.

– Proszę go do mnie przysłać. – John D. Steffens odsunął krzesło od biurka i wyjrzał przez okno na budynek Oddziału Medycyny Transfuzyjnej. Już wcześniej widział, jak młody Fauke wysiada z małego japońskiego samochodu, który ciągle stał na parkingu z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedział inny młody chłopak i pewnie miał ogrzewanie nastawione na full, dzień był bowiem iskrząco mroźny i słoneczny. Wiele osób uważa za paradoks fakt, że bezchmurne niebo w lipcu zapowiada upał, a w styczniu mróz, mało komu bowiem chce się zapoznać z najbardziej podstawowymi informacjami z fizyki, meteorologii i budowy świata. Steffensa już nie irytowało powszechne przekonanie, że mróz jest czymś, co istnieje, a nie po prostu brakiem ciepła. Chłód to rzecz naturalna i dominująca, ciepło jest wyjątkiem. Tak jak zabijanie i okrucieństwo są naturalne i logiczne, a miłosierdzie to anomalia, wynik skomplikowanego podporządkowania się konieczności zachowania gatunku u ludzi żyjących stadnie. Ponieważ miłosierdzie kończyło się na własnym gatunku. Właśnie bezgraniczna zdolność człowieka do okrucieństwa wobec innych gatunków umożliwiła mu przeżycie. Na przykład wzrost liczebności populacji musiał skutkować założeniem, że człowiek będzie nie tylko polował, lecz również produkował mięso. Już samo to określenie, produkcja mięsa, sam pomysł! Ludzie przetrzymują zwierzęta w niewoli, odbierają im wszelką radość życia, inseminują je, zmuszając do produkcji mleka i mięciutkiego mięsa niewyrośniętego potomstwa. Odbierają zwierzętom dzieci zaraz po narodzeniu, przy wtórze ryków zrozpaczonych matek, które prędko znów zapładniają. Ludzi oburza zjedanie pewnych gatunków – psów, wielorybów, delfinów, kotów. Ale z niepojętych przyczyn miłosierdzie na tym się kończy, o wiele inteligentniejsze świnie można upokarzać i zjadać. Dzieje się to już od tak dawna, że człowiek nawet się nie zastanawia nad wyrafinowanym okrucieństwem, jakie zakłada nowoczesna produkcja żywności. Pranie mózgów!

Steffens wpatrywał się w zamknięte drzwi, które wkrótce miały się otworzyć. Zastanawiał się, czy ludzie kiedykolwiek rozumieją, że moralność, przez niektórych uznawana za zesłaną przez Boga i wieczną, jest równie elastyczna i wyuczona, jak nasze ideały piękna, obraz wrogów i trendy mody. Raczej nie. Nie ma więc czemu się dziwić, że ludzkość nie chce zrozumieć i zaakceptować radykalnych projektów

badawczych, łamiących myślenie oparte na przyzwyczajeniach. Nie rozumie, że to logiczne i konieczne w tym samym stopniu, co okrutne.

Drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry, Oleg. Proszę, siadaj.

– Dziękuję. – Chłopak wziął sobie krzesło. – Zanim pan weźmie tę próbkę, chciałbym w zamian prosić o przysługę.

– W zamian? – Steffens wciągnął białe lateksowe rękawiczki. – Przecież wiesz, że moje badania mogą się przysłużyć tobie, twojej matce i wszystkim twoim potomnym.

– Wiem też, że badania są dla pana ważniejsze niż dla mnie trochę dłuższe życie.

Steffens się uśmiechnął.

– Mądre słowa jak na tak młodego człowieka.

– Chciałem spytać w imieniu mojego ojca, czy zechciałby pan poświęcić dwie godziny i wydać fachową opinię podczas obrony pracy doktorskiej pewnego znajomego. Harry bardzo by to sobie cenił.

– Na obronie pracy doktorskiej? Oczywiście, to będzie dla mnie zaszczyt.

– Problem w tym – chrząknął Oleg – że to się zaczyna już niedługo. Musimy jechać zaraz po pobraniu tej próbki.

– Teraz? – Steffens zajrzał do rozłożonego przed nim kalendarza. – Obawiam się, że mam dzisiaj spotkanie, które...

– Harry naprawdę bardzo by to sobie cenił.

Steffens spojrzał na chłopaka, w zamyśleniu pocierając brodę.

– Chcesz powiedzieć... twoja krew w zamian za mój czas?

– Mniej więcej – przyznał Oleg.

Steffens odchylił się na swoim biurowym krześle i złożył dłonie przy ustach.

– Wytłumacz mi jedną rzecz, Oleg. Skąd się bierze twój tak bliski związek z Harrym Hole? Przecież on nie jest nawet twoim biologicznym ojcem.

– Trudno powiedzieć.

– Odpowiedz mi na to i daj mi swoją krew, a pójdę na tę obronę.

Oleg zaczął się zastanawiać.

– Miałem ochotę powiedzieć, że to z powodu jego szczerości. I chociaż nie jest najlepszym ojcem na świecie czy kimś takim, mogę wierzyć w to, co mówi. Ale wydaje mi się, że wcale nie to jest najważniejsze.

– A co takiego?

– Że nienawidzimy tych samych zespołów.

– Słucham?

– Muzyka. Nie lubimy tego samego, ale tego samego nienawidzimy. – Oleg zdjął

puchową kurtkę i podwinął rękaw koszuli. – Możemy zaczynać?

41 PIĄTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Rakel patrzyła w bok na Harry'ego, kiedy szli pod rękę przez plac Uniwersytecki w stronę Domus Academica, jednego z trzech budynków Uniwersytetu w Oslo znajdujących się w centrum miasta. Namówiła Harry'ego, żeby włożył lakierki, które kupiła mu w Londynie, chociaż twierdził, że są za śliskie na takie podłoże.

– Powinieneś częściej chodzić w garniturze – stwierdziła.

– A gmina powinna częściej posypywać chodniki piaskiem – odparował Harry i udał, że znów się poślizgnął.

Roześmiała się i go podtrzymała. Wyczuła sztywną fakturę żółtej teczki, którą wcześniej złożył na pół i wepchnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czy to nie jest samochód Bjørna? W dodatku zaparkowany bardzo nieprawidłowo.

Minęli czarnego amazona, stojącego na placu tuż przy schodach prowadzących do budynku.

– Identyfikator policyjny za przednią szybą – zauważył Harry. – Ewidentne nadużycie.

– To z powodu Katrine. – Rakel się uśmiechnęła. – Bjørn się boi, żeby się nie przewróciła.

W westybulu przed Aulą rozlegał się gwar głosów. Rakel wśród kolegów po fachu i rodziny doktoranta wypatrywała znajomych twarzy i na samym końcu westybulu nareszcie kogoś rozpoznała. Trulsa Berntsena. Najwyraźniej nie dotarło do niego, że właściwym ubiorem na obronę pracy doktorskiej jest garnitur.

Rakel zaczęła torować drogę sobie i Harry'emu do Katrine i Bjørna.

– Gratuluję wam obojgu. – Uściskała ich po kolei.

– Dziękuję. – Katrine się rozpromieniła i pogładziła po wystającym brzuchu.

– Kiedy?

– W czerwcu.

– W czerwcu – powtórzyła Rakel i zobaczyła, że uśmiech Katrine nieco blednie. Nachyliła się więc, położyła jej rękę na ramieniu i szepnęła: – Nie myśl o tym, będzie dobrze.

Katrine spojrzała na nią tak, jakby przeżyła wstrząs.

– Znieczulenie miejscowe – wyjaśniła szybko Rakel. – Fantastyczna sprawa. Likwiduje ból jak nożem uciął.

Katrine dwa razy mrugnęła, w końcu głośno się roześmiała.

– Wiesz, nigdy wcześniej nie byłam na obronie. Nie przypuszczałam, że to taka wielka uroczystość, dopóki nie zobaczyłam, że Bjørn zakłada swój najlepszy krawat bolo. Co tu się właściwie będzie działo?

– Tak naprawdę to dość proste – zaczęła jej tłumaczyć Rakel. – Wejdziemy do sali pierwsi i będziemy na stojąco czekać na wejście przewodniczącego komisji, doktoranta i dwóch oponentów. Smith na pewno bardzo się denerwuje, chociaż wczoraj albo dzisiaj rano już wygłosił przed nimi wstępny wykład. Pewnie najbardziej się boi, że Ståle Aune go zmiażdży, ale chyba nie ma ku temu powodów.

– Nie? – Bjørn włączył się do rozmowy. – Aune twierdził przecież, że nie wierzy w wampiryzm.

– Ståle wierzy w poważne badania naukowe – powiedziała Rakel. – Oponenti powinni być krytyczni i dotrzeć do sedna tematu rozprawy doktorskiej, ale muszą trzymać się wyznaczonych ram i założeń projektu, zapominając jednocześnie o swoich uprzedzeniach.

– O rany, czy ty się tego wyuczyłaś na pamięć? – spytała Katrine.

Rakel na chwilę ucichła, żeby wziąć głębszy oddech, po czym z uśmiechem kiwnęła głową i podjęła:

– Każdy z oponentów ma do dyspozycji trzy kwadransy. Między jednym a drugim mogą paść krótkie pytania z sali, tak zwane *ex auditorio*, co zresztą zdarza się rzadko. Później jest obiad fundowany przez doktoranta, na który nie zostaliśmy zaproszeni, czego Harry bardzo żałuje.

Katrine spojrzała na Harry'ego.

– Naprawdę?

Wzruszył ramionami.

– A kto nie lubi mięsa z sosem przyprawionym półgodzinnymi przemowami krewnych ludzi, których właściwie zbyt dobrze się nie zna?

Wokół nich zrobił się ruch, błysnęły flesze.

– Przyszły minister sprawiedliwości – szepnęła Katrine.

Można było odnieść wrażenie, że przed Mikaelem i Ullą Bellmanami idącymi pod rękę rozstępuje się woda. Uśmiechali się, ale Rakel właściwie jeszcze nigdy nie widziała Ulli Bellman szczerze uśmiechniętej. Może nie należała do tych, które się uśmiechają. A może Ulla Bellman była typem pięknej nieśmiałej kobiety, która się nauczyła, że przesadne uśmiechy przyciągają jeszcze więcej niechcianej uwagi, a okazywanie chłodu ułatwia życie. Ciekawe, jak w takim razie spodoba jej się życie w roli żony ministra.

Mikael Bellman zatrzymał się tuż przy nich, gdy padło głośno zadane pytanie

i pod nos podsunięto mu mikrofon.

– *Oh, I'm here just to celebrate one of the men who contributed to us solving the Vampyrist case* – powiedział. – *Doctor Smith is the one you should be talking to today, not me.* – Usłuchał jednak i chętnie pozował, kiedy fotografowie zgłosili swoje życzenia.

– O rany, międzynarodowa prasa – zauważył Bjørn.

– Wampiryzm to gorący temat. – Katrine rozejrzała się wśród tłumu. – Są tu wszyscy reporterzy kryminalni.

– Z wyjątkiem Mony Daa – stwierdził Harry, skanując wzrokiem przybyłych.

– No i mamy całą Kotłownię – powiedziała Katrine. – Oprócz Andersa Wyllera.

Wiecie, gdzie jest?

Pokręcili głowami.

– Zadzwoił do mnie dziś rano – dodała Katrine. – I poprosił o rozmowę w cztery oczy.

– O czym? – zdziwił się Bjørn.

– Bóg jeden wie. Ale spójrzcie, jest tam.

Anders Wyller pojawił się w drugim końcu westybulu. Odwinął szalik z szyi, twarz miał czerwoną i widać było, że jest zdyszany. W tej samej chwili otworzyły się drzwi do Auli.

– No, trzeba sobie poszukać dobrego miejsca. – Katrine zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi. – Z drogi, ludzie, ciężarna idzie!

– Ona jest taka słodka – szepnęła Rakel. Wsunęła Harry'emu rękę pod łokieć i oparła się na jego ramieniu. – Zawsze się zastanawiałam, czy nie mieliście kiedyś jakiegoś romansiku.

– Romansiku?

– Takiego malutkiego. Na przykład wtedy, kiedy nie byliśmy razem.

– Niestety – odparł Harry z ponurą miną.

– Niestety? Czyli?

– Czyli że od czasu do czasu żałuję, że nie wykorzystałem lepiej tych naszych przerw.

– Ja nie żartuję, Harry.

– Ja też nie.

Hallstein Smith uchylił drzwi do szacownej sali i zajrzał do środka.

Patrzył na imponujący żyrandol wiszący nad głowami ludzi, którzy wypełniali miejsca w audytorium, a nawet stali na galerii. Kiedyś w tej sali odbywały się zgromadzenia parlamentu Norwegii, a teraz on, mały Hallstein, miał zająć miejsce

na mównicy i bronić swoich tez, a potem otrzymać stopień doktora! Patrzył na May w pierwszym rzędzie, ona też się denerwowała, ale była dumna jak kwoka. Patrzył na zagranicznych kolegów, którzy postanowili przyjechać, chociaż ich ostrzegał, że obrona odbędzie się po norwesku. Patrzył na dziennikarzy, na Bellmana, który razem z żoną również usiadł z samego przodu. Na Harry'ego, Bjørna i Katrine, swoich nowych przyjaciół z policji – oni przecież także odegrali pewną rolę w jego pracy doktorskiej na temat wampiryzmu, bazującej, rzecz jasna, na przypadku Valentina Gjertsen. I chociaż obraz Valentina dramatycznie odmieniły wydarzenia ostatnich dni, to jednak umocniło to tylko wnioski o istnieniu osobowości wampirystycznej. Hallstein sam przecież podkreślał, że wampirysta działa przede wszystkim w afekcie, powodowany żądzami i impulsami, dlatego odkrycie Lenny'ego Hella będącego mózgiem tak świetnie wyreżyserowanych zabójstw nastąpiło w samą porę.

– No to zaczynamy – powiedział dziekan, przewodniczący komisji, i strzepnął pyłek z uroczystej peleryny.

Hallstein wziął głęboki oddech, wszedł do środka, a cała sala wstała.

Smith i jego dwaj oponenti usiedli, natomiast przewodniczący zajął miejsce na mównicy i przedstawił przebieg obrony. Potem oddał głos Hallsteinowi.

Pierwszy oponent, Ståle Aune, wychylił się i szepnął życzenia pomyślności.

Przyszła kolej na Hallsteina. Wszedł na mównicę, odwrócił się i spojrzał na salę. Wsłuchał się w zapadającą ciszę. Poranne próbne wystąpienie poszło dobrze. Dobrze? Było fantastyczne! Nie mógł nie dostrzec zadowolenia komisji, nawet Ståle Aune z uznaniem kiwał głową, słuchając jego kluczowych kwestii.

Teraz miał przedstawić krótszą wersję wystąpienia, maksymalnie dwadzieścia minut. Zaczął mówić, szybko odzyskał to samo uczucie, które towarzyszyło mu rano, i oderwał się od leżącego przed nim maszynopisu. Myśl bowiem rodziła słowa bez najmniejszego opóźnienia, miał wrażenie, że ogląda siebie samego z zewnątrz. Widział publiczność, czuł spojrzenia przyklejone do jego ust, miał świadomość, że wszystkie zmysły tych ludzi skupiają się teraz na nim. Na Hallsteinie Smisie, przyszłym profesorem wampiryzmu. Oczywiście na razie nie istniała gałąź nauki o takiej nazwie, ale on to przecież zmieni. A początek tych zmian nastąpił już dzisiaj.

Zbliżał się do końca.

– Podczas krótkiego czasu, jaki spędziłem w niezależnej grupie śledczej kierowanej przez Harry'ego Hole, zdążyłem się nauczyć paru rzeczy. Jedną z nich jest to, że główne pytanie w sprawach dotyczących zabójstw to „dlaczego?”. Ale odpowiedź nic nie da, jeżeli jednocześnie nie odpowie się na pytanie „jak?”

Hallstein podszedł do stołu obok mównicy, na którym wcześniej ułożył trzy przedmioty i przykrył je kawałkiem jedwabiu. Chwycił teraz za jego koniec i czekał. Na trochę teatru mógł sobie chyba pozwolić.

– Oto „jak?” – oznajmił i ściągnął jedwab.

Wśród publiczności przebiegł ściszony jęk, kiedy ukazały się wielki rewolwer, masywne staroświeckie kajdanki i czarna żelazna szczęka.

Smith wskazał na rewolwer.

– Jedno narzędzie do grożenia i przymuszania.

Na kajdanki.

– Drugie do kontrolowania, obezwładniania, przetrzymywania w niewoli.

Na żelazne zęby.

– I trzecie do dotarcia do źródła. Do uzyskania dostępu do krwi. Do odprawienia rytuału.

Podniósł wzrok.

– Bardzo dziękuję śledczemu Andersowi Wyllerowi, który umożliwił mi wypożyczenie tych obiektów, abym mógł zilustrować swoje tezy. Ale te przedmioty odpowiadają nie tylko na pytanie „jak?” Mówią nam również „dlaczego?” A jak?

Cichy, kulturalny śmiech na sali.

– Wszystkie te narzędzia są stare. Można się pokusić o stwierdzenie, że ta cecha jest im kompletnie niepotrzebna. Wampirysta zadał sobie trud zdobycia przedmiotów lub ich kopii pochodzących z konkretnych epok. I właśnie to podkreśla zawartą w mojej pracy tezę o tym, jak ważny był dla niego rytuał, powiązanie picia krwi z czasami, kiedy jeszcze istnieli bogowie, których należało wielbić i zadowalać, płacąc im krwią. – Wskazał na rewolwer. – Jedna linia prowadzi do Ameryki sprzed dwustu lat, kiedy istniały plemiona indiańskie, które piły krew swoich wrogów, wyobrażając sobie, że dzięki temu pozyskają ich siłę. – Teraz wskazał na kajdanki. – Druga linia biegnie do średniowiecza, kiedy to polowano na czarownice i czarowników, których należało przekląć i rytualnie spalić. – Przeszedł do zębów. – A kolejna prowadzi do antyku, kiedy składanie ofiar z jagniąt i ludzkiej krwi było powszechnym sposobem zadowalania bogów. Tak jak ja mam dziś nadzieję zadowolić swoimi odpowiedziami tych bogów. – Wskazał na dziekana i oponentów.

Tym razem śmiech był już swobodniejszy.

– Dziękuję.

Oklaski – na tyle, na ile Hallstein Smith mógł to ocenić – należało nazwać burzą.

Wstał Ståle Aune, poprawił muchę w kropki, wypiął brzuch i pomaszerował

do mównicy.

– Drogi doktorancie! Oparłeś swoją pracę na studium przypadku, a ja się zastanawiam, jak mogłeś wyciągnąć takie, a nie inne wnioski, skoro główny wykorzystany przez ciebie przypadek, a mianowicie Valentin Gjertsen, żadną miarą ich nie umacniał. Oczywiście przed odkryciem roli, jaką odegrał Lenny Hell.

Hallstein Smith odchrząknął.

– W psychologii przestrzeń do interpretacji jest większa niż w innych naukach, więc oczywiście kusiło mnie zinterpretowanie zachowania Valentina Gjertsen w obrębie ram typowego wampirysty, które już naszkicowałem. Ale jako naukowiec musiałem być uczciwy. Jeszcze parę dni temu Valentin Gjertsen nie pasował do mojej teorii. I chociaż w psychologii mapa i teren nigdy nie są względem siebie identyczne, muszę przyznać, że odczuwałem frustrację. Wprawdzie trudno cieszyć się tragedią Lenny'ego Hella, lecz to właśnie ona potwierdza tezy zawarte w mojej pracy, a tym samym umożliwia ukazanie jeszcze wyraźniejszego obrazu wampirysty i bardziej precyzyjne jego zrozumienie, co, mam nadzieję, pomoże zapobiec przyszłym tragediom dzięki powstrzymaniu wampirystów na wcześniejszym etapie. – Znowu chrząknął. – Chciałbym bardzo podziękować komisji oceniającej, która poświęciła tak wiele czasu na zapoznanie się z pierwotną wersją mojej rozprawy, a mimo to pozwoliła mi wprowadzić zmiany związane z ujawnieniem roli Hella, dzięki czemu wszystko znalazło się na swoim miejscu...

Kiedy dziekan dyskretnie zasygnalizował, że czas przeznaczony dla pierwszego oponenta dobiegł końca, Hallstein miał wrażenie, że minęło pięć minut, a nie czterdzieści pięć. Wszystko poszło jak po maśle.

A gdy dziekan wszedł na mównicę i oznajmił, że teraz nastąpi przerwa, podczas której można zgłaszać ewentualne pytania *ex auditorio*, Hallstein poczuł, że nie może się już doczekać, kiedy będzie mógł wszem wobec pokazać tę fantastyczną rozprawę, która przy całej swojej grozie mimo wszystko mówiła o tym, co najwspanialsze i najpiękniejsze na świecie: o ludzkim umyśle.

Hallstein poświęcił przerwę na krążenie po westybulu i witanie się ze wszystkimi, którzy nie byli zaproszeni na obiad. Zauważył, że Harry Hole stoi razem z ciemnowłosą kobietą. Skierował się w ich stronę.

– Harry. – Ucisnął dłoń policjanta, twardą i chłodną jak marmur. – A to musi być Rakel.

– Owszem – potwierdził Harry.

Hallstein ucisnął jej rękę, jednocześnie widząc, że Harry spogląda na zegarek i patrzy w stronę drzwi wejściowych.

– Czekamy na kogoś? – spytał Hallstein.

– Tak – odparł Harry. – I nareszcie są.

Hallstein na drugim końcu westybulu zobaczył dwie osoby: wysokiego młodego człowieka i pięćdziesięciokilkuletniego jasnowłosego mężczyznę w wąskich prostokątnych okularach bez oprawek. Młody człowiek wydawał się podobny do Rakeł, ale również ten drugi miał w sobie coś mgliście znajomego.

– Gdzie ja mogłem widzieć tego pana w okularach? – spytał.

– Nie wiem. To hematolog, John D. Steffens.

– A co on tu robi?

Hallstein zobaczył, że Harry bierze głęboki oddech.

– Przyszedł, żeby postawić kropkę w całej tej historii. Chociaż jeszcze o tym nie wie.

W tej samej chwili dziekan zadzwonił dzwonkiem i grmiącym głosem zaprosił wszystkich z powrotem na salę.

John D. Steffens szedł między dwoma rzędami ław, czując, że Oleg Fauke jest tuż za nim. Lekarz przesuwiał wzrokiem po zebranych, szukając Harry'ego Hole. Nagle serce przestało mu bić, bo w ostatnim rzędzie dostrzegł młodego mężczyznę o jasnych włosach. W tej samej chwili Anders również go zauważył i Steffens zobaczył przerażenie na jego twarzy. Natychmiast odwrócił się do Olega, chcąc mu powiedzieć, że zapomniał o pewnym spotkaniu i musi jednak wyjść.

– Wiem, wiem – uprzedził go Oleg, ewidentnie nie zamierzając go wypuścić. Steffens uświadomił sobie, że chłopak jest niemal równie wysoki, jak jego przybrany ojciec, Hole. – Niechże to się toczy swoim torem, doktorze.

Dotknął lekko ramienia Steffensa, a mimo to ordynator odniósł wrażenie, jakby został wręcz wciśnięty na miejsce. Usiadł i w końcu poczuł, że jego puls powoli się uspokaja. Godność. Tak, godność. Oleg Fauke wiedział. A to oznaczało, że wiedział również Harry Hole. I nie pozostawił mu żadnej możliwości odwrotu. Po reakcji Andersa poznał, że on też nie miał o niczym pojęcia. Zostali tu zwabieni, żeby znaleźć się w tym miejscu razem. I co dalej?

Katrine Bratt usiadła między Harrym a Bjørnem, a chwilę później dziekan otworzył drugą część obrony.

– Zgłoszono pytanie do doktoranta *ex auditorio*. Pan Harry Hole, bardzo proszę.

Katrine zaskoczona spojrzała na Harry'ego, który wstał i głośno podziękował. Zauważyła inne, równie zdumione spojrzenia, niektórzy leciutko się uśmiechali, jakby spodziewali się jakiegoś żartu. Również Hallstein Smith sprawiał wrażenie

rozbawionego, kiedy zajmował miejsce na mównicy.

– Wszystkiego najlepszego z okazji tego wielkiego dnia – zaczął Harry. – Już tak niewiele dzieli cię od upragnionego celu. A muszę także podziękować ci za pomoc przy rozwiązywaniu sprawy wampirysty.

– To raczej ja powinienem dziękować. – Smith lekko się uklonił.

– Możliwe. Przecież znaleźliśmy mistrza marionetek, który kierował Valentinem. A, jak podkreślił Aune, cała twoja rozprawa doktorska opiera się właśnie na tym. Miałeś więc szczęście.

– Owszem.

– Ale jest jeszcze parę pytań, na które chyba wszyscy chcielibyśmy poznać odpowiedź.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy, Harry.

– Oglądałem nagranie z monitoringu, na którym Valentin wchodzi do twojej obory. Dokładnie wiedział, dokąd ma iść, ale nie wiedział o wadze znajdującej się tuż za drzwiami. Szedł więc bez lęku, przekonany, że będzie miał pod stopami stały grunt. A tymczasem o mało nie stracił równowagi. Dlaczego tak się stało?

– Sporo rzeczy przyjmujemy za pewnik – wyjaśnił Smith. – W psychologii nazywa się to racjonalizacją, co oznacza, że upraszczamy. Bez racjonalizacji nie moglibyśmy poradzić sobie ze światem, mózg byłby przeciążony wszelkimi elementami niepewności, które musielibyśmy brać pod uwagę.

– Właśnie dlatego, schodząc po ciemku do piwnicy, nie martwimy się o to, że być może zawadzimy głową o rurę doprowadzającą wodę?

– No właśnie.

– Ale kiedy już raz nas to spotka, pamiętamy o tym następnym razem – przynajmniej większość z nas. Właśnie dlatego Katrine Bratt ostrożnie przeszła przez tę wagę już podczas drugiej wizyty w twojej oborze. I dlatego nie jest żadną zagadką to, że na rurze w piwnicy Hella znaleźliśmy i moją, i twoją skórę i krew, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów Lenny’ego Hella. Musiał się nauczyć schylać już... już jako dziecko. Inaczej mielibyśmy jego DNA, bo materiał DNA można zebrać nawet po latach od momentu, kiedy znajdzie się na takiej rurze.

– Wierzę ci, Harry.

– Jeszcze do tego wrócę, ale pozwolisz, że najpierw zajmę się czymś, co jednak jest zagadką.

Katrine poprawiła się na krześle. Ciągle nie rozumiała, o co chodzi, ale znała Harry’ego, rozpoznawała wibracje niesłyszalnego dla innych powarkiwania na niskiej częstotliwości, którym podszyty był jego głos.

– Kiedy Valentin Gjertsen wchodzi do twojej obory w nocy, waży siedemdziesiąt

cztery i siedem dziesiątych kilograma – podjął Harry. – Ale kiedy stamtąd wychodzi, to według wagi widocznej na nagraniu waży siedemdziesiąt trzy i dwie dziesiąte kilograma, a zatem dokładnie o półtora kilo mniej. – Harry rozłożył ręce. – Oczywiście wyjaśnieniem tej różnicy jest utrata krwi w twoim gabinecie.

Katrine usłyszała dyskretne, lecz jednak zniecierpliwione chrząkanie dziekana.

– Ale uprzytomniłem sobie jedną rzecz – ciągnął Harry. – Zapomnieliśmy o rewolwerze. O broni, którą Valentin miał przy sobie i która została w gabinecie. Ruger redhawk waży około jednego i dwóch dziesiątych kilograma, więc żeby to wyliczenie się zgadzało, Valentin musiałby stracić zaledwie trzysta gramów krwi.

– Panie Hole – przerwał mu dziekan. – Jeśli to pytanie do doktoranta, to...

– Wcześniej jeszcze pytanie do eksperta od krwi. – Harry odwrócił się do sali. – Doktor John Steffens jest hematologiem i przypadkiem był obecny, kiedy do szpitala przywieziono Penelope Rasch...

John Steffens poczuł pot występujący mu na czoło, gdy skierowały się na niego spojrzenia wszystkich obecnych na sali. Podobnie było, kiedy zeznawał jako świadek o przyczynach śmierci swojej żony. O tym, jak zadano jej ciosy nożem i jak dosłownie wykrwawiła mu się na rękach. Spojrzenia wszystkich, tak jak wtedy. Również Andersa.

Przełknął ślinę.

– Owszem, to prawda.

– Pokazałeś wtedy, że masz miarkę w oku, jeśli chodzi o ilość krwi. Na podstawie zdjęcia z miejsca zdarzenia oszacowałeś utratę krwi u Penelope Rasch na półtora litra.

– Tak.

Harry z kieszeni marynarki wyjął fotografię i podniósł ją wysoko.

– A na podstawie tego zdjęcia, zrobionego w gabinecie Hallsteina Smitha, oceniłeś, że i w tym wypadku ranny utracił półtora litra krwi, a więc półtora kilograma wagi ciała. Zgadza się?

Steffens przełknął ślinę. Czuł na plecach wzrok Andersa.

– Tak. Plus minus dwieście gramów.

– Dla pewności spytam jeszcze, czy ranny, który stracił półtora litra krwi, jest w stanie się podnieść i uciekać?

– Są różnice indywidualne. Ale jeśli ktoś jest w dobrej formie i ma silną wolę, to tak.

– W ten sposób dotarłem do swojego prostego pytania – oświadczył Harry.

Steffens poczuł strużkę potu spływającą po czole.

Harry znów odwrócił się do mównicy.

– Jak to możliwe, Smith?

Katrine jęknęła. Cisza, która zapadła na sali, wydawała się wręcz namacalna.

– Muszę powiedzieć pas, Harry. Nie wiem – odparł Smith. – Mam nadzieję, że z tego powodu doktorat nie ucieknie mi sprzed nosa. Broniąc się, będę twierdził, że to pytanie wykracza poza ramy mojej pracy. – Uśmiechnął się, ale tym razem nie doczekał się śmiechów publiczności. – Natomiast mieści się chyba w ramach pracy policyjnej, więc może sam powinieneś na nie odpowiedzieć, Harry.

– No cóż. – Harry wziął głębszy oddech.

Nie, pomyślała Katrine i oddech wstrzymała.

– Kiedy Valentin Gjertsen przyszedł do ciebie, nie miał przy sobie rewolweru. Broń już wcześniej znajdowała się w twoim gabinecie.

– Słucham? – Wybuch śmiechu Smitha zabrzmiał na sali jak krzyk samotnego ptaka. – A jak, na miłość boską, miałyby się tam znaleźć?

– Sam ją tam przyniosłeś.

– Ja? Nie miałem z tym rewolwerem nic wspólnego.

– To był twój rewolwer, Smith.

– Mój? Nigdy w życiu nie miałem rewolweru. Wystarczy sprawdzić rejestr broni.

– W którym ten redhawk jest zarejestrowany na pewnego marynarza z Farsund. Którego leczyłeś. Na schizofrenię.

– Marynarza? Co ty wygadujesz, Harry? Sam przecież mówiłeś, że Valentin groził ci tym rewolwerem w barze, kiedy zabił Mehmeta Kalaka.

– Później został ci zwrócony.

Na sali zapanował niepokój. Rozległ się szum głosów i szmer ciał przesuwających się na krzesłach.

Dziekan wstał. Przypominał koguta stroszącego pióra, kiedy uniósł owinięte peleryną ręce, żeby wezwać do zachowania spokoju.

– Przepraszam, panie Hole, ale to jest obrona pracy doktorskiej. Jeśli ma pan do załatwienia jakąś sprawę policyjną, proponuję, żeby zrobił pan to za pośrednictwem odpowiednich instancji, a nie tutaj, na uniwersytecie.

– Panie przewodniczący, szanowni oponenti! – odparł Harry. – A czy nie jest sprawą o zasadniczym znaczeniu dla oceny tej pracy doktorskiej, że została oparta na źle zrozumianym studium przypadku? Czy właśnie nie takie aspekty powinny zostać naświetlone w trakcie obrony?

– Pan Hole... – zaczął dziekan grzmiącym głosem.

– ...ma rację – wszedł mu w słowo Ståle Aune. – Szanowny panie przewodniczący,

jako członek komisji oceniającej jestem niezmiernie zainteresowany wysłuchaniem pytań Holego.

Dziekan wbił oczy w Aunego. Potem przeniósł wzrok na Harry'ego, a w końcu na Smitha. Wreszcie usiadł.

– A więc dobrze – podjął Harry. – W takim razie chciałbym spytać doktoranta, czy więził Lenny'ego Hella w jego własnym domu i czy to on, a nie Hell, na odległość kierował Valentinem Gjertsenem.

Przez Aulę przebiegł ledwie słyszalny szmer, po czym zapadła taka cisza, jakby z sali wyszło całe powietrze.

Smith z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To taki żart, prawda, Harry? Wymyśliliście to w Kotłowni, żeby dodać ognia tej uroczystości, i teraz...

– Proponuję, żebyś odpowiedział, Hallstein.

Może sprawiło to użycie imienia, w każdym razie Smith pojął, że Harry mówi poważnie. Przynajmniej Katrine wydało się, że coś do niego dociera.

– Harry – zaczął cicho. – Nigdy wcześniej nie byłem w domu Hella przed tą niedzielą, kiedy mnie tam zabrałeś.

– Owszem, byłeś – powiedział Harry. – Wprawdzie bardzo dokładnie usunąłeś ślady ze wszystkich miejsc, w których mogłeś zostawić odciski palców i materiał DNA, ale o jednym takim miejscu zapomniałeś. O tej rurze na schodach do piwnicy.

– O rurze? Wszyscy zostawiliśmy swoje DNA na tej przeklętej rurze w niedzielę, Harry.

– Ty nie.

– Ja też! Spytaj Bjørna Holma, który tam siedzi.

– Bjørn Holm może potwierdzić, że twoje DNA znajdowało się na tej rurze, ale nie to, że znalazło się tam w niedzielę. Bo w niedzielę zszedłeś do piwnicy, kiedy ja już tam byłem. Zszedłeś bezszelestnie. W ogóle nie usłyszałem, że idziesz, pamiętasz? Bezgłośnie, bo nie uderzyłeś głową o tę rurę, schyliłeś się. Twój mózg zapamiętał, że ma tak zrobić.

– To śmieszne, Harry. Uderzyłem głową w tę rurę w niedzielę, tylko bez żadnego hałasu.

– Może dlatego, że miałeś na głowie coś, co stłumiło uderzenie... – Harry wyciągnął z kieszeni czarną czapkę i włożył ją sobie na głowę. Z przodu widniała na niej biała trupa czaszka i napis *St. Pauli*. – Ale jak można zostawić DNA, to znaczy krew, skórę albo włosy, kiedy ma się coś takiego mocno naciągnięte na czoło?

Hallstein Smith zamrugał.

– Doktorant nie odpowiada – powiedział Harry. – Pozwolą więc państwo, że odpowiem za niego. Hallstein Smith uderzył głową w tę rurę, kiedy pierwszy raz zszedł do piwnicy. Ale to było już dawno temu, jeszcze zanim zaczął grasować rzekomy wampirysta.

W ciszy, która zapadła, słychać było jedynie cichy śmiech Hallsteina Smitha.

– Zanim coś powiem – odezwał się w końcu Smith – uważam, że powinniśmy oklaskami nagrodzić byłego komisarza za tę opowieść świadczącą o jego bujnej wyobraźni.

Zaczął klaskać, kilka osób się do niego przyłączyło, ale brawa prędko się urwały.

– Lecz aby było to coś więcej niż tylko opowieść, to – podobnie jak w wypadku pracy doktorskiej – wymaga się czegoś jeszcze – oświadczył Smith. – Dowodów! Nie masz żadnych dowodów, Harry! Cała twoja konkluzja bazuje na dwóch więcej niż wątpliwych przypuszczeniach. Że bardzo stara waga dla zwierząt w oborze wskazuje dokładny ciężar osoby, która stanie na niej zaledwie przez parę sekund. A waga ta, muszę ci powiedzieć, nierzadko się zacina. Drugą bzdurą natomiast jest to, że nie zostawiłem DNA na rurze w niedzielę z powodu czapki, którą zdjąłem na schodach do piwnicy, zanim uderzyłem głową w rurę, a potem szybko włożyłem, bo w piwnicy było chłodniej. Brak jakiegokolwiek śladu na czole wynika z tego, że rany szybko mi się goją. Moja żona potwierdzi, że po powrocie do domu miałem rozbite czoło.

Katrine zobaczyła, że kobieta w sukience w kolorach ziemi, będącej zapewne rękodziełem, wpatruje się w męża szeroko otwartymi oczami, z twarzą bez wyrazu, jakby była w szoku po wybuchu granatu hukowego.

– Prawda, May?

Żona Smitha otworzyła usta i zaraz je zamknęła. W końcu wolno skinęła głową.

– Widzisz, Harry? – Smith przechylił głowę i spojrzał na Harry'ego z miną wyrażającą żal i współczucie. – Widzisz, jak łatwo obalić twoją teorię?

– No cóż. Szanuję lojalność twojej żony, ale obawiam się, że dowód z DNA jest nie do obalenia. Analiza Instytutu Medycyny Sądowej wykazuje nie tylko, że materiał organiczny zawiera twój profil DNA, lecz również to, że materiał ten pochodzi sprzed ponad dwóch miesięcy, nie mógł więc zostać pozostawiony w niedzielę.

Katrine drgnęła i zerknęła na Bjørna. Odpowiedział jej spojrzeniem, prawie niezauważalnie kręcąc przy tym głową.

– Dlatego, Smith, to nie teoria, że w jakimś momencie jesienią byłeś w piwnicy Hella, to fakt. Tak samo jak faktem jest, że miałeś rugera oraz że ta broń znajdowała się w twoim gabinecie, kiedy strzelałeś do nieuzbrojonego Valentina Gjertsena.

Na dokładkę mamy jeszcze analizę stylometryczną.

Katrine patrzyła na wymiętą żółtą papierową teczkę, którą Harry wyciągnął z kieszeni marynarki.

– Program komputerowy analizuje dobór słów, budowę zdań, strukturę tekstu i użycie znaków przestankowych, aby zidentyfikować autora tekstu. To stylometria nadała rozpęd dyskusji o tym, które ze sztuk Szekspira napisał on sam, a które stworzył ktoś inny. Trafność zidentyfikowania właściwego autora wynosi ponad osiemdziesiąt procent, nie jest więc dostatecznie wysoka, by dało się ją uznać za dowód. Ale trafność wykluczenia konkretnego autora, na przykład Szekspira, wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent. Nasz ekspert informatyk, Tord Gren, użył odpowiedniego programu do porównania e-maili wysłanych do Valentina z tysiącem e-maili, które Lenny Hell napisał wcześniej. Konkluzja jest następująca... – Harry wręczył teczkę Katrine. – Lenny Hell nie jest autorem instrukcji, które Valentin Gjertsen otrzymywał drogą mailową.

Smith wpatrywał się w Harry'ego. Grzywka opadła mu na spocone czoło.

– O tym będziemy mogli jeszcze podyskutować podczas najbliższego przesłuchania – ciągnął Harry. – Ale tu i teraz mamy obronę pracy doktorskiej, a ty wciąż masz możliwość przedstawienia komisji takiego wyjaśnienia, które pozwoli przyznać ci stopień doktora. Mam rację, Aune?

Ståle Aune chrząknął.

– Owszem, zgadza się. Nauka jest idealnie ślepa na moralność danej epoki i nie będzie to pierwszy stopień doktorski zdobyty z wykorzystaniem wątpliwych etycznie czy wręcz sprzecznych z prawem metod. My, członkowie komisji oceniającej, musimy wiedzieć przed ewentualnym uznaniem pracy doktorskiej, czy w ogóle był ktoś, kto sterował Valentinem. Bo jeśli nie, to uważam, że komisja nie powinna zaakceptować tej rozprawy.

– Dziękuję – powiedział Harry. – Więc co ty na to, Smith? Chcesz to teraz wyjaśnić komisji, zanim cię aresztujemy?

Hallstein Smith nie spuszczał oczu z Harry'ego. Słyszał tylko jego ciężkie sapanie, jakby tylko on oddychał na tej sali. Błysnął pojedynczy flesz.

Czerwony na twarzy przewodniczący nachylił się nad Stålem i syczącym szeptem spytał:

– Jezusie Nazareński, Aune, co tu się dzieje?

Ståle Aune usiadł wygodniej, założył ręce na piersi i odpowiedział pytaniem:

– Wiesz, co to jest mała pułapka?

Hallstein Smith wykonał gwałtowny ruch głową, jakby poraził go prąd, po czym uniósł rękę i wskazując sufit, ze śmiechem zawołał:

– Co mam do stracenia, Harry?

Harry milczał.

– Tak, Valentin był sterowany. Przeze mnie. Oczywiście to ja pisałem te listy, ale nie jest ważne, kto za tym stał i kto kierował Valentinem. Z naukowego punktu widzenia istotne jest to, że Valentin był prawdziwym wampirystą, tak jak wykazują moje badania, i nic z tego, co mówisz, nie zachwieje ich wynikami. Nawet jeśli musiałem odpowiednio przygotować okoliczności i stworzyć sytuację poniekąd laboratoryjną, to przecież badacze zawsze tak postępowali, prawda? – Powiódł wzrokiem po publiczności. – Ale koniec końców to, co robił Valentin, było rezultatem decyzji podjętej przez niego, a nie mojej. Sześć ludzkich istnień nie jest wygórowaną ceną za oszczędzenie ludzkości przyszłych cierpień właśnie dzięki temu. – Smith postukał palcem w oprawioną pracę. – Tutaj są opisane sygnały zagrożenia i profile wampirystów. To Valentin Gjertsen wypijał krew ofiar, to on je uśmiercał, a nie ja. Ja mu to tylko umożliwiałem. Kiedy już ma się to szczęście, że się natrafi na prawdziwego wampirystę, człowiek ma obowiązek to wykorzystać, nie może pozwolić, aby powstrzymały go krótkowzroczne moralne rozterki. Trzeba widzieć sprawę w szerszej perspektywie, jaką jest dobro ludzkości. Spytajcie o to Oppenheimera, spytajcie Mao, spytajcie tysiąc chorujących na raka szczurów laboratoryjnych!

– To znaczy, że zabiłeś Lenny’ego Hella i zastrześliłeś Marte Ruud dla naszego dobra? – Harry podniósł głos.

– Tak, to były ofiary złożone na ołtarzu nauki!

– Więc poświęcasz samego siebie i swoją miłość bliźniego, powodowany miłością do bliźnich?

– No właśnie, właśnie!

– I oni nie umarli po to, żebyś ty, Hallstein Smith, mógł się zrehabilitować, żeby Małpa mogła zasiąść na tronie, zapisać się w podręcznikach historii? Przecież właśnie to cały czas tobą kierowało, prawda?

– Pokazałem wam, co jest w stanie zrobić wampirysta! Miałbym nie zasługiwać na wdzięczność ludzkości?

– No cóż – powiedział Harry. – Przede wszystkim pokazałeś nam, do czego jest zdolny człowiek upokorzony.

Głowa Hallsteina Smitha lekko drgnęła. Usta otworzyły się i zamknęły. Ale nie padło więcej żadne słowo.

– Usłyszeliśmy już dość. – Dziekan wstał. – Zamykam obronę tej pracy

doktorskiej. Proszę, aby policja, która ewentualnie znajduje się na miejscu, aresztowała...

Hallstein Smith zadziałał ze zdumiewającą szybkością. Dwoma prędkimi susami dopadł stołu i chwycił rewolwer, potem, zrobiwszy krok w przód, znalazł się przy pierwszym rzędzie publiczności i przyłożył rewolwer do czoła najbliższej siedzącej osoby.

– Wstań! – syknął. – Wszyscy inni niech siedzą!

Katrine zobaczyła, że wstaje blondynka. Smith obrócił ją w taki sposób, że stanęła przed nim jak tarcza. To była Ulla Bellman. Usta miała otwarte i w niemej rozpaczycy wpatrywała się w siedzącego również w pierwszym rzędzie mężczyznę. Katrine mogła dostrzec jedynie tył głowy Mikaela Bellmana, nie wiedziała więc, co wyraża jego twarz, widziała jedynie, że siedzi jak przykuty.

May Smith załkała. Jej ciało przechyliło się lekko na jedną stronę.

– Puść ją!

Katrine odwróciła się w stronę, z której dobiegł chrapliwy głos. To był Truls Berntsen. Podniósł się ze swojego miejsca na samym brzegu ostatniego rzędu i zaczął schodzić po stopniach.

– Zatrzymaj się, Berntsen! – krzyknął Smith. – Bo inaczej najpierw zastrzelę ją, a potem ciebie!

Ale Truls Berntsen się nie zatrzymał. Z profilu jego mocno wysunięta żuchwa odznaczała się jeszcze wyraźniej. Pod swetrem widać też jednak było świeżo wytrenowane mięśnie. Dotarł do poziomu podium, skręcił przed pierwszym rzędem i ruszył prosto w stronę Smitha i Ulli Bellman.

– Jeszcze jeden krok...

– Najpierw zastrzel mnie, Smith, bo inaczej nie zdążysz.

– Jak sobie chcesz.

– Pieprzony cywil! – prychnął Berntsen. – Nie ośmielisz się...

Katrine poczuła ucisk w uszach, jakby siedziała w samolocie, który nagle zaczął spadać, dopiero po chwili zrozumiała, że to był huk wystrzału z wielkiego rewolweru.

Truls Berntsen się zatrzymał. Stał pochylony w przód i lekko się kołysał. Barki wysunął do przodu, usta miał otwarte, a oczy dosłownie wychodziły mu z orbit. Katrine dostrzegła dziurę w jego swetrze na wysokości piersi i czekała na krew. W końcu krew popłynęła. Truls, ze spojrzeniem wbitym w Ullę Bellman, jakby ostatnim wysiłkiem woli trzymał się na nogach. Wreszcie zatoczył się i upadł.

Na sali krzyknęła jakaś kobieta.

– Niech nikt się nie rusza! – zawołał Smith i zaczął tyłem iść do wyjścia,

prowadząc Ullę Bellman przed sobą. – Postoimy za uchylonymi drzwiami przez minutę i jeśli zobaczą, że ktokolwiek się ruszy, zastrzelę ją.

Oczywiście był to bluff. I oczywiście nikt nie chciał ryzykować, że może być inaczej.

– Kluczyki do amazona – szepnął Harry, który ciągle stał.

Wyciągnął rękę do Bjørna, ten zareagował po sekundzie i włożył mu kluczyki w dłoń.

– Hallstein! – krzyknął Harry, ruszając do przodu. – Twój samochód stoi na gościnnym parkingu uniwersytetu i już w tej chwili przeszukują go technicy. A ja mam kluczyki do auta zaparkowanego na ulicy, tuż przed wejściem. I będę lepszym zakładnikiem.

– Bo? – Smith nie przestawał się cofać.

– Bo zachowam spokój. Poza tym masz sumienie.

Smith się zatrzymał. Przez chwilę taksował Harry'ego wzrokiem.

– Podejdź do stolika i załóż sobie kajdanki – polecił w końcu.

Harry wyszedł ze swojego rzędu, minął Trulsa leżącego nieruchomo na podłodze i stanął przy stole, plecami obrócony do sali i do Smitha.

– Muszę widzieć, co robisz! – zawołał Smith.

Harry odwrócił się do niego i podniósł ręce, żeby Smith mógł zobaczyć, że są skute repliką staroświeckich kajdanek.

– Podejdź tutaj!

Harry usłuchał.

Smith odepchnął Ullę Bellman na bok i wycelował rewolwer w Harry'ego.

– Jedna minuta!

Katrine zobaczyła, że Smith wolną ręką łapie wyższego od siebie Harry'ego za ramię, obraca go i prowadzi do drzwi, które zostawił uchylone.

Ulla Bellman przez moment też patrzyła w tamtym kierunku, po czym odwróciła się i spojrzała na męża. Katrine zobaczyła, że Bellman gestem przywołuje ją do siebie. Ulla ruszyła w jego stronę. Szła krótkimi, niepewnymi krokami, jakby stąpała po cienkim lodzie. Ale kiedy dotarła do Trulsa Berntsena, osunęła się na kolana. Przyłożyła głowę do zakrwawionego swetra. W ciszy, która zapadła, ten jeden jedyny szloch Ulli zabrzmiał głośniejszy niż wystrzał z rewolweru.

Harry, idąc przed Smithem, czuł nacisk lufy na plecach. Niech to cholera weźmie. Od wczoraj usiłował zaplanować wszystko po najdrobniejsze szczegóły, analizował rozmaite scenariusze, ale taki finał nie przyszedł mu do głowy.

Pchnął stopą drzwi wejściowe do budynku i mroźne powietrze uderzyło go

w twarz. Przed nimi rozciągał się plac Uniwersytecki, pusty, skąpany w zimowym słońcu, które odbijało się w czarnym lakierze należącego do Bjørna amazona.

– Dalej!

Harry po schodach zszedł na plac. Po drugim kroku nogi gdzieś mu uciekły i upadł na bok, nie mogąc rękami zamortyzować upadku. Ból przeszył ramię i plecy, kiedy barkiem uderzył o lód.

– Wstawaj! – syknął Smith. Szarpnął za łańcuch kajdanek i podniósł Harry'ego.

Harry wykorzystał pęd, jaki nadał mu Smith. Wiedział, że lepsza szansa się nie nadarzy. Gdy tylko znalazł się w pozycji stojącej, wyrzucił głowę w przód. Uderzył Smitha, który się zachwiał, zrobił dwa kroki do tyłu i runął na ziemię. Harry chciał dokończyć atak, ale Smith, leżąc na plecach, ścisnął obiema rękami broń wycelowaną prosto w Harry'ego.

– Daj spokój, Harry. Jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. Przewracali mnie tak na co drugiej przerwie w szkole, więc po prostu chodźmy.

Harry wpatrywał się w lufę rewolweru. Skóra na grzbiecie nosa Smitha pękła, odślaniając białą chrząstkę, po skrzydełku nosa ściekała cienka strużka krwi.

– Wiem, co sobie myślisz, Harry. – Smith się roześmiał. – „Nie zdołał zabić Valentina z odległości dwóch i pół metra.” Więc próbuj. Albo otwórz samochód.

Mózg Harry'ego dokonywał niezbędnych obliczeń. W końcu Harry się odwrócił, powoli otworzył drzwi od strony kierowcy i wtedy usłyszał, że Smith wstaje. Harry wsiadł i bez pośpiechu zaczął wkładać kluczyk do stacyjki.

– Ja poprowadzę – oświadczył Smith. – Przesuń się!

Harry usłuchał, niezdarnie przemieścił się nad drążkiem zmiany biegów na siedzenie pasażera.

– A teraz przełóż nogi przez łańcuch kajdanek.

Harry spojrzał na niego.

– Nie chcę poczuć kajdanek na szyi, gdy będę prowadził. – Smith uniósł rewolwer. – Mam nadzieję, że pilnie chodziłeś na lekcje jogi. I dobrze wiem, że próbujesz zwlekać. Daję ci na to pięć sekund. Cztery...

Harry odchylił się do tyłu na tyle, na ile pozwalało mu niemal pionowo ustawione oparcie siedzenia, podniósł skute ręce i zgiął nogi w kolanach.

– Trzy, dwa...

Z ogromnym trudem przeciągnął wypastowane buty nad łańcuchem.

Smith wsiadł do samochodu, nachylił się nad Harrym, przełożył staroświecki pas przez jego pierś, zapiął go i ściągnął tak mocno, że Harry został dosłownie przywiązany do oparcia. Potem wyciągnął Harry'emu z kieszeni marynarki telefon. Zapiął własny pas i przekręcił kluczyk. Dodał gazu i przesunął drążek zmiany

biegów. Puścił sprzęgło i cofnął samochód, zataczając lekki łuk. Otworzył okno, wyrzucił przez nie telefon Harry'ego, a potem własny. Wyjechali na Karl Johans gate, skręcili w prawo i pole widzenia wypełnił im Zamek. Na skrzyżowaniu mieli zielone światło. Pojechali w lewo, przez rondo, przez kolejne skrzyżowanie z zielonym światłem, minęli salę koncertową Konserthuset, potem Aker Brygge. Jechało się płynnie. Zbyt płynnie, stwierdził Harry w myślach. Im dalej Smithowi uda się przemieścić, zanim Katrine zaalarmuje patrole i wezwie policyjny helikopter, tym większy obszar będą musieli pokryć i tym więcej przygotować blokad na drogach.

Smith spojrzał na fiord.

– Oslo chyba nigdy nie wygląda piękniej niż w takie dni, prawda?

Jego głos brzmiał nosowo i akompaniował mu cichy świst. Pewnie przez ten złamany nos.

– Milczący towarzysz podróży – zauważył Smith. – No tak, dość się dzisiaj nagadałeś.

Harry utkwiał spojrzenie w rozciągającej się przed nimi autostradzie. Katrine nie mogła wykorzystać ich komórek do namierzenia samochodu, ale dopóki Smith trzymał się głównych dróg, istniała nadzieja, że szybko ich odnajdą. Z helikoptera łatwo będzie odróżnić od innych samochodów z pasami rajdowymi biegnącymi przez dach i bagażnik.

– Przyszedł do mnie, przedstawił się jako Alexander Dreyer, chciał rozmawiać o Pink Floydach i o głosach, które słyszy. – Smith pokręcił głową. – Ale, jak się już zorientowałeś, umiem rozszyfrowywać ludzi. Prędko zrozumiałem, że to nie jest ktoś zwyczajny, tylko rzadki przypadek ekstremalnego gatunku psychopaty. Wykorzystałem więc to, co mi opowiedział o swoich preferencjach seksualnych, posprawałem trochę u kolegów, którzy pracują jako biegli w sprawach obyczajowych, i w końcu pojąłem, z kim mam do czynienia. Zrozumiałem też jego dylemat. Wiedziałem, że jego największym pragnieniem jest uwolnić swój instynkt łowny, ale najmniejszy błąd, mgliste podejrzenie, bagatelka, która ściągnęłaby uwagę policji na Alexandra Dreyera, doprowadziłaby do tego, że zostałby ujęty. Słuchasz mnie, Harry? – Smith zerknął na niego. – Gdyby więc znów miał zacząć polować, musiałby to robić w przekonaniu, że jest całkowicie bezpieczny. Nadawał się idealnie. Człowiek bez wyjścia. Wystarczyło założyć mu obrozę i otworzyć klatkę, a zjadłby – i wypił – wszystko, co mu zaproponowano. Ale nie mogłem wystąpić osobiście jako ten, który mu to zaoferuje. Potrzebowałem fikcyjnego mistrza marionetek, piorunochronu zbierającego na siebie wszystkie ślady, na wypadek gdyby Valentin został schwytany i się przyznał. Kogoś, kto w którymś

momencie i tak zostanie ujawniony, kto potwierdzi zawarte w mojej pracy tezy o impulsywnym, po dzieciennemu chaotycznym wampirystyce. A Lenny Hell był pustelnikiem, mieszkał w położonym na odludziu domu i nikt go nie odwiedzał. Pewnego dnia jednak niespodziewanie zjawił się z wizytą jego psycholog. Psycholog, który miał na głowie coś udającego wilka, z wielkim czerwonym rewolwerem w ręce. Uuuu! – Smith roześmiał się głośno. – Szkoda, że nie widziałeś miny Lenny’ego, kiedy zrozumiał, że stał się moim niewolnikiem! Najpierw kazałem mu zanieść swoje archiwum, które ze sobą przywiozłem, na górę do jego gabinetu. Potem znaleźliśmy klatkę, której jego rodzina używała do przewozu świń, i znieśliśmy ją do piwnicy. Pewnie właśnie wtedy uderzyłem głową o tę przeklętą rurę. Ułożyliśmy w klatce materac, na którym Lenny mógł siedzieć i leżeć, a potem go skułem. I tak tam sobie tkwił, właściwie nie był mi już potrzebny, kiedy wyciągnąłem z niego wszystkie szczegóły na temat kobiet, które prześladował, dostałem kopie kluczy do ich mieszkań i hasło pozwalające mi wysyłać z jego komputera maile do Valentina. Ale i tak musiałem poczekać z zaaranżowaniem jego samobójstwa. Gdyby Valentin został schwytany albo umarł i policja trafiłaby do Hella, musiałyby znaleźć w miarę świeżego trupa, żeby cała historia jakoś się kleiła. Lecz żeby policja nie trafiła na Hella zbyt wcześnie, należało zadbać o mocne alibi dla niego na czas pierwszego zabójstwa. Wiedziałem, że będą go sprawdzać, bo przecież miał kontakt telefoniczny z Elise Hermansen. Zabrałem więc Lenny’ego do miejscowej pizzerii dokładnie w tym czasie, w którym kazałem Valentinowi zabić Elise Hermansen, żeby pokazać go ludziom. I tak się koncentrowałem na groźeniu Lenny’emu pod stołem tym aparatem do uboju, że za późno zauważyłem orzechy w cieście do pizzy. – Znowu zachichotał. – Lenny miał więc sporo czasu dla siebie w tej klatce. Ledwie się powstrzymałem od śmiechu, kiedy się okazało, że na materacu znaleźliście nasienie Lenny’ego i doszliście do wniosku, że zgwałcił Marte Ruud.

Minęli półwysep Bygdøy. I Snarøyę. Harry odruchowo liczył sekundy. Od wyjazdu z placu Uniwersyteckiego minęło dziesięć minut. Spojrzał w puste błękitne niebo.

– Marte Ruud nie została przez nikogo zgwałcona. Zastrzeliłem ją od razu, kiedy tylko przewiozłem ją z lasu do piwnicy. Valentin i tak ją zniszczył. To uśmiercenie było miłosierne. Mam nadzieję, że rozumiesz, Harry? – Smith spojrzał na niego. – Harry? Uważasz, że za dużo gadam? – Westchnął. – Świetnie byś sobie radził jako psycholog. Pacjenci uwielbiają milczących psychologów. Uważają, że dzięki temu przeprowadzana przez nich analiza jest dokładniejsza. Milczenie profesjonalistów zawsze bywa przyjmowane w najlepszej wierze. Do diabła z nią...

Zbliżali się do Høvikodden. Po lewej stronie znów ukazał się fiord. Harry obliczał w głowie. Policja powinna zdążyć ustawić blokadę przy Asker, dotrą tam za dziesięć minut.

– Wyobrażasz sobie, jaki prezent mi zrobiłeś, zapraszając do udziału w śledztwie, Harry? Zaskoczyłeś mnie tak, że w pierwszej chwili odmówiłem. Dopiero później uświadomiłem sobie, że jeśli do was dołączę i będę miał dostęp do wszystkich informacji, ostrzegę Valentina, że się zbliżacie, i w ten sposób umożliwię mu trochę dłuższe działanie. Mój wampirysta mógł przewyższyć Kürtena, Haigha i Chase’a, stać się największy z nich. No ale i tak nie miałem wszystkich informacji. Nie wiedziałem, że ten jego hamam jest pod obserwacją, dopóki nie znaleźliśmy się w samochodzie. No i zacząłem tracić kontrolę nad Valentinem. Zabił tego barmana i porwał Marte Ruud. Na szczęście w porę się dowiedziałem, że dzięki wypłacie z bankomatu odkryliście jego nową tożsamość, i udało mi się go ostrzec, zdążył uciec z mieszkania. W tym czasie Valentin zorientował się już, że to ja, jego dawny psycholog, pociągam za sznurki. Ale co z tego? Jemu było wszystko jedno, kto z nim jedzie na tym samym wózku. Zacząłem jednak rozumieć, że pętla się zaciska, więc najwyższa pora na wielki finał, który planowałem już od jakiegoś czasu. Namówiłem go, żeby opuścił mieszkanie i zatrzymał się w hotelu Plaza, niebędącym miejscem na dłuższy pobyt, gdzie jednak udało mi się przekazać mu kopertę z kopiami kluczy do obory i gabinetu, a także z instrukcjami, że ma tam przyjść i ukryć się około północy, kiedy już wszyscy pójdą spać. Oczywiście nie mogę wykluczyć, że coś przeczuwał, ale jakie miał wyjście, gdy ujawniono nazwisko, pod którym się ukrywał? Po prostu musiał postawić na mnie i mi zaufać. Powinieneś mnie pochwalić za inscenizację, Harry. Za to, że zadzwoniłem do ciebie i Katrine, dzięki czemu oprócz nagrań z kamery miałem świadków przez telefon. Owszem, sfabrykowanie historii o dzielnym naukowcu, który swoimi wypowiedziami w radiu rozdrażnił seryjnego zabójcę, a potem zabił go w samoobronie, można oczywiście nazwać likwidacją dokonaną z zimną krwią. Przyznaję, to przyciągnęło na zwyczajną obronę pracy doktorskiej zagraniczną prasę, a czternaście wydawnictw skłoniło do zakupu praw do wydania tejże pracy, ale i tak najważniejsze są badania, nauka. To jest postęp, Harry! I możliwe, że dobrymi chęciami wybrukowano drogę do piekła, lecz jest to również droga ku jasnej przyszłości ludzi.

Oleg przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Na izbę przyjęć w Ullevål! – zawołał młody jasnowłosy policjant z tylnego siedzenia, na którym siedział z głową Berntsena na kolanach. Ubrania obu były

prześląknęte krwią Trulsa. – Gaz do dechy i klakson!

Oleg już puszczał sprzęgło, gdy otworzyły się mocno szarpnięte tylne drzwi.

– Nie! – krzyknął wściekły policjant.

– Przesuń się, Anders! – To był Steffens. Wepchnął się do auta, zmuszając młodego funkcjonariusza do przemieszczenia się w drugi koniec tylnego siedzenia.

– Unieś mu nogi! – polecił lekarz, który teraz trzymał głowę Berntsena. – Żeby...

– ...krew dopływała do mózgu i do serca – dokończył Anders.

Oleg wreszcie puścił sprzęgło i ruszyli z parkingu. Wyjechali na ulicę między dzwoniącym tramwajem i trąbiącą taksówką.

– Jaka jest sytuacja, Anders?

– Sam sprawdź – warknął Wyller w odpowiedzi. – Nieprzytomny, tętno słabe, ale oddycha. Kula, jak widzisz, weszła w klatkę piersiową z prawej strony.

– Nie w tym problem – stwierdził Steffens. – Problemem jest rana wylotowa. Pomóż mi go obrócić.

Oleg zerknął w lusterko. Zobaczył, że kładą Trulsa Berntsena na boku i rozdierają mu koszulę. Znowu skupił się na prowadzeniu. Użył klaksonu do wyprzedzenia ciężarówki, przyspieszył, przejeżdżając przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Anders jęknął.

– Tak, otwór jest duży. Kula na pewno uszkodziła żebro. Wykrwawi się, zanim dotrzemy do Ullevål, chyba że...

– Chyba że co?

Oleg słyszał, że Steffens ciężko wzdycha.

– Chyba że spiszemy się lepiej niż ja w wypadku twojej matki. Przyłóż dłonie grzbietami z boku po obu stronach rany, w ten sposób. I teraz przyciskaj je do siebie. Staraj się jak najszczelniej zamknąć ranę. Innego sposobu nie ma.

– Ręce mi się ślizgają.

– To urwij kawałek jego koszuli i owiń je nimi. Tarcie będzie lepsze.

Oleg słuchał ciężkiego oddechu Andersa. Potem znowu spojrzał w lusterko. Zobaczył, że Steffens przyłożył do piersi Berntsena palec, w który pukał innym palcem.

– Opukuję, ale jestem tu za bardzo ściśnięty, żebym mógł przyłożyć ucho – powiedział lekarz. – Dasz radę...

Anders nachylił się, nie odrywając rąk od rany. Przyłożył głowę do piersi Berntsena.

– Głuchy odgłos – stwierdził. – Nie ma powietrza. Myślisz, że...

– Tak, obawiam się, że to krwiak opłucnej. Jama opłucnej napełnia się krwią, a płuca niedługo się zapadną. Oleg...

– Słyszę – powiedział Oleg i dodał gazu.

Katrine stała na środku placu Uniwersyteckiego z telefonem przyciśniętym do ucha i wpatrywała się w puste bezchmurne niebo. Ciągle nie było widać helikoptera policyjnego, który wezwała z Gardermoen z poleceniem, by obserwował drogę E6, gdy będzie nadlatywał w stronę Oslo od północy.

– Nie, nie ma żadnych komórek do namierzenia – przekrzyzczała ryk syren nadciągających z różnych stron miasta i mieszających się ze sobą. – Żadnych zarejestrowanych przejazdów przez stacje pobierania opłat. Ustawiamy blokady na E6 i na E18 w kierunku południowym. Dam znać, jak tylko coś będziemy mieli.

– Okej – odpowiedział jej Falkeid na drugim końcu linii. – Czekamy w pełnej gotowości.

Katrine zakończyła rozmowę, ale zaraz zgłosił się ktoś nowy.

– Policja z Asker na E18. Zatrzymaliśmy tu tira z przyczepą i ustawiamy go w poprzek autostrady tuż przed zjazdem na Asker. Cały ruch puszczaamy tamtędy i z powrotem na autostradę za rondem. Czarny amazon z siedemdziesiątego roku z paskami rajdowymi?

– Tak.

– Czyżbyśmy mieli najgorszy w historii samochód do ucieczki?

– Miejmy nadzieję, że tak.

Przybiegł Bjørn.

– Oleg i Wyller wiozą Berntsena do Ullevål – wysapał. – Ordynator też wskoczył do auta.

– Jakie są szanse, że przeżyje?

– Ja mam doświadczenie tylko z trupami.

– No dobrze, a Berntsen wyglądał jak trup?

Bjørn wzruszył ramionami.

– Ciągle krwawił. To oznacza przynajmniej tyle, że coś w nim jeszcze zostało.

– A Rakeł?

– Siedzi w Auli i zajmuje się żoną Bellmana, która kompletnie się rozsypała. Bellman musiał lecieć, żeby, jak się wyraził, móc pokierować operacją z miejsca, w którym będzie miał odpowiednią orientację.

– Orientację? – prychnęła Katrine. – Jedyne miejsce, w którym można mieć orientację, jest tutaj!

– Wiem, wiem, kochana, ale uspokój się, chyba nie chcemy, żeby stres zaszkodził dziecku, prawda?

– O Boże, Bjørn. – Katrine mocniej ścisnęła telefon w rękę. – Dlaczego mi nie

powiedziałeś, co Harry planuje?

– Bo nie wiedziałem.

– Nie wiedziałeś? Musiałeś coś wiedzieć, skoro wezwał techników, żeby sprawdzili samochód Smitha.

– On nikogo nie wezwał, to był blef. Tak samo jak z tym datowaniem materiału DNA na rurze w piwnicy.

– Co ty gadasz?

– Medycyna sądowa nie potrafi ocenić materiału DNA pod tym kątem. To, co Harry powiedział o pozostawieniu materiału przed paroma miesiącami, to kłamstwo i wierutna bzdura.

Katrine popatrzyła na Bjørna. Potem wsunęła rękę do torebki i wyjęła żółtą tekturową teczkę, którą Harry jej wręczył. Otworzyła ją. Trzy kartki formatu A4. Wszystkie czyste.

– Blef – powtórzył Bjørn. – Żeby analiza stylometryczna wykazała cokolwiek z jaką taką pewnością, tekst musi mieć co najmniej pięć tysięcy znaków. Te krótkie maile wysłane do Valentina nie mówią ani słowa o autorze.

– Harry nie miał nic – szepnęła Katrine.

– Kompletnie. Zaryzykował, że Smith sam przyzna się do winy.

– Niech go szlag trafi. – Katrine przycisnęła telefon do czoła, nie bardzo wiedząc, czy po to, żeby je ogrzać, czy żeby schłodzić. – Ale dlaczego nic nam nie powiedział? Przecież mogliśmy mieć na zewnątrz uzbrojonych ludzi.

– Bo nie mógł nic powiedzieć.

Odpowiedź padła z ust Stålego Aune, który przeszedł przez plac i stanął obok nich.

– Dlaczego?

– To proste – stwierdził Ståle. – Gdyby poinformował kogokolwiek z policji o swoich planach, to, co wydarzyło się w Auli, byłoby *de facto* przesłuchaniem policyjnym. Nieregulaminowym przesłuchaniem, podczas którego przesłuchiwanego nie pouczono o przysługujących mu prawach, a przesłuchujący świadomie kłamał, żeby nim manipulować. I nic z tego, co Smith dziś powiedział, nie dałoby się wykorzystać podczas procesu w sądzie. Ale w sytuacji takiej jak ta...

Katrine zamrugała i wolno skinęła głową.

– W takiej sytuacji wykładowca Harry Hole, osoba prywatna, uczestniczył w obronie pracy doktorskiej, podczas której Smith wypowiadał się dobrowolnie i w obecności świadków. Przyłożyłeś się do tego, Ståle?

– Owszem – potwierdził psycholog. – Harry zadzwonił do mnie wczoraj. Powiedział mi o poszlakach wskazujących na Hallsteina Smitha. Mówił też, że nie

ma dowodów. Przedstawił mi plan wykorzystania obrony doktoratu do zastawienia małpiej pułapki z moją pomocą. I z ordynatorem Steffensem w roli świadka eksperta.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że Hallstein Smith zwany Małpą już raz dał się złapać w taką pułapkę i raczej tego nie powtórzy.

– Ale?

– Ale Harry użył przeciwko mnie moich własnych słów, powołując się na postulat Aunego.

– Ludzie uparcie, notorycznie popełniają te same błędy – dopowiedział Bjørn.

– No właśnie. – Aune pokiwał głową. – A Smith podobno powiedział Harry’emu w windzie w Budynku Policji, że byłby skłonny oddać kawał życia w zamian za stopień doktora.

– I oczywiście ten idiota dał się złapać w małpią pułapkę! – westchnęła Katrine.

– Pokazał, że przezwisko nadano mu nie na darmo.

– Nie mówię o Smisie, tylko o Harrym.

Aune pokiwał głową.

– Wracam na salę, pani Bellman potrzebuje pomocy.

– A ja idę zabezpieczyć miejsce zdarzenia – powiedział Bjørn.

– Miejsce zdarzenia? – zdziwiła się Katrine.

– Mam na myśli Berntsena.

– Aha, no tak.

Kiedy mężczyźni odeszli, Katrine znów odchyliła głowę i zaczęła wpatrywać się w niebo. Gdzie się podział ten helikopter?

– Niech cię jasna cholera – mruknęła. – Niech cię szlag trafi, Harry!

– To jego wina?

Katrine się odwróciła.

Stała przy niej Mona Daa.

– Nie chcę przeszkadzać – odezwała się. – Właściwie mam wolne, ale przeczytałam w Internecie, co się dzieje, i dlatego tu przyszedłam. Jeśli chcesz wykorzystać „VG” do czegoś, na przykład do przekazania Smithowi jakiejś informacji czy...

– Dzięki, dam znać.

– Okej. – Mona Daa się odwróciła i ruszyła z powrotem swoim pingwinim krokiem.

– Właściwie zdziwiłam się, że nie ma cię na tej obronie – rzuciła jeszcze za nią Katrine.

Mona Daa się zatrzymała.

– Przecież od pierwszego dnia głównie ty relacjonowałaś sprawę wampirysty dla „VG” – dodała Katrine.

– Więc Anders jeszcze nie odbył z tobą tej rozmowy?

Sposób, w jaki Mona Daa wypowiedziała imię Andersa Wyllera, z taką naturalnością, bez wysiłku, kazał Katrine unieść brew.

– Rozmowy?

– Tak. Anders i ja. My...

– Żartujesz.

Mona Daa się roześmiała.

– Nie. Wiem, że to ma sporo wad pod względem zawodowym, ale nie, nie żartuję.

– I kiedy...

– W zasadzie teraz. Tak między nami mówiąc, oboje wzięliśmy kilka dni wolnego, odbierając sobie nadgodziny, i spędziliśmy je w klaustrofobicznie małej przestrzeni mieszkania Andersa, żeby sprawdzić, czy nadajemy się na parę. Uznaliśmy, że dobrze byłoby to wiedzieć, zanim komukolwiek o tym powiemy.

– To znaczy, że do tej pory nikt o tym nie wiedział?

– Nikt, dopóki Harry o mało nas nie nakrył, składając niespodziewaną wizytę. Anders twierdzi, że Harry się domyślił, a ja wiem, że próbował mnie łąpać w „VG”. Sądzę, że chciał potwierdzić swoje podejrzenia.

– On jest świetny w podejrzeniach. – Katrine spojrzała w niebo, znów wypatrując helikoptera.

– Wiem.

Harry wsłuchiwał się w wysokie świsty towarzyszące oddechom Smitha. Wzrok policjanta nagle uchwycił na fiordzie coś bardzo dziwnego. Psa, który wyglądał tak, jakby chodził po wodzie. Woda na powierzchni lodu. Potrafiła się przedostać przez szczeliny mimo mrozu.

– Oskarżono mnie, że dopatruję się wampiryzmu, ponieważ chcę, żeby istniał – ciągnął Smith. – Ale teraz zostało to już udowodnione raz na zawsze i niedługo cały świat będzie wiedział, czym jest wampiryzm Hallsteina Smitha. Bez względu na to, co się stanie ze mną. Valentin nie jest jedyny, będzie ich więcej. Kolejne przypadki, które podtrzymają skupienie się świata na wampiryzmie. Obiecuję, już są rekrutowani. Spytałeś mnie kiedyś, czy uznanie znaczy dla mnie więcej niż życie. Oczywiście, że tak. Uznanie to życie wieczne. Ty też będziesz żył wiecznie, Harry. Jako ten, któremu prawie się udało schwytać Hallsteina Smitha, zwanego niegdyś

Małpą. Uważasz, że za dużo gadam?

Zbliżali się do Ikei. Jeszcze pięć minut i będą w Asker. Smith chyba nie zareaguje na drobny korek – często się tworzył w tej okolicy.

– Dania – powiedział nagle Smith. – Tam wiosna przyjdzie wcześniej.

Dania? Czyżby Smith popadał w obłąd? Harry usłyszał suche kliknięcie. Smith włączył kierunkowskaz. O nie, zamierzał skręcić z głównej szosy. Harry dostrzegł drogowskaz z nazwą Nesøya.

– Ta woda na powierzchni jest chyba dostatecznie głęboka, żebym mógł się przedostać tam, gdzie kończy się lód. Jak myślisz? Superlekka aluminiowa łódka z jednym pasażerem na pokładzie nie powinna się zanurzyć zbyt głęboko.

Łódka. Harry zacisnął zęby i zaklął w duchu. Szopa na łodzie. Ta, o której opowiadał Smith, odziedziczona razem z gospodarstwem. To tam teraz jechali.

– Skagerrak to sto trzydzieści mil morskich. Średnia prędkość dwadzieścia węzłów. Ile to zajmie, Harry? Przecież tak świetnie umiesz liczyć. – Smith się roześmiał. – Sam już to obliczyłem. Na kalkulatorze. Sześć i pół godziny. Dalej można przejechać przez Danię autobusem, to nie zajmie dużo czasu. Dotrzeć do Kopenhagi. Do Nørrebro. Na plac Czerwony. Potem można usiąść na ławce, trzymać bilet autobusowy i czekać na biuro podróży. Co myślisz o Urugwaju? To taki miły, nieduży kraj. Dobrze, że odsnieżyłem całą drogę aż do szopy i posprzątałem w środku, zmieści się tam teraz samochód. Bo inaczej ten pas rajdowy łatwo dałoby się zauważyć z helikoptera, prawda?

Harry zamknął oczy. Smith już dawno przygotował sobie plan ucieczki. Tak na wszelki wypadek. I zdradzał go teraz Harry'emu wyłącznie z jednego powodu. Ponieważ Harry nie będzie miał już szansy na przekazanie tego komuś innemu.

– Tam dalej skręć w lewo – odezwał się Steffens z tylnego siedzenia. – Budynek numer siedemnaście.

Oleg skręcił i poczuł, że koła na moment odrywają się od lodu, ale na szczęście zaraz znów złapały przyczepność.

Domyślał się, że na terenie szpitala obowiązuje ograniczenie prędkości, lecz wiedział też, że Berntsenowi zostało już mało krwi, a więc mało czasu.

Zahamował przed wejściem, gdzie czekali z noszami na kółkach dwaj mężczyźni w żółtych kamizelkach ratowników medycznych. Sprawnie wyciągnęli Berntsena z samochodu i przełożyli na nosze.

– Nie wyczuwam już tętna – powiedział Steffens. – Wieźcie go prosto na salę hybrydową. Zespół urazowy?

– Jest na miejscu – odparł starszy z ratowników.

Oleg i Anders przeszli za noszami i Steffensem przez dwoje drzwi do pomieszczenia, w którym czekało sześć osób w czepkach, maseczkach i srebrnoszarych kamizelkach.

– Dziękujemy. – Pielęgniarka pokazała gestem, że dalej Oleg i Anders nie mają wstępu. Nosze, Steffens i zespół operacyjny zniknęli za szerokimi podwójnymi drzwiami.

– Wiem, że pracujesz w Wydziale Zabójstw – odezwał się Oleg, kiedy zapadła cisza. – Ale nie wiedziałem, że studiowałeś medycynę.

– Nie studiowałem. – Anders wpatrywał się w zamknięte drzwi.

– Nie? W samochodzie tak to wyglądało.

– Trochę czytałem na własną rękę, kiedy chodziłem do liceum. Ale na studia medyczne nie poszedłem.

– Dlaczego? Miałeś za słabe stopnie?

– Stopnie miałem dobre.

– Ale? – Oleg nie wiedział, czy pyta dlatego, że go to interesuje, czy po prostu nie chce myśleć o tym, co się dzieje z Harrym.

Anders spojrział na swoje zakrwawione dłonie.

– Myślę, że ze mną było podobnie jak z tobą.

– Ze mną?

– Chciałem być taki sam jak mój ojciec.

– I co?

Anders wzruszył ramionami.

– A potem już nie chciałem.

– Wolałeś zostać policjantem?

– Wtedy mógłbym przynajmniej ją uratować.

– Ją?

– Moją matkę. Albo ludzi w takiej samej sytuacji. Tak mi się wydawało.

– Jak umarła?

Znów wzruszył ramionami.

– Włamali się do nas do domu, wzięli ją jako zakładniczkę. Ojciec i ja tylko staliśmy i patrzyliśmy. Ojciec wpadł w histerię, a wtedy złodziej uderzył matkę nożem i uciekł. Ojciec zaczął biegać jak kura bez głowy i wrzeszczeć, że mam jej nie ruszać, a sam szukał nożyczek. – Wyller przełknął ślinę. – Mój ojciec, lekarz, szukał nożyczek, a ja w tym czasie stałem i patrzyłem, jak ona się wykrwawia. Rozmawiałem później z kilkoma lekarzami i zrozumiałem, że dałoby się ją uratować, gdybyśmy tylko od razu zrobili, co trzeba. Ojciec jest hematologiem, państwo zainwestowało miliony, żeby go nauczyć wszystkiego, co można wiedzieć

o krwi. A mimo to nie potrafił zrobić tych prostych rzeczy, żeby z niej nie wypłynęła. Gdyby ława przysięgłych wiedziała o ratowaniu tyle co on, skazałaby go za zabójstwo w wyniku niedbalstwa.

– Twój ojciec zawiódł. Ale zawodzić to ludzka rzecz.

– Mimo to siedzi w swoim gabinecie i uważa się za kogoś lepszego od innych, bo ma tytuł ordynatora. – Andersowi zadrżał głos. – Policjant ze średnio zdaną maturą i ukończonym tygodniowym kursem walki wręcz zdołałby obezwładnić złodzieja przed atakiem.

– Ale dzisiaj nie zawiódł – stwierdził Oleg. – Bo to Steffens jest twoim ojcem, prawda?

Anders pokiwał głową.

– Kiedy chodziło o życie takiego skorumpowanego leniwego dupka jak Berntsen, to oczywiście nie zawiódł.

Oleg spojrzął na zegarek. Sięgnął po komórkę. Żadnych wiadomości od mamy. Wcześniej powiedziała, że on nie może nic zrobić dla Harry'ego. Może za to ratować Trulsa Berntsen.

– To nie moja sprawa – powiedział Oleg. – Ale czy kiedykolwiek spytałeś ojca, z czego w życiu zrezygnował? Ile lat codziennej harówki poświęcił na nauczanie się tego wszystkiego, co można wiedzieć o krwi? I ilu ludzi te jego wysiłki ocaliły?

Anders pokręcił spuszczonej głową.

– Nie?

– Ja z nim nie rozmawiam.

– W ogóle?

Anders wzruszył ramionami.

– Wyprowadziłem się. Pozbyłem się jego nazwiska.

– Wyller to nazwisko twojej matki?

– Tak.

Zdążyli zobaczyć tylko plecy mężczyzny w srebrnej kamizelce, który wbiegł na salę operacyjną, i drzwi znów się zamknęły.

Oleg chrząknął.

– Jeszcze raz powtórzę, że to nie moja sprawa, ale nie sądzisz, że oceniasz ojca trochę zbyt surowo?

Anders uniósł głowę. Popatrzył Olegowi w oczy.

– Masz rację. To nie twoja sprawa. – Potem wstał i ruszył do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zawołał Oleg.

– Wracam na uniwersytet. Ty też? Bo jak nie, to pojedę autobusem.

Oleg ruszył za nim.

– Tam jest dosyć kucharek. A tutaj leży policjant, który może niedługo umrzeć. – Złapał Andersa za ramię. – I jako kolega z wydziału jesteś dla niego w tej chwili najbliższą osobą. Nie możesz zwiać. On cię potrzebuje.

Kiedy obrócił Andersa przodem do siebie, zobaczył, że młody sierżant ma łzy w oczach.

– Potrzebują cię obaj – dodał Oleg.

Harry musiał coś zrobić. Musiał się spieszyć.

Smith ostrożnie skręcił z głównej szosy w wąską szutrową drogę z wysokimi zaspami po obu stronach. Nad zamrażającym morzem stała pomalowana na czerwono szopa na łodzie z białą belką w poprzek szerokich podwójnych drzwi. Harry dostrzegł dwie wille po różnych stronach drogi, ale były częściowo skryte za drzewami i pagórkami, a poza tym stały tak daleko, że nie zdołałby nikogo zaalarmować wołaniem o pomoc. Odetchnął głębiej i przesunął język w kierunku górnej wargi. Czuł metaliczny smak w ustach i pot spływający pod koszulą, chociaż było mu zimno. Usiłował myśleć. Wymyślić, co wymyślił Smith. Małą otwartą łodzią do Danii. Oczywiście było to posunięcie w pełni realne, a zarazem tak śmiałe, że nikt z policji nie wpadnie na pomysł takiej ucieczki. A co z nim? W jaki sposób Smith zamierzał rozwiązać ten problem? Harry starał się odciąć od głosu desperackiej nadziei powtarzającego, że zostanie oszczędzony, ale także od głosu przyjemnej apatii, która mówiła, że wszystko już przepadło, a stawianie oporu będzie jedynie oznaczać większy ból. Usiłował raczej słuchać tego zimnego, logicznego głosu. Mówiącego, że Harry do niczego już się nie przyda jako zakładnik i jedynie opóźni wyruszenie Smitha w podróż łodzią. Smith się nie bał, przecież już strzelił do Valentina i do policjanta. Dlatego to powinno stać się tu, w samochodzie, zanim wysiądą, żeby możliwie najbardziej stłumić odgłos wystrzału.

Harry usiłował pochylić się do przodu, ale mocne trzypunktowe pasy przygwaźdżały go do siedzenia. Kajdanki wciskały mu się w krzyż i wbijały w skórę nadgarstków.

Do szopy zostało sto metrów.

Harry wydał z siebie ryk – gardłowy charczący dźwięk wydobywający się głęboko z brzucha. Potem zakołysał się z boku na bok i uderzył głową w boczną szybę. Rozległ się trzask i na szkle pojawiła się biała rozeta. Harry ryknął powtórnie i jeszcze raz uderzył głową. Rozeta się powiększyła. Trzeci raz. Kawałek szkła wypadł.

– Zamknij się, bo inaczej zastrzelę cię już teraz! – krzyknął Smith i przyłożył Harry'emu rewolwer do głowy, jednym okiem wciąż patrząc na drogę.

Harry ugryzł.

Poczuł ból nacisku na dziąsłach, wzmógł się jeszcze metaliczny smak, który Harry miał w ustach od chwili, gdy stanął przy stole w Auli, plecami odwrócony do Smitha, i zanim się skuł, błyskawicznie wsunął do ust żelazną szczękę. Ostre zęby z dziwną łatwością wbiły się w nadgarstek Smitha. Jego krzyk wypełnił kabinę. Rewolwer uderzył w lewe kolano Harry'ego, po czym upadł na podłogę przy jego stopach. Harry napiął mięśnie karku i pociągnął ramię Smitha w prawo. Psycholog puścił kierownicę i zamierzył się na głowę zakładnika, ale zapięty pas nie pozwolił mu na zadanie ciosu. Harry szeroko otworzył usta. Usłyszał plusk i jeszcze raz ugryzł. Usta wypełniła mu ciepła krew. Może trafił na tętnicę, a może nie. Przełknął. Krew była gęsta, konsystencją przypominała sos do pieczenia i miała mdły, słodki smak.

Smith lewą ręką znów chwycił kierownicę. Harry spodziewał się, że będzie hamował, lecz zamiast tego psycholog dodał gazu.

Koła zabuksowały na lodzie, ale już moment później amazon wystrzelił w dół zbocza. Uderzona ważącym ponad tonę szwedzkim samochodem weteranem, belka pękła jak zapałka, a oba skrzydła drzwi wyrwało z zawiasów.

Harrym rzuciło w przód, gdy samochód zahamował na betonowej posadzce i walnął w tył dwunastostopowej aluminiowej łodzi, przesuając ją ku drzwiom od strony morza.

Harry zdążył zobaczyć, że zanim silnik zgasł, kluczyk w stacyjce się złamał. Potem poczuł dotkliwy ból zębów i ust, gdy Smith próbował wyszarpnąć rękę z jego uścisku. Wiedział jednak, że musi go trzymać. Nawet jeśli przebił tętnicę, nie mógł wyrządzić wielkiej szkody, bo jak wiadomo każdemu, kto sam się okalecza, w nadgarstku jest ona tak cienka, że mogły minąć godziny, zanim Smith by się wykrwawił. Psycholog szarpnął jeszcze raz, ale tym razem już słabiej. Harry kątem oka dostrzegł jego twarz. Pobladła. Jeśli Smith naprawdę nie znosił widoku krwi, to może dałoby się go doprowadzić do omdlenia? Harry z całej siły zacisnął szczęki.

– Widzę, że krwawię, Harry. – Głos Smitha brzmiał słabo, ale spokojnie. – Wiesz, że kiedy Peter Kürten, Wampir z Düsseldorfu, miał zostać ścięty, to zadał doktorowi Karlowi Bergowi jedno pytanie: czy zdąży po obcięciu głowy usłyszeć chłopot krwi tryskającej z szyi, zanim straci przytomność? Bo jeśli tak, będzie to rozkosz wieńcząca wszystkie rozkosze. Ale obawiam się, że to nie jest egzekucja, a dopiero początek mojego przeżywania rozkoszy.

Szybkim ruchem Smith rozpiął swój pas i nachylił się nad Harrym, kładąc głowę na jego kolanach, a jednocześnie lewą ręką sięgając do podłogi. Zaczął wodzić dłonią po gumowym dywaniku, lecz najwyraźniej nie natrafił na rewolwer.

Wykręcił głowę w stronę Harry'ego, aby wsunąć rękę głębiej pod siedzenie. Na jego wargach pojawił się szeroki uśmiech. Widocznie dosięgnął broni. Harry podniósł stopę i nadepnął, pod cienką podeszwą lakierków poczuł kawałek stali i dłoń Smitha.

Smith jęknął.

– Zabierz nogę, Harry. Bo inaczej przyniosę nóż do patroszenia ryb. Słyszysz? Zabierz...

Harry poluzował uścisk zębów i napiął mięśnie brzucha.

– Ak soe cech – wymamrotał.

Gwałtownie uniósł obie nogi i wykorzystując napięty pas bezpieczeństwa, przyciągnął mocno do piersi kolana wraz z głową Smitha.

Smith poczuł, że but Harry'ego nie przytrzymuje już rewolweru, ale jego kolana gwałtownie go uniosły i broń wypadła mu z dłoni. Musiał wsunąć rękę głębiej, dwoma palcami dosięgnął rękojeści, a jednocześnie Harry puścił jego prawy nadgarstek. Wystarczyło tylko podnieść rewolwer i obrócić we właściwą stronę. Nagle jednak zrozumiał, co się dzieje, zobaczył, że Harry się nad nim pochyla, a jego usta znów się otwierają i błyska metal. Smith poczuł na gardle ciepły oddech i za moment w jego skórę wbiły się jakby dwa lodowe sople. Krzyknął, ale krzyk urwał się gwałtownie, gdy szczęki Harry'ego zacisnęły się na jego krtani, a stopa znów opadła w dół, przydeptując i rękę Smitha, i rewolwer.

Smith próbował uderzyć Harry'ego prawą ręką, ale nie mógł odpowiednio się zamachnąć, aby włożyć w ten cios dość siły. I nie mógł oddychać. Harry nie przegryzł mu tętnicy szyjnej, bo wtedy krew trysnęłaby aż do sufitu, ale zablokował dopływ powietrza i Smith już czuł, że ciśnienie w głowie narasta. Mimo to nie chciał wypuścić broni z ręki. Zawsze taki był. Już jako chłopiec nie potrafił odpuścić. Małpa. Ale potrzebował powietrza, bo inaczej głowa groziła eksplozją.

Hallstein Smith puścił rewolwer, zdecydował, że sięgnie po niego później. Uniósł lewą rękę i uderzył nią Harry'ego w bok głowy. Potem prawą w ucho. Potem lewą w oko. Dostrzegł, że obrączka rozrywa brew policjanta. Na widok krwi przeciwnika napłynęła wściekłość, która zadziałała jak benzyna dolana do ognia. Poczuł przypływ nowych sił i zaczął walić na oślep.

* * *

– No to co mam zrobić? – spytał Mikael Bellman, patrząc na fiord.

– Po pierwsze, nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to, co zrobiłeś. – Isabelle Skøyen krążyła za jego plecami.

– To się stało tak szybko. – Mikael skupił się na własnym przezroczystym odbiciu. – Nie zdążyłem pomyśleć.

– Owszem, zdążyłeś – osadziła go Isabelle. – Tyle że nie sięgnąłeś myślą dostatecznie daleko. Zdążyłeś pomyśleć, że on do ciebie strzeli, jeśli spróbujesz zainterweniować. Ale nie przewidziałeś, że jeśli nie będziesz interweniował, zastrzeli cię prasa.

– Byłem nieuzbrojony. On miał rewolwer i interwencja nikomu nie przysłaby do głowy, gdyby temu idiocie Trulsowi nie zachciało się odgrywać bohatera. – Bellman pokręcił głową. – Ale on zawsze był po uszy zakochany w Ulli, biedaczysko.

Isabelle westchnęła.

– Truls, nawet gdyby bardzo się starał, nie zdołałby wymyślić nic lepszego, żeby popsuć ci opinię. Pierwsza rzecz, jaka ludziom przyjdzie do głowy – wszystko jedno, sprawiedliwa czy nie – to tchórzostwo.

– Przestań! – syknął Mikael. – Nie tylko ja nie interweniowałem! Tam siedzieli policjanci, którzy...

– Chodziło o twoją żonę, Mikael. Siedziałeś najbliżej, w pierwszym rzędzie, i chociaż to twoje ostatnie dni na tym stanowisku, to ciągle jeszcze jesteś komendantem policji. Niby im przewodzisz, a teraz masz zostać ministrem sprawiedliwości...

– To co, uważasz, że powinienem był dać się zabić? Przecież Smith naprawdę strzelił. A Truls wcale nie uratował Ulli. Czy to nie pokazuje, że ja, komendant, właściwie oceniłem sytuację, a sierżant Berntsen, działający impulsywnie, popełnił błąd? Wręcz naraził życie Ulli na niebezpieczeństwo.

– Oczywiście musimy się starać właśnie tak to przedstawiać, ale mówię ci tylko, że to może być trudne.

– A na czym polega ta cholerna trudność?

– Na Harrym Hole. Na tym, że to on zgłosił się jako zakładnik, a nie ty.

Mikael rozłożył ręce.

– Isabelle, to Harry Hole sprowokował tę sytuację. Ujawniając, że Smith jest zabójcą, właściwie zmusił go do sięgnięcia po rewolwer, który Smith miał w zasięgu ręki. Zgłaszając się, Harry Hole wziął po prostu odpowiedzialność za to piwo, którego nawarzył.

– Owszem. Ale pamiętaj, że my, ludzie, najpierw czujemy, a dopiero potem myślimy. Widzimy mężczyznę, który nie interweniuje, żeby ratować żonę.

I czujemy pogardę. Dopiero dużo później pojawia się to, co uważamy za chłodną, obiektywną refleksję. Ale nawet posiadając nowe informacje, doszukujemy się argumentów przemawiających za tym, co poczulismy początkowo. To bezrefleksyjna pogarda głupka, Mikael, ale jestem pewna, że ludzie będą czuć właśnie ją.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

Odwrócił się do niej i popatrzył jej w oczy.

– Aha – powiedział. – Bo sama akurat w tej chwili czujesz tę pogardę?

Mikael widział, jak skrzydełka imponującego nosa Isabelle Skøyen rozszerzają się, gdy głębiej oddychała.

– Wiele da się o tobie powiedzieć – stwierdziła. – Masz tyle cech, które doprowadziły cię tu, gdzie się znajdujesz.

– I?

– Jedną z nich jest twoja umiejętność wywęszenia, kiedy należy się kryć, żeby inni przyjęli na siebie cios. Kiedy tchórzostwo się opłaca. Tyle że akurat tym razem zapomniałeś, że masz publiczność. I to nie zwyczajną, lecz najgorszą z możliwych.

Bellman pokiwał głową. Dziennikarze z kraju i z zagranicy. I jego, i Isabelle czekała ciężka praca. Sięgnął po dużą, jeszcze enerdowską lornetkę stojącą na parapecie, najpewniej prezent od jakiegoś wielbiciela Isabelle. Skierował ją na fiord. Dostrzegł na nim dziwny ruch.

– Jaki rezultat będzie dla nas strategicznie najlepszy? – spytał.

– Proszę? – Isabelle, mimo że wychowała się na wsi, a może właśnie dlatego, używała staroświeckich wyrażen wyższych sfer z zachodnich dzielnic Oslo w taki sposób, że wcale nie brzmiały sztucznie. Mikael próbował tego samego, ale bez powodzenia. Dorastanie we wschodnich dzielnicach wyrządziło nieodwracalne szkody.

– Lepiej, żeby Truls umarł czy żeby przeżył?

Lornetka wreszcie coś uchwyciła, wyregulował ostrość.

Minęła sekunda, zanim usłyszał śmiech Isabelle.

– A to kolejna z tych cech – powiedziała. – Potrafisz wyłączyć wszystkie uczucia, kiedy wymaga tego sytuacja. To zdarzenie ci zaszkodzi, ale i tak dasz sobie radę.

– Lepszy byłby martwy, prawda? Wówczas jego błąd stałby się bezdyskusyjny, a moja decyzja słuszna. Poza tym wtedy nie będzie mógł udzielać wywiadów i cała sprawa pożyje krócej.

Poczuł jej dłoń na sprzączce paska, a jednocześnie usłyszał szept tuż przy uchu:

– Chciałbyś, żeby następny SMS w twoim telefonie był informacją, że twój najlepszy przyjaciel nie żyje?

To był pies. Daleko w głębi fiordu. Dokąd on, na miłość boską, zmierzał?

Natychmiast pojawiła się kolejna myśl.

Była nowa. Myśl, która w zasadzie nigdy wcześniej nie przysłała do głowy komendantowi okręgowemu policji i przyszłemu ministrowi sprawiedliwości Mikaelowi Bellmanowi w ciągu całego jego czterdziestoletniego życia.

Dokąd my właściwie zmierzamy?

Harry słyszał w uchu świst o wysokiej częstotliwości i miał jedno oko zalane krwią. A ciosy padały nadal. Nie czuł już bólu, czuł jedynie, że w aucie robi się coraz zimniej, a mrok gęstnieje.

Ale nie puszczał. Ulegał tyle razy wcześniej. Ulegał bólowi, lękom czy tęsknocie za śmiercią. Ale ulegał też prymitywnemu egoistycznemu instynktowi przetrwania, który wygrywał z tęsknotą za bezbolesną nicością, za snem, za ciemnością. To dzięki niemu ciągle tu był. Ciągle. I tym razem nie puszczał.

Mięśnie szczęk bolały go tak, że całe ciało zaczęło drżeć. A ciosy wciąż się sypały. Ale nie puszczał. Nacisk z siłą siedemdziesięciu kilogramów. Gdyby mógł chwycić w zęby całą szyję, zablokowałby dopływ krwi do mózgu i Smith straciłby przytomność dość szybko. Przy odcięciu jedynie dopływu powietrza mogło to potrwać kilka minut. Kolejne uderzenie w skroń. Harry poczuł, że zaczyna go opuszczać świadomość. Nie! Szarpnął się na siedzeniu, jeszcze mocniej zacisnął zęby. Wytrzymać. Wytrzymać. Lew. Bawół. Liczył, oddychając przez nos. Sto. Ciosy dalej padały, ale czy nie były coraz rzadsze i wymierzane z coraz mniejszą siłą? Palce Smitha dotknęły jego twarzy, próbując ją odepchnąć. Zrezygnowały. Puściły go. Czyżby mózgowi Smitha nareszcie zabrakło tlenu do tego stopnia, że przestał działać? Harry poczuł ulgę, przełknął kolejną porcję krwi Smitha i w tej samej chwili przypomniała mu się przepowiednia Valentina.

Czekałeś na swoją kolej, żeby być wampirem. Czujesz to pragnienie, Harry, przyznaj. Któregoś dnia ty też je zaspokoisz.

Może to przez tę myśl, przez chwilową utratę koncentracji, ale w tym samym momencie poczuł, że rewolwer pod jego podeszwą się porusza, i zrozumiał, że bezwiednie zwolnił nacisk. A Smith przestał go bić, żeby sięgnąć po broń. I to mu się udało.

Katrine zatrzymała się w drzwiach do Auli.

Sala była pusta, z wyjątkiem dwóch kobiet, które siedziały objęte w pierwszym rzędzie.

Obserwowała je przez chwilę. Dziwaczna para. Rakel i Ulla. Żony dwóch

zaprzyśiężonych wrogów. Czy kobietom naprawdę łatwiej szukać u siebie wzajemnie pociechy niż mężczyznom? Katrine nie wiedziała. Tak zwane siostrzeństwo nigdy jej nie interesowało.

Podeszła do nich. Ramiona Ulli Bellman drżały, ale płakała bezgłośnie. Raket podniosła na Katrine pytające spojrzenie.

– Nie mamy żadnych wieści – odparła Katrine.

– Okej – powiedziała Raket. – Ale on sobie poradzi.

Katrine przemknęło przez głowę, że to powinna być jej kwestia, a nie Raket. Raket Fauke. Ciemnowłosa, silna, o ciepłych piwnych oczach. Katrine zawsze czuła zazdrość. Nie dlatego, że chciałaby zamienić się z nią na życie albo być partnerką Harry'ego. Harry może potrafił dać kobiecie szczęście na chwilę, ale na dłuższą metę ściągał tylko smutek, rozpacz i zniszczenie. Na dłuższą metę chciała mieć kogoś takiego jak Bjørn Holm. A mimo wszystko zazdrościła Raket Fauke. Zazdrościła, że to właśnie jej pragnął Harry Hole.

– Przepraszam. – Na salę wszedł Ståle Aune. – Znalazłem pokój, w którym możemy chwilę porozmawiać.

Ulla Bellman pociągnęła nosem i skinęła mu głową. Wstała i wyszła z Aunem.

– Psychologia kryzysowa? – spytała Katrine.

– Tak – odparła Raket. – A najdziwniejsze, że to działa.

– Naprawdę?

– Znam to z autopsji. A ty jak się czujesz?

– Ja?

– Tak, cięża, a tu cała ta odpowiedzialność. No i przecież tobie Harry też jest bliski.

Katrine pogładziła się ręką po brzuchu. Przyszła jej do głowy dziwna, a przynajmniej zupełnie nowa myśl. O tym, jak niedaleko od siebie są narodziny i śmierć. Jakby jedno zwiastowało nadejście drugiego. Jakby trwała nieubłagana zabawa w gorące krzesła, wymagająca ofiary, aby mogło pojawić się nowe życie.

– Wiecie już, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka?

Katrine pokręciła głową.

– A imię?

– Bjørn chce Hank – odparła Katrine. – Po Hanku Williamsie.

– No tak, oczywiście. Czyli wierzy, że będzie chłopiec?

– Bez względu na płeć.

Roześmiały się, bez najmniejszego poczucia absurdu. Ze śmiechem rozmawiały o nadchodzącym życiu zamiast o nadchodzącej śmierci. Bo życie jest magiczne, a śmierć trywialna.

– Muszę już iść, ale dam ci znać, kiedy tylko będziemy coś wiedzieć – obiecała Katrine.

Rakel kiwnęła głową.

– Zostanę tutaj. Powiedz, jeśli mogę w czymś pomóc.

Katrine wstała, zawahała się, ale w końcu się zdecydowała. Jeszcze raz pogładziła się po brzuchu.

– Czasami myślę o tym, że mogę je stracić.

– To naturalne.

– I wtedy zaczynam się zastanawiać, co by ze mnie zostało. Czy miałabym się żyć dalej?

– Miałabyś – powiedziała Rakel z naciskiem.

– Wobec tego musisz mi przyrzec, że i ty dasz radę. Mówisz, że Harry sobie poradzi, a ja wiem, nadzieja jest ważna. Ale chyba powinnam ci powiedzieć, że rozmawiałam z Deltą i w ich ocenie porywacz, to znaczy Hallstein Smith, prawdopodobnie... Typowe jest, że...

– Dzięki. – Rakel ujęła dłoń Katrine. – Kocham Harry'ego, ale jeśli go teraz stracę, obiecuję, że będę żyć dalej.

– A jak Oleg przyjąłby...

Katrine dostrzegła ból w oczach Rakel i natychmiast pożałowała tego pytania. Zobaczyła, że Rakel próbuje coś powiedzieć, ale nie może i tylko wzrusza ramionami. Kiedy wyszła na plac, usłyszała klekot. Podniosła głowę. W kadłubie helikoptera wysoko na niebie odbijało się słońce.

John D. Steffens pchnął drzwi wejściowe w izbie przyjęć, wciągnął przez nos mroźne zimowe powietrze i podszedł do starszego kierowcy karetki, który z zamkniętymi oczami stał oparty o ścianę i wystawiał twarz do słońca, paląc niespiesznie, z wyraźną przyjemnością, papierosa.

– I co tam, Hansen? – Steffens oparł się o ścianę obok niego.

– Przyjemna zima – odparł kierowca, nie otwierając oczu.

– Mógłbyś...

Kierowca wyjął paczkę, podsunął mu ją.

Steffens wziął papierosa i zapalniczkę.

– Przeżyje?

– Zobaczymy – odparł Steffens. – Wpompowaliśmy w niego z powrotem trochę krwi, ale nie ma pewności.

– Ilu osobom musisz uratować życie, Steffens?

– Słucham?

– Miałeś nocny dyżur i wciąż tu jesteś. Jak zwykle. Więc ile osób wyznaczyłeś sobie do uratowania, żeby odpokutować?

– Nie wiem, o czym mówisz, Hansen.

– O twojej żonie. O tej, której nie zdołałeś ocalić.

Steffens nie odpowiedział. Dalej tylko zaciągał się dymem.

– Rozpytywałem się – podjął kierowca.

– Dlaczego?

– Ponieważ się o ciebie martwię. I ponieważ wiem, jak to jest. Sam straciłem żonę. Ale wszystkie te nadgodziny, całe to ratowanie innych jej nie wróci. Wiesz o tym? A któregoś dnia popełnisz jakiś głupi błąd po prostu ze zmęczenia. Będziesz miał na sumieniu kolejne życie.

– Tak myślisz? – Steffens ziewnął. – Znasz jakiegoś hematologa, który byłby lepszy ode mnie w medycynie urazowej?

– Kiedy ostatni raz byłeś na słońcu? – Kierowca zgasił papierosa o mur, a niedopałek schował do kieszeni. – Postój tutaj, dopal do końca, naciesz się dniem. A potem wracaj do domu i idź spać.

Steffens usłyszał oddalające się kroki.

Zamknął oczy.

Spać.

Chciałby móc spać.

Minęły już 2152 dni. Nie od czasu, kiedy Ina, jego żona, a matka Andersa, umarła – od tamtej chwili minęło 2912 dni. Ale odkąd miał kontakt z Andersem. Przez pierwszy okres po śmierci Iny rozmawiali przynajmniej sporadycznie, chociaż Anders wściekał się i obwinał go o to, że nie ocalił matki. To było usprawiedliwione. Potem Anders się wyprowadził, uciekł, zadbał o stworzenie jak największego dystansu wobec ojca. Na przykład porzucając plan podjęcia studiów medycznych i zamiast nich wybierając szkołę policyjną. Podczas jednej z tych sporadycznych rozmów prowadzonych podniesionym głosem Anders oświadczył, że woli raczej być kimś takim jak jeden z jego wykładowców, były śledczy Harry Hole, którego najwyraźniej ubóstwiał, tak jak kiedyś ubóstwiał ojca. Steffens odwiedzał Andersa pod różnymi adresami, przychodził do Wyższej Szkoły Policyjnej, jeździł na północ do położonego na odludziu urzędu lensmana, ale stale był odrzucany. Zachowywał się wobec rodzzonego syna jak stalker. Chciał, by Anders zrozumiał, że obaj tracą ją odrobinę mniej, jeśli nie tracą również siebie. Że razem mogą zachować jej część żywą. Ale Anders nie chciał słuchać.

Kiedy więc na badania zgłosiła się Rakel Fauke, a Steffens zrozumiał, że to żona Harry'ego Hole, oczywiście się zaciekał. Kim był ten Harry Hole, który tak

przemawiał do Andersa? Czy on sam mógł się od niego czegoś nauczyć, żeby znów zbliżyć się do syna? Potem odkrył, że przybrany syn Harry'ego, Oleg, zareagował identycznie jak Anders, kiedy zrozumiał, że Harry Hole też nie może uratować jego matki. Zawiódł jako ojciec. Odwieczny problem ojców i synów.

Spać.

Dzisiejszy widok Andersa wywołał u niego szok. Jego pierwszą idiotyczną myślą było to, że został nabrany. Że Oleg i Harry zorganizowali coś w rodzaju pojednania.

Spać. Już.

Ściemniło się. Na twarz padł chłód. Czyżby jakaś chmura przesłoniła słońce? John D. Steffens otworzył oczy. Ktoś przed nim stał na tle słońca, jego głowę otaczała aureola słonecznego światła.

– Kiedy zacząłeś palić? Przecież jesteś lekarzem.

John D. Steffens zamrugał. Aureola zapiekła w oczy. Musiał odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos.

– Anders?

– Berntsen przeżyje. Mówią, że dzięki tobie.

Claus Hafslund siedział w swoim zimowym ogrodzie i wyglądał na fiord, na którym lód pokrył się tą dziwną warstwą gładkiej nieruchomej wody, przez co przypominał gigantyczne lustro. Hafslund odłożył gazetę, znów niemal od początku do końca poświęconą sprawie wampirysty. Że też im się nie znudzi. Tu, na Nesøi, na szczęście nie mieli takich potworów. Tutaj cisza i spokój panowały na okrągło przez cały rok. Chociaż akurat w tej chwili dobiegał skądś odgłos helikoptera. Pewnie jakiś wypadek na E18. Nagle Claus Hafslund drgnął przestraszony, słysząc nieoczekiwany huk.

Fale dźwięku przetoczyły się nad fiordem.

Broń palna.

Zabrzmiało to tak, jakby strzał padł na którejś z sąsiednich posesji: Hageny albo Reinertsena. Ci dwaj kupcy od lat kłócili się o to, czy granica między działkami biegnie na prawo czy na lewo od kilkusetletniego dębu. Reinertsen w wywiadzie dla lokalnej gazety powiedział, że chociaż kłótnia sąsiedzka może być postrzegana jako komiczna, ponieważ sprawa dotyczy zaledwie kilku metrów kwadratowych ogromnych włości, to w tym wszystkim nie chodzi o małostkowość, tylko o święte prawo własności. Wyraził też przekonanie, że właściciele willi z Nesøi zgodzą się, iż o tę zasadę ma obowiązek walczyć każdy obywatel poczuwający się do odpowiedzialności społecznej. Przecież nie mogło być wątpliwości, że drzewo należy do posiadłości Reinertsena, wystarczy popatrzeć na herb rodziny, od której

odkupił ziemię. Widniał na nim wielki dąb, replika sedna sporu, co da się zobaczyć gołym okiem. Reinertsen przyznawał dalej, że patrzenie na potężne drzewo (w tym miejscu dziennikarz zauważył, że Reinertsen musiałby chyba usiąść na dachu swojego domu, żeby dojrzeć dąb) ze świadomością, że należy do niego, ogrzewa mu serce. Dzień po opublikowaniu wywiadu Hagen ściął drzewo i napalił nim w kominku, a dziennikarzowi z gazety oświadczył, że ogrzało mu nie tylko serce, ale i stopy. Reinertsen od tej pory musi się zadowolić widokiem dymu z jego komina, bo przez następnych parę lat będą palić wyłącznie drewnem z tego dębu. Ta wypowiedź była oczywiście prowokacją, ale Claus Hafslund, chociaż był przekonany, że słyszał odgłos broni palnej, nie mógł uwierzyć, aby Reinertsen strzelił do Hagen z powodu tego cholernego drzewa.

Nagle dostrzegł jakiś ruch przed starą szopą na łodzie stojącą w odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów od niego oraz od włości Hagen i Reinertsena. To był mężczyzna. W garniturze. Szedł po lodzie. Ciągnął za sobą aluminiową jolkę. Claus zamrugał. Mężczyzna się zachwiał i osunął na kolana w lodowatą wodę. Potem odwrócił się w stronę Willi Clausa Hafslunda, jakby wyczuł, że jest obserwowany. Twarz mężczyzny była czarna, czyżby to jakiś uchodźca? Dotarli już do Nesøi?

Zaalarmowany chwycił lornetkę z półki, którą miał za plecami, i skierował ją na mężczyznę. Nie. To nie był czarny. Twarz mężczyzny pokrywała krew. Wśród czerwieni odznaczały się białka oczu. Chwycił się teraz burty i podniósł na nogi. Chwiejąc się, złapał linę obiema rękami i pociągnął łódkę za sobą. A Claus Hafslund, który wcale nie był religijnym człowiekiem, pomyślał sobie, że widzi Jezusa. Jezusa chodzącego po wodzie. Jezusa ciągnącego swój krzyż na Golgotę. Jezusa, który wstał z martwych i nawiedził Clausa Hafslunda i całą Nesøę. Jezusa z wielkim rewolwerem w ręku.

Sivert Falkeid siedział na dziobie pontonu, zwrócony twarzą do wiatru i Nesøi. Ostatni raz spojrział na zegarek. Od chwili, gdy otrzymał informację i natychmiast powiązał ją z uprowadzeniem zakładnika, minęło dokładnie trzydzieści minut.

– Ktoś zgłasza strzały na Nesøi.

Zareagowali w czasie do zaakceptowania. Powinni być na miejscu przed przybyciem radiowozów, które również zostały tam skierowane. No ale jasne przecież, że kula i tak jest szybsza.

Widział aluminiową łódkę i krawędź lodu, za którą zaczynała się otwarta woda.

– Teraz! – zdecydował i przesunął się na tył do pozostałych, aby dziób pontonu się uniósł i aby mogli wślizgnąć się na lód pokryty z wierzchu wodą.

Policjant sterujący pontonem wyciągnął śrubę.

Zakołysało nimi, kiedy uderzyli w krawędź lodu, i Falkeid usłyszał szuranie dna, ale mieli dostatecznie dużą prędkość, aby dotrzeć do miejsca, w którym lód mógł ich już utrzymać po wyjściu z pontonu. Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Sivert Falkeid przełożył nogę przez burtę i ostrożnie postawił ją na lodzie. Woda sięgnęła mu lekko ponad kostkę.

– Przejdę dwadzieścia metrów i dopiero ruszajcie za mną. W odstępach dziesięciu metrów.

Brodząc w wodzie, skierował się w stronę aluminiowej łódki. Odległość oszacował na trzysta metrów. Łódź wyglądała na porzuconą, ale w zgłoszeniu podano, że mężczyzna, który prawdopodobnie oddał strzał, wyciągnął ją z szopy należącej do Hallsteina Smitha.

– Lód jest solidny – szepnął przez radio.

Wszyscy z Deltę zaopatrzyli się w kolce asekuracyjne z linką, przymocowane do piersi munduru, z których mogli skorzystać, gdyby lód pod nimi się załamał. I to właśnie ta linka akurat zaplątała się wokół lufy pistoletu maszynowego Falkeida. Musiał więc spuścić głowę, żeby oswobodzić broń.

Dlatego kiedy usłyszał wystrzał, nie miał szans zobaczyć, skąd go oddano. Odruchowo rzucił się w wodę.

Znów huknęło. Tym razem dostrzegł cieniutką smużkę dymu unoszącą się z aluminiowej łódki.

– Strzał z łodzi – usłyszał w słuchawce. – Wszyscy mamy ją na muszce. Czekamy na rozkaz wysłania jej do wszystkich diabłów.

Delcie przekazano, że Smith jest uzbrojony w rewolwer. I oczywiście szansa na to, że z odległości dwustu metrów zdoła trafić w Falkeida, była w zasadzie niewielka, ale nie wolno ryzykować. Sivert Falkeid nabrał powietrza, czując, jak lodowata woda przesiąka przez ubranie i przenika do skóry. Nie jego zadaniem było wyliczanie, ile państwo będzie musiało zapłacić za oszczędzenie życia tego seryjnego zabójcy, jakie poniesie koszty w postaci procesów sądowych, dozoru, ceny za dobę w pięciogwiazdkowym więzieniu. Jego zadaniem była ocena, jak duże zagrożenie ten morderca stanowi dla życia ludzi z jego oddziału i innych, i następnie odpowiednie dostosowanie reakcji, a nie myślenie o miejscach w przedszkolu, łóżkach szpitalnych i remontach zniszczonych szkół.

– Strzelać! – wydał rozkaz Sivert Falkeid.

Odpowiedzi nie było. Tylko wiatr i odgłos helikoptera z oddali.

– Dalej, strzelajcie! – powtórzył.

Ciągle nie dostawał potwierdzenia. Helikopter się zbliżał.

– Słyszysz mnie? – rozległo się w słuchawce. – Jesteś ranny?

Falkeid już miał powtórzyć rozkaz, kiedy dotarło do niego, że stało się to samo, co podczas ćwiczeń w bazie wojskowej Haakonsvern. Słona woda zniszczyła mikrofon, działała tylko część odbiorcza. Odwrócił się w stronę pontonu i krzyknął, ale zagłuszył go helikopter, który zawisł teraz w powietrzu tuż nad ich głowami. Dał więc sygnał do otwarcia ognia ich własnym wewnętrznym kodem. Dwa proste uderzenia w powietrze prawą ręką zaciśniętą w pięść. Ciągłe brak reakcji. Co jest, do cholery? Zaczął się czołgać z powrotem do pontonu, gdy nagle zobaczył, że dwaj jego ludzie wychodzą na lód, nawet się nie garbiąc, żeby stanowić choć trochę mniejszy cel.

– Pochylcie się! – krzyknął, ale oni podeszli do niego całkiem spokojnie.

– Mamy kontakt z helikopterem! – jeden z komandosów przekrzyczał hałas. – Widzą go, leży w łodzi!

Leżał na dnie łodzi i mrużył oczy przed słońcem, które na niego świeciło. Nic nie słyszał, ale wyobrażał sobie, że woda pluszcze i cmoka w metal, który miał pod sobą. Że jest lato. Że siedzą w łodzi całą rodziną. Rodzinna wycieczka. Śmiechy. Gdyby tylko miał oczy zamknięte, może mógłby dalej być na tej wycieczce.

Nie był pewien, czy łódka dryfuje, czy też jego ciężar unieruchomił ją na lodzie. To nie było takie ważne. Nigdzie się nie wybierał. Czas stanął w miejscu. Może zawsze stał, a może zatrzymał się dopiero teraz? Zatrzymał się dla niego i dla tego, który ciągle siedział w amazonie. Czy dla tamtego też jest lato? Czy on też znalazł się teraz w jakimś lepszym miejscu?

Coś przesłoniło mu słońce. Chmura? Twarz? Tak, twarz. Twarz kobiety. Jak wspomnienie spowite mgłą, która nagle się rozwiewa. Ujeżdżała go. Szeptwała, że go kocha, że zawsze go kochała. Że czekała właśnie na tę chwilę. Spytała, czy on tak jak ona czuje, że czas się zatrzymał. W wibrującej łodzi jęki kobiety przeszły w jednostajny krzyk, jak gdyby wbił w nią nóż. Wypuścił powietrze z płuc i strzelił nasieniem. Wtedy ona na nim umarła. Uderzyła głową w jego pierś, a wiatr uderzył w okno nad łóżkiem w mieszkaniu. Zanim czas znów ruszył, zasnęli oboje bez przytomności, bez pamięci, bez sumienia.

Otworzył oczy.

To wyglądało jak wielki, wymachujący skrzydłami ptak.

Helikopter. Unosił się jakieś dziesięć – dwadzieścia metrów nad nim, a mimo to on nic nie słyszał, ale zrozumiał, że to helikopter wprawia łódkę w wibracje.

Katrine stała w cieniu przed szopą na łodzi i trzęsła się z zimna, obserwując

policjantów, którzy zbliżali się do stojącego wewnątrz amazona.

Patrzyła, jak otwierają drzwiczki od strony kierowcy i od strony pasażera. Zobaczyła, że ze środka wypada ręka w marynarce. Wypada ze złej strony. Ze strony Harry'ego. Naga dłoń była zakrwawiona. Funkcjonariusz wsunął głowę do samochodu, prawdopodobnie po to, by sprawdzić, czy leżący w środku człowiek oddycha i czy da się wyczuć jego tętno. Trochę to potrwało, Katrine wreszcie nie zdołała się dłużej powstrzymać. Usłyszała własny drżący głos:

– Żyje?

– Być może! – zawołał policjant, przekrzykując hurgot helikoptera unoszącego się nad wodą. – Nie wyczuwam pulsu, ale możliwe, że oddycha. Ale nawet jeśli żyje, to i tak niewiele mu zostało.

Katrine zbliżyła się o kilka kroków.

– Karetka już jedzie. Widzisz ranę postrzałową?

– Za dużo krwi.

Weszła do szopy. Zapatrzyła się w rękę wystającą z otwartych drzwiczek. Ręka wyglądała tak, jakby czegoś szukała. Czegoś, czego mogłaby się złapać. Drugiej ręki. Katrine pogładziła się po brzuchu. Powinna była mu coś powiedzieć.

– Chyba się mylisz – odezwał się drugi policjant z wnętrza samochodu. – On już nie żyje. Spójrz na te źrenice.

Katrine zamknęła oczy.

Wpatrywał się w twarze, które pojawiły się nad nim po obu stronach łodzi. Jeden z tych ludzi ściągnął czarną maskę, otworzył usta i zaczął nimi poruszać. Napięte mięśnie szyi wskazywały na to, że chyba krzyczy. Może kazał mu wypuścić z ręki rewolwer. Może wykrzykiwał jego imię. Może nawoływał do zemsty.

Katrine podeszła do drzwiczek od strony Harry'ego. Odetchnęła głęboko i zajrzała do środka. Znieruchomiała. Szok uderzył w nią z siłą jeszcze większą, niż się na to przygotowywała. Słyszała już wycie karetki, ale widziała w życiu więcej martwych ciał niż ci zwykli funkcjonariusze i wystarczył jej jeden rzut oka, aby wiedzieć, że to ciało zostało porzucone już na zawsze. Znała je i miała pewność, że to tylko skorupa, którą po sobie zostawił.

Przełknęła ślinę.

– On nie żyje. Niczego nie ruszajcie.

– Ale powinniśmy chyba podjąć reanimację, może...

– Nie – powiedziała zdecydowanie. – Zostawcie go.

Szok powoli mijał. Ustępował miejsca zaskoczeniu. Zaskoczeniu tym, że Hallstein

Smith sam prowadził auto, nie pozwolił na to zakładnikowi. Myliła się, uznając fotel kierowcy za miejsce Harry'ego.

Harry leżał na dnie łodzi i patrzył w górę. Twarze mężczyzn, helikopter zasłaniający słońce, błękitne niebo. Zdażył jeszcze raz przydepnąć nogą rewolwer, zanim Hallstein go podniósł. A wtedy Smith jakby się poddał. Może Harry tylko to sobie wymówił, ale wydawało mu się, że przez żelazne zęby wyczuwa, jak puls tamtego coraz bardziej słabnie, aż w końcu zamiera. Harry dwa razy stracił przytomność, zanim udało mu się wreszcie przełożyć skute kajdankami ręce tak, by znów mieć je przed sobą. Wtedy rozpiął pas i wyjął kluczyk do kajdanek z kieszeni marynarki. Kluczyk do stacyjki się złamał, a Harry wiedział, że nie starczy mu sił na sforsowanie stromej oblodzonej zbocza prowadzącego do głównej szosy ani też wysokich płotów posiadłości rozciągających się po obu stronach drogi. Wzywał pomocy, lecz Smith jakby odebrał mu głos i jego ciche okrzyki wkrótce zagłuszył nadlatujący skądś helikopter, prawdopodobnie policyjny. Zabrał więc rewolwer, wyszedł przed szopę i strzelił w powietrze z nadzieją, że w ten sposób zaalarmuje śmigłowiec. Aby zauważyli go z powietrza, wyciągnął łódź Smitha na lód, położył się w niej i jeszcze kilkakrotnie strzelił.

Wypuścił teraz rugera z ręki, rewolwer już zrobił swoje. Było po wszystkim. Mógł wracać. Do lata. Kiedy miał dwanaście lat, leżał w łodzi, z głową na kolanach matki, a ojciec opowiadał jemu i Sio o zazdrosnym weneckim dowódcy wojującym z Turkami. Harry wiedział, że będzie musiał wszystko jeszcze raz tłumaczyć młodszej siostrze, kiedy już położą się spać wieczorem. Właściwie trochę się z tego cieszył, bez względu na to, ile to mogło zająć czasu. Wiedział, że nie odpuszcza, dopóki Sio nie pojmie powiązań między jednym a drugim. Harry lubił powiązania. Również te, o których w głębi ducha wiedział, że nie istnieją.

Zamknął oczy.

Ona ciągle tam była. Leżała obok niego. A teraz szepnęła mu do ucha:

– Myślisz, że potrafisz też dawać życie, Harry?

EPILOG

Harry nalał do szklanki Jima Beama. Odstawił butelkę na półkę. Podniósł szklankę. Postawił ją przy kieliszku białego wina przed Andersem Wyllerem, za którego plecami klienci przepychali się, żeby składać zamówienia.

– Wyglądasz teraz dużo lepiej – ocenił Anders, zaglądając do szklanki z whisky, ale jej nie tykając.

– Twój ojciec mnie połatał – odparł Harry. Spojrzał na Øysteina, który dał mu znak, że spróbuje przez chwilę sam bronić fortu. – Co słychać w wydziale?

– Wszystko dobrze – powiedział Anders. – No ale wiesz, cisza po burzy.

– Mhm. Wiesz, że się mówi...

– Wiem. Gunnar Hagen spytał mnie dzisiaj, czy chciałbym przejąć obowiązki tymczasowego zastępcy szefa grupy śledczej na czas, kiedy Katrine weźmie urlop.

– Gratuluję. Ale czy nie jesteś na to za młody?

– Mówił, że ty to zaproponowałeś.

– Ja? Widocznie mówiłem pod wpływem wstrząsu mózgu. – Harry podkreślił gałkę wzmacniacza i Jayhawks zaśpiewali *Tampa to Tulsa* trochę głośniej.

Anders się uśmiechnął.

– No tak, ojciec mówił, że dostałeś niezłe lanie. A tak w ogóle kiedy zrozumiałeś, że to mój ojciec?

– Tu nie było nic do rozumienia, dowody mówiły same za siebie. Kiedy wysłałem jego włos do analizy DNA, w Instytucie Medycyny Sądowej stwierdzili, że pasuje do profilu DNA z miejsc zdarzenia. Nie do profilu podejrzanego, tylko jednego ze śledczych. Do twojego profilu, Anders. Ale to był tylko częściowy *match*. Pokrewieństwo. Relacja ojciec – syn. Tobie pierwszemu przekazano wyniki i nie przyszedłeś z tym ani do mnie, ani do nikogo innego z szefostwa. Kiedy wreszcie dowiedziałem się o tym powiązaniu, szybko stwierdziłem, że panięskie nazwisko zmarłej żony ordynatora Steffensa brzmiało Wyller. Dlaczego mnie o tym nie poinformowałeś?

Anders wzruszył ramionami.

– Uważałem, że to nie ma żadnego znaczenia dla sprawy.

– I nie chciałeś, żeby cię wiązano z ojcem? Dlatego używasz panięskiego nazwiska matki?

Anders potwierdził.

– To długa historia, ale już jest lepiej. Przynajmniej ze sobą rozmawiamy. Ojciec nabrał pokory. Zrozumiał, że nie jest idealny. A ja... może też jestem starszy i mądrzejszy. No a jak się domyśliłeś, że Mona była u mnie?

– Dedukcja.

– Oczywiście. Czyli?

– Zapach w przedpokoju. Old Spice. Woda po goleniu. Ale ty byłeś nieogolony. Oleg wspominał mi o krążącej plotce, że Mona Daa używa Old Spice'a jako perfum. Poza tym zobaczyłem klatkę dla kota. Ludzie nie trzymają kotów w klatkach. No chyba że często odwiedza ich kobieta, która ma alergię na koty.

– Nieźle się popisalesz, Harry.

– Ty też, Anders. Ale i tak uważam, że jesteś za młody i zbyt niedoświadczony na to stanowisko.

– To dlaczego mnie zaproponowałeś? Przecież nawet nie jestem komisarzem.

– Żebyś sobie to przemyślał, zorientował się, w czym możesz się poprawić, i uprzejmie odmówił.

Anders ze śmiechem pokręcił głową.

– Okej, właśnie tak zrobiłem.

– To dobrze. Nie pijesz tego swojego Jima Beama?

Anders Wyller znów spojrzął na szklankę. Wziął głęboki oddech. Pokręcił głową.

– Właściwie nie lubię whisky. Pewnie zamawiam ją po to, żeby naśladować ciebie.

– I?

– Chyba pora wybrać sobie własnego drinka. Zabierz to, dobrze?

Harry wziął szklankę i wylał jej zawartość do zlewu. Zastanawiał się, czy nie zaproponować Andersowi drinka z butelki, którą Ståle Aune przyniósł jako spóźniony prezent z okazji przejścia baru. Pomarańczowej nalewki ziołowej noszącej nazwę Raudonos Devynerios 999. Wyjaśnił, że mieli taką butelkę w bufecie studenckim – podobno właśnie od niej wziął się szyfr do sejfów, który z kolei pozwolił wciągnąć Hallsteina Smitha w małą pułapkę. Harry odwrócił się, żeby opowiedzieć o tym Andersowi, gdy nagle zobaczył, kto wchodzi do baru.

– Przepraszam – powiedział. – Ale mamy ważnego gościa.

Patrzył, jak Rakel idzie przez zatłoczony lokal. W tej chwili wydawało się, że jest w nim jedyną osobą. Poruszała się tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją pierwszy raz, kiedy szła do niego przez podwórze. Jak baletnica.

Zatrzymała się przy kontuarze i uśmiechnęła.

– Tak – powiedziała.

– Tak?

– Masz moją zgodę.

Harry uśmiechnął się i nakrył jej dłoń swoją.

– Kocham cię.

– Dobrze wiedzieć. Bo zakładamy spółkę, w której będę prezeską zarządu. Dostanę trzydzieści procent udziałów, ćwierć etatu i co wieczór będziemy puszczać co najmniej jeden utwór PJ Harvey.

– Umowa stoi. Słyszałeś, Øystein?

– Jeśli jest zatrudniona, to niech od razu staje za barem – wysapał Øystein.

Anders podciągnął suwak kurtki.

– Mona ma bilety do kina, więc życzę wam miłego wieczoru.

Rakel stanęła obok Øysteina, Anders wyszedł.

Harry wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Słucham, Hagen – usłyszał.

– Cześć, szefie, tu Harry.

– Widzę. Znów jestem szefem?

– Zaproponuj Wyllerowi to stanowisko jeszcze raz. Nalegaj, żeby się zgodził.

– Dlaczego?

– Pomyliłem się, on jest już gotowy.

– Ale...

– Jako zastępca kierującego śledztwem nie będzie mógł za dużo spieprzyć, a mnóstwo się nauczy.

– No tak, ale...

– A moment jest idealny. Cisza po burzy.

– Wiesz, że się mówi...

– Wiem.

Harry się rozłączył. Próbował odpędzić od siebie tę myśl. To, co Smith zapowiedział w samochodzie. Wspomniał o tym Katrine. Sprawdzili korespondencję Smitha, ale nie znaleźli żadnych śladów rekrutacji nowych wampirystów. Niewiele więcej mogli zrobić. Uznali, że najprawdopodobniej było to jedynie życzenie szaleńca. Harry podkreślił Jayhawks jeszcze o dwa ząbki. O tak, teraz dobrze.

Svein „Narzeczonego” Finne wyszedł spod prysznic i nagi stanął przed lustrem w pustej szatni klubu fitness Gain. Lubił to miejsce. Lubił widok na park, poczucie przestrzeni i wolności. Wcale go nie przerażało, chociaż go przed tym ostrzegano. Odczekał, aż woda z niego spłynie i wyparuje ze skóry. Długo ćwiczył. Przyzwyczał

się do tego w więzieniu. Całe godziny, kiedy liczyły się tylko oddech, pot i żelazo. Jego organizm to tolerował. Musiał tolerować, bo przecież czekała go długa praca. Nie wiedział, kim jest osoba, która się z nim skontaktowała, i od jakiegoś czasu nie miał od niej wiadomości. Ale tej oferty nie potrafił odrzucić. Mieszkanie. Nowa tożsamość. I kobiety.

Pogładził dłonią tatuaż na piersi.

Potem się odwrócił i podszedł do szafki zamkniętej na kłódkę z plamką różowej farby. Ustawił szyfr, który mu przysłano. 0999. Czort wie, czy ta liczba miała jakieś znaczenie, ale kłódka się otworzyła. Pociągnął drzwiczki szafki. W środku leżała koperta. Otworzył ją, odwrócił, do ręki wypadł mu biały klucz. Wyjął kartkę. Przeczytał adres. Holmenkollen.

W kopercie było coś jeszcze, coś, co się zaczepiło. Rozdarł ją. I wbił wzrok w to, co w niej leżało. Czarne. I piękne w swym prostym okrucieństwie. Włożył to do ust, zacisnął szczęki i poczuł smak soli, gorycz żelaza. Poczuł ogień. Poczuł pragnienie.

Przypisy

[1] *Biblia Tysiąclecia*, Księga Przysłów 30,14.



PRAGNIENIE

Młoda kobieta zostaje zamordowana we własnym mieszkaniu tuż po internetowej randce. Ślady na jej ciele wskazują, że sprawca jest wyjątkowo bezwzględny. Presja mediów, by znaleźć winnego, sprawia, że policja zwraca się do Harry'ego Hole. Były śledczy niechętnie myśli o powrocie do pracy, przez którą wiele w życiu stracił. Rozpoczyna dochodzenie dopiero wówczas, gdy zaczyna podejrzewać, że zbrodnia łączy się z nierozwiązaną sprawą z przeszłości. Podejmuje trop i daje się wciągnąć w nierówną grę z wyrachowanym psychopatą.



Jo Nesbo Polska

Cykl kryminałów
z Harrym Hole:

CZŁOWIEK NIETOPERZ
KARALUCHY
CZERWONE GARDŁO
TRZECI KLUCZ
PENTAGRAM
WYBAWICIEL
PIERWSZY ŚNIEG
PANCERNE SERCE
UPIORY
POLICJA
PRAGNIENIE

Patronat medialny



lubimy czytać.pl



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5659-4

EAN 9788327156594

U.WD.KRW070.1.01.01

SPIS TREŚCI

Prolog

CZEŚĆ I

1. Środa, wieczór
2. Czwartek, przedpołudnie
3. Czwartek, popołudnie
4. Czwartek, popołudnie
5. Czwartek, wieczór i noc
6. Piątek, rano
7. Piątek, przedpołudnie
8. Piątek, w ciągu dnia
9. Piątek, popołudnie
10. Sobota, rano
11. Sobota, popołudnie
12. Sobota, wieczór
13. Sobota, późny wieczór
14. Niedziela, rano
15. Niedziela, wieczór
16. Niedziela, noc
17. Poniedziałek, rano
18. Poniedziałek, w ciągu dnia
19. Poniedziałek, wieczór
20. Noc z poniedziałku na wtorek

CZEŚĆ II

21. Wtorek, rano
22. Wtorek, popołudnie
23. Wtorek, późne popołudnie
24. Wtorek, wieczór
25. Wtorek, noc
26. Wtorek, noc
27. Środa, rano
28. Środa, popołudnie
29. Środa, wieczór
30. Środa, noc

31. Środa, noc

32. Środa, noc

33. Czwartek, rano

CZEŚĆ III

34. Sobota

35. Niedziela, przedpołudnie

36. Niedziela, wieczór

37. Środa, popołudnie

38. Czwartek, rano

39. Czwartek, noc

40. Piątek, przedpołudnie

41. Piątek, przedpołudnie

Epilog

Przypisy